

DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD

DWA GROBY

Bestseller
New York
Timesa

*Zanim wkroczysz na drogę
zemsty, wykop dwa groby.*

Douglas Preston
Lincoln Child

Dwa groby

Przełożył
Robert P. Lipski



Wersja elektroniczna

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

MOTTO

CZĘŚĆ PIERWSZA

18:00

6 GODZIN PÓŹNIEJ

22 GODZINY PÓŹNIEJ

26 GODZIN PÓŹNIEJ

30 GODZIN PÓŹNIEJ

37 GODZIN PÓŹNIEJ

40 GODZIN PÓŹNIEJ

44 GODZINY PÓŹNIEJ

45 GODZIN PÓŹNIEJ

53 GODZINY PÓŹNIEJ

82 GODZINY PÓŹNIEJ

84 GODZINY PÓŹNIEJ

91 GODZIN PÓŹNIEJ

CZĘŚĆ DRUGA

1

2

3

4

5

6

7

8

9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42

[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)
[75](#)
[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[86](#)

[87](#)

[I W KOŃCU](#)

[Przypisy](#)

[Biogram autorów](#)

[Okładka – tył](#)

*Lincoln Child dedykuje tę książkę
swojej córce Veronice*

*Douglas Preston dedykuje tę książkę
Forrestowi Fennowi*

PODZIĘKOWANIA

Autorzy pragną wyrazić swoje szczerze podziękowania następującym osobom za ich wsparcie przy powstawaniu tej książki: Jamiemu Raabowi, Jaime'owi Levinowi, Mitchowi Hoffmanowi, Nadine Waddell, Jonowi Couchowi, Douglasowi Marginiemu, Ericowi Simonoffowi, Claudii Rülke oraz Julii Douglas i Michaelowi Sharpowi, którzy zasugerowali nam tytuł tej powieści.

Zanim wkroczysz na drogę zemsty, wykop dwa groby.

Konfucjusz

CZĘŚĆ PIERWSZA

18:00

Kobieta o fiołkowych oczach szła powoli alejką pod drzewami w Central Parku, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie długiego płaszcza. Obok szedł jej starszy brat, a jego niespokojny wzrok niepewnie lustrował okolicę.

– Która godzina? – spytała po raz kolejny.

– Punkt szósta.

Był przyjemny listopadowy wieczór, a zachodzące słońce sprawiło, że na rozległych trawnikach płożyły się coraz dłuższe cienie. Minęli East Drive i pomnik Hansa Christiana Andersena, po czym pokonali niewielkie wzniesienie. I nagle, jak na komendę, równocześnie się zatrzymali. Przed nimi, po drugiej stronie spokojnego niewielkiego stawu znanego jako Conservatory Water stał hangar dla łodzi i przystań Kerbs Memorial, nieduża, wręcz miniaturowa, odcinająca się na tle łańcucha budynków wznoszących się wzdłuż Piątej Alei. To była scena jak z pocztówki: na powierzchni niedużego akwenu odbijało się krwistopomarańczowe niebo, modele jachtów rozcinały toń wody przy wtórze radosnych okrzyków dzieci. W prześwicie między dwoma drapaczami chmur pojawił się wschodzący księżyc w pełni.

Kobieta miała ściśnięte gardło, w ustach czuła suchość, a sznur pereł zdawał się coraz silniej oplatać wokół jej szyi.

– Judsonie – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy dam radę to zrobić.

Poczuła przybierający na sile uspokajający uścisk dłoni brata, który trzymał ją za ramię.

– Będzie dobrze.

Rozejrzała się wokoło, lustrując roztaczający się przed nią pejzaż. Serce w jej piersi biło coraz szybciej. Przy kamiennym murku otaczającym staw stał skrzypek i przeraźliwie rzępolił. Na jednej z ławeczek koło hangaru para zakochanych wymieniała czułości, najwyraźniej świata poza sobą nie widząc. A na pobliskiej ławeczce krótko ostrzyżony mężczyzna o sylwetce kulturysty pogrążył się w lekturze „Wall Street Journal”. Opodal przebiegli miłośnicy joggingu i przechodzili spacerowicze. W cieniu hangaru jakiś bezdomny bezceremonialnie szykował sobie nocleg.

Natomiast przy brzegu stawu stał on – szczupły, nieruchomy, w długim jasnym płaszczu najlepszego kroju i z jasnymi, nieomal białymi włosami, które w promieniach zachodzącego słońca wydawały się wręcz platynowe.

Kobieta nerwowo zaczerpnęła powietrza.

– Idź – rzekł półgłosem Judson. – Będę w pobliżu.

Puścił jej rękę.

Gdy postąpiła naprzód, świat wokół niej jakby zniknął, całą uwagę skupiła na mężczyźnie, który patrzył, jak ona się zbliża. Tysiące razy wyobrażała sobie tę chwilę, kreowała ją w umyśle na różne sposoby, ale zawsze na koniec triumfowało gorzkie przeświadczenie, że to się nigdy nie wydarzy, że pozostanie jedynie snem. A jednak on był tutaj. Wyglądał na starszego, ale nie za bardzo: jego alabastrowa skóra, wytworne, patrycjuszowskie rysy i błyszczące oczy, które z taką przenikliwością wpatrywały się w jej oczy, obudziły istną burzę doznań i wspomnień, a także, nawet w tej chwili okropnego zagrożenia, pożądania.

Zatrzymała się o kilka kroków od niego.

– To naprawdę ty? – zapytał, a jego głos z charakterystycznym akcentem z Południa zabrzmiał wyjątkowo ochryple.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Tak mi przykro, Aloysiusie. Tak bardzo mi przykro.

Nie odpowiedział. Teraz, po tylu latach stwierdziła, że nie jest w stanie odgadnąć, co się kryło w jego srebrzystych oczach. Co

wyrażały? Zdradę? Gniew? Miłość?

Na jego policzku widniała świeża wąska blizna. Uniosła rękę i dotknęła blizny koniuszkiem palca. I nagle odruchowo wskazała ponad jego ramieniem.

– Spójrz – wyszeptała. – Po tych wszystkich latach wciąż mamy nasze wschody księżyca.

Podążył za jej spojrzeniem ponad budynkami ciągnącymi się wzdłuż Piątej Alei. Pomiędzy masywnymi wieżowcami, na tle mieniącego się różem nieba, które stopniowo nabierało coraz ciemniejszego fioletowego odcienia, widać było żółtą tarczę księżyca w pełni. Zauważyła, że ciałem Aloysiusa wstrząsnął silny dreszcz. Kiedy znów na nią spojrzał, na jego twarzy odmalował się nowy wyraz.

– Helen – wyszeptał. – Mój Boże, myślałem, że nie żyjesz.

Bez słowa wsunęła dłoń pod jego ramię, po czym, zdawałoby się instynktownie, oboje zaczęli iść wzdłuż brzegu stawu.

– Judson mówi, że zamierzasz uwolnić mnie od... tego wszystkiego – powiedziała.

– Tak, wrócimy do mojego apartamentu w Dakocie. A stamtąd udamy się do... – Przerwał. – Im mniej o tym powiem, tym lepiej. Niech ci wystarczy, że tam, dokąd się udajemy, już niczego nie będziesz musiała się obawiać.

Mocniej ścisnęła jego ramię.

– Niczego się nie obawiać. Nie masz pojęcia, jak cudownie to brzmi.

– Już czas, abyś odzyskała swoje życie.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął złoty pierścionek z osadzonym w nim dużym gwiazdnym szafirem.

– Wobec tego zacznijmy od początku. Poznajesz?

Na jej twarzy pojawiły się rumieńce, gdy ujrzała pierścionek.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze go kiedyś zobaczę.

– A ja nigdy nie sądziłem, że będę mógł ponownie włożyć go na twój palec. Dopóki Judson nie powiedział mi, że żyjesz. Wiedziałem, po prostu wiedziałem, że on mówi prawdę, nawet kiedy nikt inny mi

nie wierzył.

Sięgnął po jej lewą rękę, a jego dłonie zadrżały delikatnie, gdy przygotowywał się, by włożyć pierścionek na jej serdeczny palec. Kiedy jednak uniósł jej ramię, znieruchomiał. Nie miała lewej dłoni. Został tylko kikut zakończony postrzępioną zygzakowatą blizną.

– Rozumiem – rzekł po prostu. – Oczywiście.

Zupełnie jakby ostrożny, dyplomatyczny taniec, w jaki się zaangażowali, nagle dobiegł końca.

– Helen – powiedział, a w jego głosie pojawiła się nuta napięcia. – Dlaczego zgodziłaś się na ten upiorny plan? Czemu tak wiele przede mną zataiłaś? Dlaczego nie spróbowałaś...

– Proszę, nie rozmawiajmy o tym – przerwała mu. – Wszystko miało swoje przyczyny. To okropna historia, naprawdę straszna. Opowiem ci ją. Opowiem ci wszystko. Ale nie teraz, nie czas na to ani nie miejsce. Proszę, włóż pierścionek na mój palec i chodźmy stąd.

Uniosła prawą rękę, a on wsunął na jej palec pierścionek. Zauważyła, że kiedy to robił, otaksował wzrokiem całą okolicę.

Nagle zeszywniał. Przez chwilę po prostu stał, trzymając rękami jej dłoń. Zaraz jednak, zachowując niezmacony spokój, odwrócił się w stronę miejsca, gdzie był jej brat, i energicznym gestem przywołał go do siebie.

– Judsonie – usłyszała jego szept. – Zabierz stąd Helen. Wyprowadź ją stąd. Zrób to spokojnie, ale jak najszybciej.

Strach, który już zaczął słabnąć, powrócił, a serce znów zakołatało w jej piersi.

– Aloysiusie, co...

Uciszył ją lekkim ruchem głowy.

– Zaprowadź ją do Dakoty – zwrócił się do Judsona. – Tam się spotkamy. Dołączę do was. Idźcie już. Proszę.

Judson ujął ją za rękę i zaczął się oddalać, zupełnie jakby się tego spodziewał.

– Co się dzieje? – zwróciła się do niego.

Nie odpowiedział.

Obejrzała się przez ramię. Ze zgrozą stwierdziła, że Pendergast wyjął pistolet i mierzył teraz do jednego z modelarzy nad brzegiem stawu.

– Wstań – mówił do niego. – Tylko powoli. I trzymaj ręce tak, żebym je widział.

– Judsonie – odezwała się znowu.

W odpowiedzi brat tylko przyspieszył kroku, pociągając ją za sobą. Nagle za nimi huknął strzał.

– Uciekajcie! – zawołał Pendergast.

W mgnieniu oka wokół nich rozpętało się istne pandemonium. Ludzie rozbiegli się z krzykiem we wszystkie strony. Judson pociągnął ją mocniej i zaczęli biec.

Rozległ się terkot broni maszynowej. Silne szarpnięcie rozdzieliło ją i Judsona, który puścił jej rękę i nagle upadł. W pierwszej chwili myślała, że się potknął. A potem ujrzała krew buchającą z jego kurtki.

– Judsonie! – zawołała, zatrzymując się i pochylając nad nim.

Leżał na boku, patrząc na nią i krzywiąc się z bólu, jego usta poruszały się, gdy próbował coś powiedzieć.

– Nie zatrzymuj się – wykrztusił w końcu. – Bieg...

Znów dał się słyszeć oschły terkot broni maszynowej, grad kul wrył się w ziemię, szatkując ze świstem trawę obok niej, i Judson ponownie został trafiony, a impet uderzenia przewrócił go na plecy.

– Nie! – krzyknęła Helen, odskakując instynktownie do tyłu.

Chaos narastał: krzyki, odgłosy strzałów, tupot kroków uciekających ludzi. Helen zdawała się tego wszystkiego nie zauważać. Upadła na kolana, wpatrując się ze zgrozą w otwarte, lecz niewidzące już oczy brata.

– Judsonie! – zawołała. – Judsonie!

Mogło minąć kilka sekund lub więcej, nie wiedziała ile, gdy nagle usłyszała Pendergasta nawołującego ją po imieniu. Uniosła wzrok. Biegł w jej stronę z pistoletem w ręku, strzelając w bok.

– Piąta Aleja! – zawołał. – Kieruj się w stronę Piątej Alei!

Znów huknął strzał i Pendergast także upadł na ziemię. Ten drugi

wstrząs sprawił, że Helen ocknęła się z chwilowego odrętwienia. Poderwała się na nogi; jej płaszcz był cały utyłany we krwi brata. Aloysius żył, zdołał się podnieść z ziemi i ukrył za ławeczką. Raz po raz strzelał do dwójki zamachowców, która jeszcze przed chwilą zachowywała się jak para zakochanych.

Ostania moją ucieczkę.

Obróciła się na pięcie i zaczęła biec coraz szybciej. Dotrze do Piątej Alei, w tłumie zgubi ścigających go zamachowców, potem dostanie się do Dakoty, a tam spotka się z nim... Gonitwę myśli w jej głowie przerwała kolejna kanonada strzałów i rozdzierające krzyki ogarniętych paniką ludzi.

Biegła niezmordowanie. Przed sobą miała aleję rozciągającą się tuż za kamienną bramą parku. Jeszcze tylko piętnaście metrów...

– Helen! – usłyszała dobiegające z oddali wołanie Pendergasta. – Uwważaj! Po lewej!

Obejrzała się w lewo. W ciemnościach przy bramie dostrzegła dwóch mężczyzn w dresach biegnących w jej kierunku.

Skręciła w bok, w stronę jaworowego zagajnika, opodal głównej ścieżki. Znowu obejrzała się przez ramię. Biegacze podążali za nią i bardzo szybko się zbliżali.

Ponownie rozległy się strzały. Przyspieszyła jeszcze bardziej, ale obcasy jej szpilek zagłębiały się w miękkiej glebie, spowalniając bieg. Wtem poczuła potwornie silne uderzenie w plecy i została powalona na ziemię. Ktoś schwycił ją za kołnierz płaszcza i brutalnie podźwignął na nogi. Próbowwała się wyrwać, krzyczeć, ale dwaj mężczyźni schwycili ją mocno za ręce i zaczęli wlec w stronę alei. Z przerażeniem rozpoznała ich twarze.

– Aloysiusie! – zawołała na całe gardło, oglądając się przez ramię. – Pomocy! Ja znam tych ludzi! Der Bund – Przymierze! Oni mnie zabiją! Pomóż mi, błagam!

W słabnym świetle zdołała jeszcze dostrzec Pendergasta. Podźwignął się na nogi, krwawiąc z rany postrzałowej, i kuśtykał w jej stronę na zdrowej nodze. Nieopodal, przy Piątej Alei, u wejścia do parku, stała taksówka. Miała włączony silnik. Czekala na Helen

i na jej porywaczy.

– Aloysiusie! – zawołała raz jeszcze z rozpaczą w głosie.

Mężczyźni pociągnęli ją naprzód, otworzyli tylne drzwiczki taksówki i wepchnęli Helen do środka. Kule zrykoszetowały od kuloodpornej przedniej szyby samochodu.

– *Los! Verschwinden wir hier!* – zawołał jeden z biegaczy, gdy wgramolił się do samochodu. – *Gib Gas!*

6 GODZIN PÓŹNIEJ

Doktor w wymiętym kitlu zajrzał do poczekalni oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala Lenox Hill.

– Jest przytomny, gdyby chciał pan z nim pomówić.

– Dzięki Bogu.

Porucznik Vincent D'Agosta z policji nowojorskiej włożył notes, który przed chwilą przeglądał, do kieszeni i wstał.

– Co z nim?

– Żadnych komplikacji. – Na twarzy lekarza pojawił się wyraz lekkiego rozdrażnienia. – Choć lekarze zawsze są najgorszymi pacjentami.

– Ale on przecież nie jest... – zaczął D'Agosta, ale zaraz zamilkł.

W ślad za lekarzem wszedł na oddział intensywnej opieki medycznej.

Agent specjalny Pendergast siedział na łóżku podłączony do kilku urządzeń monitorujących. W ramieniu miał igłę kroplówki, a w nozdrzach kaniulę nosową. Na jego pościeli wały się karty medyczne, w ręce trzymał zdjęcie rentgenowskie. Choć agent FBI zawsze był bardzo blady, teraz jego skóra wyglądała jak porcelana. Nad łóżkiem pochylił się lekarz prowadzący ożywioną rozmowę z pacjentem. D'Agosta prawie nie słyszał odpowiedzi Pendergasta, ale nie ulegało wątpliwości, że dwaj mężczyźni nie bardzo się ze sobą zgadzają.

– To absolutnie wykluczone – powiedział lekarz, gdy D'Agosta podszedł do łóżka. – Wciąż jest pan w szoku po postrzale i utracie krwi, a rana, nie mówiąc o dwóch stłuczonych żebrach, wymaga

zagojenia i stałego nadzoru lekarskiego.

– Doktorze – odparł Pendergast. Zazwyczaj zachowywał się jak uosobienie południowej szlachetności, ale teraz jego głos zabrzmiał niczym grzechot okruchów lodu bębniących o żelazną płytę. – Kula tylko musnęła mięsień brzuchaty. Ani kość piszczelowa, ani strzałkowa nie zostały uszkodzone. Rana była czysta, operacja nie była konieczna.

– Ale utrata krwi...

– Tak – przerwał Pendergast. – Utrata krwi. Ile jednostek mi podano?

Chwila ciszy.

– Jedną.

– Tylko jedną jednostkę. Z uwagi na niewielkie uszkodzenie odgałęzień żyły Giacominię. Drobnostka. – Pomachał zdjęciem rentgenowskim jak flagą. – Jeżeli chodzi o żebra, sam pan powiedział, że są stłuczone, a nie złamane. Żebra prawdziwe piąte i szóste, u ich zwieńczenia, około dwóch milimetrów od kręgosłupa. Ponieważ to żebra prawdziwe, ich elastyczność powinna dopomóc w szybkiej rekonwalescencji.

Lekarz się skrzywił.

– Doktorze Pendergast, po prostu nie mogę pozwolić na to, aby w takim stanie opuścił pan szpital. Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć...

– Wręcz przeciwnie, doktorze. Nie może pan temu zapobiec. Moje wyniki są jak najbardziej w normie. Odniosłem jedynie drobne obrażenia i sam mogę się nimi zająć.

– W karcie zapiszę, że opuszcza pan szpital wbrew mojemu wyraźnemu zaleceniu.

– Doskonale. – Pendergast rzucił zdjęcie rentgenowskie jak kartę dań na blat pobliskiego stolika. – A teraz, jeżeli mógłbym przeprosić?

Lekarz jeszcze raz spojrział z rozdrażnieniem na Pendergasta, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju wraz z lekarzem, który wpuścił tutaj D'Agostę.

Pendergast odwrócił się do porucznika, jakby ujrzał go po raz

pierwszy.

– Vincencie.

D’Agosta czym prędzej podszedł do jego łóżka.

– Pendergast. Mój Boże. Tak mi przykro...

– Dlaczego nie jesteś z Constance?

– Jest bezpieczna. W Mount Mercy podwojono procedury bezpieczeństwa. Musiałem... – Przerwał na chwilę, aby zapanować nad swoim głosem. – Musiałem sprawdzić, co u ciebie.

– Wiele hałasu o nic, dziękuję.

Agent wyjął kaniulę nosową, wysunął igłę kroplówki z żyły w zgięciu łokcia, po czym pozbył się rękawa ciśnieniomierza i pulsoksymetru. Odgarnął koc i usiadł. Ruchy miał powolne, zachowywał się niemal jak robot. D’Agosta widział wyraźnie, że Pendergast funkcjonuje jedynie dzięki niezłomnej, nadludzkiej sile woli.

– Mam nadzieję, że tak naprawdę wcale nie zamierzasz stąd wyjść.

Pendergast odwrócił się, by znów na niego spojrzeć, a ogień gorejący w jego oczach, choć reszta twarzy wyglądała zupełnie jak martwa, sprawił, że D’Agosta w jednej chwili zamilkł.

– Co z Proctorem? – zapytał Pendergast, zwieszając nogi z łóżka.

– Mówią, że z nim w porządku. Stosunkowo. Ma parę złamanych żeber. To skutek odniesionego postrzału, chociaż miał na sobie kamizelkę kuloodporną.

– A Judson?

D’Agosta pokręcił głową.

– Przynieś mi moje ubranie – rzekł Pendergast, wskazując ruchem głowy w stronę szafy.

D’Agosta zawahał się, ale uznał, że nawet gdyby usiłował zaprotestować, nic by to nie dało, i podał agentowi jego rzeczy. Pendergast skrzywił się i wstał, prawie niedostrzegalnie się zachwiał, jednak odzyskał równowagę. Porucznik podał mu ubranie i zaciągnął parawan.

– Domyślasz się, co, do cholery, wydarzyło się w parku? – rzucił D’Agosta w stronę parawanu. – Trąbią o tym w wiadomościach. Pięć

osób nie żyje. Wydział zabójstw szaleje.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia.

– Wybacz, ale nie wyjdiesz stąd, dopóki nie powiesz mi, co się tam stało.

D’Agosta wyjął notes.

– Dobrze. Będę rozmawiał z tobą tyle, ile zajmie mi ubranie się. A potem stąd wychodzę.

D’Agosta wzruszył ramionami. Nie zamierzał odpuścić, choćby nawet takiej okazji.

– To było bardzo starannie, naprawdę wyjątkowo starannie zaplanowane uprowadzenie. Zabili Judsona i porwali moją żonę.

– Oni, czyli kto?

– Tajemnicza organizacja nazistów albo grupa potomków nazistów zwana Der Bund.

– Naziści? Jezu, ale dlaczego?

– Motywy ich działania nie są mi znane.

– Potrzebuję szczegółów dotyczących tego, co się dokładnie wydarzyło.

Zza parawanu rozległ się głos Pendergasta:

– Poszedłem, aby spotkać się z Judsonem i Helen przy hangarze dla łodzi. Zamierzałem wywieźć Helen i ukryć ją przed tą grupą. Zjawiała się na miejscu punktualnie o szóstej, jak było ustalone. Szybko jednak zorientowałem się, że to zasadzka. Jeden z modelarzy zachowywał się podejrzanie. Nie znał się na łodziach i był zdenerwowany, pocił się mimo chłodu. Wyjąłem pistolet, wycelowałem w niego i kazałem mu wstać. I wtedy się zaczęło. To tylko przyspieszyło rozwój wypadków.

D’Agosta sporządzał notatki.

– Ile osób brało w tym udział?

Chwila przerwy.

– Co najmniej siedem. Modelarz. Para zakochanych siedząca na ławeczce – to oni zabili Judsona. Fałszywy bezdomny, który postrzelił Proctora. Wasi eksperci od badania miejsc zbrodni na pewno przeprowadzą rekonstrukcję sekwencji wymiany ognia. Było

jeszcze ze trzech innych ludzi: dwóch biegaczy, którzy porwali Helen, kiedy próbowała uciec, i kierowca fałszywej taksówki, do której ją wepchnęli.

Pendergast wyłonił się zza parawanu. Jego zazwyczaj nieskazitelny garnitur prezentował się fatalnie: marynarkę pokrywały plamy z trawy, a dolna część jednej z nogawek była rozerwana i oblepiona warstewką zaschniętej krwi. Agent spojrzał na porucznika, poprawiając krawat.

– Do zobaczenia, Vincencie.

– Zaczekaj. Jak, u licha, ten... ten... Bund dowiedział się o waszym spotkaniu?

– Doskonale pytanie.

Pendergast sięgnął po metalową laskę i odwrócił się, by wyjść. D'Agosta schwycił go za ramię.

– To szaleństwo, abyś wychodził stąd w tym stanie. Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

– Tak. – Pendergast wyłuskał z dłoni D'Agosty notes i pióro, otworzył notatnik i pospiesznie coś napisał. – To numer z tablicy rejestracyjnej taksówki, którą wywieziono Helen. Udało mi się zapamiętać cały z wyjątkiem dwóch ostatnich cyfr. Wykorzystaj swoich ludzi, niech postarają się odnaleźć samochód. Zapisałem też numer ewidencyjny taksówki, ale sądzę, że to nic nie da.

D'Agosta odebrał od niego notes.

– Zajmę się tym.

– Dopilnuj, aby wystawiono za Helen list gończy. To może być skomplikowane, jako że ona oficjalnie nie żyje, ale zrób to tak czy inaczej. Dostarczę ci jej zdjęcie, co prawda sprzed piętnastu lat, ale nie wątpię, że wasi technicy komputerowi zdołają je odpowiednio postarzyć.

– Coś jeszcze?

Pendergast pokręcił głową przecząco krótkim zdecydowanym ruchem.

– Po prostu znajdź ten samochód.

Wyszedł z pokoju i pokuśtykał w głąb korytarza, z każdą chwilą

coraz bardziej przyspieszając kroku.

22 GODZINY PÓŹNIEJ

Jadąc z Newark na zachód, D'Agosta czuł się, jakby się cofnął w czasie do dni, kiedy był zwykłym mundurowym policjantem z 41. posterunku w starym południowym Bronksie. Podupadające sklepiki, niszczone budynki, obskurne ulice, wszystko to bez wyjątku składało się na wspomnienie dawnych niechlubnych czasów. Prowadził samochód, podczas gdy widoki za szybą stawały się coraz bardziej ponure. Niebawem dotarł do jądra ciemności: tu, w samym środku najgęściej zaludnionego megalopolis w Stanach, całe ulice były wyludnione, a budynki wyglądały jak opustoszałe rudery, wypalone zgliszcza albo sterty gruzów. Zatrzymał się przy rogu i wysiadł, poprawiając kaburę tak, by w razie potrzeby mógł szybko wyjąć z niej służbowy pistolet. I wtedy ujrzał wśród tych wszystkich ruin budynek wznoszący się niczym samotny kwiat na parkingu – ze śnieżnobiałymi filarami, geranium i jasno pomalowanymi okiennicami: oazę nadziei pośród miejskiego pustkowia. Wziął głęboki oddech. Południowy Bronx jakoś się pozbierał, ta okolica też da sobie radę.

Przeszedł przez chodnik i ruszył szybkim krokiem przez pustą parcelę, odkopując na boki leżące na drodze cegły. Pendergast dotarł tu przed nim; D'Agosta spostrzegł agenta stojącego na drugim końcu parceli, obok spalonych szczątków taksówki, rozmawiającego z mundurowym funkcjonariuszem policji i niewielką grupą ekspertów od badania miejsc przestępstwa. Rolls-royce Pendergasta zaparkowany na rogu w tej ubogiej dzielnicy szczególnie wyraźnie rzucał się w oczy. Agent lekko skinął głową do porucznika, kiedy ten

podszedł do niego. Pomijając upiorną bladość, agent FBI wyglądał niemal tak samo jak zwykle. W świetle późnego popołudnia jego nieodłączny czarny garnitur wydawał się czysty i odprasowany, koszula była śnieżnobiała. Niewygodną aluminiową laskę wymienił na hebanową z rzeźbioną srebrną gałką.

– Natknąłem się na nią czterdzieści pięć minut temu – wyjaśnił Pendergastowi policjant. – Ścigałem jakiegoś dwunastolatka, który kradł druty miedziane. – Pokręcił głową – I nagle zobaczyłem tę nowojorską taksówkę. Numery z tablic pasowały do tych z poszukiwanego pojazdu, więc to zgłosiłem.

D’Agosta przeniósł wzrok na taksówkę. Została z niej już tylko sama karoseria: maska zniknęła, silnik rozebrano, siedzenia wyjęto, tablica rozdzielcza była osmalona i częściowo stopiona, kierownicę złamano na pół. Zza zdezelowanego pojazdu wyłonił się szef ekipy techników.

– Zanim jeszcze dobrali się do niego wandalę, i tak niewiele dałoby się pozyskać z niej materiałów dowodowych – rzekł, zdejmując lateksowe rękawiczki. – Żadnych papierów ani dokumentów. Pojazd został starannie odkurzony i umyty, wszystkie odciski palców skrzętnie usunięto. Użyto wyjątkowo ostrego przyśpieszacza. Tym, co sprawcy mogli przeoczyć, zajął się ogień.

– A co z numerem identyfikacyjnym pojazdu? – zapytał D’Agosta.

– Mamy go. Samochód został skradziony. Niewiele nam to daje. – Mężczyzna przerwał. – Przewieziemy ten złom do magazynu na bardziej gruntowny przegląd, ale wygląda mi to na robotę zawodowców, którzy wiedzieli, jak po sobie posprzątać. Tak działa zorganizowana przestępczość.

Pendergast przysłuchiwał się temu wszystkiemu bez słowa. Choć agent zastygł w kompletnym bezruchu, D’Agosta czuł emanującą z niego aurę desperacji i niepohamowaną żądzę czynu. Nagle agent wyjął z kieszeni marynarki lateksowe rękawiczki, nałożył je, po czym zbliżył się do pojazdu. Przykucnął obok samochodu i krzywiąc się przez moment z bólu, obszedł wrak raz i drugi, przesuwając długimi smukłymi palcami po spalonej karoserii, a jego błyszczące

oczy chłoneły wszystko. Pozostali patrzyli w milczeniu, kiedy zaglądał do silnika, bagażnika i do wnętrza, z przodu i z tyłu. Kiedy rozpoczął trzecie okrążenie, wyjął z kieszeni kilka małych, szczelnie zamykanych torebek i pojemniczków na materiały dowodowe oraz skalpel. Uklęknął przy przednim błotniku, a na jego twarzy przez moment pojawił się grymas bólu, po czym skalpelem zebrał do jednej z torebek kilka próbek zaschniętego błota, zamknął starannie torebkę i schował do kieszeni. Wstał i dokończył trzecie okrążenie, poruszając się o wiele wolniej niż dotychczas. Przystanął przy prawej tylnej oponie, ponownie uklęknął i tym razem niedużą pęsetą wyłuskał z bieżnika kilka małych kamyków, które umieścił w drugiej torebce foliowej. Ta również błyskawicznie zniknęła w jego kieszeni.

– Ale... ee... to materiały dowodowe – zaczął tłumaczyć policjant.

Pendergast podniósł się i odwrócił w stronę funkcjonariusza. Nic nie powiedział, ale pod wpływem siły wzroku agenta FBI policjant cofnął się o krok.

– Jasne. Proszę nas powiadomić o wynikach analizy – powiedział policjant.

Pendergast wciąż świdrował funkcjonariusza wzrokiem. Powiódł spojrzeniem po twarzach członków ekipy techników, aż w końcu zatrzymał wzrok na D’Agoście. Było coś oskarżycielskiego w jego spojrzeniu, jakby uważał ich za winnych bliżej nieokreślonego wykroczenia. Wreszcie odwrócił się i zaczął iść w stronę rolls-royce’a, lekko kuśtykając i wspierając się na lasce. D’Agosta pospieszył za nim.

– Co teraz?

Pendergast nie zatrzymał się.

– Zamierzam odnaleźć Helen.

– Czy będziesz... działał oficjalnie?

– Nie przejmuj się statusem moich działań.

Lodowaty ton agenta wprowadził D’Agostę w konsternację.

– Kontynuuj śledztwo w oficjalnej sprawie zabójstwa i uprowadzenia. Jeżeli odkryjesz coś ciekawego, niezwłocznie mnie

o tym powiadam. Ale pamiętaj o jednym: to moja walka. Nie twoja.

Kiedy D'Agosta przystanął, Pendergast się odwrócił, położył dłoń na jego ramieniu i łagodniejszym głosem powiedział:

– Twoje miejsce jest tutaj, Vincencie. To, co mam do zrobienia, muszę załatwić w pojedynkę.

D'Agosta pokiwał głową. Pendergast znów się odwrócił i otworzył drzwiczki limuzyny, równocześnie unosząc do ucha telefon komórkowy. Kiedy drzwiczki się zamknęły, D'Agosta usłyszał, jak agent rzucił do telefonu:

– Mimie? I jak? Masz coś dla mnie? Cokolwiek?

26 GODZIN PÓŹNIEJ

Horace Allerton szykował się do swojej ulubionej czynności – przyjemnego wieczoru uświetnionego filiżanką kawy i lekturą dobrego czasopisma naukowego, gdy ni stąd, ni zowąd ktoś zapukał do frontowych drzwi jego eleganckiego bungalowu w Lawrenceville.

Odstawił filiżankę i marszcząc brwi, spojrział na zegarek. Kwadrans po ósmej – za późno na wizytę przyjaciela. Sięgnął po czasopismo zatytułowane „Stratygrafia dziś” i otworzył je z cichym, pełnym zadowolenia westchnieniem.

Pukanie powtórzyło się, bardziej natarczywie.

Allerton uniósł wzrok znad lektury i popatrzył w stronę drzwi. Może to świadkowie Jehowy albo te denerwujące dzieciaki krążące od domu do domu i sprzedające subskrypcję na czasopisma. Wystarczy je zignorować, to sobie pójdą.

Właśnie zaczął czytać główny artykuł „Mechaniczna analiza stratygraficzna rozkładu warstw osadowych” – co zapowiadało się na ciekawy temat – kiedy nagle doznał największego szoku w swoim życiu. Pośrodku salonu stał mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze i z twarzą białą jak u Draculi.

– Co to ma znaczyć, u licha? – zawołał Allerton, podrywając się z miejsca.

– Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze.

Odznaka i legitymacja pojawiły się znikąd tuż przed twarzą Allertona.

– Jak pan tu wszedł? Czego pan chce?

– Doktor Horace Allerton, geolog? – zapytał agent.

Głos miał spokojny, ale dało się w nim wyczuć groźną nutę.

Gospodarz domu pokiwał głową i przełknął ślinę.

Pendergast bez słowa podszedł do krzesła, a Allerton zwrócił uwagę, że agent utyka i podpira się na lasce zwieńczonej srebrną, ozdobną gałką. Geolog usiadł niepewnie w swoim fotelu.

– O co właściwie chodzi?

– Doktorze Allerton – zaczął agent FBI, sadowiac się na krześle. – Przychodę do pana po pomoc. Słynie pan z ekspertyz w dziedzinie analizy składu gleby. Moją uwagę zwróciła szczególnie pańska wiedza na temat osadów glacialnych.

– No i?

Agent sięgnął do kieszeni, by wyjąć z niej dwie małe torebki foliowe. Położył je na stoliku do kawy.

Allerton zawahał się, po czym wychylił się do przodu, aby je obejrzeć. W jednej znajdowała się próbka gliny łyszczkowej zmieszanej z glebą, druga zawierała małe pogruchotane kawałki porfirowego granitu.

– Chodzi mi o mapę rozmieszczenia pokładów gliny takiej jak ta z próbki numer jeden.

Allerton wolno pokiwał głową.

– Kamyki z próbki numer dwa są dziełem kruszarki do żwiru, zgadza się?

Geolog otworzył torebkę i wysypał kamyki na dłoń. Były szorstkie, ostre, z krawędziami niewygladzonymi przez czas, warunki pogodowe czy abrazję glacialną.

– W rzeczy samej – potwierdził.

– Chcę wiedzieć, skąd pochodzą.

Allerton przeniósł wzrok z jednej torebki na drugą.

– Dlaczego zjawia się pan u mnie o tak późnej porze i w dodatku podstępem zakrada się do mojego domu? Powinien pan umówić się na spotkanie w moim gabinecie w Princeton.

Wyglądające jak wykute z kamienia oblicze agenta FBI przeszył nagle lekki dreszcz.

– Gdyby chodziło o zwyczajne służbowe zlecenie, doktorze, nie

zawracałbym panu głowy o tak późnej porze. Ale w grę wchodzi życie kobiety.

Allerton odłożył torebki obok filiżanki z kawą.

– Jakie konkretnie ramy czasowe ma pan na myśli?

– Wiem, że ma pan w piwnicy swojego domu niewielkie, ale dobrze wyposażone laboratorium mineralogiczne.

– I chciałby pan, żebym przeprowadził analizę tych próbek już teraz? – zapytał Allerton.

W odpowiedzi Pendergast rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Ale to może potrwać wiele godzin! – zaprotestował geolog.

Pendergast tylko przyglądał mu się z niewzruszonym spokojem. Allerton spojrział na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Pomyślał o czasopiśmie i artykule, który tak bardzo chciał przeczytać. A potem znowu popatrzył na agenta FBI siedzącego naprzeciw niego. Pod jasnoszarymi oczami mężczyzny widać było ciemne sińce, jakby agent już od dawna nie sypiał. Jedno spojrzenie w te srebrzyste oczy przepełniło go głębokim niepokojem.

– Może gdyby zechciał pan wyjaśnić mi, po co są panu potrzebne te analizy...

– Wyjaśnię. Zostały pobrane z auta, które najwyraźniej przez pewien czas poruszało się po drodze wysypanej tłuczniem i pokrytej błotnistą, gliniastą glebą. Muszę odnaleźć to miejsce.

Allerton pozbił próbki i wstał.

– Proszę tu zaczekać – powiedział i jakby po namyśle, zanim zszedł do piwnicy, zabrał filiżankę z kawą.

30 GODZIN PÓŹNIEJ

Północ. Pendergast siedział w swoim rolls-roysie przed domem doktora Allertona. Silnik limuzyny był włączony i pracował na jałowym biegu.

Agentowi się poszczęściło: ten szczególny rodzaj granitu występował tylko w jednym rejonie, gdzie znajdował się również kamieniołom, skąd go wydobywano. Ten kamieniołom był własnością firmy Reliance Sand and Gravel Company z siedzibą pod Ramapo w stanie Nowy Jork. Wydobywała żwir z kamieniołomu na wielką skalę, zaopatrując w tłuczeń sporą część hrabstwa Rockland. Pendergast sprawdził w laptopie stronę internetową Reliance. W przybliżeniu ustalił granice zasięgu działalności klientów firmy i skrzętnie nakreślił je na mapie hrabstwa Rockland.

Następnie skupił się na dokonanej przez Allertona analizie błota. Zawierało dużą ilość zwietrzałych łyszczyków haloizytowych, na szczęście rzadko spotykanych w tym regionie, choć, jak stwierdził geolog, występujących znacznie częściej w prowincji Quebec i północnym Vermoncie. Allerton dał Pendergastowi mapę z wyszczególnionymi obszarami występowania tych gleb, skopiowaną ze strony internetowej branżowego dziennika geologicznego.

Agent porównał to z zaznaczonym obszarem występowania konkretnej odmiany żwiru. Przecinały się tylko w jednym miejscu, mniej więcej na powierzchni niecałych dwóch kilometrów kwadratowych na północny wschód od Ramapo. Pendergast otworzył w laptopie Google Earth i ustalił koordynaty tego obszaru.

Wybierając maksymalne zbliżenie w oferowanym przez stronę programie, zlustrował interesujące go terytorium. W większości gęsto zalesione, obejmowało pogranicze parku stanowego Harrimana. Kolejną część zajmowało podmiejskie osiedle, ale powstałe całkiem niedawno i wszystkie tamtejsze ulice oraz podjazdy wyglądały na starannie wyasfaltowane. W okolicy było wiele niewyasfaltowanych dróg i pojedynczych domów, jak również kilka farm, ale nigdzie nie dostrzegł miejsc, które byłyby wyłożone tłuczniem. Wreszcie zauważył budowlę, która wyglądała obiecująco: duży, stojący na uboczu magazyn. Prowadził do niego długi podjazd, niewielki przylegający z boku parking miał cętkowany jasny odcień, na tyle zróżnicowany, że pozwalał przypuszczać, iż teren był wysypany żwirem.

Pendergast wyłączył komputer, schował go i ruszył z piskiem opon, kierując limuzynę w stronę New Jersey Turnpike.

Półtorej godziny później zaparkował rollsa na poboczu drogi, niecały kilometr od spalarni śmieci Rockland, przy skraju leśnego zagajnika, nieopodal magazynu. Przez prześwit pomiędzy pozbawionymi liści drzewami rysujący się blado w świetle księżyca mógł dostrzec budynek, nad którego bramą z masywnej blachy falistej paliła się lampa. Nikt nie wchodził do środka ani stamtąd nie wychodził; magazyn wyglądał na opuszczony.

Sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu ołówkową latarkę, ale jej nie włączył, po czym wyslizgnął się z limuzyny i poruszając się bezszelestnie, klucząc pomiędzy drzewami, zbliżył się do budowli. Okrążył ją ostrożnie. Jedyne okno było zamalowane na czarno.

Pendergast zapalił latarkę i uklęknął, krzywiąc się z bólu. Wyjął z kieszeni próbkę żwiru i przyświecając sobie latarką, porównał ją ze żwirem, którym wysypano podjazd. Identyczny. Pobrał na palec odrobinę błota spod cienkiej warstwy tłucznia i roztarł lepką, wilgotną maź między kciukiem a palcem wskazującym. Tu też zgodność była całkowita.

Agent przemknął przez otwartą przestrzeń wokół magazynu,

przyłgnął całym ciałem do ściany z blachy falistej, po czym nisko pochylony skierował się w stronę frontowej części budynku. Z zewnątrz magazyn wyglądał na zapuszczony, nieużywany, pozbawiony jakichkolwiek oznakowań. Jednak jak na taką rudere kłódka na jedynych drzwiach wyglądała na nową i dość drogą.

Pendergast zważył kłódkę w jednej ręce, a drugą przesunął po niej niemal pieścizotliwym gestem. Kłódka nie poddała się od razu, ustąpiła dopiero po potraktowaniu jej niewielkim śrubokrętem i kluczem uderzeniowym. Wyjął ją z uchwytu, trzymając w gotowości broń, i uchylił drzwi na tyle, by zajrzeć do wnętrza. Ciemność i cisza. Uchylił drzwi nieco szerzej, wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą.

Przez pięć minut prawie w ogóle się nie poruszył, jedynie omiatał promieniem latarki podłogę, ściany i sufit. Magazyn był niemal całkiem pusty, z podłogą z betonu, metalowymi ścianami i pustymi regałami ciągnącymi się wzdłuż ścian. Wydawało się, że nie znajdzie tu więcej informacji niż po obejrzeniu spalonej taksówki.

Powoli zaczął obchodzić wnętrze magazynu, przystając raz po raz, by zbadać coś, co zwróciło jego uwagę. Tu pobrał próbkę, tam zrobił zdjęcie; zapełnił torebki foliowe prawie niewidocznymi materiałami dowodowymi. Choć magazyn zdawał się kompletnie pusty, pod czujnym okiem agenta z drobnych elementów zaczęła się tworzyć opowieść, niemniej przypominała upiorny palimpsest.

Po godzinie Pendergast wrócił do zamkniętych drzwi magazynu. Uklęknął i rozłożył przed sobą kilkanaście małych zamkniętych torebek foliowych zawierających szczątkowe materiały dowodowe: opiłki metalu, okruch szkła, próbkę oleju z plamy na betonie, płatek zaschniętego lakieru, ułamany kawałek plastiku. Agent uważnie przyglądał się tym drobnym elementom, pozwalając, by na ich podstawie w jego myślach ukształtował się mentalny obraz.

Magazyn był niegdyś używany jako park maszynowy. Plamy oleju na podłodze świadczyły o tym, kiedyś z tego budynku korzystano znacznie częściej. Ostatnio jednak przechowywano tu tylko dwa pojazdy. Jednym z nich, sądząc po słabych śladach bieżnika na

betonowym podłożu opon Goodyear o wymiarach 215/75-16, musiał być ford escape, który posłużył za fałszywą taksówkę. Rozpryski żółtego lakieru na ścianie i jego pozostałości na kawałku drewna porzuconym w rogu pomieszczenia wskazywały, że tutaj ford został przerobiony na charakterystyczną żółtą nowojorską taksówkę, tu go przemalowano i założono lipne tablice oraz nadano fałszywy numer ewidencyjny.

Drugi pojazd był trudniejszy do zidentyfikowania. Ślady bieżnika były szersze niż forda i pochodziły prawdopodobnie z opon Michelin. Równie dobrze mogły należeć do któregoś z potężnych, ekskluzywnych europejskich sedanów, jak audi A8 albo BMW 750. Po wewnętrznej stronie drzwi pozostały prawie niewidoczne ślady zdartego lakieru. Pendergast pieczołowicie przeniósł je do kolejnej torebki foliowej, używając niedużej pęsety. To był lakier samochodowy, metalik, w dość rzadkim ciemnobrązowym odcieniu.

I właśnie wtedy, gdy przyglądał się smugom lakieru, w wąskiej rynnie przesuwanych drzwi dostrzegł maleńką perłę słodkowodną.

Serce nieomal zamarło mu w piersi.

Po chwili, kiedy odzyskał panowanie nad sobą, pęsetą podniósł perłę i przyjrzał się jej. Oczami duszy był w stanie odtworzyć wydarzenia sprzed wielu godzin, kiedy taksówka tu wróciła. Znajdowały się w niej cztery osoby – kierowca, dwóch mężczyzn w dresach i przymuszona do tego ich towarzyszka podróży, Helen. Tu siłą przesadzono ją do zagranicznego brązowego auta. Gdy szykowali się do odjazdu, doszło do szamotaniny: Helen próbowała uciec, udało jej się otworzyć gwałtownie drzwiczki samochodu – stąd ślad lakieru na drzwiach magazynu – i kiedy porywacze ją obezwładnili, rozerwali jej naszyjnik, a drobne perełki rozsypały się w tylnej części pojazdu, a także, co nie ulegało wątpliwości, na podłogę w magazynie. Na pewno nie obyło się bez przekleństw, a może nawet kary, a potem jeszcze trzeba było pospiesznie pozbierać turlające się po betonie perełki.

Pendergast spojrział na maleńki lśniący paciorek pomiędzy końcówkami pęsety. Ten jeden, jedyny przeoczyli.

Kiedy Helen została wreszcie umieszczona w drugim aucie, pojazdy się rozjechały w różnych kierunkach, fałszywa taksówka trafiła do New Jersey, gdzie ją spalono, a brązowy wóz...?

Pendergast trwał w zamyśleniu jeszcze przez kolejnych dziesięć minut. W końcu podniósł się sztywno z klęczek, wyszedł z magazynu, zamknął drzwi na kłódkę i bezszelestnie wrócił do rolls-royce'a.

37 GODZIN PÓŹNIEJ

Thomas Purview był zawsze tak wymagający, że zjawiał się w kancelarii prawniczej dokładnie o siódmej, jednak tego ranka ktoś okazał się punktualniejszy od niego, bo w biurze kancelarii czekał jakiś mężczyzna. Sprawiał wrażenie osoby, która dopiero co przysłała i właśnie próbuje sforsować drzwi do jego gabinetu, ale prawnik wiedział, że tamtemu się to nie uda. Gdy wszedł, mężczyzna odwrócił się i pokuśtykał w jego stronę, trzymając w jednej ręce laskę, a drugą dłoń wyciągając ku niemu na powitanie.

– Dzień dobry – powiedział Purview, ściskając dłoń mężczyzny.

– To się okaże – odrzekł nieznajomy z silnym akcentem z Południa.

Był szczupły, albo raczej chudy jak tyka, i nie odpowiedział na zawodowy uśmiech prawnika. Purview szczyił się umiejętnością rozszyfrowania powodów trosk malujących się na twarzach jego klientów, ale oblicze tego mężczyzny pozostawało nieodgadnione.

– Przyszedł pan spotkać się ze mną? – zapytał. – Zazwyczaj trzeba się umówić na konkretny dzień i godzinę.

– Nie byłem umówiony, ale to pilna sprawa.

Purview pohamował uśmiech cisnący mu się na usta. Nigdy jeszcze nie spotkał klienta, którego przypadek nie byłby naglący.

– Zapraszam do gabinetu. Napije się pan kawy? Carol jeszcze nie ma, ale zaparzenie kawy zajmie mi minutę.

– Dziękuję, to nie będzie konieczne.

Mężczyzna wszedł do środka, otaksowując uważnym spojrzeniem regały pełne książek i szafki z aktami.

– Proszę spocząć.

Zwykle między siódmą a ósmą rano Purview oddawał się lekturze „Wall Street Journal”, nie zamierzał jednak odprawić z kwitkiem potencjalnego dzianego klienta, zwłaszcza teraz, w czasie recesji.

Mężczyzna zajął miejsce w jednym z kilku wygodnych foteli stojących w przestronnym gabinecie, podczas gdy prawnik usadowił się za biurkiem.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał Purview.

– Poszukuję informacji.

– Jakiego rodzaju informacji?

Mężczyzna jakby nagle coś sobie przypomniał.

– Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się. Agent specjalny Aloysius Pendergast, Federalne Biuro Śledcze.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął legitymację i położył na biurku prawnika. Purview spojrział na legitymację, ale nawet jej nie dotknął.

– Czy przychodzi pan tu w oficjalnej sprawie, agencji Pendergast?

– Przychodzę w związku z prowadzonym przeze mnie śledztwem dotyczącym zbrodni, tak, właśnie tak. – Agent przerwał i jeszcze raz zlustrował wzrokiem wnętrze gabinetu. – Czy znana jest panu nieruchomość znajdująca się przy Old County Lane numer dwieście dwadzieścia dziewięć w Ramapo w stanie Nowy Jork?

Purview zawahał się.

– Nic mi to nie mówi. Ale byłem zaangażowany w wiele transakcji dotyczących nieruchomości w Nanuet i okolicach.

– Rzeczona nieruchomość to w istocie stary magazyn, obecnie całkiem pusty i sprawiający wrażenie opuszczonego. Pański adres widnieje na dokumentach poświadczenia aktu jej własności i zgodnie z zapisem w akcie notarialnym to pan był prawnikiem nadzorującym sprzedaż.

– Rozumiem.

– Chcę wiedzieć, kim są prawowici właściciele.

Purview zamyślił się przez chwilę.

– Rozumiem – powtórzył. – I ma pan nakaz sądowy, abym udzielił panu informacji?

– Niestety nie.

Purview pozwolił sobie na delikatny uśmiech świadczący o jego wyższości jako prawnika nad swoim rozmówcą.

– Zatem jako agent federalny z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę naruszyć klauzuli poufności obowiązującej mnie jako prawnika i mojego klienta, aby przekazać panu te informacje.

Pendergast wychylił się lekko do przodu. Jego oblicze pozostawało niepokojąco beznamiętne, nieodgadnione.

– Panie Purview, może pan wyświadczyć mi naprawdę ogromną przysługę, za którą zostanie pan sownie wynagrodzony. *Ecce signum.*

Ponownie sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej małą kopertę, którą położył na biurku, zabierając z niego równocześnie swoją legitymację.

Purview nie mógł się powstrzymać, kciukiem otworzył kopertę i zobaczył, że wewnątrz znajdował się gruby plik studolarowych banknotów.

– Dziesięć tysięcy dolarów – powiedział agent.

Mnóstwo pieniędzy jak na zwykłe ujawnienie nazwiska i adresu. Purview zastanawiał się, o co naprawdę może chodzić: o narkotyki, przestępczość zorganizowaną... A może to był jakiś przekręt? Pułapka? Cokolwiek to było, ani trochę mu się nie spodobało.

– Wątpię, aby pańscy przełożeni spojrzeli przychylnym okiem na tę próbę przekupstwa – odparł. – Może pan zatrzymać swoje pieniądze.

Pendergast zbył jego słowa machnięciem ręki, jakby odganiał natrętną muchę.

– Oferuję panu marchewkę.

Przerwał znacząco, jakby powstrzymywał się przed dokończeniem zdania i powiedzeniem tego, co musiało ono zawierać.

Purview poczuł dreszcz.

– Wszystko ma odpowiednie procedury, agencie... ee... Pendergast. Chętnie panu pomogę, gdy ujrzę nakaz sądowy polecający mi, abym

to uczynił, ale nie wcześniej. Tak czy inaczej nie przyjmę pańskich pieniędzy.

Przez chwilę agent FBI nie odpowiadał. Wreszcie przy wtórze prawie niesłyszalnego westchnienia – trudno powiedzieć, czy oznaczającego żal, czy może irytację – zgarnął kopertę z biurka i ukrył w wewnętrznej kieszeni swojego czarnego garnituru.

– Wobec tego żal mi pana – rzekł cichym głosem. – Proszę słuchać uważnie. Spieszę się i nie mam zamiaru ani tym bardziej cierpliwości, aby postępować zgodnie z regułami prawa. Okazał się pan uczciwym człowiekiem, to dobrze o panu świadczy. Czy mamy się przekonać, jak bardzo jest pan... odważny? Pozwolę sobie zapewnić pana o jednym: wyda mi pan te dane. Pozostaje tylko kwestia, ile bólu i cierpienia będzie pan musiał znieść, zanim to się stanie.

W całym swoim dorosłym życiu Thomas Purview nigdy dotąd nie pozwolił, by ktokolwiek go zastraszył. I nie zamierzał dopuścić do tego również teraz. Wstał od biurka.

– Agencje Pendergast, uprzejmie proszę, aby pan stąd wyszedł, albo wezwę policję.

Nic nie wskazywało na to, aby Pendergast zamierzał się podnieść.

– Dokumenty dotyczące wspomnianego magazynu są względnie stare – powiedział. – Pochodzą co najmniej sprzed dwudziestu czterech lat. Nie są dostępne w formacie cyfrowym, co sprawdziłem. Aczkolwiek wiele innych informacji jest tak dostępnych. Przepływają przez wirtualny eter, panie Purview, i wystarczy jedynie po nie sięgnąć, aby je przechwycić. A ja mam współpracownika, bardzo utalentowanego, który jest naprawdę świetny w wyłuskiwaniu różnych informacji. Podał mi pewien adres, o którym, jak sądzę, powinniśmy porozmawiać. Poza nieruchomością przy Old County Lane dwieście dwadzieścia dziewięć oczywiście. To adres, który powinien pana szczególnie zainteresować.

Purview sięgnął po telefon i zaczął wybierać dziewięćset jedenaście.

– Południowa Park Avenue numer sto dwadzieścia dziewięć.
Dłoń prawnika zastygła w bezruchu.

– Widzi pan, panie Purview – ciągnął Pendergast – w internecie dostępne są nie tylko raporty i zestawienia, ale także obrazy. Na przykład obrazy z kamer monitoringu, jeżeli tylko wiadomo, jak zdobyć do nich dostęp.

Pendergast sięgnął do kieszeni i wyjął z niej notatnik.

– W ostatnich kilku godzinach mój... współpracownik wprowadził do sieci wirus, wykorzystując program do powtarzalnego rozpoznawania obrazów w celu wyszukania obrazu pańskiej twarzy. Odnalazł je między innymi w nagraniach z kamer monitoringu pod tym konkretnym adresem.

Purview wciąż się nie poruszał.

– Na których widać pana w towarzystwie niejakiej Felicii Lourdes zamieszkałej pod czternaście A. Cudowna dziewczyna, na tyle młoda, by mogła być pańską córką. A pan ma ich kilka. Córek, znaczy się. Mam rację?

Purview nie odpowiedział. Powoli odłożył telefon.

– Na nagraniach z tej kamery widać, jak obydwójce obejmujecie się namiętnie w windzie. Jakie to wzruszające. Takich nagrań jest kilka. To musi być prawdziwa miłość, czyż nie?

Znów cisza.

– Co takiego Hart Crane powiedział o miłości? Że jest jak spalona zapalka wrzucona do pisuaru. Po co ludzie narażają się na takie ryzyko? – Pendergast ze smutkiem pokręcił głową. – Południowa Park Avenue numer sto dwadzieścia dziewięć. Niezły adres. Ciekawe, jak pannę Lourdes stać na takie mieszkanie. Zwłaszcza że nie przebywa w Stanach całkiem legalnie. – Przerwał. – Osobą, którą ten adres zainteresuje, jest, ma się rozumieć, pańska żona.

Nadal cisza.

– Jestem człowiekiem zdesperowanym, panie Purview. Nie zawaham się, i to nawet natychmiast, zrobić użytku z tych nagrań, jeżeli nie spełni pan moich żądań. Sytuacja jest na tyle poważna, że będę zmuszony – jak to się niefortunnie mówi w dzisiejszych

czasach – wszcząć procedurę eskalacji.

Słowa agenta jeszcze bardziej zagęściły atmosferę w gabinecie. Purview zamyślił się przez chwilę.

– Opuszczę teraz mój gabinet i udam się na piętnastominutowy spacer. Gdyby w tym czasie ktoś się tu włamał i przeszukał moje archiwa... Cóż, nic bym nie wiedział ani o tej osobie, ani o czynie, jakiego mogłaby się dopuścić. Zwłaszcza gdyby dokumenty, o które chodzi tej osobie, pozostały z pozoru nietknięte.

Pendergast nawet nie drgnął, gdy Purview sięgnął po egzemplarz „Wall Street Journal”, wyszedł zza biurka i pomaszerował w stronę drzwi. Gdy prawnik do nich dotarł, przystanął i odwrócił się.

– Nawiasem mówiąc, żeby uniknąć niepotrzebnego bałaganu, sugerowałbym, aby zajrzeć do trzeciej szafki i drugiej szuflady od dołu. Piętnaście minut, agencie Pendergast.

– Życzę miłego spaceru, panie Purview.

40 GODZIN PÓŹNIEJ

Przez ostatnie czterdzieści godzin miała zasłonięte opaską oczy i znajdowała się w ciągłym ruchu. Została wepchnięta do bagażnika samochodu, na pakę ciężarówki i – jak przypuszczała – do ładowni na łodzi. Z powodu tego potajemnego przerzucania jej z miejsca na miejsce była coraz bardziej zdezorientowana i straciła poczucie czasu. Zziębnięta, głodna i spragniona, wciąż jeszcze czuła ból głowy po silnym ciosie, który otrzymała w taksówce. Nie dano jej nic do jedzenia, a do picia tylko, jakiś czas temu, wodę w plastikowej butelce.

Znów trafiła do bagażnika samochodu. Od kilku godzin jechali ze sporą prędkością, najwyraźniej poruszając się po autostradzie. Nagle samochód zwolnił, pokonał kilka zakrętów, a gdy zaczął się trząść i kołysać z boku na bok, domyśliła się, że wjechali na polną drogę albo leśny trakt.

Kiedy przenoszono ją z jednego prowizorycznego więzienia do drugiego, porywacze uparcie milczeli. Teraz jednak, kiedy ucichł hałas na szosie, mogła usłyszeć przytłumione głosy rozlegające się wewnątrz pojazdu. Rozmawiali mieszaniną portugalskiego i niemieckiego; oba języki znała doskonale, gdyż nauczyła się ich, zanim jeszcze poznała angielski czy węgierski, mowę ojczystą swojego ojca. Rozmowa jednak była prowadzona bardzo cicho i Helen wychwytywała niewiele poza samą tonacją słów, brzmącą gniewnie, nagłaco. Doliczyła się czterech różnych głosów. Po kilku minutach nieprzyjemnej, uciążliwej jazdy wóz nagle się zatrzymał. Usłyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwiczek, chrzęst

kroków na żwirze. Zaraz potem kłapa bagażnika została uniesiona i Helen poczuła na twarzy podmuch chłodnego powietrza. Czyjaś dłoń schwyciła ją za łokieć i podniosła do pozycji siedzącej, po czym wywlokła ją na zewnątrz. Zachwiała się, kolana ugięły się pod nią, nacisk obcej dłoni się wzmógł, by ją podtrzymać, wreszcie – bez słowa – została popchnięta naprzód.

To dziwne, ale nie czuła kompletnie nic, żadnych emocji, nawet smutku czy strachu. Po tylu latach ukrywania się, lęku i niepewności jej brat pojawił się z nowiną, którą od dawna pragnęła usłyszeć, ale równocześnie przestała się łudzić, że to kiedykolwiek nastąpi. Przez jeden krótki dzień w jej sercu rozpałał się na nowo płomyk nadziei, że znów ujrzy Aloysiusa, że zaczną życie na nowo, że w końcu znów będzie mogła żyć jak normalny człowiek. Zaraz jednak zostało jej to odebrane, brata zamordowano, męża zaś postrzelono i być może także zabito.

Czuła się, jakby była pustym naczyniem, wydrążoną skorupą. Lepiej było w ogóle nie łudzić się nadzieją.

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi i przeprowadzono ją przez próg do wnętrza jakiegoś pokoju. W pomieszczeniu było duszno i cuchnęło stęchlizną. Dłoń przeprowadziła ją przez pokój, kolejne drzwi i do pomieszczenia jeszcze bardziej dusznego niż poprzednie. To mógł być opuszczony stary dom na wsi. Dłoń uwolniła jej ramię i Helen poczuła, że dotyka udami krawędzi siedzenia krzesła. Usiadła, kładąc jedyną dłoń na udzie.

– Zdejmij jej to – rozległ się mówiący po niemiecku głos, który w jednej chwili rozpoznała.

Poczuła czyjeś dłonie przy swojej głowie i opaska została zdjęta z jej oczu. Zamrugała raz i drugi. W pokoju było ciemno, więc jej oczy zasłonięte długo opaską nie potrzebowały czasu na przystosowanie się do półmroku. Usłyszała, że kroki z tyłu za nią cichną, i po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi. Dopiero wtedy oblizwała wargi, uniosła wzrok i odnalazła spojrzenie Wulfa Konrada Fischera. Był znacznie starszy, ale wciąż wyglądał na silnego i jak zawsze potężnie umięśnionego. Siedział na krześle

naprzeciw niej, z rozstawionymi nieco szerzej nogami i dłońmi złączonymi pomiędzy nimi. Nieznacznie zmienił pozycję, a krzesło zaskrzypiało pod jego okazałym ciężarem. Ze swymi przenikliwymi bladymi oczami, ciemną opalenizną i krótko przystrzyżonymi, gęstymi, śnieżnobiałymi włosami wyglądał jak uosobienie teutońskiej doskonałości. Spojrzał na nią, a lodowaty uśmiech wykrzywił jego wargi. Helen aż za dobrze pamiętała ten jego uśmiech. Jej apatię i pustkę zastąpiło uczucie przerażenia.

– Nie spodziewałem się wizyty osoby nieżyjącej – odezwał się Fischer, posługując się prostym, precyzyjnym językiem niemieckim. – A jednak pani tu jest, *Fräulein* Esterhazy albo raczej, proszę wybaczyć, *Frau* Pendergast, choć opuściła pani ten ziemski padół ponad dwanaście lat temu.

Cały czas patrzył na nią, a jego zimne oczy rozbłysły osobliwą mieszaniną rozbawienia, gniewu i ciekawości.

Helen nie odezwała się ani słowem.

– *Natürlich*, teraz z perspektywy czasu rozumiem, jak to zostało przeprowadzone. Pani siostra bliźniaczka, *der Schwächling*, odegrała rolę kozła ofiarnego. Pomimo tylu protestów z pani strony i świętoszkowatego oburzenia widzę, że jednak czegoś pani się nauczyła! Muszę powiedzieć, że czuję się niemal zaszczycony.

Helen nadal milczała. Apatia powróciła. Lepiej byłoby, gdyby umarła, niż gdyby miała żyć w tym bezmiernym bólu.

Fischer przyglądał się jej z uwagą, oszacowując skutek, jaki wywarły na niej jego słowa. Wyjął z kieszeni paczkę dunhilli, wyłuskał z pudełka jeden papieros i zapalił złotą zapalniczką.

– Zakładam, że nie zechce pani wyznać, gdzie przebywała przez te wszystkie lata? A może miała pani jeszcze innych współników, którzy brali udział w tym drobnym oszustwie, poza bratem, ma się rozumieć? Powie nam pani, czy rozmawiała z kimkolwiek o naszej organizacji?

Ponieważ Fischer nie doczekał się odpowiedzi, zaciągnął się mocno dymem z papierosa. Uśmiech na jego twarzy się poszerzył.

– Nieważne. Będzie na to mnóstwo czasu, kiedy przewieziemy

panią z powrotem do domu. Jestem pewien, że z dziką rozkoszą opowie pani lekarzom wszystko... to znaczy, zanim rozpoczną się eksperymenty.

Helen znieruchomiała. Fischer użył słowa *Versuchsreihe* – ale znaczyło ono więcej niż tylko zwyczajne „eksperymenty”. Na samą myśl o tym, na samo wspomnienie ogarnęła ją gwałtowna panika. Zerwała się i pobiegła co sił w nogach w stronę drzwi. To była bezmyślna, instynktowna reakcja zrodzona z atawistycznej potrzeby ratowania własnego życia. Kiedy jednak dobiegła do drzwi, te otworzyły się i stanęli w nich porywacze. Helen nie zatrzymała się, nawet nie zwolniła i siłą rozpędu odrzuciła dwóch z nich do tyłu, ale pozostali schwycili ją mocno i unieruchomili. Dopiero we czterech zdołali ją obezwładnić i zawlec z powrotem do pokoju.

Fischer wstał. Ponownie zaciągnął się dymem z papierosa i popatrzył na Helen, która bezgłośnie szamotała się, próbując wyrwać się z rąk oprawców. Następnie spojrzał na zegarek

– Pora ruszać – powiedział. Znów skierował wzrok na Helen. – Myślę, że lepiej będzie, jeżeli przygotujemy strzykawkę.

44 GODZINY PÓŹNIEJ

O wpół do trzeciej po południu rozległo się pukanie. Kurt Weber odstawił butelkę słodkiej herbaty, którą pił, otarł kąciki ust jedwabną chustką, wyłączył monitor komputera i podszedł po wyłożonej płytkami podłodze, aby zobaczyć, kto go odwiedził. Spojrzał przez judasza i zobaczył szacownie wyglądającego dżentelmena.

– Kto tam?

– Szukam firmy transportowej Freiheit.

Weber schował chustkę do kieszonki na piersi i otworzył drzwi.

– Słucham?

W korytarzu stał mężczyzna: szczupły, o przenikliwych srebrnych oczach i włosach blond tak jasnych, że wydawały się nieomal białe.

– Czy mogę zabrać panu chwilkę? – zapytał dżentelmen.

– Oczywiście.

Weber otworzył drzwi szerzej i zaprosił gościa, aby usiadł. Choć mężczyzna nosił prosty, czarny garnitur, nie ulegało wątpliwości, że wykonano go z najlepszego, wyśmienicie skrojonego materiału. Weber zawsze miał słabość do eleganckiego ubioru i wracając za biurko, odruchowo poprawił mankiety koszuli.

– To ciekawe – rzekł mężczyzna, rozglądając się dokoła – że prowadzi pan swoją firmę w hotelu.

– Nie zawsze był tu hotel – odparł Weber. – Kiedy zbudowano ten budynek w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku, nazwano go Rhodes-Haverty Building. Gdy zamieniono go na hotel, uznałem, że nie ma potrzeby przenosić firmy. Ta panorama

historycznej dzielnicy Atlanty nie ma sobie równych.

Zajął miejsce za biurkiem.

– Czym mogę służyć?

To musiała być jakaś pomyłka, „usługi importowe” Weber świadczył wyłącznie pewnemu prywatnemu klientowi, ale nie po raz pierwszy odwiedzali go różni ludzie. Zawsze starał się być wobec nich uprzejmy, aby odnosili wrażenie, że mają do czynienia z biznesmenem prowadzącym legalne interesy.

Mężczyzna usiadł.

– Mam tylko jedno pytanie. Proszę na nie odpowiedzieć i zaraz sobie pójdę.

Coś w tonie głosu mężczyzny sprawiło, że Weber zawahał się, zanim zapytał:

– A jak ono brzmi?

– Gdzie jest Helen Pendergast?

To niemożliwe, pomyślał Weber. A na głos powiedział:

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Jest pan właścicielem magazynu w południowej części stanu Nowy Jork. To z tego magazynu podjęte zostały działania mające na celu uprowadzenie Helen Pendergast.

– To jakieś brednie. A skoro nie przyszedł pan w interesach, niestety obawiam się, że muszę poprosić, aby pan stąd wyszedł, panie...? – Mówiąc to, Weber bardzo ostrożnie otworzył środkową szufladę biurka i wsunął rękę do środka.

– Pendergast – odrzekł nieznajomy. – Aloysius Pendergast.

Weber wyciągnął z szuflady berettę, ale zanim zdążył wycelować, mężczyzna, zupełnie jakby czytając w jego myślach, zamachnął się i wytrącił mu z dłoni pistolet. Broń potoczyła się po podłodze. Pendergast skierował na Webera lufę swojego les baera, który pojawił się jakby znikąd. Po chwili schował go do kieszeni i ponownie usiadł na krześle.

– Spróbujemy ponownie? – zapytał spokojnym, zrównoważonym tonem.

– Nie mam panu nic do powiedzenia – odparł Weber.

Pendergast zważył pistolet w dłoni.

– Naprawdę życie panu niemiłe?

Weber był doskonale wyszkolony w technikach przesłuchań – zarówno jeżeli chodziło o ich prowadzenie, jak i wytrzymywanie. Uczono go również tego, jak osoba szlachetniejszej krwi i urodzenia powinna zachowywać się wobec innych.

– Nie boję się umrzeć za to, w co wierzę.

– To już jest nas dwóch. – Pendergast przerwał, zastanawiając się przez chwilę. – A w co konkretnie pan wierzy?

Weber tylko się uśmiechnął.

Pendergast ponownie otaksował spojrzeniem wnętrze biura, aż w końcu zatrzymał wzrok na Weberze.

– Ma pan na sobie elegancki garnitur.

Pomimo wycelowanej w niego broni Weber zachowywał absolutny spokój i opanowanie.

– Dziękuję.

– Czy jest to może garnitur od Hardy’ego Amiesa, który nawiasem mówiąc, jest moim krawcem?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie. Od Taylora i Mertona, zaledwie o kilka salonów od Amiesa, ale też przy Savile Row.

– Widzę, że łączy nas zamiłowanie do eleganckich ubrań. Wyobrażam sobie, że nasze wspólne zainteresowania wykraczają poza garnitury. Dajmy na to, krawaty. – Pendergast dotknął swojego koniuszkami palców. – Choć w przeszłości gustowałem w ręcznie robionych krawatach z Paryża, na przykład od Charveta, obecnie preferuję te od Jaya Kosa. Jeden z nich mam dziś na sobie. Dwieście dolarów sztuka, nie są tanie, ale moim zdaniem są warte każdego centa. – Uśmiechnął się do Webera. – A jakie krawaty pan nosi?

Jeżeli to miała być jakaś nowatorska technika przesłuchania, pomyślał Weber, to nie zda egzaminu.

– Od Brioniego – odparł.

– Od Brioniego – powtórzył Pendergast. – To świetnie. Dobra robota.

Nagle – znów z niezwykłą szybkością, która wskazywałaby raczej

na eksplozję niż zwyczajny ruch – Pendergast zerwał się z krzesła, przeskoczył ponad biurkiem i schwycił Webera za gardło. Odciągnął go z zatrważającą siłą do tyłu, uniósł jedno skrzydło najbliższego okna i popchnął Webera w jego stronę. Weber w śmiertelnej panice schwycił się dłońmi framugi okna po dwóch stronach. Słyszał dochodzące z dołu, dwadzieścia pięter niżej, odgłosy ruchu ulicznego na Peachtree i poczuł podmuch chłodnego powietrza.

– Uwielbiam okna w starych drapaczach chmur – oznajmił Pendergast. – Naprawdę się otwierają. I miał pan rację co do panoramy.

Weber wczepił się kurczowo palcami dłoni w ramę okna i dyszał ciężko ogarnięty dojmującą zgrozą. Pendergast kolbą les baera uderzył go w palce lewej dłoni, gruchocząc kości, następnie zrobił to samo z prawą ręką mężczyzny. Weber wrzasnął, po czym został pchnięty do tyłu, w pustkę; machał rozpaczliwie rękami, a jego nogi wciąż były zaczepione o framugę okna. Pendergast uchronił go przed runięciem w dół, chwytając za krawat, i przytrzymał na odległość wyprostowanego ramienia od otwartego okna. Weber mocno wczepił łydki we framugę, dławiąc się, krztusząc, szamocząc jak szalony i próbując czegokolwiek się uchwycić.

– Mężczyzna zawsze powinien znać swoją garderobę, a zwłaszcza jej słabe punkty – ciągnął Pendergast, wciąż zachowując swobodny, gawędziarski ton. – Na przykład moje krawaty od Jaya Kosa są tkane z siedmiowarstwowego włoskiego jedwabiu. I są równie piękne jak wytrzymałe.

Szarpnął mocniej krawat Webera, który sapnął głośno, gdy jego jedna noga zaczęła się zsuwać z framugi. Spróbował odzyskać oparcie dla stopy. Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle ściśniętym przez mocno zadzierzgnięty krawat.

– Inne przedzalnie niekiedy tną koszty – ciągnął Pendergast. – No wie pan, tylko jeden ściąg i dwie warstwy jedwabnej przędzy. – Raz jeszcze szarpnął za krawat. – Dlatego lepiej, aby był pan pewien jakości swojego krawata, zanim powtórzę pytanie.

Szarpnięcie.

Przy wtórze głośnego trzasku krawat Webera zaczął pękać. Mężczyzna spojrział na niego i wrzasnął mimowolnie.

– A niech to – mruknął z rozczarowaniem w głosie Pendergast. – Brioni? Nie sądzę. Może dał się pan nabrać na podróbkę. Albo oszczędza pan i próbował mnie pan oszukać co do tego, gdzie zaopatruje się pan w garderobę.

Szarpnięcie.

Krawat był już rozdarty do połowy w najszerszej części, prawie przy samym końcu. Kątem oka Weber widział zbierający się poniżej tłum, ludzie wskazywali rękami w górę, słychać było odległe okrzyki. Poczul, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Ogarnęła go panika.

Trzask. Trzask.

– Dobrze, już dobrze! – wrzasnął, próbując pochwycić dłoń Pendergasta powykręcanyimi, pogruchotanymi palcami. – Będę mówił!

– Tylko szybko. Ten tani krawat długo nie wytrzyma.

– Ona... ona dziś wyjeżdża z kraju.

– Gdzie? Jak?

– Prywatnym samolotem. Z Fort Lauderdale. Lotnisko Pettermars. O dziewiątej.

Ostatnim brutalnym szarpnięciem Pendergast wciągnął Webera do gabinetu.

– *Scheiße!* – zawył Weber rozciągnięty bezwładnie na podłodze. Skulony do pozycji płodowej bezradnie przyciskał do piersi okaleczone dłonie. – A gdyby mój krawat pękł do końca?

Uśmiech na twarzy Pendergasta tylko się poszerzył. I nagle Weber zrozumiał – ten człowiek balansował niebezpiecznie na granicy szaleństwa i był zdolny do wszystkiego. Pendergast cofnął się o krok.

– Jeżeli powiedział pan prawdę i zdołam uwolnić ją bez przeszkód, nie zobaczymy się więcej, może pan być o to spokojny. Jeśli jednak oszukał mnie pan, złożę jeszcze jedną wizytę.

Odwrócił się w stronę drzwi i nagle znieruchomiał. Poluzował węzeł swojego krawata, a potem zupełnie go rozplątał i rzucił

w stronę Webera.

– Ten jest prawdziwy. Żadna podróbka. I proszę pamiętać, co mówiłem o cięciu kosztów.

Posłał tamtemu ostatni już lodowaty uśmiech, po czym wyszedł z gabinetu.

45 GODZIN PÓŹNIEJ

Lotnisko Pettermars. Pendergast miał niespełna sześć godzin na pokonanie ponad dziewięciuset kilometrów.

Z lokalnych lotnisk w tak krótkim czasie nie było żadnych lotów komercyjnych ani dostępnych czarterów. Musiał dotrzeć na miejsce samochodem.

Poleciał do Atlanty, a na lotnisku wziął taksówkę. Musiał wynająć samochód. W wypożyczalni znajdującej się kilka przecznic od Peachtree wybrał nowiutkiego czerwonego mercedesa benza SLS AMG. Wypożyczył go na podróż w jedną stronę do Miami, z pełnym pakietem ubezpieczeniowym, po paskarskiej cenie.

Choć jeszcze nie zaczęły się godziny szczytu, ruch na drogach w Atlancie był mocno utrudniony. Zjeżdżając na I-75, autostradę międzystanową prowadzącą na południe, Pendergast przyspieszył, prawie nie zdejmując stopy z pedału gazu i omijając pędem strefę robót drogowych prawym poboczem. Tak jak na to liczył, rozdierający ryk pięćsetsześćdziesiątkonnego silnika mercedesa robił wrażenie i oczyścił przed nim szosę. Pruł poboczem z prędkością niemal stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, aż minął patrol policji drogowej czyhający na piratów drogowych.

Wyśmienicie.

Zza wału wyłonił się radiowóz policji stanu Georgia z migającym kogutem i włączoną syreną. Pendergast zatrzymał tak gwałtownie, że funkcjonariusz omal nie wjechał mu w kufer. Zanim jeszcze policjant zdążył spisać numery z tablicy rejestracyjnej, Pendergast wysiadł z samochodu, trzymając w dłoni swoją legitymację,

podszedł do radiowozu i ruchem ręki nakazał gliniarzowi, aby opuścił szybę. Podsunął zdziwionemu mundurowemu swoją legitymację i odznakę pod nos.

– Federalne Biuro Śledcze, filia nowojorska. Prowadzę misję specjalną o najwyższym priorytecie.

Gliniarz przeniósł wzrok z Pendergasta na odznakę, na mercedesa i z powrotem na agenta.

– Ee, tak jest.

– Musiałem szybko postarać się o pojazd. Proszę słuchać uważnie. Udaję się na lotnisko w Pettermars, pod Fort Lauderdale, kolejno autostradami międzystanowymi numer siedemdziesiąt pięć, dziesięć i dziewięćdziesiąt pięć.

Policjant z drogówki tylko na niego patrzył, próbując nie pogubić się w tym wszystkim.

– Chcę, żeby skorzystał pan z radia i zapewnił mi niezakłócony przejazd tą trasą. Żadnych postojów. I żadnej eskorty, bo będę jechał zbyt szybko. Mój samochód jest dość dobrze rozpoznawalny, więc to nie powinno stanowić problemu. Zrozumiano?

– Tak jest. Ale nasza jurysdykcja się kończy za granicą stanu Georgia.

– Niech pański przełożony skontaktuje się ze swoim odpowiednikiem z Florydy.

– Ale może filia nowojorska FBI...

– Już mówiłem, że to misja specjalna. Nie ma czasu na procedury służbowe. Wykonać.

– Tak jest.

Pendergast pędem wrócił do auta i zostawiając na asfalcie długi na sto metrów ślad spalonej gumy, ruszył z piskiem opon, a policjant z drogówki jeszcze przez chwilę patrzył w otępieniu na rozwiewający się w powietrzu kłęb siwawych spalin.

Przed czwartą Pendergast minął Macon, kierując się na południe. Samochody, znaki drogowe czy krajobraz rozmywały się dokoła w widoczne przez ułamek sekundy barwne smugi. Nagle za zakrętem ujrzał czerwone światła stopu: dwie półciężarówki jechały

jedna przy drugiej, wspinając się na wzgórze; ta z lewej próbowała minąć tę po prawej, centymetr po centymetrze pokonując wzniesienie i spowalniając wszystkich jadących za nimi, co było niedopuszczalnym zachowaniem na dwupasmowej autostradzie.

Zjeżdżając raz jeszcze na pobocze i migając światłami, Pendergast minął sznur aut, dopóki nie znalazł się tuż za półciężarówką po lewej. Kierowca pojazdu ignorował trąbienie klaksonu i migające światła, mogło się wręcz wydawać, że zwolnił jeszcze bardziej, ot tak, z czystej złośliwości.

Szosa skręcała szerokim łukiem w prawo i jak to często bywało, półciężarówka jadąca wolniejszym pasem zaczęła zjeżdżać w stronę pobocza. Pendergast wykorzystał tę okazję, aby zjechać na pobocze po lewej. Tak jak przewidział, kierowca jadący przed nim również zjechał w lewo, aby zablokować mu przejazd. To była szansa, na którą czekał. Nieznacznie zwolnił, po czym, przełączając na tryb ręcznej zmiany biegów, gwałtownie wjechał w lukę pomiędzy dwiema półciężarówkami i zwiększając prędkość z osiemdziesięciu do stu trzydziestu kilometrów na godzinę w trzy sekundy, przemknął obok ślimaczących się pojazdów, by wystrzelić na pustą autostradę przed nimi. W nagrodę usłyszał dwa gniewne sygnały klaksonu.

Gnał bez zatrzymywania się, od czasu do czasu prawym albo lewym poboczem wymijał kolejne auta, trąbiąc i migając światłami na co bardziej ślamazarnych kierowców, a niekiedy nawet zastraszając ich i zmuszając do zjechania na sąsiedni pas w najprostszy możliwy sposób – zbliżał się z tyłu z ogromną prędkością i hamował dosłownie w ostatniej chwili. O wpół do szóstej minął Valdostę i granicę stanu Floryda.

Wiedział, że najbardziej bezpośrednia droga mogła się okazać najtrudniejsza do pokonania, prowadziła bowiem przez Orlando i mógł tam utknąć na zakorkowanych, uczęszczanych przez turystów trasach, dlatego zjechał na wschód, na I-10, kierując się w stronę wybrzeża Atlantyku. Był to niezbyt satysfakcjonujący wybór, ale dawał największe szanse na powodzenie. W Jacksonville

znów zjechał na I-95 wiodącą na południe.

Pod Daytona Beach zatrzymał się, aby zatankować, rzucił zaskoczonemu pracownikowi stacji benzynowej studolarowy banknot i odjechał z piskiem opon, nie czekając na wydanie reszty.

Wraz z nadejściem wieczoru ruch na autostradzie zaczął słabnąć, a ciężarówki z długimi naczepami coraz bardziej przyspieszały.

Pendergast lawirował pomiędzy nimi z opuszczonym dachem, więc nocny wiatr pomagał mu nie zasnąć za kierownicą i agent wyciskał z auta maksimum mocy. Titusville, Palm Bay i Jupiter zostały w tyle jak rozmazane plamy światła. Gdy wjechał do Boca Raton, uruchomił system GPS i wprowadził swój punkt docelowy.

Przez całą drogę jechał ze średnią prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Lotnisko Pettermars znajdowało się około piętnastu kilometrów na zachód od Coral Springs, na wschodnich obrzeżach Everglades. Gdy Pendergast zbliżał się do lotniska przez rozległe przedmieścia Fort Lauderdale, dostrzegł niewielką wieżę kontrolną, wiatrowskazy i migoczące światła na pasie startowym.

Za pięć dziesiątą. Jego oczom ukazał się pas startowy rozciągający się za nierównym polem porośniętym wysokimi trawami. Obok najbliższego hangaru stała jednosilnikowa, sześciomiejscowa awionetka o napędzie śmigłowym.

Pendergast z piskiem hamulców zatrzymał mercedesa przed biurem kontroli lotów, wyskoczył z auta i tak szybko, jak pozwalała mu zraniona noga, pokuśtykał w stronę niskiego, pomalowanego na żółto budynku.

– Dokąd leci ta maszyna? – zapytał siedzącego za biurkiem samotnego kontrolera lotów, pokazując mu swoją odznakę. – To sprawa priorytetowa, podlegała FBI.

Mężczyzna wahał się tylko przez chwilę.

– Zgodnie ze zgłoszeniem w rozkładzie lotów kierują się do Cancún.

Cancún. Zapewne punkt docelowy był fałszywy. Sugerowało to jednak, że awionetka zmierza na południe, za granicę.

– Czy na ten wieczór są zaplanowane jeszcze jakieś loty?

– Za dziewięćdziesiąt minut przylatuje learjet z Biloxi. Czy mogę panu jakoś pomóc, panie...?

Ale kontroler mówił już do pustego pokoju. Pendergast zniknął.

Po wyjściu z biura kontroli lotów agent pędem wrócił do mercedesa. Samolot zmierzał już w stronę pasa przy wtórze coraz głośniejszego ryku silnika. Hangar i pas startowy otaczała siatka, a brama wjazdowa na ten teren była zamknięta. Czas naglił. Pendergast skierował wóz w stronę bramy i dodał gazu. Samochód z ogłuszającym rykiem wystrzelił naprzód, taranując bramę i wyrywając ją z zawiasów, tak że z łoskotem wylądowała na asfaltowej nawierzchni.

Samolot zaczął właśnie toczyć się po pasie, powoli nabierając prędkości. Pendergast zrównał się z maszyną i zajrzał do kabiny. Pilot wyglądał imponująco: wysoki i muskularny, mocno opalony, z gęstymi, choć krótko przyciętymi włosami. Osoba siedząca na fotelu drugiego pilota wyjrzała przez okno na mercedesa. To był jeden z biegaczy, którzy uprowadzili Helen w Central Parku. Rozpoznał Pendergasta, błyskawicznie sięgnął po pistolet i zaczął strzelać przez okno.

Agent zjechał w bok, by uniknąć trafienia, po czym ponownie zbliżył się do awionetki od strony skrzydła, gdzie strzelec siedzący w kabinie nie mógł go zobaczyć. Zrównał prędkość mercedesa z prędkością samolotu i przez chwilę zastanawiał się, czy nie podjechać od przodu i nie zajechać awionetce drogi, ale było to zbyt ryzykowne. Pilot mógłby stracić panowanie nad maszyną. A na pokładzie znajdowała się przecież Helen. Zamiast tego jeszcze bardziej zbliżył się do skrzydła, przez cały czas utrzymując tę samą prędkość co sunąca po pasie awionetka. Otworzył drzwiczki, odczekał chwilę, cały spięty, po czym wyskoczył z auta, chwytając się goleni przy prawym kole maszyny. O ułamek sekundy spóźnił się ze skokiem i ześlizgnął się po wsporniku goleni, by przez moment poszorować po asfalcie, ale nadludzkim wysiłkiem podciągnął się wyżej i przycupnął przy kole, krzywiąc się z bólu promieniującego

ze zranionej nogi.

Samolot szybko przyspieszał, dźwigając się w górę z prędkością ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a wiatr rozwiewał włosy i ubranie agenta. Pendergast podciągnął się na wspornik pod skrzydłem, usadowiając się na nim najlepiej jak potrafił. Wychylił się do przodu, wyciągając broń z kabury. Z tego miejsca mógł dostrzec postać biegacza siedzącego na fotelu drugiego pilota; skrzydło przesłaniało mu widok innych pasażerów maszyny. Koniec pasa zbliżał się nieubłagane, poza nim rozciągała się bezkresna połać podmokłych trawiastych łąk i bagien.

Pilot najwyraźniej miał problemy z opanowaniem maszyny, która nagle musiała skompensować dodatkowe obciążenie i opór. Pendergast wychylił się jeszcze bardziej do przodu. Biegacz wystawił głowę przez okno. W chwili, gdy maszyna oderwała się od pasa, agent starannie wycelował i wysuwając się na wsporniku niemal do poziomu, strzelił tamtemu prosto w twarz.

Mężczyzna krzyknął, impet trafienia odrzucił mu głowę do tyłu. Jego ciałem targnął konwulsyjny skurcz, drzwiczki otworzyły się i mężczyzna wypadł na zewnątrz, by z nieprzyjemnym wilgotnym plaśnięciem wylądować na asfaltowej nawierzchni pasa startowego jak rzucony bezwładnie połec mięsa. Po chwili maszyna wzbiła się w powietrze, wznosząc się ponad rozciągającymi się w dole moczarami. Jej koła mogły zostać podniesione praktycznie w każdej chwili.

Pendergast zastanawiał się gorączkowo. Samolot znajdował się dziesięć metrów nad ziemią. Agent włożył broń do kabury, usadowił się na poziomym wsporniku przy kole, wyjął z kieszeni pióro wieczne i wbił je pod niewielką klapkę osadnika paliwa w dolnej części osłony silnika. Zaraz potem, gdy rozległ się dźwięk urządzeń hydraulicznych podnoszących koła maszyny, przygotował się do skoku. Utrzymując właściwy kąt opadania, wylądował w moczarach i przy wtórze głośnego plusku pograżył się w wodzie i zalegającej pod nią warstwie mułu.

53 GODZINY PÓŹNIEJ

Pendergast siedział na stalowym słupku przy końcu pasa startowego 29-R lotniska Pettermars. Noc była ciemna i bezgwiezdna, a mrok rozpraszały jedynie dwie linie oświetlenia pasa ciągnące się aż po horyzont.

Skok z samolotu spowodował otwarcie rany postrzałowej. Pendergastowi udało się powstrzymać upływ krwi i najlepiej jak potrafił obmył zranione miejsce z błota. Potrzebował opieki medycznej i kuracji antybiotykowej, ale teraz miał ważniejsze sprawy na głowie.

Za nim na wysokości kilkuset metrów pojawiło się kolejne źródło światła: samolot podchodzący do lądowania i migające lampki ostrzegawcze. Po chwili learjet 60 przemknął jakieś sześć metrów nad głową Pendergasta, a silniki pracujące na ciągu wstecznym zawyły, gdy maszyna szykowała się do przyziemienia, wzbijając za sobą wielką chmurę kurzu.

Pendergast nie zwrócił na to uwagi.

Przeszukał ciało biegacza, które ukrył wśród wysokich traw przy końcu pasa. Nic nie znalazł. Na lotnisku zrobił się spory ruch, po tym jak samochodem sforsował zamkniętą bramę wjazdową. Zjawiała się policja, która przeczesala teren, ale funkcjonariusze zajęli się tylko mercedesem i odjechali. Nie znaleźli ani jego, ani ciała.

Wszystko już wróciło do normy, wokoło panowała cisza. Pendergast wstał i przez cały czas poruszając się wśród wysokich, gwarantujących osłonę traw, okrążył pas startowy, by dotrzeć do starego aparatu telefonicznego przy stacji benzynowej, przy szosie

prowadzącej na lotnisko, który jakimś cudem był nadal czynny. Zadzwoił do D'Agosty.

– Gdzie jesteś? – dobiegł go głos z Nowego Jorku.

– Nieważne. Wystaw list gończy za jednosilnikową cessną sto trzydzieści trzy N-osiem-siedem-dziewięć-F-C. Samolot kieruje się do Meksyku, a jego punktem docelowym miało być Cancún, ale będzie zmuszony lądować w promieniu – zamyślił się przez chwilę – trzystu kilometrów od Fort Lauderdale wskutek powolnego wycieku paliwa.

– Skąd wiesz, że maszyna ma wyciek paliwa?

– Bo sam o to zadbałem. Wydrążona plastikowa rurka wetknięta do osadnika paliwa. Z kokpitu nic nie mogą zrobić, żeby to powstrzymać.

– Musisz mi powiedzieć, co się dzieje, do cholery...

– Zadzwoń pod ten numer, kiedy czegoś się dowiesz.

– Pendergast, zaczekaj. Jezu...

Agent się rozłączył. Opuścił oświetlony krąg otaczający budkę telefoniczną, wycofując się w cień opuszczonej parceli, wokół której rosły palmy karłowate. Położył się na ziemi, bo utrata krwi bardzo go osłabiła, i czekał cierpliwie.

Trzydzieści minut później usłyszał sygnał telefonu. Wstał i podszedł do budki tak energicznie, że aż zakręciło mu się w głowie.

– Tak?

– Otrzymaliśmy informację o tej poszukiwanej maszynie. Wylądowała jakieś dziesięć minut temu na niewielkim pasie pod Andalusią w Alabamie. Przy lądowaniu uszkodziła koła.

– Mów dalej.

– Musieli kogoś wezwać, bo na miejscu już czekała na nich furgonetka. Na lądowisku był tylko jeden facet, gość popijał kawę w hangarze. Widział, jak grupa osób ładuje się do furgonetki i odjeżdża w pośpiechu w kierunku... – pauza – Parku Narodowego Conecuh. Samolot porzucili, zostawili go na pasie.

– Czy ten człowiek zapisał numery furgonetki?

– Nie. Było ciemno.

– Zaalarmuj patrole policji drogowej z Alabamy. I prześlij

informacje na temat poszukiwanego pojazdu na wszystkie przejścia graniczne, gdyż kierują się do Meksyku. Zadzwoń do ciebie później. Moja komórka jest wyłączona.

Pełna wahania chwila ciszy.

– Zajmę się tym – zapewnił D'Agosta.

– Dziękuję. – Pendergast rozłączył się.

Jeszcze przez blisko dziesięć minut siedział w bezruchu wśród przeszywającej wilgocią ciemności. A potem wybrał inny numer.

– Siema – rozległ się wysoki, zdyszany głos Mima, stroniącego od ludzi hakera wyznającego dość pokrętne zasady etyki, dla którego Pendergast stanowił jedyne źródło kontaktu ze światem zewnętrznym.

– Masz coś?

– Nie wiem. Nie za dużo. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś więcej, i wtedy skontaktuję z tobą. – Zrobił pełną napięcia i dramatyzmu pauzę.

– Nie mam czasu na gierki, Mimie.

– Dobra – rzucił pospiesznie haker. – Prowadziłem elektroniczny nasłuch naszych przyjaciół z Fort Meade. Można by powiedzieć, że monitorowałem ich monitory. – Zachichotał. – A oni, jak wiesz, skrupulatnie kontrolują krajowe połączenia telefoniczne i maile pomimo protestów przeciwko tego rodzaju inwigilacji. Wyizolowałem fragment rozmowy przez komórkę prowadzonej, jak sądzę, przez członków grupy, którą nazywasz Der Bund.

– Jesteś pewien?

– Nie sposób tego stwierdzić na sto procent, stary. Transmisje są zaszyfrowane i udało mi się jedynie ustalić, że rozmowy są prowadzone w języku niemieckim. Rozszyfrowałem kilka rzeczowników tu i tam. Według wskazań rządowych urzędów do triangulacji sygnału komórkowego źródło przemieszczało się szybko przez tereny środkowej i północno-zachodniej Florydy.

– Jak szybko?

– Z prędkością lecącego samolotu.

– Kiedy?

– Siedemdziesiąt minut temu.

– To musiał być ten samolot, który właśnie wylądował w Alabamie. Co jeszcze?

– Nic poza krótkim niezaszyfrowanym wtrętem po hiszpańsku. Wymieniona została nazwa pewnego miejsca. Cananea.

– Cananea – wyszeptał Pendergast. – Gdzie to jest?

– To miasteczko w Sonorze, w Meksyku... na kompletnym pustkowiu, prawie pięćdziesiąt kilometrów na południe od granicy.

– Opisz mi to miasteczko.

– O ile zdołałem się zorientować, liczy sobie trzydzieści tysięcy mieszkańców. Niegdyś było to wielkie centrum wydobycia miedzi, znajdowała się tu spora kopalnia i tu także doszło do krwawo stłumionego strajku, który pomógł zapoczątkować rewolucję meksykańską. Teraz jest już tylko kilka fabryk maquiladora w północnej części miasteczka i to wszystko.

– Położenie geograficzne?

– W Cananea ma swoje źródło rzeka, która płynie na północ, przez granicę, do Arizony. Nosi nazwę San Pedro. To jedna z nielicznych płynących na północ rzek na kontynencie. Główna trasa przemytu narkotyków i przerzutu przez granicę nielegalnych imigrantów. Tyle tylko że otaczająca ją pustynia jest naprawdę zabójcza. To właśnie na tej pustyni zmarło wielu niedoszłych nielegalnych imigrantów. Granica biegnąca tamtędy jest po prostu śmieszna, ot zwyczajne ogrodzenie z drutu kolczastego, ale zamontowali tam też czujniki ruchu, no i w okolicy regularnie kursują patrole straży granicznej. Nie mówiąc już o kamerach, które są w stanie wychwycić w ciemnościach rzucony na ziemię niedopałek papierosa.

Pendergast poprawił ułożenie dłoni na słuchawce telefonu. To miało sens. Pozbawieni samolotu i świadomi tego, że na przejściach granicznych na pewno byli już poszukiwani, porywacze Helen musieli znaleźć łatwiejszy, tajny sposób na przedostanie się przez granicę do Meksyku. Wiodący na południe, do Cananea, korytarz Rio San Pedro był równie dobrym rozwiązaniem jak każde inne.

To będzie ostatnia szansa, aby ich dopaść, zanim ostatecznie mu

się wymkną.

Wyszedł z budki telefonicznej na miękkich nogach, wciąż kręciło mu się w głowie i zmusił się, aby ciężko usiąść na ziemi. Był słaby, wyczerpany, nadal tracił krew i nie spał ani nie jadł od ponad dwóch dni. Jednak ta nagła słabość wykraczała poza stan fizyczny. Cały jego umysł i dusza zostały zranione.

Zmusił się, aby zbadać stan swojej zdruzgotanej psychiki. Nie wiedział, co czuł teraz do Helen – czy nadal ją kochał, czy już nie. Od dwunastu lat sądził, że ona nie żyje. Pogodził się z tym. A teraz okazało się, że żyje. Jedno było pewne, że gdyby tak bardzo nie nalegał na to spotkanie, Helen wciąż pozostawałaby bezpieczna. Musiał jakoś naprawić ten błąd. Musiał uwolnić ją z rąk Przymierza – nie tylko dla jej dobra, ale również dla samego siebie. W przeciwnym razie...

Wolał nawet nie myśleć o tym, co stałoby się w przeciwnym razie. Zbierając w sobie resztki sił, podźwignął się na nogi. Musiał jakoś dotrzeć do Cananei.

Pokuśtykał w stronę parkingu przy lotnisku skąpanego w świetle latarni sodowych. Stał tam tylko jeden samochód – stary brązowy cadillac eldorado. Bez wątpienia należał do administratora lotniska.

Wyglądało na to, że ten człowiek wyświadczy mu jeszcze jedną przysługę.

82 GODZINY PÓŹNIEJ

Pendergast zatrzymał rozklekotany, dymiący samochód na stacji benzynowej na obrzeżach niedużego miasteczka Palominas w Arizonie. Przejechał prawie trzysta pięćdziesiąt kilometrów bez odpoczynku, zatrzymując się tylko po to, żeby zatankować.

Wysiadł i aby nie upaść, oparł się o drzwiczki. Była druga w nocy, nad pustynią rozciągało się bezkresne rozgwieżdżone niebo bez śladu księżyca.

Po chwili wszedł do sklepiku przy stacji benzynowej. Kupił mapę meksykańskiego stanu Sonora, sześć butelek wody, kilka paczek suszonej wołowiny, ciastka, parę puszek z mięsem, dwie ściereki kuchenne, bandaże, maść z antybiotykiem, buteleczkę ibuprofenu, tabletki kofeinowe, taśmę klejącą i latarkę. To wszystko trafiło do reklamówki, którą zaniósł do auta. Ponownie zajął miejsce za kierownicą i zaczął studiować mapę, zapamiętując trasę dalszej podróży.

Skierował się na wschód drogą numer 92 i przejechał nieduży most nad rzeką San Pedro. Następnie skręcił w prawo, na pylistą wiejską szosę prowadzącą na południe. Jechał powoli, a samochód kołysał się i kolebał z boku na bok na pooranym koleinami trakcie, przedzierając się przez gąszcz krzewów mesquite i czepoty puszystej, zwanej też vilcacora; w świetle reflektorów widać było płataninę poskręcanych gałęzi. Po prawej miał niewidoczną rzekę, której czarną granicę wytyczał gęsty rząd masywnych topoli amerykańskich.

Niecały kilometr od granicy Pendergast porzucił samochód przy

polnej drodze w gąszczu mesquite, starając się, by krzewy możliwie jak najbardziej zamaskowały wysłużone auto. Z reklamówką w dłoni przez chwilę stał w ciemnościach i nasłuchiwał. Z oddali dobiegło wycie pary kojotów, ale poza tym nie zarejestrował żadnych oznak życia. Wiedział, że to tylko złudzenie. Odcinek granicy pomiędzy Meksykiem a Stanami, oddzielonej jedynie ogrodzeniem z pięciu pasm drutu kolczastego, najeżonym najnowocześniejszymi czujnikami, kamerami wideo na podczerwień oraz skierowanymi w kierunku ziemi radarami, patrolowany przez jednostki szybkiego reagowania należące do straży granicznej, znajdował się zaledwie kilka minut drogi stąd.

Mimo to Pendergast nie wyglądał na przejętego. Miał przewagę nad większością przemytników czy typów spod ciemnej gwiazdy prowadzących przestępczy proceder w tej okolicy – wybierał się na południe. Na terytorium Meksyku.

Włożył reklamówkę do zdjętej przed chwilą marynarki, zrobił z niej prymitywne zawiniątko, przerzucił przez ramię i pomaszerował naprzód.

Zraniona noga znów zaczęła krwawić. Przystanął, usiadł i poświęcił kilka chwil na zdjęcie opatrunku. Przyjrzał się ranie w świetle latarki, nałożył na nią nową warstwę maści z antybiotykiem i zrobił kolejny opatrunek z zakupionych ścierek i bandażu. Na koniec łyknął cztery ibuprofeny i tyle samo tabletek z kofeiną.

Podnoszenie się z ziemi zajęło mu kilka minut. To niedobrze, bo czekała go długa droga. Zjadł parę kawałków suszonej wołowiny i napił się wody.

Liczył na to, że trzymając się z dala od ścieżki i od rzeki, uniknie wykrycia przez rozmaite elektroniczne pułapki i czujniki. Wielki zacumowany sterowiec, który wisiał prawie niewidoczny na tle nocnego nieba powyżej, mógł wychwycić jego obecność, ale Pendergast zmierzał na południe i miał nadzieję, że nie spowoduje to alarmu wśród straży granicznej, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Nocne powietrze mimo lata było chłodne i rześkie, kojoty

przestały wyc i wokoło zapadła cisza. Pendergast szedł dalej.

Droga zakręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, równolegle do ogrodzenia z drutu kolczastego wytyczającego granice kraju. Przekonany, że w tym właśnie momencie uruchomił rozmaite czujniki, podszedł do ogrodzenia i w parę sekund poprzecinał druty kolczaste, by przedostać się na terytorium Meksyku. Pokuśtykał w mrok, pokonując rozległą połąć kamienistej pustyni upstrzonej tu i ówdzie krzewami czepoty.

Nie minęło dużo czasu, gdy po amerykańskiej stronie ujrzał światła reflektorów nadjeżdżającego pojazdu. Uparcie maszerował, kierując się w stronę rosnących wzdłuż rzeki topoli amerykańskich, zachowując możliwie jak najszybsze tempo. Włączonych zostało kilka reflektorów i ich promienie rozcięły mrok pustynnej nocy, przeczesując teren, aż odnalazły go i skąpały w powodzi oślepiającego białego światła.

Szedł dalej. Ponad pustynią rozszedł się głos wzmocniony przez megafon, mówiący najpierw po angielsku, a później po hiszpańsku, nakazujący, aby się zatrzymał, odwrócił, podniósł ręce i powiedział, kim jest.

Zignorował rozkaz. Tamci nie mogli nic zrobić. Nie mogli go ścigać, a raczej nie zdecydowaliby się powiadomić swoich odpowiedników po meksykańskiej stronie. Nikogo nie obchodził drobny szmugiel na południe od granicy.

Pendergast skierował się w stronę rzędu topoli rosnących wzdłuż rzeki. Światła reflektorów podążały za nim przez chwilę, a głos spotęgowany przez megafon stawiał kolejne, coraz bardziej bezładne żądania, dopóki agent nie zniknął między drzewami. Wtedy tamci odpuścili.

Ukryty w dającym bezpieczeństwo gąszczu postanowił odpocząć na brzegu płytkiego potoku San Pedro. Próbował coś zjeść, ale wszystko, czego spróbował, miało w ustach smak kartonu, więc zmuszał się, by przeżuwać i przełykać. Napił się wody i stłumił impuls, by rozwinąć ponownie przesiąknięty krwią opatrunek na zranionej nodze.

Oszacował, że Helen i jej porywacze powinni przekroczyć granicę mniej więcej w tym samym czasie co on albo tuż przed nim. To było odludzie, pustynna, niegościnna okolica porośnięta zeszlą trawą i mesquite, terytorium poprzecinane dziesiątkami nieoznakowanych polnych dróg, z których korzystali nielegalni emigranci i przemytnicy broni oraz narkotyków. Der Bund z całą pewnością musiał zadbać o środek transportu po stronie meksykańskiej, którym Helen i jej porywacze dotrą wzdłuż jednej z tych nieoznakowanych dróg do Cananei, około pięćdziesięciu kilometrów na południe od granicy. Będą podróżować siecią tych prowizorycznych szlaków i musiał dopaść ich, zanim dotrą do miasteczka, skąd w głąb kraju prowadziły już normalne asfaltowe szosy. Jeżeli mu się to nie uda, szanse, że kiedykolwiek zdoła odnaleźć Helen, spadną właściwie do zera.

Ponownie wstał i pokuśtykał wzdłuż niemal całkiem wyschniętego koryta rzeki, od czasu do czasu tylko przechodząc przez zalegające na dnie kałuże stojącej, głębokiej na trzy centymetry wody. Możliwe, że już był spóźniony.

Niecały kilometr dalej na południe pomiędzy drzewami dostrzegł odległe światła. Poszedł w stronę brzegu rzeki, spojrział uważniej i zobaczył coś, co wyglądało na stojące na uboczu samotne ranczo wybudowane na rozległej pustynnej równinie. Byli tam ludzie.

Bezksiężycowa noc pozwoliła mu niepostrzeżenie zbliżyć się do rancza. Z okien głównego budynku, wzniesionego z gliny suszonej na słońcu, płynęło łagodne żółte światło. Bieloną budowlę otaczały rozlatujące się zagrody i zaniedbane, podupadające przybudówki. Pod domem jednak stały błyszczące najnowsze modele SUV-ów, co mogło sugerować, że w tym miejscu prowadzono obecnie interesy innej natury niż hodowla bydła.

Pendergast podkradł się bezszelestnie na parking przed domem. Zauważył żarzący się koniuszek papierosa i mężczyznę stojącego przed wejściem do domu, obserwującego pojazdy i drogę. Strażnik palił papierosa i trzymał karabinek szturmowy oparty w zgięciu łokcia.

To byli bez wątpienia przemytnicy narkotyków.

Pozostając w cieniu, Pendergast okrążył cały dom. Z boku stał motocykl: Ducati Streetfighter S.

Poruszając się z największą ostrożnością, Pendergast zbliżył się do domu od niewidocznej, osłoniętej strony. Niski mur z cegły suszonej na słońcu oddzielał porośniętą krzewami pustynię od pylistego podwórza. Agent przycupnął przy murze, po czym z kocią zwinnością przeskoczył nad nim i przemknął przez pyliste podwórze, by przywrzeć całym ciałem do bocznej ściany budynku. Odczekał chwilę, aż pulsujący, tępy ból w nodze ustanie. Następnie sięgnął do kieszeni, wyjął z niej mały, lecz wyjątkowo ostry nóż i ruszył dalej, w stronę naroża budynku.

Czekał, nasłuchując. Rozległ się szmer głosów, od czasu do czasu słychać było, jak mężczyzna stojący na zewnątrz i palący papierosa pokasłuje. Po chwili mężczyzna upuścił niedopałek i zgniótł go pod butem. Zaraz potem rozległ się trzask zapalniczki, mrok na podwórzu rozjaśniła poświata wątego płomyka, gdy mężczyzna zapalił kolejnego papierosa. Pendergast usłyszał, jak strażnik zaciągający się dymem, wypuszcza powietrze i chrząka.

Przywierając plecami do ściany, sięgnął ręką i przez chwilę przesuwając palcami po ziemi, aż znalazł duży kamień wielkości pięści. Postukał nim lekko w ziemię, po czym czekał cierpliwie. Nic. Poskrobał kamieniem o ziemię, powodując nieco wyraźniejszy dźwięk.

Strażnik nagle ucichł.

Pendergast czekał, a potem jeszcze raz skrobął kamieniem ziemię, tym razem zdecydowanie i głośniej.

Wciąż cisza. A zaraz potem delikatne kroki skradającego się mężczyzny. Strażnik podszedł do rogu budynku i przystanął. Pendergast mógł usłyszeć jego oddech i ciche pobrzękiwanie karabinka, kiedy mężczyzna poprawił broń, szykując ją do strzału i przygotowując się do wyskoczenia zza rogu budynku. Pendergast powoli przykucnął jeszcze niżej i czekał, kontrolując ból. Nagle mężczyzna się wyłonił i w tej samej chwili Pendergast poderwał się

z ziemi, czubkiem noża wprawnie przeciął mięsień zginający prawego palca wskazującego strażnika. Równocześnie podbił w górę karabinek i z całej siły rąbnął mężczyznę kamieniem w skroń. Facet bez jęku osunął się na ziemię nieprzytomny. Pendergast odebrał mu karabinek M4 i zarzucił sobie na ramię. Podkradł się w stronę motocykla. Kluczyk tkwił w stacyjce.

Masywny, przypominający szkielet motocykl nie miał po bokach sakw podróżnych, Pendergast przewiesił więc przez ramię prowizoryczny tobołek obok karabinka M4. Ponownie trzymając się wśród cieni, podkradł się do trzech SUV-ów zaparkowanych na pylistym placu, po czym kolejno wbił ostrze noża w opony każdego pojazdu.

Wrócił do streetfightera, umościł się na siodełku i uruchomił zapłon. Masywny silnik ożył natychmiast, a Pendergast, nie tracąc ani chwili, zluźnił bieg z jałowego, zwolnił sprzęgło i gwałtownym ruchem prawej dłoni dodał gazu.

Gdy ruszył z podjazdu, wzbijając za sobą kłęby kurzu, i wciąż jeszcze na pierwszym biegu osiągnął ponad osiem tysięcy obrotów na minutę, w lusterku wstecznym spostrzegł handlarzy narkotyków, którzy z bronią w rękach jak wściekłe, rozjuzzone pszczoły wypadli z wnętrza rancza. Wcisnął sprzęgło i wrzucił dwójkę, gdy za nim rozległa się kanonada wystrzałów. Zapaliły się reflektory SUV-ów i przemytnicy gorączkowo zaczęli uruchamiać swoje auta, a zaraz potem dały się słyszeć kolejne wystrzały i przekleństwa i wnet to wszystko pozostało daleko w tyle, rozmywając się w mroku nocy.

Mknął na południe przez pustą, wymarłą pustynię z coraz większą prędkością, sukcesywnie zmieniając biegi w ducati. Musiał przechwycić tamtych, zanim dotrą do Cananei.

Przyspieszył jeszcze bardziej, pędząc na ryczącym streetfighterze pod bezkresnym, rozgwieżdżonym niebem, które wolno przesuwało się nad jego głową.

84 GODZINY PÓŹNIEJ

Było jeszcze dobrze przed świtem, gdy pośród bezkresu pustynnej czerni dostrzegł czerwony błysk – tylne światła pojazdu sunącego z ogromną prędkością przez odległy gąszcz. Samochód kierował się na południowy zachód. Niecałe dziesięć kilometrów dalej na południe widać już było światła Cananei.

Zjeżdżając w bok, przeciął otwartą połąc pustyni, aż dotarł do jednej z równoległych dróg wiodących na wschód. Wibracje motocykla na nierównej drodze i gałęzie krzewów chłoszczące jego nogi sprawiły, że bandaż na łydce się poluzował. Pendergast czuł krew ściekającą po nodze; szkarłatne krople z sykiem skapywały na rozgrzany tłumik. Wyjął cztery kolejne tabletki ibuprofenu i wrzucił do ust.

Pojazd był teraz niewidoczny gdzieś wśród krzewów na prawo od niego. Jechał dalej, a światła Cananei powoli, nieubłaganie przybierały na sile. Według tego, czego się dowiedział od Mima, powinni najpierw napotkać kilka niedużych zakładów maquiladora znajdujących się na północ od miasta. Asfaltowe drogi prowadziły od factorii do miasteczka, gdzie łączyły się z główną szosą wylotową. Nie mógł pozwolić, aby dotarli do jednej z tych asfaltowych szos. Musiał ich dopaść na pustyni.

Przyspieszył jeszcze bardziej, podczas gdy luna na niebie od południa przybrała na sile, a widok ten nakłonił go do tego, aby jeszcze bardziej zwiększyć prędkość. Do Cananei zostały już tylko nieco ponad trzy kilometry. Kiedy Pendergast uznał, że zrównał się z niewidocznym pojazdem, skręcił na zachód, mknąc przez

pofałdowaną połąć pustyni; motocykl pokonywał kolejne nierówności terenu i przedzierał się przez gęstwiny krzewów. Minutę później Pendergast zobaczył dokładnie na zachód od siebie światła drugiego pojazdu, sunącego równoległe do motocykla, a ponieważ znajdował się dostatecznie blisko, stwierdził, że w rzeczywistości były to dwa samochody jadące jeden za drugim – sądząc po wyglądzie, cadillaki escalade. Pędziły z dużą prędkością, ale nie tak szybko jak on. I najwyraźniej żaden z tamtych nie dostrzegł jeszcze świateł ducati.

Lewą ręką Pendergast zdjął z ramienia karabinek M4 i trzymając prawą dłoń na przepustnicy, oparł na kierownicy lufę, podczas gdy kolba była wsparta o jego bok. Upewnił się, że broń jest przestawiona na ogień ciągły.

Jednak tamci już go zauważyli i zaczęli zjeżdżać z drogi, kierując się na przełaj przez chaszczce.

Za późno. Motor był szybszy, zwrotniejszy, a wielkie SUV-y nie mogły jeździć na przełaj ze zbyt dużą prędkością. Zbliżając się do nich pod kątem, Pendergast skierował ducati w lukę pomiędzy dwoma pojazdami i potrzebował tylko chwili, by dostrzec przez tylną szybę drugiego wozu przepełnioną przerażeniem twarz Helen. Z pierwszego auta wychylił się mężczyzna i strzelił do niego z pistoletu, na szczęście niecelnie. Pendergast dodał gazu, a potężny silnik ducati zagrał równym rytmem, gdy maszyna przyspieszyła i przemknęła obok pierwszego escalade, i puścił serię z M4, dziurawiąc karoserię SUV-a na wysokości klatki piersiowej. SUV zjechał na bok, wpadł w poślizg i przeokołkował kilka razy, po czym wylądował na dachu i eksplodował, zmieniając się w pomarańczową kulę ognia.

Drugi pojazd gwałtownie zahamował i znalazł się daleko z tyłu. Dając ostro po tylnym hamulcu, Pendergast wprowadził streetfightera w ostry ślizg, a przy tym wzbił potężną chmurę kurzu, następnie zatrzymał się. Czekał, by przekonać się, co zrobi kierowca.

Escalade skręcił ostro w bok i ruszył po nierównym terenie, przedzierając się przez niskie krzewy kreozotu i kierując się ku

asfaltowej szosie na skraju miasteczka. Od strony pojazdu dały się słyszeć odgłosy wystrzałów, którym towarzyszyły jaskrawe błyski, ale żadna z kul nie dosięgnęła celu.

Pendergast zwiększył obroty silnika motocykla, wprawnie wchodząc w dziewięćdziesięciostopniowy skręt, i ruszył w pościg za pojazdem.

Dogonił go bardzo szybko, sunąc na południe i wykonując sprytny manewr oskrzydający, czym zmusił SUV-a do skierowania się na wschód i oddalania tym samym od dzielnicy fabryk i obrzeży miasteczka. Niemniej droga do najbliższej factorii, wzdłuż której po obu stronach stały latarnie sodowe, zbliżała się bardzo szybko.

Od strony SUV-a huknęły kolejne strzały, ale kule trafiły w ziemię po obu stronach Pendergasta, wzbijając w górę kaskady piachu. Mężczyzna celował do niego z pistoletu przez tylne okno. Escalade jednak tak mocno się kołysał, że szanse, iż Pendergast zostanie trafiony przez którąś z kul, były nikłe. Agent ponownie przyspieszył, sunąc za SUV-em i nieco obok niego. Znow oparł karabinek o kierownicę motocykla. Mężczyzna wychylający się przez okno oddał w jego stronę kilka kolejnych niecelnych strzałów.

Pendergast zjechał w bok, zbliżył się do SUV-a i ponownie dodał gazu. Zrównał się z pojazdem i puścił serię z karabinu, ale tym razem celował nisko i do przodu, więc wystrzelone kule dosięgnęły przedniej opony samochodu. Równocześnie kanonada pocisków z escalade trafiła w motocykl, rozrywając łańcuch i wprowadzając ducati w ślizg. Pendergast gorączkowo manipulował przednimi i tylnymi hamulcami, aby nie wejść w niekontrolowany spin. Gdy prędkość motocykla gwałtownie spadła, zeskoczył w gąszcz krzewów kreozotu, zanim maszyna stoczyła się do wąskiego parowu.

Agent podniósł się natychmiast z karabinkiem w ręce, wycelował i ponownie strzelił do oddalającego się pojazdu. Escalade już zaczął się obracać, po tym jak stracił przednią oponę, a kiedy agent przestrzelił tylną oponę po tej samej stronie, SUV ostro zahamował. Po chwili z pojazdu wyskoczyło czterech mężczyzn i uklękło,

otwierając ogień.

Agent rzucił się na ziemię i kiedy kule zaczęły orać grunt wokół niego, powoli złożył się do strzału. Dysponował lepszą bronią i kolejno dwoma celnymi strzałami powalił dwóch mężczyzn przy SUV-ie. Dwaj pozostali wycofali się za samochód i przerwali ostrzał.

Niedobrze.

Pendergast podniósł się i pobiegł możliwie jak najszybciej – co w jego wypadku można by raczej określić mianem powolnego kuśtykania – ruszając do ataku. Przez cały czas strzelał, ale tak, by kule przelatowały ponad unieruchomionym pojazdem. Wtem z jednej strony samochodu pojawiły się równocześnie dwie postacie: jedna przyciągnęła do siebie Helen, przytykając jej do głowy lufę pistoletu, a druga – wysoki, muskularny mężczyzna o śnieżnobiałych włosach, który pilotował samolot – przykucnęła z tyłu, wykorzystując tamtą dwójkę jako żywą tarczę. Siwowłosa nie był chyba uzbrojony, a w każdym razie nie próbował strzelać do Pendergasta.

Agent raz jeszcze rzucił się na ziemię i uniósł karabin przed sobą, ale nie odważył się strzelić.

– Aloysiusie! – rozległ się zduszony krzyk.

Pendergast wycelował starannie. Czekał.

– Rzuć broń albo ją zabiję! – rozległ się szorstki głos z charakterystycznym akcentem.

To był głos mężczyzny, który używał Helen jako żywej tarczy. Trzy postacie zaczęły się powoli wycofywać, oddalając się od eskalady; siwowłosa trzymał się tuż za pozostałą dwójką.

– Przysięgam, że ją zabiję! – ryknął mężczyzna.

Ale Pendergast wiedział, że tamten tego nie robi. Stanowiła jego ochronę. Jedyne zabezpieczenie.

Mężczyzna oddał dwa strzały do Pendergasta, jednak na tę odległość pistolet nie był ani skuteczną, ani celną bronią.

– Puść ją! – zawołał Pendergast. – Chcę jej, a nie ciebie! Puść ją, a pozwolę ci odejść!

– Nie!

Mężczyzna rozpaczliwie przycisnął Helen do siebie. Pendergast podniósł się powoli, opuszczając karabin do boku.

– Po prostu ją puść – powiedział. – To wszystko. Nie będę próbował żadnych sztuczek. Masz moje słowo.

Mężczyzna oddał jeszcze jeden strzał do Pendergasta, ale także ten pocisk chybił celu. Pendergast pokuśtykał w ich stronę, trzymając karabin opuszczony do boku.

– Puść ją. To jedyny sposób, abyś mógł odejść stąd żywy. Puść ją.

– Rzuć karabin! – W głosie mężczyzny pobrzmiwała nuta przerażenia.

Pendergast powoli odłożył karabin na ziemię i wyprostował się, unosząc ręce.

– Aloysiusie! – zaszlochała Helen. – Odejdź stąd, po prostu stąd idź!

Mężczyzna ciągnący za sobą Helen jeszcze raz strzelił do Pendergasta, ale ponownie chybił. Znajdował się za daleko i był zbyt ogarnięty paniką, aby mógł oddać celny strzał.

– Zaufaj mi – powiedział Pendergast spokojnym, zrównoważonym głosem, rozkładając szeroko ręce. – Puść ją.

Przez jedną przerażającą chwilę wydawało się, jakby czas stanął w miejscu. I nagle z głośnym, nieartykułowanym okrzykiem mężczyzna powalił Helen na ziemię, opuścił pistolet i oddał do niej strzał z przyłożenia.

– Pomóż jej albo spróbuj mnie dopaść – zawołał, odwracając się na pięcie i rzucając do ucieczki.

W powietrzu rozległ się rozdzierający krzyk Helen, który jednak urwał się jak ucięty nożem. Kompletnie zaskoczony Pendergast rzucił się naprzód, z jego ust dobył się nieartykułowany krzyk i po chwili uklęknął obok Helen. Wystarczył mu jeden rzut oka, aby upewnić się, że strzał był śmiertelny, z rany w piersi rytmicznie wypłynęła krew, kula trafiła w serce.

– Helen! – zawołał łamiącym się głosem.

Schwyciła go rozpaczliwie, jakby tonęła i chciała się czegoś przytrzymać.

– Aloysiusie... posłuchaj mnie... – Jej głos zmienił się w cichy szept.

Nachylił się nad nią.

Dłonie zacisnęły się jeszcze mocniej.

– On nadchodzi... Litości... Miej litość...

W tej samej chwili krew wypłynęła jej ustami i Helen nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Pendergast przyłożył dwa palce do miejsca, gdzie znajdowała się tętnica szyjna, i poczuł drżące, słabnące z każdą chwilą tętno towarzyszące ostatnim uderzeniom serca, aż nagle wszystko ustało.

Po chwili podniósł się powoli. Pokuśtykał chwiejnie do miejsca, gdzie pozostawił karabinek M4. Siwowłosy mężczyzna wydawał się równie zaskoczony jak Pendergast tym, co się właśnie wydarzyło, bo dopiero przed momentem rzucił się rozpaczliwie do ucieczki, podążając w ślad za tym, który oddał zabójczy strzał.

Pendergast uklęknął, uniósł karabin i wymierzył do zabójcy swojej żony, uciekającej postaci oddalonej teraz dobrych pięćset metrów od niego. Osobliwie obojętnie powrócił wspomnieniami do swojego ostatniego polowania.

Gdy miał już uciekającą postać na muszce, wziął niezbędną poprawkę na wiatr i opadanie kuli, po czym powoli nacisnął spust. Karabin zadrżał w jego dłoniach, a mężczyzna upadł.

Siwowłosy był niezłym biegaczem, bo zdołał prześcignąć zabójcę i coraz bardziej się oddalał. Pendergast złożył się do strzału, nacisnął spust, ale chybił.

Wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze, raz jeszcze wycelował do tamtego, uwzględniając wszystkie niezbędne poprawki i ponownie nacisnął spust. Ale znowu spudłował.

Gdy po raz trzeci nacisnął spust, usłyszał tylko suchy szcęk, ponieważ iglica trafiła na pustą komorę, ale do tego czasu mężczyzna rozpląnął się już pośród bezmiaru pustyni.

Po dłuższej chwili Pendergast ponownie odłożył karabinek na ziemię i wrócił do miejsca, gdzie spoczywało ciało Helen w rozlewającej się powoli wokół niej kałuży krwi. Długo, bardzo długo wpatrywał się w zwłoki żony. A potem zabrał się do pracy.

91 GODZIN PÓŹNIEJ

Słońce stało wysoko na niebie pobielającym z gorąca. Przez pustynię przetaczały się pyłowe diabły – niewielkie zawirowania powietrza unoszące z ziemi piasek i kurz. Błękitne góry odcinały się ostro na odległym horyzoncie. W górze, zataczając powoli coraz węższe kręgi, unosił się samotny sęp, który zwierzył śmierć.

Pendergast wrzucił do grobu ostatnią szufłę piachu, uderzył ją płaską częścią zardzewiałej łopaty i starannie wygładził grunt. Wykopanie dołu zajęło mu sporo czasu, bo starał się dotrzeć bardzo głęboko do gliniastej gleby. Nie chciał, by grób został naruszony czy to przez zwierzę, czy przez człowieka.

Przerwał, opierając się na łopacie i oddychając płytko. Rana w nodze znów zaczęła krwawić wskutek nadmiernego wysiłku i ostatni opatrunek całkowicie przesiąkł. Kropelki potu zmieszanego z błotem spływały po jego pozbawionej wyrazu twarzy. Koszulę miał podartą, jej strzępy zwisały luźno, śnieżnobiały niegdyś materiał był teraz brązowy od kurzu. Z marynarki zostały łachmany, spodnie także miał porozdzierane. Spojrzał na splachetek nienaruszonego gruntu, a potem bardzo wolno – jak starzec – pochylił się i sięgnął po toporną płytę pamiątkową wykonaną z deski, którą zabrał z tego samego opuszczonego rancza, gdzie znalazł zardzewiałą łopatę. Nie chciał, aby już na pierwszy rzut oka było widać, że to grób. Wyjął z kieszeni nóż i drżącą dłonią wyrył na desce:

H.E.P.

Aeternum vale

Pokuśtykał w stronę wezglowia grobu, po czym wbił zaostrzoną dolną część deski w ziemię. Cofnął się o krok i unosząc łopatę, starannie wymierzył, a następnie z całej siłą uderzył nią w górną krawędź deski.

Łup!

...Siedział przy niewielkim ognisku, wśród zalesionych stoków Cannon Mountain. Naprzeciw niego siedziała Helen ubrana w kraciastą flanelową koszulę i buty trekkingowe. Właśnie mieli za sobą trzeci dzień z zaplanowanego tygodnia wędrówek z plecakami przez pasmo White Mountains. Za polodowcowym górskim stawem zachodziło słońce wyglądające jak kula szkarłatnego ognia, rozświetlając szczyty Masywu Franconia. Gdzieś daleko z dołu, od strony Lonesome Lake Hut, dochodził gwar głosów i fragmenty śpiewanej przez kogoś piosenki. Na ogniu stał dzbanek espresso, aromat kawy mieszał się z zapachem dymu palonego drewna, sosen i niecierpka. Gdy Helen odstawiła dzbanek, spojrzała na niego i nagle się uśmiechnęła – tym swoim niezwykłym uśmiechem, na poły nieśmiałym, na poły pewnym siebie – a potem postawiła na dużym płaskim kamieniu dwie maleńkie porcelanowe filiżanki do espresso, jedną przy drugiej, z typową dla siebie precyzją i starannością.

Pendergast zachwiał się i aż sapnął z wysiłku, jaki kosztowało go uderzenie zadane starą łopatą. Przetarł czoło drżącym, niepewnym przedramieniem. Błoto i pot uwalają postrzępiony rękaw jego garnituru. Stał w palących promieniach słońca, próbując złapać oddech i odzyskać siły. Wreszcie, ponownie sapiąc z wysiłku, uniósł łopatę. Ciężar narzędzia sprawił, że Pendergast zachwiał się do tyłu i z trudem odzyskał stabilną pozycję. Kolana zaczęły się pod nim uginać, ale zanim znowu stracił równowagę, raz jeszcze uderzył łopatą w górną krawędź deski, wkładając w to resztkę sił, jakie zdołał z siebie wykrzesać.

Łup!

...Londyn, wczesna jesień. Liście na cienistych drzewach ciągnących się szpalerem wzdłuż Devonshire Street zaczęły nabierać szlachetnego złocistego odcienia. Wyszli z galerii Christie's i zmierzali w stronę

Regent's Park. Podejmując wyzwanie, jakie rzuciła mu Helen, kupił właśnie na aukcji dwa dzieła sztuki, które pokochał od razu: pejzaż morski Johna Marina i płótno przedstawiające opactwo Whitby, w katalogu Christie's zapisane jako dzieło „mniej znanego malarza epoki romantyzmu”, które jego zdaniem mogło być wczesnym Constable'em. Helen przemyśliła na aukcję piersiówkę z koniakiem i teraz, kiedy przechodzili przez Park Crescent i wchodzili na teren parku właściwego, zaczęła na głos recytować wiersz Wybrzeże w Dover: „Dziś w nocy morze zastygło w spokoju. Pora przyptywu; księżyc srebrzy wodę”^[1]...

Upuścił łopatę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Leżała przekrzywiona, w poprzek jego butów, na wpół zanurzona w sypkiej glebie. Uklęknął, by ją podnieść, i nagle upadł na kolana. Wyciągnął rękę, aby się podeprzeć, ale ramię ugięło się pod nim i wylądował jednym policzkiem w piachu. To byłoby łatwe, dziecinnie łatwe, pozostać tak, leżąc nad ciałem Helen. Słyszał jednak powolne kap, kap, kap krwi ściekającej na piach i uświadomił sobie, że nie może odpuścić, dopóki nie ukończy swojej pracy. Podźwignął się do pozycji siedzącej. Po kilku minutach poczuł się dość silny, aby wstać. Z najwyższym wysiłkiem, podpierając się na łopacie jak na kuli, powstał, unosząc najpierw lewą, a potem prawą nogę. Ból w zranionej łydce minął, teraz nie czuł już nic. Zupełnie. Pomimo że słońce prażyło niemiłosiernie, na obrzeżach jego pola widzenia pojawiły się mroczne smugi. Miał jeszcze tylko jedną szansę, aby wbić deskę na stałe w ziemię, zanim straci przytomność. Zaczerpnął oddechu, schwycił stylisko łopaty najmocniej jak potrafił, uniósł je drżącymi rękami i resztką sił zamachnął się, by opuścić łopatę i uderzyć nią w górną krawędź deski. Łup!

...Ciepła letnia noc, granie świerszczy. On i Helen siedzieli na tylnej werandzie w Plantacji Penumbra, ze smukłymi kieliszkami w dłoniach, i obserwowali, jak wieczorna mgła nadciąga od strony zalewiska, połyskując w blasku księżyca. Wał mgieł nadchodził najpierw nad obszar pobliskich moczarów, by powoli, lecz nieubłaganie wślizgnąć się do głównego ogrodu, a następnie

przepełnąć po polaci traw ciągnącej się ku olbrzymiej rezydencji; biały opar wił się ponad trawnikiem, zdając się lizać kamienne stopnie jak nadciągający w zwolnionym tempie przyptyw, spowity upiorną bielą przez srebrzysty blask księżyca w pełni.

Nieopodal na barku na kółkach stał dzbanek z mrożoną lemoniadą, wciąż w połowie pełny, oraz to, co zostało z półmiska crevettes rémoulade. Z kuchni dochodził aromat smażonych ryb: to Maurice przygotowywał na kolację pompano Pontchartrain.

Helen popatrzyła na niego.

– Czy nie mogłoby tak już zostać na zawsze, Aloysiusie? – zapytała.

Upił łyk lemoniady.

– Czemu nie? Przed nami całe życie. Możemy z nim zrobić, co tylko chcemy.

Uśmiechnęła się i spojrzała w górę.

– Zrobić z nim, co tylko zechcemy... Jesteś gotów to przysiąc na ten księżycowy blask?

Spoglądając z powagą na bursztynowy księżyc, zdecydowanym gestem przyłożył dłoń do piersi.

– Przysięgam.

Stał pośrodku bezkresnej, pustej, złowrogiej i obcej pustyni. Ciemność z wolna zasnuwała mu wzrok, miał wrażenie, jakby wpatrywał się w głąb mrocznego tunelu, którego koniec coraz bardziej się od niego oddalał. Łopata wyslizgnęła się z jego pozbawionych czucia palców i z brzękiem wylądowała na kamienistym gruncie. Z ostatnim na wpół słyszalnym westchnieniem Pendergast upadł na kolana, zakołysał się chwiejnie i osunął bezwładnie na grób swojej żony.

CZEŚĆ DRUGA

1

Alban Lorimer wszedł do holu hotelu Marlborough Grand w Nowym Jorku, a jego blade oczy chłoneły ogromną powierzchnię polerowanego włoskiego czerwonego marmuru, dyskretne oświetlenie, szemrzącą ścianę wody spływającej kaskadą do sadzawki pełnej kwitnących kwiatów lotosu i rozległą wytłumioną przestrzeń, w której roiło się od ludzi.

Przystanął pośrodku atrium pobudzony otaczającą go poranną krzątaniną. Skoncentrował się na pojedynczych, przypadkowo wybranych osobach, podążając za nimi wzrokiem. Wiele z tych osób kierowało się w stronę kolejki przy kiosku Starbucksa, skąd napływał aromat świeżo parzonej gorącej kawy.

Nowy Jork...

Gładką dłonią przesunął po klapie wełnianego prążkowanego garnituru; szczupłe, lecz silne palce z przyjemnością gładziły drogi materiał. Nigdy dotąd nie nosił takiego garnituru. Jego buty także były najwyższej jakości, zadbał o to, aby wyglądać jak najlepiej, jakby wybierał się na najważniejszą w swoim życiu rozmowę kwalifikacyjną. Poniekąd tak było, bo choć wszystko zostało zaaranżowane i poukładane pospiesznie, od tego miała zależeć cała reszta. Cóż za cudowne uczucie bezpieczeństwa, kiedy dobrze ubrany, z pieniędzmi w kieszeni stał w hotelowym holu najwspanialszego miasta na świecie. Jego doskonały wizerunek psuł jedynie niewielki opatrunek zasłaniający lewą małżowinę uszną, ale na to nic nie mógł poradzić. Kawa? Może później.

Alban ostatni raz wygładził przód marynarki, przeszedł przez

marmurowy hol w stronę wind, wszedł do jednej z kabin i nacisnął przycisk czternastego piętra. Spojrzał na nowiutki zegarek marki Breitling, który mu dano i z którego także był bardzo zadowolony: siódma trzydzieści jeden rano.

Windą jechały też inne osoby, w większości zaopatrzone w olbrzymie kubki z kawą. Alban zastanawiał się nad wielkością tych kubków. Ludzie w Nowym Jorku zdawali się wypijać hektolitry kawy. On wolał kawę w stylu włoskim, mocną, czarną i w niewielkich ilościach. Zdziwił się i był nawet lekko wstrząśnięty tym, że wielu turystów w Nowym Jorku nie ubierało się jak należy. Nawet tu, w tym przepięknym, drogim hotelu przy Piątej Alei, wyglądali, jakby zamierzali odebrać dzieci z treningu albo planowali poranną przebieżkę, bo mieli na sobie dresy i obuwie sportowe, bluzy i džinsy. Ale raczej niewiele z tych osób rzeczywiście wybierało się na jogging, jako że mężczyźni mieli wielkie obwisłe brzuchy, a kobiety były nabite i mocno umalowane. Nigdy dotąd nie widział tylu ludzi o tak fatalnej kondycji fizycznej. Chyba znów się zapomniał – przecież to było zwykłe pospólstwo.

Wysiadł na czternastym piętrze, skręcił w lewo i przemaszerował szybkim krokiem w głąb korytarza, pokonując swobodnie kolejne zakręty, aż dotarł do znajdujących się na samym końcu prowadzących na klatkę schodową drzwi wyjścia ewakuacyjnego. Odwrócił się i omiótł wzrokiem korytarz. Po prawej i po lewej stronie miał wejścia do pokoi. Po osiem z każdej strony. Przed drzwiami co drugiego z nich leżała zamówiona, złożona na pół poranna gazeta. Niektórzy goście czytali „Timesa”, inni „Journal”, kilku „USA Today”.

Czekał z dłońmi złożonymi z przodu, zmysły miał wyczulone do maksimum. Zastygł w kompletnym bezruchu. Wiedział, że od chwili, kiedy wszedł do hotelu, aż do teraz jego wizerunek został zarejestrowany przez ukryte kamery monitoringu. Nie dbał o to ani trochę. Później, patrząc na te nagrania, ludzie będą mówić: Cóż za nadzwyczajny gość! Ależ on się gustownie ubiera! Będą nim bardzo, ale to bardzo zainteresowani. Może nawet jego zdjęcie pojawi się

w gazetach.

Teraz jednak, w tym szczególnym miejscu, gdzie znajdował się obecnie, kamera rejestrująca właśnie ten odcinek korytarza umieszczona była dokładnie nad jego głową, a on stał w jej martwym punkcie, tak że nie mogła go zobaczyć.

Wciąż czekał. Aż wreszcie, w ściśle określonym momencie, zaczął ponownie maszerować zdecydowanym krokiem przez cały korytarz. W chwili gdy dotarł do drzwi pokoju o numerze 1422, te otworzyły się i kobieta w szlafroku schyliła się, by podnieść egzemplarz „Wall Street Journal”. Nie zmieniając kroku ani nie wykonując żadnych gwałtowniejszych ruchów, skręcił i wpadł na kobietę, wpychając ją z powrotem do pokoju, a równocześnie oplótł prawą ręką jej szyję, ściskając tak mocno, że nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Lewą ręką delikatnie zamknął drzwi i założył łańcuch.

Wyrywała się jak szalona, gdy zawlókł ją na sam środek wyłożonego wykładziną dywanową pokoju. Napawał się falowaniem jej mięśni, gdy z nim walczyła, chłonał ruchy przepony, kiedy próbowała wydobyć z siebie głos, rozkoszował się sposobem, w jaki skręcała tors, usiłując się wyrwać z jego uścisku. Była wojowniczką, miała wysportowane ciało, nie tak jak te tłuste babsztyłe w windzie. Pod tym względem miał szczęście. Mogła mieć jakieś trzydzieści lat, całkiem niebrzydkie blond włosy i nie nosiła obrączki. Podczas szamotaniny poły jej szlafroka rozchyliły się, dzięki czemu mógł ujrzeć ją taką, jak ją Pan Bóg stworzył. Wciąż wzmacniał uścisk, dławiąc ją tak skutecznie, że w końcu zrozumiała przekaz i przestała się miotać. Dopiero wtedy nieznacznie rozluźnił uścisk, na tyle, aby mogła odetchnąć, ale nie do tego stopnia, żeby mogła zacząć krzyczeć. Pozwolił jej na zaczerpnięcie powietrza raz, potem drugi i ponownie ścisnął ją za gardło.

Stali tak spleceni, jej plecy dotykały jego torsu, a jej ciałem nagle wstrząsnęły silne dreszcze i zaczęła tracić nad sobą panowanie, ze strachu ugięły się pod nią nogi.

– Stój prosto – rozkazał.

Usłuchała, jak na grzeczną dziewczynkę przystało.

– To potrwa tylko chwilę – powiedział.

Musiał to zrobić, chciał to zrobić, ale coś w jego wnętrzu domagało się również, aby przedłużał ten wyjątkowy moment absolutnej władzy nad inną istotą ludzką, tę chwilę ekstatycznego pławienia się w emanującej z niej aurze niepohamowanego przerażenia. Z całą pewnością było to najwspanialsze uczucie na świecie. I bez wątpienia jego ulubione.

Ale już czas, aby przejść do rzeczy.

Z pewnym żalem wyjął z kieszeni mały, specjalnie zaostrzony szczyryk. Odchylił rękę w bok, po czym szybkim, niemal rytualnym gestem wprawnie zatopił ostrze w jej szyi. Przytrzymał je przez jedną, cudownie przedłużoną chwilę, wsłuchując się w bulgot dobywający się z przedziurawionej tchawicy. Następnie wykonał szybki poziomy ruch, który sprawił, że ostrze rozplatało zarówno tchawicę, jak tętnicę szyjną niczym u szlachtowanego wieprzka. Kiedy ciałem kobiety targnął konwulsyjny skurcz, czym prędzej ją puścił i cofnął się pospiesznie o dwa kroki, podczas gdy ona upadła do przodu, z dala od niego, a krew buchnęła dokładnie w przewidzianym przez niego kierunku. Byłoby niewskazane, gdyby zaplamiał krwią garnitur – bardzo niewskazane. Nie byłiby zadowoleni.

Kobieta upadła twarzą na wykładzinę niezbyt ciężko, przy wtórze głuchego łupnięcia, które ktoś piętro niżej mógłby pomylić z dźwiękiem przewróconego przypadkiem mebla. Alban czekał, obserwując z największym zaciekawieniem, aż konwulsje ustaną, a ciało całkiem się wykrwawi.

Ponownie spojrzął na zegarek: siódma czterdzieści. *Schön*.

Jeszcze przed ósmą odwiedzi kiosk Starbucksa i wypije przepyszne doppio.

2

...Jeszcze raz, mgła się rozwiewa, a mężczyzna się uśmiecha. Kciukiem zwalnia bezpiecznik i unosi pistolet do strzału.

– Auf Wiedersehen – mówi, a jego krzywy uśmiech poszerza się, gdy mężczyzna rozkoszuje się tą chwilą.

Dziewczyna, szperając w torebce, znajduje to, co jest jej potrzebne, i mocno ściska w dłoni.

– Zaczekaj. Te... papiery. Mam je. Wahanie.

– Papiery... Laufera. – Przypomina sobie nazwisko na jednej z kartek i wyłuskuje je na chybił trafił z pamięci.

– To niemożliwe. Laufer nie żyje. Mężczyzna, nazista, wygląda na zbitego z tropu, okrutna pewność na jego twarzy zamienia się w zaniepokojenie, niepewność.

Dziewczyna chwyta palcami plik papierów, zwijając je w rulon i trochę zgniatając, po czym wyjmuje z torebki, ale tylko częściowo, aby pokazać mu widniejący na kartkach symbol swastyki.

Postępując niecierpliwie krok naprzód, mężczyzna wyciąga rękę, by zgarnąć dokumenty. Ale wśród zgniecionych kartek, dokładnie pomiędzy nimi, znajduje się pojemnik z gazem pieprzowym. Gdy mężczyzna spuszcza wzrok i sięga po zwitek dokumentów, dziewczyna pryska mu gazem pieprzowym prosto w twarz.

Mężczyzna z dzikim, zwierzęcym rykiem zatacza się do tyłu, upuszczając pistolet na podłogę, i unosi ręce do twarzy; papiery rozsypują się dokoła. Dziewczyna zgarnia je z powrotem do torebki, stopą odkopuje pistolet gdzieś w bok i biegnie w stronę drzwi, mijając pomieszczenie, gdzie znajduje się coś, co przypomina ołtarz, dociera

do schodów i zbiega po nich na pierwsze piętro, przeskakując po trzy stopnie naraz; ciężki plecak na jej ramieniu wydaje się wypchany kamieniami. I wtedy to się zaczyna: uczucie odpływania, nogi stają się ciężkie, ciało ogarnia częściowy paraliż. Z góry dobiegają szorstkie słowa w języku niemieckim, gardłowe okrzyki, tupot ciężkich stóp. Dziewczyna mija pracownię fałszerzy, sypialnię, słyszy za sobą ciężkie kroki ścigającego ją mężczyzny. Zbiega na parter, sapiąc z wysiłku, wciąż dziwnie wolno, jakby brnęła przez gęstą melasę, a może to efekt strachu, ale udaje się jej dotrzeć do drzwi frontowych i zaciska dłoń na klamce.

Zamknięte na klucz. A okna na parterze są zakratowane.

Kiedy się odwraca, z tyłu za nią rozlega się huk wystrzału i kula odrywa spory kawałek framugi. Dziewczyna wpada do salonu, wślizgując się za olbrzymią, przeszkloną, stojącą w pewnym oddaleniu od ściany komodę, która jakby czekała na wywiezienie. Przywierając plecami do ściany, chwytając się obramowania boazerii, unosi nogi do piersi i opiera stopy o mebel. Po chwili, gdy mężczyzna pojawia się w pomieszczeniu, dziewczyna z całej siły kopie nogami w komodę, przewracając ją na tamtego. Mężczyzna uskakuje w bok, ale porcelana, cynowe naczynia, książki i szkło runęły na niego – znów jak w zwolnionym tempie; mężczyźni udaje się uniknąć zmiżdżenia, niemniej górna krawędź mebla trafia go w kolano, przewracając na podłogę przy wtórze jego wściekłego skowytu.

Dziewczyna przeskakuje nad komodą i wybiega z salonu. Rozlega się kolejny strzał i nagle czuje ona silne szarpnięcie, a jej bok przeszywa rozlewająca się coraz szerzej fala żaru tak palącego, że towarzyszący temu ból nieomal powala ją na kolana.

Zataczając się i potykając, dociera wąskimi schodami do piwnicy, przebiega obok stert książek, wskakuje na krzesło, które podstawiła tam wcześniej, i wydostaje się przez okno. Ponad nią znów słychać tupot ciężkich kroków; jej prześladowca zdołał się pozbiierać i ponownie ruszył za nią w pościg, ale kroki są wolniejsze, wydaje się, że mężczyzna oszczędza jedną nogę.

Dziewczyna przedziera się przez gąszcz bożodrzewu, by dobiec do

rozchwianego stołu przy wysokim na dwa i pół metra murze, wspina się na niego i przewraca kopnięciem. Prześlizguje się nad krawędzią muru i ląduje na podwórzu za domem swojej przyjaciółki Maggie. Przystaje na chwilę. Wokoło panuje cisza. Ale niezależnie od wszystkiego musi iść dalej. Wchodzi na tylny ganek, a potem przez kuchnię do mieszkania Maggie, zamykając delikatnie za sobą drzwi i nie zapalając światła.

Pierwsza w nocy. Maggie jeszcze nie wróciła z pracy. Dziewczyna spogląda na swój bok, który obficie krwawi, ale z ulgą stwierdza, że to tylko rana powierzchowna, zwykle draśnięcie, nic poważnego.

Szybko, bezszelestnie przechodzi przez tonące w ciemnościach mieszkanie, by dotrzeć do drzwi frontowych. Potem ostrożnie, bardzo ostrożnie uchyla je i wygląda na zewnątrz. Na East Avenue panuje spokój, w łagodnym blasku ulicznych latarni widać kilka przejeżdżających aut. Wybiega na zewnątrz, zamyka za sobą drzwi i chyłkiem kieruje się na północ, przepatrując ulicę w poszukiwaniu taksówek, boli ją bok, a pasek ciężkiego plecaka wrzyna jej się w ramię. Jak okiem sięgnąć ani jednej taksówki.

I wtedy to się staje. Tak jak tyle razy wcześniej: pisk hamulców, trzaśnięcie drzwiczek, tupot biegnących stóp.

Halt! – rozlega się szorstki, ochryply krzyk. – Hände hoch!

Kolejny mężczyzna biegnie w jej kierunku z pistoletem w dłoni.

Tłumiąc krzyk frustracji i rozpacz, dziewczyna wbiega do najbliższego otwartego sklepu – to całodobowe delikatesy. Nawet o tak późnej porze jest tu mnóstwo ludzi, stoją w kolejce do kasy albo korzystają z samoobsługowego baru sałatkowego. Przebiega przez cały sklep, potrącając stosy puszkowanych produktów, przewracając bar sałatkowy i wywalając śliską zawartość metalowych pojemników na podłogę. Wszystko, byle tylko powstrzymać prześladowcę. Wnętrze pawilonu przepęłniają okrzyki protestu. Dziewczyna wbiega do kuchni na zapleczu i wpada przez otwarte drzwi po prawej stronie, pokonuje krótki korytarz i trafia do innej kuchni, większej i ciemnej; najwyraźniej w tym drugim budynku mieści się restauracja. Przebiega przez spowite ciszą wnętrze, mijając stoliki nakryte białymi obrusami,

przygotowane na przyjęcie gości nazajutrz, otwiera frontowe drzwi, odblokowując zasuwkę, i wychodzi na East End Avenue, jakieś piętnaście metrów od miejsca, z którego zaczęła uciekać.

Rozgląda się nerwowo dokoła. Wciąż ani jednej taksówki. To tylko kwestia minut, może nawet sekund, kiedy dotrą tu naziści. Wypatrując na lewo i prawo, nagle dostrzega coś wśród zieleni parku Carla Schurza, po drugiej stronie ulicy: ceglany mur z zamkniętą bramą wjazdową, a za nią masywny żółty budynek w stylu budowli rządowych.

Rezydencja Gracie.

Przebiega przez ulicę, wspina się zwinnie po metalowej bramie i dostaje na sam szczyt ceglanego muru. Wie, że obecny burmistrz tu nie mieszka, gdyż zrezygnował z rezydencji na rzecz własnego, superluksusowego apartamentu, ale budynek i tak musi być dobrze strzeżony.

Oglądając się przez ramię, widzi drugiego nazistę, który wyłania się z delikatesów. Mężczyzna ją dostrzega i zrywa się do biegu.

Przeklinając swoją powolność, dziewczyna ześlizguje się z muru po drugiej stronie i biegnie w stronę rezydencji. W budynku jest ciemno, ale reflektory na zewnątrz są zapalone. Biegnie w stronę mundurowego policjanta stojącego przy rogu budynku.

– Panie władzo! – mówi, usiłując opanować oddech, i przerzuca plecak na drugie ramię, by zasłonił plamę krwi na jej boku. – Może mi pan powiedzieć, jak dostać się na Times Square?

Policjant patrzy na nią jak na wariatkę. Dziewczyna staje pomiędzy budynkiem a policjantem.

– Zgubiłam się i próbuję znaleźć drogę powrotną do hotelu. Pomoże mi pan?

Z tyłu za policjantem dziewczyna widzi drugiego nazistę, który zagląda ponad krawędzią ceglanego muru i gapi się.

Funkcjonariusz robi gniewną minę.

– Panienko, zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteś?

– Eee... w Central Parku?

Funkcjonariusz nie ma już wątpliwości, że dziewczyna musiała

wziąć jakieś prochy.

– Wstęp na ten teren jest zabroniony. Wtargnęła tu pani bezprawnie. Obawiam się, że musi pójść pani ze mną.

– Dobrze, panie władzo.

Idzie obok funkcjonariusza, gdy ten prowadzi ją w stronę frontowej części budynku. Oglądając się przez ramię, zauważa, że nazista zniknął. Teraz jednak musi jakoś zwiąć temu gliniarzowi – nie może ryzykować, aby jej nazwisko pojawiło się w oficjalnym raporcie. Czeka, aż zbliżą się do wschodniej bramy. Policjant otwiera ją kluczem, prowadząc dziewczynę do radiowozu. Ona trochę się ociąga, zostaje nieznacznie z tyłu. I nagle rzuca się pędem w stronę linii drzew rosnących wzdłuż obrzeża parku.

– Hej! – krzyczy policjant. – Wracaj mi tu zaraz!

Ale ona nie wraca. Biegnie i biegnie pomiędzy drzewami, a potem coraz dalej, przez opustoszałe uliczki i ciemne alejki, biegnie tak długo i z takim wysiłkiem, że ma wrażenie, jakby lada chwila miało jej eksplodować serce...

Corrie obudziła się ze zduszonym krzykiem. Przez chwilę była dezorientowana, oszołomiona, nie pamiętała, gdzie się znajduje. I wtedy zobaczyła otaczające ją obskurne ściany, a przed sobą zamknięte drzwi. W nozdrza uderzył ją odór fekaliiów i pamięć powróciła w okamgnieniu. Zasnęła w kabynie damskiej toalety na Penn Station. Znów miała ten sen, okropny, powracający, mrożący krew w żyłach koszmar, który nie był snem, ponieważ to wszystko wydarzyło się naprawdę, a konkretnie dwa tygodnie temu.

Pokręciła głową, aby rozwiać mgiełkę trwogi. Minęły już dwa tygodnie. I nic. Na pewno była bezpieczna.

Wstała. Ruch był tak gwałtowny, że jej kolana natychmiast zaprotestowały. Od siedzenia przez sześć godzin na sedesie całkiem zdrętwiał jej tyłek. Przynajmniej rana od kuli, niegroźne draśnięcie, już się zagoiła i Corrie przestała wreszcie czuć ból w boku. Po wyjściu z kabiny opłukała twarz i ręce, umyła zęby i przeczesowała włosy, używając przyborów toaletowych, które nabyła w Duane

Reade. Przejrzała się w lustrze. Dwa tygodnie na ulicy i odrobina makijażu zmieniły ją w brudną, obszarpaną, bezdomną narkomankę, a przynajmniej tak teraz wyglądała.

Była szósta po południu i na Penn Station roilo się od ludzi, ale na to właśnie liczyła. Przez ostatnie dwa tygodnie przemieszczała się wyłącznie w tłumie. Jej oczy bacznie przepatrywały otoczenie, rozglądając się za kimś, kto mógł ją śledzić. Poszukiwała wzrokiem zwłaszcza tego mężczyzny o okrutnej twarzy, nazisty w okularach z przydymionymi szklami.

Stała się bezdomną ukrywającą się na dworcach i w kościołach, sypiała na ławkach w parku albo pod wiaduktami przy autostradach, żywiła się big macami z kontenerów na śmieci za McDonalдами, wyrzucanymi po ich zamknięciu. Nie miała wątpliwości, że natknęła się na jakąś potężną, zorganizowaną grupę nazistów albo może spisek. To było jedyne wytłumaczenie ich kryjówki, tych wszystkich rzeczy i urzędzeń, jakie tam znalazła, począwszy od książek, a skończywszy na fałszywych dokumentach. To wyjaśniało również niezłomną determinację, z jaką tamci ją ścigali. Wiedzieli o skradzionych przez nią papierach.

Może to tylko jej pogłębiająca się paranoja dawała znać o sobie, ale odnosiła wrażenie, że byli gotowi dołożyć wszelkich starań, aby ją odnaleźć i zabić.

Mogła pójść na policję. Musiałaby jednak przyznać się do włamania z wtargnięciem, a to przestępstwo położyłoby kres jej prawniczej karierze, zanim jeszcze na dobre się zaczęła. Poza tym stróże prawa mogliby nie potraktować jej poważnie albo naziści mogli do tej pory ulotnić się ze swojej kryjówki. Kto by uwierzył, że hitlerowcy prowadzili jakąś sekretną operację z tajnej siedziby na Manhattanie w dwudziestym pierwszym wieku?

Kilkakrotnie próbowała skontaktować się z Pendergastem, lecz bez powodzenia. Rezydencja przy Riverside była zamknięta na głucho. Poprawiając dobrze jej znane brzemie plecaka na ramieniu, uzmysłowiła sobie, jak ważne było, aby się z nim spotkać. Nie miała wątpliwości, że te dokumenty mają niezwykłą wartość, choć nie

znając niemieckiego, nie potrafiła tego stwierdzić.

Dyskretnie obserwowała swoje mieszkanie, ale nie dostrzegła w pobliżu budynku oznak żadnej podejrzanego aktywności. Była przekonana, że tamci nie zdołali jej zidentyfikować.

Ale to jeszcze nie koniec. W ten czy inny sposób musiała dostarczyć te papiery Pendergastowi do rąk własnych i opowiedzieć mu o tym domu. Jej celem była teraz Dakota.

Zeszła na stację metra przy Ósmej Alei. Na stacji był tłok, gdyż właśnie przyjechał kolejny skład. Została z tyłu, przy końcu peronu, by odczekać, aż pasażerowie pociągu wysiądą z wagonów, a kolejni wsiądą. Skład odjechał i ci, którzy wysiedli, skierowali się do wyjść czy to na Ósmą Aleję, czy na perony przesiadkowe pociągów do Long Island i New Jersey. Na moment stacja zupełnie opustoszała. Corrie rozejrzała się po raz ostatni dokoła, usiadła na krawędzi peronu, ześlizgnęła się ostrożnie na tory, po czym maszerując w ślad za oddalającym się szybko pociągiem, zniknęła w ciemnościach tunelu.

3

Dawno temu detektyw porucznik Vincent D'Agosta nauczył się, że należy maksymalnie się spóźnić na wizytę w prosektorium przy Dwudziestej Szóstej Wschodniej. Na własnej skórze przekonał się, że pojawienie się tam zbyt wcześnie niesie ze sobą mnóstwo nieprzyjemnych konsekwencji, zwłaszcza jeśli docierało się na miejsce, kiedy autopsja jeszcze trwała, i było się świadkiem jej ostatniej części, z całą pewnością najgorszej. Powiedziano mu, że w końcu do tego przywyknie.

Nie przywykł.

Wiedział, że ta sekcja będzie bardziej drastyczna od innych. Młoda konsultantka IT, która przybyła z Bostonu w interesach, została zaszlachtowana i poćwiartowana w luksusowym nowojorskim hotelu, a nagrania z kamer monitoringu ukazywały zabójcę, który wyglądał jak model, i jego ofiarę, która była równie atrakcyjna. Natura zbrodni, noszącej znamiona przypadkowego zabójstwa dla przyjemności i być może łączącej elementy bodźców erotycznych i seksualnego spełnienia, gwarantowała spore zainteresowanie opinii publicznej. Nawet „Times” opublikował artykuł na ten temat.

W pewnym sensie, choć nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą, był zadowolony z wizyty w tym miejscu. Przełożony przydzielił tę sprawę właśnie jemu jako oficerowi dowodzącemu zespołem śledczych. To była jego zbrodnia, sprawa dla niego.

Minął drzwi, gdzie znajdowała się słynna fraza: *Taceat colloquia. Effugiat risus. Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae.* „Niech umilkną rozmowy. Niechaj ucichnie śmiech. Oto miejsce, gdzie

śmierć radość znajduje w niesieniu pomocy żyjącym”. To dało mu do myślenia i z niejaką satysfakcją stwierdził, że w jego życiu wreszcie zaczęło się układać. Rana w sercu niemal całkiem się zagoiła, jego stosunki z Hayward wyraźnie się poprawiły, była żona zniknęła na dobre, miał regularne kontakty z synem, a zagrożenie utratą pracy czy komisją dyscyplinarną należało już do przeszłości. Jediną niedokończoną sprawą pozostawał Pendergast i prowadzony przez niego pościg za porwaną żoną. Niemniej agent FBI potrafił o siebie zadbać.

D’Agosta powrócił myślami do bieżącej sprawy. Była czymś więcej niż doskonałą okazją, mogła stanowić prawdziwy kamień milowy w jego karierze. Może nawet pierwszy krok na drodze do awansu na kapitana.

Z tą świadomością wszedł do głównego korytarza budynku, gdzie mieściło się prosektorium i gdzie miał swoje biuro koroner sądowy. Zamiast powitania błysnął po drodze swoją odznaką pielęgniarzowi. Wpisał się i ruszył w stronę sali nr 113. Przed wejściem do środka włożył strój ochronny, po czym otworzył drzwi i stwierdził, że dotarł na miejsce w idealnym momencie.

Rozczłonkowane zwłoki leżały na wózku noszowym. Na drugim stojącym obok spoczywały, porozkładane z iście wojskową precyzją, brakujące części, większe i mniejsze, które wycięto z ciała, oraz szczelnie zamykane plastikowe pojemniki, w których znalazły się rozmaite organy usunięte przez patologa w trakcie autopsji.

Patolog sądowy zważyła ostatni organ wyjęty z jamy brzusznej – wątrobę – i przełożyła do osobnego pojemnika.

Wokół ciała stali dwaj mężczyźni należący do nowo sformowanego zespołu D’Agosty: Barber, śledczy przydzielony z jego posterunku, oraz facet od daktyloskopii, specjalista od pobierania organów, o zabawnym nazwisku, którego porucznik nie zdołał zapamiętać. Barber był jak zawsze w świetnym humorze, jego wielkie, ciepłe brązowe oczy nie przegapiały niczego. Facet od daktyloskopii – jak on się nazywał, u licha – sądząc po wyrazie twarzy, miał do przekazania jakieś ważne nowiny. D’Agosta

zdenierwował się, że żaden z mężczyzn nie wydawał się specjalnie przejęty ani skrępowany. Jak oni mogli znieść coś takiego? Próbował nie skupiać się na szczegółach, nie zatrzymywać na niczym wzroku, nie koncentrować się na pojedynczych rzeczach. Czuł się całkiem nieźle, choć rozdrażnił swoją dziewczynę, Laurę, bo odmówił sobie ulubionego śniadania, francuskiego tosta z chleba challah, soku pomarańczowego, a nawet kawy, zadowolając się szklanką włoskiej wody mineralnej.

Ciche powitanie, lekkie skinienie głową. Nie rozpoznał ubranej w strój ochronny patolog, która wciąż rejestrowała niezbędne dane na urządzeniu nagrywającym cały przebieg sekcji. Trudno mu było się przyjrzeć, ale zorientował się, że była młoda i zdumiewająco atrakcyjna, o lśniących, zaczesanych do tyłu czarnych włosach, ale bardzo spięta i delikatna.

– Pani doktor? Jestem szefem ekipy śledczej, porucznik D’Agosta – rzekł do niej.

– Doktor Pizzetti – odparła. – Nowa patolog sądowa skierowana tutaj w charakterze rezydenta.

Nieźle. Włoszka. To dobry znak. Była nowa, stąd to zdenierwowanie.

– Czy kiedy będzie pani miała chwilę, mogłaby pani udzielić mi niezbędnych informacji, pani doktor Pizzetti? – Oczywiście.

Zdażyła doprowadzić zwłoki do porządku, dyktując przy tym ostatnie uwagi i spostrzeżenia. Leżały na wózku noszowym jak rozsypana ludzka układanka i kobieta zaczęła teraz poprawiać niektóre fragmenty przesunięte w czasie sekcji, przywracając zwłokom wygląd ciała ludzkiego. Przełożyła parę organów i starannie pozamykała wieka kilku wcześniej otwartych pojemników. W tej samej chwili asystentka zwróciła się do niej półgłosem, wręczając długą, złowieszczo wyglądającą igłę.

D’Agosta zeszywniał. Co to miało być? Nie znosił igieł.

Pizzetti pochyliła się nad głową. Czaszka była już otwarta, mózg został usunięty. To jeszcze nie koniec? Co ona wyprawiała, u licha?

Gdy tak patrzył, patolog kciukiem uniosła powiekę martwej

kobiety, po czym wbiła igłę w jej gałkę oczną.

D'Agosta powinien był szybciej odwrócić wzrok, ale nie zrobił tego, a widok igły pogrążającej się w niebieskim, niewidzącym oku sprawił, że bardzo nieprzyjemnie ścisnęło go w żołądku. Zwykle próbki płynu z gałki ocznej pobierane były do testów toksykologicznych na początku, a nie pod koniec sekcji zwłok.

D'Agosta udał, że kaszle w maseczkę, i spuścił wzrok, a potem odwrócił go gdzieś w bok.

– Już prawie skończyliśmy, poruczniku – oznajmiła Pizzetti. – Potrzebowaliśmy jeszcze tylko jednej próbki do toksykologii. Za pierwszym razem pobraliśmy za mało.

– Jasne. Świetnie. Nie ma sprawy.

Wyjęła igłę i wyrzuciła do torby na odpady medyczne, po czym wręczyła strzykawkę wypełnioną żółtopomarańczowym płynem swojej asystentce. Potem cofnęła się i rozejrzała po sali. Zdjęła zabrudzone rękawiczki, cisnęła do torby na szkodliwe odpady, zdjęła maseczkę i pozbyła się słuchawki z mikrofonem.

Asystentka podała jej notes na podkładce.

Patolog naprawdę była spięta. D'Agostie zrobiło się żal młodej, nowej rezydentki, dla której zapewne to była pierwsza poważniejsza sprawa. Martwiła się możliwością ewentualnej pomyłki. Ale z tego, co miał okazję ujrzeć przed sobą, wykonała świetną robotę.

Zaczęła od wyrecytowania zwyczajowej litanii: wzrost, waga, wiek, przyczyna zgonu, znaki szczególne, stare blizny, stan zdrowia, zmiany patologiczne. Głos miała miły, choć z nutą zdenerwowania. Facet od daktyloskopii robił notatki. D'Agosta wolał słuchać i zapamiętywać. Gdy robił notatki, często zdarzało mu się przegapić różne rzeczy.

– Zgon spowodowała tylko jedna rana. Na szyi – stwierdziła Pizzetti. – Brak tkanki pod paznokciami. Wstępne testy toksykologiczne dały wynik negatywny. Brak oznak walki.

Kontynuowała, skrętnie opisując głębokość, kąt i anatomię pojedynczej rany klutej. To był zorganizowany, inteligentny zabójca, pomyślał D'Agosta, gdy usłyszał, jak skuteczna była śmiertelna rana,

jeśli chodziło o wykrwawienie ciała. W jednej chwili uciszył ofiarę i spowodował, że błyskawicznie się wykrwawiła, a wszystko to wskutek jednego pchnięcia ostrym jak brzytwa nożem o obosiecznym ostrzu długości około dziesięciu centymetrów.

– Śmierć – dokończyła patolog – nastąpiła w ciągu trzydziestu sekund. Wszystkie inne cięcia zostały wykonane pośmiertnie.

Pauza.

– Ciało zostało rozcłonkowane piłą Strykera, być może taką jak ta z tyłu za mną. – Wskazała na piłę leżącą na stojaku przy ciele. – Piła Strykera ma ostrze w kształcie klina, które porusza się w tę i z powrotem z olbrzymią prędkością i jest napędzane sprężonym powietrzem. Zaprojektowano ją tak, by przecinała kości, ale zatrzymywała się natychmiast, gdy napotka tkankę miękką. I tak, by podczas cięcia nie rozbryzgiwała płynów ani fragmentów kości. Sposób jej użycia przez sprawcę świadczy o tym, że mamy do czynienia z ekspertem. Z wybitnym ekspertem.

D’Agosta odchrząknął. Nieprzyjemny ucisk w żołądku nie zelżał, ale przynajmniej przestało mu być niedobrze.

– Zatem sprawca może być koronerem albo chirurgiem ortopedą? – zapytał.

Długa cisza.

– Nie mnie o tym spekulować.

– Chodzi mi tylko o spontaniczną opinię, pani doktor. Nie o naukową konkluzję. Nie zamierzam się na nią później powoływać. Co pani o tym sądzi? – Próbował mówić swobodnie, żeby nie czuła się zagrożona.

Kolejne zawahanie. D’Agosta zaczął się domyślać, czemu była tak spięta: musiała się zastanowić, czy morderca nie był kolegą po fachu.

– Odnoszę wrażenie, że osoba, która tego dokonała, przeszła odpowiednie przeszkolenie zawodowe wyrzuciła wreszcie z siebie jednym tchem.

– Dziękuję.

– Poza tym sprawca użył narzędzi chirurgicznych, aby rozplatać

ciało do kości. Precyzja jest niebywała i zdumiewająca. Posłużył się rozwieraczem, aby odgarnąć tkanki na boki – potwierdzają to udokumentowane znaki na ciele – oraz, jak już powiedziałam, piły Strykera, aby przeciąć kości. Wszystkie cięcia wykonał bardzo wprawnie, precyzyjnie, bez omsknięć czy pomyłek, jak chirurg przeprowadzający amputację. Tyle tylko że, oczywiście, naczynia nie zostały podwiązane ani skauteryzowane.

Odchrząknęła.

– Ciało rozczłonkowano symetrycznie: jedno cięcie siedem i pół centymetra poniżej kolana, drugie siedem i pół centymetra powyżej kolana, jedno pięć centymetrów powyżej łokcia i drugie pięć centymetrów poniżej niego. Następnie usunięte zostały uszy, nos, usta, podbródek i język. Wszystko z chirurgiczną precyzją.

Wskazała na części ciała rozłożone na drugim wózku noszowym ustawionym przy zwłokach. Uszy, nos, usta i inne drobne fragmenty zostały obmyte i wyglądały jak woskowe atrapy albo elementy stroju kłowna.

D’Agosta poczuł, jak nieprzyjemny ucisk w jego żołądku wzmaga się, w gardle miał palący smak żółci. Chryste, nawet nie powinien był pić tej mineralnej.

– No i jeszcze to.

Pizzetti odwróciła się i wskazała na zdjęcie dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów przypięte pinezką do korkowej tablicy wraz z innymi zrobionymi na miejscu zbrodni. D’Agosta miał już okazję to widzieć na miejscu zbrodni, ale i tak musiał się przygotować psychicznie.

Na brzuchu ofiary widniały słowa napisane krwią. Treść była następująca:

Dumny ze mnie?

D’Agosta spojrział na faceta od daktyloskopii. Jak on się nazywał? Nadeszła jego kolej, a błysk w oku świadczył o tym, że tamten chce coś powiedzieć.

– Tak, panie... ee... – zwrócił się do niego porucznik.

– Kugelmeyer – padła natychmiastowa odpowiedź. – Dziękuję. No

cóż. Mamy praktycznie zdjęte z ciała całe serie odcisków. Prawego i lewego kciuka, prawego i lewego palca wskazującego, prawego palca serdecznego i kilku fragmentów odcisku wnętrza dłoni. Na dodatek mamy też dwa cacuszka – zachowane w krwi ofiary odciski lewego palca wskazującego, którym sprawca posłużył się do napisania wiadomości.

– Doskonale – rzekł D’Agosta.

Zapowiadało się naprawdę nieźle. Zabójca był zaskakująco nieostrożny, pozwolił sobie, by zarejestrowało go kilka kamer monitoringu, i na dodatek pozostawił na miejscu zbrodni mnóstwo odcisków palców. Z drugiej strony eksperci od badania miejsca zbrodni nie zebrali wiele materiałów – żadnych próbek śliny ani potu, krwi czy innych płynów ustrojowych sprawcy. Naturalnie znaleźli sporo włosów i włókien, był to przecież pokój hotelowy, ale nic, co mogłoby wyglądać naprawdę obiecująco. Żadnych śladów ugryzień na ciele, zadrapań, nic, co mogłoby zapewnić im próbkę DNA zabójcy. Pobrali jednak wiele odcisków w nadziei, że zdołają wyizolować na ich podstawie szczątkowe choćby fragmenty DNA, a przynajmniej na to właśnie liczyli spece z laboratorium kryminalistyki. Pizzetti mówiła dalej:

– Nie było żadnych śladów czynności erotycznych, penetracji, przemocy seksualnej czy molestowania. Ofiara właśnie wyszła spod prysznic, co znacznie ułatwiło pozyskanie z ciała potencjalnych materiałów dowodowych.

D’Agosta już miał zadać pytanie, gdy usłyszał za sobą znajomy głos.

– Proszę, toż to porucznik D’Agosta we własnej osobie. Co słyhać, Vinnie?

D’Agosta odwrócił się, by ujrzeć masywną, robiącą wrażenie postać doktor Matildy Ziewicz, naczelnej koroner Nowego Jorku. Stała jak rozgrywający na boisku, z cynicznym uśmiechem na uszminekowanych czerwono ustach, jej tlenione blond włosy zakrywał wielki czepek, a kitel, który miała na sobie, w rozmiarze XXL, zdawał się pękać w szwach. Była błyskotliwa, władcza,

fizycznie odpychająca, sarkastyczna, wszyscy się jej bali, ale miała jeden zasadniczy atut – była wyjątkowo skuteczna. Nowy Jork nigdy nie miał bardziej kompetentnego naczelnego koronera.

Doktor Pizzetti spięła się jeszcze bardziej. Ziewicz machnęła ręką.

– Mów dalej, nie zwracaj na mnie uwagi.

Nie sposób jednak było nie zwracać na nią uwagi, ale Pizzetti powróciła do relacjonowania wstępnych wyników, niezależnie, czy były istotne, czy nie. Ziewicz słuchała z największą uwagą, aż wreszcie, gdy Pizzetti podjęła swój monolog, spłotła dłonie za plecami i wolno, przeraźliwie wolno okrążyła dwa wózki noszowe – ten, na którym spoczywały zwłoki, i ten z pozostałymi częściami ciała – przyglądając się im i wydymając uszmińkowane na czerwono usta.

Po kilku minutach wydała z siebie ciche: hmmm. A potem jeszcze jedno, pokiwała głową, odchrząknęła i wymamrotała coś pod nosem.

Pizzetti zamilkła.

Ziewicz wyprostowała się, po czym odwróciła się do D'Agosty.

– Poruczniku, pamięta pan tamte zabójstwa z muzeum przed laty?

– Jak mógłbym zapomnieć?

Wtedy po raz pierwszy spotkał tę niezwykłą kobietę, było to jeszcze w czasach, zanim została naczelnym koronerem miejskim.

– Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek dożyję sprawy równie niezwykłej jak tamta. – Ziewicz odwróciła się do Pizzetti i powiedziała: – Coś pani przegapiła.

D'Agosta zauważył, że młoda patolog zamarła.

– Przegapiłam... coś? Ziewicz lekko skinęła głową.

– Coś nader istotnego. A ten mały drobiazg sprawia, że wszystko z miejsca nabiera. – machnęła ręką – zupełnie innego, olbrzymiego znaczenia.

Zapadła długa, przepelniona paniką cisza. Ziewicz odwróciła się do D'Agosty.

– Prawdę mówiąc, zadziwił mnie pan, poruczniku. D'Agosta był bardziej rozbawiony niż rozdrażniony.

– A co, dostrzegła pani tu gdzieś pazur czy coś takiego?

Ziewicz odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się melodyjnie.

– Jest pan naprawdę zabawny.

Ponownie odwróciła się do doktor Pizzetti, podczas gdy wszyscy obecni w pomieszczeniu wymienili zdumione spojrzenia.

– Dobry patolog przystępuje do autopsji bez żadnych uprzedzeń czy wyrobionych sądów.

– Tak – zgodziła się Pizzetti.

– Ale pani przyszła tu, mając już z góry wyrobioną opinię.

Panika doktor Pizzetti zaczęła narastać coraz bardziej.

– Nieprawda. Podeszłam do tego zadania z otwartym umysłem.

– Próbowала pani, ale bez powodzenia. Założyła pani, pani doktor, że ma do czynienia tylko z jednym ciałem.

– Z całym szacunkiem, doktor Ziewicz, ale tak nie było. Zbadałam każdą ranę i wyjątkowo skrupulatnie poszukiwałam poszczególnych części ciała. Jednak każda część pasuje do reszty. Żadna nie została zamieniona z częściami ciała należącymi do innych zwłok.

– A przynajmniej tak się wydaje. Nie sporządziła pani jednak pełnego spisu.

– Spisu?

Ziewicz przysunęła swoje masywne cielsko do drugiego wózka, na którym ułożono starannie obmyte usunięte fragmenty twarzy. Wskazała na niewielki kawałek ciała.

– Co to jest?

Pizzetti pochyliła się do przodu i przyjrzała uważniej.

– Fragment... wargi, jak sądzę.

– Jak pani sądzi.

Ziewicz podniosła z tacy długie szczypce i z wielką ostrożnością ujęła nimi wskazany fragment tkanek. Umieściła pod mikroskopem stereozoomowym, który włączyła, po czym cofnęła się, zapraszając Pizzetti, aby spojrzała.

– Co pani widzi? – spytała Ziewicz. Pizzetti patrzyła w mikroskop.

– Wciąż uważam, że to wygląda jak fragment wargi.

– A widzi pani chrząstkę?

Pauza. Pizzetti szturchnęła kawałek tkanek końcówką szczypiec.

- Tak, małeńki kawałek.
- Wobec tego pytam ponownie: co to jest?
- W tej sytuacji to nie może być fragment wargi, lecz małżowiny usznej. To małżowina uszna.

– Doskonale.

Pizzetti wyprostowała się, na jej twarzy ukazało się napięcie. Ziewicz jednak najwyraźniej spodziewała się czegoś więcej, dlatego po chwili Pizzetti podeszła do wózka noszowego i przyjrzała się parze uszu leżącej jak blade muszle na powierzchni ze stali nierdzewnej wózka.

– Hm, stwierdzam, że para uszu jest na miejscu, nienaruszona. Nie brakuje ani kawałka żadnej małżowiny. – Pizzetti przerwała.

Po chwili wróciła do mikroskopu i ponownie spojrzała przez okular, szturchając i kłując kawałek małżowiny końcówką szczypiec.

– Nie jestem pewna, czy ten fragment małżowiny należał do sprawcy.

– Nie?

– Ten kawałek małżowiny – powiedziała Pizzetti, starannie dobierając słowa – nie wygląda, aby mógł zostać oderwany albo odcięty w trakcie szamotaniny.

Powiedziałabym raczej, że został usunięty chirurgicznie, precyzyjnie, przy użyciu skalpela.

D’Agosta przypomniał sobie niewielki szczegół z nagrań kamer monitoringu, na których przeglądanie był zmuszony poświęcić kilka godzin, i to podziało na niego jak kubeł zimnej wody. Odchrząknął.

– Chciałbym oficjalnie nadmienić, na potrzeby nagrania, że na zdjęciu z kamer monitoringu widać sprawcę, który ma założony niewielki opatrunek na wysokości lewej małżowiny usznej.

– O Boże – wybuchnęła Pizzetti w oszołamiającej ciszy, jaka zapadła w pomieszczeniu po nagłym oświadczeniu D’Agosty. – Chyba nie sądzi pan, że ten człowiek odciął sobie małżowinę uszną i pozostawił ją na miejscu zbrodni?

Ziewicz uśmiechnęła się krzywo.

– Doskonałe pytanie, pani doktor.

W sali ponownie zapanowała długa, nieprzyjemna cisza, aż w końcu Pizzetti powiedziała:

– Zlecę pełną analizę tego fragmentu małżowiny, testy mikroskopowe, toksykologiczne, badanie DNA i całą resztę.

Doktor Ziewicz, uśmiechając się szeroko, powoli zdjęła rękawiczki, ściągnęła maseczkę i wyrzuciła je do śmieci.

– Doskonale, doktor Pizzetti. W pełni się pani zrehabilitowała. Życzę państwu miłego dnia.

I wyszła.

4

Doktor John Felder wszedł po frontowych schodach rozległej gotyckiej rezydencji. Był słoneczny późnojesienny poranek, powietrze rześkie, niebo błękitne i bezchmurne. Z zewnątrz rezydencja została ostatnio gruntownie oczyszczona, więc stare cegły lśniły łagodnie w promieniach słońca. Nawet czarne kraty w ozdobnych oknach zostały wypolerowane. Jedynym elementem, którego najwyraźniej nie odświeżono, była tablica z brązu wmontowana w fasadę frontonu z napisem: Szpital Mount Mercy dla umysłowo chorych przestępców.

Felder nacisnął przycisk przy drzwiach frontowych i zaczekał, aż zostaną otwarte od środka. Drzwi otworzył doktor Ostrom, dyrektor placówki. Felder zignorował chłodne spojrzenie i marsową minę Ostroma. Mężczyzna nie ucieszył się z jego wizyty.

Ostrom cofnął się o krok, pozwalając, by Felder wślizgnął się do budynku. Następnie skinął do czekającego strażnika, który natychmiast zamknął i zablokował drzwi.

– Doktorze Ostrom – rzekł Felder. – Dziękuję, że zezwolił mi pan na wizytę.

– Próbowałem skontaktować się z Pendergastem, aby uzyskać jego aprobatę. Nie udało mi się to jednak, a nie przychodzi mi do głowy żaden uzasadniony powód, dlaczego miałbym odmawiać spełnienia pańskiej prośby, zwłaszcza że, przynajmniej teoretycznie, wciąż jest pan psychiatrą wyznaczonym przez sąd do tego przypadku.

Ostrom poprowadził Feldera na sam koniec poczekalni i zniżył głos:

– Aczkolwiek musi pan ściśle przestrzegać pewnych podstawowych zasad.

– Oczywiście.

– Musi pan ograniczyć tę wizytę i wszystkie kolejne w przyszłości do dziesięciu minut.

Felder pokiwał głową.

– Nie wolno panu bez potrzeby denerwować pacjentki.

– Oczywiście.

– I ani słowa o jakichkolwiek wycieczkach poza...

– Doktorze, błagam – przerwał mu Felder, jakby nawet najmniejsza wzmianka na ten temat była dla niego wyjątkowo bolesna.

To najwyraźniej uspokoiło Ostroma.

– W takim razie proszę ze mną. Przekona się pan, że pacjentka zajmuje ten sam pokój co wcześniej, choć zwiększyliśmy ochronę.

Felder i Ostrom podążali za pielęgniarzem, idąc długim korytarzem, w którym po obu stronach znajdowały się nieoznakowane drzwi. Felder poczuł lodowaty dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie. Minęły zaledwie dwa tygodnie, odkąd ten budynek był świadkiem największego upokorzenia w całej karierze zawodowej Feldera. Na wspomnienie ucieczki pacjentki z Mount Mercy Felderowi ze wstydu zapłonęły policzki. Dał się nabrać jak dziecko. Gdyby nie szybki powrót pacjentki do zakładu Mount Mercy, jego kariera ległaby w gruzach. Na szczęście skończyło się tylko na przymusowym miesięcznym urlopie. Upiekło mu się, ale ledwo ledwo. A teraz znów tu był, wrócił. Co go ciągnęło do tej pacjentki jak ćmę do ognia?

Czekali, aż pielęgniarz otworzy kluczem ciężkie stalowe drzwi, po czym przeszli przez kolejny niekończący się, rozbrzmiewający echem korytarz, by wreszcie zatrzymać się przed drzwiami wyglądającymi jak wszystkie inne, gdyby nie to, że akurat tych pilnował szpitalny strażnik. Ostrom zwrócił się do Feldera:

– Życzy pan sobie, abym w tym uczestniczył?

– Dziękuję, to nie będzie konieczne.

– Dobrze. Proszę pamiętać: dziesięć minut – przypomniał Ostrom, otworzył drzwi kluczem na grubym łańcuszku i uchylił je.

Felder wszedł do środka i zaczekał, aż drzwi zostaną zamknięte za nim na klucz, a przez ten czas jego oczy przywykły do słabszego oświetlenia. Powoli z półmroku zaczęły się wyłaniać kształty: łóżko, biurko i krzesło, wszystkie przykręcone do podłogi, regał z mnóstwem starych, oprawnych w skórę książek, plastikowa doniczka z kwiatami. Za biurkiem siedziała Constance Greene. Na blacie przed nią nie było żadnej książki ani papierów, siedziała prosto, opanowana i wyprężona jak struna. Felder podejrzewał, że mogła medytować. Niezależnie od wszystkiego w jej głębokich, zimnych oczach, kiedy odnalazła jego spojrzenie, nie było ani odrobiny swobody czy rozmarzenia. Felder mimowolnie wstrzymał oddech.

– Constance – powiedział, stając przed biurkiem i splatając palce jak uczeń.

Przez chwilę kobieta nie odpowiadała. Powoli, prawie niedostrzegalnie pokiwała głową.

– Doktorze Felder.

Od dwóch tygodni zastanawiał się nad tą chwilą, kiedy jednak usłyszał niski staroświecki głos, wszystko, co starannie przygotował sobie w myślach, nagle prysło.

– Posłuchaj, Constance. Chciałem tylko powiedzieć, że, ee, bardzo mi przykro. Przepraszam za wszystko.

Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym niepokoju, ale nie odpowiedziała.

– Wiem, ile cierpienia i udręki musiałem ci przysporzyć, i chciałbym, abyś zrozumiała, że nigdy nie śmiałybym narazić na coś takiego żadnej pacjentki. – Zwłaszcza pacjentki tak niezwyklej jak ty, pomyślał.

– Przeprasiny przyjęte – powiedziała.

– Pragnąłem pomóc i przypadkiem pozwoliłem sobie na nieostrożność. Dałem się oszukać.

To ostatnie wyznanie nie wywołało żadnej reakcji.

– Dobrze się czujesz, Constance? – W jego głosie pojawiła się nuta z troskania.

– Tak, dobrze, jak można tego oczekiwać.

Felder skrzywił się w duchu. Przez chwilę w pokoju zapanowała cisza, gdy doktor zastanawiał się, co ma dalej powiedzieć.

– Popełniłem błąd – stwierdził w końcu. – Ale sporo się dzięki temu nauczyłem. Coś sobie przypomniałem. To maksyma, którą wpojono mi na medycynie: gdy chodzi o skuteczną terapię, nie można iść na skróty.

Constance poprawiła się lekko na krześle, poruszając dłońmi. Po raz pierwszy Felder zauważył bandaż na jej prawym kciuku.

– To żadna tajemnica, że twój przypadek zainteresował mnie w szczególny sposób – ciągnął. – Chyba śmiało mogę powiedzieć, że nikt nie rozumie ciebie ani nie dba o twój stan tak jak ja.

Na te słowa na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Stan – powtórzyła.

– Chciałbym jedynie zapytać, czy moglibyśmy podjąć terapię tam, gdzie ją przerwaliśmy, pracując ponownie w duchu.

– Nie – przerwała mu Constance.

Głos miała zduszony, ale na tyle stanowczy, że na Feldera podziałał jak kubeł zimnej wody. Przełknął ślinę.

– Słucham?

Odparła stanowczo, choć niezbyt głośno, przez cały czas patrząc mu prosto w oczy:

– Jak w ogóle mógł pan pomyśleć o kontynuowaniu pańskiej tak zwanej terapii? To przez pańską niekompetencję zostałam uprowadzona i napadnięta. Z powodu pańskiej niepohamowanej gorliwości i zawodowego zaangażowania w przypadek pacjentki, którą uznał pan za egzotyczną, zostałam porwana i omal nie straciłam życia. Niech pan nie obraża mojej inteligencji, próbując uczynić mnie współwinną pańskiej porażki. Jak może pan się spodziewać, że kiedykolwiek znów mu zaufam – a czyż zaufanie nie stanowi podstawowego wymogu kuracji terapeutycznej? Oczywiście zakładając, że wymagam kuracji terapeutycznej, co z pańskiej strony

jest, delikatnie mówiąc, nadużyciem.

Jej wybuch zakończył się równie nagle, jak się rozpoczął. Felder otworzył i zaraz zamknął usta. Nie miał nic do powiedzenia. Ciszę przerwało pukanie.

– Doktorze Felder? – zza drzwi dobiegł głos Ostroma. – Pańskie dziesięć minut minęło.

Próbował się pożegnać, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Skinął lekko głową i odwrócił się w stronę drzwi.

– Doktorze Felder – rozległ się cichy głos Constance. Odwrócił się.

– Możliwe, że potraktowałam pana zbyt surowo. Może pan odwiedzać mnie od czasu do czasu, jeżeli pan sobie życzy. Ale tylko jako znajomy, nie jako lekarz.

Poczuł nagłą nieopisaną ulgę i wdzięczność.

– Bardzo dziękuję – rzucił, zastanawiając się nad ogarniającą go euforią, gdy wyszedł na względnie jasno oświetlony korytarz.

5

D'Agosta miał za zadanie poprowadzić konferencję w Biurze Detektywów w One Police Plaza. Po autopsji popełnił błąd, wypijając trzy doppio i pochłaniając dwa kawałki ciasta z kruszonką w kafejce Starbucksa w hotelowym holu, bo burczenie w brzuchu świadczyło raczej o zaburzeniu normalnego cyklu trawienia.

Dwunasta pięćdziesiąt pięć, Chryste, zapowiadał się długi dzień. Kłopot w tym, że pomimo postępów, jakie poczynili, miał złe przeczucia w związku z tą sprawą. Bardzo złe przeczucia. Znów się zastanawiał, gdzie, u licha, podziewał się Pendergast. Z przyjemnością podzieliliby się z nim informacjami o odnalezionych materiałach dowodowych, by zasięgnąć jego nieformalnej opinii. To była sprawa w sam raz dla tego niezwykłego agenta federalnego. Proctor, który właśnie wyszedł ze szpitala i wrócił do rezydencji przy Riverside Drive, nie potrafił nic powiedzieć. Constance też nic nie wiedziała.

W Dakocie nikt nie odbierał telefonu, a komórkę Pendergast najwyraźniej wciąż miał wyłączoną.

D'Agosta pokręcił głową. Nie miało sensu się niepokoić, gdyż Pendergast często znikał bez słowa.

Pora zaczynać. Pozbierał akta, wziął laptop. Wstał zza biurka i wyszedł z gabinetu w stronę sali konferencyjnej. Do sprawy wyznaczono ponad trzydziestu funkcjonariuszy, co sugerowało, że nadano jej wysoki priorytet. Ale nie najwyższy. Do najbardziej kluczowych spraw przydzielano nawet dwukrotnie większą liczbę personelu. Niemniej to duża grupa ludzi i wielu z nich mogło mieć

coś do powiedzenia. To tyle, jeżeli chodzi o popołudnie. Wszyscy musieli otrzymywać na bieżąco informacje o rozwoju wydarzeń. A ponieważ gliniarzy nie można prośbą ani groźbą zmusić do lektury raportu, takie spotkania, nieformalne odprawy były konieczne.

D'Agosta dotarł na miejsce kilka minut po pierwszej i ucieszył się, że wszyscy już tam są. W sali panował gwar i atmosfera niecierpliwego wyczekiwania. Kiedy ucichły rozmowy, porucznik usłyszał złowieszczy warkot dochodzący z jego żołądka. Podszedł do pulpitu na scenie obok ekranu projekcyjnego. Po obu stronach stały białe tablice na kółkach. Lustrując wzrokiem wnętrze sali, zauważył kapitana Singletona, szefa detektywów. Siedział on w pierwszym rzędzie, obok zastępcy komendanta policji na obszar Manhattanu i kilku innych wysokich oficjeli. D'Agostie znów zaburczało w brzuchu. Położył teczkę na pulpit i odczekał chwilę, aż zrobi się całkiem cicho, po czym zaczął od słów, które przygotował już wcześniej:

– O czym większość z was zapewne wie, jestem porucznik D'Agosta, dowódca zespołu operacyjnego.

Następnie pokrótce streścił zebrany szczegóły zabójstwa i zajrzał do listy nazwisk.

– Kugelmeyer, daktyloskopia – wywołał funkcjonariusza.

Specjalista od daktyloskopii podszedł do pulpitu, zapinając guziki okropnego brązowego garnituru z Wal-Martu. D'Agosta przyłożył palec wskazujący do zegarka na przegubie i subtelnie zastukał w szkiełko. Zagroził wszystkim poważnymi obrażeniami ciała, a nawet śmiercią, jeżeli przekroczą limit pięciu minut.

– Udało nam się zebrać bardzo wyraźne odciski, zarówno z ciała, jak i z wnętrza pokoju – powiedział pospiesznie Kugelmeyer. – Całe i częściowe, z prawej i lewej ręki oraz odciski dłoni. Sprawdziliśmy je we wszystkich bazach danych. I nic. Najwyraźniej sprawcy nigdy wcześniej nie pobierano odcisków.

To wszystko. Kugelmeyer wrócił na miejsce. D'Agosta znów rozejrzał się po sali.

– Forman, włosy i włókna?

Kolejny krótki raport, a po nim kilka innych na temat rozbryzgów krwi, obuwia, wyników badań mikroskopowych oraz wiktymologii, każdy, ku ogromnemu zadowoleniu D’Agosty, zaprezentowany krótko i zwięźle, z istic wojskową precyzją. Starał się nie zerkać na Singletona, choć bardzo go korciło, aby ujrzeć reakcję przełożonego.

D’Agosta nauczył się już, że na takich spotkaniach ważne było stworzenie pewnego dramatyizmu przez pozostawienie na koniec najlepszych informacji, co pozwoliłoby utrzymać zainteresowanie wszystkich i sprawić, że pozostaną czujni i skupieni. A w tym wypadku najlepszy był Warsaw, spec od wideo z wydziału dochodzeń sądowych, który specjalizował się w analizie nagrań z monitoringu. Oficjalnie detektyw, Warsaw wyglądał bardziej jak przyszczaty nastolatek z rozwichrzonymi włosami. W przeciwieństwie do innych nie nosił garnituru, nawet fatalnego, tylko obcisłe czarne dżinsy i podkoszulki z logo kapel heavymetalowych. Uchodziło mu to na sucho, bo był naprawdę dobry w tym, co robił. Poza tym uwielbiał się popisywać. Wbiegł na podwyższenie z pilotem w dłoni; światła przygasły.

– Witam wszystkich – zaczął Warsaw. – Chciałbym zaprezentować państwu naszego sprawcę w nagraniach „Mamy cię! Prosto z ukrytej kamery”.

Głośny śmiech.

– Hotel Marlborough Grand dysponuje najnowszym systemem kamer cyfrowych oferujących znakomity, naprawdę idealny obraz. Mamy nagrania sprawcy z przodu, z tyłu, z boku, z góry i z dołu, wszystkie w HD. Oto najciekawsze fragmenty, okrojone do, eee, pięciu minut. W teczkach znajdziecie państwo zdjęcia wykonane z tych nagrań, które właśnie teraz zostały rozesłane do wielu innych luksusowych hoteli, a wkrótce otrzymają je również „Times”, „Post” i „Daily News”.

Film okazał się tak dobry, jak zapewnił Warsaw. Fragmenty prezentowały sprawcę z zabandażowanym lewym uchem – w holu, w windzie, idącego korytarzem, wracającego korytarzem,

wdzierającego się do pokoju ofiary. Następne fragmenty przedstawiały mężczyznę, który bez pośpiechu, najwyraźniej niewzruszony, opuszcza pokój ofiary.

D'Agosta widział już to nagranie, ale i tak znów poczuł na plecach lodowate ciarki. Wiedział, że zabójców zazwyczaj dało się zaklasyfikować do jednej z dwóch podstawowych grup – jako zorganizowanych albo niezorganizowanych. Jednak ten człowiek był tak opanowany, tak metodyczny, że wymagał stworzenia dla siebie osobnej kategorii. Porucznikiem jeszcze raz wstrząsnął ten fakt. To po prostu nie trzymało się kupy. Nie trzymało się kupy i już.

Nagranie dobiegło końca, rozległy się oklaski. D'Agosta trochę się zdenerwował, gdy Warsaw kurtuazyjnie ukłonił się i zszedł z podwyższenia. Znów stanął przy pulpicie. Było już wpół do trzeciej. Na razie wszystko szło jak w zegarku. Znów zaburczało mu w brzuchu. Czuł się, jakby wypił butelkę kwasu solnego. Ostatni szczegół, sprawę małżowiny usznej, zostawił na koniec, dla siebie. To przywilej dowódcy zespołu.

– Nie mamy jeszcze wyników analizy DNA dodatkowej części ciała znalezionej na miejscu zbrodni – fragmentu małżowiny usznej – zaczął. – Ale dysponujemy już kilkoma informacjami wstępnymi. Należy do mężczyzny. Stan skóry wskazuje na wiek poniżej pięćdziesięciu lat – tyle na razie zdołaliśmy ustalić. Jest prawie pewne, że obecność małżowiny usznej nie jest wynikiem szamotaniny na miejscu zbrodni. Została tam raczej przyniesiona i pozostawiona celowo. Poza tym wydaje się, że małżowina została odjęta od ciała na kilka godzin przed popełnieniem zabójstwa i nie pobrano jej ze zwłok, lecz od żywego człowieka, co nie powinno dziwić, bo jak państwo widzieli na nagraniu, sprawca bez wątplenia żyje i ma się świetnie. Przerwał na chwilę.

– Wiemy, jak wygląda sprawca, i niebawem jego wizerunek pozna cały Nowy Jork. Jest bardzo przystojny, ma rude włosy, nosi drogi garnitur, wygląda na wysportowanego i ogólnie przykuwa uwagę. Mamy jego odciski palców, próbki włosów i włókien i niebawem będziemy dysponować wynikami badań jego DNA. Wiemy już, że

nosi krawat od Charveta i wkrótce zidentyfikujemy jego garnitur oraz buty. Wygląda na to, że jesteśmy o krok od przyszpilenia tego człowieka.

D'Agosta ponownie przerwał i postanowił podzielić się tym, co go nurtowało.

– A więc... co tu nie pasuje?

To było pytanie retoryczne i nikt nie próbował odpowiedzieć.

– Czy ten facet naprawdę jest tak głupi? Odczekał chwilę, po czym mówił dalej:

– Przyjrzyjcie się temu człowiekowi z nagrania. Czy faktycznie jest takim skończonym idiotą, jak się wydaje? Przecież w prosty sposób mógłby zmienić swój wygląd albo zasłonić twarz czy przynajmniej uniknąć zarejestrowania przez kamery. Nie musiał stać jakby kij połamany w samym środku holu przez pięć minut, tak że mógł go zobaczyć cały personel, a kamery zarejestrować ze wszystkich stron. Ten facet nie stara się wtopić w otoczenie. Psychologowie próbują ustalić, co powoduje tym człowiekiem, jakie są motywy jego działania, co oznacza napis pozostawiony na zwłokach i porzucona na miejscu zbrodni małżowina uszna. Może jest szalony i chce zostać schwytany. Odnoszę wrażenie, że ten facet wie, co robi. I na pewno nie jest głupi. Przyjmijmy zatem, że ta sprawa jest inna niż wszystkie, z jakimi dotąd mieliśmy do czynienia, pomimo tego, czym do tej pory dysponujemy.

Cisza. D'Agostę nurtowało coś jeszcze, ale nie powiedział tego głośno, bo mogłoby zabrzmieć dość dziwnie. Dotyczyło to synchronizacji ataku. Kamera wychwyciła wszystko. Facet siedł korytarzem i właśnie w chwili, gdy mijał drzwi pokoju ofiary, ta kobieta otworzyła je, aby podnieść leżącą na podłodze zamówioną poranną gazetę. Zgranie w czasie było wręcz idealne.

Zbieg okoliczności?

6

Kyoko Ishimura szła wolno korytarzem, zamiatając wypolerowany drewniany parkiet przed sobą tradycyjną konopną miotłą. Korytarz był już czysty, ale pani Ishimura z przyzwyczajenia i tak zamiatała go każdego dnia. Apartament – a właściwie trzy połączone przez właściciela apartamenty – tonął w niezmaćconej grobowej ciszy. Odgłosy ruchu ulicznego z Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej prawie nie przenikały przez grube kamienne ściany cztery piętra powyżej ulicy.

Po wstawieniu miotły do składziku pani Ishimura wzięła filcową ścierkę, po czym skierowała się kilka kroków w głąb korytarza i weszła do niedużego pokoju, gdzie podłoga była wyłożona perskimi dywanami, a sufit zdobiły antyczne kasetony. Pokój wypełniały przepięknie oprawione iluminowane manuskrypty i inkunabuły w gablotach z mahoniem i witrażowego szkła. Pani Ishimura wypolerowała najpierw gabloty, potem witraże, a następnie specjalną ściereczką same woluminy, starannie przecierając nią żebrowane grzbiety i złocone brzegi. Księgi także były czyste, ale i tak starannie przetręła każdą z nich. Nie robiła tego tylko z przyzwyczajenia; kiedy pani Ishimura czymś się niepokoiła, znajdowała pocieszenie w prostej czynności, jaką było sprzątanie.

Odkąd jej pracodawca wrócił do domu przed czterema dniami bez zapowiedzi, zachowywał się bardzo dziwnie. Zawsze był dość ekscentryczny, ale teraz szczególnie ją niepokoił. Spędzał całe dni w olbrzymim mieszkaniu ubrany w jedwabną piżamę i jeden z jedwabnych angielskich szlafroków, nie odzywając się ani słowem

i godzinami wpatrując się w marmurowy wodospad w pokoju dla gości albo spędzając większą część dnia w medytacyjnym ogrodzie zen w stanie, jak się wydawało, kompletnego stuporu, w zupełnym bezruchu. Przestał czytać gazety, odbierać telefony i komunikować się z kimkolwiek, nawet z nią.

Co więcej, zupełnie nic nie jadł. Próbowła go skusić jego ulubionymi daniami – mozuku i shiokarą – ale niczego nie tknął. Co gorsza, zaczął brać pigułki. Ukradkiem spisała nazwy z etykiet na buteleczkach – dilaudid i levo-dromoran – sprawdziła je w internecie i z przerażeniem stwierdziła, że były to silne narkotyki, których zażywał coraz większe ilości.

Początkowo miała wrażenie, jakby pogrążył się w głębokim, niewyobrażalnym smutku. Jednak w ciągu kolejnych dni zaczął się pogarszać również jego stan fizyczny, skóra poszarzała, policzki się zapadły, oczy stały się podkrążone i dziwnie puste. W miarę jak coraz bardziej zatracił się w ciszy i apatii, zaczęła podejrzewać, że nie tyle pławił się w rozpacz, ile raczej zobojętniał na jakiegokolwiek uczucia. Zupełnie jakby jakieś potworne przeżycie wypaliło w nim wszystkie emocje, pozostawiając jedynie puste naczynie, wydrażoną, zwęgloną skorupę.

Przy drzwiach zaczęła mrugać niebieska LED-owa dioda. Dla pani Ishimury, kobiety głuchoniemej, ten sygnał oznaczał, że dzwoni telefon. Podeszła do stolika w rogu, gdzie stał aparat, i sprawdziła na wyświetlaczu, kto dzwoni. To był porucznik D'Agosta, ten policjant. Znów dzwonił.

Wpatrywała się w telefon może przez pięć sekund, jakby pod wpływem nagłego impulsu podniosła słuchawkę, pomimo iż otrzymała wyraźne polecenie, aby tego nie robić. Odłożyła słuchawkę na jedną z aparatów elektronicznych, z których korzystała, i wpisała komunikat: „Proszę zaczekać. Przywołam go”.

Wyszła z pokoju, przeszła przez długi korytarz, skręciła za róg, pokonała drugi prosty odcinek korytarza, po czym zatrzymała się i cicho zapukała w shoji, przepierzenie z papieru ryżowego i drewna służące za drzwi, by po chwili je rozsunąć i wejść do środka.

W pomieszczeniu znajdowała się duża wanna w stylu japońskiego ofuro, wykonana z jasnego drewna hinoki. Agent Pendergast leżał wyciągnięty w wannie tak, że tylko jego głowa i wąskie ramiona wystawały ponad wypełnioną gorącą parującą wodą drewnianą konstrukcję. Za nim jak wartownicy stały rzędy buteleczek z pigułkami i francuską wodą mineralną. Nagi wywarł na pani Ishimurze jeszcze bardziej wstrząsające wrażenie: twarz miał przeraźliwie wychudzoną, blade oczy podkrążone i zapadnięte. Na brzegu wanny, obok ciężkiej, lśniącej, staroświeckiej brzytwy leżał egzemplarz *Czterech kwartetów* T.S. Eliota. Kobieta zauważyła, że jakby od niechcenia jej pracodawca ostrzył brzytwę, niekiedy potrafił robić to całymi godzinami, nawet w kąpieli, i krawędź brzytwy błyszczała teraz złowrogo i srebrzyście. Woda w ofuro nabrała delikatnego różowawego odcienia – bandaż na zranionej nodze znów musiał zacząć przesiąkać. Pendergast nic z tym nie zrobił, pomimo iż usilnie go do tego namawiała.

Podawała mu notatkę: „Porucznik D’Agosta”.

Tylko na nią spojrział.

Podsunęła mu telefon, a jej usta poruszyły się, jakby chciała powiedzieć: *Dozo*.

Wciąż nie odpowiadał.

– *Dozo* – bezgłośnie powtórzyła ustami z emfazą.

W końcu polecił jej, aby włączyła głośnik zamontowany w ścianie. Zrobiła to, po czym nieznacznie się wycofała z szacunkiem. Choć niesłysząca, doskonale potrafiła czytać z ruchu warg. I nie miała zamiaru stąd wychodzić.

– Halo? – rozległ się głos odrobinę zniekształcony przez mikrofon.

– Halo? Pendergast?

– Vincencie – odparł cicho agent.

– Pendergast, na Boga, gdzieś ty się podziewał? Od wielu dni próbuję się z tobą skontaktować.

Pendergast milczał, tylko wyciągnął się wygodniej w wannie.

– Co się stało? Gdzie Helen?

– Oni zabili Helen – odparł Pendergast beznamiętnym,

przerażającym głosem.

– Co? O czym ty mówisz? Kiedy?

– W Meksyku. Pochowałem ją. Na pustyni. Rozległo się zduszone westchnienie, a potem na moment zapadła cisza, zanim D’Agosta znów się odezwał.

– O Jezu. Jezu. Kto ją zabił?

– Naziści. Strzałem w serce. Z przyłożenia.

– Boże drogi. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro. Czy... udało ci się ich dopaść?

– Jeden uciekł.

– W porządku. Dorwiemy drania. Postawimy go przed obliczem sprawiedliwości.

– Po co?

– Po co? Jak to po co?

Agent Pendergast uniósł wzrok, by spojrzeć na panią Ishimurę, i prawie niedostrzegalnym ruchem palca wskazującego dał jej znak, że powinna przerwać połączenie. Gospoia, która z przejęciem wpatrywała się w jego usta podczas tej krótkiej wymiany zdań, po chwili wahania postąpiła naprzód, nacisnęła guzik kończący połączenie i wycofała się z łaźni, stąpając po wyłożonej kamiennymi płytami podłodze. Bardzo cicho zasunęła shoji, ponownie pozostawiając Pendergasta samego.

Już wiedziała, co się stało. Ale ani trochę jej to nie pomogło. Bynajmniej.

7

Balansując na jednej ręce niedużą metalową tacą z drinkami, Vincent D'Agosta otworzył przesuwane drzwi i wyszedł na mikroskopijny balkon. Ledwo mieściły się tam dwa krzesła i stolik. Jedno z krzeseł zajmowała kapitan Laura Hayward. Założywszy nogę na nogę, przeglądała raport z autopsji przyniesiony do domu przez D'Agostę. Od strony Pierwszej Alei dochodziły odgłosy ruchu ulicznego i choć jak na ostatni dzień listopada było dość ciepło, to rześkie powietrze zapowiadało, że zapewne po raz ostatni spędzali wieczór na balkonie i na następną taką okazję będą musieli poczekać do wiosny. Postawił tacę z drinkami na stoliku, a ona, najwyraźniej nieporuszona, uniosła wzrok znad upiornych fotografii.

– Mhm, wygląda zachęcająco. Co to jest? D'Agosta podał jej kieliszek.

– Spróbuj i sama oceń.

Hayward upiła łyk, zmarszczyła brwi, po czym wypiła jeszcze jeden, mniejszy łyček.

– Co to takiego, Vinnie?

– Włoski szprycer – odparł, sadowiąc się na krześle. – Lód, prosecco, odrobina napoju gazowanego, aperol. Do tego plasterki czerwonej pomarańczy, które kupiłem w spożywczym przy Grand Central w drodze do domu.

Znów się napiła, a następnie odstawiła kieliszek.

– Hm – zawahała się. – Chciałabym powiedzieć, że mi smakuje.

– A nie?

– Smakuje jak gorzkie migdały – zaśmiała się. – Czuję się jak Sokrates. Wybacz. Zadałeś sobie wiele trudu. – Ujęła go za rękę i lekko ścisnęła.

– To popularny drink.

Znów podniosła kieliszek i przytrzymała na odległość wyprostowanej ręki, przyglądając się mętnej pomarańczowej cieczy.

– Przypomina mi campari. Znasz je?

– Żartujesz sobie? Moi rodzice pili je w czasach, kiedy mieszkali w Queensie i mieli nadzieję, że może uchościć za Manhattan.

– Dziękuję, Vinnie, kochany, ale jeżeli nie masz nic przeciwko, poproszę o to samo co zwykle.

– Jasne.

Upił łyk ze swojego kieliszka i stwierdził, że dla siebie także zrobi to co zwykle. Wszedł przez otwarte drzwi do kuchni, wstawił kieliszki do zlewu i przygotował dwa kolejne drinki: dla siebie schłodzonego micheloba, a dla niej kieliszek mocnego, ale niezbyt drogiego pouilly-fume, które zawsze mieli w lodówce. Zabrał je ze sobą na balkon i ponownie usiadł.

Przez kilka minut milczeli, chłonąc rytm serca Nowego Jorku i ciesząc się wzajemnie swoim towarzystwem. D'Agosta zerknął ukradkiem na Hayward. Przez ostatnie dziesięć, dwanaście dni opracowywał w najdrobniejszych szczegółach plan tego wieczoru: posiłek, deser, drinki – i pytanie. Teraz, kiedy powrócił do zdrowia, umocnił swoją pozycję w pracy, a jego rozwód stał się tylko nieprzyjemnym wspomnieniem, był wreszcie gotów zapytać Laurę, czy za niego wyjdzie. I miał uzasadnione podejrzenie, że odpowie twierdząco.

Ale wtedy coś zaczęło się psuć. To dziwaczne morderstwo pochłaniało każdą jego wolną chwilę. I do tego te niepokojące wieści od Pendergasta.

Nie zrezygnował z kolacji. Wiedział jednak, że nie był to odpowiedni moment na oświadczenia.

Hayward ponownie zajrzała do raportu, wertując strony.

– Jak przebiegło dzisiejsze spotkanie?
– Nieźle. Singletonowi chyba się spodobało.
– Są już wyniki analizy DNA?
– Nie. To najwolniejsze laboratorium analiz w całym mieście.
– Ciekawe jest to, że zabójca w ogóle nie próbował się zamaskować ani nie unikał kamer monitoringu. Zupełnie jakby prowokował cię, żebyś go dopadł, nie uważasz?

D’Agosta napił się piwa. Hayward popatrzyła na niego.

– O co chodzi, Vinnie? D’Agosta westchnął.
– O Pendergasta. Wreszcie dziś po południu zdołałem się do niego dodzwonić. Powiedział, że jego żona nie żyje.

Laura odstawiła kieliszek i spojrzała na D’Agostę wyraźnie wstrząśnięta.

– Nie żyje? Jak to się stało?
– Ludzie, którzy ją porwali, zastrzelili ją w Meksyku, najwyraźniej próbowali w ten sposób zyskać czas na ucieczkę i zatrzymać Pendergasta.

– Boże... – Laura westchnęła i pokręciła głową.
– To straszna tragedia. Nigdy nie słyszałem, żeby jego głos brzmiał jak... – D’Agosta przerwał. – Sam nie wiem. Jakby już na niczym mu nie zależało. Jakby był martwy. A potem się rozłączył.

Hayward ze współczuciem pokiwała głową.

– Martwię się o jego stan psychiczny. No bo przecież to, w jaki sposób ją utracił. – Wziął głęboki wdech i wlepił wzrok w swoje piwo. – Przygotowuję się na reakcję.

– Jakiego typu reakcję?
– Nie wiem. Jeżeli miałbym wnioskować na podstawie wcześniejszych zdarzeń, może na wybuch przemocy. Ten człowiek jest nieprzewidywalny. Wszystko może się zdarzyć. Odnoszę wrażenie, jakbym obserwował toczący się powoli wrak pociągu.

– Może powinieneś coś zrobić?
– Jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie współczucia ani jakiegokolwiek pomocy. I wiesz co? Po raz pierwszy zamierzam spełnić jego życzenie i nie będę się mieszał.

Popatrzył w milczeniu.

Przez chwilę Hayward także się nie odzywała. Wreszcie odchrząknęła.

– Vinnie, ten człowiek cierpi. Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale może właśnie tym razem powinienes się wmieszać.

Uniósł wzrok i spojrzał na nią.

– Widzę to tak – kontynuowała. – Pendergast nigdy dotąd nie zawiódł. Nie do tego stopnia. Chodzi mi o to, że był całkowicie, bez reszty skoncentrowany na odkryciu prawdy dotyczącej tego, co naprawdę przydarzyło się jego żonie. Podczas tej wyprawy omal nie zginął. A ja nieomal padłam ofiarą zbiorowego gwałtu. I kiedy on już zaczął wierzyć, że jego żona żyje. – Przerwała na chwilę. – Otóż to, wydaje mi się, że w głębi duszy on nie wierzył, że może zawieść. Znasz Pendergasta, wiesz, jak działa. Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego, nigdy dotąd nie zaangażował się tak gruntownie w żadne z prowadzonych przez siebie dochodzeń – i oto jak się to skończyło. Już po wszystkim. Przegrał. Zawiódł. Poniósł porażkę. Nie potrafię sobie wyobrazić, co on teraz czuje. – Zawiesiła głos. – Mówisz, że on może zareagować wybuchem przemocy. Ale skoro tak, czemu nie wyruszył w teren, aby ścigać i dopaść zabójców żony? Czemu nie wyłamuje drzwi do naszego mieszkania, domagając się, abyśmy mu pomogli?

D'Agosta pokręcił głową.

– Słuszne pytanie.

– Myślę, że on pogrążył się w czarnej rozpacz – rzekła Hayward. – Jestem tego pewna.

Zamilkli. D'Agosta leniwie i bez większego entuzjazmu sączył piwo. Wreszcie Hayward znowu się ożywiła.

– Vinnie, nie jestem do końca przekonana, czy to właściwe. Jednak Pendergast, aby otrząsnąć się z marazmu i przygnębienia, może potrzebować naprawdę trudnej i wciągającej sprawy. I wiesz co? Właśnie się taka trafiła. – Postukała palcem w raport z autopsji.

D'Agosta westchnął.

– Doceniam to, co mówisz. Naprawdę. Ale tym razem nie pójdę

tam. Nie powinienem go teraz niepokoić.

Spojrzał na nią ponad blatem stolika, na jego ustach pojawił się cień tęsknego uśmiechu, po czym przeniósł wzrok w stronę fasad budynków po drugiej stronie Pierwszej Alei, które w promieniach zachodzącego słońca nabrały osobliwego, złocistoróżowego odcienia.

8

Alban Lorimer był przyjemnie zaskoczony wyglądem holu hotelu Vanderbilt. Różnił się on znacznie od tego w Marlborough Grand: był mniejszy, spokojniejszy, intymniejszy. W cichych zakamarkach, które zaaranżowano jak elegancki salon, wyróżniał się, a raczej tam dominował, ogromny wazon ze świeżymi kwiatami. Były tu pluszowe wykładziny, wygodne miękkie kanapy i fotele rozstawione wokół hebanowych stolików ze szklanymi blatami. Ściany wyłożono ciemną dębową boazerią, a wpuszczone w nie lampy ścienne miały abażury z ręcznie wykonanego dmuchanego szkła, być może w stylu wiktoriańskim.

Zajął miejsce przy niedużym stoliku. Podszedł kelner i zapytał, czy miałby ochotę na herbatę. Alban zamyślił się przez chwilę, przejrzał wręczoną mu kartę herbat i odparł, że tak, z przyjemnością napiłby się dobrej herbaty, najlepiej Assam albo jakiejś innej, równie delikatnej mieszanki przygotowanej na sposób angielski, w czajniczku, z cukrem i mlekiem. Był bardzo skrupulatny, jeżeli chodziło o zamówienie, i dopilnował, aby kelner zwrócił na niego uwagę, kiedy je składał.

Kelner się oddalił, podczas gdy Alban rozsiadł się wygodnie, chłonąc atmosferę tego miejsca. Przede wszystkim zwrócił uwagę na to, że tutejsza klientela wydawała się inna. Podczas gdy Marlborough Grand był po prostu wielki i imponujący, ten hotel sprawiał wrażenie cichej przystani dla przedstawicieli klasy wyższej, ludzi bogatych i uprzywilejowanych, oferując odpowiednik elitarnego, dobrze zaopatrzonego klubu dla miejscowych i gości.

Te różnice go zaintrygowały. Czy każdy hotel miał osobowość? Marlborough Grand był jak młoda blondynka, olśniewająca i stylowa, odrobinę krzykliwa, może nawet wulgarna, ale niebrzydka, seksowna i zabawna. Vanderbilt jawił mu się jako dystygowany, siwowłosy dżentelmen odznaczający się dobrym smakiem i urodzeniem, przystojny, czarujący, choć odrobinę nudnawy. Zastanawiał się, co wolał. Trudno było mu to stwierdzić. Nie miał dostatecznie dużego doświadczenia.

Nie mógł się doczekać odwiedzin w innych nowojorskich hotelach, aby to zbadać. Stworzy kompletną, pełną postać, konkretną osobę dla każdego hotelu. To będzie niezła zabawa.

Czekając na herbatę, jedną ręką wygładził przód marynarki. Bandaż na prawym palcu wskazującym trochę go niepokoił. Wywoływał nieprzyjemne swędzenie. Nic jednak nie mógł teraz na to poradzić. Przynajmniej czuł się pewnie, wiedząc, że wygląda inaczej niż osoba, której wyraźne, ostre zdjęcia pojawiły się na łamach wszystkich gazet. Oczywiście im wyrazistsze zdjęcie, tym mniej musiał zmieniać wygląd. To zabawne, że nikt nie wychwytywał ironii tego wszystkiego. Choć z drugiej strony może jednak policja zdawała sobie z tego sprawę. Należało zachować ostrożność.

Teraz był panem Brownem. Miał brązowe włosy.

Brązowe oczy. Jego skóra, choć nie całkiem brązowa, miała oliwkowy odcień. Tylko jego ubranie nie było brązowe – nie przepadał za brązowymi garniturami – ten, który miał na sobie, był szary i pochodził od Brookes Brothers. Buty również. Podobnie jak krawat. Aż do dziś nie słyszał o Brookes Brothers: była to firma odzieżowa oferująca garnitury na tyle banalne, że dzięki nim mógł jeszcze lepiej poczuć się w tym otoczeniu. Choć od wczoraj zaczęło robić się chłodniej, kaszmirowa czapeczka, którą naciągał głęboko na uszy, mogła wyglądać trochę dziwnie. Może niektóre osoby brały go za chorego na raka, a czapeczka miała zamaskować utratę włosów.

Dwa duże, specjalnie ukształtowane kawałki wosku pszczelego

wciśnięte pomiędzy górne trzonowce a policzek wygładziły ostre, wydatne kości policzkowe, przydając jego twarzy rubasznego, bardziej przyjaznego i może nieco tępawego wyglądu.

No i zmienił też sposób chodzenia, przykrawając obcasy swoich nowych butów, by od zewnątrz były one niższe niż od wewnątrz o dziewięć milimetrów, co w efekcie wpłynęło na zmianę rytmu jego kroków. Nauczono go, że sposób chodzenia danej osoby był jednym z kluczowych czynników, jakimi posługiwali się eksperci od ustalania identyfikacji potencjalnych przestępców.

Herbata okazała się wyborna, ale wiedział, że taka będzie. Pozostawił na stoliku parę nowiutkich, szeleszczących banknotów i gdy wstawał, oparł się lewą dłonią o szklany blat, tak aby koniuszki jego palców dotknęły powierzchni od spodu, gdzie kelner raczej nie zetrze pozostawionych przez niego odcisków.

Podszedł do windy, wszedł i nacisnął przycisk szóstego piętra. Po wyjściu z kabiny dotarł do końca korytarza – by ponownie znaleźć martwy punkt poniżej nierzucającej się w oczy kamery monitoringu – po czym przystanął i czekał cierpliwie. Korytarz nie był tak długi jak ten w Marlborough i Alban obawiał się, że może być zmuszony do dłuższego wyczekiwania. Ale nie, zaledwie pięć minut później znów ruszył wzdłuż korytarza, tym razem maszerował znacznie szybciej i gdy zza zakrętu wyłoniła się pokojówka niosąca poduszkę, zwolnił kroku, a na jego twarzy pojawił się ciepły uśmiech. Zatrzymał kobietę w połowie długości korytarza i wyciągnął ręce, a w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

– Ta poduszka to dla mnie, tak? Do pokoju sześćset czternaście?

– Tak, proszę pana.

– Dziękuję. – Wziął poduszkę, wręczył kobiecie pięciodolarowy banknot i odwrócił się, kierując się w stronę pokoju 614.

Po drodze parę razy ścisnął poduszkę w dłoniach. Była wykonana z elastycznej pianki dostosowującej się do pożądanego kształtu. Najwyraźniej gość z 614 nie przepadał za poduszkami wypchanymi miękkim pierzem. Mieli ze sobą coś wspólnego.

Podszedł do drzwi pokoju 614 i delikatnie zapukał dwa razy. Na

standardowe pytanie, które zadał mu opryskliwy męski głos, odpowiedział tylko: – Pańska poduszka.

Drzwi się otworzyły. Alban wyciągnął rękę z poduszką, a gdy mężczyzna z pokoju sięgnął po nią, niespodziewanie rzucił się naprzód, wpychając zaskoczony rezydenta pokoju 614 do środka, i błyskawicznie go uciszył, opasując ramieniem jego szyję i zaciskając uchwyt, a wolną ręką delikatnie zamknął drzwi. Gość nie stawiał większego oporu, nie tak jak tamta kobieta, a gdy już spróbował, wyszło to dość słabo i żałośnie. Był starszy, grubszy, bardziej miękki i uległy. Alban popchnął go na środek pokoju. Mężczyzna bez większego przekonania spróbował zadać mu kilka ciosów, ale nie zdołał go dosięgnąć, a gwałtowne zaciśnięcie ramienia na gardle powstrzymało tamtego przed stawianiem dalszego oporu. Alban poczuł, że kolana ofiary zaczęły drżeć – ze strachu albo może z braku tlenu. Rzadkie, przetłuszczone włosy mężczyzny zaczesane na pożyczkę, by zasłonić powiększającą się łysinę, pachniały cytrynowym tonikiem, a ponieważ Alban miał je tuż pod nosem, ta woń, ostra i nieprzyjemna, obudziła w nim gniew. Tym razem nie było tak przyjemnie jak z tamtą kobietą. Brakowało tu wyzwania, swoistej klasy. Będzie musiał o tym pamiętać. Rozluźnił uścisk, a mężczyzna nie bez trudu, rozpaczliwie zaczął chwytać powietrze.

– Co ty...

Alban znów wzmógł uścisk. Nie zamierzał wdawać się w dyskusje. Gdy mężczyzna znów zaczął stawiać opór, Alban rzucił przyjaznym tonem:

– Ciii, wszystko będzie dobrze, jeśli tylko będziesz współpracował.

Mężczyzna uspokoił się. To zdumiewające, jacy ludzie byli ufni. Mimo wszystko nie rozluźnił uchwytu na szyi tamtego, tak na wszelki wypadek.

Ustawił mężczyznę w odpowiedniej pozycji, stanął pewniej na nogach, po czym wyjął scyzoryk i trzymał go tak, aby mężczyzna nie mógł go zobaczyć. Odchylił rękę w prawo, po czym wykonał szybki zamach, zatapiając ostrze głęboko w gardle ofiary i przekręcając je

w ranie energicznym, zdecydowanym ruchem – tak jak to robił wcześniej ze sto razy, ćwicząc głównie na świniach – a następnie pchnął faceta w przód, podczas gdy sam dał susa do tyłu.

Potężna struga krwi bryznęła szkarłatną kaskadą, ale nawet kropla nie dosięgnęła Albana. Tym razem upadek był głośniejszy i cięższy, jego zaś ogarnął pewien niepokój i stwierdził, że musi udoskonalić swoją technikę. Spojrzał na zegarek, odczekał, aż przedśmiertne konwulsje targające ciałem mężczyzny ustaną, po czym wyjął narzędzia i pospiesznie zabrał się do pracy.

Posapując nieco z wysiłku, już nie mógł się doczekać kontynuacji swojego małego, osobistego studium nowojorskich hoteli i indywidualnych postaci, które mentalnie przyporządkuje każdemu z nich.

9

Skrzydło hotelu odgrodzono kordonem, wszystkich gości przeniesiono. Menedżer hotelu, wyjątkowo zdenerwowany młody człowiek, został przewieziony do szpitala, po tym jak doznał silnego załamania nerwowego. Z czymś takim porucznik D'Agosta nie zetknął się do tej pory. Przedstawiciele prasy nie zostali dopuszczeni do budynku, zatrzymano ich przy Piętnastej Ulicy, ale nawet tu, na szóstym piętrze, słychać było dochodzący z dołu hałas i rozbłyskiwały światła radiowozów przesączaające się przez zwiewne muślinowe firanki. A może po prostu po długiej, bardzo długiej nocy nareszcie wstawał świt.

D'Agosta stał w sypialni z ochraniaczami założonymi na buty i obserwował, jak ostatni członkowie ekipy techników krzątają się na miejscu zbrodni. Od morderstwa minęło ponad osiem godzin. Ciało zostało już zabrane z pokoju hotelowego wraz z dodatkowym elementem, który przy nim znaleziono, fragmentem prawego palca wskazującego, obciętego do pierwszego stawu. Na wykładzinie powstała plama krwi o średnicy niespełna metra, a przeciwległa ściana była obficie zbryzgana krwią. W pokoju unosiła się charakterystyczna żelazista woń gwałtownej śmierci i o wiele słabsza różnych środków chemicznych, których używali eksperci.

Kapitan Singleton zjawił się pół godziny przed zakończeniem prac. Z jednej strony D'Agosta był wdzięczny za wsparcie, bo kiedy szef detektywów okazywał zainteresowanie, wszystko od razu szło pełną parą. Z drugiej zaś nie potrafił się oprzeć przekonaniu, że niespodziewane pojawienie się przełożonego mogło być oznaką

braku zaufania wobec niego. Kolejne zabójstwo wywindowało tę sprawę do rangi sensacji wieczoru, informacje na ten temat pojawiły się we wszystkich mediach, spychając na plan dalszy strzelaninę z pięcioma ofiarami w Central Parku. No i nie oszukujmy się, on i Singleton nie zawsze za sobą przepadali; parę lat temu podczas niebezpiecznego dochodzenia, w które zaangażowani byli D'Agosta i Pendergast, wieczny służbista Singleton dał D'Agostie popalić, kiedy ten stanął przed komisją dyscyplinarną. Jednak porucznik musiał przyznać, że kapitan zawsze starał się traktować go uczciwie. Czemu więc, choć w głębi duszy szanował tego człowieka, D'Agosta poczuł narastający gniew, kiedy Singleton pojawił się na miejscu zbrodni? Może dlatego, że przełożony odmówił przydzielenia mu policyjnego wsparcia, kiedy D'Agosta zwrócił się do niego, nieoficjalnie, o zabezpieczenie spotkania Pendergasta z Helen na przystani w Central Parku. „Naziści, tu, w Nowym Jorku? – rzucił do D'Agosty. – To jakiś absurd, nawet jak na agenta Pendergasta. Nie mogę przydzielać ekip na podstawie czyjegoś widzimisię”. Porucznik, którego Pendergast poprosił o zachowanie w tej sprawie najdalej posuniętej dyskrecji, nie próbował naciskać. A teraz Helen Pendergast nie żyła.

– *Happy birthday*. – Singleton wymamrotał życzenia urodzinowe, wypowiadając tym samym na głos treść wiadomości wypisanej krwią ofiary na miejscu zbrodni. – Co pan o tym sądzi, poruczniku?

– Mamy do czynienia z prawdziwym szajbusem. O zostawianych przez niego wiadomościach i dodatkowych częściach ciała nie poinformowano prasy.

– To dobrze – rzekł Singleton.

Był wysoki, szczupły, dobrze ubrany, po czterdziestce, i wciąż miał sylwetkę pływaka. Starannie przycięte, przyprószone siwizną włosy stawały się coraz bardziej białe, ale sprężyste, równy krok i swada sprawiały, że szef detektywów wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Jako jeden z najbardziej odznaczonych gliniarzy w resorcie słynął z ciężkiej pracy i z tego, że prawie w ogóle nie sypiał. W przeciwieństwie do większości detektywów dobrze się

ubierał, preferując drogie, szyte na miarę garnitury. Jego obecność mobilizowała do większego wysiłku. Ten człowiek nie wzbudzał dyscypliny strachem czy podniesionym głosem, lecz raczej tym, jak wydawał się „rozczarowany”.

D’Agosta wolał półgodzinny opieprz od innego kapitana niż zawiedzioną minę malującą się choćby przez minutę na twarzy Singletona.

– Zastanawiałem się nad tym – podjął temat kapitan, a ton jego głosu zasugerował D’Agoście, że zaraz usłyszy coś trudnego do zniesienia, a w najlepszym razie kontrowersyjnego. – Psychologiczny aspekt tej sprawy wydaje się nadzwyczajny. Wykraczamy tu poza ramy zwykłej patologii dewiantów, nie uważa pan, poruczniku?

– Owszem, tak – przyznał bez większej ekscytacji D’Agosta. Chciał się zorientować, do czego zmierza przełożony.

– Wiemy, że fragment małżowiny usznej został usunięty na kilka godzin przed pierwszym zabójstwem. Teraz koroner informuje nas, że fragment palca został odjęty na kilka godzin przed tym zabójstwem. Z zapisu z kamer monitoringu w pierwszym hotelu wynika, że sprawca ma opatrunek na uchu, a na tych nagraniach widzimy, że ma na głowie dziwną czapkę i bandaż na palcu. Jaki zabójca mógłby się tak okaleczać? I co znaczą te wiadomości? Czyje to urodziny i kto miałby być z niego dumny? I na koniec – czemu tak ewidentnie zorganizowany i inteligentny zabójca zupełnie nie dba o ukrycie swojej tożsamości?

– Nie powiedziałbym, że nie dba – zaproponował D’Agosta. – Proszę zwrócić uwagę, że tym razem na nagraniu wygląda inaczej niż poprzednio.

– A jednak pozostawił odciski palców. Nie ma nic przeciwko temu, abyśmy post factum wiedzieli, że to jego robota. Prawdę mówiąc, części ciała zdają się sugerować, że on chce, abyśmy to wiedzieli.

– Zastanawia mnie, w jaki sposób zatrzymał pokojówkę – rzekł D’Agosta. – Podczas przesłuchania zeznała, że wiedział o poduszce i znał numer pokoju, do którego ją zamówiono. Skąd mógł to

wiedzieć?

– Może miał współnika w hotelu – zasugerował Singleton. – Kogoś, kto pracował w recepcji albo przy realizacji zamówień. Trzeba będzie to sprawdzić. Pan się tym zajmie.

D'Agosta ponuro pokiwał głową. Naprawdę chciał, aby był tu Pendergast. Na wszystkie pytania tego rodzaju on mógłby odpowiedzieć.

– Wie pan, o czym pomyślałem, poruczniku? D'Agosta zebrał się w sobie. Coś się kroilo.

– O czym, panie kapitanie?

– Nigdy nie przychodzi mi łatwo powiedzieć coś takiego. Ale wydaje mi się, że to wykracza poza nasze kompetencje. Musimy wezwać Zespół Nauk Behawioralnych Federalnego Biura Śledczego.

D'Agosta się zdziwił. Choć w gruncie rzeczy nie tak bardzo. To było logiczne posunięcie w wypadku seryjnego zabójcy takiego jak ten, który uosabiał skrajną i być może jedyną w swoim rodzaju formę patologii. Stwierdził, że Singleton przygląda mu się, jakby oczekiwał z jego strony przyzwolenia. To także było czymś nowym dla D'Agosty. Od kiedy Singleton pytał go o zdanie?

– Szefie – stwierdził. – Myślę, że to wyśmienity pomysł.

Singleton jakby odetchnął z ulgą.

– Zdaje pan sobie sprawę, rzecz jasna, że ludziom się to nie spodoba. Po pierwsze, w tych zbrodniach brakuje elementu, który wymagałby zaangażowania FBI. Nie ma żadnych oznak działalności terrorystycznej czy powiązania z innymi stanami. Poza tym wie pan, jak upierdliwi potrafią być ci sztywniacy z FBI. Jednak w całej swojej karierze nie spotkałem się nigdy z takim zabójcą. Zespół Nauk Behawioralnych ma dostęp do baz danych i środków dalece przekraczających to, czym my dysponujemy. Mimo wszystko ciężko będzie przekonać ludzi do współpracy z federalnymi.

D'Agosta doskonale zdawał sobie sprawę, jak kiepsko nowojorska policja dogadywała się z FBI.

– Rozumiem – powiedział. – Pomówię o tym z ekipą. Jak pan wie, pracowałem już wcześniej z FBI. Nie mam z nimi żadnych

osobistych zatargów.

Na dźwięk tych słów oczy Singletona rozbłysły. Przez chwilę D'Agosta obawiał się, że kapitan może wspomnieć o Pendergastie. Ale nie, Singleton miał na to zbyt dużo taktu. Ostatecznie tylko pokiwał głową.

– Jako szef nawiążę wstępnie kontakt z Quantico, a potem przekażę panu pałeczkę. To najlepsza z możliwych procedur, zwłaszcza gdy chodzi o FBI, gdzie przykłada się szczególną wagę do działania zgodnie z hierarchią dowodzenia.

D'Agosta pokiwał głową. Teraz naprawdę chciał, aby był tu Pendergast. Przez chwilę obserwowali w milczeniu, jak technik od zbierania próbek włókien przechodzi na czworakach po wykładzinie, z pęsetą w dłoni, pokonując kolejno kwadraty siatki utworzonej z rozciągniętych na podłodze i starannie zabezpieczonych sznurków. Cóż za robota.

– Prawie zapomniałem – odezwał się Singleton. – Jakie były wyniki analizy DNA małżowiny usznej?

– Jeszcze ich nie otrzymaliśmy.

– To już sześćdziesiąt godzin.

D'Agosta poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Odkąd ekipę analiz DNA przeniesiono z biura koronera i utworzono dla niej osoby wydział z doktorem Wayne'em Hefflerem jako jej dyrektorem, nie sposób było się z nimi dogadać. Parę lat temu on i Pendergast mieli mały zatarg z Hefflerem. D'Agosta podejrzewał, że od tej pory doktor postawił sobie za punkt honoru, aby wszystkie analizy wykonywane dla niego odwlekać możliwie jak najdłużej, nie na tyle jednak, aby napytać sobie przez to biedy.

– Zajmę się tym – rzucił pospiesznie D'Agosta. – Natychmiast.

– Cieszę się – rzekł Singleton. – Jednym z przywilejów szefa ekipy dochodzeniowo-śledczej jest możliwość stosowania presji i wywierania nacisków, innymi słowy skopania komuś dupy. Jeżeli chodzi o tę konkretną sprawę, może pan się nie hamować, ma pan moje absolutne przyzwolenie.

Przyjaźnie poklepał D'Agostę po plecach i odwrócił się, by odejść.

10

Taksówka podjechała przed wejście apartamentowca Dakota przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i zatrzymała się przy budce strażnika. Pojawił się umundurowany mężczyzna i z powagą typową dla wszystkich odźwiernych tego świata podszedł do samochodu i otworzył tylne drzwiczki.

Wysiadła kobieta. W promieniach porannego słońca wyglądała bardzo atrakcyjnie. Była wysoka, szczupła, pięknie ubrana. Biały kapelusz z szerokim rondem ocieniał jej upstrzone piegami oblicze, mocno opalone pomimo późnej pory roku. Zapłaciła taksówkarzowi, po czym odwróciła się do odźwiernego.

– Chciałabym skorzystać z pańskiego telefonu, jeśli można – powiedziała z wyraźnym angielskim akcentem.

– Proszę tędy, szanowna pani.

Odźwierny poprowadził ją długim ciemnym korytarzem pod portykiem do niewielkiego pomieszczenia, skąd roztaczał się widok na wewnętrzny dziedziniec budynku.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer mieszkania. Odczekała dwadzieścia sygnałów, ale nikt nie podniósł słuchawki. Odźwierny czekał, przyglądając się jej z uwagą.

– Nikt nie odbiera, proszę pani.

Viola spojrzała na odźwiernego. To był ktoś, kogo nie należało do siebie zrażać. Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Jak pan wie, gospoia jest głucha. Spróbuję raz jeszcze.

Przepełnione wahaniem potaknięcie. Kolejnych dwadzieścia sygnałów.

– Myślę, że już wystarczy, szanowna pani. Proszę mi podać swoje imię, abym mógł je zanotować.

Zadzwoiła ponownie. Odźwierny miał teraz dość ponurą minę i wiedziała, że był gotów w każdej chwili nacisnąć przycisk odłączający telefon.

– Proszę jeszcze chwileczkę – powiedziała z kolejnym promiennym uśmiechem.

Dłoń odźwiernego już sięgała, by przerwać połączenie, gdy w końcu na górze ktoś odebrał.

– Halo? – rzuciła pośpiesznie. Ręka się cofnęła.

– Czy mogę poznać powód tego uporczywego nękania? – rozległ się monotony, nieomal grobowy głos.

– Aloysius? – zapytała kobieta. Cisza.

– To ja, Viola. Viola Maskelene. Długa cisza.

– Po co przyjechałaś?

– Przybyłam tu aż z Rzymu, aby z tobą pomówić. To sprawa życia i śmierci.

Znowu cisza.

– Aloysiusie, apeluję do ciebie w imię... w imię naszych dawnych relacji. Proszę.

Długi cichy wydech.

– Wobec tego chyba powinnaś wjechać na górę.

Drzwi windy otworzyły się z cichym szelestem, ukazując niewielki hol z brązową wykładziną i ścianami z ciemnego polerowanego drewna. Pojedyncze drzwi naprzeciwko były otwarte na oścież. Lady Maskelene przestąpiła próg i zastygła jak wryta. Była wstrząśnięta i skonsternowana. Pendergast stał na wprost niej ubrany w jedwabny szlafrok ze stonowanym tureckim motywem. Twarz miał wymizerowaną, włosy w nieładzie.

Nie pokwapił się, aby zamknąć drzwi, tylko odwrócił się bez słowa i podszedł do jednej ze skórzanych kanap stojących w pokoju. Jego ruchy, zwykle żwawe i zdecydowane, wydawały się ociężałe, jakby przechodził przez wodę.

Lady Maskelene zamknęła drzwi i weszła za nim do pokoju, który

był pomalowany na różowo i jego jedyną ozdobę stanowiło kilka poskręcanych prastarych drzewek bonsai. Na trzech ścianach wisiały obrazy impresjonistów. Czwartą ścianę zajmowała płyta z czarnego marmuru, po której spływały strugi wody. Pendergast zajął miejsce na kanapie, a Viola przycupnęła obok niego.

– Aloysiusie – powiedziała, ujmując jego dłoń w swoje. – Serce mi się kraje, gdy myślę o tobie. Cóż za straszna, niewypowiedziana tragedia. Tak bardzo mi przykro.

Zdawał się patrzeć na wskroś niej niż na nią.

– Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co teraz czujesz – powiedziała, ściskając go za rękę. – Ale jedyne, czego nie wolno ci teraz odczuwać, to poczucie winy. Uczyniłeś wszystko, co mogłeś, wiem, że tak było. Nie byłeś w stanie zapobiec temu, co się wydarzyło. – Przerwała. – Chciałabym móc ci jakoś pomóc.

Pendergast uwolnił dłoń z jej uścisku, zamknął oczy i przyłożył koniuszki palców do skroni. Sprawiał wrażenie, jakby olbrzymim wysiłkiem próbował się skupić, skoncentrować na tym, co się działo tu i teraz. Wreszcie otworzył oczy i popatrzył na nią.

– Wspomniałaś, że stawką jest życie. Czyje?

– Twoje – odparła.

W pierwszej chwili chyba tego nie wychwytał. Po kilku sekundach mruknął:

– Ach.

Znów zapadła cisza. Ale zaraz ponownie się odezwał:

– Czy zechciałabyś mi zdradzić, od kogo otrzymałaś tę informację?

– Skontaktowała się ze mną Laura Hayward. Opowiedziała mi, co się dzieje. Rzuciłam wszystko i przyleciałam z Rzymu pierwszym samolotem.

Nie mogła znieść jego beznamiętnego wzroku, tego, że patrzył na nią jak na powietrze. To było takie niepodobne do pełnego kurtuazji, szarmanckiego, opanowanego, lubującego się w niuansach Pendergasta, którego spotkała w swojej willi na Caprai, mężczyzny, który kompletnie ją zauroczył. Poczwała, że jej serce przepełnia gniew, niepohamowana wściekłość na ludzi, którzy mu to zrobili. Po

krótkim wahaniu objęła go. Zastygł w bezruchu, ale nie zaprotestował.

– Och, Aloysiusie – wyszeptała. – Dlaczego nie pozwolisz sobie pomóc?

Kiedy nie odpowiedział, mówiła dalej:

– Posłuchaj. Smutek i żal nie są złe. Dobrze jest czasem kogoś oplakiwać. Ale to zamknięcie się tutaj, odizolowanie od ludzi i świata. Nie chcesz z nikim rozmawiać, z nikim się nie widzisz, a tak się tego nie robi. To nie jest dobry sposób.

Przytuliła go mocniej.

– Musisz się z tym uporać. Przez wzgląd na pamięć o Helen. I dla mnie. Wiem, że to potrwa. Właśnie dlatego tu jestem. Aby pomóc ci przetrwać czas żałoby. Wspólnie możemy.

– Nie – wymamrotał Pendergast. Zaskoczona czekała.

– Nie będzie żadnego uporania się z tym – powiedział.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała. – Oczywiście, że tak się stanie. Wiem, że teraz wydaje ci się to absolutnie niemożliwe, wręcz niewyobrażalne. Ale z czasem przekonasz się, że.

Westchnął jakby ze zniecierpliwieniem, odzyskując część dawnej pewności siebie.

– Widzę, że muszę ci wszystko opowiedzieć. Zechcesz pójść ze mną?

Patrzyła na niego przez chwilę. Poczowała iskierkę nadziei, nieomal ulgę. To był przebłysk dawnego Pendergasta przejmującego nad wszystkim kontrolę.

Podniósł się z kanapy i podszedł do prawie niewidocznych drzwi w jednej z różowych ścian. Otworzył je i ruszył w głąb długiego, przepelnionego półmrokiem korytarza, by w końcu przystanąć przed uchylonymi drzwiami wyłożonymi boazerią. Otworzył je na oścież i wszedł do środka.

Viola podążyła za nim, rozglądając się dokoła z zaciekawieniem. Oczywiście była już wcześniej w mieszkaniu Pendergasta w Dakocie, ale nigdy dotychczas nie przestąpiła progu tego pokoju. Podłogę wyłożono tu starą klepką, bardzo szeroką i przepięknie

lakierowaną. Na ścianach widniała historyczna tapeta o charakterystycznej teksturze i wyjątkowo subtelnym wzorze. Sufit pomalowano na wzór błękitnego trompe l'oeil nieba w stylu Andrei Mantegni. Stała tu pojedyncza gablota zawierająca liczne dziwaczne eksponaty: okruch lawy, poskręcany i ciemny, egzotyczna lilia wprasowana w przezroczystą kostkę plastiku, stalaktyt z odłamanym nierównym końcem, coś, co wyglądało jak fragment wózka inwalidzkiego, kilka zniekształconych pocisków, antyczna szkatułka z narzędziami chirurgicznymi oraz wiele innych niezwykłych przedmiotów. To była ekscentryczna, wręcz osobliwa kolekcja, której znaczenie pojmował zapewne tylko sam Pendergast.

To musiał być jego prywatny gabinet.

Jednak wzrok Violi przykuło zwłaszcza biurko Ludwika XV stojące pośrodku pokoju. Wykonano je z drewna różanego, miało złożone krawędzie i wspinała złożoną intarsję. Błat biurka był pusty, jeżeli nie liczyć trzech przedmiotów: niewielkiej szklanej buteleczki z kauczukowym czopem u góry, strzykawki i srebrnej tacy z niedużą białą piramidką usypanej na niej białej substancji.

Pendergast zajął miejsce za biurkiem. W pokoju było jeszcze tylko jedno krzesło, a właściwie ozdobny fotel ustawiony pod przeciwległą ścianą. Viola przystawiła go bliżej biurka i również usiadła.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie machnięciem ręki Pendergast wskazał na przedmioty leżące na biurku.

– Co to takiego, Aloysiusie? – zapytała Viola, czując narastający niepokój.

– Parametylobenzen fenylocholino – odrzekł, kierując palec wskazujący na biały proszek. – Po raz pierwszy został wyprodukowany przez moją prapradziadka w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym. To jedna z wielu dziwnych substancji, jakie wytworzył. Po przeprowadzeniu... prywatnych prób... do dziś pozostaje rodzinną tajemnicą. Mówi się, że wprawia on osobę, która ją zażyje, w stan niepohamowanej euforii pozwalającej zapomnieć o wszelkich kłopotach, smutkach i troskach

i gwarantującej jedyne w swoim rodzaju uniesienia natury intelektualnej trwające od dwudziestu do trzydziestu minut, zanim nastąpi nieodwracalne w skutkach śmiertelne i przeraźliwie bolesne uszkodzenie nerek. Zawsze mnie kusiło, aby doświadczyć wstępnych skutków działania tego specyfiku, lecz aż do teraz nie potrafiłem się na to zdobyć, z oczywistych powodów.

Mówienie o przedmiotach leżących na biurku sprawiło, że w Pendergastie coś się nagle ożywiło. Przepęniała go energia. Podkrążone oczy skupiły wzrok na niedużej buteleczce z jakąś substancją.

– Stąd to.

Podniósł fiolkę i pokazał ją Violi, a bezbarwny płyn w środku nieznacznie zafalował.

– Mieszanka pentotalu sodu i chlorku potasu, między innymi, ma się rozumieć. Wywoła utratę przytomności, a następnie zatrzymanie akcji serca, zanim ujawnią się nieprzyjemne skutki uboczne parametylobenzenu. Powinienem jednak mieć dostatecznie dużo czasu, aby osiągnąć spokój, a może nawet błogość, dopóki nie nastąpi koniec.

Viola przeniosła wzrok z Pendergasta na przedmioty na biurku, po czym znów popatrzyła na agenta. Gdy zaczęło do niej docierać, co Pendergast starał się dać jej do zrozumienia, poczuła narastające przerażenie.

– Nie, Aloysiusie – wyszeptała. – Nie mówisz tego poważnie.

– Śmiertelnie poważnie.

– Ale... – Zamilkła, bo nagle poczuła ucisk w gardle. To nie może się dziać naprawdę. – To do ciebie niepodobne. Musisz z tym walczyć. Nie możesz wybrać takiego wyjścia, jak tchórz. Nie pozwolę ci.

W tym momencie Pendergast oparł się dłońmi o blat biurka i podniósł powoli. Podeszedł do drzwi i przemaszerował z powrotem korytarzem przez sekretne drzwi do pokoju dla gości. Viola poczuła się jak w jakimś koszmarze. Chciała go zatrzymać, strącić z biurka te nienawistne rzeczy i wdeptać je w podłogę. A jednak nie potrafiła się

na to zdobyć. Była tak zszokowana, że nie potrafiła nic zrobić. Czuła się zupełnie bezsilna. To sprawa życia i śmierci. Jej własne słowa powróciły do niej, dręcząc ją zawartą w nich kąśliwą ironią.

Pendergast nie odezwał się słowem, aż dotarli do drzwi prowadzących do windy.

– Dziękuję ci za troskę – powiedział dziwnie słabym, pustym głosem zdającym się dochodzić z bardzo daleka. – A także za poświęcony trud, jaki sobie zadałaś z mojego powodu. Teraz jednak muszę cię prosić, abys wróciła do Rzymu.

– Aloysiusie – zaczęła, ale uciszył ją, unosząc dłonie.

– Żegnaj, Violu. Postaraj się o mnie zapomnieć. Uświadomiła sobie, że płacze.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała drżącym głosem. – Po prostu nie możesz. Są ludzie, wielu ludzi, którym na tobie zależy. Którzy cię kochają. Nie rób im tego, błagam. Nie rób nam tego. – Zawahała się, a potem nieco bardziej gniewnym tonem dodała: – Nie rób tego mnie.

Gdy to powiedziała, coś nagle rozbłysło w oczach Pendergasta – drobna isierka jak drobinka żaru z uwięzionego w lodzie węgielka – ale zaraz zniknęło. Pojawiło się i zgasło tak szybko, że nie była nawet pewna, czy w ogóle to zobaczyła. Może zwiodły ją łzy, które wypełniały jej oczy.

Ujął ją za rękę i prawie niewyczuwalnie ścisnął.

Potem bez słowa otworzył frontowe drzwi.

Viola spojrzała na niego.

– Nie pozwolę ci na to.

Popatrzył na nią ciepło, niemal z życzliwością.

– Znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nic ani nikt nie jest w stanie odwieść mnie od raz podjętej decyzji. Idź już, czas na ciebie. Byłoby wyjątkowo niezręcznie dla nas obojga, gdybym został zmuszony poprosić, aby cię stąd wyprowadzono.

Patrzyła na niego błagalnie jeszcze przez minutę lub dwie. Jednak jego wzrok znów stał się nieobecny, spojrzenie puste i obojętne. W końcu odwróciła się, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Sześćdziesiąt sekund później znów szła przez wewnętrzny dziedziniec na miękkich nogach, nie zdając sobie sprawy, dokąd zmierza i po co, a po jej policzkach spływały strużki łez.

Pendergast stał w pokoju dla gości długo, bardzo długo. Wreszcie niezwykle powoli wrócił do swojego prywatnego gabinetu, zasiadł za biurkiem i tak jak to robił przez niezliczone godziny w ciągu ostatnich dni, znów zaczął kontemplować trzy leżące przed nim na blacie przedmioty.

11

Po rozmowie z Singletonem D'Agosta pojechał prosto do centrum. Pieprzony Heffler. Wytrze tym sukinsynem podłogę. Urznie mu jaja i zawiesi je zamiast bombek na choince. Przypomniiał sobie, kiedy odwiedził Hefflera wraz z Pendergastem i agent wdeptał doktorka w ziemię. To był niezły ubaw. Teraz on potraktuje Hefflera na sposób Pendergasta.

Rozważając tę jakże miłą perspektywę, zatrzymał samochód przed gmachem laboratorium kryminalistyki sądowej i analiz DNA przy William Street, mieszczącym się obok New York Downtown Hospital. Spojrzał na zegarek: ósma rano. Porozmawiał z funkcjonariuszem pełniącym służbę i dowiedział się, że Heffler był w biurze od trzeciej w nocy. D'Agostę to zaskoczyło, ale jednocześnie ucieszyło. Wsiadł z nieoznakowanego samochodu, trzasnął drzwiczkami i przeszedł przez przeszklone drzwi budynku. Minął recepcję, błyskając odznaką.

– Porucznik D'Agosta – rzucił głośno, nie zwalniając kroku. – Przyjechałem zobaczyć się z doktorem Hefflerem.

– A wpis do rejestru gości, poruczniku?

Ale D'Agosta już był w windzie i wciskał przycisk najwyższego piętra, gdzie Heffler urządził się w wygodnym, wyłożonym dębową boazerią, narożnym gabinecie. Po wyjściu z kabiny D'Agosta stwierdził, że w biurze zewnętrznym nie było jeszcze sekretarki – za wcześnie. Nie wahając się ani chwili, podszedł i otworzył energicznie drzwi do wewnętrznego gabinetu.

Heffler był tam.

– Ach, pan porucznik – zaczął dyrektor, podnosząc się gwałtownie.

D’Agosta zawahał się przez chwilę. To nie był Heffler, z jakim zwykle miał do czynienia – wymuskany, nadęty bufon w garniturze za tysiąc dolców. Ten Heffler był wymięty, zmęczony i wyglądał jak ktoś, kogo niedawno wezwano na dywanik. Mimo to porucznik zaczął od przygotowanej tyrady.

– Doktorze Heffler, czekamy od ponad sześćdziesięciu godzin...

– Tak, tak! – rzucił Heffler. – Mam już wyniki. Przyszły przed chwilą. Pracowaliśmy nad tym od trzeciej w nocy.

Cisza. Wypielegnowane paznokcie Hefflera postukały znacząco w teczkę leżącą na jego biurku.

– Tu jest wszystko. I proszę wybaczyć opóźnienie. Mamy niedobory kadrowe, z powodu cięć w budżecie, wie pan, jak to jest. – Posłał D’Agoście na wpół drwiący, na wpół sztuczny uśmiech.

D’Agosta wyraźnie stracił rezon. Ktoś już wcześniej dobrał się Hefflerowi do skóry. Singleton? Przerwał, wziął głęboki oddech i spróbował trochę spuścić z tonu.

– Ma pan wyniki z obu miejsc zbrodni?

– Oczywiście. Proszę usiąść, poruczniku. Chętnie omówię je z panem.

D’Agosta zajął miejsce na wskazanym krześle.

– Będę się streszczał, ale proszę mi przerwać, gdyby miał pan jakieś pytania. – Heffler otworzył teczkę. – Próbkę DNA były doskonałe, ekipa wykonała świetną robotę. Udało się pozyskać DNA z włosów, odcisków palców i ma się rozumieć, z fragmentu małżowiny usznej. Możemy potwierdzić, że fragment małżowiny faktycznie należał do sprawcy.

Przewrócił stronę.

– Jeżeli chodzi o drugie zabójstwo, mamy również mocne profile DNA z włosów, odcisków palców i koniuszka palca. Także w tym wypadku wszystkie trzy źródła wykazują absolutną zgodność pomiędzy sobą oraz profilami DNA z pierwszego miejsca zbrodni. Palec i ucho pochodzą od tej samej osoby – od zabójcy.

– Jak dalece pewne są te wyniki?

– Absolutnie pewne. To były naprawdę wyśmienite profile z dużą ilością nieskażonego materiału. Prawdopodobieństwo, aby doszło tu do zbiegu okoliczności, wynosi mniej więcej jeden do miliarda. – Heffler zaczął już odzyskiwać pewność siebie.

D’Agosta pokiwał głową. To nie było nic nowego, ale dobrze, że się udało to potwierdzić.

– Czy przepuściliście wyniki przez bazy danych próbek DNA?

– Oczywiście. Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi bazami danych, do których mamy dostęp. Bez powodzenia. To nic dziwnego, bo przecież większość ludzi nie jest zarejestrowana w żadnej bazie danych próbek DNA. – Heffler zamknął raport. – To pańska kopia, poruczniku. Plik główny przesłałem drogą elektroniczną do szefa wydziału zabójstw i do wydziału dochodzeniowo-śledczego. Czy ktoś jeszcze powinien otrzymać te wyniki?

– Nie wydaje mi się. – D’Agosta wstał i zabrał teczkę. – Doktorze Heffler, kiedy kapitan Singleton zadzwonił do pana, czy wspomniał, że potrzebujemy także analizy mitochondrialnego DNA, tak zwanego mtDNA?

– No cóż, nie, ponieważ kapitan Singleton w ogóle do mnie nie dzwonił.

D’Agosta spojrzał Hefflerowi prosto w oczy. Ktoś najwyraźniej nieźle dokopał temu sukinsynowi i bardzo chciał dowiedzieć się kto.

– Ktoś musiał do pana dzwonić.

– Komisarz.

– Komisarz? Ma pan na myśli Tagliabuego? Kiedy? Wahanie.

– Dziś o drugiej w nocy.

– Doprawdy? I co powiedział?

– Poinformował mnie, że to bardzo ważna sprawa i że nawet najdrobniejszy problem może, jak to się wyraził, przekreślić całą karierę.

Coś takiego.

Teraz to Heffler uśmiechnął się ironicznie.

– Pozostaje mi tylko życzyć powodzenia, poruczniku. Ma pan wyniki, na których tak panu zależało. Przyszło zmierzyć się panu

z naprawdę niezwykłym zabójcą. Miejmy nadzieję, że nie natrafi pan w toku śledztwa na żaden, nazwijmy to, problem.

Uśmiech doktora sugerował jednak, że miał nadzieję na coś dokładnie przeciwnego.

12

Na pierwszy rzut oka biblioteka w szpitalu Mount Mercy wyglądała jak typowa czytelnia w klubie dla dżentelmenów: ciemne polerowane drewno, barokowe wykończenia, dyskretne oświetlenie. Przy bliższym przyjrzeniu się jednak można było wychwycić pewne różnice. Fotele i drewniane stoliki były na stałe przykręcone do podłogi, nie dało się ich przesunąć. W pomieszczeniu nie było też żadnych ostrych czy ciężkich przedmiotów ani zakończonych tępymi krawędziami. Z czasopism dla pacjentów usunięto wszystkie zszywki. Przy jednym zaś wejściu do biblioteki stał muskularny mężczyzna w stroju pielęgniarza.

Doktor John Felder czekał przy małym okrągłym stoliku w przeciwległym końcu biblioteki. Splatał dłonie niespokojnie, był wyraźnie zdenerwowany.

Przy wejściu coś się poruszyło i pospiesznie skierował wzrok w tamtą stronę. W drzwiach stanęła Constance Greene w towarzystwie strażnika. Rozejrzała się dokoła, spostrzegła go i podeszła. Była ubrana skromnie, w białą kraciastą spódnicę i bluzkę w bladym odcieniu lawendy. W jednym ręku trzymała list, w drugim kopertę z pieczęcią poczty lotniczej.

– Doktorze Felder – powiedziała dostojnym głosem, siadając naprzeciw niego.

Wsunęła list do koperty i odwróciła ją adresem do dołu, niemniej zauważył, że list zdawał się zawierać tylko jedno słowo. Pismo było dziwne, sanskryt, marathi lub może coś zbliżonego. Przeniósł wzrok z listu na Constance.

– Dziękuję, że zechciałaś się ze mną zobaczyć – odparł.

– Nie spodziewałam się, że wróci pan tak szybko.

– Ja również. Przepraszam. To dlatego, że... – Przerwał i rozejrzał się wokoło, aby się upewnić, że nikt nie mógł ich podsłuchać. Choć nie miał co do tego żadnych wątpliwości, i tak ściszył głos do szeptu. Constance, bardzo trudno mi ruszyć z czymkolwiek, skoro wiem, że mi nie ufasz.

– Nie rozumiem, czemu to pana dręczy. Jestem tylko pańską byłą pacjentką, nie wątpię, że jedną z wielu.

– Chciałbym znaleźć sposób, aby zadośćuczynić ci za to wszystko. – Felder nie przywykł do mówienia o swoich uczuciach, zwłaszcza wobec pacjentki, i poczuł, że się czerwieni ze wstydu i skrępowania.

– Nie spodziewam się, abym miał w przyszłości jeszcze się tobą zajmować, gdyż szanuję twoje życzenie w tym względzie. Tyle tylko że chciałbym, no cóż, zrekompensować ci to, co się stało, to, co zrobiłem. Naprawię wszystko. Abyś znów mogła mi zaufać.

Ostatnie słowa popłynęły jak potok z jego ust. Constance spojrzała na niego, jej fiołkowe oczy były chłodne, spojrzenie badawcze.

– Czemu to dla pana takie ważne, doktorze?

– Ja...

Uświadomił sobie, że właściwie nie zna przyczyny.

Albo że raczej nie miał okazji baczniej się przyjrzeć swoim uczuciom, aby je nazwać.

Przez dłuższą chwilę przy stoliku panowała cisza. Wreszcie odezwała się Constance.

– Jakiś czas temu powiedział pan, że wierzy, iż faktycznie przyszedłam na świat przy Water Street w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

– Owszem, tak właśnie powiedziałem.

– Czy wciąż pan w to wierzy?

– To wydaje się... takie dziwne, nie do pojęcia. A mimo to nie napotkałem nic, co przeczyłoby twoim słowom. Prawdę mówiąc, odnalazłem stosowne dowody potwierdzające twoją wersję. Poza tym wiem, że nie kłamiesz. A kiedy koncentruję się na materiałach

klinicznych – kiedy naprawdę je rozpatruję – zastanawiam się, czy w ogóle cierpisz na jakieś zaburzenia psychiczne. Możesz przejawiać pewien rodzaj zaburzeń emocjonalnych i jestem przekonany, że pewne wydarzenia z przeszłości odcisnęły na tobie psychiczne, traumatyczne piętno. Nie wierzę jednak, abyś cierpiała na urojenia. I coraz bardziej powątpiewam, czy rzeczywiście podczas rejsu tym statkiem wyrzuciłaś swoje dziecko za burtę. Twój list do Pendergasta zdawał się sugerować, że dziecko wciąż żyje. Odnoszę wrażenie, że dzieje się tu coś dziwnego, coś, o czym nie wiem, że to wszystko jest jedynie fortelem albo częścią większego planu, który nie został jak dotąd ujawniony.

Constance znieruchomiała. Ponieważ nic nie powiedziała, Felder kontynuował:

– Wszystkie dowody są rzecz jasna poszlakowe, ale dość przekonujące. No i mamy jeszcze to.

Wyjął portfel i wyłuskał z niego niewielki świstek papieru. Rozłożył go i podał Constance. Była to kserokopia miedziorytu ze starej gazety przedstawiająca scenkę z życia miejskiego, z gromadką umorusanych dzieci grających w piłkę na ulicy. Nieco z boku stało jeszcze jedno dziecko, chude jak tyka i wystraszone, z miotłą w dłoni. Ta dziewczynka wyglądała niemal jak fotograficzna podobizna małej Constance Greene.

– To z „New York Inquirer” z tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku – wyjaśnił Felder. – Zdjęcie zatytułowano *Zabawy dzieci ulicy*.

Constance przez długą chwilę wpatrywała się w kopię miedziorytu. Wreszcie delikatnie, prawie z miłością musnęła kartkę koniuszkami palców, po czym znów ją złożyła i oddała Felderowi.

– Nosi pan to w portfelu, doktorze?

– Tak.

– Po co?

– Ja... ee... od czasu do czasu zerkam na ten miedzioryt. Próbuję rozwikłać tajemnicę.

Constance wciąż na niego patrzyła. Może to wytwór wyobraźni

Feldera, ale odniósł wrażenie, że jej spojrzenie złagodniało. Po dłuższej chwili zaczęła mówić.

– Wtedy, w czasach kiedy powstał ten miedzioryt, ilustracje do gazet były wykonywane przez artystów w terenie. Używali różnych technik – szkiców piórkiem i tuszem, szkiców ołówkiem, szkiców węglem – artyści starali się uchwycić wszystko, co uważali za barwne lub warte odnotowania. Następnie przekazywali swoje dzieła do redakcji gazety, gdzie zawodowi grawerzy odtwarzali je w formie, w której mogły trafić do druku.

Znów skinęła w stronę złożonego świstka papieru, który trzymał w dłoni Felder.

– Pamiętam, kiedy powstał ten rysunek. Artysta tworzył ilustracje do cyklu artykułów na temat dzielnic nowojorskich czynszówek. Wykonał ten szkic, a potem, chyba zuroczony moim wyglądem, poprosił, aby mógł namalować mój portret. Moi rodzice już nie żyli, więc zapytałam o pozwolenie moją starszą siostrę. Zgodziła się. Kiedy dzieło zostało ukończone, w formie zapłaty podarował jej wstępne szkice ołówkowe do portretu.

– Gdzie są te szkice? – zapytał z przejęciem Felder.

– Przepadły dawno temu. Ale w dowód wdzięczności siostra dała mu w zamian pukiel moich włosów. Takie prezenty były wówczas na porządku dziennym. Pamiętam, że artysta włożył pukiel włosów do małej koperty i przykleił ją po wewnętrznej stronie okładki w swoim portfolio.

Przerwała.

– Ten artysta nazywał się Alexander Wintour. Gdyby zdołał pan znaleźć to portfolio, być może okazałoby się, że pukiel moich włosów wciąż tam jest. Ale gdyby to się panu udało i jeżeli koperta z zawartością w dalszym ciągu znajduje się przy portfolio, prosty test DNA potwierdziłby prawdziwość moich słów i to, że faktycznie żyję od prawie półtora wieku.

– Tak – wymamrotał Felder, kręcąc głową. – Tak, to byłby ostateczny dowód.

Zapisał nazwisko artysty na odwrocie kserokopii miedziorytu,

złożył kartkę i wsunął do portfela.

– Raz jeszcze dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać, Constance.

Wstał.

– Nie ma za co, doktorze.

Uściskał jej dłoń i wyszedł z biblioteki. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł ogarniające go ożywienie, jego krok stał się sprężysty, energiczny, całe ciało przepełnił dawno zapomniany wigor.

I nagle na schodach frontowych, przy wejściu do zakładu Mount Mercy, znów się zatrzymał.

Czemu Constance to zrobiła? Zawsze sprawiała wrażenie zubożniałej na to, czy ludzie jej wierzyli, czy też nie. Coś się zmieniło.

Ale co? I dlaczego?

13

D'Agosta spojrział na komórkę i zobaczył, że była za minutę pierwsza. Jeżeli to, co słyszał o agencie specjalnym Conradzie Gibbsie, było prawdą, ten człowiek powinien pojawić się punktualnie o umówionej godzinie.

Poczuł się nieswojo. Dotychczas z FBI miał styczność niemal wyłącznie przez Pendergasta i uświadomił sobie, że była to sytuacja znacznie gorsza, niż gdyby w ogóle nie miał żadnego doświadczenia z Biurem. Metody, działanie i mentalność Pendergasta były raczej sprzeczne ze standardowymi procedurami operacyjnymi FBI.

Raz jeszcze przyjrzał się kawie ze Starbucksa i pudełku z pączkami z Krispy Kreme przygotowanym w niewielkim zacisznym zakątku jego gabinetu, po czym ostatni raz popatrzył na zegarek.

– Porucznik D'Agosta?

I właśnie się zjawił, stanął w drzwiach. Porucznik podniósł się z uśmiechem. Pierwsze wrażenie było całkiem niezłe. Rzecz jasna agent specjalny Gibbs wglądał jak produkt spod jednej sztancy – rzeczowy, przystojny, krótko ostrzyżony, z brązowymi włosami, wąskimi ustami i pociągłą twarzą, ubrany w przepisowy garnitur opinający jego wysportowane ciało i w dodatku mocno opalone po ostatniej misji, jaką prowadził na Florydzie, co D'Agosta zdążył skwapliwie sprawdzić. Równocześnie jednak mężczyzna roztaczał aurę swobody i życzliwości i choć nie sprawiał wrażenia wesołka, konkretna, rzeczowa postawa była lepsza od cwaniackiej czy pyszałkowatej.

Podali sobie dłonie, a D'Agosta stwierdził, że Gibbs miał zdecydowany, choć nie miażdżący uścisk, krótki i zdecydowany. Porucznik wyszedł z za swojego biurka, po czym poprowadził agenta do przygotowanego stolika, przy którym obaj usiedli.

Zaczęli od miłej pogawędki o pogodzie i różnicach pomiędzy Nowym Jorkiem a Florydą. D'Agosta zapytał o ostatnią sprawę agenta, którą ten zakończył z olbrzymim sukcesem; śledztwo dotyczyło nieuchwytnego seryjnego zabójcy, który porzucał szczątki swoich ofiar na wydmach. Gibbs miał łagodny głos i był z pewnością inteligentny. D'Agosta docenił zwłaszcza tę drugą cechę. Pomijając fakt, że znacznie ułatwiała współpracę, to mogła przekonać do agenta federalnego resztę ekipy, choć, co tu ukrywać, większość zespołu stanowili typowi krzykliwi nowojorczyści.

Jedyny problem polegał na tym, że im dłużej Gibbs rozwodził się nad swoją sprawą, tym coraz rozwleklej mówił. I nic nie jadł... podczas gdy D'Agosta był niemal gotów zabić za pączka z karmelem.

– Jak zapewne pan wie, poruczniku – ciągnął Gibbs – mamy u nas w Quantico porównawczą bazę danych seryjnych zabójców stanowiącą część Krajowego Centrum Analiz Brutalnych Zbrodni. Nasza definicja seryjnego zabójcy wygląda następująco: to człowiek, który obiera za cel nieznaną mu osobę, który zabił trzy osoby lub więcej ludzi, kierujący się pobudkami natury psychologicznej i czerpiący zadowolenie z mordowania i zazwyczaj pozostawiający przy każdej ofierze swoistą sygnaturę lub wykazujący skłonność ku temu, by jego zbrodnie ewoluowały.

D'Agosta pokiwał głową z przekonaniem.

– W tym wypadku mamy tylko dwa zabójstwa, więc nie spełnia to jeszcze kryterium tej definicji, a przynajmniej na razie. Myślę jednak, że obaj się zgodzimy, iż jest wielce prawdopodobne, że to jeszcze nie koniec.

– Zdecydowanie.

Gibbs wyjął z aktówki cienką teczkę.

– Kiedy wczoraj rano skontaktowałem się ze mną kapitan Singleton, przeprowadziliśmy pierwszą próbę skonfrontowania tego, co już

wiemy, z zawartością naszej bazy danych, ot tak na gorąco.

D'Agosta wychylił się do przodu. Zaczynało być ciekawie.

– Chcieliśmy się dowiedzieć, czy byli jacyś inni seryjni zabójcy, którzy pozostawiali fragmenty swoich ciał na miejscach zbrodni, którzy charakteryzowali się podobnym modus operandi itepe. – Położył teczkę na stoliku do kawy. – Przyznaję, to jedynie wstępne ustalenia, ale nie możemy tego przed sobą zatajać. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, pozwolę sobie streścić w skrócie to, co zdołaliśmy ustalić.

– Oczywiście.

– Mamy tu do czynienia z zorganizowanym zabójcą. Wysoce zorganizowanym. Jest wykształcony, ma pieniądze i czuje się swobodnie w luksusowym otoczeniu. Rozczłonkowywanie jako modus operandi nie jest taką rzadkością, jak mógłby pan przypuszczać. Do tego profilu pasuje wielu seryjnych zabójców. Zwykle jednak sprawcy zabierają części ciał ofiar ze sobą. Ten tak nie postępuje. Wręcz przeciwnie, pozostawia na miejscu zbrodni części własnego ciała, co jest rzeczą absolutnie niespotykaną.

– To ciekawe – rzekł D'Agosta. – Może jakieś przemyślenia w związku z tym?

– Szef naszego zespołu psychologów sądowych pracuje nad tym. Uważa, że zabójca identyfikuje się z ofiarą. I w pewnym sensie seryjnie zabija sam siebie. Przepełnia go nienawiść i odraza wobec siebie, a co za tym idzie, prawie na pewno był w dzieciństwie molestowany, zarówno seksualnie, jak i psychicznie, mówiono mu, że nie jest nic wart, lepiej byłoby, żeby umarł, niż w ogóle się urodził, tego typu rzeczy.

– To brzmi sensownie.

– Sprawca z pozoru wydaje się normalny. Jako że nie ma żadnych zahamowań, a w dodatku jest bardzo przekonujący, potrafi być czarujący, wręcz charyzmatyczny. Jednakże w głębi to osobnik poważnie zaburzony i najwyraźniej zupełnie pozbawiony empatii.

– Dlaczego zabija?

– W tym tkwi sedno – niemal na pewno po to, aby zaspokoić swoje

libido.

– Libido? Przecież nie znaleziono śladów nasienia i nic nie wskazuje na seksualne podłoże tych czynów. W dodatku drugą ofiarą był starszy mężczyzna.

– Zgadza się. Pozwoli pan, że coś wyjaśnię. Nasza baza danych jest zbudowana na czymś, co określamy mianem przyłączeń i korelacji. To, co powiedziałem panu na temat tego zabójcy, jest oparte na wysokim stopniu korelacji z dziesiątkami innych sprawców o podobnym profilu i sposobie działania. Opiera się to również na rozmowach z ponad dwoma tysiącami seryjnych zabójców, którzy odpowiadali na pytania o to, dlaczego i jak zrobili to, co zrobili. Przyznaję, nie jest to nieomyślne, ale moim zdaniem w znacznym stopniu zbliżone do prawdy. Wszystko wskazuje na to, że ten zabójca czerpie seksualne zaspokojenie ze swoich czynów.

D'Agosta, choć pełen powątpiewania, znów pokiwał głową.

– Kontynuując, zbrodnie zawierały w sobie element spełnienia seksualnego. Spełnienie bierze się z seksualnego podniecenia wywoływanego przez dwa czynniki – wrażenie kontroli i władzy nad ofiarą oraz obecności krwi. Płeć ofiary ma znaczenie drugorzędne. Brak śladów nasienia może oznaczać jedynie to, że zabójca nie ejakulował albo że doszedł, będąc w ubraniu. To drugie zdarza się dość często.

D'Agosta poruszył się na krześle. Pączek z karmelem nie wyglądał już tak kusząco jak przed chwilą.

– Równie częsty wydaje się fakt, że ten typ seryjnego zabójcy dokonuje swoich zbrodni jako swoistego, bardzo rozbudowanego rytuału. Morderca czerpie spełnienie, zabijając za każdym razem tak samo, według starannie opracowanego planu, z użyciem tego samego noża i okaleczając ciało w ściśle określony sposób.

D'Agosta znów pokiwał głową.

– Ma pracę. Zapewne niezłą. Ten typ zabójcy działa wyłącznie w dobrze sobie znanym otoczeniu i może się okazać, że jest albo byłym pracownikiem, albo, co bardziej prawdopodobne, dawnym gościem obu tych hoteli.

– Zestawiliśmy już ze sobą listy gości i personelu, sprawdzając ich w połączeniu ze znanym nam opisem wyglądu sprawcy.

– Wspaniale. – Gibbs wziął głęboki oddech. Agent z całą pewnością był gadułą, ale D’Agosta nie zamierzał mu przerywać. – Zabójca wykazuje olbrzymią wprawę w posługiwaniu się nożem, co znaczy, że mógł z niego korzystać w swoim zawodzie albo jest miłośnikiem białej broni. Cechuje go spora pewność siebie. Jest arogancki, to kolejna cecha charakterystyczna tego typu zabójcy. Nie przejmuje się tym, że jest rejestrowany przez kamery monitoringu, prowokuje policję i wierzy, że jest w stanie kontrolować przebieg śledztwa. Dlatego zostawia na miejscu zbrodni wiadomości.

– Zastanawiałem się nad ich treścią. Czy ma pan jakieś teorie na ten temat?

– Jak już wspominałem, to forma prowokacji.

– Domyśla się pan, pod którym adresem jest ona skierowana?

Na ustach Gibbsa pojawił się uśmiech.

– Nie jest skierowana pod adresem żadnej konkretnej osoby.

– *Happy birthday*. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin? Nie uważa pan, że te słowa były skierowane pod adresem konkretnej osoby?

– Nie. Ten typ seryjnego zabójcy drwi z policji, ale nie wyszczególnia pojedynczych śledczych, zwłaszcza na początku. Wszyscy jesteśmy dla niego jednym i tym samym, pozbawionym oblicza wrogiem. Urodziny to zapewne uogólnienie albo może odniesienie do jakiegokolwiek rocznicy, może nawet ważnej dla samego sprawcy. Dobrze byłoby, aby pan się tym zajął.

– Świetna myśl. A może te wiadomości są skierowane do kogoś, kto nie jest policjantem?

– To raczej wykluczone. – Gibbs poklepał dłonią teczkę. – Jest tu jeszcze kilka innych ważnych ustaleń: sprawca przypuszczalnie został opuszczony przez matkę, mieszka samotnie, ma kiepskie relacje z płcią przeciwną lub, jeżeli jest homoseksualistą, z przedstawicielami własnej płci. I całkiem niedawno musiało się wydarzyć coś, co popchnęło go do działania: odrzucenie przez

ukochaną osobę, utrata pracy albo – co bardziej prawdopodobne – śmierć matki.

Gibbs usiadł wygodnie, uśmiechając się z zadowoleniem.

– To pańskie wstępne ustalenia? – zapytał D’Agosta.

– Będziemy je aktualizować w miarę napływu nowych informacji. Nasza baza danych jest naprawdę olbrzymia. – Gibbs spojrzał D’Agoście prosto w oczy. – Muszę powiedzieć, poruczniku, że postąpił pan właściwie, zwracając się z tą sprawą do nas. Zespół Nauk Behawioralnych jest najlepszą na świecie ekipą specjalizującą się w tego typu przypadkach. Obiecuję, że będziemy z panem ściśle współpracować, nie będziemy wchodzić wam w paradę, będziemy szanować pańskich ludzi i dzielić się z wami wszystkimi ustaleniami na bieżąco.

D’Agosta pokiwał głową. Nie mógł prosić o więcej.

Po wyjściu agenta FBI porucznik jeszcze przez dłuższą chwilę nie ruszył się z miejsca. Przeżuwał w zamyśleniu karmelowy pączek, zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Gibbsa na temat zabójcy i tego, co nim powodowało. To brzmiało sensownie. Może nawet zbyt sensownie.

Boże, jak bardzo przydałaby mu się teraz wiedza Pendergasta.

Pokręcił głową, dokończył pączka, oblizał palce i nadludzkim wysiłkiem woli zamknął pudełko.

14

D'Agosta, błyskając odznaką, minął budkę strażnika, nie nawiązując nawet kontaktu wzrokowego, a gdy mężczyzna pobiegł za nim i zawołał: „Proszę pana? Pan do kogo?”, rzucił głośno nazwisko Pendergasta i numer mieszkania, po czym skierował się w stronę wewnętrznego dziedzińca.

Operator windy był bardziej uparty i potrzeba było otwartej groźby o utrudnianie pracy stróżowi prawa, zanim nie bez wahania zasunął staroświeckie kratowane drzwi i dowiózł porucznika na piętro, gdzie znajdowały się apartamenty zajmowane przez Pendergasta.

D'Agosta bywał już wcześniej wielokrotnie w Dakocie i zwykle wielkie wrażenie wywierał na nim zapach – mieszanina politory z wosku pszczelego, starego drewna i ledwie wyczuwalna woń wyprawionej skóry. Wszystko tutaj wydawało się wytworne i staroświeckie, począwszy od polerowanych mosiężnych gałek i zdobień windy, poprzez miękkie, tłumiące dźwięki wykładziny, po wspaniałe trawertynowe ściany z dziewiętnastowiecznymi kinkietami. Teraz prawie tego wszystkiego nie dostrzegał. Dręczył go niepokój o Pendergasta. Od wielu dni czekał, kiedy wreszcie kropla przeleje czarę, kiedy ciśnienie rozsadzi bojler. Ale nic się nie wydarzyło. I to było najgorsze.

Oczywiście portier zadzwonił na górę i kiedy D'Agosta wcisnął przycisk, interkom natychmiast ożył.

– Vincent?

– Muszę z tobą pomówić. Proszę. Długa, bardzo długa cisza.

W głosie Pendergasta wyczuwało się coś dziwnego, co przeraziło D'Agostę. Może to wina zniekształcenia głosu spowodowanego przez interkom.

– Wpuścisz mnie? Kolejna dziwna pauza.

– Nie, dziękuję.

D'Agosta zamyslił się przez chwilę. „Nie, dziękuję?”.

To nie wróżyło nic dobrego. Przypomniał sobie radę Hayward i spróbował raz jeszcze.

– Posłuchaj, Pendergast, doszło do kilku morderstw. To robota seryjnego zabójcy. Naprawdę potrzebuję twojej rady.

– Nie jestem zainteresowany. D'Agosta wziął głęboki oddech.

– Nie zajmę ci więcej niż minutę, dwie. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Dawno się nie widzieliśmy. Musimy pogadać, wymienić się informacjami, naprawdę chciałbym wiedzieć, co się dzieje, jak sobie radzisz. Przeżyłeś straszliwy wstrząs...

– Proszę, abys opuścił budynek i nie zawracał mi więcej głowy.

Głos agenta brzmiał jeszcze chłodniej, surowiej i formalniej niż zazwyczaj. D'Agosta odczekał chwilę i rzekł łagodnym tonem:

– Nic z tego. Będę tu stał i zawracał ci głowę, aż mnie wpuścisz. Jeżeli to konieczne, będę stał przez całą noc.

To w końcu poskutkowało. Po dłuższej chwili rozległ się szcęk odblokowywanych kolejnych zamków. Drzwi otworzyły się powoli, a D'Agosta wszedł do foyer. Pendergast ubrany w czarny szlafrok już odwrócił się do niego plecami bez słowa powitania. D'Agosta wszedł za nim do pokoju dla gości, tego z drzewkami bonsai i ścianą, po której spływała woda. Poruszając się apatycznie, Pendergast odwrócił się, usiadł, złożył dłonie przed sobą, po czym uniósł głowę, aby spojrzeć na gościa.

D'Agosta zamarł. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Oblicze agenta było zapadnięte, poszarzałe, oczy, zazwyczaj srebrzyste, zmatowiały i pociemniały jak stary ołów. Złączone dłonie drżały lekko.

Zaczął niepewnie:

– Pendergast, chciałem, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro

z powodu śmierci Helen, ale popieram cię w stu procentach, cokolwiek zamierzasz zrobić, aby dorwać tych skurwieli.

Jego słowa nie wywołały najwyraźniej żadnej reakcji.

– Potrzebujemy... ee... świadectwa zgonu, stwierdzenia, że doszło do zabójstwa. Będziemy musieli ekshumować ciało, przejść przez te wszystkie durne procedury prawne w Meksyku. Nie wiem, co się z tym wiąże, ale możesz być pewien, że zrobimy wszystko, co konieczne. Urządzimy jej przyzwoity pogrzeb w Stanach. A potem rozpoczniemy zakrojone na szeroką skalę śledztwo, oczywiście z udziałem FBI, federalni na pewno zechcą wspomóc jednego ze swoich. W sprawę zaangażuje się policja nowojorska, a ja mogę cię zapewnić, że dysponujemy sporymi zasobami ludzi i środków. Dorwiemy tych drani, gwarantuję ci to.

Przerwał, oddychając ciężko. Powieki Pendergasta zaczęły powoli opadać, agent wyglądał, jakby zasypiał. D'Agosta przyglądał mu się. Było jeszcze gorzej, niż przypuszczał. Gdy tak patrzył na swojego starego przyjaciela i partnera, uświadomił sobie coś strasznego, a to podziałało na niego jak wstrząs elektryczny.

– Jezu Chryste. Jesteś naćpany.

– Naćpany? – wymamrotał Pendergast.

– Brałeś narkotyki. Przedłużająca się cisza.

D'Agosta poczuł wzbierający w nim gniew.

– Widywałem to z tysiąc razy. Brałeś. Pendergast wykonał lekki ruch ręką.

– I?

– I? I?

D'Agosta poderwał się z fotela. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce. Miał okazję widywać całe mnóstwo bezsensownych tragedii, śmierci, zbrodni, irracjonalnego, nikomu niepotrzebnego cierpienia, których powodem były narkotyki. Nienawidził narkotyków. Spojrzał ponownie na Pendergasta.

– Nie mogę w to uwierzyć. Sądziłem, że masz dość oleju w głowie. Gdzie one są?

Żadnej odpowiedzi. Tylko grymas. D'Agosta nie mógł tego znieść.

– Gdzie są te prochy? – zapytał, podnosząc głos.

Kiedy Pendergast nie odpowiedział, porucznik poczuł, że gniew bierze nad nim górę. Stał przy regale, zrzucając z półki jedną książkę po drugiej.

– Gdzie są te prochy?

Zamachnął się i uderzając wierzchem dłoni, strącił ze stolika jedno z drzewek bonsai.

– Gdzie są te prochy? Nie wyjdę stąd, dopóki ich nie dostanę. Ty pieprzony durniu!

– Twoje wulgarne, prostackie epitety straciły cały swój urok.

Wreszcie przebłysk dawnego Pendergasta. D’Agosta stał rozdygotany i zorientował się, że powinien lepiej zapanować nad gniewem.

– Ten apartament jest bardzo rozległy, a większość drzwi jest starannie zamknięta.

D’Agosta, już bliski szaleństwa, z trudem się hamował.

– Posłuchaj, jeżeli chodzi o Helen, wiem, jaką straszną tragedią.

W tym momencie Pendergast przerwał mu lodowatym tonem:

– Nie wymieniaj imienia Helen i nie wspominaj o tym, co się stało. Nigdy więcej.

– Jasne. Dobra. Nie będę, ale nie możesz tak po prostu... to znaczy... – D’Agosta pokręcił głową, bo zabrakło mu słów.

– Wspominałeś, że potrzebujesz pomocy przy sprawie jakichś morderstw. Odpowiedziałem, że nie jestem zainteresowany. Czy teraz, skoro nie pozostało nic do dodania, mogę cię prosić, abys wyszedł?

D’Agosta usiadł ciężko i podparł głowę dłońmi. Może śledztwo w sprawie zabójstw okaże się czynnikiem, który pozwoli Pendergastowi otrząsnąć się z tego stanu, ale szczerze w to wątpił. Przetarł twarz dłonią i uniół głowę.

– Pozwól, że opowiem ci o tej sprawie, dobra?

– Jeżeli musisz.

D’Agosta przesunął dłońmi po udach i wziął parę głębszych oddechów.

– Czytałeś ostatnie gazety?

– Nie.

– Tu mam streszczenie sprawy.

D’Agosta wyjął trzystronicowy raport, który wcześniej wydrukował, i podał Pendergastowi. Agent wziął go, przejrzał pobieżnie; wzrok miał mętny, oczy puste i obojętne. Po krótkiej chwili zaczął lekturę ponownie od początku, tym razem z o wiele większą uwagą.

Kiedy uniósł wzrok, D’Agosta pomyślał, że wychwycił coś, jakiś błysk w oczach agenta. Ale nie, tak mu się tylko zdawało.

– Pomyślałem, że ta sprawa może być w twoim stylu. Przydzielono nam do niej agenta specjalnego z ZNB. Niejakiego Gibbsa. Conrada Gibbsa. Znasz go?

Pendergast powoli uniósł głowę.

– Ma wiele teorii – kontynuował D’Agosta. – Wszystkie bardzo mądre i rzeczowe. Ale ta sprawa wydaje się w sam raz dla ciebie. Mam tu teczkę z analizą wstępną miejsca zbrodni, raportami laboratoryjnymi, wynikami autopsji, ustaleniami ekspertów sądowych i rezultatami badań próbek DNA – wszystko w pakiecie.

Wyjął teczkę z aktówki i uniósł w pytającym geście. Gdy nie doczekał się reakcji ze strony Pendergasta, odłożył teczkę na stolik.

– Mogę liczyć na twoją pomoc? Nawet gdyby chodziło tylko o nieformalną opinię?

– Z żalem stwierdzam, że nie będę miał czasu przejrzeć tego materiału, nim odejdę.

– Nim odejdiesz? Dokąd się wybierasz? Pendergast podniósł się niezdarnie; w czarnym szlafroku wyglądał jak kostucha. Błysk, który D’Agosta łudził się, że dostrzegł, był jedynie odzwierciedleniem jego nadziei; oczy agenta były bardziej matowe i puste niż kiedykolwiek dotąd.

Pendergast podał D’Agoście rękę. Była zimna jak martwa makrela. Nagle, zgoła nieoczekiwanie agent mocniej ścisnął dłoń policjanta i cieplejszym, choć wyraźnie udręczonym głosem powiedział:

– Żegnaj, mój drogi Vincencie. Pendergast zamknął drzwi do

swojego apartamentu.

Podszedł do drzwi prowadzących do pomieszczeń poza pokojem dla gości i nagle przystanął, a potem odwrócił się z pewnym wahaniem. Na jego twarzy odmalował się wyraz toczącej się w jego wnętrzu walki, silnego, niepohamowanego wzburzenia. Wreszcie najwyraźniej podjął decyzję. Podszedł do stolika, sięgnął po grubą teczkę i zaczął czytać jej zawartość.

Stał tak przez dwie godziny, nieruchomo i sztywno, jakby kij połknął. Odłożył teczkę na blat, a jego usta poruszyły się i wypłynęło z nich tylko jedno słowo:

– Diogenes.

15

Pomruk silnika rolls-royce'a silver wraith rocznik 1959 wypełnił północny kraniec Riverside Drive, blask latarni ulicznych i świateł odbił się od polerowanej karoserii limuzyny. Kiedy samochód minął Sto Trzydziestą Siódmą Ulicę, zwolnił, po czym skręcił na podjazd ograniczony z dwóch stron przez wysokie ogrodzenie z kutego żelaza – brama wjazdowa była otwarta na oścież. Rolls-royce przejechał obok nagich krzewów bożodrzewu i sumaka, aż zatrzymał się pod porte-cochere wielkiej rezydencji w stylu beaux arts, której marmurowa fasada wznosiła się na wysokość trzech pięter i nikła w półmroku, a jej mansardowy dach ozdabiały stylowe krużganki i balkoniki. Niebo przecięła błyskawica, a po chwili rozległ się donośny grzmot. Znad rzeki Hudson powiał lodowaty wiatr. Była dopiero osiemnasta, ale z początkiem grudnia Nowy Jork tonął już w ciemnościach nocy.

Agent Pendergast wysiadł z limuzyny. W słabym świetle jego oblicze było blade i nawet pomimo chłodu zroszone potem. Gdy maszerował w stronę dębowych drzwi frontowych przy ozdobionym kolumnadą wejściu, od strony krzewów na tyłach pojazdu dla dorożek jego uszu dobiegł jakiś szelest. Odwrócił się w stronę, skąd usłyszał hałas, by ujrzeć pojawiającą się w półmroku Corrie Swanson. Wydawała się niemiłosiernie brudna, ubranie miała zmięte i ubłocone, włosy zmierzwione, twarz umorusaną. Z jednego ramienia zwieszał się podarty plecak. Rozejrzała się na lewo i prawo jak spłoszone źrebię, by zaraz podbiec do niego.

– Agencie Pendergast! – rzuciła ochrypłym szeptem. – Gdzie pan

się podziewał? Od dobrych paru dni odmrażam tu sobie tyłek, czekając na pana! Mam kłopoty.

Nie czekał, aż usłyszy coś więcej, tylko kluczem otworzył drzwi i wpuścił Corrie do środka. Zamknął ciężkie, masywne odrzwia, zapalił światło i gestem wskazał hol z posadzką wyłożoną lśniąco marmurami i ścianami pokrytymi ciemnym aksamitem. Poprowadził dziewczynę przez długie, przywodzące na myśl refektarz, pomieszczenie z rzeźbionymi gotyckimi zdobieniami, a stamtąd do wielkiej sali przyjęć, gdzie po obu stronach ciągnęły się rzędy przeszklonych gablot. Proctor, szofer Pendergasta, ubrany tylko w szlafrok, stał sztywno wyprostowany, opierając się na kuli, najwyraźniej wyrwany ze snu ich nagłym przybyciem.

– Proctorze, poproś panią Trask, aby przygotowała kąpiel dla panny Swanson – rzekł Pendergast. – I niech jej ubranie zostanie uprane i odprasowane, bardzo proszę.

Corrie odwróciła się do niego.

– Ale...

– Zaczekam na ciebie w bibliotece.

Półtorej godziny później, czując się jak nowo narodzona, Corrie weszła do biblioteki. Pomieszczenie tonęło w ciemnościach, w kominku się nie paliło. Pendergast siedział w fotelu klubowym w rogu pokoju, nieruchomy i prawie niewidoczny. Było coś w jego obecności – jakiś niespokojny bezruch, jeżeli można by to tak określić – co sprawiło, że poczuła się dziwnie. Usiadła naprzeciw niego. Pendergast miał dłonie złączone koniuszkami palców, a powieki półprzymknięte. Czując niewytłumaczalne zdenerwowanie, Corrie pospiesznie zaczęła relacjonować swoją historię. Opowiedziała mu o Bettertonie, jego oskarżeniach i teoriach dotyczących Pendergasta, o jachcie i o szalonej decyzji włamania się do domu na East Endzie, o którym wspomniał jej dziennikarz. Pendergast wydawał się nieobecny, jakby jej w ogóle nie słuchał. Jednak wzmianka o domu najwyraźniej zwróciła jego uwagę.

– Zaangażowałaś się we włamanie z wtargnięciem – powiedział.

– Wiem, wiem. – Corrie zaczerwieniła się. – Jestem głupia, ale pan już to wie.

Spróbowała się zaśmiać, lecz nie podzielił jej rozbawienia, nawet się nie uśmiechnął. Pendergast wydawał się jeszcze dziwniejszy niż zwykle. Wzięła głęboki wdech i mówiła dalej:

– Ten dom wyglądał, jakby był opuszczony od lat. Więc się do niego włamałam. I nie uwierzy pan, co znalazłam. To jakaś sekretna kryjówka nazistów. W piwnicy są całe stosy *Mein Kampf*, jakieś stare radia, a nawet sala tortur. Na górze wszystko wygląda, jakby się pakowali i szykowali do wyjazdu. Natknęłam się na pokój pełen dokumentów, które były w trakcie systematycznego niszczenia.

Przerwała i czekała cierpliwie. Wciąż żadnej reakcji Pendergasta.

– Przejrzałam dokumenty, bo pomyślałam, że mogą być ważne. Na wielu z nich widniał znak swastyki i daty sięgające jeszcze czasów wojny. Na niektórych był stempel *Streng Geheim*, co jak się później dowiedziałam, po niemiecku oznacza „ściśle tajne”. I wtedy natknęłam się na nazwisko Esterhazy.

W tym momencie Pendergast się ożywił.

– Esterhazy?

– Tak brzmiało panieńskie nazwisko pana żony, prawda?

Lekkie skinienie głowy. Boże, wyglądał naprawdę okropnie.

– Tak czy owak – ciągnęła – wcisnęłam do plecaka tyle dokumentów, ile się tylko dało. I wtedy. – Przerwała. Wspomnienie wciąż było bardzo świeże. – Dorwał mnie ten nazista. Próbował mnie zabić. Potraktowałam łajzę gazem pieprzowym i udało mi się uciec. Ale nielecho się wystraszyłam i od tej pory stale uciekam, przemieszkując w przytułkach albo koczując w Bryant Parku. Nie byłam w swoim mieszkaniu, nie byłam na uczelni. Przez cały ten czas próbowałam skontaktować się z panem!

Nagle poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Powstrzymała je.

– Nie odbierał pan telefonu. Nie mogłam też oczekiwać na pana pojawienie się pod Dakotą, tamtejsi portierzy i ochrona są jak agenci KGB.

Kiedy nie odpowiedział, sięgnęła do plecaka po plik papierów

i położyła je na brzegu stołu.

– Proszę.

Pendergast nawet nie popatrzył na te papiery. Znów sprawiał wrażenie nieobecnego. Teraz, gdy niepokój w jej wnętrzu zaczął słabnąć, Corrie uważniej przyjrzała się agentowi. Był przeraźliwie chudy, wręcz wymizerowany, a w słabym świetle wyraźnie odznaczały się worki pod jego oczami i bladość skóry. Jednak najbardziej zaskakujące było jego zachowanie. Mimo iż zazwyczaj jego ruchy były leniwe i powolne, to przywodziły na myśl kota, który choć czasem rozleniwiony, jest jak zwinięta sprężyna, gotowy w każdej chwili do natychmiastowego ataku. Corrie jednak nie odnosiła teraz takiego wrażenia. Pendergast wydawał się rozkojarzony, prawie niezainteresowany jej opowieścią, jakby błądził myślami gdzieś indziej. Nie przejmował się zbyt tym, co ją spotkało, ani ryzykiem, na jakie naraziła się dla niego.

– Pendergast – odezwała się. – Nic panu nie jest?

Dziwnie pan wygląda. Przykro mi, ale tak właśnie jest.

Machnął ręką, zbywając jej słowa, jakby odganiał muchę.

– Ci tak zwani naziści. Czy wiedzą, jak się nazywasz?

– Nie.

– Zostawiłaś w tym domu coś, co mogłoby im pomóc w ustaleniu twojej tożsamości?

– Nie sądzę. Wszystko, co miałam, znajdowało się tutaj. – Szturchnęła plecak stopą.

– Czy coś wskazuje na to, że cię śledzili?

– Nie sądzę. Ale i tak wolałam pozostać w ukryciu. Ci goście byli naprawdę straszni.

– Adres tej ich kryjówki?

– East End Avenue czterysta dwadzieścia osiem. Pendergast zamilkł na chwilę, po czym znów się odezwał.

– Oni nie wiedzą, kim jesteś. Nie mają jak cię odnaleźć, chyba żeby wpadli na ciebie przypadkiem. To rzecz jasna mało prawdopodobne, ale postaramy się jeszcze bardziej zminimalizować tę możliwość. – Popatrzył na nią. – Czy jest jakieś miejsce, gdzie mogłabyś się

zatrzymać? Może u przyjaciół? Gdzieś poza miastem?

Corrie była wstrząśnięta. Liczyła na to, że Pendergast ją przygarnie, weźmie pod swoje skrzydła, ochroni i pomoże uporać się z tą sytuacją.

– A czemu nie mogłabym zostać tutaj? Zapadła przedłużająca się cisza. Wreszcie Pendergast wziął długi drżący oddech.

– Nie wdając się w szczegóły, sytuacja przedstawia się tak, że w obecnej chwili po prostu nie jestem w stanie zadbać o twoje bezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, pewne sprawy zaabsorbowały mnie do tego stopnia, że mógłbym wręcz stanowić zagrożenie dla twojego bezpieczeństwa. Jeżeli polegasz na mnie, narażasz się na poważne niebezpieczeństwo. Poza tym Nowy Jork jest jedynym miejscem, gdzie istnieje znikoma, ale jednak szansa, że natkniesz się na tych ludzi. Pytam zatem: czy jest jakieś miejsce, dokąd mogłabyś się udać? Gwarantuję, że dotrzesz tam bezpiecznie i zapewnię ci odpowiednie fundusze, ale poza tym będziesz zdana wyłącznie na siebie.

To było tak niespodziewane, że Corrie nagle nieomal zakręciło się w głowie. Dokąd miałyby pojechać, do cholery? Jej matka wciąż mieszka w Medicine Creek w Kansas, ale Corrie poprzysięgła sobie, że prędzej skona, niż jeszcze kiedykolwiek wróci do tej pipidowy.

– Mój ojciec mieszka niedaleko Allentown – powiedziała niepewnie.

Pendergast, którego oblicze znów stało się puste i nieobecne, powrócił do niej.

– Tak, pamiętam, że o tym wspominałaś. Czy wiesz dokładnie, gdzie mieszka?

Corrie już zaczęła żałować, że wspomniała o ojcu.

– Mam jego adres. Nie widziałam go, odkąd puścił moją matkę w trąbę i zwiął jakieś... piętnaście lat temu?

Pendergast nacisnął niewielki przycisk pod blatem stołu. Minutę później w drzwiach biblioteki stanął Proctor. Nawet opierając się na kuli, wyglądał na silnego i potężnego. Pendergast odwrócił się do niego.

– Proctorze, przygotuj, proszę, nasz prywatny środek transportu. Chciałbym, aby panna Swanson została dowieziona pod podany adres, niedaleko Allentown w Pensylwanii. Daj jej trzy tysiące dolarów i nowy telefon komórkowy.

Proctor pokiwał głową.

– Oczywiście, sir.

Corrie przeniosła wzrok z Pendergasta na Proctora i z powrotem.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Każe mi pan podwinąć ogon pod siebie i zwiewać?

– Wyjaśniłem już, co jest tego przyczyną. Z ojcem będziesz bezpieczniejsza, zwłaszcza że od dłuższego czasu nie miałaś z nim żadnego kontaktu. Będziesz musiała pozostać z nim miesiąc, może dwa. Używaj tylko gotówki, żadnych kart kredytowych ani debetowych.

Zniszcz kartę SIM i wyrzuć swoją starą komórkę, nie przenoś żadnych kontaktów, chyba że wpiszesz je od nowa do pamięci telefonu. Skontaktuj się ze mną, czyli z Proctorem, kiedy będziesz rozważała powrót.

– A jeżeli nie zechcę zostać z moim ojcem nieudacznikiem? – Corrie zrobiła gniewną minę.

– Ci ludzie, do których kryjówek się włamałaś i którym ukradłaś obciążające ich dokumenty, są naprawdę niebezpieczni. Nie należy ich lekceważyć. Nie chciałybyś, aby cię znaleźli.

– Ale... – To się nie działo naprawdę. Zaczęła ogarniać ją złość. – A co ze studiami?

– Co trupowi po studiach? – zapytał surowo Pendergast.

Wstała.

– Niech to szlag! Co się z panem dzieje? – Przerwała i przyjrzała mu się uważnie. – Jest pan chory?

– Tak.

Już gdy odpowiedział, dostrzegła strużki potu ściekające mu po czole. Jezu, on naprawdę był chory. To wiele wyjaśniało. Próbowала stłumić rozdrażnienie. Przez ostatnich kilka tygodni żyła w ciągłym strachu i może Pendergast ma rację, że powinna się ukryć.

– Przepraszam. – Usiadła gwałtownie. – Po prostu nie podoba mi się, że miałabym dalej zwiewać. Kim są ci ludzie i co się dzieje, do cholery?

– Obawiam się, że ta informacja naraziłaby cię na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– Proszę pozwolić mi zostać i pomóc panu w walce z tym, co pana dręczy. – Wysiliła się na uśmiech. – Stanowiliśmy kiedyś całkiem zgrany zespół.

Po raz pierwszy wyglądał na poruszonego.

– Doceniam ten gest – powiedział cichym, opanowanym głosem. – Naprawdę. Ale nie potrzebuję pomocy. Prawdę mówiąc, najbardziej potrzebuję teraz samotności.

Nie ruszyła się z miejsca. Już zapomniała, jakim wrzodem na tyłku potrafił być Pendergast.

– Proctor czeka.

Przez chwilę tylko patrzyła. Wreszcie bez słowa wstała, zabrała swój plecak i opuściła bibliotekę.

Po wyjściu Corrie Pendergast wciąż siedział w bezruchu w ciemnym pokoju. Dziesięć minut później usłyszał dochodzący z daleka trzask zamykanych drzwi. Dopiero wtedy wstał i podszedł do regałów. Pociągnął za jeden z wyjątkowo dużych starych woluminów i w tej samej chwili dał się słyszeć stłumiony metalowy szcęk. Cały regał płynnie odsunął się od ściany. Za nim znajdowała się składana mosiężna krata, a dalej masywne drzwi z drewna klonowego: ukryta winda towarowa do piwnicy rezydencji. Pendergast wsiadł do kabiny, nacisnął przycisk i zjechał. Następnie długim ciągiem sekretnych korytarzy dotarł do prastarych schodów wykutych w litej skale i wiodących kręto w ciemność. Zszedł do niższych piwnic pod rozległą rezydencją, minął ciąg słabo oświetlonych komnat i galerii przesyconych aurą zamierzchłej przeszłości, aż dotarł do pokoju, gdzie znajdowało się wiele długich stołów, na których stał nowoczesny sprzęt laboratoryjny. Zapalił światło i zbliżył się do urządzenia, które wyglądało jak połączenie faksu ze współczesną kasą fiskalną. Usiadł przed maszyną,

uruchomił ją przyciskiem znajdującym się z boku jej obudowy. W przedniej części urządzenia wysunęła się szeroka taca. Spoczywało na niej kilkanaście niedużych krótkich probówek. Pendergast wziął jedną z nich dwoma palcami – kciukiem i wskazującym. Następnie wyjął z kieszeni marynarki skalpel, naciął nim opuszkę drugiego kciuka, pobrał próbkę krwi do probówki, umieścił naczynie w urządzeniu, nacisnął kolejno kilka przycisków i usiadł wygodnie w oczekiwaniu na wynik.

16

Doktor Felder przeszedł Siedemdziesiątą Siódmą Ulicą, skręcił za róg, na Central Park West, wspiał się po kilku niskich szerokich stopniach i znalazł się w słabo oświetlonym wnętrzu gmachu Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego. Surowa budowla w stylu beaux arts niedawno przeszła gruntowną renowację i Felder z zaciekawieniem zlustrował główne wejście. Choć galerie i biblioteka zostały poddane starannemu liftingowi, jak przystało na początek nowego wieku, cała ta instytucja wydawała się głęboko zakorzeniona – albo raczej pogrążona – w zamierzchłej przeszłości, o czym mógł świadczyć fakt, że nazwę miasta pisano tu jeszcze na dawną modłę, z łącznikiem jako Nowy-Jork.

Podszedł do stanowiska informacji dla badaczy.

– Doktor Felder, jestem umówiony na spotkanie z Fentonem Goodbodym.

Kobieta za biurkiem rzuciła okiem na ekran komputera, aby to potwierdzić.

– Chwileczkę. Powiadomię go. Sięgnęła po telefon i wybrała numer.

– Panie Goodbody, doktor Felder do pana. – Odłożyła słuchawkę. – Zaraz zejdzie.

– Dziękuję.

Minęło dziesięć minut. Felder wykorzystał ten czas, aby przyjrzeć się uważnie holowi wejściowemu, zanim wreszcie pojawił się pan Goodbody. Był wysoki, rumiany, mocno zbudowany, w okularach. Miał sześćdziesiąt parę lat. Nosił włochaty tweedowy garnitur

i taką kamizelkę.

– Doktorze Felder – wysapał, wycierając dłonie w kamizelkę, zanim podał rękę. – Przepraszam, że musiał pan czekać.

– Nie ma sprawy.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, abyśmy uporali się z tym możliwie jak najszybciej? Jest już wpół do dziewiątej, a wie pan, dziś wieczorem zamykamy o dziewiątej.

– To mi w zupełności wystarczy, dziękuję.

– Wobec tego proszę za mną, zapraszam. Goodbody poprowadził Feldera obok stanowiska recepcji, wzdłuż rozbrzmiewającego echem korytarza, drzwiami w dół, po wąskich schodach i przez długi, znacznie bardziej surowy korytarz, aż dotarli do wielkiego pomieszczenia, gdzie pod ścianami stały regały pękające w szwach od zalegających na nich materiałów: olbrzymich archiwalnych pudeł, pożółkłych papierów przewiązanych zakurzonymi wstążkami, zwiniętych w rulony dokumentów, woluminów oprawnych w butwiejącą skórę i staroświeckich rejestratorów opisanych kaligraficznym pismem. Felder rozejrzał się dokoła, czując świerzbiecie w nosie. Słyszał różne opowieści o Nowojorskim Towarzystwie Historycznym – o jego nieskończonych, prawie nieskatalogowanych zbiorach dokumentów i dzieł sztuki – ale dziś po raz pierwszy miał okazję przestąpić próg tego miejsca.

– Niech no spojrzę. – Goodbody wyjął z kieszeni świstek papieru, zdjął z nosa okulary, złożył je i wsunął do kieszeni marynarki, a następnie uniósł świstek na odległość kilku centymetrów od oczu.

– Ach, tak J-14-2140.

Włożył kartkę do kieszeni, wyjął okulary, przetarł je szerszym końcem krawata i stanowczo nasadził sobie na nos. Potem zdecydowanym krokiem podszedł do przeciwległej ściany. Felder czekał, podczas gdy starszy mężczyzna szukał, najpierw wysoko, a później nisko, ale bez powodzenia.

– Gdzie się to, u licha... Dopiero na to patrzyłem... Ach! Jest!

Goodbody sięgnął po gruby plik papierów większego formatu i podszedł z nimi do najbliższego biurka. Były dość nieporadnie

włożone pomiędzy luźne, związane sznurkiem twarde okładki. Uśmiechając się do Feldera, Goodbody lekko upuścił przyniesiony plik papierów na drewnianą powierzchnię. W górę wzbił się obłok kurzu.

– A więc, doktorze Felder – rzekł Goodbody, wskazując krzesło stojące przed biurkiem. – Interesują pana prace Alexandra Wintoura?

Felder pokiwał głową i usiadł. Poczul w nosie niepokojąco narastającą reakcję alergiczną. Nie chciał otwierać oczu, dopóki kurz nie opadnie.

– Cóż, przypuszczalnie będzie pan pierwszy. Wątpię, aby ktokolwiek oprócz mnie je oglądał, odkąd zostały nam przekazane w charakterze darowizny. Gdy wpłynęła pańska prośba, pozwoliłem sobie zasięgnąć nieco informacji na temat tego człowieka. – Goodbody przerwał. – Z czego właściwie robi pan doktorat? Z historii sztuki?

– Tak. Właśnie tak – odparł pośpiesznie Felder.

Nie zastanawiał się zbyt nad historyjką mającą stanowić przykrywkę dla jego działań ani nawet nie brał pod uwagę tego, że mógłby jej potrzebować. Kłamstwo przyszło mu gładko i bez zastanowienia, a teraz musiał brnąć.

– Wobec tego, jeśli pokaże mi pan swoje referencje, będziemy mieli tę sprawę z głowy. Felder uniósł wzrok.

– Referencje?

– Dokumenty uprawniające pana do prowadzenia tych badań.

– Ja... ee... obawiam się, że nie mam ich przy sobie. Goodbody wydawał się zaskoczony i zbolący.

– Nie ma pan niezbędnych dokumentów? A niech to. Co za wstyd.

– Przerwał. – Cóż, wobec tego nie mogę zostawić tu pana samego. Ze zbiorami, znaczy się. Takie są przepisy, rozumie pan.

– Nie ma żadnego sposobu, abym mógł... zbadać te dzieła?

– Będę musiał zostać tu z panem. I proszę pamiętać, pół godziny to wszystko, na co może pan liczyć.

– To mi wystarczy – uznał Felder, który nie miał ochoty

pozostawać tu dłużej, niż to było konieczne.

Uległość gościa najwyraźniej przywróciła Goodbody'emu spokój ducha.

– Dobrze więc, zobaczmy, co tutaj mamy. Rozwiązał sznurek i zdjął okładkę. Pod nią znajdował się arkusz ciężkiego papieru z fakturą, którego powierzchnia była niemal całkiem przesłonięta warstwą kurzu.

– Proszę się cofnąć! – rzekł Goodbody.

Wziął głęboki wdech, a potem dmuchnął na plik arkuszy. Szara chmura kurzu, jaka wzbijała się w powietrze, na chwilę zupełnie przesłoniła archiwistę.

– Jak już wspomniałem, natknąłem się na pewne materiały dotyczące Wintoura – rozległ się bezcielesny głos Goodbody'ego. – Notki w archiwach przyjęć sięgają wstecz, do czasów kiedy jego darowizna została przyjęta. Wygląda na to, że był czołowym ilustratorem „Bowery Illustrated News”, tygodnika publikowanego w ostatnich dekadach dziewiętnastego wieku. W ten sposób zarabiał na życie. Jednak naprawdę zawsze chciał być malarzem. I ewidentnie fascynowały go klasy niższe Manhattanu.

Kurz znowu opadł, a Felder zdołał ujrzeć to, co widniało na arkuszu papieru. To był obraz, sądząc z wyglądu, olejny, przedstawiający małego chłopca siedzącego na schodach przy wejściu do starej kamienicy. W jednej ręce trzymał piłkę, a w drugiej kijek i patrzył przed siebie z buńczucznią miną.

– Ach, tak – wymamrotał Goodbody, spoglądając na malowidło.

Felder ostrożnie odwrócił arkusz i odłożył na bok. Jego oczom ukazał się kolejny obraz, tym razem przedstawiający fronton dużego sklepu z szyldem „R & N MORTENSON. WYROBY Z DREWNA I WIKLINY”. Z dalszych okien wychylała się czwórka dzieci, a na ich twarzach również malował się ponury, buntowniczy wyraz.

Felder przeniósł wzrok na kolejny obraz. Przedstawiał chłopca siedzącego na czymś, co wyglądało na wóz browarnika. Na odwrocie ktoś, zapewne sam Wintour, napisał zamasyście „WORTH & BAXTER STREETS, 1879”.

Było jeszcze kilka podobnych malowideł. Przedstawiały głównie młode kobiety i mężczyzn na tle części Manhattanu zamieszkanym przez przedstawicieli klasy niższej. Kilka z nich ukazywało mężczyzn przy pracy albo bawiące się dzieci. Inne były bardziej formalnymi portretami z całą upozowaną starannie sylwetką albo tylko z głową i ramionami.

– Wintour nigdy nie był w stanie sprzedać swoich prac – rzekł Goodbody. – Po jego śmierci rodzina, pragnąc pozbyć się ich w jakikolwiek możliwy sposób, zaoferowała cały dorobek towarzystwu. Nie mogliśmy przyjąć szkiców, studiów i albumów ze względu na brak miejsca, rozumie pan, ale obrazy wzięliśmy. Bądź co bądź był nowojorskim artystą, choć z tych mniej znanych.

Felder wpatrywał się w obraz przedstawiający dwóch chłopców bawiących się kółkiem przed sklepem, nad którym wisiał szyld z napisem „KLEJ COOPERA. SPRZEDAŻ NA BARYŁKI. PO CENACH PRODUCENTA”. Nie zdziwił się, że Wintour nie był w stanie sprzedać swoich prac – w większości były raczej przeciętne. Nie chodziło o to, co przedstawiały, skonstatował, raczej o swego rodzaju artystyczną obojętność, brak witalności w twarzach i pozach.

Odłożył arkusz, odsłaniając kolejny – i to, co ujrzał, kompletnie go zauroczyło.

Jego oczom ukazała się Constance Greene. Albo raczej Constance Greene taka, jak musiała wyglądać w wieku sześciu, siedmiu lat. Tym razem Wintour wzniósł się na wyżyny sztuki, przedstawiając postać na odpowiednio wysokim, należnym jej poziomie. Było to podobne do miedziorytu *Zabawy dzieci ulicy*, który Felder widział na łamach gazety, ale nieskończenie bardziej udane, nieomal jak żywe: uniesione brwi, lekko wydęte wargi, ułożenie włosów nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Tylko oczy były inne. To były oczy dziecka, kwintesencja niewinności podbarwionej odrobiną strachu. Nie przypominały ani trochę oczu, które wpatrywały się w jego własne w czytelni zakładu Mount Mercy tego ranka.

– A to akurat jest całkiem niezłe – przyznał Goodbody. – Naprawdę niezłe. Może warto byłoby to zaprezentować, nie uważa pan?

Pospiesznie, jakby wyrwany z transu, Felder odwrócił arkusz. Nie chciał, aby Goodbody zorientował się, jak silny wpływ wywarł na niego ten portret – i z bliżej nieokreślonego powodu nie spodobał mu się pomysł, że mógłby on zostać wystawiony na widok publiczny.

Pospiesznie przejrzał całą resztę, nie natrafił jednak na inne portrety Constance ani na pukiel jej włosów.

– Panie Goodbody, wie pan może, gdzie mógłbym znaleźć inne prace Wintoura? – zapytał. – Interesują mnie zwłaszcza albumy i szkice, o których pan wspominał.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Nasze rejestry stwierdzają, że jego rodzina mieszkała w Southport w Connecticut. Może właśnie tam powinien pan spróbować.

– Tak właśnie uczynię.

Felder wstał, zachwiał się lekko i aby nie upaść, przytrzymał się jednej z półek. Ten portret naprawdę mocno nim wstrząsnął.

– Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi swój czas i trud.

Goodbody się rozpromienił.

– Towarzystwo zawsze chętnie wspiera historyków sztuki w ich badaniach. O, już dziewiąta. Proszę za mną, odprowadzę pana.

Bibliotekę w rezydencji przy Riverside Drive przepełniały chłód i mrok, a w kominku na stercie wygasłych popiołów wałały się nieopowiadane listy. Długi stół, zwykle ustawiony w rogu, został przesunięty na środek pomieszczenia, a na blacie piętrzyły się teraz stosy wydruków i zdjęć, niektóre z nich spadły na podłogę i bezceremonialnie były deptane. Dębowy panel na jednej ze ścian został podniesiony, żeby odsłonić płaski ekran, na którym był odtwarzany na okrągło fragment nagrania ukazującego mężczyznę w hotelowym holu.

Pendergast nerwowo krążył po pokoju jak zwierzę w klatce, przystając od czasu do czasu, by spojrzeć na monitor albo pochylić się nad papierami walającymi się na blacie, przewertować je, porównać bądź z gestem zniecierpliwienia odrzucić na stertę. To była dziwna zbieranina dokumentów, głównie fluorescencyjnych fotografii, płyt do elektroforezy żelowej pokrytych mrocznymi liniami i wijącymi się zakrętami molekuł DNA jak rozmazane zdjęcia duchów zmarłych. Pendergast podnosił je, przykładał do siebie drżącymi rękami, po czym pozwalał, by upadły z powrotem na stos.

Wreszcie wyprostował się, przeszedł przez bibliotekę w stronę niewielkiego barku na kółkach, na którym stały butelki, nalał sobie kieliszek amontillado, wypił jednym haustem, ponownie napełnił kieliszek po brzegi i raz jeszcze go opróżnił.

Znów zaczął krążyć niespokojnie. Nie miał na sobie marynarki – leżała przerzucona przez oparcie krzesła. Krawat miał poluzowany,

koszulę zmiętą. Jasne włosy były wilgotne, a twarz lśniąca od potu wyglądała zdecydowanie niezdrowo. Zegar na obramowaniu kominka wybił północ.

Ponownie wrócił do butelki amontillado. Nalał sobie kieliszek, uniósł do ust, lecz po chwili wahania odstawił z taką siłą, że złamał szklaną nóżkę i rozlał bursztynowy płyn.

Zignorował to i krążył dalej, przystając na chwilę przed kominkiem, gdzie przegarnął zimne popioły pogrzebaczem, mieszając wrzucone tam niedawno listy z wypalonymi węglami.

Następnie zatrzymał się przed monitorem i zmusił się, aby popatrzeć. Sięgnął po pilota i naciskał raz po raz kolejne klawisze długimi szczupłymi palcami, przerzucając nagranie kadr po kadrze i przyglądając się w napięciu mężczyźnie w ciemnym garniturze wchodzącemu do holu, stojącemu tam i opuszczającemu to miejsce. Podszedł bliżej do ekranu, zatrzymując wzrok na twarzy tamtego, koncentrując się na jego zachowaniu, postawie, sposobie poruszania się, oszacowując jego wzrost i wagę. Jeszcze jedno naciśnięcie guzika i pojawiło się następne nagranie, które przedstawiało tego samego mężczyznę – choć czy aby na pewno? – przechodzącego pewnym krokiem przez hol innego hotelu. Pendergast odtwarzał oba nagrania to w zwolnionym, to w przyspieszonym tempie, to przybliżając, to oddalając postać na ekranie, na przemian oglądając hol i korytarz, aż w końcu rzucił pilota na krzesło i raz jeszcze podszedł do barku. Drżącą dłonią sięgnął po kolejny delikatny kieliszek i nalał sobie sherry, sporo przy tym rozlewając. Wypił, próbując alkoholem przytępić skutki narkotycznego zjazdu, choć wiedział, że było to tylko przedłużanie nieuchronnego cierpienia.

Znowu obszedł pokój i wreszcie się zatrzymał. W drzwiach pojawiła się muskularna postać trzymająca srebrną tacę. Twarz mężczyzny, tonąca w cieniu, pozostawała beznamietna.

– O co chodzi, Proctorze? – zapytał ostro Pendergast.

– Jeżeli nie ma pan dla mnie nic więcej, sir, pójdę się położyć.

Proctor czekał na polecenie, a ponieważ Pendergast się nie odezwał, z pewnym wysiłkiem rozpląnął się w półmroku. Kiedy

szofer się oddalił, Pendergast znów zaczął krążyć po pokoju, powrócił do obsesyjnego odtwarzania nagrań i ponownego przeglądania leżących na stole dokumentów. W pewnej chwili niespodzianie przystanął i odwrócił się.

– Proctorze? – rzucił niezbyt donośnym tonem. Postać znów zmaterializowała się w drzwiach.

– Tak?

– Po namyśle stwierdzam, że chciałbym, abys wyprowadził samochód na podjazd, bądź tak łaskaw...

– Czy mogę wiedzieć, dokąd jedziemy?

– Do One Police Plaza.

Kiedy Vincenta D’Agostę pochłaniała jakaś skomplikowana sprawa, godziny pomiędzy północą a drugą nad ranem były jego zdaniem najodpowiedniejsze, aby pozbierać myśli, uporządkować akta i co najważniejsze, zająć się tablicą korkową, z której korzystał, by aranżując materiały dowodowe w czasie i przestrzeni, połączyć wszystkie punkty danego przypadku. Tablica zajmowała pół ściany i przez lata trochę się zniszczyła, ale wciąż spełniała swoją funkcję. Teraz, o pierwszej w nocy, D’Agosta stał przed nią i przypinał świstki z informacjami, zdjęcia i samoprzylepne karteczki, a następnie łączył je kolorowymi nitkami.

– Ach, poruczniku, pierwsza w nocy, a jak widzę, praca wciąż wre.

D’Agosta odwrócił się, by ujrzeć agenta specjalnego Conrada Gibbsa opierającego się o framugę otwartych drzwi z uśmiechem na twarzy. Porucznik stłumił w sobie falę złości, że ktoś ośmielił się mu przerwać.

– Dobry wieczór, agencie Gibbs.

Zachowali formalne, czysto zawodowe relacje, co D’Agoście w pełni odpowiadało.

– Mogę? – Gibbs wykonał ręką gest, jakby chciał wejść do gabinetu.

D’Agosta nie mógł odmówić.

– Oczywiście, proszę.

Gibbs wszedł do gabinetu, splatając ze sobą dłonie. Skinął nosem na tablicę korkową.

– To jak tchnienie przeszłości. Robiliśmy takie rzeczy wiele lat temu, kiedy jeszcze byłem w Quantico.

Przeszliśmy na komputery. Prawdę mówiąc – Gibbs uśmiechnął się – ostatnio zacząłem mapować sprawy na moim wiernym iPodzie.

– Postukał palcem w skórzaną aktówkę.

– Ja wolę staroświeckie metody – odparł D’Agosta. Gibbs przyjrzał się tablicy.

– Niezłe. Tylko że nie za dobrze potrafię odczytać pańskie odręczne pismo.

D’Agosta powiedział sobie w duchu, że Gibbs próbuje jedynie zachowywać się normalnie.

– Dobre siostrzyczki od Świętego Krzyża niestety nie były w stanie nauczyć mnie pisać wyraźniej.

– Szkoda. – Gibbsa to nie rozbawiło. Nagle jednak się rozpromienił. – Cieszę się, że tu pana zastałem. Wpadłem pomimo późnej pory, żeby coś podrzucić.

Położył aktówkę na zawalonym papierami biurku D’Agosty, odblokował zatrzask i wyjął gruby bindowany raport. Bez słowa, lecz z wyraźną dumą podał go porucznikowi. Na okładce widniała pieczęć FBI i Zespołu Nauk Behawioralnych oraz tytuł:

FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE
ZESPÓŁ NAUK BEHAWIORALNYCH ORAZ
KRAJOWE CENTRUM ANALIZ BRUTALNYCH ZBRODNI
ZESPÓŁ ANALIZ BEHAWIORALNYCH NR 2
HOTELOWY ZABÓJCA
Profil i modus operandi
Perspektywy oszacowania zagrożeń

– Szybko się uwinęliście – rzucił D’Agosta, wążąc raport w dłoni. – A więc nazwaliście go Hotelowym Zabójcą?

– Wie pan, jak działamy – odparł Gibbs z uśmiechem. – Wszystko musimy mieć dla nas konkretną nazwę. W gazetach nadawano mu różne przydomki, my jedynie wybraliśmy najbardziej adekwatny.

D'Agosta nie był pewien, czy hotelarzom albo, dajmy na to, burmistrzowi spodoba się ten przydomek, ale nic nie powiedział. Zamierzał współpracować z FBI.

– Skierowaliśmy do tej sprawy całe nasze siły – ciągnął Gibbs. – Bo, jak się pan przekona z lektury tego raportu, uważamy, że Hotelowy Zabójca dopiero się rozkręca i niebawem nastąpi eskalacja jego morderczych działań. Co więcej, mamy do czynienia z wyjątkowo wyrafinowanym i zorganizowanym sprawcą. To zadanie uzyskało specjalny priorytet, ale może się zrobić naprawdę paskudnie, jeśli nie powstrzymamy tego typu.

– To egzemplarz dla mnie?

– Oczywiście. Miłej lektury.

Gdy Gibbs się odwrócił, by wyjść, omal nie zderzył się z wychudzoną, ponurą postacią w czerni, która nagle pojawiła się w drzwiach.

D'Agosta uniósł wzrok. Pendergast.

Wyglądał jak zombi. Trudno byłoby opisać go inaczej – ubranie wisiało na nim jak całun, w zapadniętych oczach odznaczały się niemal same białka, twarz była wymizerowana, wychudzona, śmiertelnie blada.

– Przepraszam – powiedział Gibbs od niechcienia, próbując przejść.

Zamiast jednak go przepuścić, Pendergast zastąpił mu drogę, wyciągając rękę, a na jego przypominającym trupią czaszkę obliczu pojawił się cień upiornego uśmiechu.

– Agent nadzorujący Gibbs? Jestem agent specjalny Pendergast.

Gibbs stanął jak wryty, ale bardzo szybko odzyskał rezon. Uścisnął dłoń Pendergasta.

– Miło mi pana poznać, agencie Pendergast. Hm... a może już się poznaliśmy?

– Niestety nie – odrzekł Pendergast, a ton jego głosu zaniepokoił D'Agostę, gdyż brzmiał dziwnie, obco.

– Proszę, proszę – powiedział Gibbs. – Co właściwie pana tu sprowadza?

Pendergast wszedł do gabinetu i bez słowa wskazał gruby raport

trzymany przez D'Agostę. W tym momencie Gibbs jakby trochę się zmieszał.

– Przydzielono pana... do sprawy Hotelowego Zabójcy? Pan wybaczy, to dla mnie coś nowego, nikt mnie o tym nie powiadomił.

– Nikt pana nie powiadomił, agencie Gibbs, bo nie zostałem jeszcze przydzielony do tej sprawy. Ale zostanę. O tak, z całą pewnością tak właśnie będzie.

Zakłopotanie Gibbsa jeszcze bardziej się pogłębiło, z trudem zachował zawodowy spokój po otrzymaniu niespodziewanej wieści.

– Rozumiem. Czy mógłbym wiedzieć, co właściwie jest pańską specjalnością, w jakiej dziedzinie jest pan ekspertem?

Zamiast odpowiedzieć, Pendergast pseudoprzyjaznym gestem położył dłoń na ramieniu Gibbsa.

– Rozumiem, agencie Gibbs, że pan i ja nie tylko będziemy ściśle współpracować, ale że się przy tym zaprzyjaźnimy.

– Nie mogę się doczekać – rzucił niepewnie Gibbs. Pendergast poklepał Gibbsa po ramieniu, a D'Agosta odniósł wrażenie, że lekko popchnął tamtego w stronę drzwi.

– Zobaczymy się jutro, agencie Gibbs?

– Tak – odparł Gibbs. Odzyskał spokój, ale nie był zadowolony, jego oblicze spochmurniało. – Owszem, tak. A wóczas z przyjemnością wymienię się z panem referencjami, dowiem się więcej o pańskiej przeszłości i zapewnię właściwe kontakty między naszymi wydziałami.

– Będziemy się kontaktować aż do przesytu – rzekł Pendergast, odwracając się plecami do Gibbsa i dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa ich spotkanie za zakończone.

Po chwili Gibbs wyszedł.

– Co jest, kurwa? – mruknął półgłosem D'Agosta. – Właśnie zyskałeś sobie kolejnego nietuzinkowego wroga. Co w ciebie wstąpiło?

– No właśnie, co jest, kurwa – powtórzył Pendergast, a wulgaryzm w jego ustach zabrzmiał nienaturalnie. – Chciałeś, żebym zaangażował się w tę sprawę. To się angażuję.

Wyłuskał raport z dłoni D'Agosty, przejrzał pobieżnie i bezceremonialnie wrzucił do kosza na śmieci stojącego przy biurku.

– Jak brzmi to czarujące słowo, które tak często lubisz powtarzać?
– zapytał. – Bzdury. Nawet tak pobieżne przejrzenie wystarczy, abym z pełnym przekonaniem mógł stwierdzić, iż ten raport to jeden wielki stek bzdur. Totalny szajs.

– Ale... czemu tak twierdzisz?

– Bo wiem, kim jest zabójca. To mój brat Diogenes.

18

Mężczyzna nazywający siebie Albanem Lorimerem przykucnął i przetarł czoło dłonią w skórzanej rękawiczce. Oddychał ciężko – rozczłonkowanie ciała tej wielkości, gdy do dyspozycji miał względnie nieduży zestaw narzędzi, okazało się prawdziwą mordęgą, ale on był w dobrej formie i nie stronił od wysiłku fizycznego.

Ta praca okazała się najlepsza ze wszystkich. Hotel Royal Cheshire był rzeczywiście wspaniałą, ze skromnym, stonowanym holem urządzonym w bieli i czerni. Odczuwało się tu specyficzną intymną atmosferę, co jeszcze bardziej utrudniło mu pracę, ale równocześnie stanowiło poważniejsze wyzwanie. Osobowość gości tego hotelu była nieco trudniejsza do zdefiniowania niż w dwóch wcześniejszych przypadkach. Może to ludzie szlachetnie urodzeni, potomkowie szacownych rodów, mający pieniądze i styl, lecz nieobnoszący się ze swoją zamożnością jak byle prostak. Ten szczególny apartament na piętnastym piętrze okazał się zaiste gustowny.

A młoda kobieta – upewnił się, że to była młoda kobieta – w pełni go usatysfakcjonowała. Stawiała zacięty opór, walczyła, nawet gdy już rozplątał jej gardło scyzorykiem. Nagroził jej wysiłki w szczególny sposób, upozowując części ciała na podobieństwo *Człowieka witruwiańskiego* Leonarda da Vinci: poszczególne organy wykorzystał do utworzenia zewnętrznego kręgu, a *pièce de résistance* złożył starannie na czole ofiary. Teraz wziął głęboki oddech i umaczał palec w rękawiczce w świeżej krwi, której kałuża

rozlała się pod ciałem, i napisał krótką wiadomość na nagiej przeponie kobiety – łaskotki, łaskotki! – po czym wytarł palec do sucha w czysty fragment wykładziny. Alban zastanawiał się, czy on domyślił się, kto popełnił te morderstwa. Była to bądź co bądź cudowna ironia...

Nagle uniósł wzrok. Wokoło panowała cisza, a mimo to w jednej chwili zorientował się, że ma tylko sekundę lub dwie na działanie. Pozbierał szybko narzędzia, zrolował je do skórzanego zawiniątka, wstał, wyszedł z sypialni do pokoju, po czym czmychnął do łazienki, żeby tam się ukryć. Po chwili rozległ się szcęk odblokowywanego zamka i drzwi do pokoju otworzyły się. Alban usłyszał stłumione kroki na wykładzinie.

– Mandy? – zapytał męski głos. – Mandy, kochanie, jesteś tutaj?

Kroki oddaliły się, ktoś przeszedł przez pokój w stronę sypialni.

Alban możliwie jak najciszej wyślizgnął się z łazienki, otworzył drzwi pokoju, wyszedł na korytarz, a potem po chwili wahania powrócił do łazienki i znów przycupnął za drzwiami.

– Mandy...? O Boże! – Z sypialni dobiegł nagły krzyk. – Nie, nie, nie! – Rozległ się głuchy odgłos, jakby ciężkie ciało osunęło się na kolana, a zaraz potem dał się słyszeć ciężki oddech i zdławiony szloch.

– Mandy! Mandy!

Alban zaczekał, aż szloch z sypialni przerodzi się najpierw w histeryczny wrzask, a potem w wołanie o pomoc. Drzwi do apartamentu zaraz znów się otworzyły.

– Ochrona hotelu – zabrzmiało ochryple, ponure wołanie. – Co się dzieje?

– Moja żona! Zamordowana!

Obok łazienki ktoś przebiegł, dało się słyszeć głośnie westchnienie, a potem odgłosy nerwowej rozmowy prowadzonej przez krótkofalówkę i kolejne okrzyki grozy i niedowierzania pogrążonego w rozpacz męża.

Dopiero teraz Alban wyślizgnął się z łazienki, bezszelestnie podkraśl do drzwi, otworzył je, znieruchomiał, po czym delikatnie

zamknął za sobą. Spokojnym krokiem dotarł do windy i nacisnął przycisk przywołania ze strzałką skierowaną ku dołowi. Kiedy jednak winda zaczęła sunąć w górę szybu, znów się wycofał, przeszedł na drugi koniec korytarza, otworzył drzwi na klatkę schodową, zszedł dwa piętra niżej i tam znów wrócił na korytarz. Rozejrzał się w prawo i w lewo, z uśmiechem otaksowując puste wnętrza, i ruszył w stronę windy.

Dwie minuty później opuścił hotel wyjściem służbowym, naciągając kapelusz nisko na czoło i wsuwając dłonie głęboko w kieszenie trencza. Swobodnym, niespiesznym krokiem pomaszerował Central Park West, rozkoszując się widokiem promieni porannego słońca rozjaśniających chodnik, podczas gdy z oddali dobiegł przybierający na sile dźwięk policyjnych syren.

19

Corrie Swanson stała na ganku przed frontowymi drzwiami zaniedbanego bliźniaka na rogu Czwartej i Birch w West Cuyahoga w Pensylwanii, zapomnianych ulic obumierających przedmieść miasteczka Allentown. Nikt nie odpowiadał na wielokrotnie naciskany przez nią dzwonek, a gdy zlustrowała wzrokiem ulicę, gdzie przed identycznymi bliźniakami stały rozklekotane dwudziestoletnie pikapy, stwierdziła, że tak wyobrażała sobie pojęcie domu rozumianego przez jej ojca. Wprawilo ją to w przygnębienie. Gdy znów nacisnęła przycisk, usłyszała dźwięk dzwonka rozchodzący się w pustym domu. Rozejrzała się jeszcze raz dokoła i dostrzegła poruszenie zasłon w domu obok, a po drugiej stronie ulicy sąsiad wynoszący śmieci przystanął i gapił się na czarnego lincolna continental, który ją tu przywiózł.

Po cholerę ten kierowca jeszcze tu czekał? Schwyciła za klamkę i poruszyła nią ze zniecierpliwieniem.

Postawiła walizkę na ganku i wróciła do samochodu.

– Nie ma potrzeby, abyś tu czekał. Możesz już jechać. Kierowca uśmiechnął się.

– Przykro mi, panno Swanson. Muszę zobaczyć, że wchodzi pani do domu. Jeżeli okaże się, że nikogo nie ma, mam zadzwonić po dalsze instrukcje. – Wyjął komórkę.

Corrie wywróciła oczami. To nie do wiary. Jak miała się pozbyć tego faceta?

– Nie dzwoń jeszcze. Pozwól, że spróbuję ponownie. Może on śpi.

Było całkiem możliwe, że ten wałkoń faktycznie spał albo może

upił się do nieprzytomności. Choć z drugiej strony – mimo iż była sobota – mógł być teraz w pracy, jeżeli w ogóle miał pracę.

Znów podeszła do drzwi i spróbowała raz jeszcze. Zamek był tandetny, a ona miała w bagażu swoje narzędzia. Wsunęła je więc do zamka, pomanipulowała przez chwilę i szybciej, niż się tego spodziewała, wyczuła zapadki. Drzwi się otworzyły.

Wstawiła bagaże do środka i zamknęła za sobą drzwi. Następnie rozsunęła zasłony i pomachała do kierowcy, uśmiechając się sztucznie i pokazując mu dwa uniesione kciuki. Kierowca odmachął i czarny samochód odjechał, po czym zniknął za zakrętem ulicy.

Corrie rozejrzała się dokoła. Weszła do pokoju, który, ku jej zdziwieniu, choć skromny, okazał się schludny. Postawiła walizkę na podłodze, wyciągnęła się na wyświechtanej kanapie i odetchnęła głęboko.

Sytuacja, w której się znalazła, kompletnie ją przytłoczyła. Nigdy nie powinna była się na to zgodzić. Nie widziała ojca ani razu od piętnastu lat, odkąd zniknął z jej życia. Rozumiała go, bo matka była szajbuską, ale nie potrafiła mu wybaczyć, że przez ten czas nie próbował w żaden sposób się z nią skontaktować, nie dzwonił, nie pisał. Nie przysyłał jej prezentów na urodziny ani na Gwiazdkę, nie pogratulował ukończenia liceum, nie zatelefonował ani razu, kiedy go potrzebowała, kiedy miała kłopoty – nic, żadnego zainteresowania. O dziwo, wszystkie wspomnienia o ojcu, jakie miała, były ciepłe, życzliwe, zabawne. Pamiętała, jak zabierał ją na ryby, a przecież miała tylko sześć lat, kiedy zwinął żagle i zmył się z miasta; spragnionemu miłości, niekochanemu dziecku nawet najnędnniejszy próżniak mógł się wydawać życzliwy i zabawny.

Rozejrzała się ponownie. To miejsce nie miało szczególnego charakteru, ale przynajmniej nie było tu pustych butelek po wódzie, z koszy na śmieci nie wysypywały się puste pudełka po pizzy, a na podłodze nie wały się zgniecione puszki po piwie. Tyle tylko że wyglądało, jakby nikt tu od jakiegoś czasu nie mieszkał. Gdzie on się podziewał? Może powinna była zadzwonić?

To było takie popieprzone. Zaczęło zbierać się jej na płacz.

Zwlokła się z kanapy i weszła do sypialni niedużego, lecz schludnego pokoju, z pojedynczym łóżkiem i mocno szcзыtanym egzemplarzem *Dwunastu kroków i dwunastu tradycji* na stoliku nocnym. Znajdowały się tu dwie szafy.

Niespiesznie, bez większego zaciekawienia otworzyła jedną z nich. Dżinsy, sztruksowe robocze koszule i kilka tanich garniturów na drucianych wieszakach. Zamknęła drzwi i podeszła do drugiej szafy. Dziwne, na półkach było całe mnóstwo paczek oprawionych w brązowy papier, dziesiątki pudełek różnej wielkości ustawionych obok siebie i pieczołowicie poprzetykanych plikami listów, większych niż przeciętne kopert, które musiały zawierać kartki z życzeniami urodzinowymi i świątecznymi oraz mnóstwo pocztówek spiętych gumkami recepturkami. Rzuciła okiem na kilka z nich. Wszystkie były zaadresowane do niej: Corrie Swanson, Wyndham Park Estates 29, Medicine Creek, Kansas. Wydawały się poukładane w porządku chronologicznym i sięgały co najmniej dwunastu lat wstecz. Na stemplach przybitych na każdej paczce widniała pieczętka zwrotna z oficjalnym komunikatem „Zwrot do nadawcy”.

Przez dobrą minutę wpatrywała się w zawartość szafy, drapiąc się przy tym po głowie. Wreszcie wyszła z sypialni, z domu i skierowała się do drzwi frontowych sąsiedniego bliźniaka. Zasłona znów się poruszyła, a potem rozległ się spięty głos:

– Kto tam?

– Corrie Swanson.

– Kto?

– Corrie Swanson. Jestem córką Jacka Swansona. Przyjechałam... – przełknęła ślinę – odwiedzić ojca.

Zduszony dźwięk, który mógł być pomrukiem zdziwienia, a potem szcչek odblokowywanych zasuwek. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich krępa, odpychająca z wyglądu, niesympatyczna kobieta. Skrzyżowała masywne przedramiona i wpatrywała się w Corrie świdrującym wzrokiem. Jej twarz miała teksturę kartonu do akwareli. Z pokoju za nią napłynęła woń papierosowego dymu.

Kobieta otaksowała Corrie wzrokiem, zatrzymując spojrzenie zwłaszcza na jej fioletowych kosmykach.

– Córka Jacka Swansona? Rozumiem. – Znów wlepiła w nią wzrok.
– Nie ma go tu.

– To akurat wiem – powiedziała Corrie, starając się stłumić w swoim głosie typową dla niej nutę sarkazmu. – Zastanawiam się, gdzie jest teraz.

– Wyjechał.

Corrie ugryzła się w język, by pohamować się przed kolejną ciętą ripostą, i rzuciła:

– Wie pani może, dokąd pojechał i kiedy wróci? – Posłała jędry sztuczny uśmiech.

Kolejne taksujące spojrzenie. Sądząc po grymasach twarzy, kobieta zastanawiała się, czy powinna podzielić się z nią jakąś ważną informacją, czy też nie. To było najwyraźniej coś ważnego.

– Ma kłopoty – stwierdziła w końcu. – Uciekł z miasta.

– Jakiego rodzaju kłopoty?

– Ukradł samochód z salonu samochodowego, w którym pracował, i użył go do napadu na bank.

– Co takiego? – Corrie przestraszyła się nie na żarty. Wiedziała, że jej ojciec był próżniakiem i frajerem, ale przez te wszystkie lata utrzymała sobie wrażenie o nim jako czarującym łajdaku wybierającym zawsze najprostsze rozwiązania, sypiającym ze zbyt wieloma kobietami, cwaniaku opętanym perspektywą szybkiego zarobku, który nie potrafił utrzymać się dłużej w jednej pracy i którego najlepsze chwile upływały przy ladzie w tandetnej knajpie, gdzie opowiadał anegdoty i żarciki gromadce najbliższych przyjaciół. Na pewno nie był przestępcą.

Oczywiście przez piętnaście lat wiele mogło się zmienić.

Pomyślała, że to, co się stało, nie było takie złe. Mogła mieszkać w jego domu i nie musiała mieć żadnych kontaktów z ojcem. O ile tylko zapłacił czynsz. Ale nawet jeśli tego nie zrobił, nie stanowiło to większego problemu. Opłaty za taką norę na pewno nie były wygórowane, a Pendergast dał jej trzy tysiące dolarów.

– Obrabował bank? – Corrie mimowolnie zrobiła zaskoczoną minę. – Taa. Tatko się popisał. Miejmy nadzieję, że zdołał zwinąć stamtąd grubszą sumkę.

– Może cię to śmieszy, ale zapewniam cię, że nas nie!

Kobieta mocno zacisnęła usta i trzasnęła drzwiami.

Corrie wróciła do części domu zajmowanej przez ojca, zamknęła drzwi frontowe i ponownie wyciągnęła się na kanapie, opierając stopy na podłokietniku. Aby uniknąć wszelkich niedogodności, musiała przejść do działania, poinformować policję o swoim przyjeździe, skontaktować się z właścicielem bliźniaka i upewnić, że opłaty za czynsz, prąd i wodę zostały uiszczone. Ponownie upewniła samą siebie, że tak było lepiej, niż gdyby musiała dzielić mieszkanie ze swoim ojcem nieudacznikiem. Dzięki temu nie musiała się zadawać z tym frajerem. Nie musiała mieszać się w te bzdury.

Jednak w głębi duszy czuła się dziwnie zawiedziona. Rozczarowana. Wręcz zasmucona. Musiała przyznać, że pomimo wszystko chciała go zobaczyć – choćby tylko po to, aby zapytać go, dlaczego porzucił ją, zostawiając na łasce matki, która była koszmarną suką i pijaczką, o czym on doskonale wiedział. Musiało być na to jakieś wytłumaczenie, podobnie jak dla tych wszystkich listów i paczek, które przechowywał w szafie. A przynajmniej łudziła się, że istniał ku temu powód.

Zachciało jej się pić, poszła więc do kuchni, odkręciła kran i puszczała wodę tak długo, aż z ciepławej i mętnej stała się chłodna i przejrzysta. Napełniła szklankę i napiła się. Więc ojciec ukrywał się przed policją. Gdzie mógł się zaszyć? I kiedy tylko zadała to pytanie, uświadomiła sobie, że zna odpowiedź.

20

Felder nigdy dotąd nie był w Southport w Connecticut i to miejsce niespodziewanie go urzekło. Było to atrakcyjne, senne miasteczko portowe w tętniącym życiem hrabstwie Fairfield. Gdy zjechał z Pequot Avenue na Center Street, kierując się w stronę historycznej dzielnicy, pomyślał, że człowieka mogą spotkać gorsze rzeczy niż życie w takim miejscu.

Panowała tu atmosfera stanowiąca kwintesencję aury Nowej Anglii. Domy w większości były w stylu kolonialnym, pochodziły z początku dwudziestego wieku, z bielonymi ścianami z desek, drewnianymi płotami i starannie utrzymanymi podwórzami, na których gęsto rosły drzewa. Biblioteka miejska również prezentowała się imponująco – ogromna romańska budowla kamienna z mnóstwem finezyjnych szczegółów. Jedyłą plamą na reputacji tego miejsca wydawała się stara rezydencja wznosząca się niedaleko biblioteki – podupadająca, w stylu królowej Anny, jakby żywcem wyjęta z *Rodziny Addamsów*, łącznie z takimi szczegółami jak niedomykające się okiennice, sypiące się dachówki i zarośnięty chwastami trawnik. Przejeżdżając obok, Felder pomyślał z uśmiechem, że do kompletu brakuje jedynie twarzy uśmiechniętego wujka Festera w oknie na górze.

Kiedy wjechał do miasteczka, odzyskał dobry nastrój. Zatrzymał samochód na parkingu naprzeciwko klubu jachtowego, rzucił okiem na sporządzoną odręcznie notatkę i dziarskim krokiem przeszedł przez ulicę, kierując się w stronę miłego dla oka parterowego drewnianego budynku z widokiem na zatokę.

Wnętrze Muzeum Historycznego w Southport przepełniała przyjemna woń starych książek i płynu do polerowania mebli. Stało tu wiele dobrze zachowanych antyków, ale muzeum wydawało się opustoszałe, jeśli nie liczyć kobiety w słusznym wieku – choć dobrze utrzymanej, podobnie jak jej fryzura – siedzącej w bujanym fotelu z robótką w rękach.

– Dzień dobry – powiedziała. – Mogę w czymś pomóc?

– Właściwie tak – odparł Felder. – Zastanawiałem się, czy mogłaby pani odpowiedzieć mi na kilka pytań.

– Jeżeli tylko zdołam, chętnie na nie odpowiem. Proszę usiąść.

Kobieta wskazała bujany fotel naprzeciwko niej. Felder usiadł.

– Prowadzę pewne badania dotyczące malarza i ilustratora Alexandra Wintoura. Jak rozumiem, jego rodzina pochodziła z tych okolic.

Kobieta skinęła głową.

– Zgadza się.

– Interesują mnie jego prace. A zwłaszcza szkice. Zastanawiałem się, czy wciąż jeszcze istnieją i czy mogłaby pani wskazać mi, gdzie powinienem ich szukać.

Kobieta ostrożnie odłożyła robótkę na uda.

– Cóż, młody człowieku, mogę z pełnym przekonaniem zapewnić pana, że one na pewno istnieją. I wiem, gdzie może je pan znaleźć.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł Felder, czując przepełniającą go euforię. To było prostsze, niż się spodziewał.

– Wiemy tu co nieco na temat rodziny Wintourów ciągnęła kobieta. – Można powiedzieć, że Alexandrowi Wintourowi nie udało się przebić na sam szczyt. Był dobrym ilustratorem, miał niezłe oko, ale trudno byłoby go nazwać prawdziwym artystą. A jednak jego dzieła są interesujące z historycznego punktu widzenia. Ale to, jak przypuszczam, pan już doskonale wie.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Nie, nie – rzucił Felder. – Proszę mówić dalej.

– Jeżeli chodzi o rodzinę, syn jego brata, znaczy się jego bratanek, znalazł sobie świetną partię. Poślubił córkę miejscowego magnata

żeglugowego. Alexander, który nigdy się nie ożenił, wyprowadził się z rodzinnego bungalowu Wintourów przy Old South Road i przeniósł do znacznie wspanialszej rezydencji swego bratanka niedaleko stąd.

Felder pokiwał głową żarliwie.

– Proszę mówić dalej.

– Ten magnat żeglugowy był zapalonym kolekcjonerem literackich memorabiliów: książek, rękopisów, osobliwych litografii, a w szczególności listów i korespondencji. Mówi się, że zgromadził całą kolekcję korespondencji Alberta Bierstadta z jego podróży przez Kalifornię w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku, łącznie z dziesiątkami szkiców. Udało mu się także pozyskać serię listów miłosnych napisanych przez Grovera Clevelanda do Frances Folsom, zanim jeszcze została jego żoną – był jedynym prezydentem, który brał ślub w Białym Domu, wie pan.

– Nie, nie wiedziałem – odparł Felder, wychylając się jeszcze bardziej do przodu.

– Ale tak było! Są tam także listy Henry’ego Jamesa do jego wydawcy w Houghton Mifflin napisane w trakcie prac nad *Portretem damy*. Doprawdy nader imponująca kolekcja. – Złączyła dłonie na robótce. – Tak czy owak Alexander Wintour zmarł młodo. Nigdy się nie ożenił i mówi się, że siostra odziedziczyła po nim większość jego artystycznego dorobku prócz kolekcji obrazów podarowanych, jak mi się zdaje, Nowojorskiemu Towarzystwu Historycznemu. Albumy i notatniki musiały zostać przekazane jej synowi. Syn i jego zamożna żona mieli tylko jedno dziecko, córkę, wnuczkę Alexandra. Ona wciąż żyje i mieszka tu, w Southport. My tu w muzeum jesteśmy przekonani, że szkicowniki Wintoura wciąż znajdują się w jej bibliotece wraz z należącymi do jej dziadka zbiorami listów i manuskryptów. Oczywiście chętnie byśmy się nimi zaopiekowali, ale... – Kobieta się uśmiechnęła.

Felder omal nie klasnął w dłonie z emocji.

– To cudowna wiadomość. Proszę mi powiedzieć, gdzie ona mieszka, żebym mógł ją odwiedzić.

Uśmiech na ustach kobiety przygasł.

– Ojej... – zawahała się przez chwilę. – I tu jest pewien problem. Nie chciałam wzbudzać w panu płonnych nadziei.

– Co chce pani przez to powiedzieć? Kobieta znów się zawahała.

– Powiedziałam, że wiem, gdzie może pan znaleźć te szkicowniki, a nie że będzie pan mógł je obejrzeć.

– Dlaczego nie?

– Panna Wintour... Cóż, nie będę owijać w bawełnę, od dzieciństwa była, delikatnie mówiąc, dość ekscentryczną, żeby nie powiedzieć, osobliwą postacią. Nidy nie wychodzi z domu, nie przyjmuje gości, z nikim się nie spotyka. Po śmierci rodziców zamknęła się w domu. A ten jej upiorny służący. – Kobieta pokręciła głową. – To doprawdy tragedia, jej rodzice stanowili prawdziwy filar naszej społeczności.

– A jej biblioteka? – zaczął Felder.

– Och, wielu ludzi próbowało zdobyć do niej dostęp, uczeni i inni badacze, no wie pan, zwłaszcza listy Henry’ego Jamesa i Grovera Clevelanda mają olbrzymie znaczenie pod względem historycznym i literackim, ale ona bezceremonialnie odprawiała wszystkich z kwitkiem. Wszystkich bez wyjątku. Zjawiła się tu kiedyś delegacja z Harvardu, aby zbadać listy Bierstadta. Zaoferowali jej hojną sumkę, jak się mówi. Ale ona nawet nie wpuściła ich za próg. – Kobieta wychyliła się do przodu i dotknęła skroni palcem wskazującym. – Ma nie po kolei w głowie – wyszeptała prawie niesłyszalnym tonem.

– Czy na pewno nic nie dałoby się zrobić? To piekielnie ważne.

– Uważam, że to byłby cud, gdyby wpuściła pana do środka. Mówię to z przykrością, ale znam wielu uczonych i badaczy, którzy czekają – zniżyła głos – aż nadejdzie taki dzień, kiedy tej kobiety zabraknie i już nikt nie będzie wzbraniał im dostępu do tych zbiorów.

Felder wstał.

– Przykro mi, że nie mogę bardziej panu pomóc. Westchnął.

– Przyjechałem aż z miasta. To kawał drogi. I skoro już tu jestem,

równie dobrze mogę spróbować się z nią spotkać.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz smutku i współczucia.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę jej adres? – zapytał. – Przecież nie zaszkodzi, abym przynajmniej spróbował?

– Nie zaszkodzi, ale na pana miejscu nie robiłabym sobie większych nadziei.

– Nie będę. Proszę tylko podać mi adres. Felder wyjął kartkę, aby go zapisać.

– Och, to nie będzie konieczne. Na pewno pan nie przegapi. To ta wielka rezydencja przy Center Street, niedaleko biblioteki, przy drugim końcu ulicy.

– Chyba nie ta... niszczejaca, rozsypujaca się rudera? – zapytał, czując narastającą rezygnację.

– Właśnie ta. To straszne, że dopuściła, aby jej rodzinna posiadłość popadła aż do tego stopnia w ruinę. To razi oczy wszystkich członków naszej społeczności.

Jak już wspomniałam, niektórzy z nas tylko czekają, kiedy. – Urwała znacząco i ponownie wróciła do swojej robótki.

21

Doktor John Felder jechał wolno, bardzo wolno Center Street, a zeschnięte grudniowe liście z szelestem prześlizgiwały się po asfalcie poruszone pędem powietrza wywołanego przez samochód. Nisko opuścił głowę, jakby nie chciał wychylać się powyżej deski rozdzielczej swojego volvo. Przygnębienie, jakie go przepełniło, wydawało się nieadekwatne do rozczarowania, jakiego przed chwilą doświadczył. Uświadomił sobie, że w głębi duszy wierzył, iż jedna wyprawa do Connecticut wystarczy, aby osiągnął swój cel.

To wciąż było możliwe. Wszystko mogło się zdarzyć.

Domy przesuwają się obok jeden po drugim, z jasno pomalowanymi frontonami, zadbanymi ogródkami, gdzie rośliny były okryte mierzwą i zabezpieczone przed zimą. Jednak to, co miał przed sobą, nagle sposepniało, jakby chmury zakryły słońce.... Aż się skrzywił. Zlustrował wzrokiem ogrodzenie z kutego żelaza, z długimi ostrymi szpikulcami; podwórze od frontu pokrywały zeschnięte, zmarznięte chwasty, a nieopodal wznosiła się mroczna rezydencja z przyciężkim dwuspadzistym dachem ocieniającym mroczną, odbarwioną kamienną fasadę. Nieomal wyobrażał sobie ogromną szczelinę biegnącą, jak w domu Usherów, od fundamentów aż po dach. Był przekonany, że wystarczyłby silniejszy podmuch wiatru z niewłaściwej strony, aby cała budowla obróciła się w stertę gruzów.

Zatrzymał volvo, wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Otwarcie bramy towarzyszył przeciągły zgrzyt, a na jego dłoniach pozostały czerwone płatki rdzy i czarne odpryski farby. Ruszył po popękany,

nierównym chodniku, zastanawiając się nad tym, co ma powiedzieć.

Problem polegał na tym, że zawód psychiatry nie pomagał mu w manipulowaniu ludźmi. Nie umiał kłamać i łatwo było wystrychnąć go na dudka, o czym niedawno boleśnie się przekonał. Czy powinien jeszcze raz skorzystać z fortelu, którego użył w Towarzystwie Historycznym, i podać się za badacza? Nie, bo skoro stara panna Wintour odprawiła delegację z Harvardu, to na pewno nie będzie chciała mieć do czynienia z samotnym badaczem, który zapodział gdzieś swoje referencje.

Choć może z drugiej strony powinien zagrać na jej rodzinnej dumie, powiedzieć, że pragnął przywrócić pamięć o jej stryjecznym dziadku, ocalić go od zapomnienia. Ale nie, ona miała już wiele okazji, aby o to zadbać.

Co miał jej powiedzieć, u licha?

Zdecydowanie zbyt szybko dotarł do frontowych schodów. Wspiął się po nich; kamienne płyty w zmurszałej zaprawie kolebały się groźnie pod jego stopami. Na wprost niego widać było masywne czarne drzwi, poobdrapywane, z odłóżką płacami popękana farbą. Była w nie wprawiona wielka mosiężna kołatka w kształcie głowy gryfa. Stwór zdawał się łytać na Feldera, jakby zamierzał go ugryźć. Nie było dzwonka. Felder wziął głęboki wdech, zdecydowanym ruchem ujął kołatkę i zastukał.

Czekał. Bez odpowiedzi.

Zastukał raz jeszcze, tyle że mocniej. Usłyszał echo głuchego dźwięku rozchodzące się wewnątrz rezydencji.

Nadal nic.

Oblizął wargi i niemal odetchnął z ulgą. Jeszcze jedna próba, a potem wyniesie się stąd. Chwycił kołatkę nieco mocniej i załomotał do drzwi.

Z wnętrza domu dobiegł niewyraźny głos. Felder czekał. Po minucie rozległo się echo kroków na marmurowej posadzce. Zaraz potem szczęknęły zdejmowane łańcuchy, zgrzytnęły odblokowywane zamki domagające się wyraźnie naoliwienia, aż wreszcie drzwi skrzypnęły i uchyliły się.

Wewnątrz było bardzo ciemno, więc Felder nie zdołał niczego dostrzec. Wtem jego wzrok powędrował w dół i zobaczył coś, co wydawało się okiem. Tak, to na pewno było oko. Taksowało go, podejrzliwie przymrużone, jakby uważało go za świadka Jehowy albo obwoźnego sprzedawcę.

– Tak? – dobiegł z ciemności cichy głos. Szczęki Feldera poruszyły się.

– Ja...

– Tak? O co chodzi?

Odchrząknął. To będzie trudniejsze, niż się spodziewał.

– W sprawie stróżówki? – zapytał głos.

– Słucham?

– Pytałam, czy pan w sprawie wynajmu stróżówki? Wykorzystaj okazję, durniu!

– Stróżówki? Tak, właśnie tak. Zamknięto mu drzwi przed nosem.

Stał na najwyższym stopniu schodów kompletnie dezorientowany, zanim drzwi otworzyły się ponownie, tym razem szerzej. Zobaczył drobną kobietę. Miała na sobie futro z lisów, nieco nadzarte przez mole i, co dość niezwykle, płazowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Z wąskiego ramienia zwieszała się wyglądająca na drogą czarna skórzana torebka. W ciemności za nią coś się poruszyło i nagle jakby całe wejście się poruszyło. Gdy postać pojawiła się w świetle, Felder zorientował się, że był to mężczyzna. Bardzo wysoki, musiał mieć co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, zbudowany jak zawodowy futbolista. Jego rysy i cera sprawiły, że Felder zaczął podejrzewać, że tamten musiał pochodzić z Fidżi albo z wysp Oceanii. Nosił dziwny bezkształtny strój z pomarańczowo-białym batikowym wzorem. Włosy miał przycięte krótko, przy samej skórze, a jego twarz i ramiona pokrywały prymitywne, lecz bardzo skomplikowane tatuaże. Skierował wzrok na gościa, ale nie odezwał się ani słowem. To musi być ten służący, pomyślał Felder. Przełknął ślinę nerwowo i starał się nie patrzeć na tatuaże. Tamtemu brakowało tylko kości w nosie.

– Ma pan szczęście – powiedziała kobieta, nakładając białe

rękawiczki. – Już miałam przerwać publikowanie tego ogłoszenia. To wydawało się niezłym pomysłem, no bo kto nie czułby się zaszczycony, mogąc wynająć takie miejsce? Ale z drugiej strony nie da się zrozumieć, co dzisiaj chodzi ludziom po głowach. Drukuję je już od dwóch miesięcy w „Gazetce”, to zwyczajna strata pieniędzy.

Minęła Feldera, zeszła po schodach i odwróciła się. – No to zapraszam.

Podążył za nią, gdy poprowadziła go przez podwórze zarośnięte zeschniętymi chwastami, szeleszczącymi w podmuchach zimowego wiatru. Po tym, co usłyszał od kobiety w muzeum w Southport, spodziewał się, że panna Wintour będzie zasuszoną starą jędzą. Ona jednak musiała mieć niewiele ponad sześćdziesiąt lat, a z twarzy przypominała podstarzałą Bette Davis; dobrze się trzymała, była jeszcze całkiem atrakcyjna. Miała dość wyraźny akcent, kojarzący się z północnym brzegiem Long Island, skąd pochodziła jej rodzina, a który powoli odchodził w zapomnienie. Idąc za tą kobietą, Felder czuł za sobą niepokojącą obecność olbrzymiego milczącego służącego.

– Jak mu? – rzuciła ni stąd, ni zowąd.

– Słucham? – odparł. – Niby co?

– Jak mu na imię, ma się rozumieć.

– Och... przepraszam. Jestem... John... John Feldman.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem lekarzem.

Nagle się zatrzymała, odwróciła się i spojrzała na niego.

– Może pan przedstawić referencje?

– Tak, chyba tak. Jeżeli to konieczne.

– Młody człowieku, pewnym formalnościom musi stać się zadość. Bądź co bądź to nie jakaś tam stróżówka. Została zaprojektowana przez Stanforda White'a.

– Stanforda White'a?

– To jedyna stróżówka, jaką kiedykolwiek zaprojektował. – Jej spojrzenie znów stało się podejrzliwe. – Było w ogłoszeniu. Nie czytał go pan?

– Ee, tak – odparł pośpiesznie Felder. – Ale musiało mi umknąć. Przepraszam.

– Hm – burknęła, jakby taka informacja powinna wryć mu się w pamięć.

Szła dalej po zeschłej trawie i chwastach. Gdy skręcili za róg na tyłach rezydencji, ich oczom ukazała się stróżówka. Zbudowano ją z tego samego ciemnego kamienia co główną budowlę strzegącą wejścia i podjazdu, które najwyraźniej już nie istniały. Okna były popękane i szare od brudu, kilka z nich zaś najzwyczajniej w świecie zabito deskami. Piętrowa, miała pełne gracji linie, ale sprawiała wrażenie zaniedbanej i opuszczonej. Kobieta podeszła do jedyne go wejścia, do drzwi zamkniętych na kłódkę. Po trwającym w nieskończoność grzebaniu w torebce wyłuskała klucz, który włożyła do zamka kłódkę. Następnie otworzyła drzwi i zamasztyłym gestem zaprosiła gościa do środka.

– Proszę tylko popatrzeć! – rzuciła z dumą.

Felder zajrzał do środka. W powietrzu unosiły się drobinki kurzu, niemal całkiem tłumiąc promienie słońca wpadające przez okna. Zdołał dostrzec niewyraźne kształty, ale nic poza tym.

Kobieta, najwyraźniej rozdrażniona, że nie wpadł w euforię, weszła dalej i przekręciła włącznik światła.

– Proszę do środka, zapraszam! – zachęciła donośnym głosem.

Felder wszedł do budynku. Za nimi służący zatrzymał się w progu; ledwo mieścił się w drzwiach i stanął tam, z ramionami skrzyżowanymi na muskularnym torsie, kompletnie blokując wyjście.

Wysoko w górze rozbłysła goła żarówka. Felder usłyszał popiskiwanie myszy spłoszonej ich nagłym pojawieniem się. Rozejrzał się dokoła. Z krokwi pod sufitem zwieszały się ciężkie pajęczyny, większość wolnej przestrzeni zajmowały nagromadzone przez lata przedmioty z zamierzchłej przeszłości: wózki dziecięce, kufry podróżne, manekin krawiecki. Przy każdym kroku spod stóp wzbijały się obłoczki kurzu. Zielonkawo-szare splachetki pleśni pokrywały ściany jak cętki skórę lamparta.

– Stanford White – powtórzyła z dumą kobieta. – Nigdy nie zobaczy pan nic równie wspaniałego.

– Bardzo ładne – wymamrotał Felder. Wykonała zamaszty ruch ręką.

– Och, oczywiście trzeba będzie trochę tu odkurzyć i posprzątać, ale można się z tym uwinąć nawet w jedno popołudnie. Wystarczy odrobina dobrych chęci. Pięć tysięcy za miesiąc.

– Pięć tysięcy – powtórzył Felder.

– W pełni wyposażone, urządzone i powiedziałabym, że za taką cenę to jak za darmo! Mebli jednak nie wolno w żaden sposób przestawiać. Wszelkie dodatki nie są wliczone w cenę. Za węgiel do pieca będzie pan musiał zapłacić osobno. Ale budynek jest tak dobrze wykonany, że zapewne w ogóle nie będzie pan potrzebował ogrzewania.

– Mmm – mruknął Felder.

W pomieszczeniu było zimno jak w psiarni. Temperatura oscylowała w okolicy zera.

– Sypialnia i łazienka są na górze, kuchnia tuż za ścianą. Chciałby pan obejrzeć?

– Nie, chyba nie. Ale mimo wszystko dziękuję. Kobieta rozejrzała się dokoła z nieskrywaną dumą, zdając się nie dostrzegać kurzu, brudu ani pleśni.

– Jestem bardzo wymagająca, jeżeli chodzi o to, kogo wpuszczam na teren tej posesji. Nie toleruję rozwiązłego zachowania ani wizyt osób płci przeciwnej. To budowla o charakterze historycznym i naturalnie muszę chronić dobre imię mojej rodziny. Jestem pewna, że pan to rozumie.

Felder jakby od niechcienia pokiwał głową.

– Wydaje się pan jednak dość miłym młodym człowiekiem. Może, to się jeszcze okaże, któregoś dnia zaproszę pana, aby wypił ze mną herbatę we frontowym saloniku.

Frontowy salonik. Felder przypomniał sobie, co usłyszał od kobiety w muzeum w Southport: odprawiła z kwitkiem delegację z Harvardu. Oferowali jej niebagatelną sumkę. Ale ona nawet nie

wpuściła ich za próg. Uświadomił sobie, że panna Wintour przygląda mu się, marszcząc czoło w wyrazie oczekiwania.

– I jak? Wie pan, nie przyszłam tu dla przyjemności ani nie wybrałam się na spacer dla zdrowia. Pięć tysięcy miesięcznie plus dodatkowe opłaty.

Felder miał wrażenie, że te słowa wypowiedział ktoś inny, kiedy nagle usłyszał własny głos stwierdzający krótko:

– Biorę.

22

D'Agosta miał okazję w swoim życiu widzieć mnóstwo naprawdę chorych rzeczy – nigdy na przykład nie zapomni dwóch poćwiartowanych zwłok w Waldo Falls w stanie Maine – ale to przechodziło ludzkie pojęcie. To było najbardziej krwawe miejsce zbrodni w całym łańcuchu wyjątkowo okrutnych morderstw. Ciało młodej kobiety zostało rozebrane i ułożone na wznak. Rozczłonkowane kończyny tworzyły coś w rodzaju tarczy zegara, pod tym wszystkim zaś widniała korona krwi jak słoneczny rozbłysk, na obrzeżach natomiast porozkładano poszczególne organy, przydając całości wrażenia makabrycznej martwej natury. No i jeszcze mały palec stopy – dodatkowy mały palec stopy – pieczołowicie ułożony na czole ofiary.

Jakby tego było mało, pozostawiono wiadomość napisaną krwią na torsie kobiety: „Berek!”.

Koroner, technicy, eksperci do badania miejsc zbrodni, specjaliści od daktyloskopii i fotograf zrobili swoje, pozbierali materiały dowodowe i odeszli. Ich prace trwały wiele godzin. Teraz była kolej na niego – na niego i na Gibbsa. D'Agosta musiał przyznać, że Gibbs był bardzo dobry, jeżeli chodziło o czekanie. Nie błysnął odznaką i nie zaczął przepychać się łokciami, jak robili to inni federalni. Przez lata wydział zabójstw starał się określić procedury postępowania w kwestii wpuszczania wyższych rangą oficerów na miejsce zbrodni, co prowadziło do przerywania pracy ekspertów, i D'Agosta starał się przestrzegać tych zasad z pełną surowością. Nie pamiętał już, ile razy miał okazję widzieć, jak miejsce zbrodni

zostawało „skażone”, bo jakaś szycha chciała zrobić sobie zdjęcie, oprowadzić tamtędy swoich politycznych sojuszników albo po prostu wykorzystać swoją rangę.

W pokoju było gorąco od włączonych świateł, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach – woń krwi, fekaliów i śmierci. D’Agosta obszedł zwłoki, otaksowując wzrokiem każdy najdrobniejszy szczegół, zapisując wszystko w pamięci, dekonstruując i rekonstruując całe to miejsce, a przy tym dbał o swobodny przepływ informacji. To było kolejne starannie zaplanowane zabójstwo dokonane z iście wojskową precyzją. Wyczuwało się niebывалą pewnością siebie zabójcy, graniczącą niemal z arogancją.

D’Agosta doświadczył specyficznego *déjà vu* – było w tym miejscu zbrodni coś, co przywodziło mu na myśl inny obraz, i gdy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie jaki. To przypominało muzealną dioramę, wszystko dopracowane do ostatniego szczegółu, poukładane tak, jak zaplanował zabójca, a celem była iluzja, wywarcie silnego wrażenia.

Ale o co chodziło? I dlaczego?

Spojrzał na Gibbsa, który przyklęknął, przyglądając się napisowi na torsie. Rozstawione reflektory tworzyły wokół miejsca zbrodni liczne cienie.

– Tym razem – powiedział agent – sprawca miał rękawiczki.

D’Agosta pokiwał głową. Ciekawe spostrzeżenie. Gibbs jeszcze bardziej urósł w jego oczach.

Bardziej niż tylko trochę powątpiewał, aby za tymi zabójstwami faktycznie stał brat Pendergasta. Nie widział zbieżności pomiędzy sposobem działania tego zabójcy a występkami Diogenesa. Co się tyczy motywu, w przeciwieństwie do wcześniejszej fali zbrodni tym razem Diogenes nie miał powodu, aby zabijać przypadkowo wybrane ofiary. Postać, którą widział na taśmach monitoringu, choć podobnego wzrostu, wagi i budowy, nie poruszała się z taką płynnością i gracją, jaką cechował się Diogenes. Oczy były inne. Poza tym Diogenes nigdy nie sprawiał na nim wrażenia psychologa, który

mógłby zacząć odcinać sobie różne części ciała, by pozostawiać je na miejscach zbrodni. No i nie można zapomnieć o – skądinąd znaczącym drobiazgu – jego domniemanej śmierci w kraterze sycylijskiego wulkanu. O tym, że Diogenes zginął, był absolutnie przekonany jedyny świadek tego zdarzenia. Co prawda była nim kobieta, która sama miała nie całkiem po kolei w głowie, ale można ją uznać za diabelnie dobrego świadka.

Pendergast odmówił wyjaśnienia, dlaczego uważa, że za zabójstwami stoi jego brat. D'Agosta złożył tę dziwną hipotezę na karb trawiącej jego przyjaciela depresji, po tym jak zamordowano mu żonę, oraz nadużywania przez niego narkotyków. Właściwie zaczął żałować, że w ogóle włączył Pendergasta w tę sprawę, i ulżyło mu, że agent specjalny nie pojawił się na tym miejscu zbrodni.

Gibbs podniósł się po długim przyglądaniu się zwłokom.

– Poruczniku, zaczynam podejrzewać, że możemy mieć do czynienia z dwoma zabójcami. Może to rodzaj współpracy tak jak w wypadku Leopolda i Loeba.

– Naprawdę? Mamy na taśmie tylko jedną osobę, jeden zestaw krwawych śladów stóp, jeden nóż.

– To prawda. Ale proszę się nad tym zastanowić. W tych trzech hotelach zastosowano środki bezpieczeństwa na najwyższym poziomie. Aż roi się tam od personelu ochrony. A mimo to za każdym razem nasz zabójca wszedł i wyszedł, nie natykając się na nikogo, nikt go nie zapytał, co tutaj robi. Jedynym wyjaśnieniem może być to, że sprawca ma współnika – obserwatora na czujce. D'Agosta wolno pokiwał głową.

– Nasz zabójca odwala mokłą robotę. To na nim skupia się cała uwaga. To on macha do kamery, mówiąc „cześć, mamó, spójrz na mnie”. Ale gdzieś tam ukrywa się jego współnik, niewidzialny, który wtapia się w otoczenie, wszystko widzi i słyszy. Nie mają ze sobą kontaktu podczas samego aktu zbrodni, ale zachowują łączność w jakiś bliżej nieokreślony, tajemniczy sposób.

– Może za pośrednictwem słuchawki w uchu albo czegoś takiego.

– Otóż to.

D'Agoście ten pomysł od razu się spodobał.

– No to rozejrzyjmy się za tym gościem. Bo musimy go mieć na nagraniach z monitoringu.

– Prawdopodobnie. Ale oczywiście on będzie starannie zamaskowany.

Wtem z sypialni wyłonił się długi cień i przesłonił zwłoki, zaskakując D'Agostę. Po chwili pojawiła się wysoka postać w czerni, podświetlona blaskiem reflektora tak, że jasne, niemal białe włosy tworzyły osobliwą aureolę wokół zapadniętej twarzy, sprawiając, że przypominała nie tyle anioła, ile raczej mroczne widmo, zjawę z najgorszego nocnego koszmaru.

– Dwóch zabójców, powiada pan? – rozległ się melodyjny głos z charakterystycznym akcentem z Południa.

– Pendergast! – rzucił D'Agosta. – Co, u licha? Jak się tu dostałeś?

– W ten sam sposób co ty, Vincencie. Właśnie badałem sypialnię.

Jego głos nie brzmiał całkiem przyjaźnie, ale przynajmniej, jak stwierdził D'Agosta, znów dało się w nim wyczuć niewzruszoną stanowczość, której brakowało podczas ich ostatniego spotkania.

D'Agosta spojrział na Gibbsa, który patrzył na Pendergasta, nie próbując ukryć dezaprobaty malującej się na jego twarzy. Kolejny krok naprzód i jasne światło padło na oblicze Pendergasta, tym razem z boku, przydając jego rysom wrażenia doskonałości, jakby wykuto je w marmurze. Pendergast odwrócił głowę.

– Witam, agencie Gibbs.

– Kłaniam się – mruknął tamten.

– Zakładam, że nawiązana współpraca w pełni pana satysfakcjonuje?

Cisza.

– Skoro pan o tym wspomniał, nie otrzymałem jeszcze potwierdzenia pańskiej roli w tej sprawie – powiedział Gibbs.

Pendergast zacmokał.

– Ach, ta biurokracja FBI, na nią zawsze można liczyć.

– Ale oczywiście – rzekł Gibbs, nie usiłując ukrywać niezadowolenia – zawsze chętnie skorzystam z pomocy kolegi po

fachu.

– Z pomocy – powtórzył Pendergast.

Nagle obszedł zwłoki, nachylił się, spojrział przez lupę i ujawszy coś pęsetą, umieścił to w niedużej fiolce. Wszystkie te czynności wykonał pospiesznie, nieomal nerwowo, a kiedy zakończył, znów stanął twarzą w twarz z Gibbssem.

– Dwóch, powiada pan? Gibbs skinął głową.

– To tylko robocza hipoteza – powiedział. – Nie osiągnęliśmy jeszcze punktu, w którym można by się pokusić o wyciąganie wniosków.

– Chętnie poznałbym pańskie przemyślenia. Bardzo mnie one interesują.

D'Agostę zaniepokoił specyficzny dobór słów użytych przez Pendergasta, ale nic nie powiedział.

– Cóż – zaczął Gibbs. – Nie wiem, czy porucznik użyczył panu do wglądu nasz wstępny raport, ale uważamy, że to dzieło zorganizowanego zabójcy – lub zabójców, którzy działają w sposób rytualny. Dostarczę panu raport, jeśli go pan nie posiada.

– Och, otrzymałem go. Ale nie ma to, jak usłyszeć go na własne uszy. Nic nie może się z tym równać. A motyw?

– Ten typ zabójców – ciągnął spokojnie Gibbs – zabija zazwyczaj po to, by zaspokoić swoje libido, co może osiągnąć jedynie poprzez pozyskanie skrajnej kontroli i władzy nad innymi.

– A dodatkowe części ciała?

– To coś nowego, nigdy się z czymś takim nie zetknęliśmy. Zgodnie z hipotezami opracowanymi przez naszych profilerów sprawcę przepełnia nienawiść do samego siebie i niska samoocena – być może na skutek molestowania w dzieciństwie – i w ten sposób popełnia coś w rodzaju przedłużonego samobójstwa na raty. Nasi eksperci starają się to rozgryźć.

– To dla nas powód do zadowolenia. A ta wiadomość: „Berek!”?

– Ten typ zabójcy często igra ze stróżami prawa.

– Wasze bazy danych mają odpowiedź na wszystko. Gibbs nie bardzo wiedział, jak ma zareagować, podobnie D'Agosta.

– To bardzo dobra baza danych, przyznaję – ciągnął Gibbs. – Zapewne pan wie, agencje Pendergast, że połączone systemy określania profilu psychologicznego przestępców KCABZ/ZNB zawierają dziesiątki tysięcy pozycji. Opierają się na statystykach, przyłączeniach i korelacjach. Nie oznacza to, że nasz zabójca musi koniecznie pasować do wzorca, ale da nam coś, jakiś trop, którym będziemy mogli podążać.

– Tak, bez wątpienia. I ten trop zwiedzie was niechybnie na manowce.

D'Agosta jeszcze przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co Pendergast właściwie chciał przez to powiedzieć. Zapadła niezręczna, przedłużająca się cisza, podczas gdy Pendergast wciąż patrzył na Gibbsa, z lekko pochyloną, przekrzywioną w bok głową, jakby przyglądał się eksponatowi w muzeum. Następnie odwrócił się do D'Agosty i ujął go za rękę.

– Cóż, Vincencie – powiedział. – Oto znów działamy razem, jako partnerzy, przy kolejnej sprawie. Chciałbym podziękować ci za, jak by to ująć... pomoc w ocaleniu mojego życia.

Następnie odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z pokoju, a poły jego czarnej marynarki aż zafalowały za nim w powietrzu.

23

Porucznik D'Agosta siedział, wychylony mocno do przodu, w laboratorium C do badań wideo na dziewiętnastym piętrze One Police Plaza. Opuścił miejsce trzeciej zbrodni zaledwie godzinę temu i czuł się, jakby miał za sobą piętnastorundowy pojedynek bokserski z prawdziwym pięściarskim czempionem. Odwrócił się do mężczyzny obsługującego sprzęt wideo, chudego wymoczka nazwiskiem Hong.

– Nagranie z piętnastego piętra. Cofnij o sześćdziesiąt sekund.

Hong postukał w klawiaturę i czarno-biały obraz na głównym monitorze cofnął się błyskawicznie. Obserwując ekran, D'Agosta zastanawiał się nad przebiegiem zbrodni. Zabójca ponownie wdarł się do pokoju – zgodnie z zapisem z taśm monitoringu w Royal Cheshire sprawiał wrażenie, jakby wiedział, które drzwi się otworzą – i wepchnął nieszczęsną kobietę do sypialni hotelowego apartamentu. Zabił ją, a potem zabrał się do brudnej roboty. Wszystko zajęło mu mniej niż dziesięć minut.

Jednak do apartamentu wrócił mąż kobiety. Zabójca ukrył się w łazience. Mężczyzna znalazł ciało żony, a jego szaleńcze krzyki usłyszał funkcjonariusz hotelowej ochrony, który wszedł do pokoju, zobaczył zwłoki i wezwał policję. Zabójca uciekł w zamieszaniu, jakie powstało. Za taką wersją wydarzeń przemawiały nagrania z kamer monitoringu, jak również dowody odnalezione w apartamencie i wynikające z zeznań męża i detektywa.

To wydawało się dość oczywiste. Ale diabeł zawsze tkwi w szczegółach. Skąd na przykład zabójca wiedział, że powinien

schować się w łazience? Gdyby był jeszcze w sypialni i tam został zaskoczony przez odgłos otwieranych drzwi, nie zdążyłby na czas do łazienki, tak by nie został zauważony przez męża ofiary. Musiał się tam ukryć, zanim karta została przeciągnięta przez czytnik zamka. Musiało go ostrzec coś innego. Albo ktoś.

Nie ulegało wątpliwości, że facet miał współnika. Ale gdzie?

– Zacznijmy od tego miejsca – rzekł D’Agosta do Honga.

Patrzył na korytarz na ekranie i na moment, w którym mąż ofiary wchodzi do apartamentu. Pięć sekund później drzwi frontowe otworzyły się ponownie i zabójca – w fedorze i trenczu – wyszedł na korytarz. I nagle – wbrew wszelkiej logice – znów wślizgnął się do apartamentu. Kilka sekund później zza załomu korytarza wyszedł hotelowy detektyw.

– Zatrzymaj na chwilę – nakazał D’Agosta. Problem polegał na tym, że w korytarzu nie było żadnego współnika, który mógłby spostrzec nadchodzącego ochroniarza. Korytarz wyglądał na pusty.

– Puść jeszcze raz.

D’Agosta obserwował uważnie, jak hotelowy detektyw znika w pokoju zaniepokojony krzykami męża. Niemal natychmiast zabójca znów wyszedł z pokoju i skierował się do wind. Nacisnął guzik przywołujący windę, ale zaraz – jakby nagle zmienił zdanie – przeszedł cały korytarz do samego końca i wyszedł przez drzwi na klatkę schodową.

Kilka sekund później z windy wyszło trzech mężczyzn w garniturach.

– Zatrzymaj – powiedział D’Agosta do Honga. – Zobaczmy zapis z trzynastego piętra. Zaczynaj od tego samego znacznika czasowego.

– Się robi, poruczniku.

Przejrzeni już nagrania z czternastego piętra. W tamtym momencie pracowało tam kilka sprzątaczek i ich wózki blokowały korytarz. Teraz D’Agosta patrzył, jak zabójca wyszedł z klatki schodowej na korytarz trzynastego piętra. Podeszedł do wind, ponownie nacisnął guzik przywołania i czekał. Przepuścił jedną windę, po czym znów nacisnął guzik. Tym razem, kiedy drzwi się otworzyły, wszedł do

kabiny.

– Zatrzymaj.

Oglądał ten fragment wielokrotnie. Gdzie zaczął się wspólnik? W kilku przypadkach na korytarzu nie było żywej duszy, a tam, gdzie mogli się znajdować potencjalni obserwatorzy, nic nie wskazywało, aby mogły to być te same osoby. Nikt nie byłby w stanie przeistoczyć się z przygarbionego, szacownego dżentelmena przed osiemdziesiątką w otyłą dominikańską sprzątaczkę i to w piętnaście sekund. Chyba że zabójca miał kilkoro wspólników. To było naprawdę bardzo, ale to bardzo dziwne.

– Kamera w holu – wymamrotał D’Agosta. – Ten sam znacznik czasowy.

Obraz na ekranie zafalował, ale zaraz znów nabrał ostrości, ukazując widok z góry na dyskretny elegancki hotelowy hol. Drzwi windy rozsunęły się i z kabiny wysiadł zabójca. Był sam. Zaczął iść w stronę głównego wejścia, nagle jednak jakby zmienił zdanie, bo odwrócił się i usiadł w fotelu, kryjąc twarz za gazetą. Siedem sekund później przebiegł tuż obok niego mężczyzna w liberii – ochroniarz hotelowy. Zaraz potem zabójca wstał i zamiast znów skierować się ku głównemu wejściu, ruszył w stronę nieoznakowanych drzwi dla obsługi hotelu. Zanim do nich doszedł, otworzyły się i pojawił się w nich portier. Zabójca wymknął się przez drzwi, nim zdążyły się zamknąć, nawet nie musiał przytrzymać ich ręką.

D’Agosta patrzył, jak postać znika. Inne kamery ukazały sprawcę opuszczającego hotel wejściem służbowym, dla dostawców. Wielokrotne przejście nagrań z holu i innych kamer nie ujawniało potencjalnego wspólnika zabójcy.

Hong sam zatrzymał nagranie.

– Chciałby pan obejrzeć coś jeszcze?

– Tak. Masz może powtórki *Three Stooges*? D’Agosta podniósł się ciężko; czuł się jeszcze starzej, niż kiedy tu przyszedł. Już miał wyjść, gdy nagle coś mu przyszło do głowy. Wspólnik nie musiał być w tych wszystkich miejscach. Jeżeli miał dostęp do kamer monitoringu, mógł na żywo oglądać to samo, co widział D’Agosta. I mógł ostrzegać

zabójcę na bieżąco. Zatem musiał to być ktoś, kto pracuje w ochronie albo włamał się do sieci monitoringu i podpiął się pod nią, aby mieć do niej prywatny dostęp w czasie rzeczywistym – może nawet, jeśli obraz z tych kamer był udostępniony w sieci, dokonał tego przez internet. W tej sytuacji wspólnik wcale nie musiał przebywać w Nowym Jorku.

Kiedy D'Agosta dokonał tego genialnego odkrycia, natychmiast zaczął się zastanawiać, jaki mógłby zrobić z niego użytek.

24

Domek nigdy nie należał do jej ojca. Jack Swanson nie był osobą, która mogła kiedykolwiek cokolwiek posiadać. Wynajmował coś, zawłaszczwał i z czasem zachowywał się tak, jakby to należało do niego. Dawno temu natknął się na zapuszczoną chatkę krytą papą, na obszarze leśnym należącym do papierni Royal Paper, przy uskoku wodnym Delaware po stronie stanu New Jersey. Corrie słyszała opowieści, jakoby zakumplował się z kilkoma osobami z kierownictwa papierni, poznanymi podczas wyprawy na ryby, które najwyraźniej zgodziły się, aby Jack przemieszkiwał w tej chatce, o ile tylko zdoła ją choć trochę wyremontować i nie będzie się rzucał w oczy ani sprawiał kłopotów. Corrie była pewna, że negocjacje obficie zakropiono piwem i wymieniono się przy tym opowieściami o przygodach podczas łowienia ryb, a czynnikiem, który zdecydował o wszystkim, był urok osobisty jej ojca. W chatce brakowało ogrzewania, wody i prądu, okna były powybijane, a w dachu ziały wielkie dziury, ale nikt nie miał nic przeciwko temu, żeby Jack się tam zaszył, zmienił tę budę w miejsce nadające się jako tako do zamieszkania i pełnił funkcję jej nieformalnego właściciela, wykorzystując jako bazę do regularnych wypadów na ryby nad pobliskie Long Pine Lake.

Corrie oczywiście nigdy nie widziała tego miejsca, ale wiedziała o jego istnieniu, matka bowiem nie omieszkała poskarżyć się jej z rozgoryczeniem, gdy odkryła, że „domek letni nad jeziorem w New Jersey” wcale nie był własnością jej męża wałkonia, kiedy nadszedł czas podziału ich (nieistniejącego) majątku na okoliczność rozwodu.

Nie miała jednak wątpliwości, że ojciec ukrył się właśnie w tej chatce. Nie był jej właścicielem, policja nie mogła więc powiązać go z tym miejscem. Poza tym uznała, że wieści o jego grubymi nićmi szytym napadzie na bank nie wyszły daleko poza Allentown, a już na pewno nie dotarły do niewielkich osad rozsianych w okolicy Worthington State Forest w New Jersey.

Ile jezior o nazwie Long Pine mogło się znajdować w tym rejonie? Według Google Maps tylko jedno i Corrie była święcie przekonana, że to właściwe miejsce, gdy wysiadła z taksówki po zapłaceniu za kurs z dworca autobusowego w East Stroudsburg naprawdę słono i dotarła przed sklep wielobranżowy pod nazwą U Franka w Old Foundry w New Jersey, jedyną placówkę handlową w okolicy Long Pine Lake, jaką udało jej się odnaleźć. Odliczyła sto dwadzieścia dolców, zapłaciła taksjarsowi za kurs, po czym weszła do sklepu. Było dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Sklep oferował szeroką gamę przynęt, wabików, tanich wędek, chłodziarek, wyposażenia łodzi, a także drewno opałowe, naftę do lamp i – ma się rozumieć – piwo. Całe mnóstwo piwa.

Jej ojcu to miejsce musiało się podobać.

Gdy Corrie podeszła do lady, grupka prezentujących spore mięśnie piwne klientów stojących przy kontuarze niespodziewanie zamilkła. Bez wątpienia z powodu jej fioletowych włosów. Była zmęczona, rozdrażniona i zde gustowana tym, że za dojazd tutaj musiała wybulić sto dwadzieścia dolców. Naprawdę miała nadzieję, że te wsioki nie spróbują uprzykrzyć jej życia.

– Szukam Jacka Swansona – powiedziała. Wciąż cisza.

– Naprawdę? – rzucił w końcu ten, który zapewne uważał się w ich grupie za największego wesołka. – A co, Jack... zrobił ci bachora czy jak? – Mężczyzna zarechotał i popatrzył na swoich kumpli, jakby w oczekiwaniu na ich aprobatę.

– Jestem jego córką, ty tępy ćwoku – oznajmiła donośnie, a jej głos dotarł w najdalsze zakamarki sklepu i sprawił, że nagle zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

Dopiero teraz kumple wesołka wybuchnęli śmiechem. Ten

z największym mięśniem piwnym mocno się zaczerwienił, ale nic nie mógł na to poradzić.

– Ale ci przysrała, Merv – powiedział jeden, o mniej małpiej fizjonomii niż pozostali, szturchając swojego kumpla łokciem.

Czekała na odpowiedź, skrzyżowawszy ramiona na piersiach.

– Więc to ty jesteś tym dzieciakiem, o którym stale gada – rzucił przyjaznym tonem ten o mniej małpiej fizjonomii.

Stwierdzenie, jakoby ojciec stale o niej mówił, mocno zdziwiło Corrie, ale nie dała tego po sobie poznać. Nawet nie spojrzała na Merva, który był wyraźnie skrepowany.

– A więc... wy wszyscy znacie mojego ojca?

– Pewnie jest w swojej chatce – powiedział ten najzyczliwszy spośród nich.

Bingo, pomyślała Corrie. Miała rację. Poczwała wielką ulgę, że jej trud nie poszedł na marne.

– Czyli gdzie?

Mężczyzna wyjaśnił jej, jak tam trafić. To było jakieś półtora kilometra stąd, wzdłuż drogi.

– Chętnie cię podwiozę – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

Zarzuciła plecak na ramię i odwróciła się w stronę wyjścia.

– Naprawdę, chętnie cię podrzucę. Jestem przyjacielem twojego taty.

Powstrzymała się przed zapytaniem go, jaki on jest. To nie byłoby właściwe – musiała sama się tego dowiedzieć. Zawahała się i otaksowała mężczyznę wzrokiem. Wydawał się szczery, na dworze było zimno, a jej plecak ważył chyba z tonę.

– W porządku. O ile tylko Perwers, znaczy się Merv, nie zabierze się z nami. – Skinęła na Mięsień Piwny Numer Jeden.

Jej słowa wywołały ogólny wybuch śmiechu.

– No to chodźmy.

Powiedziała, żeby wysadził ją w miejscu, gdzie od głównej szosy odchodzi ścieżka prowadząca do chatki. Ścieżka ciągnęła się pomiędzy sosnami pod górę i brała początek przy wielkiej błotnistej

kałuży, którą Corrie skwapliwie ominęła. Czekał ją ponad półkilometrowy marsz do chatki i kiedy tak szła, od czasu do czasu przecinając kolejne odcinki krętej Long Pine Road, poczuła, że zaczyna się rozluźniać, wyciszać, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ogarnął ją prawdziwy spokój. Był typowy grudniowy dzień, słońce przeświecało pomiędzy konarami dębów i sosen, tworząc na ziemi wokół niej świetlne cętki, a w powietrzu unosił się zapach żywicy i butwiejących liści. Jeżeli istniało idealne miejsce, gdzie ktoś mógłby chcieć ukryć się przed policją albo nazistami – to właśnie tutaj.

Kiedy jednak zaczęła myśleć o ojcu i zastanawiać się, co mu powie, znów poczuła nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Prawie go nie pamiętała, nie wiedziała, jak on wygląda, bo matka wyrzuciła wszystkie ich wspólne zdjęcia. Nie wiedziała, czego ma oczekiwać. Czego może się spodziewać. A teraz jeszcze okazał się bandytą napadającym na banki. Boże, mógł być przecież alkoholikiem albo narkomanem. Jednym z tych bandziorów, którzy stale użalają się nad sobą, zrzucając winę za wszystkie swoje błędy na złych rodziców albo zwykłego pecha prześladowającego ich przez całe życie. Kto wie, może nawet skumał się z jakąś paskudną wywłoką?

Co by się stało, gdyby go złapano i gdyby wraz z nim zatrzymano również ją? Przypomniała sobie odpowiedni paragraf kodeksu karnego stwierdzający, że trzeba najpierw udowodnić, że udzieliła mu schronienia albo wręcz go ukrywała i poczyniła stosowne kroki mające zapobiec jego odnalezieniu bądź aresztowaniu. Fakt, że mieszkała z nim pod jednym dachem, to byłoby za mało. Czy jednak mogłoby to wpłynąć na jej prawniczą karierę? Z całą pewnością nie wyglądałoby to dobrze w papierach.

Krótko mówiąc, ten pomysł był naprawdę głupi. Nie zastanawiała się, zanim podjęła decyzję. Powinna była zostać w domu, tam, gdzie była absolutnie bezpieczna, i pozwolić mu, aby żył dalej swoim życiem. Zwolniła, przystanąła, zdjęła plecak i usiadła. Skąd jej przyszło do głowy, że to może być dobry pomysł?

Teraz powinna najzwyczajniej w świecie zawrócić do Allentown

albo West Cuyahoga i zapomnieć o całym tym szajsie. Wstała, ponownie zarzuciła plecak na ramię i odwróciła się, by odejść. I wtedy się zawahała.

Dotarła zbyt daleko, aby teraz zrobić odwrót. Poza tym chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat listów w szafie. Nie dawało jej to spokoju. Listonosz w Medicine Creek był głupi jak but, ale nie sądziła, żeby i jej ojciec był takim idiotą.

Pomaszerowała dalej. Szlak na dobre oddalał się od drogi i po pokonaniu kolejnego zakrętu ujrzała przed sobą skąpaną w słońcu polanę, a na niej samotną chatkę; w pobliżu nie było żadnych innych zabudowań. Przystanęła i patrzyła przez chwilę.

To nie wyglądało najlepiej. Arkusze papy były poprzetykane nieregularnymi kawałkami drewna. Dwa okna po obu stronach drzwi, choć powybijane, miały zaciągnięte zasłony. Z tyłu pomiędzy dębami dostrzegła niedużą wygodkę. Z dachu wystawał zardzewiały komin.

Jednak podwórze przed chatką wyglądało na zadbane, trawa była skoszona. Usłyszała, że w domku ktoś się krząta. O Boże, teraz albo nigdy. Podeszła do drzwi i zapukała. Nagła cisza. Czy spróbuje zwać?

– Halo? – zawołała, mając nadzieję, że w ten sposób opóźni jego ewentualną paniczną reakcję.

Wciąż cisza. A potem głos ze środka.

– Kto tam?

Wzięła głęboki oddech.

– Corrie. Twoja córka Corrie.

Znów długa cisza. I nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, a z chatki wypadł mężczyzna – rozpoznała go natychmiast – który wziął ją w ramiona i uściskał tak, jakby chciał ją zmiążyć.

– Corrie! – zawołał łamiącym się głosem. – Ile lat modliłem się o twój przyjazd! Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nastąpi! Boże, modliłem się o to i moje prośby zostały wysłuchane! Stało się! Moja Corrie!

Głos uwiązał mu w gardle i mężczyzna zaczął szlochać

z nieprzeparłej radości. Corrie zapewne poczułaby się skrępowana takim obrotem spraw, gdyby nie to, że była zdumiona i zaskoczona całą tą sytuacją.

25

Wnętrze chatki okazało się zaskakująco schludne, przytulne i nieomal urokliwe na sterany, rustykalny sposób. Ojciec – nazywała go Jack, bo nie potrafiła się zmusić, aby powiedzieć „tato” – oprowadził ją z pewną dozą dumy po domku. Składał się z dwóch pomieszczeń: kuchni-salonu-jadalni oraz maleńkiej sypialni, w której z ledwością mieściło się podniszczone podwójne łóżko, komódka i umywalka. Nie było tu kanalizacji ani prądu. Chatkę ogrzewano starą metalową kozą. Do gotowania używano zwykłej kempingowej kuchenki gazowej, a obok niej na paru deskach ustawiono starą steatytową umywalkę, z której woda spływała po prostu na ziemię, pomiędzy deski. Woda do picia przechowywana w plastikowych pojemnikach ustawionych przy drzwiach frontowych pochodziła ze źródła oddalonego o prawie kilometr.

Wszystko stało na swoim miejscu, panował tu porządek. Nigdzie nie dostrzegła butelek po alkoholu ani puszek po piwie. Czerwone nakrapiane zasłony przydawały temu miejscu pogodny ton, a prosty drewniany stół kuchenny był nakryty kraciastym obrusem. Corrie najbardziej zdumiała się – choć o tym nie wspomniała – widząc sporo oprawionych w ramki fotografii zajmujących prawie całą ścianę nad stołem, a wszystkie przedstawiały właśnie ją. Nie miała pojęcia, że w ogóle istniało tyle zdjęć z jej dzieciństwa i niemowlęctwa.

– Idź do sypialni i urządz się tam po swojemu – powiedział Jack, otwierając drzwi. – Ja będę spał na kanapie.

Corrie nie zaoponowała. Rzuciła plecak na łóżko i wróciła do ojca.

Stał przy kuchence.

- Zostaniesz na trochę? – spytał.
- Jeżeli mogę.
- Pewnie, że możesz. Kawy?
- O Boże, tak.
- Nie jest to francuskie espresso.

Zaśmiał się i wsypał trochę mielonej kawy do emaliowanego imbryczka z wodą, zamieszał i wstawił, żeby się zagotowała.

Jak dotąd po wstępnym wylewnym powitaniu oboje powstrzymywali się przed zadawaniem pytań. Choć bardzo chciała to zrobić i on z pewnością też. Jednak żadne z nich nie miało ochoty niczego przyspieszać.

Nucąc pod nosem, ojciec Corrie wyjął pudełko pączków i ułożył je na talerzu. Nagle przypomniała sobie, że miał zwyczaj nucić pod nosem, choć nie pamiętała o tym od dobrych piętnastu lat. Przyglądała mu się ukradkiem, jak krzątał się przy kuchence. Był szczuplejszy i wydawał się zaskakująco niski, ale to pewnie dlatego, że ona stała się dorosła. Żaden mężczyzna nie mógł się zmniejszyć z prawdziwego olbrzyma do mikrusa mierzącego metr sześćdziesiąt osiem wzrostu. Włosy mu się przerzedziły, na czubku głowy pozostał już tylko jeden niesforny kosmyk; twarz miał pooraną głębokimi bruzdami, ale wciąż wydawał się zaskakująco przystojny na ten szczególny, urokliwy, radosny irlandzki sposób. Mimo iż był Irlandczykiem tylko w jednej szóstej, a poza tym Szwedem, Polakiem, Bułgarem, Włochem i Węgrem. „Jestem kundlem”, powiedział kiedyś, co zapamiętała.

- Mleko, cukier? – zapytał.
- Masz śmietankę?
- Pełnotłustą.
- Świetnie. Poproszę dużo pełnotłustej śmietanki i trzy pełne łyżeczki cukru.

Przyniósł dwa kubki parującego napoju, postawił i usiadł. Przez chwilę pili w milczeniu. Corrie uświadomiła sobie, że jest głodna, więc spałaszowała jednego pączka. Na zewnątrz ćwierkały ptaki,

a promienie popołudniowego słońca przesączały się pomiędzy szeleszczącymi liśćmi. Czuła zapach lasu. To wszystko wydawało się tak doskonałe, że zaczęła płakać. Jak na typowego mężczyznę przystało, Jack poderwał się z miejsca ogarnięty paniką.

– Corrie! Co się stało? Masz kłopoty? Mogę pomóc. Machnęła ręką, aby wrócił na miejsce, i otarła oczy z uśmiechem.

– Nic. Nieważne. Jestem trochę przemęczona. Wciąż zaniepokojony usiadł i próbował objąć ją ramieniem, ale odsunęła się od niego.

– Zaczekaj chwilę... niech się z tym wszystkim trochę oswoję.

Natychmiast cofnęła rękę.

– Jasne. Pewnie, że tak.

Jego niezwykła troska była wręcz ujmująca. Corrie wydmuchała nos i na chwilę zapadła niezręczna cisza. Żadne z nich nie chciało zadać pierwszego pytania.

– Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz – zaczął w końcu Jack. – Żadnych pytań, możesz wychodzić i wracać, kiedy chcesz... Ee... masz samochód? Nie widziałem żadnego auta.

Pokręciła głową. A potem jakby mimochodem rzuciła:

– Mówią, że obrobiłeś bank. Grobowa cisza.

– No cóż – powiedział. – Nie zrobiłem tego.

W jednej chwili Corrie poczuła gdzieś głęboko w sobie wielką lodowatą kulę. Zaczął od kłamstwa. No to pięknie.

– Naprawdę tego nie zrobiłem. Wrobili mnie.

– Przecież... uciekłeś.

Potrząsnął głową, a jego kosmyki zafalowały.

– Owszem, uciekłem. Ale nie zrobiłem tego. Uwierz mi, proszę. Mają na mnie dowody, ale to dlatego, że zostałem wrobiony. A było to tak.

– Zaczekaj – uniosła dłoń – zaczekaj.

Nie chciała słuchać dalszych kłamstw, jeżeli to faktycznie były kłamstwa. Zamilkł.

Wypiła spory łyk kawy, która smakowała cudownie. Sięgnęła po kolejnego pączka i odgryzła kawałek. Ciesz się tą chwilą. Próbowwała

się rozluźnić, ale prawdziwe pytanie, to, którego unikała, powracało raz po raz w jej myślach i koniec końców zebrała się w sobie i wypowiedziała je na głos.

– Co mają znaczyć te wszystkie paczki i listy w twojej szafie?

Jack spojrział na nią.

– Widziałaś je?

– Co się właściwie stało? Dlaczego tak po prostu odszedłeś i ani razu nawet nie zadzwoniłeś? Przez piętnaście lat?

Popatrzył na nią, na jego twarzy zaskoczenie mieszało się ze smutkiem.

– Duette nie pozwoliła mi do ciebie dzwonić, powiedziała, że nie chcesz ze mną rozmawiać i chyba potrafiłem to zrozumieć. Ale wysyłałem ci coś, co kilka tygodni, Corrie. Prezenty, kiedy tylko było mnie na nie stać. W miarę jak dorastałaś, próbowałem sobie ciebie wyobrazić, jaka jesteś, jak się zmieniasz, co możesz lubić.

Lalki Barbie, książeczki dla dzieci. Na każde urodziny coś ci wysyłałem. Coś miłego. A kiedy nie było mnie stać na prezenty, wysyłałem listy. Wysyłałem do ciebie z tysiąc listów, próbując dawać rady mogące pomóc ci w trudnych chwilach. Ale wszystkie wracały. Wszystkie. Chyba Duette je odsyłała. Albo może przeprowadziła się, nie pozostawiając nowego adresu do korespondencji. Corrie przełknęła ślinę.

– Czemu więc w dalszym ciągu wysyłałeś mi te rzeczy, skoro wiedziałeś, że ich nie dostanę?

Zwiesił głowę.

– Ponieważ miałem nadzieję, że któregoś dnia będę mógł dać ci je wszystkie osobiście. W pewnym sensie stanowią coś w rodzaju pamiętnika mówiącego o moim – i choć to może zabrzmieć dziwnie – również o twoim życiu, a przynajmniej takim, jak sobie wyobrażałem. Jak dorastałaś, czym się interesowałaś. Czy zaczęłaś umawiać się na randki. I.

Przerwał zmieszany.

– Mając te listy i paczki w domu, mimo że do mnie wracały, mogę powiedzieć, że po pewnym czasie czułem się, jakbyś była przy mnie.

Osobiście.

Kolejna chwila ciszy.

– Wiesz, zawsze miałem nadzieję, że do mnie napiszesz.

Kiedy zobaczyła szafę pełną listów i paczek, domyśliła się tego wszystkiego, a właściwie miała nadzieję, że właśnie takie będzie wyjaśnienie. Jednak nigdy nie zdawała sobie sprawy, że tak naprawdę gdy przez cały czas czekała na jakiś znak życia od ojca, on także liczył na to, iż ona odezwie się do niego.

– Powiedziała, że odmówiłeś płacenia alimentów, że znalazłeś sobie inną kobietę, że nie potrafisz utrzymać się w żadnej pracy i całymi dniami przesiadujesz w knajpach, chlejąc na umór.

– To wszystko prawda, Corrie, a przynajmniej... – zaczerwienił się – spędzałem zbyt wiele czasu w knajpach. Były też... kobiety. Ale jestem czysty i trzeźwy już od dziewięciu lat. Płaciłem alimenty, kiedy tylko było mnie na to stać. Staralem się. Bywało, że nie dojadalem, żeby tylko wysłać jej czek.

Corrie pokręciła głową. Oczywiście to, co matka wmawiała jej przez te wszystkie lata, nie było prawdą. Jak mogła być taka głupia, aby w to uwierzyć? Jak mogła uwierzyć swojej zakłamanej, zgorzkniałej matce alkoholiczce? Nagle poczuła się jak idiotka. Dręczyło ją także poczucie winy, że przez piętnaście lat źle myślała o swoim ojcu. Ale przepełniała ją przede wszystkim nieprzeparata ulga.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co?

– Że nie zdawałam sobie sprawy z tego wszystkiego. Że byłam... taka bierna.

– Byłaś tylko dzieckiem. Nie mogłaś wiedzieć.

– Mam dwadzieścia dwa lata. Powinnaś być do tego wszystkiego już dawno temu.

Machnął ręką.

– Musztarda do obiadu. Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Musztarda po obiedzie.

– Nigdy nie byłem za dobry w powiedzonkach i przemowach. Ale

wyznaję pewną filozofię i uważam, że jest całkiem niezła.

– Jak brzmi ta filozofia?

– Wszystkim wszystko przebaczej. Corrie nie była pewna, czy mogłaby ją przyswoić ani teraz, ani kiedykolwiek.

Dopił kawę i sięgnął po dzbanek.

– Jeszcze kawy?

– Poproszę.

Ponownie napełnił oba kubki i usiadł.

– Corrie, chcę ci opowiedzieć o tym tak zwanym napadzie na bank. Zostałem wrobiony przez kogoś z pracy, nie wiem przez kogo. Jestem przekonany, że to ma związek z przekrętami, jakie stosują wobec swoich klientów, zawyżając opłaty przy transakcjach kredytowych. Wyłudzenia kredytu. Właśnie tak zarabiają, na przekrętach finansowych. Problem w tym, że oni wszyscy w tym siedzą. Z wyjątkiem jednego, Charliego, to jedyny porządny gość w tej firmie.

– Ale przecież uciekłeś – powtórzyła.

– Wiem. Zawsze robiłem głupie rzeczy, działałem impulsywnie. Sądziłem, że mogę zaszyć się tutaj, dopóki nie dojdę prawdy. Ale tutaj nie mam nawet telefonu, a komórkę musiałem wyrzucić, żeby nie zdołali mnie namierzyć w mojej kryjówce. W tej sytuacji nie bardzo miałem jak poprowadzić swojego prywatnego śledztwa, a uciekając, tylko się pogrążyłem. To musiało wyglądać jak przyznanie się do winy. I tak tu utknąłem.

Corrie spojrzała na niego. Chciała mu uwierzyć.

– Ja tu nie utknęłam – powiedziała. – Mogłabym przeprowadzić dochodzenie.

– Daj spokój – rzucił, śmiejąc się. – Ty? Nie masz pojęcia o prowadzeniu dochodzeń. Co mogłabyś o tym wiedzieć?

– Tak? Dla twojej wiadomości: studiuje prawo w college'u Johna Jaya. Mam same szóstki, a jakiś czas temu, jeszcze w Medicine Creek, pracowałam jako asystentka jednego z najlepszych w tym kraju agentów FBI przy słynnej sprawie niezwykłego seryjnego zabójcy.

Aż wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– O nie. Moja córka policjantką?

26

Mężczyzna pojawił się w drzwiach biurowego boksu Madeleine Teal tak nagle, że kobieta dosłownie podskoczyła na krześle. Ten facet wyglądał naprawdę dziwnie: był ubrany na czarno, miał blade oblicze, szare oczy i emanował aurą nerwowego ożywienia graniczącego z niepokojem.

– Ojej, ale mnie pan wystraszył – powiedziała, przyciskając dłoń do obfitego biustu. – W czym mogę pomóc?

– Przyszedłem po doktora Hefflera.

To był dość dziwny dobór słów – ten mężczyzna bardziej niż tylko trochę przypominał kostuchę, ale miał melodyjny głos z czarującym akcentem z Południa. Ona sama pochodziła ze Środkowego Zachodu i rozmaite nowojorskie akcenty wciąż działały jej na nerwy.

– Był pan umówiony? – zapytała.

– Doktor Heffler i ja jesteśmy starymi kumplami.

Starymi kumplami. Nie wiedzieć czemu sposób, w jaki to powiedział, nie wydawał się właściwy. Nikt nie używał słów „kumpel” w odniesieniu do doktora Wayne’a Hefflera, który zdaniem Madaleine był pretensjonalnym pozerem zgrywającym przedstawiciela klasy wyższej. W swojej długiej karierze znała wielu takich Hefflerów, ale on był najgorszy. Należał do typów, którzy znajdowali upodobanie w kontrolowaniu pracy swoich podwładnych w jednym tylko celu – wynajdywania błędów i wytykania ich publicznie. Tymczasem sam zaniedbywał pracę, a inni go kryli, bo wiedział, że to na nich spadnie wina, gdyby coś poszło nie tak albo gdyby wszystko się wydało.

- Pana godność?
- Agent specjalny Pendergast.
- Och. Jak ci z FBI?

Na twarzy agenta specjalnego pojawił się wyjątkowo niepokojący uśmiech, podczas gdy dłoń biała jak z marmuru wślizgnęła się pod marynarkę, wyjęła portfelik i otworzyła, by pokazać odznakę i legitymację, po czym delikatnie go zamknęła i ukryła na powrót pomiędzy fałdami czarnej wełnianej tkaniny. Madeleine Teal z pewnym, skądinąd przyjemnym, oczekiwaniem nacisnęła guzik interkomu i sięgnęła po telefon.

– Doktorze Heffler, agent FBI nazwiskiem Pendergast do pana, mówi że się znacie.

Krótką pauza.

- Mówi pani, że Pendergast?
- Tak, doktorze.
- Proszę go wpuścić. Odłożyła słuchawkę.
- Może pan wejść.

Agent nie ruszył się z miejsca.

– Doktor Heffler może wyjść do mnie.

To było coś innego. Znow podniosła słuchawkę.

- On chce, żeby pan do niego wyszedł.
- Niech pani powie temu sukinsynowi, że jak chce się ze mną widzieć, jestem tu, w swoim gabinecie, a w przeciwnym razie proszę go odprawić.

Poczuła delikatne szarpnięcie. Ręka Pendergasta miękko jak wąż prześlizgnęła się w górę i wyłuskała z jej dłoni słuchawkę.

– Mogę?

Puściła słuchawkę. Nikt nie mógł mieć jej za złe, że nie stawiała oporu agentowi FBI.

– Doktorze Heffler? Agent Pendergast.

Nie usłyszała odpowiedzi, ale szorstkie odgłosy przywodzące na myśl granie świerszczy płynące ze słuchawki sugerowały podniesiony ton. Heffler próbował oponować. To może być naprawdę niezłe, pomyślała Madeleine Teal. Agent FBI słuchał

cierpliwie, a następnie odpowiedział:

– Przyszedłem po wyniki analizy mtDNA Hotelowego Zabójcy.

Ze słuchawki popłynął potok pełnych rozdrażnienia słów.

– Jaka szkoda – skwitował Pendergast.

Odwrócił się i uśmiechnął do kobiety, tym razem szczerze, kiedy oddawał jej słuchawkę telefonu.

– Dziękuję pani. W którą stronę mam się udać, aby dotrzeć do laboratorium, gdzie przeprowadza się analizy mtDNA?

– W głębi korytarza; na prawo, ale... nikomu nie wolno tam wejść bez eskorty – powiedziała, zniżając głos.

– Och, ależ ja nie będę bez eskorty. Moją eskortą będzie doktor Heffler. A w każdym razie już niedługo.

– Ale...

Pendergast jednak już wyjął komórkę i wybrał numer, równocześnie opuszczając boks, skręcił w prawo i ruszył w głąb korytarza. Niemal zaraz po tym, jak się oddalił, zadzwonił telefon Madeleine Teal. Odebrała natychmiast.

– Poproszę z doktorem Hefflerem – rozległ się głos. – Burmistrz Starke.

– Burmistrz Starke? – To niewiarygodne. To naprawdę był on, zadzwonił osobiście. – Oczywiście, panie burmistrzu, już łączę.

Po niespełna pół minucie Heffler wybiegł pędem ze swojego gabinetu poczerwieniały na twarzy.

– Dokąd on poszedł?

– Do laboratorium na końcu korytarza. Powiedziałam mu.

Ale Heffler już jej nie słuchał i zgoła niepasującym do niego truchtem pognał za Pendergastem. Madeleine nigdy jeszcze nie widziała doktora tak roztrzęsionego, tak przerażonego, ale musiała przyznać w głębi duszy, że ten widok sprawił jej niewysłowioną przyjemność.

Rolls zatrzymał się przy bramie wjazdowej do rezydencji przy Riverside Drive 891. Agent Pendergast natychmiast wysiadł z limuzyny, trzymając pod pachą wąską szarą teczkę. Zrobiło się późno: znad Hudsonu powiał chłodny wiatr, silne podmuchy

szarpały garnitur agenta i mierzwiły jego jasne, nieomal białe włosy. Po chodniku z szelestem przesuwały się zeschnięte liście, znikając za rogiem budynku, gdy ciężkie dębowe drzwi otworzyły się, by pochłonąć mroczną postać agenta.

Przemierzając szybkim krokiem tonący w półmroku korytarz, Pendergast dotarł do biblioteki. Panował w niej bałagan, blat biurka i podłoga wokoło były zasłane papierami. Odsunięta część regału odsłaniała opuszczony ekran. Dziarskim krokiem agent przeszedł na tyły biblioteki, gdzie szybkim ruchem ręki uruchomił jakiś niewidzialny mechanizm, powodując otwarcie innej części regału, za którą znajdowało się nieduże stanowisko pracy z komputerem i monitorem. Nawet nie pokwapił się, by usiąść, tylko od razu zaczął stukać w klawiaturę, a ekran w jednej chwili ożył. Wyjął z szarej teczki płytę kompaktową, rozrzucając w pośpiechu piętrzące się na biurku papiery. Włożył płytę do komputera i wpisał kilka dodatkowych komend, a na ekranie pojawiła się ramka i polecenie, że musi się zalogować. Wpisał hasło i wyświetliła się czarno-biała strona z informacją następującej treści:

GRUPA ŚCIGANIA LEKARZY
BAZA DANYCH mtDNA
Haplogrupa mitochondrialna homo sapiens
Polimorfizmy i mutacje
Ta baza danych jest ściśle tajna
Dostęp wyłącznie dla osób uprawnionych

Znów rozległo się stukanie w klawisze, a po chwili na ekranie pojawiło się wirujące koło. Zaraz potem wyświetlił się krótki wynik. Pendergast, wciąż stojąc, wpatrywał się jak osłupiały w wynik przez długie pięć sekund. Cofnął się o parę kroków, zakołysał, a potem bezwolnie osunął na kolana.

Agent specjalny Pendergast wszedł do swojego mieszkania w apartamentowcu Dakota i skierował się do pokoju dla gości. Przystanął niezdecydowany, wsłuchując się w szmer wody spływającej po kamieniu. Po chwili podszedł do niewielkiego płótna Moneta i poprawił je, choć wisiało idealnie prosto, przylegając do różowej ściany. Następnie zbliżył się do poskręcane go drzewka bonsai, podniósł leżący na sąsiednim stoliku niewielki, ręcznie kuty sekator i starannie przyciął kilka nowych pędów. Jego dłoń zadrżała nieznacznie, kiedy to robił.

Gdy skończył, zaczął niespokojnie krążyć po pokoju, przystając, by zmienić układ kwiatów lotosu pływających na powierzchni wody w fontannie. Było coś, co musiał uczynić, ale sama perspektywa zrobienia tego wydawała mu się nie do zniesienia.

Wreszcie podszedł do drzwi prowadzących do właściwej części apartamentu. Minął korytarz z kilkorgiem drzwi po obu stronach. Skinął głową pani Ishimurze, która odpoczywała w swoim pokoju, czytając książkę w języku japońskim, i dotarł do miejsca, gdzie korytarz zakręcał pod kątem prostym w prawo. Otworzył pierwsze drzwi po lewej za załomem i wszedł do środka.

Wzdłuż ścian po obu stronach stały sięgające od podłogi aż po sufit wpuszczone we wnęki mahoniowe regały z półkami wypełnionymi oprawionymi w skórę książkami z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. W ścianie naprzeciw widniało okno z framugą z polerowanego mahoni i dwoma ustawionymi naprzeciw siebie bankietowymi krzesłami o miękkich, obitych

pluszem siedzeniach. Przez wielkie panoramiczne okno rozciągał się widok na skrzyżowanie Central Park West i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Jeszcze dalej rozpościerał się rozległy Central Park; nagie bezlistne drzewa wyglądały surowo i posępnie w promieniach zimowego słońca.

Zamknął oczy, pozwolił, aby jego ciało się rozluźniło, i uważnie wyregulował oddech. Powoli wszystko, co było na zewnątrz, zaczęło odpływać, najpierw pokój, potem apartament, budynek, wyspa, później sam świat, w rozszerzającej się sukcesywnie nicości. Cały proces zajął piętnaście minut. Pendergast znalazł się zawieszony w otaczającej go ciemności, oczekując na absolutną pustkę, absolutny spokój. Kiedy osiągnął ten stan, otworzył oczy – nie fizycznie jednak, lecz mentalnie – wolno, bardzo wolno.

Ukazał mu się nieduży, idealnie odwzorowany w najdrobniejszych szczegółach pokój. Ale pozostał on pusty.

Pendergast nie pozwolił sobie na luksus zaskoczenia. Był świetnie wyszkolony w sztuce Chongg Ran, pradawnej dyscyplinie mentalnej, której opanowanie do mistrzostwa trwa wiele lat. Rzadko nie udawało mu się osiągnąć stong pa nyid – stanu czystej pustki. Najwyraźniej gdzieś w jego umyśle kryło się siedlisko oporu.

Będzie potrzebował więcej czasu, znacznie więcej czasu.

Ponownie wyregulował oddech, spowalniając rytm serca do czterdziestu uderzeń na minutę. Oczyszczył umysł, by uciszyć wewnętrzny głos, pozbyć się nadziei i pragnień, a nawet zapomnieć o celu jego przybycia do tego pokoju. Przez dłuższą chwilę znów unosił się w pustce. Wreszcie, tym razem niewiarygodnie wolno, zaczął budować w umyśle idealny model wyspy Manhattan, poczynawszy od tego apartamentu i przesuwając się coraz dalej na zewnątrz. Z początku przechodził od jednego pokoju do drugiego, potem od budynku do budynku, a w końcu, z pieczołowitą uwagą, od przecznicy do przecznicy. Pendergast znał topografię Manhattanu jak nikt inny i dlatego koncentrował się na każdej budowli, każdym skrzyżowaniu, każdym mało znanym, a ciekawym szczególe architektonicznym, łącząc to wszystko w całość

w harmonijnym mentalnym splocie pamięci i rekonstrukcji i zamykając ten obraz w swoim umyśle. Krok po kroku wielka mentalna budowla została ukończona, jej rozszerzone terytorium zatrzymało się od zachodu na rzece Hudson, od wschodu – na rzece Harlem, od południa – na Battery Park, a od północy – na Spuyten Duyvil. Przez długą, bardzo długą chwilę Pendergast zachowywał całą wyspę w głowie. Każdy szczegół Manhattanu istniał równocześnie ze wszystkimi w tej mentalnej rekonstrukcji. Aż wreszcie, kiedy Pendergast upewnił się co do doskonałości tego tworu, unicestwił go w swoim umyśle w mgnieniu oka. Wszystko zniknęło. Rozpłynęło się. Nie pozostało nic prócz ciemności.

Teraz w swoim umyśle otworzył oczy jeszcze raz. Minęło pięć godzin. Naprzeciw niego na krześle przy oknie siedziała Helen Esterhazy Pendergast. Ze wszystkich pokoi właśnie ten lubiła najbardziej. Nie przepadała zbyt za Nowym Jorkiem, ale to gniazdko, gdzie królowały książki i czuć było woń politory do drewna, a z okien rozpościerał się widok na Central Park, stanowiło dla niej szczególną enklawę.

Oczywiście Helen nie było tam w znaczeniu dosłownym, jednak pod każdym innym względem istniała. Wszystko, co pozostało w umyśle Pendergasta na jej temat, każde wspomnienie, najdrobniejszy szczegół stanowiły element tego mentalnego konstruktu do tego stopnia, że można by powiedzieć, iż miała pewien aspekt quasi-autonomicznego istnienia.

Na tym właśnie polegało piękno i moc Chongg Ran.

Helen złożyła dłonie na udach. Miała na sobie suknię, którą doskonale pamiętał – z czarnej satyny, z jasną koralową wstawką przy głęboko wyciętym dekolcie. Wyglądała młodziej, niemal tak samo jak w czasach wypadku na polowaniu.

Wypadku. Ironia polegała na tym, że faktycznie doszło do wypadku, choć nie takiego, w jaki wierzył przez te lata.

– Helen – odezwał się.

Uniosła wzrok i przez moment patrzyła mu w oczy. Uśmiechnęła się, a potem znów opuściła wzrok. Ten uśmiech sprawił, że

Pendergast poczuł gdzieś głęboko wewnątrz ukłucie bólu i smutku, a cały obraz zafalował i omal nie zniknął. Odczekał, aż wizja się ustabilizuje, aż jego serce znów spowolni rytm.

– W mieście grasuje seryjny zabójca – powiedział. Wychwycił drżenie w swoim głosie i formalny ton, nietypowy dla jego zwyczajowych rozmów z żoną. – Zabił już trzykrotnie, za każdym razem zostawiał wiadomość. Druga brzmiała następująco: *Happy birthday*.

Zapadła cisza.

– To drugie zabójstwo zostało dokonane w dniu moich urodzin. Z tego względu i z powodu innych elementów tych morderstw zacząłem podejrzewać, że mogą być dziełem mojego brata Diogenesa. Moją hipotezę zdawało się potwierdzać porównanie mojego DNA z tym należącym do zabójcy. Dowiedziałem się bowiem, że w istocie łączy nas bliskie pokrewieństwo. Na tyle bliskie, że moglibyśmy być braćmi.

Przerwał, by przekonać się, jakie wrażenie te słowa wywarły na jego żonie. Ona jednak wciąż spoglądała w dół, na dłonie, zaciśnięte i złączone na udach.

– Miałem jednak okazję przyjrzeć się także wynikom analizy mtDNA. I pokazały mi one co innego. Zabójca nie jest spokrewniony wyłącznie ze mną. Jest spokrewniony także z tobą.

Helen uniosła wzrok. Nie mogła, albo nie chciała, się odezwać.

– Pamiętasz swoją wyprawę do Brazylii? To było mniej więcej rok przed naszym ślubem. Wyjechałaś na długo, prawie na pięć miesięcy. Wtedy powiedziałaś mi, że wyjeżdżasz na misję z organizacją Lekarze ze skrzydłami. Ale to było kłamstwo. Prawda wyglądała tak... że wyjechałaś do Brazylii, aby potajemnie urodzić dziecko. Nasze dziecko.

Słowa Pendergasta zawisły w powietrzu. Helen odnalazła jego spojrzenie, na jej twarzy malowała się konsternacja.

– Wydaje mi się, że wiem, kiedy dziecko zostało poczęte. To było w naszą pierwszą wspólną noc wschodu księżycy, dwa tygodnie po tym, jak się poznaliśmy. Zgadza się? A teraz, teraz muszę pogodzić

się z faktem, że nie tylko mam syna, o którym nie wiem, syna, którego nigdy nie spotkałem, ale również syna, który jest seryjnym zabójcą.

Helen ponownie spuściła wzrok.

– Widziałem dokumenty świadczące o tym, że twoja rodzina – a właściwie ty i twój brat Judson – byliście zaangażowani w eugeniczne eksperymenty sięgające wstecz aż do czasów faszystowskiego reżimu. Brazylia, John James Audubon, Mengele i Wolfgang Faust, Longitude Pharmaceuticals, Przymierze, Der Bund – to długa, paskudna historia, którą dopiero zacząłem składać w całość. Judson wyjaśnił mi jeden jej fragment krótko przed śmiercią. Powiedział: „Stałem się tym, kim było mi pisane się stać od dnia moich narodzin. To jest związane z tym, gdzie i jak przyszedłem na świat, a na to nie miałem żadnego wpływu. Gdybyś tylko wiedział, jakich koszmarów doświadczyliśmy, Helen i ja, zrozumiałbyś”. Ale prawda jest taka, że nie rozumiem. Dlaczego tak wiele ukrywałaś przede mną, Helen? Ciężę, nasze dziecko, przeszłość swojej rodziny, koszmary, o których wspominał Judson – czemu nie pozwoliłaś sobie pomóc? Dlaczego przez lata trzymałaś nasze dziecko z dala ode mnie – a czyniąc to, być może pozwoliłaś, aby stało się tym, czym się stało? Jak zapewne wiesz, mroczna linia w mojej rodzinie sięga wielu pokoleń wstecz. Prawda jest taka, że nigdy ani razu o nim nie wspomniałaś, aż do chwili, kiedy tuż przed śmiercią wyszeptałaś: „On nadchodzi”.

Helen nie patrzyła na niego. Na przemian splatała i rozplatała dłonie złożone na udach.

– Chciałbym wierzyć, że nie byłaś współwinna albo że przynajmniej z własnej woli nie brałaś udziału w śmierci swojej siostry. Pragnąłbym również uwierzyć, że Emma Grolier, jak ją nazywano, już nie żyła, miłosiernie uśmiercona, kiedy ty dowiedziałaś się o tym planie. Mam szczerą nadzieję, że tak to właśnie wyglądało. Z całą pewnością dzięki temu łatwiej byłoby ci się z tym wszystkim pogodzić.

Ale czemu w ogóle ona musiała umrzeć zamiast ciebie? Od dawna

się nad tym zastanawiałem i chyba wiem już, co się stało. Gdy dowiedziałas się o tragedii rodziny Doane'ów i okrutnym losie, jaki ich spotkał, musiałaś zagrozić Charlesowi Slade'owi i Longitude Pharmaceuticals – a w efekcie także Przymierzu – ujawnieniem prawdy o leku Audubona. Tak więc tamci postanowili cię zabić, aby zamknąć ci usta. Mam rację?

Dłonie Helen zaczęły drżeć.

– Zadanie to zlecono Judsonowi, twojemu bratu. On jednak nie był w stanie go wypełnić i postanowił potajemnie zerwać z Przymierzem. Zamiast zrobić, co mu kazano, opracował złożony plan, aby utrzymać cię przy życiu. Wiedział, że twoja upośledzona siostra jest śmiertelnie chora; udało mi się dziś zajrzeć do archiwum i sprawdzić historię jej choroby. Dlatego zaaranżował wypadek na polowaniu z udziałem lwa o czerwonej grzywie, planując podstawienie zamiast ciebie twojej siostry bliźniaczki. Powiedział swoim mocodawcom o ślepych nabojach w twojej strzelbie i o tym, że osobiście poprowadzi polowanie. Przymierze było zadowolone z takiego planu. Judson znalazł lwa, który miał cię odciągnąć, nie czyniąc ci krzywdy, ale który także na rozkaz miał rozszarpać ciało twojej siostry. Utrzymywał ten plan w całkowitej tajemnicy i zdradził ci go dopiero w noc poprzedzającą jego realizację, prawda? To dlatego wydawałaś się zdenerwowana tamtego ostatniego wieczoru w Afryce – on był wtedy w pobliżu obozowiska wraz z opiekunami lwa i zwłokami niedawno zabitej Emmy. Przywołał cię do siebie i wyjaśnił szczegóły swojego planu. Tyle tylko że nie wszystko poszło tak, jak tego oczekiwał – lew nie zachował się jak powinien i kiedy odciągnął cię w trzciny, straciłaś rękę. Dobrze się stało, że bestia odpowiednio poszarpała zwłoki twojej siostry, częściowo je pożerając, więc Judson mógł pozostawić przy ciele twoją dłoń – z obrączką – jako jeszcze jeden dowód twojej śmierci. Słowo daję, musiał być naprawdę opanowany i wykazać się szczególną przytomnością umysłu.

Pendergast pokręcił głową z rozgoryczeniem.

– Cóż za diaboliczny plan. Musiał być jednak aż tak złożony, żeby

nie wzbudzić moich podejrzeń. Gdyby to, co się stało, nie wydawało się w zupełności dziełem przypadku, działaniem natury, nie spocząłbym, dopóki nie odkryłbym prawdy, tak jak to czynię teraz.

Chwila przerażającej ciszy.

– Ale z drugiej strony, dlaczego po prostu nie przyszedł do mnie tamtej nocy w obozie myśliwskim? Czemu nie pozwoliłaś sobie pomóc? Dlaczego mnie od tego odcięłaś?

Przerwał.

– Jest jeszcze coś, co muszę wiedzieć. Powiedz mi, czy mnie kochasz, Helen. Czy kiedykolwiek mnie kochałaś. Zawsze w głębi serca czułem, że tak było. Teraz jednak, gdy dowiodłem tego wszystkiego, nie jestem już taki pewien twoich uczuć. Chciałbym wiedzieć, że choć poznaliśmy się, bo chciałaś po prostu mieć dostęp do prac Audubona, to jednak niespodziewanie zakochałaś się we mnie. Chciałbym wiedzieć, że twoja ciąża była zwyczajnym przypadkiem. Czy jednak myślę się, myśląc w ten sposób? Czy nasze małżeństwo było jedynie sprytnym fortem? Czy stałem się nieświadomym pionkiem w jakiejś wielkiej rozgrywce, o której nie miałem dotąd pojęcia? Czy stanowiłem element wielkiego projektu, z którego istnienia nie do końca zdaję sobie sprawę? Proszę, Helen, wyjaśnij mi to... Ta... niewiedza rozdziera mi serce.

Helen zastygła w całkowitym bezruchu. W jednym jej oku zakręciła się łza i spłynęła po policzku. To była jakaś odpowiedź.

Pendergast spojrział na nią i czekał, długo. Wreszcie z ledwie słyszalnym westchnieniem zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, ponownie był sam w pokoju. I wtedy gdzieś od frontowej strony apartamentu dobiegł go mocno stłumiony krzyk.

Pendergast poderwał się na nogi, opuścił bibliotekę i przebiegł korytarzem w stronę salonu dla gości, tam, skąd dobiegały krzyki. Słyszał narastający hałas; kilka podniesionych głosów mieszało się z nieartykułowanymi, piskliwymi dźwiękami wydawanymi przez panią Ishimurę i z czyimiś jękami oraz mamrotaniem.

W części dla gości jego oczom ukazał się niezwykle widok. Odźwierny i szef ochrony budynku Dakota, mężczyzna imieniem Franklin, trzymali chudego młodzieńca, nieledwie chłopca, ubranego w dzinsy i podartą roboczą koszulę. Włosy miał zmierzwiłone, całe ciało umazane sadzą i okropnie cuchnął. Jedno jego ucho zakrywał okrwawiony bandaż, również mocno zabrudzone bandaże miał na ręce i stopie. Chłopiec był najwyraźniej półprzytomny, ledwie się trzymał na nogach, oczy wywracały mu się w oczodołach i mamrotał coś pod nosem bez ładu i składu.

Pendergast zwrócił się do szefa ochrony:

– Co, u licha?

– Proszę wybaczyć, panie Pendergast, ale ten chłopiec jest ranny i ma kłopoty.

– To widzę. Ale czemu przyprowadził pan go tutaj? Szef ochrony wydawał się zbity z tropu.

– Słucham?

– Panie Franklin, czemu przyprowadził pan tego chłopca tutaj, do mojego apartamentu? On musi trafić do szpitala.

– Wiem, proszę pana, ale skoro to pański syn...

– Mój syn? – Pendergast spojrzał w osłupieniu na umorusanego

chłopaka.

Szef ochrony zamilkł, ale zaraz rzucił z nienaturalną paniką:

– Zakładałem, biorąc pod uwagę to, co powiedział... – Znów się zawahał. – Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic złego, doprowadzając go tutaj.

Pendergast wciąż tylko patrzył. Wszystkie funkcje jego umysłu ustały i ogarnęło go wrażenie nierealności, jakby cały świat nagle stał się płaski, dwuwymiarowy, niczym z komiksu. Kiedy przypatrywał się rysom twarzy chłopca, jego włosom, bardzo jasnym pod warstwą sadzy, srebrzysto-niebieskim oczom, pociągłemu, patrycjuszowskiemu obliczu, trawiące go wrażenie paralizującego zdumienia tylko się pogłębiło. Nie był w stanie się poruszyć, mówić ani myśleć. A jednak wszyscy w tym pomieszczeniu czekali, aby coś powiedział lub zrobił, potwierdził to, co zostało powiedziane bądź temu zaprzeczył.

Ciszę wypełnił przeciągły jęk chłopaka.

Franklin nagle się ożywił.

– Proszę wybaczyć, panie Pendergast, ale jeśli pan woli, my się tym zajmiemy, wezwiemy policję lub karetkę. Skoro to pański syn, pomyślałem, że wolałby pan sam się wszystkim zająć bez angażowania władz. – Przerwał wyraźnie zmieszany.

Usta Pendergasta poruszyły się, ale nie dobiegł z nich żaden dźwięk.

– Panie Pendergast?

Szef ochrony stał wraz z odźwiernym i obaj trzymali chłopaka za ręce.

Nastąpiła kolejna długa cisza, podczas gdy wszyscy czekali, a szumiący dźwięk wodnej kaskady spływającej po marmurze brzmiał wyjątkowo donośnie.

Wreszcie zareagowała drobna pani Ishimura. Podeszła do Franklina i machnęła ręką w jego stronę. Jej gesty były aż nadto wyraźne: ochrona miała położyć chłopca na skórzanej kanapie pośrodku pokoju. Zrobili to, układając go na wznak, podczas gdy pani Ishimura przyniosła poduszkę, by podeprzeć chłopcu głowę.

Ten ruch najwyraźniej sprawił, że chłopak ocknął się ze stuporu. Kiedy tak leżał, jego wzrok odzyskał ostrość, chłopiec zaczął rozglądać się po pokoju, zatrzymując spojrzenie na Pendergaście. Uniósł głowę, a w jego bladych oczach pojawił się błysk.

– Ojciec... – wychrypiał po angielsku z silnym obcym akcentem. – Ukryj mnie.

Nawet ten niewielki wysiłek wydawał się wyczerpujący dla niego i głowa chłopca opadła ciężko, wzrok stał się mętny, a z ust znów popłynęło nieartykułowane mamrotanie.

Pendergast zamrugał. Jego wzrok trochę się przejaśnił, a oczy, teraz bardzo ciemne, ponownie zaczęły otaksowywać chłopca; czujny, chłonny umysł wychwytywał kolejne drobne szczegóły: umiejscowienie bandażu, wzrost, posturę i zachowanie oraz rysy twarzy. Gdy mentalna blokada powoli puściła, zaczął uświadamiać sobie w pełni to, co ukazywało się jego oczom: podobieństwo chłopca do Diogenesa i jeszcze silniejsze do niego i do Helen. Równocześnie w jego głowie raz po raz zaczęły się wyświetlać fragmenty nagrań z kamer monitoringu.

Głos w jego umyśle wypowiedział słowa, które ułożyły się w zdanie. To mój syn – Hotelowy Zabójca.

– Panie Pendergast – odezwał się Franklin. – Co mamy robić? Czy powinniśmy wezwać policję? Ten chłopiec potrzebuje opieki lekarskiej. Mój syn – Hotelowy Zabójca.

Rzeczywistość powróciła w oślepiającym błysku. Pendergast nagle się ożywił. Podbiegł i uklęknął obok chłopca. Ujął jego rękę – była cała rozpalona. Spróbował wyczuć puls. Tętno było słabe i nitkowate. Chłopak miał wysoką gorączkę i majaczył. Zapewne w miejsca amputacji wdało się zakażenie. Pendergast wstał i odwrócił się.

– Dziękuję, panie Franklin – rzucił pospiesznie. – Nie ma potrzeby wzywać policji. Świetnie się pan spisał. Sam zaraz dopilnuję, aby otrzymał właściwą opiekę medyczną.

– Tak jest, proszę pana – powiedział Franklin, po czym wspólnie z odźwiernym opuścili apartament.

Pendergast odwrócił się do gosposi, która bacznie wpatrywała się w jego usta.

– Pani Ishimura, proszę przygotować bandażę, miskę gorącej wody, maść z antybiotykiem, ręczniki i nożyczki i zanieść to do Czerwonego Pokoju.

Pani Ishimura oddaliła się. Pendergast wsunął rękę pod ciało chłopca i podniósł go – był przeraźliwie chudy – po czym przeniósł do dalszej części apartamentu i położył na łóżku w chłodnej, nieużywanej sypialni z widokiem na wewnętrzny dziedziniec Dakoty. Chłopiec zaczął mamrotać pod nosem. Był cały rozdygotany. Pendergast zdjął z niego ubranie, a miejscami nawet porzcinał je, aby obejrzeć jego rany, poczynawszy od ucha. Małżowiny nie było, a to, co po niej pozostało, aż za dobrze pasowało do fragmentu znalezionego przy zwłokach. Rana wyglądała paskudnie, w dodatku wdało się zakażenie. Jeszcze gorzej było ze stopą; kikut kości palca został odsłonięty, rana się otworzyła i obficie krwawiła. Chłopiec najwyraźniej przeszedł spory dystans mimo okaleczonej stopy.

Zjawiała się pani Ishimura z ręcznikami i miską z wodą, a Pendergast starannie otarł twarz chłopca. Ten gest znów sprawił, że chłopak na chwilę odzyskał przytomność.

– Ojczy... – powiedział – pomocy...

– Jestem tu – rzekł Pendergast. – Już dobrze. Już jesteś bezpieczny.

Jego głos wydawał się ochrypliwy i zduszony. Wyjął ręcznik i wytarł twarz chłopca do sucha. Wróciła pani Ishimura, niosąc tacę z bandażami, antybiotykami i innymi przyborami medycznymi.

– To nie moja wina... *bitte, mein Gott, bitte*, nie oddawaj mnie.

Pendergast delikatnie obmył okaleczony palec, oczyszczając ranę i nakładając maść z antybiotykiem oraz świeży opatrunek. Następnie zajął się stopą, która była w najgorszym stanie i wciąż sączyła się z niej krew pomimo jego usilnych starań, ale i tak obmył ją i zabandażował, owijając grubą warstwą gazy. Chłopiec cały czas pojękiwał i przewracał się niespokojnie z boku na bok, powtarzając bez przerwy:

– To nie moja wina...

Kiedy Pendergast skończył, wstał i wyprostował się. Przez chwilę cały pokój wokół niego wirował, aż pani Ishimura schwyciła go za ramię i przytrzymała. Wyprowadziła go prawie jak dziecko na korytarz, gestami dając do zrozumienia, że teraz ona zajmie się wszystkim, że on nie musi dłużej martwić się o chłopca, że powinien teraz udać się do swojego gabinetu i wypocząć.

Agent pokiwał głową potakująco i skierował się do swojego pokoju. Zamknął drzwi i oparł się o nie, aby nie upaść, a przy okazji spróbował zebrać się w sobie i uporządkować myśli. Podszedł do ulubionego fotela, usiadł powoli, zamknął oczy i nadludzkim wysiłkiem woli spróbował opanować wzburzone emocje.

Stopniowo udało mu się przywrócić regularny rytm serca i oddechu. To był problem jak każdy inny. Musi o tym myśleć właśnie jak o problemie.

Mój syn – Hotelowy Zabójca.

Sięgnął po telefon i wybrał numer.

– Doktor Rossiter? Mówi Aloysius Pendergast.

Chciałbym poprosić o wizytę w moim apartamencie w Dakocie. Mam tu chorego chłopca z paroma otwartymi ranami po amputowanych palcach. Konieczne będzie przeprowadzenie zabiegów chirurgicznych i jak zawsze proszę o zachowanie absolutnej dyskrecji w sprawie tej wizyty.

Kapitan Laura Hayward szła energicznym krokiem centralnym korytarzem szkoły średniej numer trzydzieści dwa, kierując się w stronę audytorium, gdzie odbywały się zebrania. Tej jesieni doszło do eskalacji przestępstw wynikających z nienawiści do bezdomnych – pobić, napadów, grabieży, zdarzyło się też, że w Riverside Park grupka nastolatków podpaliła jednego pijaka. Komisarz przydzielił Laurze zadanie uświadomienia uczniów w kwestii trudnego losu bezdomnych i rzeczywistości życia na ulicy. Jej hasło brzmiało: „Bezdomni to także ludzie”. W ostatnich tygodniach miała takie spotkania w sześciu szkołach i reakcje młodzieży wydawały się zadowolające. Czuła, że w ten sposób naprawdę coś zmienia. Lubiała to robić i faktycznie się na tym znała. Tematem jej pracy magisterskiej były struktury wewnętrzne podziemnej społeczności bezdomnych w Nowym Jorku i poświęciła dobrych parę miesięcy na obserwowanie ich, poznanie ich życia, doświadczając go, wysłuchiwanie ich problemów i usiłowanie zrozumienia ich historii, motywacji oraz wyzwań. W ostatnich latach była zbyt zajęta standardową robotą policyjną, aby zrobić większy użytek ze swojej magisterki z socjologii, która teraz stanowiła doskonały fundament dla jej obecnych poczynań. Pokonała zakręt korytarza i zdziwiła się, kiedy wpadła na nadchodzącego z przeciwka D’Agostę.

– Vinnie! – powiedziała, powstrzymując się przed pocałowaniem go, bo przecież oboje byli na służbie. – Co ty tu robisz?

– Prawdę mówiąc, szukałem ciebie – odparł. – Akurat byłem w pobliżu. Musimy o czymś porozmawiać.

– Czemu nie mogliśmy pomówić o tym przy śniadaniu? – spytała.

Wyglądał na zakłopotanego i przepełnionego poczuciem winy. Coś go dręczyło i zdawała sobie z tego sprawę już od kilku dni. Jednak w takiej sytuacji nie wolno go było naciskać ani ponaglać, należało poczekać, aż sam będzie gotowy, by się otworzyć. A wówczas trzeba było wykorzystać okazję, zanim zdąży zmienić zdanie. Zerknęła na zegarek.

– Za dziesięć minut mam prezentację, chodź, możemy porozmawiać w sali zebrań.

D’Agosta podążył za nią korytarzem i przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi. Za nimi znajdowała się sala z lat 50., z balkonem i szeroką sceną, która przywiodła Laurze na myśl salę w jej gimnazjum, gdzie odbywały się apele, ćwiczenia na wypadek ataku atomowego i pokazy filmów. Zebrało się już sporo uczniów. Zajęli miejsca na krzesłach, z tyłu.

– No dobra – powiedziała, odwracając się do niego. – Co się dzieje? Przez chwilę się nie odzywał.

– Chodzi o Pendergasta – odrzekł w końcu.

– Czemu mnie to nie dziwi?

– Strasznie się o niego martwię. Przeżył potworny wstrząs, a teraz zachowuje się naprawdę dziwnie nawet jak na niego.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła.

– Po śmierci żony zaszył się w swoim mieszkaniu i jestem pewien, że próbował na własną rękę zaserwować sobie terapię lekarską, nie stroniąc od naprawdę mocnych specyfików, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

– O jakich specyfikach mowa?

– Nie wiem, jakie narkotyki zażywał, ale odniosłem niepokojące wrażenie, że starannie wszystko zaplanował, usiłując doprowadzić swój organizm do skrajnego wycieńczenia, coś w rodzaju samobójstwa na raty. Poszedłem za twoją radą i przekazałem mu akta ze sprawy Hotelowego Zabójcy, aby go w nią wciągnąć. To najwyraźniej kompletnie go odmieniło. Po skrajnej apatii teraz tryska energią. Ta sprawa całkiem nim zawładnęła. Pojawił się na

miejscu trzeciej zbrodni, załatwił sobie przydział do sprawy i stał się istną zmorą agenta Gibbsa. Mówię ci, że pomiędzy nim a Gibbsem dojdzie wkrótce do otwartej konfrontacji. Jestem przekonany, że ponieważ Pendergast czuje się zdruzgotany, postawił sobie za cel, aby skompromitować Gibbsa, i uczynił z niego swojego zagorzałego wroga. Owszem, widywałem, jak wdeptywał ludzi w ziemię, mieszał ich z błotem i sprawiał, że robili się malutcy, ale wcześniej zawsze miał po temu powody.

– O Jezu. Może jednak mój pomysł nie był wcale taki dobry.

– Nie usłyszałaś jeszcze najgorszego.

– Czyli?

– Mam na myśli jego teorię na temat tych zbrodni. Jest, delikatnie mówiąc, kontrowersyjna.

Hayward westchnęła.

– Dlaczego?

Kolejna chwila wahania.

– On wierzy, że Hotelowy Zabójca to jego brat Diogenes.

Hayward zmarszczyła brwi.

– Sądziłam, że Diogenes nie żyje.

– Wszyscy tak myśleli. Sęk w tym, że Pendergast nie chce mi powiedzieć, dlaczego uważa, iż to jego brat jest mordercą. Cała ta hipoteza wydaje się kompletnie absurdalna. Naprawdę martwię się, że śmierć żony przyprawiła go o utratę zmysłów.

– Jakie ma dowody na poparcie swojej tezy?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie mnie ich nie przedstawił. Poza tym jego hipoteza wydaje mi się wątpliwa. Modus operandi jest zupełnie inny, nie ma niczego, co łączyłoby tę sprawę z jego bratem. A pobieżne przejrzanie baz danych potwierdziło, że jego brat naprawdę zniknął i jest uważany za zmarłego. To jakiś obłąd.

– Co myśli o tej hipotezie Singleton?

– To inna kwestia. – Chociaż byli sami na końcu wielkiej sali, D’Agosta zniżył głos. – Pendergast nie chce, abym mówił komukolwiek o tej hipotezie. Mam nie wspominać o niej ani Gibbsowi, ani Singletonowi, nikomu.

Hayward popatrzyła na niego, otworzyła usta, by powiedzieć: „Czemu wcześniej mi tego nie powiedziałaś?”, zreflektowała się jednak. D’Agosta wydawał się bardzo zdezorientowany i zmartwiony. Poza tym przecież w końcu powiedział jej o tym, a teraz tylko liczył na jej dobrą radę. Jak na ironię sama podpowiedziała mu, aby spróbował zainteresować tą sprawą Pendergasta.

– A gdyby nawet istniały jakiegokolwiek przesłanki – niezależnie, jak bardzo szalone czy niewygodne – że to faktycznie może być Diogenes, on i ja powinniśmy przekazać tę informację odpowiednim władzom. Zawsze istnieje szansa, że mogłoby to pomóc w rozwikłaniu sprawy. Ale... obiecałem, że tego nie zrobię. Obiecałem mu. – Pokręcił głową. – Chryste, nie masz pojęcia, jak ja się z tym źle czuję. Sam się wpuściłem w to bagno.

Delikatnie ujęła go za rękę.

– Vinnie, masz obowiązek przekazywać władzom wszelkie materiały dowodowe i informacje, jakimi dysponujesz, nawet najbardziej szalone czy niewygodne hipotezy. Dowodzisz jednostką dochodzeniową. D’Agosta nie odpowiedział.

– Wiem, że Pendergast to twój przyjaciel. Wiem, że przeżył straszliwy wstrząs. Tu jednak nie chodzi o przyjaźń. Nie chodzi nawet o to, co jest najlepsze dla twojej kariery. Chodzi o schwytanie niebezpiecznego zabójcy, który najprawdopodobniej znowu zabije. Vinnie, musisz zrobić to, co trzeba. Jeżeli Pendergast ma istotne informacje mogące potwierdzić jego hipotezę, musisz je od niego wydobyć. A gdy to zrobisz, musisz przekazać je, komu trzeba. Po prostu.

D’Agosta spuścił wzrok.

– A co się tyczy jego i Gibbsa, to sprawa FBI. Niech oni się tym zajmą. Jasne? – Ścisnęła jego dłoń nieco mocniej. – Mam teraz prelekcję. Porozmawiamy o tej sprawie wieczorem, jeżeli będziesz chciał.

– Dobra.

Powstrzymała się przed pocałowaniem go, po czym wstała. Gdy

raz jeszcze popatrzyła na niego, zanim ruszyła w stronę podium, z pewną konsternacją stwierdziła, że wyglądał na równie rozdartego wewnątrz i zagubionego jak wcześniej.

30

Było południe. Lekarz przyszedł i poszedł. W pokoju panowały cisza i mrok, zasłony były zaciągnięte, chłopiec, wykąpany, spał jak zabity. Nie było to proste, ale udało się oczyścić go z sadzy. W kącie małego pokoju gościnnego siedziała mroczna postać, w kompletnym bezruchu, a jej blade oblicze jawiło się w ciemnościach jak posępne widmo.

Chłopiec poruszył się, obrócił, westchnął. Spał od osiemnastu godzin. Jedna jego ręka spoczywała na pościeli zakuta w kajdanki, druga obręcz kajdanek została zatrzaśnięta wokół metalowej ramy łóżka.

Kolejne westchnienie, a potem w ciemności coś rozbłysnęło – otwierające się oko. Chłopiec znów poruszył się niespokojnie i wreszcie uniósł głowę. Rozglądał się wokoło, aż zatrzymał wzrok na postaci w rogu. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie nawzajem w ciemnościach, aż w końcu chłopiec wyszeptał:

– Wody.

Postać podniosła się bezgłośnie, wyszła z pokoju i wróciła ze szklanką wody i słomką. Chłopiec sięgnął po wodę, ale ruch jego ręki został zatrzymany przez łańcuch kajdanek. Spojrzał na nie zaskoczony, ale nic nie powiedział. Pendergast przytrzymał szklankę, aby chłopiec się napił. Kiedy młodzieniec skończył, jego głowa opadła na poduszkę.

– Dziękuję... dziękuję.

Głos miał słaby, ale już nie majaczył. Jego umysł znów funkcjonował racjonalnie. Gorączka spadła, antybiotyki zaczęły

działać. Najwyraźniej długi sen wyszedł mu na zdrowie. Uniósł dłoń, tę, której przegub opasywała obręcz kajdanek.

– Dlaczego? – zapytał.

– Wiesz dlaczego. Mnie natomiast interesuje, dlaczego się tu zjawiałeś.

– Bo... jesteś ojcem.

– Ojcem – powtórzył Pendergast, jakby to słowo było mu obce. – A skąd to wiesz?

– Słyszałem... rozmowę. O tobie. Pendergaście. Moim ojcu.

Pendergast nie odpowiedział. Wreszcie chłopiec znów poruszył się na łóżku.

– Czy... oni wiedzą... że tu jestem?

Mówił z wahaniem i dziwnym akcentem, po części niemieckim, lecz nieco złagodzonej melodyjną gładkością innego języka, który brzmiał jak portugalski. Jego twarz, teraz już czysta, była tak blada i delikatna, że przez skórę przebijały się niebieskie żyłki. Miał ciemne sińce pod oczami, a cienkie włosy przylepiały się do mokrej od potu czaszki.

– Jeżeli masz na myśli policję – rzekł Pendergast głosem zimnym jak suchy lód – nie powiadomiłem ich. Jeszcze.

– Nie mówię o policji... – odparł chłopiec. – Tylko o nich.

– O nich?

– O tamtych. O moim... bracie.

Jego słowa sprawiły, że w pokoju zapadła grobowa cisza, w końcu jednak Pendergast wykrztusił dziwnym głosem:

– O twoim bracie?

Chłopiec zakasłał i spróbował usiąść.

– Mogę poprosić jeszcze szklanek wody? Wyjmując czterdziestkę piątkę i kładąc ją tak, by chłopiec nie mógł jej dosięgnąć, Pendergast podszedł i podłożył mu pod plecy kilka poduszek, aby mógł wygodniej usiąść, po czym dał mu się jeszcze napić. Tym razem chłopiec pił łapczywie i opróżnił całą szklankę.

– Jestem głodny – powiedział.

– Niedługo zostaniesz nakarmiony – odparł Pendergast, wracając

na swoje miejsce i chowając czterdziestkę piątkę do kabury pod marynarką. – Mówiłeś o swoim bracie?

– O moim bracie.

Pendergast spojrział na chłopca ze zniecierpliwieniem.

– Tak. Opowiedz mi o tym twoim bracie.

– On ma na imię Alban. Jesteśmy... bliźniakami. Tak jakby. To on zabija. I okalecza mnie. Uważa, że to jest *lustig*. Zabawne. Ale ja uciekłem. Czy podążył za mną? – Do jego głosu zakradł się strach.

Pendergast wstał, a jego szczupła postać w półmroku panującym w pokoju wyglądała jak zjawa. Podszedł do zasłoniętego okna i odwrócił się.

– Wyjaśnijmy coś sobie – powiedział półgłosem. – Masz brata bliźniaka, który morduje ludzi w nowojorskich hotelach. Trzymał cię jak więźnia i okaleczał, odcinając części ciała – małżowinę uszną oraz po jednym palcu od nogi i ręki – by pozostawić je na miejscach zbrodni.

– Tak.

– A właściwie dlaczego do mnie przyszedłeś?

– Jesteś... ojcem. Jesteś, prawda? Alban... mówił o tym. Sporo o tobie rozmawiał z innymi. Nie sądzili, że słucham. Ani że rozumiem.

Pendergast stał przez dłuższą chwilę w milczeniu i całkowitym bezruchu. Następnie podszedł do fotela i usiadł na nim powoli, jakby trawił go dojmujący ból.

– Może – powiedział, przesuwając bladą dłoń po czole – powinieneś zacząć od początku. Opowiedz mi wszystko, co wiesz. Gdzie się urodziłeś, w jakich okolicznościach, kim jest twój brat Alban i co ty i on robicie w Nowym Jorku.

– Spróbuję. Ale nie wiem dużo.

– Postaraj się.

– Urodziłem się... w Brazylii. Nazywają to miejsce Nova Godói.

Pendergast znieruchomiał.

– Twoją matką była...?

– Nigdy nie poznałem matki. Alban był tym dobrym bliźniakiem.

Ja tym złym.

– Jak masz na imię?

– Nie mam imienia. Tylko dobrzy bliźniacy otrzymują imiona. Ja. Czterdzieści Siedem.

– Czym są dobre i złe bliźniaki? Co to wszystko znaczy?

– Nie wiem, jak to działa. Nie do końca. Dobre bliźniaki dostają wszystko, co najlepsze, to, co złe, trafia do tych złych. Dobre bliźniaki idą do szkoły, uprawiają różne sporty, trenują. Jedzą dobre jedzenie. My pracujemy na polach.

Pendergast powoli podniósł się z fotela, na jego twarzy pojawił się cień milczącej zadumy.

– A więc w tym miasteczku Nova Godói jest mnóstwo bliźniąt?

Młodzieniec pokiwał głową.

– A twój brat bliźniak, Alban – to on zabija?

– On... to uwielbia.

– Dlaczego zabija? Chłopak wzruszył ramionami.

– Mówisz, że uciekłeś? Jak?

– Oni myślą, że jestem głupszy, niż jestem w rzeczywistości. Oszukałem ich i zwałem. – Jego słowom towarzyszył zanoszący się szloch. – Mam nadzieję, że nie podążyli za mną.

– Gdzie byłeś przetrzymywany?

– To było... pod ziemią. Był tam długi tunel, stary, bardzo zimny. Trzymali mnie w wielkim piecu, chłodnym i wielkim jak cały pokój. Cegły brudne, podłoga brudna. Wielkie, metalowe drzwi. Ostatnim razem zapomnieli je zamknąć na klucz.

– I co?

– Uciekłem i cały czas uciekałem.

– Jak mnie znalazłeś?

– Słyszałem, jak mówili, że mieszkasz w niezwykłym budynku. I że ten budynek nazywa się Dakota. Zapytałem o drogę. Jakiś nieznajomy powiedział mi, gdzie to jest, pomógł, wsadził do żółtego samochodu. I dał mi to.

Wskazał na kilka pomiętych banknotów, które pani Ishimura wyjęła z kieszeni jego dzinsów. Zamilkł. Pendergast wsunął rękę do

kieszeni, wyjął kluczyk i odpiął kajdanki z przegubu chłopca.

– Przepraszam – powiedział. – Nieporozumienie.

Chłopak uśmiechnął się.

– To nic. Przywykłem...

Pendergast wcisnął guzik przy drzwiach i po chwili pojawiła się pani Ishimura. Pendergast odwrócił się do niej i rzucił zdecydowanym tonem:

– Czy mogłaby pani przygotować śniadanie dla naszego gościa, pełne amerykańskie śniadanie? Jajka, kiełbasę, tosty, sok pomarańczowy. Dziękuję.

Znów odwrócił się do chłopaka.

– A więc ktoś wsadził cię do taksówki? Jak długo tu jechałeś?

– Bardzo długo. Mijałem mnóstwo, całe mnóstwo aut.

– Co jeszcze pamiętasz? Przejeżdżałeś przez jakieś mosty, tunele?

– Przejechaliśmy przez wielki most nad rzeką. – Pokręcił głową, wspominając. – Tyle budynków, takie wielkie.

Pendergast natychmiast sięgnął po telefon wewnętrznej linii.

– Charles? Taksówka, która przywiozła tu tego chłopca. Potrzebuje znać jej numer ewidencyjny. Przejrzyj nagrania z kamer ochrony i natychmiast, gdy tylko go ustalisz, zadzwoń do mnie. Dziękuję.

Rozłączył się i odwrócił w stronę chłopca leżącego na łóżku i sprawiającego wrażenie bardzo zagubionego, zdezorientowanego i bezbronno.

– Zastanówmy się, czy dobrze rozumiem, co mi powiedziałeś – stwierdził. – Ty i twój brat jesteście bliźniakami urodzonymi i wychowanymi w Brazylii. Najwyraźniej byłeś częścią jakiegoś programu. W wyniku tego eksperymentu on, twój brat, zyskał wszystkie pożądane cechy, ten dobry materiał genetyczny, i w jakiś sposób ten niechciany materiał trafił się tobie, mam rację?

– Oni mówią, że jesteśmy odpadami. Śmieciami.

– I wszyscy macie numery. Ty jesteś Czterdzieści Siedem.

– Czterdzieści Siedem.

– A więc musi być was wielu. Młodzieniec pokiwał głową.

– Mógłbyś rozsunąć zasłony? Proszę? Chcę zobaczyć światło.

Pendergast podszedł do okna i rozsunął zasłony, sprawiając, że żółte światło wczesnej zimy wniknęło do wnętrza pokoju, ukazując pokryte gontami dachy, mansardowe okna, szczyty i wieżyczki słynnego apartamentowca. Chłopiec z lubością odwrócił się w stronę światła, które padło na jego pobladłą twarz.

Pendergast odezwał się łagodnym tonem.

- Po pierwsze powinieneś mieć imię. Prawdziwe imię.
- Nie wiem, jak mam się nazywać.
- Wobec tego ja wymyślę dla ciebie imię. Co powiesz na Tristram?
- Podoba mi się. A czy ja mogę nazywać cię... ojcem?
- Tak – odparł Pendergast. – Tak. Proszę. Możesz nazywać mnie. – dopiero po chwili to słowo przeszło mu przez usta – ojcem.

31

Corrie zatrzymała się na drugim końcu parkingu przy autoryzowanym salonie samochodowym Joego Ricca oferującym chevrolety i cadillaki; rzędy nowiutkich aut i ciężarówek lśniły w promieniach zimowego słońca. Czasy były ciężkie, zwłaszcza w okolicy Allentown, więc ją wyproszone bezceremonialnie, kiedy tylko wyszło na jaw, że nie jest klientką, lecz szuka pracy.

Była nieźle wkurzona. W miejscowym salonie piękności zrobiła sobie fryzurę. Pozbyła się fioletowych pasemek, ale w tym celu musiała zafarbować włosy na czarno, a przy okazji skróciła je trochę, do ramion, i podkreśliła końcówki. Dzięki temu wyglądała, jakby się wystylizowała na drugą połowę lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Lubiła styl retro, choć jak dla niej ta fryzura była aż nadto konserwatywna. Szary elegancki kostium, czółenka i lekki makijaż pomogły zmienić Corrie gotkę w Corrie yuppieszonkę. Ale mocno to nadszarpnęło jej rezerwę pieniężną, czyli otrzymane od Pendergasta trzy tysiące dolarów.

Co gorsza, niewiele jej to pomogło.

Trudno jednak wyobrazić sobie, że mogła otrzymać posadę w salonie sprzedaży, skoro jej doświadczenie ograniczało się raptem do jednego roku w college'u. Mogła ubiegać się o posadę asystentki biurowej, dozorczyńni czy kogoś takiego. Teraz już za późno. Musiała wymyślić jakiś inny sposób na znalezienie dojścia do tego salonu, aby wykryć, co się tam naprawdę działo. Kiedy tak stała, zastanawiając się, co robić, za nią rozległ się głos:

– Przepraszam?

Odwróciła się i zobaczyła parę starszych ludzi – byli dobrze ubrani i sprawiali miłe wrażenie.

– Tak?

– Może nam pani pomóc?

Rozejrzała się dokoła i już miała powiedzieć, że tu nie pracuje, ale coś ją powstrzymało.

– Oczywiście – powiedziała.

Obdarzyła ich olśniewającym uśmiechem i przywitała się.

– Jestem Corrie.

– Sue i Chuck Hesse – przedstawił się mężczyzna, ściskając jej dłoń.

Nie była pewna, do czego to wszystko mogło prowadzić, ale dlaczego nie spróbować?

– Witam w autoryzowanym salonie samochodowym Joego Ricca. Mamy dużą ofertę chevroletów i cadillaców – zaczęła Corrie.

– Właśnie zakończyłem moją karierę akademicką i przeszedłem na emeryturę po latach pracy na uniwersytecie i szukamy z żoną czegoś wygodnego i eleganckiego – wyjaśnił mężczyzna.

Od razu się zorientowała, że profesor będzie mówił. Czujne oblicze milczącej żony sugerowało jednak, że to do niej będzie należała ostateczna decyzja. Wyglądali na sympatyczną parę. Mężczyzna nosił nawet muszkę, która zdaniem Corrie zawsze symbolizowała życzliwość. Coś zaczęło jej świtać. Problem w tym, że kompletnie nie znała się na samochodach.

– Oglądaliśmy sedany – powiedział mężczyzna – i próbujemy się zdecydować na CTS sport albo CTS-V. Mogłaby pani pomóc nam porównać te modele?

– Hmm. – Corrie znów się uśmiechnęła i nachyliła w ich stronę. – Muszę coś państwu wyznać.

Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi.

– Jesteście państwo moimi pierwszymi klientami. I... no cóż, wydaje mi się, że nie bardzo mogę państwu pomóc, bo sama niezbyt rozumiem różnice pomiędzy tymi modelami.

– Ojej... – rzekł mężczyzna, rozglądając się dokoła. – Czy jest tu

inny sprzedawca, który mógłby nam pomóc?

– Chuck – powiedziała teatralnym szeptem kobieta – nie słyszałeś, co ona powiedziała? Jesteśmy jej pierwszymi klientami. Nie możesz jej tego zrobić.

Dzięki ci, Boże, pomyślała Corrie.

– Och, tak. Nie wziąłem tego pod uwagę. Nie chciałem pani urazić.

Profesor wyglądał na skrepowanego, co wyglądało dość zachęcająco.

– Naprawdę się postaram – zapewniła Corrie. – Naprawdę potrzebuję doświadczenia. No i, ma się rozumieć, wyników sprzedaży. Jak na razie jestem na trzydniowym okresie próbnym i. – Nie dokończyła. – Nie wiem, jak długo jeszcze zechcą mnie tu trzymać.

– Rozumiem – rzekł mężczyzna. – Oczywiście niczego dziś nie kupimy.

– Może mogliby państwo pokazać mi, gdzie stoją sedany? – zapytała Corrie. – Moglibyśmy się im przyjrzeć i nauczyć się czegoś wspólnie.

– Są tam.

Były profesor natychmiast przejął inicjatywę, prowadząc przez rozległy parking w stronę kilku rzędów błyszczących, miłych dla oka, czterodrzwiowych aut w różnych kolorach. Wydawał się dobrze obeznany z tym miejscem. Przystanął przy jednym z modeli w kolorze czerwonym i położył na nim rękę.

– Ten się panu podoba? – spytała Corrie. Czowała się jak idiotka, ale nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć innego.

– Jest niezły.

– Mogę spytać, co właściwie się w nim panu podoba? Muszę to wiedzieć, skoro mam je sprzedawać.

Mężczyzna z entuzjazmem wygłosił długi monolog, wyliczając atuty i zalety tej właśnie marki i modeli na podstawie wyjątkowo życzliwego artykułu w „New York Timesie”, a może w „USA Today”. Mówił o przemianie General Motors z dinozaura w innowacyjną firmę rywalizującą z Toyotą i Hondą na ich własnym terenie, to była

historia prawdziwego amerykańskiego sukcesu. Ich jakość nie miała sobie równej. Corrie słuchała z uwagą, uśmiechając się zachęcająco, gdy wymieniał rozmaite sztuczki mogące pomóc jej przy sprzedaży, odliczając je na palcach. Corrie zawsze uważała, że cadillaki to odpicowane bryki dla starych pierdzieli, ale najwyraźniej znów były na fali.

– A więc – zaczęła Corrie, kiedy mężczyzna przerwał – dlaczego sedan V kosztuje prawie dwa razy tyle co model sport? Jakoś nie widzę między nimi wielkiej różnicy.

– Och, różnica jest zasadnicza – powiedział mężczyzna, a jego muszka zafalowała.

I z profesorską swadą zaczął wymieniać kolejne różnice, Corrie zaś chłoneła każde jego słowo. Była zdumiona, jak wiele trudu zadał sobie ten mężczyzna, aby się odpowiednio przygotować. Ale był przecież profesorem.

Dwadzieścia minut później Corrie wprowadziła parę staruszków do głównego salonu i zaczęła się rozglądać za menedżerem, który odmówił przeprowadzenia z nią rozmowy kwalifikacyjnej. Stał tam z butelką dietetycznej coli w ręku, ubrany w brązowy garnitur i rozmawiał z dwoma innymi sprzedawcami, zaśmiewając się z czegoś do rozpuku. Gdy podeszła bliżej, uspokoili się. Menedżer spojrzał na nią, mrużąc powieki, ale przezornie nic nie powiedział.

– Chciałem zaznaczyć – zagrzemiał profesor – że pańska nowa sprzedawczyni wykonała kawał dobrej roboty, aby sprzedać nam tego czerwonego sedana CTS-V, który tam stoi. A teraz potargujmy się jeszcze o cenę i dobijmy targu!

Corrie zastanawiała się, co, u licha, zaraz się wydarzy, ale menedżer okazał się twardym graczem. Bez mrugnięcia okiem skinął na jednego ze sprzedawców, aby zaczął przygotowywać niezbędne dokumenty, po czym uściśnął dłonie obojga staruszków, gratulując im gustu i stylu i chwalać Corrie za dobrze wykonaną pracę, jakby rzeczywiście była tu zatrudniona. Poklepał Corrie po plecach i zagał przyjaznym tonem:

– Zapraszam na chwilę do mojego gabinetu, mamy coś do

omówienia. Zaraz tam przyjdę.

Corrie weszła do pomieszczenia i czekała z niecierpliwością. Pół godziny później zjawił się menedżer, usiadł za biurkiem, westchnął, złączył dłonie i wychylił się do przodu.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?

– Sprzedałam dla pana samochód, no nie? Spojrzał na nią.

– Wielka mi, kurwa, rzecz. Ja codziennie sprzedaję kilka aut.

Corrie wstała.

– Próbowałam tylko pokazać, na co mnie stać. Jeżeli się panu nie spodobało, to trudno. Proszę zatrzymać prowizję, a ja sobie pójdę i nie będę więcej zawracać panu głowy.

Podniosła się energicznie.

– Siadaj, siadaj. – Menedżer jakby trochę ochłonął. – Dobra, przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Pan Pod Muchą z Małżonką byli tu już z dziesięć razy i zacząłem powoli tracić nadzieję, że w ogóle zamierzają coś kupić. A ty w pół godziny opchnęłaś im brykę za siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów. Jak tego dokonałaś?

– Tajemnica.

Spojrzał na nią. Ta odpowiedź ani trochę mu się nie spodobała.

– Chcesz tu pracować? Naucz się odrobiny szacunku. Pokręciła głową.

– Mam pewien system i jeśli pańscy sprzedawcy chcą go poznać, mogą poobserwować mnie przy pracy.

Posłała mu arogancki uśmiech. Menedżer był ewidentnie dupkiem, ale inteligentnym i przewidującym, a w dodatku wiedział, jak właściwie zadbać o swoje interesy. Domyśliła się, że potrafił docenić bezczelną i arogancką postawę.

– Dobra, dobra – powiedział. – W porządku. Damy ci szansę, abyś się wykazała przez tydzień. Traktuj to jak okres próbny. Potrzebujemy sprzedawczyni, nie ma w naszym zespole dziewczyny. Nie licz na pensję, jedynie na prowizję od sprzedaży, ale żadnych premii, jesteś tu jako niezależna pracownica, dostajesz kasę do ręki, pod stołem, ma się rozumieć. Nie zgłaszasz podatku i możesz być pewna, że my też tego nie zrobimy. I przez cały czas

będziesz pracowała z partnerem. Zgoda?

– Zgoda. Wyciągnął rękę.

– Joe Ricco junior.

– Corrie Swanson. Uścisnęli sobie dłonie.

– Czy jesteś może spokrewniona z Jackiem Swansonem?

– Nie. Dlaczego?

– Bo to o jego posadę się starasz.

– Nigdy o nim nie słyszałam. Swanson to popularne nazwisko. No wie pan, jak w tych telewizyjnych sieciówkach restauracyjnych.

– Nie jesteś spokrewniona z tą rodziną, prawda? Zaczerwieniła się.

– Cóż, proszę nikomu nie mówić. Lubię, gdy ludzie myślą, że muszę pracować, aby mieć za co żyć.

Wyglądało na to, że Ricco junior jest pod wrażeniem. Pod ogromnym wrażeniem.

Chłopiec siedział przy stole, zajadając tost z masłem i marmoladą. Nigdy w życiu nie miał w ustach nic równie smakowitego. A te kielbaski, które podała mu Azjatka – wielokrotnie widział, jak jego brat je kielbaski, ale sam nigdy nie miał okazji ich skosztować, ślinił się tylko, czując ich aromat i wyobrażając sobie, jak mogą smakować. Przeżuwając powoli i rozkoszując się niewiarygodną słodyczą marmolady, pomyślał o swoim nowym imieniu: Tristram. Brzmiało dziwnie nawet dla niego i powtórzył je kilkakrotnie w myślach, próbując do niego przywyknąć. Tristram. Tristram. To, że miał własne imię, wydawało mu się nieomal cudem. Nigdy nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. A teraz on też miał imię, tak po prostu.

Odgryzł kolejny kawałek tosta i popatrzył na ojca. Bał się go: ten mężczyzna wydawał się taki zimny, zdystansowany, w pewnym sensie podobny do tamtych.

Tristram wyczuł jednak, że jego ojciec był ważnym człowiekiem, a przede wszystkim dobrym człowiekiem i czuł się z nim bezpieczny. Po raz pierwszy w życiu czuł się bezpieczny.

Do pokoju wszedł inny mężczyzna. Był silny, muskularny, milczący. Tak jak ci, co często go karali. Tristram obserwował go czujnie, kątem oka. Przywykł do nasłuchiwania i przyglądania się w taki sposób, że inni nie zdawali sobie sprawy z tego, co akurat robi. Gdyby tamci się zorientowali, że się przysłuchiwał albo patrzył, ukaraliby go. Dawno temu nauczył się ukrywać tego rodzaju nawyki, podobnie jak wszystko inne, co go dotyczyło. Im mniej

zwracali na niego uwagę, tym lepiej. Zawsze robił wszystko, aby go ignorowano. Inni nie byli na tyle ostrożni jak on. Kilkoro z nich umarło. Ostrożność stanowiła klucz do przetrwania.

– Ach, usiądź, Proctorze – ojciec zwrócił się do postawnego mężczyzny. – Kawy?

Mężczyzna nie usiadł, ruchy miał dość sztywne.

– Nie, sir. Dziękuję.

– Proctorze, to mój syn, Tristram. Tristramie, poznaj Proctora.

Tristram uniósł głowę zaskoczony. Nie przywykł do tego, by go wyróżniano, zwracano się do niego po imieniu czy przedstawiano nieznanym. Zwykle tego typu wydarzenia poprzedzały pobicie – albo coś jeszcze gorszego.

Mężczyzna prawie niedostrzegalnie skinął głową. Wydawał się podchodzić do tego wszystkiego obojętnie. Taki stan rzeczy odpowiadał chłopcu.

– Ktoś cię śledził? – zapytał ojciec.

– Spodziewałem się tego, sir, i zorientowałem się w porę.

– Musimy przewieźć Tristrama do rezydencji przy Riverside Drive. To najbezpieczniejsze miejsce. Oczywiście skorzystaj z tylnego wyjścia z apartamentu. Zaaranżuję drugi wóz na wabia. Ufam, że wiesz, co masz robić.

– Oczywiście, sir.

– Nie traćmy czasu. – I wtedy ojciec zwrócił się do niego: – Dokończ swój brunch, Tristramie – powiedział nieco cieplejszym tonem.

Chłopiec włożył resztę tosta do ust i popił kawą. Nigdy jeszcze nie jadł czegoś tak pysznego i miał nadzieję, że tam, dokąd się udawali, będzie karmiony równie smakowicie.

Podążył za ojcem i tym drugim mężczyzną przez jeden z wielu krętych korytarzy, by w końcu przystanąć przed nieoznakowanymi drewnianymi drzwiami. Zaczęła go boleć okaleczona stopa, ale bardzo się starał nie utykać. Gdyby uznali, że był zbyt mocno uszkodzony, mogliby go zostawić. Widywał to już wcześniej wiele razy.

Weszli do pomieszczenia, gdzie nie było nic więcej poza zwiniętym sznurem i zamkniętą na kłódkę klapą w podłodze. Pendergast otworzył kłódkę i poświecił latarką w dół. Tristram widywał już wcześniej takie ciemne doły – przebywał w wielu z nich – i nagle przepełnił go strach. Jednak w świetle latarki zdołał dostrzec znajdujący się poniżej nieduży pokój z komódką, kanapą oraz kilkoma dziwnymi urządzeniami ustawionymi na stole i z biegnącymi od nich przewodami. Ojciec opuścił do pokoju poniżej jeden koniec drabinki, a następnie podał latarkę mężczyźnie imieniem Proctor.

– Przechodząc tylnym korytarzem, staraj się mieć chłopaka możliwie jak najbliżej. Kiedy w końcu wyjdiesz z budynku przy Dwudziestej Czwartej Zachodniej i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, zachowaj szczególną ostrożność. Jeżeli uda ci się odjechać niepostrzeżenie, zrób to. Przy chodniku znajdziesz stojącą hondę civic, rocznik osiemdziesiąty czwarty, z wypożyczalni Wynajmij Gruchota. Za kilka godzin spotkamy się w rezydencji.

Pendergast odwrócił się do chłopaka.

– Tristramie, pojedziesz z Proctorem. Chłopiec znów poczuł ogarniający go lęk.

– Ty nie idziesz?

– On będzie czuwał nad twoim bezpieczeństwem. Dołączę do was niebawem.

Chłopak zawahał się przez chwilę. Wreszcie odwrócił się i z uczuciem rezygnacji zszedł za Proctorem po drabince sznurowej. Musiał robić to, co mu kazali, i dokładnie wykonywać wszystkie polecenia. Może – tak jak w przeszłości – w ten sposób zdoła utrzymać się przy życiu.

Dwie godziny później Proctor siedział z chłopcem w dużej, słabo oświetlonej bibliotece rezydencji przy Riverside Drive 891, oczekując na przybycie Pendergasta. Proctor zawsze postrzegał siebie jako żołnierza wykonującego obowiązki i tak też myślał o obecnym zadaniu, nawet jeśli polegało ono na przewiezieniu

dziwnego syna Pendergasta z jednego miejsca do drugiego. Fizycznie chłopak kubek w kubek przypominał swojego ojca, ale jeżeli chodzi o postawę i zachowanie, stanowił jego absolutne przeciwieństwo. Proctorowi niczego nie wyjaśniono ani on sam nie domagał się wyjaśnień. A jednak ze wszystkich niespodzianek, jakich doświadczył w czasie służby dla Pendergasta – a było ich sporo – tę uznał za największą.

Chłopiec był z początku niekomunikatywny, załęczony i niepewny. Kiedy jednak znaleźli się w rezydencji i stało się jasne, że może zaufać Proctorowi, zaczął się otwierać i już po półgodzinie przejawiał niemal bezgraniczną ciekawość. Tristram wypytywał o wszystko, posługując się nieporadnym językiem angielskim z silnym obcym akcentem. Interesowały go książki, obrazy, dywany, dzieła sztuki. Jednocześnie chłopiec ujawnił dość znaczną, żeby nie powiedzieć, zdumiewającą niewiedzę o świecie. Nigdy nie widział telewizora. Nie wiedział, czym jest komputer. Nigdy nie słuchał radia, nie miał pojęcia o muzyce z wyjątkiem kilku niemieckich melodii w rodzaju *Horst Wessel Lied*. Proctor doszedł do wniosku, że chłopiec nigdy nie jadł w restauracji, nigdy nie pływał, nie grał w żadne gry, nie był przytulany, nie miał domowego zwierzątka, nie jadł lodów, nie poznał swojej matki, nie jeździł na rowerze – i najwyraźniej do dzisiejszego ranka nie spożył gorącego posiłku. Zupełnie jakby jego osobowość dopiero zaczęła się kształtować po latach uśpienia, niczym kwiat, na który po raz pierwszy pada promień słońca. Poza kilkoma przebłyskami buntowniczości i odwagi oraz odrobiną zawadiactwa, które pojawiły się i zniknęły, chłopak był pełen najróżniejszych lęków: bał się, że zostanie schwytany, bał się, że może kogokolwiek urazić, bał się w jakikolwiek sposób wyróżnić. Wydawał się przybity, pasywny. Proctor zastanawiał się, z jakiego miejsca na ziemi mógł pochodzić ten chłopak i w jakim niezwykłym otoczeniu dorastał.

Podwójne drzwi otworzyły się i do biblioteki bezgłośnie wszedł Pendergast. Tristram natychmiast poderwał się z miejsca.

– Ojczy! – powiedział.

Pendergast niemal zachowawczo cofnął się o krok.

– Już dobrze, Tristramie, możesz nie wstawać. Odwrócił się do Proctora.

– Co nowego? Chłopiec usiadł bez słowa.

– Nie sądzę, abyśmy tym razem byli śledzeni – odparł Proctor. – Przestrzegalem wszystkich niezbędnych procedur bezpieczeństwa.

Pendergast pokiwał głową. Odwrócił się do Tristrama, po czym usiadł na sąsiednim fotelu.

– Muszę wiedzieć więcej. Chcę się dowiedzieć więcej o miejscu, gdzie dorastałeś, o Novej Godói.

Tristram się skrzywił.

– Spróbuję.

– Opisz, proszę, to miejsce. Chłopiec miał niepewną minę.

– Opisać?

– Co to jest? Budynek, miasteczko, skrzyżowanie dróg? Jak wygląda? Jak można się tam dostać?

– Rozumiem. Ale nie wiem za dużo. Trzymali nas, złych bliźniaków, pod strażą. Nigdzie nie wychodziliśmy.

Na twarzy chłopaka pojawił się nagle wyraz zatroskania, jakby się obawiał, że swoim brakiem wiedzy może rozczarować ojca.

– Po prostu powiedz, co wiesz. Co widziałeś.

– To miasteczko. Położone daleko, w głębi dżungli. Nie ma dróg. Można tam dotrzeć tylko rzeką albo... – Uniósł rękę, naśladując ruch skrzydeł samolotu. – Miasto leży nad brzegiem jeziora.

– Jeziora – powtórzył Pendergast.

– Tak. Pośrodku jeziora jest... złe miejsce.

– Opowiedz mi o tym złym miejscu.

– Nie! – Tristram gwałtownie poderwał się na nogi. – Nie, nie. Złe bliźniaki, jak ja, są zabierane do złego miejsca. Już stamtąd nie wracają.

Był tak wzburzony, że Pendergast milczał przez kilka minut, dając mu czas, aby się uspokoił.

– Kto mieszka w miasteczku, Tristramie? – zapytał w końcu.

– Robotnicy. Dobre bliźnięta.

– A gdzie ty mieszkasz?
– W dziurze – odparł po prostu chłopiec. – Z innymi takimi jak ja. Z innymi numerami.
– Co robicie w ciągu dnia?
– Pracujemy. Na polach. A czasami zabierają nas na... badania. – Pokręcił gwałtownie głową. – Żadnych rozmów o badaniach.
– To miasteczko – ciągnął Pendergast. – Czy jest strzeżone?
Chłopak pokiwał głową.
– Żołnierze. Wielu żołnierzy.
– Przed kim odpowiadają żołnierze? Jaka jest władza w miasteczku? Czy jest tam jakaś rada – grupa ludzi, która tym wszystkim kieruje?
Tristram pokiwał głową.
– Jeden człowiek.
– Jak się nazywa?
– F... Fischer. – Tristram wymówił to słowo szeptem, jakby nawet wypowiedzenie go na głos było niebezpieczne.
– Jak on wygląda? – zapytał Pendergast.
– Jest wysoki. Starszy od ciebie. *Stark, kräftig* – silny jak on. – Tristram wskazał Proctora. – I ma białe włosy, zupełnie białe.
Proctor zdziwił się, widząc, jakie wrażenie ten opis wywarł na Pendergaście. Agent zadygotał, a potem się odwrócił.
– To miasteczko – powiedział dziwnym głosem, wciąż odwrócony do nich plecami. – Czy ma jakieś szczególne aspekty?
Tristram zmarszczył brwi.
– Aspekty? Co to znaczy „aspekty”? Pendergast znów odwrócił się do chłopca.
– Czy coś odróżnia to miasteczko od innych? Coś, dzięki czemu można rozpoznać je z daleka.
– Tak. Jest... – Chłopiec uniósł ręce, zatoczył nimi krąg i ponownie je złączył.
– Nie bardzo rozumiem – przyznał Pendergast. Tristram powtórzył ten gest i westchnął głośno wyraźnie zawiedziony, że jego przekaz nie został właściwie zrozumiany. Pendergast ponownie wstał.

– Dziękuję, Tristramie, okazałeś się bardzo pomocny. A teraz posłuchaj: muszę spróbować powstrzymać twojego brata przed zamordowaniem kolejnych osób.

Tristram pokiwał głową, a Pendergast kontynuował:

– Dopóki będę się tym zajmował, dopóty nie mogę być tu z tobą.

– Nie! – zaprotestował chłopiec i znów poderwał się z miejsca.

– Musisz tu zostać. Oni cię szukają.

– Nie boję się ich!

Proctor spojrzał na chłopaka. Odważne słowa – i najwyraźniej wypowiedziane w dobrej wierze – ale gdyby tylko ktoś zapukał do drzwi, dzieciak najprawdopodobniej podkuliłby ogon pod siebie i próbował się ukryć za plecami ojca.

– Wiem, że mówisz szczerze – powiedział łagodnym tonem Pendergast. – Teraz jednak musisz zejść pod ziemię.

– Zejść... pod ziemię? – powtórzył jego syn.

– Ukryć się. Ten dom ma wiele miejsc, które temu służą, miejsc, gdzie możesz się schować, przetrwać bezpiecznie każdy atak, każde zagrożenie.

Gniew wykrzywił szlachetne rysy twarzy chłopca.

– Ukryć się? W jamie? Nie zrobię tego! Zbyt długo przebywałem w dołach w ziemi!

– Tristramie. Podjąłeś olbrzymie ryzyko, decydując się na ucieczkę. Przybyłeś do mnie. Teraz musisz mi zaufać. – Pendergast ujął rękę syna. – Nie będziesz musiał schodzić do żadnego dołu w ziemi. Proctor dotrzyma ci towarzystwa. A ja będę tu wpadał tak często, jak to tylko będzie możliwe.

Twarz chłopca poczerwieniała. Zwiesił głowę, najwyraźniej wściekły, ale roztropnie trzymał język za zębami.

Pendergast odszedł z Proctorem na bok.

– Wiesz, gdzie go umieścić.

– Tak jest, sir.

– I, Proctorze... Zastanawiam się, czy mógłbym skłonić cię, abyś wykorzystał ten czas przymusowego aresztu domowego na naukę Tristrama.

Proctor spojrział na Pendergasta.

– Ja mam go uczyć?

– Rozmawiaj z nim. Niech szlifuje angielski. Bądź mu towarzyszem, on najwyraźniej rozpaczliwie potrzebuje obycia z ludźmi. Nie ma pojęcia o świecie. Czytaj z nim książki – powieści, opowiadania, wszystko, co go tylko zainteresuje. Słuchajcie muzyki, oglądajcie filmy. Odpowiadaj na jego pytania. Naucz go obsługi komputera.

Proctor zeszywniał na myśl o niańczeniu chłopaka.

– Tak jest, sir – powiedział zduszonym głosem.

Pendergast odwrócił się do Tristrama.

– Muszę już iść. Zostawiam cię w dobrych rękach. Z Proctorem będziesz bezpieczny. Wrócę jutro. Tristramie, chcę, abyś przypomniał sobie wszystko, co tylko zdołasz, o swoim dzieciństwie, dorastaniu, miejscu, gdzie mieszkałeś, i okolicy, kto był z tobą, dosłownie wszystko. Bądź przygotowany, aby opowiedzieć mi o tym jutro, kiedy się tu zjawię. Czeka nas długa pogawędka.

Przez chwilę chłopak nie poruszył się, stał tylko ze zwieszoną głową. Wreszcie, z głuchym westchnieniem, pokiwał posępnie głową.

– Do zobaczenia, Tristramie.

Pendergast posłał mu długie świdrujące spojrzenie. Następnie skinął głową na Proctora, odwrócił się i opuścił pomieszczenie równie bezgłośnie, jak się w nim pojawił.

Proctor popatrzył na chłopaka.

– Chodź – powiedział. – Pokażę ci twój nowy pokój. Poprowadził go w stronę ciągu regałów. Chłopiec podążył za nim, lekko się ociągając. Najwyraźniej utracił nienasyconą ciekawość. Proctor rzucił okiem na rzędy książek, znalazł tytuł, którego poszukiwał, po czym pociągnął za wolumin. Cały regał odsunął się od ściany przy wtórze głośnego metalicznego szczęknięcia, odsłaniając znajdującą się za nim windę.

– *Scheiße* – wymamrotał Tristram.

Wsiedli do windy, a Proctor nacisnął przycisk poziomu piwnic.

Gdy zjechali na dół, Proctor poprowadził Tristrama przez labirynt słabo oświetlonych kamiennych korytarzy pokrytych grubą warstwą grynszpanu i krystalicznego nalotu. Szedł szybkim krokiem, nie pozwalając, aby chłopak przystanął i zajrzał do którejkolwiek z komnat, których zawartość mogłaby wzbudzić w nim niepokój, a może nawet panikę.

– Ojciec mnie nie lubi – rzekł Tristram ze smutkiem w głosie.

– Robi to, co dla ciebie najlepsze – odparł szorstko Proctor.

Zatrzymali się przy niewielkim piwnicznym pomieszczeniu, zupełnie pustym z wyjątkiem tarczy herbowej wyrytej na jednej ze ścian, przedstawiającej pozbawione powieki oko ponad dwoma księżycami, jeden z nich miał sierpowaty kształt, drugi najwyraźniej osiągnął pełnię, pod nimi zaś czaił się lew – był to herb rodowy Pendergastów. Proctor podszedł do tarczy i nacisnął ją obiema rękami. Kamienna ściana nagle się przesunęła, odsłaniając biegnące spiralnie schody niknące w ciemnościach poniżej. Tristram aż wybałuszył oczy, ale nic nie powiedział. Proctor zapalił światło i zszedł po schodach na niższy poziom piwnic. Tristram podążył za nim. Na dole przeszli krótkim korytarzem do sklepionego piwnicznego pomieszczenia, rozległego jak okiem sięgnąć.

– Co to za miejsce? – zapytał chłopiec, rozglądając się w osłupieniu dokoła.

– Kiedyś mieściło się tu opactwo – odrzekł Proctor. – Myślę, że mnisi wykorzystywali te krypty jako nekropolię.

– Nekropolię?

– Miejsce pochówku. Tu grzebali swoich zmarłych.

– Oni grzebali swoich zmarłych?

Proctor powstrzymał się przed zapytaniem Tristrama, co czyniono ze zmarłymi tam, skąd on pochodził.

Minęli pradawne laboratoria, pomieszczenia z mnóstwem szklanych butli ustawionych rzędami na półkach, przeszli obok pokoi wypełnionych gobelinami i dziełami sztuki. Proctor nigdy nie przepadał za tymi podziemnymi komnatami, gdzie powietrze przesycone było wonią zgnilizny, i jeszcze bardziej przyspieszył

kroku. Chłopiec podążył za nim, rozglądając się na lewo i prawo, a oczy nieomal wychodziły mu z orbit. Wreszcie Proctor doprowadził go jednym z bocznych korytarzy do niedużej, dobrze wyposażonej sypialni z przylegającą do niej łazienką. Stało tam łóżko, stół, krzesła, regał z książkami i toaletka z lustrem. Pomieszczenie było czyste i na tyle przyjemne, na ile pozwalała na to atmosfera podziemi, gdzie w powietrzu czuło się słaby odór amoniaku i rozkładu. Sypialnia zaopatrzona była w solidne drewniane drzwi z masywnym zamkiem i zasuwą.

– To twój pokój – zwrócił się do Tristrama. Chłopak pokiwał głową i rozejrzał się wokoło.

Wyglądał na zadowolonego.

– Umiesz... czytać? – zapytał Proctor, spoglądając na książki.

– Tylko dobre bliźnięta powinny umieć czytać. Ale ja się nauczyłem. Trochę. Po niemiecku.

– Rozumiem. Przepraszę cię teraz na chwilę i przyniosę parę rzeczy. Wrócę za pół godziny.

– Jak pan mówił, że się nazywa?

– Proctor.

Chłopak popatrzył na niego i uśmiechnął się z pewną nieśmiałością.

– Dziękuję, *Herr* Proctor.

Aloysius Pendergast zatrzymał rolls-royce'a na rogu Bushwick Avenue i Meserole Street w Brooklynie. To właśnie tam, zgodnie z rejestrem kursów korporacji taksówkowej, uciekający chłopiec został wsadzony do taryfy. Ta stara, w znacznej mierze opuszczona dzielnica przemysłowa niedawno zaczęła przeżywać inwazję innowacyjnych pomysłów. Pozostało tu jednak mnóstwo graffiti, śmieci, budynki zabite deskami i szczątki spalonych aut. Na ulicach można było dostrzec mieszaninę hipsterów, pijaczków i podejrzanie wyglądających młodych mężczyzn.

Pendergast wysiadł ze swojego rollsa silver wraith ubrany jak zwykle w nieskazitelny czarny garnitur i skrupulatnie zablokował drzwiczki limuzyny. Z rękami w kieszeniach ruszył Meserole Street. Było wczesne popołudnie, jasne, lecz niedające ciepła promienie słońca padały na chodnik. Kilka przecznic dalej na stu metrach kwadratowych wznosił się kompleks dziewiętnastowiecznego browaru. Ponad zabudowaniami widać było czworokątny komin suszarni chmielu z wciąż widocznym na nim nazwiskiem Van Dam i datą założenia zakładu: 1858.

Browar. Tristram nieświadomie go opisał: długi podziemny tunel, gdzie składowano beczki, ogromny ceglany piec, w którym suszono chmiel. Bez wątpienia tu go przetrzymywano i to właśnie miejsce jego oprawcy – Alban oraz zapewne jego nazistowscy opiekunowie – wykorzystywali jako swoją bazę operacyjną, czymkolwiek było to, do czego się przygotowywali.

Pendergast podszedł bliżej, uważnie lustrując wzrokiem budynek.

Nawet jak na zapomniany zakątek Brooklynu była to całkiem spora nieruchomość i zabezpieczono ją jak należy arkuszami blachy cynkowej i sklejką. Podwójna, prastara, masywna, industrialna, metalowa brama odgradzała od czegoś, co było niegdyś wejściem do zakładu. Zaryglowano ją na amen i zaśrubowano, a wejście dla pieszych w jednym z jej skrzydeł nie tylko zabezpieczono łańcuchem z kłódką, ale również zaspawano dwoma solidnymi kawałkami pręta zbrojeniowego.

Pendergast szedł dalej, przyglądając się mniejszym furtkom służbowym w murszejącej ceglanej fasadzie budynku wzdłuż ulicy, wszystkie jednak okazały się nie do sforsowania. Gdy przystanął przy jednych drzwiach, w których zamki zostały celowo uszkodzone, usłyszał za sobą czyjś głos.

– Masz parę groszy, przyjacielu?

Pendergast odwrócił się i ujrzał chudego jak tyka nastolatka, bez wątpienia ćpuna uzależnionego od heroiny, wpatrującego się w niego pustymi, wygłodniałymi oczami.

– Właściwie tak – odparł, sięgając do wewnętrznej kieszeni, a kiedy wyjął dwudziestodolarowy banknot, w martwych oczach pojawiły się lśniące iskierki i nastolatek sięgnął po pieniądze drżącymi palcami.

– Chcę się włamać do tego budynku – rzekł Pendergast, cofając rękę z banknotem, zanim tamten zdążył wyłuskać dwudziestkę z jego dłoni. – Jak mogę to zrobić?

Nastolatek spojrzał na niego z rozdziawionymi ustami.

– A ty co, złodziej?

– Konsultant do spraw zabezpieczeń.

Chwila wahania, gdy nastolatek próbował pozbierać myśli.

– O ile wiem, nie ma tu wejścia.

– Tak, ale gdybym chciał się tu włamać, jak mógłbym to zrobić?

Kolejna rozpaczliwa próba skupienia myśli.

– Ja bym poszedł od tyłu, tam, gdzie biegną tory. I przelazłbym przez ogrodzenie.

Pendergast znów podsunął banknot w stronę nastolatka, a ten

natychmiast zgarnął forszę i oddalił się kołyszącym krokiem tak szybko, jak tylko był w stanie.

– Nie daj się złapać – zawołał przez ramię.

Pendergast dotarł do końca przecznicy i skręcił za róg browaru, gdzie znajdowała się nieużywana bocznicą towarowa; stały tam butwiejące skrzynie i jakieś stare maszyny, a wszystko to otoczone było drucianą siatką.

Jednym płynnym ruchem skoczył jak nietoperz, schwycił się siatki, wspiął na szczyt i zeskoczył z drugiej strony. Przystanął na chwilę, aby wygładzić garnitur. Następnie, przechodząc pomiędzy kontenerami i wysokimi do piersi chwastami, dotarł wzdłuż torów kolejowych na tyły browaru, gdzie tory zniknęły wewnątrz zakładu, za kolejną przemysłową, metalową bramą. Podchodząc bliżej, zauważył, że w paru miejscach chwasty i zielska były wygniecione, wydeptane, co mogło świadczyć o tym, że niedawno przechodzili tędy jacyś ludzie lub coś tędy przenoszono. Na miękkim gruncie w pobliżu torów można było dostrzec ślady stóp.

Podążył za tymi śladami przez bocznicę kolejową i dotarł do miejsca, w którym oddalały się one od torów i prowadziły w stronę niewielkich drzwi w ceglany murze. Podszedł do drzwi i stwierdził, że są równie stare i masywne jak pozostałe, choć nie zostały zaspawane; zawiasy wyglądały na świeżo naoliwione, a na drzwiach zamontowano nowiutki mosiężny zamek.

Nie rozpoznał modelu zamka, a sforsowanie go okazało się nie lada wyzwaniem wymagającym zestawu narzędzi i umiejętności. Niestety operacji tej towarzyszył spory hałas, kilka zapadek trzeba bowiem było zeszlifować z użyciem siły.

Kiedy wreszcie zamek ustąpił, Pendergast nie otworzył drzwi od razu. Odczekał z czterdziestką piątką w dłoni prawie dziesięć minut. Wreszcie, przylegając plecami do muru, stopą pchnął drzwi. W pierwszej chwili uchyliły się bezgłośnie, zaraz jednak się zatrzymały przy wtórze głośniego jęku metalu.

Cisza.

Minęło kolejnych pięć minut. Pendergast wślizgnął się do środka,

rzucił na ziemię, przetoczył po niej i ukrył za sięgającym do kolan ceglanym murkiem.

Znów cisza. Nikt krzykiem nie ogłosił alarmu, nikt nie zaczął do niego strzelać.

Pendergast czekał, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku. Znajdował się w rozległej hali wypełnionej przez promienie słońca wpadające przez liczne dziury i szczeliny w dachu. Wokół wirowały leniwie drobiny kurzu. Powietrze miało słodkawą ziemistą woń.

Był to z całą pewnością magazyn i punkt załadunkowy browaru, gdyż tory kolejowe biegły tu przez całą długość hali, a wzdłuż ścian wznosiły się rampy towarowe i butwiejące dźwigi. W miejscu, gdzie kończyły się tory, stał stary wagon towarowy; wyglądał na wykolejony, jego koła nie opierały się na szynach, a przerdzewiały dach częściowo się zapadł.

Pomiędzy Pendergastem a wagonem było z dziesięć metrów wolnej przestrzeni. Agent zerwał się do biegu, błyskawicznie pokonał niewielki dystans i ukrył się za wagonem. Z tego miejsca widział drzwi po drugiej stronie hali. Zakurzona betonowa podłoga była zasłana rozmaitymi śmieciami i odpadkami, ale w tym pyle dostrzegł świeże ślady stóp.

Przesuwając się wzdłuż wagonu, przemknął przez kolejną otwartą przestrzeń, przylgnął całym ciałem do jednej z kolumn, potem do drugiej, a po chwili podkradł się do łukowato sklepionych drzwi. Były zamknięte, ale nie na klucz.

Sięgając do kieszeni, Pendergast wyjął małą latarkę LED-ową, przyłożył ją do czterdziestki piątki, po czym zdecydowanym ruchem, z broń gotową do strzału wpadł do pomieszczenia za drzwiami i błyskawicznie uważnie je zlustrował. Był to długi chłodny tunel, w którym zapewne dawno temu przechowywano piwo, o czym mogło świadczyć kilka stosów butwiejących beczek i niezliczone, stare, popękane i omszałe butelki po piwie.

Pendergasta coraz bardziej to zdumiewało. Powinni tu być, czekać na niego. Na pewno domyślali się, że nadchodzi. A jednak nie było po nich śladu.

Po chwili dotarł do drugiego końca tunelu i drugiego łukowato sklepionego wejścia. Rozciągała się za nim kolejna ogromna hala usiana słonecznymi promieniami, w jego rogu zaś wznosiła się wielka suszarnia chmielu.

W świetle Pendergast dostrzegł ślady stóp na całej powierzchni posadzki, zwłaszcza w okolicy masywnych nitowanych żelaznych drzwiczek suszarni, które były uchylone. Powyżej, pod sufitem, wzdłuż ścian ciągnęła się metalowa kładka. Prześlizgując się pod ścianą, agent dotarł do miejsca, skąd mógł na nią spojrzeć. Kiedy jego oczy w zupełności przywykły do półmroku, bez trudu zorientował się, że jest ona pusta.

Zakradał się w kierunku wielkich drzwi suszarni. Zbliżył się do nich od dalszej strony z bronią w rękę, po czym prześlizgnął się wzdłuż framugi i podszedł z drugiej strony, rozchylił drzwi jeszcze szerzej, by mógł użyć ich jako tarczy, gdyby ktoś zaczął do niego strzelać.

Ale nic takiego nie nastąpiło, usłyszał jedynie głośny jęk zardzewiałego żelaza i gdy poświecił latarką do wnętrza suszarni chmielu, okazało się, że nikogo tam nie ma. Ściany były poczerniałe od sadzy, a podłoga zasłana resztkami jedzenia. W kącie stał kubeł. W ścianach zamontowano łańcuchy z kajdanami, a na osmalonej ceglanej podłodze poniżej widniało kilka niedużych kałuż krwi. W rogu suszarni leżał brudny, skotłowany koc, nie było materaca. W kącie leżały ciśnięte tam niedbale stare pokrwawione bandaże. Najwyraźniej to właśnie było tymczasowe więzienie Tristrama.

Pendergast pieczołowicie przejrzał wszystkie śmieci, od czasu do czasu wkładając to i owo do próbowki czy zamykanej torebki foliowej na materiały dowodowe. Nie natrafił jednak na nic naprawdę interesującego.

Po chwili wyszedł z suszarni i zaczął penetrować wnętrze hali. W jednej z nisz natknął się na miejsce, gdzie przypuszczalnie mieszkał Alban: była tam prycza, pusty kufer podróżny i czysty kubeł. Przeszukał całe pomieszczenie, ale zostało starannie wysprzątane.

Wiedzieli, że nadchodzi, i opuścili kryjówkę.

W sąsiedniej wnęce stał prosty stół ze sklejki, a na nim Kuchenka elektryczna, maszynka do kawy za dziesięć dolarów i kubek. Omiatając podłogę pomieszczenia światłem latarki, Pendergast podążał za widniejącymi w kurzu śladami stóp to w jedną, to w drugą stronę, wypatrując innych miejsc, które także mogły być wykorzystywane. Nie udało mu się niczego takiego ustalić, więc wspinał się po rozchwierutanych, skrzypiących, metalowych schodach na kładkę i przeszedł po niej w tę i z powrotem, szukając ukrytych pomieszczeń. Nic.

Jeszcze raz spenetrował niszę Albana. Po chwili uważnie obejrzał stół. Na prostym szorstkim blacie widać było plamy po kawie i kręgi po stawianych tam kubkach. Przesunął promieniem latarki wzdłuż jednej krawędzi stołu i zaczął oświetlać blat pod różnymi kątami. Przy czwartej próbie promień światła wydobył ślady pisma na miękkiej sklejce. Zwłaszcza jeden napis został wykonany ze sporym naciskiem i dwukrotnie podkreślony.

Oświetlając stół latarką, Pendergast wyjął z kieszeni marynarki kartkę papieru i ołówek. Położył kartkę na blacie w miejscu, gdzie widniał ślad napisu, a następnie bardzo delikatnie, trzymając ołówek przechylony pod kątem, bokiem grafitowej końcówki zaczął pocierać papier. Powoli na kartce zaczęły się pojawiać fragmenty poszczególnych liter. Pendergast zapisał je skrzętnie na dużej kartce, pozostawiając puste miejsca tam, gdzie litery były zbyt słabo widoczne, aby mógł je odczytać. Próbował pocierać w różnych kierunkach, ale za każdym razem uzyskiwał nieco inny wynik, aż w końcu w pięciu próbach na osiem otrzymał:

BE__EST

Przyjrzał się frotażowi przez lupę, uważnie obejrzał blat stołu i w końcu zdołał dodać jeszcze jedną literę.

BE _ A _ EST

Wpatrywał się w kartkę przez długą, bardzo długą chwilę.

Wreszcie jednym szybkim ruchem ołówka dokończył słowo:

BETATEST

34

Doktor John Felder siedział, odrobinę zdeprymowany, w głównym pokoju stróżówki Wintourów. Poświęcił wiele godzin, aby miejsce to nadawało się do zamieszkania: umył ściany i podłogę wybielaczem, starł pajęczyny, odkurzył każdą powierzchnię i wyniósł wszystkie rupiecie do niewielkiego pomieszczenia pod dachem, i teraz mógł przespać noc bez wyobrażania sobie, że coś pełza mu po twarzy i dłoniach. Przyniósł tu zaledwie kilka niezbędnych rzeczy: nadmuchiwany materac i śpiwór, kilka podstawowych mebli, laptop, grzejnik, książki, prowiant oraz szybkowar – kuchnia jak na razie nie nadawała się do użytku – i trudno było powiedzieć, aby poczuł się tu jak w domu.

Podczas sprząwania niejednokrotnie zadawał sobie pytanie: Po co tak się męczę? Ale w gruncie rzeczy znał odpowiedź na to pytanie.

Wstał z jedyne go krzesła i podszedł do okna. Starannie je umył i teraz w gasnącym blasku dnia mógł stąd dobrze widzieć rezydencję Wintourów – przyobleczone w półmrok ceglane ściany z trudem utrzymywały ciężar niezbyt masywnego dachu, niezliczone czarne okna wyglądały jak braki w uzębieniu. Wczoraj został zaproszony na popołudniową herbatę i stwierdził, że od środka rezydencja była równie przerażająca jak z zewnątrz. Wszystko wyglądało jak kapsuła czasu z końca dziewiętnastego wieku: proste krzesła o niewygodnych oparciach i z koronkowymi narzutami, nieduże drewniane stoliki z ozdobnymi serwetkami, małymi szklanymi figuzynekami i staroświeckimi bibelotami. Dywany były ciemne, podobnie jak tapety, ściany pokryte ciemną boazerią

i najprawdopodobniej tych mrocznych, rozbrzmiewających echem pomieszczeń nie rozjaśnił nigdy choćby jeden najwątleszy promyk słońca. Wszystko wydzielało lekką woń naftaliny. Nie było tu kurzu, a w każdym razie niedużo, ale mimo to Feldera wciąż kręciło w nosie. Ten stary, zły dom wydawał się obserwować i nasłuchiwać, gdy siedzieli w posępnym frontowym saloniku, a panna Wintour na przemian psioczyła na ojców miasta albo ubolewała, że świat zszedł na psy, bo kiedy była małą dziewczynką, wszystko było lepsze i wspanialsze.

Minęła ósma: zrobiło się dość ciemno, by nikt go nie zauważył, gdyby postanowił się przespacerować wokół rezydencji. Okutany w ciepłą kurtkę otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz i cicho zamknął za sobą drzwi. Przechodząc po zmarzniętej, stwardniałej ziemi, miał wrażenie, że dom łypie na niego złowrogo, obserwując każdy jego krok.

Doszedł do wniosku, że staruszka nie jest pod żadnym względem wariatką, a jedynie skrajną ekscentryczką. Co więcej, ma przenikliwy, bystry umysł. Kiedy niejako mimochodem poruszył temat jej biblioteki, starając się, by zabrzmiało to możliwie taktownie, zareagowała błyskawicznie, gniewnym głosem dopytując się o powód jego zainteresowania. W tej sytuacji mógł jedynie pospiesznie zmienić temat rozmowy i spróbować uśpić jej podejrzliwość. Udało mu się jednak dowiedzieć, gdzie mieści się biblioteka – za masywnymi drzwiami, które zawsze były zamknięte na klucz. Widział ten pokój za dnia przez okna rezydencji: stały tam liczne regały uginające się pod ciężarem ksiąg oraz innych znanych i nieznanych skarbów.

Zmierzał teraz w tę stronę bardzo cicho, przechodząc przez wysoką trawę. Pomimo blasku księżycy okna biblioteki wyglądały jak prostokąty nieprzeniknionej czerni. Dom nie miał systemu alarmowego – od razu Felder zwrócił na to uwagę. Ale alarm nie był potrzebny.

Wystarczył Dukchuk.

Dukchuk był wielkim jak góra, wiecznie milczącym służącym,

który otwierał frontowe drzwi, przynosił słabą, letnią, rozwodnioną herbatę, stał z tyłu, za fotelem panny Wintour, gdy mówiła, i patrzył na Feldera nieprzeniknionym wzrokiem. Tatuaze tego mężczyzny mogły nękać w najgorszych koszmarach.

Felder ponownie skupił uwagę na oknie biblioteki. Mogło nie być zamknięte, tak jak okna we frontowym salonie. To całkiem w stylu starej panny Wintour – założyć cztery dodatkowe zamki w drzwiach, ale ani jednego w oknach. Jednak pozostawał jeszcze Dukchuk. Ten typ sprawiał wrażenie, jakby miał własny, nie do końca legalny sposób radzenia sobie z intruzami. Felder wiedział, że będzie musiał zachować najdalej posuniętą ostrożność, jeżeli...

Jeżeli co? Czy naprawdę myślał o tym, o czym myślał?

Owszem, tak. Był już pewny, że stara panna Wintour nigdy z własnej woli nie pokaże mu biblioteki. Jeżeli chciał się tam dostać i znaleźć portfolio, musiał wymyślić inny sposób.

Obliznął wargi. Na jutrzejszą noc zapowiadano silne zachmurzenie. Nie będzie widać księżyca. Wtedy to zrobi.

35

Pendergast stał w pracowni swojego rozległego apartamentu w Dakocie. Pokój był pozbawiony jakichkolwiek ozdób czy dodatków, nic nie przyciągało uwagi ani nie rozpraszało umysłu pogrążonego w najgłębszej konsternacji. Nawet ściany i parkiet miały barwę szarą, możliwie jak najbardziej neutralną, w odcieniu metalicznej, zmatowionej broni. Okna wychodzące na Siedemdziesiątą Drugą Ulicę były zamknięte i szczelnie zasłonięte. W rogu spoczywała porzucona sterta pożółkłych dokumentów, które Corrie wyniosła z kryjówki nazistów. Jedynym meblem był dębowy stół biegnący przez całą długość pracowni. Żadnych krzeseł. Na stole leżały protokoły policyjne, analizy techników, fotografie, raporty profilowe FBI i ekspertów sądowych oraz inne papiery, wszystko bez wyjątku poświęcone jednemu tematowi – zbrodniom Hotelowego Zabójcy. Popełnionym przez jego syna, Albana.

Jego syna. Pendergast stwierdził, że ten fakt okazał się mieć wyjątkowo negatywny wpływ na jego procesy dedukcyjne.

Przechodził wzdłuż stołu w tę i z powrotem, spoglądając to na ten, to na tamten dokument. Wreszcie pokręcił głową, z rozdrażnieniem podszedł do wieży stereo wmontowanej w ścianę i wcisnął przycisk odtwarzania. W jednej chwili z ukrytych głośników popłynęły ciche, kojące dźwięki *Ricercar a 6 z Musikalisches Opfer*^[2] Bacha.

To był jedyny utwór, jaki kiedykolwiek rozbrzmiewał w tym pokoju. Pendergast odtwarzał go nie przez wzgląd na jego piękno, lecz jego złożoność, niezwykłą matematyczną kompozycję, która pomagała mu uspokoić i wyostrzyć umysł.

W miarę jak muzyka grała, agent przechadzał się coraz wolniej i w sposób uporządkowany, koncentrując się na niuansach, zaczął przeglądać dokumenty walające się na stole.

Jego syn Alban popełnił te zbrodnie. Tristram powiedział, że Alban uwielbia zabijać. Ale po co przebył taki szmat drogi z Brazylii aż do Nowego Jorku, żeby dopuścić się tych zabójstw? Po co zostawiał na miejscach zbrodni części ciała swojego brata? Co miały znaczyć krwawe napisy na ciałach – napisy przeznaczone wyłącznie dla Pendergasta?

Betatest. Test beta. W tych zbrodniach musiała się kryć jakaś metoda, nadrzędny cel. I właśnie to Pendergast miał odkryć. Albo przynajmniej spróbować odkryć. Wszystko inne nie miało sensu.

Podczas gdy w tle rozbrzmiewał delikatny, fantastycznie złożony kontrapunkt przeplatających się ze sobą dźwięków, Pendergast ponownie popatrzył na dane. W myślach formułował własny logiczny kontrapunkt, porównując godziny, daty, adresy, numery pokoi, temperaturę na dworze, wiek ofiar, wszystko, co mogło wskazywać na metodę, sekwencję lub wzorzec. Zajęło mu to dziesięć, dwadzieścia minut. Wreszcie, zgoła niespodziewanie, Pendergast znieruchomiał.

Pochylając się nad stołem, poprzekładał kilka kartek i znów na nie spojrział. Następnie wyjął z kieszeni pióro, zapisał u dołu jednej z kartek ciąg cyfr, sprawdzając je raz jeszcze i porównując z tymi z dokumentów.

Nie było mowy o pomyłce.

Spojrzał na zegarek. Jak błyskawica przemknął korytarzem do swojego gabinetu, sięgnął po leżący na biurku tablet i wpisał zapytanie. Sprawdził odpowiedź, zaklął pod nosem, cicho, lecz wymownie, po łacinie, po czym wyjął telefon i wybrał numer.

– D’Agosta, słucham – rozległo się w słuchawce.

– Vincencie? Gdzie jesteś?

– Pendergast?

– Powtarzam, gdzie jesteś?

– Jadę przez Broadway, właśnie mijam Pięćdziesiątą Siódmą.

Zamierzałem.

– Zawróć i przyjedź przed Dakotę, najszybciej jak możesz. Będę czekał na rogu. Spiesz się, nie ma chwili do stracenia.

– Co się dzieje? – zapytał D’Agosta.

– Porozmawiamy w samochodzie. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

36

D'Agosta pruł jak szalony Park Avenue, przedzierając się przez wieczorne korki, z obracającym się migoczącym kogutem, od czasu do czasu włączał syrenę, aby potraktować nią sukinsynów, którzy nie chcieli się usunąć z drogi. Nie był pewien, czy Pendergastowi do reszty odbiło, czy faktycznie na coś wpadł, ale zbyt długo przebywał w towarzystwie agenta, by wiedzieć, że ignorowanie jego żądań bywało wyjątkowo ryzykowne.

Teraz, gdy mknął na południe, w kierunku hotelu Murray Hill, D'Agosta popatrzył w bok, by przyjrzeć się Pendergastowi. Przemiana, jaką przeszedł agent specjalny od śmierci żony, obejmowała spektrum emocji – od apatii, poprzez wywołany narkotykami stupor, aż do obecnej ekscytacji: w jego oczach pojawiły się twarde jak diament błyski, zdawał się emanować szczególnym napięciem i fanatyczną energią.

– Mówisz, że ma dojść do kolejnego morderstwa? zaczął D'Agosta.

– Możesz mi to wyjaśnić? Skąd wiesz...?

– Vincencie, pozostało niewiele czasu, a to, co mam do powiedzenia, może wydać ci się dziwne, a może nawet szalone.

– Daj mi szansę. Krótka pauza.

– Mam syna, o którego istnieniu dotąd nie wiedziałem. Ma na imię Alban. To on jest zabójcą, nie Diogenes, jak podejrzewałem wcześniej. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Łał, rany, zaczekaj chwilę. Jezu...

Krótki gest dłoni Pendergasta uciszył D'Agostę.

– Te zabójstwa są skierowane bezpośrednio do mnie. Konkretny

motyw jednak wciąż pozostaje niejasny.

– Trudno mi...

– Nie ma czasu na bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Niech wystarczy, że powiem, iż adresy hoteli oraz czas zabójstw są powiązane pewną sekwencją, nazwijmy ją wzorcem. Następną liczbą w sekwencji jest dwadzieścia jeden. A na Manhattanie jest tylko jeden hotel mający w swoim adresie dwadzieścia jeden. Murray Hill przy Park Avenue dwadzieścia jeden. Już sprawdziłem.

– To...

– Czy zwróciłeś uwagę na czas zabójstw? To kolejny wzorzec, tym razem prostszy. Pierwszego morderstwa dokonano o siódmej trzydzieści rano. Następnego o dwudziestej pierwszej. Trzeciego znów o siódmej trzydzieści rano. Czas zbrodni występuje naprzemiennie. A właśnie dochodzi dwudziesta pierwsza.

Przemknęli przez tunel Helmsley Building i objechali wiadukt z piskiem opon.

– Nie kupuję tego – rzekł D’Agosta, biorąc zakręt. – Nieznany syn, ten twój wzorzec, to jakiś obłąd.

Pendergast z trudem nad sobą panował.

– Wiem, jakie to musi wydawać się dziwne. Ale przynajmniej przez jakiś czas muszę nalegać, abys zechciał odrzucić powątpiewanie i niewiarę.

– Powątpiewanie? To za mało powiedziane. Uważam, że to kompletne szaleństwo.

– Wkrótce się przekonasz. Jesteśmy na miejscu. D’Agosta z piskiem opon zatrzymał samochód przed wejściem do hotelu. W przeciwieństwie do trzech poprzednich, luksusowych, ten był stary i nieco zaniedbany, fasadę z czerwonej cegły przecinały smugi sadzy. Po zaparkowaniu na miejscu dla dostawców D’Agosta wysiadł, ale Pendergast już go wyprzedził i pognął do holu, wyciągając legitymację służbową.

– Biuro ochrony! – zawołał.

Konsjerż, ogarnięty paniką, potykając się o własne nogi, wybiegł mu na spotkanie i w odpowiedzi na krótkie, szorstkie polecenia

przeprowadził agenta FBI i porucznika nowojorskiej policji przez recepcję na zaplecze do niewielkiego pomieszczenia, gdzie jedną ze ścian zajmowały połączone, ustawione jeden przy drugim, ekrany telewizyjne odbierające obraz z kamer monitoringu. Pełniący służbę funkcjonariusz ochrony poderwał się z miejsca, kiedy wpadli do pomieszczenia.

– FBI – rzucił Pendergast, wymachując odznaką. – Ile kamer w trybie online przekazuje obraz z holu?

– Ee, jedna – odparł ochroniarz wyraźnie zbity z tropu.

– Proszę cofnąć zarejestrowane nagranie o pół godziny. Natychmiast.

– Ee, tak jest, oczywiście.

Przestraszony ochroniarz spieszył się i robił, co mógł. Na szczęście, jak zauważył D’Agosta, system był dość nowoczesny, a obsługujący go mężczyzna sprawiał wrażenie kompetentnego. W niecałą minutę zaczął odtwarzać nagranie w przyspieszonym tempie. D’Agosta wpatrywał się w monitor z narastającym sceptycyzmem. To jakiś absurd: Hotelowy Zabójca nigdy nie wybrałby takiej nory jako miejsca kolejnego zabójstwa. To nie pasowało do jego modus operandi. Spojrzał ukradkiem na Pendergasta; nie ulegało wątpliwości, że śmierć żony dotknęła go bardziej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

– Przyspiesz – nakazał Pendergast.

Ochroniarz wypełnił polecenie. Patrzyli, jak postacie na ekranie przemykają przez hol z mechaniczną intensywnością.

– Zatrzymaj. To on.

Nagranie zostało zatrzymane, a potem ponownie odtworzone w czasie rzeczywistym. Ukazywało nierzucającego się w oczy mężczyznę, który wszedł spokojnie do hotelu, przystanął, poprawił krawat, a następnie ruszył w stronę wind. D’Agosta poczuł ucisk w żołądku. Patrzył, jak się porusza i jak wygląda ten mężczyzna – to był on.

– Kurwa – wymamrotał.

– Przełącz na kamerę w windzie – rzekł Pendergast. Obserwowali,

jak mężczyzna wjeżdża na piąte piętro, gdzie wysiadł, przeszedł do końca korytarza i tam przystanął. Chwilę później, gdy zza załomu korytarza wyłoniła się kobieta, znów ruszył, podążając za kobietą w głąb korytarza, dopóki oboje nie zniknęli poza polem widzenia kamery. Zgodnie ze wskazaniem zarejestrowanego na nagraniu zegara wydarzyło się to przed trzema minutami.

– Chryste – wycedził D’Agosta. – Boże. On znów to robi.

– Cofnij taśmę o pięć sekund. – Pendergast wskazał na widoczną na ekranie kobietę i zapytał konsjerża: – Poznaje ją pan? Jaki jest numer jej pokoju? Szybciej, człowieku!

– Wprowadziła się dzisiaj. – wrócił do recepcji i wstukał coś na klawiaturze komputera, w którym dokonywano rejestracji. – Pokój pięćset szesnaście.

Pendergast odwrócił się do D’Agosty.

– Zostań tu – wymamrotał. – Monitoruj nagrania. Kiedy znów się pojawi, obserwuj każdy jego krok. Idę za nim. I pamiętaj, nie mów nikomu o moim synu.

– Łał – rzucił D’Agosta. – Chwileczkę. Mam nikomu nie mówić? Pendergast, może nie spodoba ci się to, co powiem, ale myślę, że przekraczasz swoje.

– Nikomu ani słowa – wycedził z naciskiem Pendergast i po chwili już go nie było.

Pędem wbiegł na piąte piętro i dotarł korytarzem do pokoju 516. Drzwi były zamknięte, ale jednym strzałem z czterdziestki piątki roztrzaskał zamek, a kopniakiem otworzył drzwi.

Spóźnił się. W niedużym pokoju kobieta, którą ujrzał na nagraniu, leżała na podłodze, martwa, lecz jeszcze niepoćwiartowana. Pendergast zawahał się tylko przez moment, jego srebrzyste oczy rozglądały się uważnie dokoła, chłonąc każdy szczegół. Wreszcie przeskoczył nad leżącym na podłodze ciałem i otworzył na oścież drzwi łazienki. Okno na końcu wąskiej łazienki zostało wybite, znajdowała się za nim platforma schodów przeciwpożarowych. Pendergast wyskoczył przez okno na metalową platformę i spojrzał

w dół, gdzie zobaczył młodego mężczyznę, Albana, pokonującego właśnie ostatni odcinek drabinki pożarowej i zeskakującego na ziemię.

Zbiegł, przeskakując po trzy stopnie naraz, i ani na chwilę nie spuścił z oczu Albana, który pobiegł Park Avenue i zniknął za rogiem Trzydziestej Piątej Ulicy, kierując się na wschód, w stronę rzeki.

Pendergast pospieszył za nim. Kiedy skręcił za róg Trzydziestej Piątej, dostrzegł Albana prawie dwie przecznice dalej, bo sylwetka chłopaka pojawiła się w kręgu światła latarni ulicznych; nastolatek był naprawdę fenomenalnym biegaczem. Pendergast podążył za nim, ale gdy dotarł do Lexington, mała teraz postać Albana przebiegła już przez Drugą Aleję i popędziła wzdłuż parku St. Vartan. Pendergast zdał sobie sprawę, że nie zdoła go dopaść, mimo wszystko biegł dalej, bo przynajmniej chciał się dowiedzieć, dokąd zmierza jego syn. Ledwie widoczna sylwetka minęła Pierwszą Aleję i pognęła w stronę FDR Drive, przeskoczyła przez siatkę i wspięła się na betonową barierę, aby znaleźć się na autostradzie, gdzie rozplynęła się w ciemnościach.

Pendergast popędził sprintem przez park St. Vartan i na czerwonym świetle przebiegł przez Pierwszą Aleję. Dotarł do siatki, wspiął się po niej, pokonał betonowy murek i wybiegł na FDR Drive, lawirując między samochodami przy wtórze chóru klaksonów i gwałtownego pisku hamulców. Zdołał dotrzeć na drugą stronę i przystanął, rozglądając się na prawo i lewo, ale niczego nie zauważył: Alban rozplynął się w ciemnościach nocy. Na wprost niego rozciągała się East River, po prawej miał przystań promową Hunter's Point, a po lewej skrzący się, pięknie oświetlony most Queensboro. Dokładnie przed nim z East River wyłoniły się dwa opuszczone, zrujnowane pirsy prowadzące od niszczonego, pełnego kamiennych narzutów brzegu rzeki poniżej zdewastowanej przystani, która w sporej części była zarośnięta chwastami, trzcinami i tatarakiem oraz jeżynami, zeschniętymi teraz i zbrązowiałymi w surowym blasku zimowego księżyca. Wokół było

wiele, bardzo wiele miejsc, w których można było zniknąć, i Alban się ulotnił. Najwyraźniej znał ukształtowanie terenu i już zawczasu opracował plan ucieczki. To na nic.

Pendergast odwrócił się i ruszył wzdłuż FDR Drive i wiaduktu dla pieszych oddalonego o pięć przecznic na południe, prowadzącego na drugą stronę autostrady. W pewnej chwili jednak spostrzegł kątem oka postać młodego mężczyzny stojącego na pierwszym zrujnowanym pirsie, oświetloną z tyłu przytłumionym światłem płynącym od strony mostu.

To był Alban. Syn patrzył wprost na niego. Kiedy Pendergast przystanął i spojrzał, chłopak uniósł rękę i lekko mu pomachał.

Pendergast w jednej chwili przeskoczył ponad barierką autostrady i wylądował na nasypie poniżej, po czym przedarł się przez zarośla. Gdy znalazł się na popękany betonowym pirsie, stwierdził, że Alban ponownie zniknął.

Uznał, że chłopak musiał się oddalić wzdłuż nasypu, więc pognął sprintem na północ. Po chwili spostrzegł przed sobą jakiś ruch – Alban wybiegł na drugi zniszczony pirs i tam przystanął, odwrócił się i czekał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

Pendergast w pędzie wyciągnął czterdziestkę piątkę z kabury. Aby dotrzeć na drugi pirs, musiał ominąć rząd zniszczonych pacholek i przedrzeć się przez kolejne zarośla, tracąc na chwilę Albana z oczu. Gdy w końcu dotarł do wejścia na pirs i wyłonił się spomiędzy zarośli, poczuł oszałamiające uderzenie w nogę i poleciał do przodu, a równocześnie – jeszcze gdy upadał – otrzymał w rękę drugi cios, który wytrącił mu broń. Przetoczył się po ziemi i spróbował wstać, lecz Alban przewidział ten ruch i kolaniem przyspilił głowę Pendergasta do betonowego podłoża.

I nagle, równie szybko, jak go obezwładniono, został uwolniony. Pendergast poderwał się na nogi, gotowy do walki.

Alban jednak nie zaatakował ponownie. Cofnął się tylko, raz jeszcze zaplatając ramiona na piersiach.

Pendergast zastygł w bezruchu i stali tak obaj, wpatrując się w siebie nawzajem jak dwa drapieżniki czekające, aż ten drugi

wykona pierwszy ruch. Wtem Alban nagle się rozluźnił.

– *Endlich* – powiedział. – Nareszcie. Możemy porozmawiać sobie od serca... jak ojciec z synem... od dawna na to czekałem.

I uśmiechnął się, skądinąd przyjaźnie.

Patrzyli na siebie nawzajem w półmroku i nie poruszali się. Pendergast stał, łapiąc oddech, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie został równie szybko i skutecznie pokonany. Alban kompletnie go zaskoczył – zatrzymał się, jakby wiedział, że Pendergast go dogoni, a potem zaledwie w parę sekund zastawił na niego pułapkę i zrealizował swój plan z nadzwyczajnym powodzeniem.

Nie odrywając wzroku od syna, otrzepał się i czekał, aż Alban się odezwie. Wypatrywał dogodnej okazji, bo wciąż miał przy sobie zapasowy pistolet i kilka innych sztuk broni. Chłopak już mu nie ucieknie.

– Niesamowite, prawda? – zaczął Alban. – Oto stoimy twarzą w twarz. – Głos miał spokojny, melodyjny. W przeciwieństwie do brata nie wykazywał ani śladu akcentu, a jednak mówił z lekką nadprecyzją osoby, dla której angielski jest drugim językiem. – Pisane nam było się spotkać. Tak jak wszyscy synowie powinni poznać swoich ojców.

– A co z ich matkami? – zapytał Pendergast. To pytanie nie zaskoczyło Albana. Mówił dalej:

– Test osiągnął kluczową fazę. Pozwól, że pogratuluję ci rozwiązania mojej małej łamigłówki. I pomyśleć, że wątpiłem, iż ci się to uda. Przepraszam.

– Lubisz mówić – rzekł Pendergast, a kątem oka dostrzegł błysk czterdziestki piątki leżącej w trawie jakieś trzy metry na lewo od niego.

Alban zaśmiał się.

– Owszem, tak.

Postąpił krok w prawo, a potem jeszcze jeden, skutecznie uniemożliwiając Pendergastowi dostęp do broni. Choć miał zaledwie piętnaście lat, wydawał się dużo starszy, silny i przeraźliwie szybki. Pendergast zastanawiał się, czy chłopak był wyszkolony w sztukach walki. Jeżeli tak, wątpił, aby mógł go pokonać w bezpośrednim starciu.

– Dlaczego...?

– Zabijam? Jak powiedziałem, to rodzaj testu.

– Opowiedz mi...

– O teście? To proste. Przynajmniej po części chodzi o to, który z nas jest lepszy: ty czy ja. – Wyciągnął ręce w stronę Pendergasta. – Podobnie jak ty jestem nieuzbrojony. I oto jesteśmy tutaj, stojąc naprzeciw siebie jak równy z równym. Choć to trochę nie fair, bo ty jesteś stary, a ja młody. Dlatego dam ci fory.

Pendergast czuł, że zbliża się właściwy moment, dogodna chwila, by przejść do działania. Przygotował się mentalnie, odtwarzając w myślach choreografię ruchów. Wtedy jednak, zaledwie na kilka sekund przed wykonaniem przez niego pierwszego ruchu, jedna z rąk Albana sięgnęła pod marynarkę Pendergasta i zdumiewająco szybko, prawie niedostrzegalnie odebrała mu zapasowy pistolet. To się stało tak błyskawicznie, że zanim Pendergast zareagował, Alban był już w posiadaniu pistoletu.

– Ups. – Obejrzał broń, walthera PPK .32, i parsknął. – To ta częśćka ciebie, której bym się nie domyślił. Romantyk z ciebie, prawda, ojczy?

Pendergast cofnął się o krok, ale równocześnie Alban postąpił naprzód, utrzymując pomiędzy nimi stałą odległość niespełna półtora metra. Chłopak wciąż trzymał w dłoni walthera, opierając kciuk na dźwigience bezpiecznika.

– Po co ten test? – spytał Pendergast.

– Ach! O to tu chodzi, prawda? W tym właśnie rzecz, czyż nie? Po co napuszczać mnie na ciebie? To doprawdy dziwne. A jednak tak

wiele od tego zależy.

Nagle Alban przerwał i cofnął się o krok, a jego arogancka postawa niespodziewanie się zachwiała.

– Czy to dlatego...?

– Nazywam to testem beta? Tak.

Po chwili Alban się rozluźnił i znów uśmiechnął. Następnie wyjął z walthera magazynek, wyłuskał kciukiem naboje jeden po drugim, pozostawiając w nim tylko ostatni. Wbił magazynek do kolby i przeładował broń, wprowadzając ostatni nabój do komory, po czym zwolnił bezpiecznik. Potem oddał pistolet Pendergastowi, trzymając broń zwróconą kolbą do przodu.

– Proszę. Fory, o których mówiłem. Jeden nabój w komorze. Teraz ty masz przewagę. Przekonajmy się, czy jesteś w stanie pochwycić mnie i zatrzymać. Jedną kulą.

Pendergast wymierzył pistolet w Albana. Nie chciał – nie mógł go zabić – nie teraz, musiał poznać motywy działania swojego syna, jego relacje z Przymierzem, to bardzo ważne. Jednak chłopak był tak silny i szybki, że nawet w tej chwili mógł mu uciec.

Konieczny będzie strzał w kolano.

Niemal niedostrzegalnym ruchem opuścił lufę pistoletu i strzelił, lecz Alban zareagował tak szybko – zanim jeszcze jego ojciec zrealizował swój zamysł – że kula chybiła celu, rozrywając tylko materiał jego spodni.

Chłopak zaśmiał się, opuszczając rękę i wtykając palec do dziury w nogawce na wysokości kolana.

– Mało brakowało! No, no! Ale to nie wystarczy. Jak to się mówi? Tym razem to ja cię pokonałem.

Błyskawicznie się cofnął, sięgnął ręką w gąszcz traw i podniósł czterdziestkę piątkę Pendergasta.

– Znasz *Króla olszyn* Goethego?

– W przekładzie owszem, tak.

– *Schön!* Na pamięć?

– Tak.

– Wyśmienicie. Powiem ci, co się teraz stanie. Odwrócisz się,

zamkniesz oczy i zaczniesz recytować ten wiersz. Pierwsze trzy wersy powinny wystarczyć. Nie, zważywszy na to, że jest już dość ciemno, zachowam się honorowo i pozwolę ci poprzestać zaledwie na dwóch pierwszych wersach. A wówczas będziesz mógł zacząć mnie szukać.

– A gdybym zechciał oszukiwać?

– Zastrzelę cię. – Blade oczy Albana rozbłysły. – Oczywiście mógłbym zastrzelić cię już teraz, ale to także byłoby oszustwo. My, Pendergastowie, nie zniżamy się do oszustwa. – Kolejny miły uśmiech. – Chcesz spróbować szczęścia?

– Mam więcej...

– Myślę, że odpowiedziałem na dostatecznie dużo pytań. A teraz ty odpowiedz: chcesz spróbować szczęścia?

– Czemu nie?

– Jeżeli otworzysz oczy wcześniej, będzie to równoznaczne z oszustwem. Wpakuję ci kulkę i umrzesz.

– Po prostu mi uciekniesz. Biegasz szybciej ode mnie. To żadne wyzwanie.

– To prawda. Mógłbym ci uciec. Ale nie zrobię tego. Podczas twojej recytacji, która nie powinna trwać dłużej niż dziesięć sekund, ukryję się gdzieś. A ty będziesz mnie musiał znaleźć, wykorzystując cały arsenał swoich możliwości i środków – błyskotliwy umysł, umiejętność skradania się, tropienia i zdolność dedukcji. Wszystko zależy od ciebie. Do dzieła! Odwróć się i zaczynamy.

Pendergast usłyszał cichy szcęk zwalnianego bezpiecznika les baera. W jednej chwili odwrócił się i zaczął recytować donośnym, dźwięcznym tonem:

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamięci?

To ojciec z dziecięciem, jak gdyby wiatr leci^[3]...

Gdy dotarł do końca drugiego wersu, błyskawicznie się odwrócił i przecesał wzrokiem opustoszały pirs.

Alban zniknął. Les baer leżał wśród trzciny, kilka metrów od niego.

Trzy godziny później Pendergast zrezygnował z poszukiwań.

– Niech to szlag – wymamrotał porucznik Vincent D’Agosta, stojąc w korytarzu hotelu Murray Hill.

Nawet tutaj słyszał nawoływania i elektroniczne odgłosy zebranych na dole przedstawicieli prasy oraz chór syren, dźwięki klaksonów i typową sieczkę codziennego nowojorskiego hałasu. Ruch uliczny na Park Avenue został wstrzymany od hotelu aż do MetLife Building, co musiało zaowocować pojawieniem się tłumu gapiów. Hotel aż dygotał od niecichnącego puch-puch-puch rotorów śmigłowców krążących powyżej, a promienie ich reflektorów omiały cały budynek. No i Pendergast zniknął.

Co mówiono o nowojorczykach i zbrodni? Uwielbiali zbrodnię, sycili się nią. „News” i „Post” od wielu dni na pierwszych stronach drukowały krzykliwe nagłówki dotyczące Hotelowego Zabójcy. A teraz jeszcze to. Uchowaj Boże, aby współczynnik przestępczości spadł do zera: większość gazet w tym mieście zbankrutowałyby.

Oślepiające białe światło wpłynęło z pokoju 516 na korytarz i D’Agosta zobaczył cienie nielicznych postaci, które wciąż tam pracowały. Gibbs też był w środku. To nie w porządku, że agentowi koordynującemu zezwolono na wejście do pokoju, kiedy jeszcze trwało tam zbieranie materiałów dowodowych; grube ryby miały zakaz wstępu na miejsce zbrodni. Tym razem jednak agent uparł się pomimo odmowy D’Agosty. Chryste, on sam, dowódca zespołu dochodzeniowego, nie wchodził tam od chwili dokonania wstępnego odkrycia.

– Hej, gdzie z tą cholerną colą? – ryknął na specjalistę od

daktyloskopii przechodzącego korytarzem. – Przecież wiesz, że na miejsce zbrodni nie wolno wchodzić z jedzeniem ani pić!

Zrugany mężczyzna natychmiast skulił się w sobie i pokornie odmaszerował w głąb korytarza, niosąc w dłoni wilgotną, dobrze schłodzoną puszkę, lecz nie odważył się upić z niej choćby łyeczka.

D’Agosta zauważył, że kilku innych detektywów w korytarzu wymieniło między sobą spojrzenia. Był wkurzony i nie ukrywał tego. No i dobrze. Miał to gdzieś. Cała ta sprawa z Pendergastem napędziła mu niezłego stracha i w dodatku agent zniknął bez słowa. Jakby się rozplątał w powietrzu. Wraz ze sprawcą. I ta szalona teoria, jakoby zabójcą miał być jego syn, chociaż nie pomylił się co do daty, miejsca i czasu. To był strzał w dziesiątkę.

D’Agosta przeżył wiele dziwnych wypraw z Pendergastem, ale ta okazała się najdziwniejsza ze wszystkich. Był szczerze i głęboko wstrząśnięty. Co więcej, wciąż jeszcze nie tak stara rana w klatce piersiowej dawała mu mocno popalić. Sięgnął do kieszeni po advil i połknął parę pigułek.

– Hej, kto ci pozwolił pakować się tutaj, jakby to było twoje mieszkanie? – krzyknął do technika w białym kitlu, który właśnie przeszedł pod taśmą zabezpieczającą miejsce zbrodni. – Trzeba się najpierw wpisać, na miłość boską!

– Tak, panie poruczniku, ale pan wie, że się wpisywałem. Byłem tylko w toalecie.

Jego uśmiech został zgaszony przez szorstki głos D’Agosty:

– Wpisz się jeszcze raz!

– Tak jest!

D’Agosta odwrócił się i nagle zobaczył Pendergasta. Jego chuda, wysoka postać zmaterializowała się na drugim końcu korytarza. Gdy agent podszedł szybkim krokiem, D’Agosta poczuł w żołądku niepokojący ucisk. Musiał pomówić z nim, dowiedzieć się czegoś więcej o jego domniemanym synu. Zszokował go wyraz twarzy Pendergasta – malowało się na niej surowe, niepohamowane napięcie. Agent wydawał się bliski obłędu. A jednak oczy miał czyste i nieskażone szaleństwem.

– Gdzie byłeś? – zapytał D’Agosta.

– Ścigałem zabójcę aż do rzeki. Uciekł mi przy pirsie.

– Ścigałeś go?

– Właśnie opuszczał pokój, kiedy się zjawiłem, wymknął się wyjściem pożarowym. Nie było czasu. Ruszyłem za nim w pościg.

– I jesteś pewien, że... to twój syn? Pendergast spojrzał na niego.

– Jak już wcześniej wspomniałem, ta informacja musi pozostać między nami.

D’Agosta przełknął ślinę. Intensywność spojrzenia Pendergasta zbiła go z tropu i zdeprymowała.

– Jeżeli dysponujesz ważną informacją, powinniśmy podzielić się nią z.

Wyraz twarzy Pendergasta stał się wyraźnie wrogi.

– Vincencie, jestem jedyną osobą, która może schwytać tego zabójcę. Nikt inny nie zdoła tego dokonać. Prawdę mówiąc, wszelkie próby ze strony innych osób tylko pogorszą całą sytuację. Wobec tego musimy zachować tę informację dla siebie. Przynajmniej na razie. Rozumiesz?

D’Agosta nie mógł się zmusić, aby odpowiedzieć. Rozumiał. Jednak zatajenie informacji, zwłaszcza o potencjalnej tożsamości zabójcy. Takich rzeczy się nie robi. Choć z drugiej strony, hipoteza, jakoby zabójcą miał być syn Pendergasta – i to, że on w ogóle miał syna – zakrawała na szaleństwo. Ten człowiek najwyraźniej popadał w coraz większą paranoję. Może jednak powinni zataić tę informację. Nie miał pojęcia, co robić.

– Proszę, proszę, toż to sam agent Pendergast.

Z hotelowego pokoju wyłonił się nagle agent Gibbs. Podeszedł, wyciągając rękę, a na jego twarzy pojawił się wyjątkowo nieszczerzy uśmiech. Pendergast uściśnął jego dłoń.

– Wygląda, jakby brał pan udział w bójce – powiedział Gibbs, chichocząc i przyglądając się ubłoconemu garniturovi Pendergasta.

– W rzeczy samej.

– Ciekawi mnie – ciągnął Gibbs – jakim cudem pan i porucznik dotarliście na miejsce zbrodni zaledwie kilka minut po przybyciu

tam sprawcy. Porucznik wspomniał, że to był pański pomysł, coś związanego z jakimś ciągiem liczbowym?

– Ciągiem Fibonacciego – odparł Pendergast. Gibbs zmarszczył brwi.

– Jakiego Fibonacciego? Kim jest ten Fibonacci?

– Leonardo Fibonacci – wyjaśnił Pendergast – był średniowiecznym matematykiem. I, ma się rozumieć, Włochem.

– Włochem. No jasne.

– Przeanalizowałem wszystkie dowody numeryczne towarzyszące zabójstwom i odkryłem, że adresy hoteli tworzą pewien ciąg: Czterdziesta Piąta Wschodnia numer pięć, Pięćdziesiąta Zachodnia numer osiem, Central Park West numer trzynaście. Pięć, osiem, trzynaście. To część ciągu Fibonacciego, w którym każda kolejna liczba jest sumą dwóch poprzednich. Następną liczbą w ciągu będzie dwadzieścia jeden. Odkryłem, że na Manhattanie jest tylko jeden hotel mający w adresie dwadzieścia jeden Murray Hill znajdujący się przy Park Avenue dwadzieścia jeden.

Gibbs słuchał z pochyloną głową i splecionymi ramionami, a na jego twarzy wciąż malowało się powątpiewanie.

– Czasy zabójstw tworzyły znacznie prostszą sekwencję, oscylując na przemian pomiędzy siódmą trzydzieści rano a dziewiątą wieczorem. To oznaka arogancji, podobnie jak pokazanie twarzy do kamery monitoringu, jakbyśmy byli godni pogardy i tak nieudolni, że zabójca nie musiał nawet próbować ukryć swojego dzieła.

Kiedy Pendergast zamilkł, Gibbs wywrócił oczami.

– Nie mogę się sprzeczać, jeżeli chodzi o czas śmierci ofiar. Jednak cała reszta z tym ciągiem Figo, Fido, jak mu tam, to najbardziej poroniona teoria, jaką kiedykolwiek słyszałem.

– Tak, no cóż – mruknął D’Agosta – ale się sprawdziła.

Gibbs wyciągnął notes.

– A zatem, agencie Pendergast, co się wydarzyło, kiedy pan tu przybył? Porucznik mówił, że nagle pan zniknął.

– Jak już mówiłem porucznikowi D’Agoście, wszedłem prosto do pokoju i zobaczyłem, że okno w łazience jest wybite i otwarte.

Sprawca schodził po drabince pożarowej. Ruszyłem za nim w pościg i dotarłem aż do rzeki, gdzie zgubiłem go w okolicy starych pirsów.

Gibbs zanotował to i owo.

– Dobrze mu się pan przyjrzał?

– Nie lepiej niż kamery monitoringu.

– Nie powie mi pan nic więcej?

– Obawiam się, że nie. Poza tym, że diabelnie szybko biega.

D'Agosta nie mógł uwierzyć: Pendergast naprawdę zatajał ważną informację. Co gorsza, robił to podczas dochodzenia, nad którym to on sprawował pieczę. Coraz trudniej mu było w tej sytuacji podzielać postawę lekceważenia procedur i ogólnej niefrasobliwości wobec prawa, jaką prezentował Pendergast. Gibbs zamknął notes.

– To ciekawe, że wybrał akurat taką norę. Wskazuje to jednak na postępującą zmianę jego modus operandi. To typowa cecha dla tego rodzaju seryjnych zabójców. Najpierw zabijają w okolicy, gdzie czują się bezpiecznie, a potem rozszerzają granice terytorium, stają się coraz śmielsi. Przesyłają nam listy.

– Co pan nie powie – mruknął Pendergast.

– Tak właśnie powiem. Co więcej, uważam, że to znaczący sygnał. Najpierw zabił w Marlborough Grand, w Vanderbilt i Royal Cheshire. To same pięciogwiazdkowe hotele. Odnoszę wrażenie, że sprawca wywodzi się z zamożnej, uprzywilejowanej rodziny. Zaczął tam, gdzie czuł się swobodnie, a potem w miarę jak rosła jego pewność siebie, stał się coraz bardziej śmiały, stacza się coraz niżej, do rynsztoka, że tak powiem.

– Wybrał ten hotel – odezwał się łagodnym tonem Pendergast – tylko z jednego powodu, ponieważ jako jedyny na Manhattanie ma w swoim adresie liczbę dwadzieścia jeden. Nie ma to nic wspólnego z tym, gdzie się wychowywał, ani z jego skłonnością do autodestrukcji. Nie stacza się też do żadnego rynsztoka. Gibbs westchnął.

– Agencje specjalny Pendergast, czy zechciałby pan trzymać się swojej specjalności i pozostawić tworzenie profilu psychologicznego zabójcy ekspertom?

– A co to za eksperci? Gibbs popatrzył na niego.

Pendergast spojrział na otwarte drzwi pokoju 516: na cienie tych, którzy tam pracowali, poruszające się na przeciwległej ścianie korytarza w świetle rozstawionych na miejscu zbrodni reflektorów.

– Czy słyszał pan o platońskiej alegorii jaskini?

– Nie.

– W obecnej sytuacji mogłoby to wydać się panu adekwatnym i odkrywczym porównaniem. Bardzo starannie przestudiowałem pańską ekspertyzę profilu psychologicznego tak zwanego Hotelowego Zabójcy. Jak sam pan stwierdził, powstała ona na podstawie zestawienia i prawdopodobieństwa, przy założeniu, że ten zabójca jest taki jak inni z jego kategorii. Jednak prawda jest taka, że ten zabójca zupełnie wykracza poza waszą krzywą dzwonową. Nie pasuje do waszych przypuszczeń ani nie odpowiada żadnym waszym ustaleniom. To, co robicie, jest nie tylko niedopuszczalną stratą czasu, ale przede wszystkim hamowaniem całego dochodzenia. Wasza dziecinna analiza nieuchronnie sprowadza śledztwo na manowce i być może to właśnie było celem zabójcy.

D'Agosta zeszywniał.

Gibbs spojrział na Pendergasta, a potem zrównoważonym tonem powiedział:

– Od początku zastanawiałem się, co, u licha, robi pan przy tym dochodzeniu. W co pan pogrywa. Przejrzeliśmy w Zespole Nauk Behawioralnych pańskie akta i nie jesteśmy pod wrażeniem. Widzieliśmy tam najróżniejsze przejawy dziwnych i niewyjaśnionych zachowań. Tajemnicze urlopy, śledztwa wewnętrzne, nagany. Dziwię się, że jeszcze pana nie wylali. Mówi pan o utrudnianiu dochodzenia, o hamowaniu śledztwa. Jedynym utrudnieniem, jakie tu widzę, jest pańska dokuczliwa obecność. Pozwolę sobie pana ostrzec, agencie Pendergast, że nie zamierzam znosić dłużej pańskich gier.

Pendergast pochylił głowę w wyrazie milczącego przyzwolenia. Ale po chwili ciszy odezwał się:

– Agencie Gibbs?

– Tak, co znowu?

– Zauważyłem krew na pańskim lewym bucie. Taką małą plamkę. Gibbs wlepił wzrok w swoje stopy.

– Co? Gdzie?

Pendergast pochylił się, przesunął palcem wzdłuż krawędzi podeszwy i kiedy odwrócił palec, widniał na nim czerwony ślad.

– Niestety, ten but będzie musiał zostać zarekwirowany jako materiał dowodowy. Obawiam się, że konieczne będzie także sporządzenie raportu o pańskim nieprofesjonalnym zachowaniu na miejscu zbrodni. Niestety takie są procedury, a porucznik z pewnością przyzna mi rację.

Pendergast machnął ręką, przywołując do siebie technika z torebką foliową na materiały dowodowe.

– Agent specjalny Gibbs przekaże panu teraz swój but. Wielka szkoda, bo jak zauważyłem, to ręcznie robione, marki Testoni, bez wątplenia będzie to bolesna strata dla pana Gibbsa, biorąc pod uwagę jego skromne zarobki.

Po chwili D'Agosta był świadkiem, jak Gibbs kuśtyka przez korytarz w jednym bucie i mając na drugiej stopie tylko skarpetkę. To zabawne, ale on nie zauważył żadnych śladów krwi na bucie agenta.

– W tych czasach na miejscu zbrodni trzeba zachować szczególną ostrożność – mruknął pod nosem stojący obok niego Pendergast.

D'Agosta nic nie odpowiedział. Już wkrótce coś się wydarzy i nie będzie to nic przyjemnego.

39

Był chłodny, szary, dżdżysty poniedziałkowy poranek, auta stojące rzędami na parkingu wyglądały jak kłody drewna, zmatowiały w słabym świetle i ze strużkami deszczu ściekającymi po karoseriach. Minęła dopiero jedenasta, ale zapowiadało się, że dzień nie będzie udany pod względem sprzedaży, i Corrie było w to graj. Wraz z pozostałymi sprzedawcami siedziała w sali klubowej, gdzie wszyscy popijali marną kawę i zabijali czas, czekając na pojawienie się klientów. Poza nią przebywało tam czterech innych sprzedawców – sami mężczyźni. Joego Ricca ani jego syna, Joego Ricca juniora, nie było w pobliżu, więc sprzedawcy wydawali się rozluźnieni.

Przez ostatnie dwa dni Corrie zdołała ich poznać i uznała, że są skończonymi dupkami, kompletnymi kretynami. Z wyjątkiem Charliego Foote'a, o którym wspominał jej ojciec. Młodszy od pozostałych i odrobinę nieśmiały, prawie nie udzielał się w niewybrednych sztubackich wygłupach. W przeciwieństwie do innych ukończył college i był najlepszym sprzedawcą w grupie, najwyraźniej coś w jego łagodnym głosie i przesadnie skromnym zachowaniu przyciągało klientów niczym magnes.

Jeden ze starszych sprzedawców brylował, opowiadając świński dowcip, a Corrie udała, że się zaśmiewa do rozpuku. Upiła łyk kawy, dosypała kolejną porcję sztucznej śmietanki, aby zabić gorzki posmak i powiedziała:

– To dziwne – prawda? – że zastąpiłam sprzedawcę o takim samym nazwisku.

Skierowała te słowa do faceta, który właśnie opowiedział niesmaczny żart. Nazywał się Miller. Był prawdziwym kpiarzem i Corrie musiała nieźle udawać, że bawią ją jego przasne dowcipy. Podesłała mu nawet jednego dzianego klienta, stwarzając pozory, że potrzebuje porady, i pozwoliła mu zatrzymać prowizję od transakcji. Miller w pewnym sensie wziął ją pod swoje skrzydła, bez wątpienia mając nadzieję na coś więcej. Zaczął nawet wspominać o wyjściu do baru, do którego często zaglądał po pracy i gdzie serwowano wyborne margarity. Nie zamierzała pozbawiać go żałosnych złudzeń, że mogłaby pójść z nim do łóżka, przynajmniej dopóki mogła coś na tym zyskać.

– Tja – mruknął Miller, zapalając papierosa. Wolno było palić tylko poza budynkiem salonu.

Jednak Joe Ricco palił i nikt nie miał nic przeciw temu. Miller był masywnym, krótko ostrzyżonym rudzielcem z trzema fałdkami tłuszczu wokół szyi, potężnym mięśniem piwnym, szerokimi wargami i spłaszczonym nosem. Ten wygląd udawało mu się nieco złagodzić drogim garniturem. Wszyscy dobrze się ubierali. Dni, kiedy mówiący z prędkością karabinu maszynowego sprzedawcy nosili poliestrowe gajerki, nieodwracalnie przeminęły, pomyślała Corrie.

– Jaki on był? – zapytała. – Ten Jack Swanson?

Miller wydmuchał dym.

– Był dupkiem.

– Naprawdę? Więc dlatego został wylany? Miller parsknął w głos.

– Nie. Facet obrobił bank.

– Co takiego? – Corrie udała zdziwienie.

– Miller, daj spokój, mieliśmy nie rozmawiać o tym w pracy – rzucił inny sprzedawca nazwiskiem Rivera.

– Chrzanić to – wycedził Miller. – Nie ma tu żadnych klientów. A ona i tak w końcu o tym się dowie.

– Obrabował bank! – powtórzyła Corrie, aby podtrzymać temat rozmowy. – Jak?

Millera najwyraźniej też to rozbawiło.

– Ten gość to był idiota. Sprzedawał niewiele aut, zarabiał marne grosze z prowizji, więc któregoś dnia pożyczył cadillaca STS z parkingu, pojechał do najbliższego banku, miejscowej filii Delaware Trust, wszedł do środka i obrobił go.

Znów głośny rechotliwy śmiech.

– Skąd wiadomo, że to on? – zapytała Corrie.

– Po pierwsze wóz był z naszego salonu, miał nasze tablice. Po drugie facet nosił ten sam co zwykle tandetny garnitur, po którym można rozpoznać nas wszystkich. No i sam Ricco widział go, jak wyjeżdżał z parkingu.

Ciche potaknięcia.

– Po trzecie na zagłówniku znaleziono jego włos.

– No to jasna sprawa – skwitowała Corrie.

Nagle sposepniała. To będzie nie lada przeprawa, zakładając, że jej ojciec naprawdę był niewinny.

– To nie wszystko – ciągnął Miller. – Znaleźli jeszcze odciski jego palców na kartce papieru, którą gość podał kasjerowi.

To nagle zaczęło wyglądać aż nazbyt przekonująco.

– I teraz facet siedzi w pudle?

– Nie. Gość zniknął. Wciąż go szukają. Corrie odczekała jedno uderzenie serca.

– A właściwie czemu uważacie go za dupka? Miller znów zaciągnął się dymem i wydmuchnął go przez nos, patrząc na nią.

– Bardzo cię to interesuje, dlaczego?

– No bo w końcu nosimy to samo nazwisko. Skinienie głowy.

– Jak już powiedziałem, gość miał marną sprzedaż. I nie chciał działać zgodnie z programem.

– Z programem?

– Mamy tu pewną taktykę prowadzenia tego biznesu.

– Czy powinnam poznać ten program?

Miller zgasił niedopałek, wstał i spojrzał w stronę salonu, do którego weszło właśnie dwoje ludzi, składając mokre parasole. Mężczyzna trzymał w dłoni szarą teczkę.

– Zaraz się przekonasz. W tak paskudny dzień jak dziś każdy, kto

tu wchodzi, to nabywca. Chodź ze mną. – Mrugnął do niej, błędząc wzrokiem po jej biuście.

Kiedy podeszli, Miller powitał parę uprzejmie, cichym, łagodnym tonem. Przedstawił Corrie jako sprzedawczynię na stażu i poprosił ich o zezwolenie, aby uczestniczyła przy rozmowie. To był miły gest i tamci się zgodzili.

– Może otrzyma swoją pierwszą prowizję od sprzedaży – powiedział Miller. – A równie dobrze może być to dla niej ostatni dzień w tej robocie. Prawda, Corrie?

– Prawda! – odparła wesoło.

Przyjrzała się uważnie parze klientów. Mężczyzna był prawie na pewno lekarzem, miał niewiele czasu i przywykł do podejmowania szybkich decyzji. Jego żona, chuda i nerwowa, ubrana w dres, chciała czarnego escalade. Jej mąż bez zbędnych wstępów rozpoczął przygotowany wcześniej monolog. Spędził wiele godzin, serfując po internecie. Znalazł już na parkingu samochód, o który mu chodzi. Miał długą listę oferowanego wyposażenia dodatkowego, którą wydrukował, znał cenę proponowaną i był skłonny zapłacić dwieście dolarów więcej. Gdyby nie zdołali dogadać się od razu, na sugerowanych przez niego warunkach, był gotów wybrać się do innego salonu, tego w sąsiednim miasteczku, gdzie w ofercie mieli niemal identyczny model auta. I jeszcze jedno: nie życzył sobie żadnej fabrycznej ochrony, zabezpieczenia przed rdzą czy innych tego typu pakietów służących wyciąganiu kasy od frajerów. Tylko samochód.

Doktor przerwał lekko zasapany. Było to dla niego pewnie równie stresujące co wezwanie na szpitalny oddział ratunkowy do nagłego przypadku, pomyślała Corrie. Zastanawiała się, jak to rozegra Miller.

Ku jej zdziwieniu nie przeszedł do kontraktacji. Nie wdał się w negocjacje ani nie próbował przedstawić doktorowi kontrproponcji. Wręcz przeciwnie, komplementował go, że zadał sobie tyle trudu, aby przeprowadzić gruntowną analizę, wyraził opinię, że również on sam skłaniałby się ku przeprowadzeniu prostej, szybkiej transakcji, nawet gdyby wiązał się z nią niewielki

profit. Sprzedaż to sprzedaż. Oczywiście nie był pewien, czy będzie możliwa sprzedaż samochodu po tak zaniżonej cenie, ale skonsultuje się w tej sprawie z właścicielem salonu. Czy doktor zamierza zapłacić gotówką, czy woli rozłożyć spłatę na raty?

Doktor wolał raty. Dziesięć tysięcy płatne z góry, reszta w dogodnych ratach.

Miller wziął od niego numer ubezpieczenia społecznego i inne dane niezbędne do zawarcia umów ratalnych. Zaprowadził doktora i jego żonę do luksusowej poczekalni, poczęstował ich kawą, a następnie wrócił do swojego kantorka w towarzystwie nieodstępującej go ani na krok Corrie. Patrzyła mu przez ramię, gdy wpisywał do komputera dane doktora, aby sprawdzić jego zdolność kredytową, a potem zaczął sporządzać dokumenty umowy.

– Nie musisz zapytać o pozwolenie pana Ricca? – zapytała.

– O nic go nie muszę pytać – uciął Miller.

– I naprawdę zamierzasz sprzedać im to auto za cenę, jakiej zażądali?

Miller się uśmiechnął.

– Jasne.

– Ale jaki masz z tego zysk? Bo przecież dwieście dolców to żaden profit ze sprzedaży.

Miller cały czas przygotowywał umowę, w końcu złożył podpis na dole strony teatralnym gestem.

– Cel można osiągnąć na różne sposoby – powiedział.

– Na przykład?

– Patrz i się ucz.

Weszła za nim do poczekalni. Machnął trzymanymi w dłoni dokumentami.

– Wszystko załatwione – zwrócił się do czekającej pary. – Szef, pan Ricco, zaaprobował transakcję, choć powiem, że nie było łatwo. Między nami mówiąc, nie był zbytnio zachwycony. Ale jak powiedziałem, sprzedaż to sprzedaż, a w tak paskudny dzień jak dziś powinniśmy cię cieszyć, jeśli w ogóle zdarzy się jakakolwiek transakcja. Niestety pozostaje jedno „ale”: pańska zdolność

kredytowa nie kwalifikuje się do oferowanej przez nas najdogodniejszej sprzedaży ratalnej. Udało mi się jednak załatwić dla pana naprawdę wysmienitą ofertę umowy ratalnej niemal równie atrakcyjną, najlepszą w tej sytuacji...

Doktor zmarszczył brwi.

– O czym pan mówi? Coś jest nie tak z moją zdolnością kredytową?

Miller uśmiechnął się do niego swobodnie.

– Ależ skąd, bynajmniej! Ma pan całkiem niezłą zdolność kredytową. Tyle tylko że nie jest ona, jak to się mówi, z najwyższej półki. Może spóźnił się pan ze spłatą jednej czy dwóch rat hipoteki albo pańska karta debetowa była nazbyt obciążana z miesiąca na miesiąc, a środki na koncie, niezbędne minimum, nie zostały przelane na czas. Takie tam drobiazgi. Proszę mi wierzyć, załatwiłem dla pana umowę ratalną na najbardziej korzystnych możliwych warunkach.

Doktor zaczerwienił się i łypnął gniewnie na żonę, która wyglądała na zbitą z tropu.

– Spóźniliśmy się ze spłatami hipoteki? Teraz to ona poczerwieniała.

– Cóż, spóźniłam się o tydzień kilka miesięcy temu.

Pamiętasz, kiedy byliśmy na wakacjach.

Doktor zmarszczył brwi i odwrócił się do Millera.

– To jaką konkretnie ratę pan nam proponuje? Nie zgodzę się na żadną wygórowaną ofertę.

– To tylko trzy czwarte punktu procentowego powyżej najkorzystniejszego oprocentowania miesięcznego. Udało mi się także wydłużyć okres spłat do siedemdziesięciu dwóch miesięcy, aby w ten sposób obniżyć wysokość miesięcznych rat do spłaty.

Miller podał wysokość miesięcznej raty, która wydała się Corrie całkiem racjonalna, zwłaszcza za wypasione esalade warte osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Zaczęła się zastanawiać, jakim cudem salon w ogóle zarabiał na sprzedaży samochodów.

Niecałe dwadzieścia minut później dobry doktorek z małżonką wyjechali z parkingu nowym autem i kiedy tylko zniknęli w oddali,

Miller zaczął się zanosić śmiechem. Wrócił do sali klubowej, nalał sobie kolejny kubek kawy i usiadł wygodnie.

– Właśnie opchnąłem doktorowi Bucowi escalade – zwrócił się do pozostałych. – Dwieście dolców powyżej ceny sugerowanej. Buc postawił sobie za cel zawrzeć pierwszorzędną transakcję. Więc ubiłem z nim pierwszorzędną transakcję.

– Niech zgadnę – odezwał się jeden ze sprzedawców – kłopoty z kredytem?

– Zgadza się. Powiedziałem mu, że jego zdolność kredytowa nie spełnia wymogów naszej najkorzystniejszej oferty i zgodził się na umowę ratalną na siedem i pół procent na okres siedemdziesięciu dwóch miesięcy!

Śmiech i potakujące skinienie głową.

– Nie bardzo rozumiem – poskarżyła się Corrie. Miller, wciąż chichocząc, powiedział:

– Czysty zysk z tej umowy sprzedaży ratalnej wynosi – ile? – osiem tysięcy dolców! Właśnie tak zarabiamy pieniądze. Na umowach sprzedaży ratalnej. To pierwsza lekcja, jeżeli chodzi o sprzedaż aut.

– Osiem tysięcy czystego zysku? – spytała.

– Czystego, nieskażonego zysku.

– Jak to działa?

Miller zgasił papierosa, zaciągnął się dymem i mówił, wydmuchując dym ustami:

– Najwyraźniej doktor Buc, zanim tu przyszedł, spędził sporo czasu, porównując oferty sprzedaży, ale nie sprawdził najważniejszej rzeczy: własnej zdolności kredytowej. Po podwyższeniu oprocentowania spłat miesięcznych umowy kredytowej o trzy czwarte punktu procentowego na okres siedemdziesięciu dwóch miesięcy przy kwocie siedemdziesięciu tysięcy otrzymujemy na czysto ponad trzy tysiące. Do tego dochodzi jeszcze podwyższone oprocentowanie opłat ratalnych. A niech to, gdyby przed przyjściem tutaj wybrał się do banku, mógłby pożyczyć te pieniądze na pięć i pół procent, może nawet mniej.

– A więc to nie była prawda, że coś nie tak z jego zdolnością

kredytową?

Miller odwrócił głowę.

– Masz z tym jakiś problem?

– Nie, nie – rzuciła pospiesznie. Kątem oka dostrzegła, że Charlie wywrócił oczami, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozdrażnienia.

– Jak dla mnie może być – dodała.

– Świetnie, bo twój poprzednik, stary Jack, miał z tym spory kłopot. Jakoś mu to wszystko nie pasowało. Nawet kiedy sprzedawał samochód, co zdarzało mu się niezwykle rzadko, dawał klientom naprawdę najlepszą ofertę spłat ratalnych. A kiedy chcieliśmy się z nim rozmówić w tej sprawie, sukinsyn zagroził, że doniesie na nas do prokuratury. Że zgłosi o przekrętach, do jakich dochodzi w tym salonie.

– To zabrzmiało poważnie. I co by się wtedy stało?

– Takie rzeczy się zdarzają. Nie są niczym niezwykłym. Ale nie doszło do tego, bo ten matoł zabrał brykę i obrobił bank. Rozwiązał problem za nas! – Odwrócił się i spojrzał na Charliego. – Co nie, Charlie?

– Wiesz, że nie lubię prowadzenia interesu w taki sposób – odrzekł półgłosem Charlie. – Prędzej czy później to się na was zemści.

– Nie pogrywaj z nami jak Jack – rzucił Miller, a ton jego głosu nagle przestał brzmieć przyjaźnie.

Charlie nic nie powiedział. Do salonu weszła kolejna para.

– Są moi – powiedział inny sprzedawca, zacierając energicznie ręce. – Umowo na siedem i pół procent, nadchodzimy!

Corrie rozejrzała się wokoło. Teraz wszystko stało się jasne. Jeden z tych ludzi wrobił jej ojca, aby powstrzymać go przed pójściem do prokuratury. Ale który? A może oni wszyscy maczali w tym palce?

40

Pod czaszką D'Agosty rozdzwonił się sygnał alarmowy, kiedy tylko dowiedział się, że Glen Singleton chce się z nim zobaczyć. Teraz, kiedy wszedł do zewnętrznego biura kapitana, alarm przybrał na sile. Midge Rawley, sekretarka Singletona – zazwyczaj uwielbiająca plotkować – ledwie uniosła wzrok znad komputera, kiedy do niej podszedł.

– Niech pan od razu wejdzie, poruczniku – powiedziała.

D'Agosta minął ją i wszedł do gabinetu Singletona. W jednej chwili jego obawy się potwierdziły. Singleton siedział za biurkiem, jak zawsze nienagannie ubrany. Jednak wyraz twarzy kapitana sprawił, że serce w piersi D'Agosty na moment zamarło. Singleton był chyba najbardziej prostolinijnym i uczciwym człowiekiem, jakiego D'Agosta miał okazję poznać. Ani trochę dwulicowym czy zakłamanym – można w nim było czytać jak w otwartej księdze. A D'Agosta właśnie ujrzał przed sobą człowieka borykającego się z jakimś wyjątkowo uciążliwym problemem.

– Chciał mnie pan widzieć, kapitanie? – zapytał.

– Tak. – Singleton spojrział na dokument leżący przed nim na biurku. Zlustrował go wzrokiem, po czym przewrócił stronę. – Mamy poważny kłopot, a raczej pan go ma, poruczniku.

D'Agosta uniósł brwi.

– Jako dowódca zespołu dochodzeniowego w sprawie Hotelowego Zabójcy znalazł się pan w samym centrum walki o wpływy. Pomiedzy dwoma agentami FBI. – Kapitan raz jeszcze spojrział na leżące na biurku papiery. – Otrzymałem przed chwilą oficjalną

skargę wniesioną przez agenta Gibbsa przeciwko agentowi Pendergastowi. Użala się w niej na brak współpracy, działanie na własną rękę, niechęć do koordynacji działań i inne równie poważne uchybienia. – Przerwał. – W skardze pojawia się też pańskie nazwisko. Co gorsza, niejednokrotnie.

D'Agosta nie odpowiedział.

– Wezwałem tutaj pana prywatnie z dwóch powodów. Po pierwsze, aby doradzić, żeby trzymał się pan z daleka od tego konfliktu. To sprawa FBI i proszę mi wierzyć, nie chcemy się w to mieszać.

D'Agosta poczuł, że sztywnieje jak kadet podczas inspekcji. Singleton ponownie spojrział na dokument i przewrócił kolejną stronę.

– Drugi powód, dla którego pana wezwałem, to możliwość poznania nowych faktów związanych z tą sprawą, o których może pan wiedzieć. Chcę, żeby podzielił się pan ze mną istotnymi informacjami, Wszystkimi istotnymi informacjami. Widzi pan, poruczniku, jeżeli sprawy przybiorą niekorzystny obrót, nie chciałbym być osobą, która za to wszystko beknie.

– Wszystko jest w raporcie, panie kapitanie – rzucił ostrożnie D'Agosta.

– Naprawdę? To nie jest właściwy moment na opowiadanie się po którejś ze stron, poruczniku.

W gabinecie zapadła cisza. Wreszcie Singleton westchnął.

– Vincencie, nie zawsze spotykamy się w cztery oczy. Zawsze jednak wierzyłem, że dobry z pana glina.

– Dziękuję, panie kapitanie.

– Niestety to nie jest pierwszy raz, kiedy pańska współpraca z Pendergastem stanowi uciążliwy problem. I podważa moje dobre zdanie na pana temat.

– Panie kapitanie...

– Będę szczery. W swoim raporcie agent Gibbs stwierdza otwarcie, że Pendergast zataja przed nim ważne informacje. Że nie mówi wszystkiego, co wie. – Singleton przerwał. – Gibbs wyraził głębokie

podejrzenia wobec działań Pendergasta związanych z tym ostatnim morderstwem. I wcale mu się nie dziwię. Z treści tego dokumentu wynika, że nie są tu przestrzegane standardowe procedury operacyjne. Co więcej, wszystko wskazuje, że prowadzone są pewne bliżej niewyjaśnione działania.

D'Agosta nie był w stanie wytrzymać pełnego rozczarowania spojrzenia Singletona. Wlepił więc wzrok w swoje buty.

– Wiem, że znacie się z Pendergastem od lat. Że jesteście przyjaciółmi. Mamy jednak do czynienia z naprawdę groźnym seryjnym mordercą. Od lat nie prowadziliśmy tak trudnego dochodzenia. Jest pan dowódcą zespołu operacyjnego. Nadstawia pan za to wszystko karku. Dlatego proszę się zastanowić przez chwilę, zanim pan odpowie. Czy jest coś jeszcze, cokolwiek, o czym powinienem wiedzieć?

D'Agosta uparcie milczał.

– Proszę posłuchać, poruczniku. Już raz omal nie przekreślił pan swojej kariery, a wszystko to przez Pendergasta. Nie chcę, aby to się powtórzyło. Nie ulega wątpliwości, że Gibbs łąkanie krwi i nie spocznie, aż nie zmiażdży Pendergasta. I nie obchodzi go, kto jeszcze może przy tym ucierpieć.

D'Agosta wciąż milczał. Przypomniawszy sobie chwile, kiedy ramię w ramię z Pendergastem stawiał czoło niebezpieczeństwu: czy to przerażającej istocie w Muzeum Historii Naturalnej, Pomarszczonym w mrocznych tunelach pod ulicami Manhattanu, hrabiemu Fosco i łajdakowi Bullardowi we Włoszech, czy też całkiem niedawno Judsonowi Esterhazyemu i tajemniczemu Przymierzu. A jednak z drugiej strony nie mógł się wyprzeć swoich wątpliwości co do racjonalności ostatnich poczynań Pendergasta, motywów, jakie nim powodowały, oraz kondycji psychicznej agenta. I mimowolnie przypomniał sobie słowa Laury Hayward: „Masz obowiązek przekazywać władzom wszelkie materiały dowodowe i informacje, jakimi dysponujesz, nawet najbardziej szalone czy niewygodne hipotezy. Tu nie chodzi o przyjaźń. Chodzi o schwytanie niebezpiecznego mordercy, który najprawdopodobniej znowu

zabije. Musisz zrobić to, co trzeba”.

Wziął głęboki wdech i uniósł wzrok. A potem jakby z daleka usłyszał swój głos mówiący:

– Pendergast wierzy, że mordercą jest jego syn. Singleton aż wybałuszył oczy.

– Słucham?

– Wiem, że to zakrawa na szaleństwo. Jednak Pendergast powiedział mi, że jego zdaniem za te morderstwa jest odpowiedzialny jego syn.

– A pan w to wierzy?

– Nie wiem, w co mam wierzyć. Żona Pendergasta zmarła gwałtowną śmiercią w przerażających okolicznościach. Ten człowiek jest bliski załamania nerwowego, ale trudno się dziwić, że w tej sytuacji balansuje na granicy szaleństwa.

Singleton pokręcił głową.

– Poruczniku, kiedy zapytałem o informacje dotyczące tej sprawy, chodziło mi o rzetelne informacje. – Usiadł prosto. – A ta brzmi wręcz absurdalnie. Nie wiedziałem nawet, że agent Pendergast ma syna.

– Ja również, panie kapitanie.

– Czy jest coś jeszcze, o czym chciałby mi pan powiedzieć?

– Nie, już nic. Wszystkie inne informacje zawarłem w moim raporcie.

Singleton popatrzył na niego.

– A zatem Pendergast zataił informacje. Od jak dawna pan o tym wie?

D’Agosta skrzywił się w duchu.

– Dostatecznie długo.

Singleton usiadł wygodniej na krześle. Przez chwilę żaden z mężczyzn się nie odezwał.

– Dobrze, poruczniku – powiedział w końcu Singleton. – Muszę się zastanowić nad najlepszym sposobem na załatwienie tej sprawy.

D’Agosta potulnie pokiwał głową. Czuł się fatalnie.

– Zanim pan wyjdzie, proszę pozwolić, że dam jeszcze jedną radę.

Co prawda dopiero co mówiłem, żeby się pan w to nie mieszał, nie opowiadał po żadnej ze stron. I to jest dobra rada. Jednak może nadejść taki dzień – i biorąc pod uwagę to, czego się właśnie dowiedziałem, prawdopodobnie nadejdzie on prędzej, niż się tego spodziewałem – że my wszyscy zostaniemy zmuszeni do opowiedzenia się po jednej lub po drugiej stronie. Jeżeli tak się stanie, opowie się pan po stronie Gibbsa i ZNB, a nie po stronie Pendergasta. Szczerze mówiąc, nie lubię tego człowieka, nie podobają mi się jego metody, a sprawa z jego synem pozwala przypuszczać, że facet do reszty zbzikował. Czy wyraziłem się jasno, poruczniku?

– Tak jest, panie kapitanie.

– To dobrze.

Singleton spuścił wzrok i zamknął leżący na biurku raport, dając w ten sposób do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

41

Proctor przechodził bezszelestnie przez bibliotekę, lustrując wzrokiem książki. Nie należał do moli książkowych i niemal wszystkie tytuły były mu obce. Wiele z tych pozycji napisano w obcych językach. Nie wiedział, jak ma uczyć kogokolwiek, a co dopiero dziwnego, słabego chłopaka, takiego jak Tristram. Jednak zadanie to zadanie, a Proctor znał swoje obowiązki. Musiał przyznać, że opieka nad chłopakiem nie przysparzała wielu problemów. Miał skromne potrzeby i był wdzięczny za każdy przejaw życzliwości i każdy posiłek, nawet bardzo prosty. Z początku, z uwagi na słabą znajomość języka i dziwaczne zachowanie Tristrama, Proctor podejrzewał, że chłopak jest upośledzony umyślowo, ale teraz wiedział już, że się pomylił – ten dzieciak bardzo szybko zaczął nadrabiać zaległości i pilnie się uczył.

Wzrok Proctora zatrzymał się na tytule, który rozpoznał: *Rogue Male* Geoffreya Household. Dobra książka. Bardzo dobra.

Proctor przesunął palcem po grzbiecie, wyjął książkę, a potem znieruchomiał, nasłuchując. Gospościa miała wolny wieczór. W rezydencji panowała cisza.

Ale czy na pewno?

Płynnym ruchem wsunął książkę pod pachę i odwrócił się, przepatrując półmrok panujący w bibliotece. Było zimno – Proctor nie zadawał sobie trudu, aby rozpaścić w kominku, gdy w rezydencji nie przebywał Pendergast – i większość świateł była wygaszona. Minęła dziewiąta wieczorem i wraz z nadejściem mroźnej zimowej nocy od Hudsonu powiał silny wiatr. Proctor wciąż nasłuchiwał.

Jego uszy wychwytywały odgłosy domu, głębokie, stłumione zawodzenie wiatru oraz słabe skrzywienie i pojękiwanie starej rezydencji; w powietrzu czuć było ten sam zapach co zwykle – wosku pszczelego, skóry i drewna. A jednak Proctor odnosił wrażenie, że coś usłyszał. Coś cichego, niemal bezgłośnego. Coś, co dochodziło z góry.

Wciąż poruszając się swobodnie, dotarł do drugiego końca biblioteki i odsunął nieduży dębowy panel, odsłaniając komputerową tablicę bezpieczeństwa i jarzące się diody. Wszystkie palły się na zielono, alarmy były włączone, drzwi i okna zabezpieczone, czujniki ruchu niczego nie wyłapały.

Proctor nacisnął guzik i tymczasowo wyłączył czujniki ruchu. Następnie wyszedł z biblioteki do sali przyjęć przez marmurowo sklepione przejście i stamtąd do tzw. gabinetu, kilku pokoi, w których Pendergast urządził niewielkie muzeum – eksponaty pochodziły z nieprzebranych zbiorów stryjecznego pradziadka Pendergasta, Enocha Lenga. Pośrodku pierwszego pokoju stał nieduży, lecz groźnie wyglądający dinozaur – skamielina, same kły i pazury – otoczony rzędami gablot, w których znajdowały się rozmaite dziwaczne i pozaziemskie okazy, od czaszek, przez diamenty, meteoryty, po wypchane ptaki.

Stąpał gładko i swobodnie, ale nie był spokojny. Proctor miał coś w rodzaju wewnętrznego radaru, wyćwiczonego przez lata służby w siłach specjalnych, i teraz ten radar się włączył. Nie wiedział, co było tego powodem – nie potrafił podać konkretnej przyczyny. Wszystko wydawało się należycie zabezpieczone. To był instynkt.

A Proctor nigdy nie ignorował głosu instynktu.

Wszedł po schodach na piętro. Wyminął nadżartego przez mole wypchanego szympansa bez warg, zlustrował wzrokiem drzwi po jednej i drugiej stronie korytarza. Wszystko pozamykane. Przez moment patrzył na obraz przedstawiający jelenia rozszarpywanego przez wilki, po czym ruszył dalej.

Wszystko było w porządku.

Wrócił na parter, udał się znów do biblioteki i na nowo włączył

czujniki ruchu. Zabrał książkę *Rogue Male* i usiadł w fotelu ustawionym strategicznie w stronę lustra na przeciwległej ścianie, dzięki czemu mógł stamtąd obserwować całą bibliotekę i salę przyjęć.

Otworzył książkę i udał, że czyta.

Postawił w stan gotowości wszystkie swoje zmysły, zwłaszcza powonienie. Proctor miał nadludzko czuły węch, prawie jak jelen. Nikt się nigdy tego nie spodziewał i ten dar niejednokrotnie już uratował mu życie.

Minęło pół godziny i nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Uznał, że to musiał być fałszywy alarm. A jednak – ponieważ nie przywykł do zakładania czegokolwiek z góry – zamknął książkę, ziewnął i podszedł do ukrytego w regale wejścia do windy, którą można było dostać się do piwnic. Wsiadł do kabiny, zjechał na dół i przeszedł wąskim podziemnym korytarzem z litego kamienia, gdzie ściany pokrywał osad saletry, plamy wilgoci i wapno.

Skręcił za róg, bezszelestnie wślizgnął się do niszy w ścianie i czekał.

Nic.

Powoli wziął głęboki wdech, jego nos badał prądy powietrza. Nie wyczuł jednak żadnego ludzkiego zapachu, dziwacznych zawirowań czy niespodziewanego ciepła, nic poza chłodem wilgoci.

Teraz Proctor poczuł się trochę ogłupiały. To ta izolacja, narzucona mu rola obrońcy i nauczyciela, do której nie przywykł, sprawiły, że zrobił się spięty i zdenerwowany. Nikt nie mógł go śledzić. Ukryte przejście w regale zasunęło się za nim i nie otworzyło ponownie. Winda pozostała na poziomie piwnic, nikt nie przywołał jej na parter. Nawet gdyby ktoś był na parterze, nie mógłby dotrzeć za nim do podziemi.

Stopniowo pośród tych myśli sygnał alarmowy w jego mózgu zaczął słabnąć. Proctor mógł bezpiecznie zejść do niższych piwnic.

Kiedy dotarł korytarzem do małego kamiennego pokoju, nacisnął herb Pendergastów; ukryte drzwi otworzyły się. Przeszedł przez nie i zaczekał, aż znowu się zamkną. Następnie zszedł po długich

krętych schodach i zaczął przechodzić przez liczne dziwne pomieszczenia tworzące niższy poziom podziemi pełen szklanych słoików, butwiejących gobelinów, zasuszonych owadów, leków i innych dziwacznych zbiorów Enocha Lenga. Szybkim krokiem dotarł do ciężkich, obitych żelazną taśmą drzwi prowadzących do kwatery Tristrama.

Chłopak czekał na niego cierpliwie. Cierpliwość była jedną z jego podstawowych zalet. Potrafił siedzieć sztywno w całkowitym bezruchu, nic nie robiąc, przez wiele godzin. Tę umiejętność Proctor podziwiał.

– Przyniosłem ci książkę – oznajmił.

– Dziękuję! – Chłopak wstał i z wielką gorliwością wziął od niego książkę, obejrzał ją i obrócił w dłoniach. – O czym jest?

Proctor poczuł nagły przypływ powątpiewania. Czy to faktycznie właściwa książka dla kogoś, kto ma brata seryjnego zabójcę? Wcześniej nie przeszło mu to przez myśl. Odchrząknął.

– O człowieku, który tropi i próbuje zabić dyktatora. Zostaje schwytany i ucieka. – Przerwał. Jego opis nie brzmiał zbyt zachęcająco. – Przeczytam ci pierwszy rozdział.

– Poproszę! – Tristram usiadł na łóżku, czekając.

– Przerwij mi, gdyby pojawiły się jakieś słowa, których nie rozumiesz. A kiedy skończę, porozmawiamy o tym rozdziale. Jeżeli będziesz miał jakieś pytania, nie wahaj się ich zadać.

Proctor usiadł na krześle, otworzył książkę i zaczął czytać:

– „Nie mogę mieć im tego za złe. Bądź co bądź nie potrzebujesz lunety, aby zastrzelić niedźwiedzia czy też dzika...”.

Wtem Proctor wyczuł coś za sobą, czyjaś obecność. Odwrócił się i poderwał na nogi, sięgając jedną ręką po broń, ale postać zniknęła w ciemnościach korytarza, zanim zdążył dotknąć pistoletu. Jednak w jego umyśle pozostał zarejestrowany bardzo wyraźnie obraz dostrzeżonej przed chwilą twarzy. To było oblicze Tristrama, ale bardziej zacięte, o ostrzejszych rysach.

Alban.

Gabinet specjalnego agenta nadzorującego Petera S. Joyce'a był jednym z bardziej zagraconych w wielkim budynku przy Federal Plaza 26. Na półkach stały rzędy książek o historii Ameryki, kryminalistyce, prawie karnym i marynistyce, na ścianach wisiały zdjęcia jego wysłużonego jedenastometrowego słupa Burden of Proof. Biurko Joyce'a jednak pozostawało całkiem puste, jak pokład statku uprzątnięty przed nadejściem sztormu. Przez jedyne okno widać było spowity mrokiem nocy Dolny Manhattan. Joyce słyszał z tego, że lubi pracować do późna i zawsze najcięższą robotę zostawia sobie na koniec.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. – Proszę – powiedział Joyce.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł agent specjalny Aloysius Pendergast. Delikatnie zamknął za sobą drzwi, po czym postąpił naprzód i zajął miejsce na jedynym krześle stojącym przed biurkiem Joyce'a.

Joyce poczuł lekkie rozdrażnienie, że przybyły usiadł, nie zaczekawszy na zaproszenie, ale stłumił to w sobie. Miał ważniejsze rzeczy do powiedzenia.

– Agencie Pendergast – zaczął. – W ciągu trzech lat, odkąd zostałem przeniesiony do nowojorskiego biura terenowego, tolerowałem pańskie... ee... niekonwencjonalne zachowanie jako agenta, niejednokrotnie wbrew radom innych. Nieraz wstawiałem się za panem, wspierając pańskie metody działania, podczas gdy inni woleliby wezwać pana na dywanik. Robiłem to z wielu różnych powodów. Nie jestem zwolennikiem ścisłego przestrzegania

procedur. Nie przepadam za szerzącą się w FBI biurokracją. Bardziej interesują mnie wyniki, a pod tym względem rzadko mnie pan rozczarowywał. Może pan być niekonwencjonalny, ale jest pan również piekielnie efektywny. Pańskie doświadczenie wojskowe wygląda naprawdę imponująco, przynajmniej z tego, co miałem okazję widzieć, przeglądając nieujawnione raporty w pańskich aktach. No i jest tam jeszcze wyjątkowo pochlebna opinia napisana przez świętej pamięci Michaela Deckera, jednego z najliczniej odznaczonych i najbardziej zasłużonych agentów, jacy w ostatnich latach pełnili służbę w naszych szeregach. Często powracam myślami do tej pochwały, kiedy na moje biurko trafiają kolejne skargi na pańskie zachowanie.

Joyce wychylił się do przodu, oparł przedramiona o blat biurka i złączył koniuszki palców obu dłoni.

– Teraz jednak, agencie Pendergast, zrobił pan coś, czego nie mogę zignorować i czego nie będę tolerował. Posunął się pan za daleko.

– Mówi pan o formalnej skardze agenta Gibbsa? – spytał Pendergast.

Jeżeli te słowa zaskoczyły Joyce'a, nie dał tego po sobie poznać.

– Tylko po części. – Zawahał się. – Nie przepadam za agentem Gibbsem ani za ZNB. Jego twierdzenie, jakoby działał pan na własną rękę, odmawiał koordynowania działań, odbiegał od standardowych procedur i unikał współpracy z zespołem, nie stanowią dla mnie podstawy do poczynienia względem pana stosownych kroków. – Machnął lekceważąco ręką. – Jednak inne oskarżenia są znacznie poważniejsze. Na przykład włączył się pan w tę sprawę, nie czekając na oficjalne pozwolenie. Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że Gibbs został przydzielony do tej sprawy tylko dlatego, że policja nowojorska zwróciła się o pomoc bezpośrednio do ZNB. Nie współpracuje pan z Zespołem Nauk Behawioralnych, pańskie powody zainteresowania tą sprawą są niejasne, a trud, jaki pan sobie zadał, aby otrzymać ten przydział, musiał wiązać się z nadeptaniem paru osobom na odciski. Ale i to byłbym ostatecznie skłonny zignorować. Nie mogę jednak przymknąć oka na

najbardziej rażące pogwałcenie zasad.

– Czyli? – zapytał Pendergast.

– Zatajenie informacji o kluczowym znaczeniu dla sprawy.

– Czy mogę wiedzieć, o jakiej informacji mowa?

– Że Hotelowy Zabójca to pański syn. Pendergast zeszywniał.

– Gibbs podejrzewał, że zataja pan jakąś informację, agencie Pendergast. Policja nowojorska to potwierdziła. Kiedy dziś po południu dowiedzieli się, że podejrzewa pan, iż za te zabójstwa jest odpowiedzialny pana syn, nie potraktowali tego poważnie. Uznali, że nie jest pan... przy zdrowych zmysłach. Ale oczywiście ich obowiązkiem było sprawdzić tę hipotezę. Porównali DNA Hotelowego Zabójcy z pańskim – które mamy w naszych archiwach, jak pan wie – i stwierdzili zgodność. – Joyce westchnął. – Ta informacja o bezwzględnie kluczowym znaczeniu została przez pana z premedytacją zatajona. Nie może być na to żadnego usprawiedliwienia. Sytuacja, w jakiej się pan znalazł, nie tylko wygląda źle, ale naprawdę jest zła. To wykracza poza zwyczajny konflikt interesów. Grozi panu oskarżenie o współudział w przestępstwie.

Pendergast nie odpowiedział. Znów spojrzał na Joyce'a z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– Agencie Pendergast, nie mam pojęcia, jak pański syn wplątał się w to wszystko, jak pan się o tym dowiedział ani co zamierza pan z tym zrobić. Znalazł się pan w położeniu nie do pozazdroszczenia i choćby z tego powodu bardzo panu współczuję. Będę jednak wobec pana szczery: pańskie poczynania w tej sprawie były w najlepszym razie nieetyczne, a w najgorszym nielegalne.

Joyce odczekał chwilę, zanim podjął ponownie swój wywód:

– Jak pan wie, jeśli chodzi o postępowanie dyscyplinarne, mamy ściśle określone procedury i musimy ich przestrzegać. Jako oficer nadzorujący nie mogę nawet dać panu po łapach. Dlatego wysłałem raport do Biura Specjalnego Agentów Dowodzącego Filią Nowojorską, szczegółowo przedstawiając w nim pańskie przewinienia i domagając się pańskiego natychmiastowego odwołania.

Kolejna pauza.

– Biuro zwróciło raport na moje biurko. Nawet go nie tknęli. W tej sytuacji dziś rano przesłałem raport raz jeszcze, tym razem do Biura Odpowiedzialności Zawodowej.

Joyce westchnął. Spojrzał na Pendergasta z ukosa, jakby przyglądał się japońskiej łamigłówce.

– Zwykle chłopaki z BOZ rzucają się na taki przypadek jak sępy na padlinę. Zaczynają się przesłuchania, wzywani są świadkowie i zapada decyzja o karze. Gdyby dobrali się panu do skóry, byłby pan skończony, zanim jeszcze proces dobiegłby kresu. Ale zamiast tego co się dzieje? W ciągu jednej godziny otrzymuję odpowiedź: trzydzieści dni przymusowego urlopu.

Joyce pokręcił głową.

– Otóż to. Zamiast od pięciu do dziesięciu lat w Leavenworth idzie pan na trzydziestodniowy przymusowy urlop, miesiąc bez wypłaty. A skoro pańskie roczne pobory w FBI wynoszą – ile? – dolar rocznie. Takie ma pan honorarium? Wątpię, aby mocno to pana dotknęło. – Joyce uniósł brew badawczo. – Nie wiem, kto jest pańskim aniołem stróżem, agencie specjalny Pendergast, ale powiem jedno: czarujący z pana łajdak.

W pokoju zapadła cisza. Wreszcie Joyce poruszył się na swoim fotelu.

– Czy chciałby pan dodać coś jeszcze? Pendergast prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Powiedziałbym, że jestem pod wrażeniem tego, w jaki sposób wyraził pan całą tę sytuację, specjalny agencie nadzorujący Joyce.

– Wobec tego proszę niezwłocznie udać się na przymusowy trzydziestodniowy urlop. I niech pan trzyma się możliwie jak najdalej od tej sprawy.

Odwracając się od Pendergasta, Joyce zdjął z półki książkę zatytułowaną *Jachty motorowe, na które cię stać*, położył ją na biurku i pogрузzył się w lekturze.

43

Proctor odwrócił się do Tristrama, który blady jak ściana siedział na łóżku.

– Zostań tutaj – powiedział. – Zamknę cię tu. W tym pokoju będziesz bezpieczny.

Sam zaś wyszedł, zamknął drzwi na klucz i pobiegł kamiennym korytarzem. Tuż przed wejściem do następnego podziemnego pomieszczenia przywarł całym ciałem do ściany.

Wyjął czterdziestkę piątkę, wprowadził nabój do komory i włączył celownik laserowy. Następnie odczekał chwilę, aby wyciszyć umysł, przygotować się do potencjalnej sytuacji taktycznej. Oddalił od siebie zdziwienie, ból poobijanych żeber oraz jakiegokolwiek spekulacje o tym, w jaki sposób młodzieniec mógł się tu dostać, i skupił się na bieżącym problemie.

Zabójca zamierzał zwabić go do podziemnych korytarzy. Alban chciał, aby Proctor ruszył za nim w pościg. I dokładnie to musiał zrobić. Nie mógł podjąć żadnych innych działań. Nie mógł pozwolić, aby młody mężczyzna znajdujący się teraz w bezpiecznym wnętrzu domu miał jakąkolwiek swobodę działania. Musiał go dopaść. Alban planował urządzić na niego zasadzkę. Proctor nie miał co do tego wątpliwości, tak więc musiał być nieprzewidywalny i musiał opracować własną strategię.

I musiał zrozumieć, dlaczego Alban nie zabił go od razu, kiedy miał tę możliwość.

Wszystkie te myśli pojawiły się w jego głowie w ułamku sekundy.

Lustrując wzrokiem podłogę, Proctor wypatrywał śladów

pozostawionych przez Albana, ale nie był w stanie rozróżnić ich wśród innych świeżych śladów stóp widocznych na pylistej ziemi. Wziął głęboki oddech i po chwili wyskoczył zza rogu z bronią gotową do strzału. Jedna goła żarówka zwieszająca się z przewodu biegnącego przez całą długość piwnic oświetlała piwniczną przestrzeń, tworząc głębokie cienie. W gablotach stojących pod ścianami znajdowała się kolekcja wypchanych gadów.

Pomieszczenie wydawało się puste.

Błyskawicznie przemknął przez nie i ukrył się za starą, leżącą na boku skrzynią, z której wysypały się zardzewiałe halabardy. Z tego miejsca, najlepiej jak potrafił, przepatrzył wewnątrz. Nie musiał się spieszyć. Zabójca nie próbował uciec – tropił Proctora tak samo, jak on tropił jego. To było pewne.

Kiedy upewnił się, że pomieszczenie jest puste, Proctor podbiegł na drugi jego koniec i przylgnął całym ciałem do ściany przy łukowatym przejściu prowadzącym do sąsiedniej komnaty, przez którą wiodła droga do schodów na górę. Tu także stały liczne regały i gabloty, nie tylko pod ścianami, lecz również pośrodku, z mnóstwem szklanych słoików w różnych kolorach wypełnionych dziwną zawartością, zasuszonymi jaszczurkami, nasionami, płynami i proszkami. Wśród tych gablot i regałów było wiele miejsc, gdzie można by się ukryć i urządzić zasadzkę.

Szkoda, ale będzie musiał to zrobić.

Proctor nosił przy sobie berettę Px4 storm z magazynkiem na dziesięć naboń i jednym nabojem w komorze, zawsze jednak miał dodatkowe dwa powiększone magazynki na dwadzieścia naboń – w sumie pięćdziesiąt pocisków. Prześladowała go fobia, że mogłoby mu zabraknąć amunicji. Nigdy się to nie przydarzyło ani się nie przydarzy. Wysunął z kolby magazynek na dziesięć naboń i wbił dwudziestonabojowy. Znacznie zwiększyła się waga broni, ale było to konieczne ze względu na to, co zamierzał zrobić.

Nieprzewidywalność...

Nagle Proctor jednym susem pokonał łukowate przejście, celując raz po raz do ciągu gablot, przebiegając przez całą długość

pomieszczenia, oddając strzały najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Rezultatem był ogłuszający łoskot i chaotyczna eksplozja szkła, gdy pociski grzybujące przebijały się przez liczne rzędy półek, rozrywając się przy tym i roztrzaskując gabloty w drobny mak. Hałas w ograniczonej przestrzeni był ogłuszający. Każdy, kto ukryłby się wśród tych regałów, musiałby przynajmniej zostać oślepiony przez fruwające odłamki szkła i, co całkiem możliwe, trafiony przez któryś z grzybujących pocisków. Taki ktoś nie byłby w stanie celnie odpowiedzieć ogniem.

Proctor wbiegł do kolejnego pomieszczenia, kontynuując ostrzał i roznosząc w drobiazgi setki znajdujących się tam szklanych słoików. Dwadzieścia naboji pozwoliło mu dostać się do trzeciego pomieszczenia, nieco mniejszego, z gablotami, w których stały wypchane ptaki. Tu po opróżnieniu magazynka ukrył się za masywną dębową gablotą przy jednej ze ścian. Przykucnął, wstrzymał oddech i nasłuchiwał w wielkim napięciu.

Echo wystrzałów i towarzyszących im odgłosów zniszczenia rozniosło się w głąb piwnic: plusk rozlewanych płynów, brzęk sypiącego się szkła, rozlegający się od czasu do czasu trzask. Kamienna posadzka za Proctorem była teraz usłana tysiącami szklanych odłamków. Nikt nie przeszedłby po niej bezgłośnie, absolutnie nikt. Jeżeli zabójca znajdował się gdzieś z tyłu, nie będzie mógł podążyć za nim, nie zdradzając swojej obecności.

Proctor wciąż czekał. Stopniowo odgłos destrukcji ucichł zupełnie, rozbrzmiewało tylko monotonne kap, kap, kap jakiejś cieczy i czuć było nieprzyjemną woń spirytusu, formaliny, martwych zwierząt i zasuszonych owadów.

Wiedział, że w następnym pomieszczeniu także stały rzędy gablot i w wielu miejscach można się ukryć. Przypomniał sobie, że w tych gablotach spoczywały dawne narzędzia i jakieś stare urządzenia. Nie miał pojęcia, dlaczego Enoch Leng zgromadził te osobliwe zbiory, i wcale go to nie obchodziło. Wiedział tylko, że najprawdopodobniej w którymś z pradawnych pomieszczeń, jakie miał przed sobą, czaił się jego przeciwnik.

Proctor czekał bardzo długo. Nierzadko sukces wynikał z umiejętności przeczekania przeciwnika. Prędzej czy później tamten musi się ruszyć. A wtedy bach!

Ale tym razem dokoła panowała cisza. Przeciwnik się nie pokazał.

Oczywiście zabójca mógł być w jednym z pomieszczeń, przez które właśnie Proctor przeszedł, i leżał tam teraz martwy lub ciężko ranny, choć Proctor w to wątpił. Instynkt podpowiadał mu, że Alban ukrył się w jednym z pokoi, które miał przed sobą.

Proctor czekał.

Wyjął pusty magazynek i włożył drugi dwudziestonabojoy. W tej samej chwili usłyszał chrzęst szkła pod czyjąś stopą. Obrócił się błyskawicznie, zaskoczony, że zabójca znajduje się gdzieś za nim, i natychmiast zajął dogodniejszą pozycję obronną w niszy pod masywną kamienną ścianą.

Znów czekał, nasłuchując uważnie. Całą posadzkę w sąsiednim pomieszczeniu zaścielały odłamki szkła. Poruszanie się po niej bezszelestnie było niemożliwe – ale czy na pewno? Proctor powoli podkraśl się do kamiennego łukowatego przejścia. Nie usłyszał żadnych innych odgłosów. Czy to możliwe, że coś po prostu spadło na szkło?

Zaczęła go zżerać niepewność. Musiał to sprawdzić, upewnić się. Pędem wbiegł na środek sąsiedniego pomieszczenia, ponownie strzelając na lewo i prawo. W oddali, po prawej, za rzędem strzaskanych słoików dostrzegł jakiś błyskawiczny ruch i zaczął strzelać między gablotami, zanim ostatecznie ukrył się w niszy pod przeciwległą ścianą.

Przywarł do muru i znów nasłuchiwał. Musiał trafić zabójcę albo przynajmniej obsypać go kaskadą szklanych odłamków. Tamten musiał być ranny, być może oślepiiony, przerażony, zdezorientowany.

A może to tylko pobożne życzenia?

Znowu chrzęst szkła – bez wątplenia odgłos kroków.

Proctor wypadł z wnęki w ścianie i ponownie zaczął strzelać w stronę, skąd dobiegł dźwięk, przez potłuczone słoje, wzbijając

istną kaskadę szklanych odłamków; kolejne gabloty runęły, a ze słoików wylała się ich zawartość. Kiedy zasypywał pociskami obszar, z którego usłyszał dźwięk, zorientował się, że nikogo tam nie ma. Nic. Biegł dalej, aż dotarł do drugiego końca pomieszczenia i ukrył się w kącie, rozglądając się nerwowo dokoła.

Wtem kamyk przeciął powietrze, trafił w żarówkę i wszystko wokół pograżyło się w ciemnościach. Proctor natychmiast strzelił w stronę, skąd ciśnięto kamyk; światło wpadające z sąsiedniego pokoju zapewniło mu niezbędne minimum oświetlenia. Opuścił pistolet, oddychał ciężko. Ile jeszcze zostało mu naboji? Zazwyczaj liczył, ile strzałów oddał, ale tym razem zupełnie stracił rachubę. Wystrzelał dwadzieścia i jeszcze co najmniej piętnaście. Czyli zostało mu z pięć w tym i dziesięć w ostatnim magazynku.

Jego koszmar dotyczący braku amunicji zaczynał się stawać rzeczywistością.

Gdy tak kuczał w mrocznym kącie, uświadomił sobie, że jego strategia zawiodła. Miał do czynienia z przeciwnikiem, którego cechowała nadzwyczajna zręczność i umiejętność antycypowania zdarzeń.

Potrzebował nowej strategii. Zabójca zapewne oczekiwał, że Proctor będzie kontynuował poszukiwania, badając teren. Dlatego właśnie teraz zawróci po swoich śladach. Zmusi przeciwnika, aby sam przyszedł do niego.

Przesuwając się wzdłuż ściany, dotarł do wejścia do sąsiedniego pomieszczenia. Było oświetlone przez jedną gołą żarówkę. Także tutaj było pełno słoików, a podłogę zaścielały odłamki szkła. Proctor miał teraz ten sam problem, który zgotował swojemu przeciwnikowi. Nie mógł się poruszyć, nie robiąc przy tym hałasu.

Może się uda. Przykucnął i zdjął buty. Nisko pochylony, mając na nogach tylko skarpetki, wślizgnął się przez łukowate przejście do sąsiedniego pomieszczenia, przesuwając się wśród głębokich cieni za roztrzaskanymi gablotami. Wolno, bardzo wolno przemieszczał się w całkowitej ciszy, nie zważając na odłamki szkła wbijające mu się w podeszwy stóp. Pomiedzy kolejnymi krokami przystawał

i nadstawiał uszu.

Na prawo od siebie, za długim ciągiem zniszczonych gablot, wychwycił krótki szept oddechu. Nie mógł się mylić. Zabójca też musiał się poruszać w samych skarpetkach. Czy tamten go widział? Proctor nie był w stanie tego stwierdzić.

Nieprzewidywalna strategia – tylko o tym teraz myślał.

W jednej chwili rzucił się naprzód. Wpadł na długi rząd wysokich gablot, uderzył w nie z impetem, aż gabloty zaczęły wpadać na siebie rzędami, jeden na drugi, jak kostki domina. Te, które zostały już wcześniej uszkodzone przez kule, runęły jak domki z kart, ich konstrukcja poddała się naporowi masywnego ciała z głośnym łoskotem. Strugi chemikaliów, grad odłamków drewna, deszcz szklanych odprysków i fragmenty zniszczonych eksponatów zalały ukrywającą się tam osobę.

Kiedy Proctor cofnął się o dwa kroki, poczuł nagłe uderzenie w rękę i czterdziestka piątka wypadła z jego dłoni. Odwrócił się, wykonując zamaszysty cios zaciśniętą pięścią, ale postać w czerni uchyliła się w bok, trafiając go równocześnie w żebra i powalając na zasłaną szklę posadzkę.

Proctor przetoczył się po podłodze i poderwał jednym szybkim ruchem, trzymając w dłoni postrzępioną szyjkę stłuczonego szklanego naczynia. Zabójca uskoczył do tyłu i także podniósł z podłogi odłamek szkła. Zaczęli krążyć ostrożnie naprzeciw siebie.

Proctor, specjalista od walki nożem, wykonał wypad, ale zabójca zrobił zwinny unik i ciął na odlew, raniąc go w przedramię. Proctor odpowiedział natychmiastową kontrą i udało mu się rozciąć koszulę zabójcy, ale tamten ponownie z nadnaturalną szybkością odwrócił się i uniknął bezpośredniego trafienia.

Nigdy jeszcze w całym swoim życiu Proctor nie spotkał nikogo, kto poruszałby się równie szybko albo tak doskonale przewidywał jego posunięcia. Zbliżał się do przeciwnika, tnąc powietrze raz po raz, zmuszając tamtego do odwrotu, ale nie udało mu się go trafić. Zabójca wycofał się w stronę stołu, upuścił odłamek szkła i podniósł ciężką retortę. Proctor napierał dalej, wykorzystując swoją

przewagę, skracając dystans i tnąc zamasyście. I wtedy, zgoła niespodziewanie, przeciwnik znów zrobił zmyłkę, udając, że się wycofuje, okręcił się na pięcie i wykonał wręcz nieprawdopodobny ruch, uderzając Proctora retortą w bok głowy. Masywne szkło roztrzaskało się, a oszołomiony Proctor upadł.

Zabójca w mgnieniu oka rzucił się na niego, przyszpilając go do podłogi, przykładając mu postrzępiony fragment stłuczonej retorty do gardła na wysokości tętnicy szyjnej na tyle mocno, by szkło rozcięło skórę, ale nie dosięgnęło najważniejszego naczynia krwionośnego.

Proctor, zaskoczony, otępiały z szoku i bólu, nie mógł uwierzyć w to, co się stało. To przecież niemożliwe. A jednak został pokonany – i to w walce, w której był najlepszy.

– No dalej – wychrypiał. – Skończ to. Zabójca zaśmiał się, ukazując lśniąca białe zęby.

– Wiesz doskonale, że gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył. O nie. Musisz przekazać swojemu panu wiadomość. A ja mam brata, którym... muszę się zająć.

Kiedy to mówił, równocześnie wyłuskał z kieszeni Proctora klucz do pokoju Tristrama.

– A teraz dobranoc.

Nagle potężny cios w głowę sprawił, że Proctor zapadł się w nieprzeniknioną ciemność.

44

Vincent D'Agosta krążył niespokojnie po mieszkaniu, z którego okien rozciągał się widok na Pierwszą Aleję. Uwalił się na kanapie w salonie, włączył telewizor, przez chwilę przerzucał kanały, ale zaraz go wyłączył. Znów wstał, podszedł do przesuwanych drzwi i wyjrzał na pociemniały balkon. Wszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wyjął piwo, ale wstawił je z powrotem i zamknął lodówkę.

Co kilka minut zerkał w stronę telefonu i odwracał wzrok. Wiedział, że powinien położyć się do łóżka, dołączając do Laury, i przespać się trochę, ale wiedział również, że nie byłby w stanie zasnąć. W ramach reperkusji po spotkaniu z Singletonem zdjęto go z funkcji dowódcy zespołu dochodzeniowego prowadzącego sprawę hotelowych zabójstw i, jak to ujął kapitan, powinien się cieszyć, że przez Pendergasta nie spotkało go coś znacznie gorszego. Na samą myśl, że będzie musiał wstawać bladym świtem, wrócić za biurko i czytać raporty o dziesiątkach kolejnych gównianych przestępstwach, robiło mu się niedobrze.

Znów spojrział na telefon. Właściwie równie dobrze mógł już mieć to za sobą – nie poczuje się lepiej, dopóki nie pozbędzie się tego brzemienia.

Westchnął, sięgnął po telefon i wybrał numer komórki Pendergasta. Połączenie zostało odebrane po trzecim sygnale.

– Tak? – rozległ się chłodny, spokojny głos z południowym, przeciągłym akcentem.

– Pendergast? To ja, Vinnie.

Pauza. Kiedy głos znów się odezwał, zabrzmiał zdecydowanie

chłodniej.

– Tak?

– Gdzie jesteś?

– W moim samochodzie. Jadę do domu.

– To dobrze. Pomyślałem, że jeszcze nie śpisz. Posłuchaj, chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, mówił dalej:

– Nie wiedziałem, co robić. Byłem dowódcą zespołu śledczego i do moich obowiązków należało meldować o wszystkim, co wiem. Singleton dobrał mi się do skóry, zostałem zapędzony do narożnika.

Wciąż bez odpowiedzi. D’Agosta obliznął wargi.

– Posłuchaj, wiem, że w ostatnich tygodniach naprawdę wiele przeszedłeś. Jestem twoim przyjacielem, chcę pomóc ci, najlepiej jak potrafię. Ale to, to moja praca. Nie miałem wyboru. Musisz mnie zrozumieć.

Kiedy w końcu rozległ się głos Pendergasta, brzmiał cicho, ale z niezwykłą surowością, jakiej nigdy dotąd D’Agosta nie słyszał z ust agenta specjalnego.

– Nawet osoba o ograniczonym umyśle musiałaby to zrozumieć. Zdradziłeś pokładane w tobie zaufanie.

D’Agosta wziął głęboki oddech.

– Nie możesz tego tak traktować. Przecież nie mówimy tu o złamaniu tajemnicy spowiedzi. Zatajenie tożsamości seryjnego zabójcy, nawet jeśli jest to krew z twojej krwi, jest zabronione. Uwierz mi, lepiej, że to się wydało teraz niż później. Bez odpowiedzi.

– Zabrali mi tę sprawę. A ty, powiedzmy to sobie szczerze, nigdy nie zostałeś do niej formalnie przydzielony. Musimy się z tym pogodzić.

– Mój syn, jak to zgrabnie ująłeś, jest seryjnym zabójcą. Jak twoim zdaniem powinienem się z tym pogodzić?

– Wobec tego pozwól, że ci pomogę. Na boku. Wciąż będę miał dostęp do wyników prowadzonego dochodzenia i mogę cię o nich informować na bieżąco. Pracowaliśmy już wcześniej w ten sposób

i możemy to zrobić ponownie.

Pendergast znów zamilkł.

– I jak? Co ty na to?

– Co ja na to? Odpowiem w ten sposób: jak długo jeszcze mam wysłuchiwać twoich żalosnych egoistycznych usprawiedliwień i propozycji współpracy, na którą nie mam ochoty?

Słowa agenta dotknęły D'Agostę do żywego, był wściekły, że Pendergast tak go potraktował. To nie było w porządku.

– A wiesz co ja na to? – zawołał. – Pieprz się!

I gniewnie zatrzaskał telefon, przerywając połączenie.

45

Kiedy tylko Pendergast wszedł do rezydencji, zorientował się, że coś jest nie tak. W powietrzu wyczuwało się pełną napięcia ciszę, nienaturalne zawieszenie i dziwną słabą woń. Szybki rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wszystkie alarmy są włączone, diody świecą na zielono, zamki pozostają nienaruszone, że wszystko znajduje się na swoim miejscu.

Mimo to Pendergast przemaszerował szybkim krokiem przez rozbrzmiewające echem korytarze do biblioteki. Było tam zimno, ciemno i cicho, w kominku się nie paliło; ani śladu Proctora.

Odsunął regały, zjechał windą do piwnicy i pędem przebiegł przez podziemny korytarz do ukrytych drzwi, po czym je otworzył. Teraz woń uderzyła go niczym niewidzialny mur – połączony ze sobą odór formaliny, etanolu oraz mnóstwa innych płynów, proszków i bliżej nieokreślonych substancji. Zbiegając na dół po krętych schodach, Pendergast wyjął czterdziestkę piątkę.

Przez łukowato sklepione przejście dotarł do długiego ciągu piwnic, przebiegł przez sześć pierwszych i stanął jak wryty. W pomieszczeniach przed nim, gdzie z jednego do drugiego prowadziły łukowate pasáže, panował nieopisany bałagan. Wszędzie wałały się odłamki barwnego szkła, a w kałużach parujących płynów spoczywały szczątki potłuczonych słoików. Wokoło na kamiennej posadzce leżały porozrzucone eksponaty, regały i półki, potrzaskane i poprzewracane, a w gablotach pod ścianami ziały otwory po kulach z wielkokalibrowej broni.

– Tristramie! – zawołał, zrywając się do biegu.

Pokonywał kolejne pomieszczenia, a pod podeszwami jego butów chrzęściło tłuczone szkło, w połowie ciągu piwnicznych sal skręcił w bok, dotarł do pokoju syna, włożył klucz do zamka, przekręcił i silnym szarpnięciem otworzył drzwi.

Na podłodze spoczywało przykryte prześcieradłem ciało. Tłumiąc westchnienie, Pendergast podbiegł i odgarnął skraj prześcieradła, odsłaniając Proctora, którego twarz była cała we krwi. Pospiesznie przyłożył dłoń do jego szyi, aby sprawdzić tętno – wyczuł je wyraźnie. Szofer był nieprzytomny, ale żył. Pendergast szybko obejrzał ciało, stwierdził, że mężczyzna został jedynie pobity, miał paskudne, mocno krwawiące rozcięcie na czole i zapewne wstrząśnienie mózgu.

W łazience znajdującej się za ścianą zwilżył ręcznik wodą z kranu i powrócił, by delikatnie przemyć twarz Proctora i rozcięcie na jego głowie. W efekcie mężczyzna zaczął dochodzić do siebie i spróbował usiąść, ale omal znów nie stracił przez to przytomności. Pendergast delikatnie, lecz stanowczo zmusił tamtego, by znów się położył.

– Co się stało? – zapytał cicho, lecz z naciskiem w głosie.

Proctor pokręcił głową, aby mu się w niej przejaśniło, po czym jęknął, gdy przeszła go kolejna fala bólu.

– Alban... zabrał Tristrama.

– Jak, na miłość boską, dostał się tutaj? Kolejny ruch głową.

– Nie mam pojęcia. Wydawało mi się, że... coś usłyszałem.

– Kiedy to się stało?

– Za... kwadrans dziesiąta.

Było teraz po jedenastej. Pendergast poderwał się na nogi. Nic nie wskazywało na to, by Alban i jego ofiara opuścili dom – alarmy były włączone, diody paliły się na zielono. A jednak od ataku minęła ponad godzina.

– Zostawię cię teraz i podążę ich tropem – powiedział.

Proctor machnął ręką, jakby chciał powiedzieć „O mnie się nie martw”.

Z pistoletem gotowym do strzału Pendergast pospiesznie spenetrował wewnątrz pokoju. Przejrzał stertę papierów na biurku

Tristrama, kartki, na których chłopak nieudolnie uczył się pisać, i odkrył uderzająco udany rysunek góry z adnotacją, że to prezent dla ojca. Poczul pod sercem bolesne ukłucie. Odegnął jednak od siebie te emocje, zabrał rysunek i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Uważnie zbadał ślady wśród kurzu w bocznym korytarzu, ale ponieważ znajdował się on blisko pokoju Tristrama, odcisków stóp było zbyt dużo, aby dało się je rozróżnić i przeanalizować. Wrócił do głównego korytarza najszybciej jak tylko mógł, zachowując przy tym wzmożoną czujność i lustrując walające się po podłodze szczątki. Minął kilka kolejnych sal i dotarł do starego laboratorium profesora Lenga. Strzelanina nie objęła tego miejsca – panował tu względny porządek. Stare steatytowe blaty były zastawione zlewkami, retortami i aparaturą do miareczkowania. Pendergast rozejrzał się ostrożnie dokoła, po czym bezszelestnie ruszył wzdłuż ściany w stronę otwartych drzwi prowadzących do następnego, ostatniego już pomieszczenia. Znajdowało się tu mnóstwo broni, zarówno starodawnej, jak i nowoczesnej: miecze, buzdygany, morgensterny, karabiny, pałki taktyczne, granaty, cepy, trójzęby.

Pendergast wyjął z kieszeni małą latarkę LED-ową i w jej świetle rozejrzał się po pokoju. Niczego raczej nie brakowało. Przy przeciwległej ścianie zatrzymał się. Przed nierzucającymi się w oczy drzwiami w ścianie widniały świeże ślady.

Diody systemu alarmowego jarzyły się na zielono. Czujniki ruchu nie zostały aktywowane. Rezydencja była wyjątkowo dobrze chroniona przed intruzami, z wyjątkiem piwnic i podziemi poniżej, do których można było się dostać tylko sekretną windą, przez ukryte drzwi, a które z uwagi na osobliwy rozkład i prawie niezmierną powierzchnię, jaką zajmowały, nie mogły zostać objęte odpowiednimi zabezpieczeniami. Tak naprawdę podjęcie takiej próby zakończyłoby się ujawnieniem sekretnego poziomego tuneli znajdujących się pod rezydencją. Ale też nie było to potrzebne, ponieważ żaden intruz nie mógłby znaleźć wejścia do tych korytarzy.

Pendergast spojrział na zamknięte drzwi. Chyba że... czy to w ogóle możliwe?

Szybko otworzył drzwi prowadzące do prostego kamiennego korytarza i wiodących w dół schodów wykutych w naturalnej szczelinie w łupkowym podłożu skalnym. Z dołu napłynął silny odór pleśni i wilgoci. Pokonując długi ciąg topornych stopni, dotarł do starego kamiennego nabrzeża wodnego tunelu, kryjówki pirata rzecznego, który był właścicielem innego domu znajdującego się wcześniej w pobliżu rezydencji. Zazwyczaj na nabrzeżu leżała odwrócona dnem do góry łódź wiosłowa, ale dziś jej tam nie było. Świeże rozbryzgi i kałuże wody na kamiennych krawędziach świadczyły o tym, że łódkę niedawno spuszczone do tunelu.

Pendergast wiedział, że tunel przemytników prowadzi do rzeki Hudson. Był tak dobrze zamaskowany, a przejście pomiędzy nim a podziemiami pod rezydencją zamknięte na cztery spusty na tyle skutecznie, że Pendergast zawsze uważał, że nikt nigdy nie odkryje tego miejsca i nie zdoła się tam wdrzeć. Teraz zdał sobie sprawę, że popełnił głupi błąd. To przeoczenie mogło go dużo kosztować. Mający nad nim godzinę przewagi Alban i jego zakładnik na pewno byli już daleko – nie da się ich wytropić.

Pendergast ni to usiadł, ni to osunął się ciężko na kamienne podłoże podziemnego nabrzeża.

46

Doktor John Felder wyszedł ze stróżówki i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Zgodnie z obietnicą kalendarza noc była bezksiężycowa. Rezydencja Wintourów nie miała zewnętrznego oświetlenia – panna Wintour w swoim skąpstwie uważała, że nie trzeba kupować więcej żarówek niż to absolutnie konieczne – i starodawna ruina wyglądała teraz niczym rozmyty kształt; czerń na tle czerni.

Wziął głęboki wdech, po czym ruszył przez sięgający do kolan gąszcz zeschniętych traw i chwastów. Noc była chłodna, niemal mroźna i w powietrzu oddech zmieniał się w obłok białej mgiełki. Rezydencja, ulica i całe Southport zdawały się pogrążone w zupełnej ciszy. Pomimo ciemności Felder czuł się przeraźliwie odkryty.

Kiedy doszedł do głównego budynku, przywarł do jego chłodnego muru i przystanął, nasłuchując. Wszędzie cisza. Ruszył powoli wzdłuż zewnętrznej ściany, aż dotarł do dużego wykuszowego okna biblioteki. Biblioteka mogła się poszczycić trzema zestawami okien kwaterowych. Poruszając się jeszcze wolniej niż dotychczas, Felder zajrzał przez najbliższe okno. Kompletna czerń.

Wycofał się nieznacznie, przywarł plecami do kamiennej fasady i rozejrzał się wokoło. Nic, nawet odgłos przejeżdżającego auta, nie mąciło panującej dokoła ciszy. Ta strona rezydencji była zwrócona w stronę ulicy pod kątem prostym, a zasłaniała ją ściana starych tui zasadzonych od wewnętrznej strony wzdłuż ogrodzenia z kutego żelaza. Nikt nie mógł zobaczyć Feldera.

A jednak doktor stał przez dłuższą chwilę w ciemnościach pod oknami biblioteki. Czy naprawdę zamierzał to zrobić? Kiedy siedział

tego wieczoru w stróżówce, odliczając upływające godziny i czekając na północ, niejednokrotnie powtarzał sobie, że przecież nie planował nic złego. Zamierzał jedynie przywłaszczyć sobie portfolio drugorzędneho artysty, o którego nikt nie dbał, a już na pewno nie stara panna Wintour. A tak naprawdę chciał tylko pożyczyć to portfolio. Pod koniec dnia mógł je po prostu odesłać pocztą, oczywiście anonimowo. Nic złego się nie stanie...

Zaraz jednak powrócił do rzeczywistości. Planował włamanie. A ściśle mówiąc, włamanie z wtargnięciem. To był czyn zabroniony, wykroczenie, a może nawet przestępstwo zagrożone karą więzienia. Równocześnie pomyślał o Dukchuku i więzienie wydało mu się bardziej pożądanym rozwiązaniem niż bycie schwytanym przez tego przerażającego olbrzymia.

Stopy zdrętwiały mu od zimna i bezruchu, więc zmienił pozycję. Naprawdę zamierzał to zrobić? Tak – za minutę. Może dwie.

Sięgnął do kieszeni kurtki, by sprawdzić jej zawartość. Latarka, śrubokręt, skalpel, puszka oleju 3-In-One, para cienkich skórzanych rękawiczek. Wziął kolejny drżący wdech, oblizał wargi i znów rozejrzał się wokoło. Nic. Czerń była nieprzenikniona, prawie nie widział okien biblioteki otoczonych masywnymi ramami. W rezydencji panowała grobowa cisza. Kolejna chwila wahania, po czym wyłuskał z kieszeni rękawiczki, nałożył je i podszedł do najbliższego okna.

Wyjął latarkę i osłaniając ją dłonią, zapalił, by obejrzeć środkowy słupek w miejscu, gdzie stykały się dwie pionowe części okna. Niech to szlag, w oknach zamontowane były zakrętki; przesuwane dźwigienki skutecznie uniemożliwiały ich otwarcie. Zgasił latarkę i raz jeszcze rozejrzał się dokoła, podszedł do sąsiedniego wykuszu i uważnie mu się przyjrzał. Także tutaj zakrętki otwierające okna były poprzekręcane do pozycji poziomej. Musiałby stłuc szybę, aby sięgnąć do środka i odblokować zakrętki – to nie wchodziło w grę.

Po trosze z ulgą, po trosze z rozczarowaniem podszedł do ostatniego wykuszu, osłonił latarkę i znów ją włączył, żeby zajrzeć do środka. Pierwsza zakrętka była przekręcona horyzontalnie.

Jednak światło latarki ukazało, że drugie okno było lekko uchylone, zakrętka złamana i nienaprawiona, a w miejscu jej mocowania do metalowej framugi teraz widniała dziura.

Felder zgasił latarkę, przesunął się w głąb wykuszu, stojąc wśród cieni, przy samym końcu podwójnego okna. Znów odczekał chwilę, rozglądając się na wszystkie strony i nasłuchując z uwagą. Ale niczego nie zauważył.

Zdał sobie sprawę, że serce boleśnie tłucze mu się w piersi. Jeżeli teraz tego nie zrobi, straci zapal. Odwracając się z wahaniem w stronę ostatniego okna kwaterowego, wsunął końcówkę śrubokrętu w wąski prześwit pomiędzy krawędzią okna a framugą i nacisnął delikatnie. Szczelina poszerzyła się przy wtórze cichego skrzypnięcia. Felder przerwał tę czynność, wyjął z kieszeni puszkę z oliwą, by nasmarować zardzewiałe zawiasy, i ponownie docisnął śrubokręt. Teraz okno poruszyło się bezgłośnie. Po chwili szczelina zrobiła się na tyle szeroka, że mógł wsunąć w nią palce. Delikatnie, bardzo delikatnie otworzył okno.

Włożył puszkę z oliwą i śrubokręt z powrotem do kieszeni. Wszędzie panowała cisza i spokój. Zbierając się na odwagę, oparł ręce na framudze z dwóch stron, aby podciągnąć się w górę. I nagle się zawahał. Ujrzał siebie z perspektywy, wyobraził sobie, jak musi wyglądać. To, co robił, wydawało się głupie, wręcz absurdalne. W głowie zaświtała mu myśl: Gdyby mogli mnie teraz zobaczyć moi profesorowie z medycyny. Był jednak zbyt zdenerwowany, aby długo zaprzętać sobie głowę takimi myślami. Ponownie chwytając za framugę, tym razem mocniej, podciągnął się i po chwili niedużego wysiłku znalazł się w pokoju.

W bibliotece było niemal tak samo zimno jak na zewnątrz. Oślaniając latarkę dłonią, Felder pospiesznie rozejrzał się po pokoju, aby się zorientować w rozmieszczeniu znajdujących się tam mebli. Musi uważać, żeby niczego nie potrącić. Pokój był urządzone w podobnym stylu jak frontowy salonik: skromne krzesła o prostych oparciach, kilka niskich stolików nakrytych koronkowymi serwetkami, na których stało mnóstwo ozdóbek z cyny i porcelany.

Zalegała tu taka warstwa kurzu, jakby od dawna nikt nie korzystał z biblioteki. Wzdłuż ścian po obu stronach ciągnęły się wypełnione książkami regały z witrażowymi szybami.

Znów rozejrzał się dokoła, ucząc się na pamięć rozkładu pomieszczenia. Wreszcie zgasił latarkę, po czym szybko i najciszej jak potrafił przeszedł przez pokój ku bocznym drzwiom. Przystanął, przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał z uwagą.

Nic.

Z bijącym jeszcze szybciej sercem ponownie odwrócił się w stronę biblioteki. Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Półki uginały się pod ciężarem tysięcy książek, skórzanych szkatulek, plików starych manuskryptów przewiązanych zbutwiałyymi wstążkami i innych materiałów. Perspektywa spędzenia tu wielu godzin na poszukiwaniach w obawie, że w każdej chwili może zostać wykryty, była nie do zniesienia.

Myśli o Constance dodały mu sił. Tak pokrzepiony odwrócił się w lewo i podkradł do miejsca, gdzie zaczynały się regały z książkami. Znów przysłaniając latarkę dłonią, zapalił ją na krótką chwilę, ale to wystarczyło, aby ujrzał rząd wysokich, oprawionych w skórę woluminów, których żebrowane grzbiety zaśniły słabo. Były to dzieła Henry'ego Adamsa w czterech tomach.

Przeszedł nieco dalej wzdłuż regału, przystanął i znów na chwilę zapalił latarkę. Na półce naprzeciw niego stało sześć lub siedem niedużych, drewnianych, misternie wykonanych szkatulek, pięknie łączonych w jaskółczy ogon i werniksowanych. Do każdej z nich przyklepione były papierowe karteczki, odłączające teraz i zawijające się, w miarę jak stary klej coraz bardziej wysychał. Na każdej ze skrzyneczek odręcznie, atramentem, który teraz już mocno przybladł, wypisano: Bierstadt, t. 1, Bierstadt, t. 2.

Korespondencja Bierstadta. Cel delegacji z Harvardu, która odbyła na próżno pielgrzymkę do tego miejsca. Bez wątplenia warta fortunę.

Felder zgasił latarkę i pospiesznie cofnął się od regału. Czy coś usłyszał? Jakiś hałas?

Stał w bezruchu przez dłuższą chwilę, nasłuchując czujnie. Nic. Odwrócił się i popatrzył na boczne drzwi. W szparze pod nimi nie pojawiło się światło.

Mimo to trwożliwie postąpił kilka kroków w stronę oferującego względne bezpieczeństwo otwartego okna.

Raz jeszcze przystanął i nasłuchiwał przez dobrych sześćdziesiąt sekund, zanim ponownie skupił uwagę na zawartości regału. Uniósł latarkę i tym razem osłaniając ją częściowo dłonią, przez moment oświetlał półki na wprost niego. Na poziomie oczu stał wielki wolumin w rozmiarze folio otoczony mniejszymi księgami o takich samych złoconych, żebrowanych grzbietach. *Faust* Goethego, prawdziwe cacko, skórzana okładka była tłoczona i ozdobiona fantastycznymi kształtami...

Felder drgnął tak gwałtownie, że prawie upuścił latarkę. Czy w chwili największego wzburzenia wydawało mu się, że wychwycił jakieś dźwięki? A może faktycznie usłyszał czyjeś ciche kroki na dywanie w korytarzu przed biblioteką, ukradkowe i bezszelestne, jakby skradał się kot?

Spojrzał nerwowo w stronę bocznych drzwi. W szparze pod nimi wciąż nie było widać światła – na korytarzu panowała ciemność choć oko wykol. Przełknął ślinę, po czym znów odwrócił się do regału, by raz jeszcze przyjrzeć się zgromadzonym tam skarbowi.

I wtedy coś – nie wiedział dokładnie co – skłoniło go, aby znów się odwrócił, podszedł pospiesznie do otwartego okna, wyslizgnął się przez nie na zewnątrz i zamknął je bezszelestnie za sobą, dziękując Bogu, że pomyślał o zabraniu ze sobą oliwy. Stał w ciemnościach nocy, dygocząc lekko. Gdy jego serce spowolniło rytm, zrobiło mu się trochę głupio. Jego wyobraźnia wyczyniała z nim dziwne sztuczki. Nie było żadnych odgłosów, nie zapaliło się światło. Jeżeli będzie się poddawał każdemu napadowi wyimaginowanych lęków, nigdy nie znajdzie tego portfolio. Odwrócił się do okna. Wróci do środka, zorientuje się, jak zostały poukładane książki na regałach.

Wtem boczne drzwi do biblioteki otworzyły się na oścież. Gwałtowność i cisza, jakie temu towarzyszyły, były przerażające.

Felder błyskawicznie odsunął się od okna. Dostrzegł olbrzymią postać w drzwiach odcinającą się na tle słabego światła wpadającego z korytarza. To był mężczyzna ubrany w dziwną, bezkształtną szatę. W jednej ręce trzymał długą drewnianą pałkę, której okrutnie rzeźbiona, gruba, zakrzywiona rękojeść kończyła się masywną gałką wielkości piłki do krykieta.

Dukchuk.

Felder stał w ciemnościach pod oknem biblioteki, patrząc przez szybę, sparaliżowany ze zgrozy. Olbrzym rozglądał się czujnie po pokoju, jego łysa, nieznacznie lśniąca głowa poruszała się z powolną rozważą wielkiej drapieżnej bestii, przepatrując każdy centymetr kwadratowy pomieszczenia. Wreszcie wyszedł z biblioteki i szybko, bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. W domu znów zapanowała cisza – i tylko serce w piersi Feldera tłukło się jak szalone.

Zaraz jak tylko odzyskał nad sobą panowanie, doktor wrócił do stróżówki. Jednak zanim jeszcze minął okropny dreszcz strachu, poczuł coś innego, iskierkę nadziei. Bo właśnie coś sobie uświadomił.

Adams. Bierstadt. Goethe. Książki w bibliotece Wintourów były poukładane w porządku alfabetycznym.

Constance Greene siedziała niemal zupełnie bez ruchu w wyłożonym boazerią, wytwornie urządzonego pokoju 027 znajdującym się na poziomie górnych piwnic szpitala dla umysłowo chorych przestępców Mount Mercy. Pokój 027 był niegdyś w szpitalu miejscem, gdzie przeprowadzano terapię wodną, kurację opracowaną przez Bradforda Tuke'a, jednego z pierwszych alienistów w tym zakładzie. Choć łańcuchy i kajdany zostały usunięte ze ścian dawno temu, wciąż dało się tu wyczuć płytkie wgłębienie w posadzce pod wykładziną, którą kiedyś odprowadzano wodę do zacementowanego teraz otworu odpływowego.

Obecnie w pokoju organizowano prywatne sesje psychiatryczne lekarzy z pacjentami, których nie uważano za szczególnie niebezpiecznych. Pokój urządzono komfortowo. Choć krzesła i stoły nie zostały przyśrubowane do podłogi, brakowało tu przedmiotów ostrych i o tępych krawędziach. Drzwi nie były zamykane na klucz, ale czuwało przed nimi paru muskularnych pielęgniarzy.

W pokoju prócz Constance przebywał tylko agent specjalny Pendergast. Spacerował powoli w tę i z powrotem niepewnym krokiem, a jego twarz wydawała się szczególnie blada.

Constance przyglądała mu się przez chwilę, a potem jej wzrok padł na pliki policyjnych raportów, ziarniste czarno-białe zdjęcia z nagrań monitoringu, analizy techników sądowych i wyniki analiz DNA, starannie ułożone na blacie stolika przed nią. Przeczytała i obejrzała wszystko, jej umysł chłonał każdy szczegół z tej

nieopisanej złożoności. Informacje stały się następnie tematem ćwiczeń medytacyjnych znanych jako Tsan B'tsan, najbardziej wymagającej spośród sztuk Chongg Ran, starodawnej dyscypliny treningu mentalnego z Bhutanu, której tajniki znane były zaledwie sześciu osobom w całym zachodnim świecie, a dwie spośród nich znajdowały się właśnie w tym pokoju.

Będąc w stanie Tsan B'tsan, Constance dokonała nieoczekiwanego odkrycia. Po kilku minutach znów spojrzała na Pendergasta, który wciąż spacerował po pokoju.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli omówimy wydarzenia, które przywiodły nas do stanu obecnego – powiedziała spokojnym, opanowanym tonem. – Twoja żona, Helen Esterhazy Pendergast, potomkini nazistowskiego lekarza, była wynikiem eksperymentu genetycznego dotyczącego bliźniąt, zorganizowanego i przeprowadzonego przez grupę nazywającą siebie Der Bund, Przymierze. Dwanaście lat temu, kiedy zagroziła ujawnieniem eksperymentów, przywódcy grupy uznali, że należy ją zgładzić. Jednak za sprawą wymyślnego planu opracowanego i zrealizowanego przez jej brata, Judsona, Helen przeżyła, a zamiast niej śmierć poniosła jej nieuleczalnie chora, upośledzona siostra Emma. Ostatnio, kiedy Przymierze zorientowało się, że Helen wciąż żyje, przeprowadziło udaną akcję, uprowadzając ją w chwili, kiedy mieliście ponownie się spotkać i chciałeś zapewnić jej bezpieczeństwo, a potem ją zabiło.

Pendergast spacerował teraz wolniej niż dotychczas.

– Twoja żona na samym początku waszego małżeństwa urodziła bliźnięta, chłopców, lecz zataiła ten fakt przed tobą. Chłopcy ci byli wynikiem prowadzonych nieprzerwanie przez Przymierze eksperymentów z dziedziny eugeniki i manipulacji genetycznych. Jeden z chłopców, któremu nadano imię Alban, wyrósł na nader inteligentnego, agresywnego, pozbawionego wyrzutów sumienia zabójcę, uosobienie teutońskiej doskonałości przedstawianej przez ideologię nazistowską. Drugi, któremu nadałeś imię Tristram, jest przeciwieństwem Albana, chłopcem słabym, załknionym,

emfatycznym, łagodnym i szczerym. Obaj zostali sprowadzeni tu, do Nowego Jorku, gdzie mieli uczestniczyć w czymś, co określono mianem testu beta, którego cel jak dotąd pozostaje nieznany poza tym, że wiązały się z nim dokonywane przez Albana seryjne zabójstwa gości nowojorskich hoteli i pozostawianie na ciałach wiadomości adresowanych bezpośrednio do ciebie. Czy jak dotąd mam rację?

Pendergast pokiwał głową, ale nie spojrzał na Constance.

– Tristram uciekł do ciebie. Wczoraj wieczorem Alban odnalazł go i uprowadził, tak jak wiele lat temu została uprowadzona Helen Esterhazy.

W jakiś sposób ta prosta, rzeczowa relacja znanych faktów, kompletnie pozbawiona emocji, oczyściła atmosferę w pokoju. Pendergast jakby się trochę rozluźnił. Przystanął i popatrzył spokojnie na Constance.

– Nie potrafię postawić się na twoim miejscu, Aloysiusie – ciągnęła. – Bo oboje, ty i ja, dobrze wiemy, że gdyby to spotkało mnie, moja reakcja byłaby o wiele... gwałtowniejsza i impulsywniejsza niż twoja. Jednakże to, że do mnie przyszedłeś i że się na to zdobyłeś, wiele mi mówi. Wiem, że musisz być wewnętrznie rozdarty, że serce ci krwawi po tragicznym finale, jaki miała cała ta afery z uprowadzeniem twojej żony. Wyczuwam przy tym, że okrutny uśmiech losu – świadomość, że twój syn, chłopiec, o którego istnieniu nie miałeś dotąd pojęcia, został uprowadzony w podobny sposób – musiał być dla ciebie nie lada ciosem. Nie ufasz swoim osądom. Gdybyś miał opracowany szczegółowy plan działania, nie byłoby cię teraz ze mną.

Pendergast wciąż na nią patrzył. Wreszcie usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

– Masz całkowitą rację – stwierdził. – Znalazłem się w sytuacji patowej. Jeżeli nic nie zrobię, nigdy więcej nie zobaczę Tristrama. Jeżeli zaś ruszę jego śladem, mogę doprowadzić do jego śmierci, tak jak przyczyniłem się do śmierci mojej żony.

Oboje milczeli przez kilka minut. Wreszcie Constance poruszyła

się na krześle.

– Dla mnie sprawa jest jasna. Nie masz wyboru. To twój syn. Twoje dziecko. Za długo toczyłeś walkę nie na tym froncie, na którym powinieneś, unikając konfrontacji z prawdziwym wrogiem. Musisz zaatakować główny ośrodek nerwowy, to gniazdo żmij, ojczyznę twoich wrogów, bezpośrednio. Musisz udać się do Novej Godói.

Pendergast spuścił wzrok i popatrzył na leżące na stole papiery. Wziął głęboki, drżący wdech.

– Przypomnij sobie moje dziecko – ciągnęła Constance. – Kiedy dowiedzieliśmy się o grożącym mu niebezpieczeństwie, nie zawahaliśmy się, aby przedsięwziąć niezbędne kroki. Musisz niezwłocznie podjąć konkretne, zdecydowane działania – i uderzyć bez litości.

Jego brwi się uniosły.

– Właśnie tak, musisz uderzyć bez litości. Musisz być bezlitosny i zdecydowany. Czasami przemoc to jedyne rozwiązanie. Przekonałam się o tym sama. – Nie dokończyła, a ciszę w pokoju wypełniło tykanie starego zegara.

– Przepraszam – powiedział półgłosem. – Byłem tak zaaferowany, że nie zapytałem nawet o twojego syna. Do tej pory powinnaś już otrzymać jakąś wiadomość.

– Nadeszła przed pięcioma dniami. Wreszcie dotarł do Indii, obecnie przebywa daleko w górach, powyżej Dharamsali, z dala od Tybetu, gdzie jest całkowicie bezpieczny.

– To dobrze – wymamrotał i w pokoju ponownie zapadła cisza.

Kiedy jednak Pendergast zaczął się podnosić z krzesła, Constance znów się odezwała:

– Jest jeszcze coś.

Wykonała zamaszty ruch ręką w stronę rozłożonych przed nią dokumentów i fotografii.

– Wyczuwam w tym Albanie coś niezwykłego. Jest coś szczególnego w sposobie, w jaki postrzega on rzeczywistość.

– Co takiego?

– Nie jestem pewna. Widzi... i wie... więcej niż my. Pendergast

zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Sama nie do końca to pojmuję. Ale wyczuwam, że on ma jakąś moc, niezwykłą zdolność, jak dodatkowy zmysł, taki, którego zwykli ludzie nie posiadają albo który nigdy się u nich do tego stopnia nie wykształcił.

– Zmysł? Coś jak szósty zmysł? Przewidywanie przyszłości, zdolności paranormalne?

– Nic aż tak oczywistego. Coś znacznie subtelniejszego, ale być może zarazem o wiele potężniejszego.

Pendergast zamyślił się przez chwilę.

– Udało mi się zdobyć pewne stare dokumenty wykradzione z kryjówki nazistów na Upper East Side. Dotyczą rodziny Esterhazych i pojawia się w nich wzmianka o czymś, co jest nazywane *Kopenhagener Fenster*.

– Kopenhaskie Okno – przetłumaczyła Constance.

– Tak. W dokumentach nazwa ta pojawia się wielokrotnie, nie ma jednak żadnych wyjaśnień na ten temat. Najwyraźniej ma to jakiś związek z manipulacjami genetycznymi, mechaniką kwantową, a może połączeniem jednego i drugiego. Nie ulega natomiast wątpliwości, że naukowcy pracujący nad Kopenhaskim Oknem wierzyli, że kryła się w nim niezmiernie obietnica dla przyszłości rasy panów. Może jest to związane ze zdolnością, o której wspominałeś.

Constance nie odpowiedziała. W ciszy Pendergast na przemian zaciskał i rozluźniał dłonie.

– Pójdę za twoją radą. – Spojrzał na zegarek. – Mogę być w Brazylii w porze kolacji. Zakończę to w ten czy inny sposób.

– Zachowaj szczególną ostrożność. I pamiętaj, co powiedziałam. Niekiedy przemoc jest jedynym rozwiązaniem.

Pochylił głowę. Gdy znów ją uniósł, popatrzył na Constance błyszczącymi srebrzystymi oczami.

– Powinnaś wiedzieć jedno: jeśli nie zdołam sprowadzić Tristrama z powrotem całego i zdrowego, już nie wrócę. Będziesz zdana

wyłącznie na siebie.

Wyraz zdystansowania i obojętności zniknął z jej twarzy, na policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie nawzajem ponad blatem stołu. Wreszcie Constance uniosła jedną rękę i pogładziła Pendergasta po policzku.

– Wobec tego z pewnym wahaniem mówię ci „żegnaj”.

Pendergast ujął jej dłoń i delikatnie ścisnął. A potem wstał, aby wyjść.

– Zaczekaj – wyszeptała.

Pendergast odwrócił się. Rumieńce na twarzy Constance pociemniały. Spuściła wzrok, unikając jego spojrzenia.

– Najdroższy opiekunie – powiedziała niemal niesłyszalnym szeptem. – Mam nadzieję... mam nadzieję, że odnajdziesz spokój.

Corrie stała przed salonem samochodowym. Była trzecia w nocy, panowała nieprzenikniona ciemność, a temperatura wynosiła dziesięć stopni poniżej zera. Paskudne latarnie sodowe otuliły rzędy zaparkowanych aut ohydną żółtawą poświatą połyskującą na szronie pokrywającym szyby pojazdów. Corrie nie otrzymała jak dotąd klucza do salonu, ale zdołała zwinąć klucze Millera, kiedy zostawił je w kantorku, jak zwykle zresztą, co przyprawiło go o napad złości. Szukał tych kluczy i szukał, klnąc na czym świat stoi, w pewnej chwili kopnął nawet kosz na śmieci, ukazując cały bezmiar swojego nachalnego prostactwa.

Corrie sporo zdołała się dowiedzieć i długo rozmyślała nad przekretem, z którego sprzedawcy byli tacy dumni. Okazało się, że to dość popularny numer nazywany wyłudzeniem kredytu. Miller miał rację, że ten rodzaj oszustwa jest powszechnie stosowany wśród sprzedawców aut, a winni rzadko stają przed obliczem sprawiedliwości. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że ujawnienie tego typu szachrajstwa mogło zagrozić nie tyle sprzedawcom, ile właścicielom firmy. To wskazywało na obu Ricców, seniora i juniora. Jeżeli jej ojciec faktycznie ujawniłby te machlojki, właśnie oni straciliby najwięcej.

Corrie postanowiła więc przyjrzeć się uważniej ojcu i synowi.

Trzymając się poza granicą żółtego sodowego blasku, okrążyła salon i podeszła do budynku od tyłu, gdzie znajdowały się pomieszczenia służbowe i warsztat naprawczy. Mimo włączonego nocnego oświetlenia tej części salonu nie było widać od strony drogi.

Za nim rozciągały się pola kukurydzy, które teraz, zimą, wyglądały jak gołe ponure ścierniska. Przemknęła przez oświetloną połąć terenu i znalazła się na tyłach budynku. Tam nałożyła lateksowe rękawiczki i czekała. Budynek był pusty, ani śladu nocnego strażnika czy ochroniarza z prywatnej firmy. W każdym razie nikogo takiego nie zauważyła.

Podkraǳła się do bocznego wejścia. Wypróbowała klucze, znalazła właściwy i weszła.

Oby tylko nie rozległ się alarm...

Wcześniej tego dnia uważnie spenetrowała całe to miejsce i zauważyła, że przy każdych drzwiach znajdują się panele alarmowe. Po południu „przypadkiem” oparła się o jeden z nich, naciskając czerwony guzik i włączając alarm, co sprawiło, że zjawił się Miller i wprowadził kod dezaktywujący. Starannie zapamiętała tę sekwencję cyfr. Teraz, gdy na panelu zamrugała ostrzegawcza lampka, a na ekranie ciekłokrystalicznym pojawiły się odliczające do zera cyfry, wprowadziła kod. Światelko zamieniło się na zielone.

Przez grube, wykonane z pancernego szkła szyby salonu od strony parkingu wpadało sporo światła – może nawet za dużo. Trzymając się wśród cieni, przekradła się do niewielkiego biura Ricców, ojca i syna, z wewnętrznym gabinetem i pomieszczeniem zewnętrznym, w którym rezydowała sekretarka.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Wślizgnęła się do środka i udała się do gabinetu Ricca seniora. Wzdłuż przeciwległej ściany ciągnął się rząd szafek archiwizacyjnych z imitacji drewna. Wyjęła nieduży łom, który przyniosła ze sobą, wsunęła jeden koniec w szczelinę przy górnej krawędzi szuflady i zaczęła napierać. Szuflada wysunęła się z impetem i trzaskiem wyłamywanego taniego metalu.

W szufladzie znajdowały się ułożone rzędem teczki. Wyglądało na to, że są ich setki. A to była zaledwie jedna szuflada z dwudziestu. Uzmysłowała sobie, że nie bardzo wie, czego właściwie szuka. Dowodu na wyłudzenie kredytu? Ten już miała. Pomyślała, że zacznie od przejrzenia teczki osobowej ojca. A potem po prostu

będzie szukała na chybił trafił.

W pierwszej szufladzie znajdowały się tylko dokumenty sprzedaży. Przejrzała je, po czym otworzyła kolejną szufladę, a potem jeszcze jedną. Boże, co za góra papierów!

Wreszcie po trzydziestu minutach dotarła do akt osobowych. Znalazła je w nieoznakowanej szufladzie i prócz nich nie było tam nic więcej. Przerzucając je, niemal natychmiast dotarła do teczki z napisem „Swanson”.

Zawahała się i zamyśliła przez chwilę. Choć było oczywiste, że wszyscy się zorientują, iż doszło do włamania, nie mogła ukraść tylko tej teczki – to rzuciłoby podejrzenie na ojca. Postanowiła więc, że ukradnie kilkanaście teczek osobowych oraz parę innych wybranych. W ten sposób tamci nie będą w stanie ustalić, która teczka tak naprawdę ją interesowała.

Wrzuciła teczkę osobową ojca do torby i zaczęła wkładać do niej również inne wybrane zgoła przypadkiem akta, gdy nagle usłyszała jakiś dźwięk. Cichy szmer zamykanych drzwi niepozostawiający żadnych wątpliwości.

Zamarła. Nie mogła opuścić gabinetu tylnym wyjściem, bo go najzwyczajniej w świecie nie było. Mogła też wyjść na zewnątrz przez salon wystawowy tonący w świetle latarni z parkingu. Usłyszała szcęk kolejnych zamykanych drzwi i kroki na polerowanej granitowej posadzce salonu.

Bezgłośnie zasunęła starannie wszystkie szuflady, mając nadzieję, że nie wyglądają na zbyt mocno sponiewierane, włożyła łom do torby i zaczęła się wycofywać w głąb gabinetu. Ale dokąd?

Do toalety.

Uchyliła drzwi, wślizgnęła się do środka, zamknęła je za sobą, przekręciła zasuwkę i weszła do kabiny, także zamykając drzwi na zasuwkę. Usiadła na sedesie, opierając stopy na opuszczonej klapie.

Wokoło panowała cisza. Ktokolwiek znajdował się w salonie wystawowym, raczej nie wejdzie do biura Ricca. A jeżeli nawet, to nie pofatyguje się, aby zajrzeć do łazienki. Czy aby na pewno? Za późno zdała sobie sprawę, że nie powinna zamykać drzwi łazienki

na zasuwkę. To musiało wyglądać podejrzanie, zwłaszcza gdyby ktoś sprawdził i przekonał się, że drzwi są zamknięte. Powinna zostawić je uchylone.

Zaczęła się pocić, uświadamiając sobie, jak głupio postąpiła, decydując się na to włamanie z wtargnięciem. Popełniła poważne przestępstwo – znowu. Co było z nią nie tak? Czy miała naturę przestępczyni? Dlaczego podejmowała tak szalone ryzyko?

Odgłos kroków przybliżył się i usłyszała, jak otwierają się zewnętrzne drzwi biura. Tamci wchodzili do środka. Kroki na miękkiej wykładzinie w zewnętrznej części biura wydawały się mocno wytłumione. Wyteżyła słuch. Głośny zgrzyt sprawił, że aż drgnęła gwałtownie. Ktoś wysunął jedną ze sforsowanych przez nią szuflad archiwizacyjnych. Zaraz potem ta sama osoba z głośnym hukiem zasunęła szufladę. Kroki rozległy się ponownie, szybsze, energiczniejsze, kiedy ktoś przechodził przez gabinet.

Nagle klamka w drzwiach łazienki poruszyła się z metalicznym trzaskiem. Chwila ciszy, a potem ktoś raz jeszcze poruszył klamką, usiłując otworzyć drzwi, towarzyszył temu stłumiony odgłos napierającego na nie ciała.

Kto to był? Ricco? No to pięknie. Miała przerąbane.

Rozległ się łomot, kiedy ktoś z impetem napał na drzwi, a potem suchy trzask rozłupywanego drewna i wewnątrz łazienki zalało silne światło.

Chwila ciszy. Corrie nawet nie mogła oddychać. Serce objęło się w jej piersi jak kamień w potrząsanej blaszanej puszcze.

Szybkie kroki i drzwi kabiny zostały otwarte tak raptownie, że wątlutki zamek wyfrunął z framugi.

– To ty!

Stał przed nią Charlie Foote z bladym obliczem zlanym potem. Był niemal równie przerażony jak ona.

– Pozwól, że wyjaśnię... – zaczęła, czując, że ogarnia ją panika.

Foote zrobił długi wydech i uniósł dłoń.

– Proszę... zejź z tego sedesu. Wyglądasz idiotycznie.

Corrie zeszła. Odwrócił się bez słowa, a ona wyszła za nim

z łazienki. Oczyma duszy widziała już najbliższą przyszłość: przybycie policji, swoje aresztowanie, ujawnienie, że jest córką Jacka Swansona, i w efekcie zatrzymanie również jej ojca. Oboje zostaną osądzeni i skazani, przypuszczalnie czekała ich długoletnia odsiadka. To już koniec jej kariery i współpracy z Pendergastem. Kres całego jej życia, które dopiero niedawno zaczęło wychodzić na prostą.

Ta lawina myśli była tak przytłaczająca, że pod Corrie ugięły się nogi. Foote złapał ją za rękę.

– Spokojnie – powiedział cichym tonem. – Wejdźmy do sali klubowej, gdzie nie będzie nas widać z ulicy.

Corrie osunęła się na pierwszy fotel, do którego podeszła. Foote zajął miejsce naprzeciw niej i opierając łokcie o kolana, popatrzył na nią.

– Proszę... – zaczęła gotowa zrobić wszystko, dosłownie wszystko, aby tylko jakoś się z tego wymigać.

On jednak tylko pokręcił głową i ścisnął jej rękę, aby zamilkła.

– Posłuchaj, Corrie – powiedział. – Wydaje mi się, że wiem, co się dzieje.

Spojrzała na niego.

– Jesteś córką Jacka Swansona, prawda? Nie odpowiedziała. Było gorzej, niż sądziła. Foote mówił dalej:

– W porządku. Uspokój się. Nie zamierzam cię sypnąć. Już wcześniej zacząłem podejrzewać, po tym jak rozglądałaś się dokoła, zadając mnóstwo pytań. A teraz jeszcze to – przetrząśnięcie gabinetu i biura Ricca. Próbujesz pomóc ojcu, mam rację?

Wciąż milczała.

– Może go nie przypominasz, ale kiedy mówisz, mam wrażenie, jakbym słyszał jego. Zrozum, Corrie, zawsze lubiłem twojego ojca. On i ja przyjaźniliśmy się. Nie podobało mi się – i wciąż nie podoba – to, co się tu dzieje, tak jak nie podobało się to jemu. Może został wrobiony. – Przerwał. – Tak właśnie uważasz? O to w tym wszystkim chodzi?

Popatrzyła na niego. To fakt, że zawsze był wobec niej uprzejmy,

raczej milczący, rzadko przyłączał się do innych sprzedawców, kiedy ci opowiadali prymitywne, mało zabawne, sprośne dowcipy. W dodatku wiedziała, że nie przepadał za systemem wyłudzeń kredytów. A jednak nie wiedziała, co ma powiedzieć. Bała się potwierdzić cokolwiek czy czemukolwiek zaprzeczyć.

Foote pokiwał głową.

– Tja. Tak właśnie uważasz – że ktoś go wrobił. I jesteś tu, włamałaś się tutaj, żeby to udowodnić.

Zdumiała ją jego przenikliwość umysłu. Wyciągnął rękę i delikatnie ujął jej torbę, odchylając klapkę.

– No i proszę, teczka osobowa Jacka. Teraz już wiem, że mam rację. – Uśmiechnął się pod nosem. – Wiesz co? Przydałby ci się sprzymierzeniec. Moglibyśmy pracować razem. Może mógłbym ci pomóc i wspólnie zrobilibyśmy tu wreszcie porządek.

– Nie zakapujesz mnie? Zaśmiał się i pokręcił głową.

– Mowy nie ma. A teraz lepiej wynośmy się stąd, zanim zjawi się Ricco senior. Ten stary skunks czasami wpada tu o piątej rano, żeby zająć się papierkową robotą.

Wyciągnął rękę. Corrie omal się nie rozplakała, gdy poczuła przepełniającą ją ulgę. Podniosła się chwiejnie i ujęła dłoń Foote'a.

– Znam całodobowy bar restauracyjny, gdzie możemy się napić kawy i zjeść śniadanie, a ty będziesz mogła opowiedzieć mi wszystko o swoim ojcu i dlaczego uważasz, że został wrobiony – oznajmił i wskazał ręką w stronę tylnego wyjścia z salonu.

49

Bar restauracyjny przy Cable Street wyglądał jak enklawa zatrzymana w czasie, pomyślała Corrie. Nie mogła mu dorównać żadna hollywoodzka sieciówka. Był idealny do ostatniego szczegółu, aż po zepsute szafy grające przy każdym stoliku, podłogi wyłożone tłoczonym linoleum, blaty z formiki, ozdobione brzoskwiniowo-turkusowymi trójkątami, upstrzone przez muchy karty dań oraz tlenione na blond kelnerki wtykające karteczki z zamówieniami w obrotową karuzelę, z której odbierali je kucharze przygotowujący dania na zapleczu.

Przynajmniej kawa była mocna.

Corrie poszła do toalety, sięgnęła do kieszeni i wyrzuciła zmięte w kulkę lateksowe rękawiczki, które włożyła, zanim włamała się do salonu samochodowego. Zastanawiała się, co powie stary Ricco, kiedy stwierdzi, że ktoś grzebał w jego archiwum. Przynajmniej mogła wziąć wolny dzień, aby nie musiała być narażona na jego tyrady. Po wyjściu z toalety wróciła do stolika, wypila kawę i słuchała, co miał jej do powiedzenia Foote. Był wściekły, a im dłużej mówił, tym bardziej był zagniewany.

– Wkurza mnie – wyrzucał z siebie – że ci goście nie są w stanie uczciwie zarobić choćby jednego dolara. Jestem tu sprzedawcą numer dwa. A wiesz dlaczego? Bo ludzie wyczuwają, że nie jestem oszustem. Nie muszę się zniżać do tandetnych sztuczek, żeby zarabiać pieniądze.

– Jestem przekonana, że oni wrobili mojego ojca.

– Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że

możesz mieć rację. Jack był porządnym facetem. Jako sprzedawca radził sobie średnio, ale był przynajmniej uczciwy. Trudno mi sobie wyobrazić, jak okrada bank.

Cisza.

– To jak zarobić pieniądze, jeżeli klient chce samochód za dwieście dolarów powyżej ceny na fakturze umowy kredytowej?

Foote napił się kawy.

– Są różne sposoby uczciwego zarobienia pieniędzy przy sprzedaży samochodu. Powiedzmy, że sprzedajesz brykę za siedemdziesiąt tysięcy. Po pierwsze otrzymujesz trzy procent prowizji, wynagrodzenie od wysokości transakcji, co wynosi w sumie dwa tysiące dolarów. Potem możesz jeszcze otrzymać napiwek, czyli dodatkowe wynagrodzenie dla sprzedawcy – kwota waha się od jednego do dwóch tysięcy dolarów ekstra. No i do tego wszystkiego dochodzi całkiem sensowna prowizja uzyskiwana z uczciwej umowy kredytowej! Nie ma potrzeby zawyżania oprocentowania rat.

Z głośnym chrupnięciem wgryzł się w tosta, a jego mięśnie twarzy poruszyły się, napinając skórę.

– W każdym razie – ciągnął po kolejnym łyku kawy – wyłudzenie kredytu nie jest jedynym z przekrętów, jakie tutaj odchodzą. Czasami ci goście sprzedają jakieś auto, kiedy klient jest stary albo niedoświadczony i jeżeli zostawi samochód, aby wrócić po niego później, przerabiają umowę, podmieniając papiery i zastępując tę brykę inną, tańszą, która wygląda identycznie. Dwa razy widziałem, jak pracownicy tej firmy naprawiają auta rozbite podczas jazd próbnych i sprzedają jako nowe. A obaj Riccowie tylko temu przyklaskują. Nie bezpośrednio – nie są aż tak głupi – ale przymykają oko na to, co się tu dzieje. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Foote przywołał kelnerkę i zamówił drugą porcję jajek sadzonych. Ten człowiek miał niezwykły apetyt. Spojrzał taksującym wzrokiem na Corrie siedzącą przy stoliku naprzeciw niego.

– Jesteś absolutnie pewna, że twój ojciec nie obrabował tego banku?

- Nie zrobił tego – zaperzyła się. – Jestem tego pewna, do cholery!
- Dobra, dobra, wierzę ci. Znów cisza.
- Może moglibyśmy zastawić pułapkę – powiedziała Corrie.
- Też o tym myślałem.

Foote dopił kawę, ponownie przywołał kelnerkę i wskazał na kubek.

– No wiesz, może moglibyśmy zrobić coś więcej niż tylko oczyścić imię twojego ojca. Może przy okazji zdołalibyśmy rozwalić ten ich parszywy mały interes.

– Jak?

Foote zamyślił się przez chwilę.

– Podstawimy kupca. Będzie miał założony podsłuch. Dopilnujemy, aby sam Ricco przeprowadził transakcję. A potem dostarczymy materiały dowodowe na policję, sprowadzimy do firmy śledczych. Wtedy gliniarze będą bardziej skłonni uwierzyć, że twój tata został wrobiony.

Corrie powróciła myślami do swoich zajęć w college'u.

– Podsłuch? Obawiam się, że bez nakazu sądowego ten dowód nie zostanie uznany w sądzie. Gliniarze na tej podstawie nie zechcą podjąć żadnych działań.

– A co z alibi twojego taty? Gdzie był, kiedy obrabowano bank?

Corrie zaczerwieniła się.

– Nie pytałam go o to. Uznałam, że to... nie byłoby w porządku.

– Pewnie uważa, że ma kiepskie alibi, w przeciwnym razie nie uciekłby. Ale możliwe, że się myli. Jeżeli jego komórka była włączona, mogła zarejestrować, gdzie się wówczas znajdował. Może ktoś go widział, zauważył jego samochód. Mógł też korzystać z karty kredytowej, w chwili kiedy dokonywano napadu. A może był wtedy zalogowany w internecie i siedział przy komputerze w swoim domu. W obecnych czasach jest milion różnych sposobów, aby ustalić, gdzie w danym momencie znajduje się konkretna osoba. Jack może mieć żelazne alibi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Corrie zastanowiła się nad tym. To brzmiało sensownie.

– Czy można w jakiś sposób skontaktować się z twoim tatą? –

spytał Foote.

– Nie. Muszę osobiście się pofatygować tam, gdzie się teraz znajduje.

– Mam samochód. Możemy pojechać tam razem. Corrie popatrzyła na Foote'a. Wydawał się szczerym, młodym mężczyzną. Nie chciała jednak nikomu, nawet jemu, zdradzać, gdzie przebywa jej ojciec.

– Dzięki, ale nie za bardzo mi to odpowiada. Wezmę jutro dzień wolny w pracy i spotkam się z ojcem. A potem do ciebie zadzwonię.

– No i dobrze. A ja tymczasem pogadam z kumplem, który z pewnością chętnie się zgodzi, abyśmy założyli mu podsłuch, a potem pomoże nam zdemaskować tych drani. To zawodowy aktor i uwielbia takie rzeczy. Zajmę się wszystkim. Wszystko przygotuję. Może masz rację, może gliny nie zaakceptują nagrania z ukrytego podsłuchu, ale jestem święcie przekonany, że zwróci ono ich uwagę. I jeżeli pójdziemy z nim do prokuratury, prokurator generalny będzie mógł wydać nakaz sądowy.

– Dziękuję.

– Posłuchaj, naprawdę lubię Jacka. Chciałbym mu pomóc. Ale nie jestem rycerzem w lśniącej zbroi – robię to wszystko także z myślą o sobie. Jeśli pozbędę się tych parszywych naciągaczy, zyskam więcej nowych klientów, a może nawet założę własny interes. – Uśmiechnął się. – Ale musisz się dowiedzieć, gdzie był twój ojciec w czasie napadu. Zadzwon do mnie. Mogę się założyć, o co zechcesz, że istnieje sposób, aby udowodnić, że go tam nie było.

Penelope Waxman siedziała w dość afektowany sposób na krześle z prostym oparciem w poczekalni posterunku Policia Militar w Alsdorfie w Brazylii. To było duże pomieszczenie pomalowane na żółto, przez otwarte okna wpadał przyjemny wietrzyk, na jednej ze ścian wisiało zdjęcie prezydenta i jak w większości budynków urzędowych, które miała okazję widzieć w Brazylii, na drugiej ścianie znajdował się krucyfiks. Niska drewniana poręcz z bramką oddzielała w pomieszczeniu poczekalnię od części dla pracowników posterunku, pilnie wypełniających formularze lub piszących coś na komputerze. Od czasu do czasu funkcjonariusz policji w granatowej bluzie i czerwonym berecie przechodził przez pokój i zniknął za drzwiami.

Pani Waxman westchnęła i poruszyła się niespokojnie na krześle. Mieszkała w Brazylii już od dwóch lat, w miłym, mającym dwie sypialnie mieszkanku w Brasílii, ale nie przywykła jeszcze do żółwiego tempa, w jakim załatwiano tu wszystkie sprawy urzędowe. Czekala ponad półtorej godziny i jak dotąd nie miała nawet okazji, aby wypełnić raport. Wyglądało na to, że jedynym sposobem przyspieszenia w tym kraju biegu spraw było błysnięcie plikiem pieniędzy, ona jednak miała swoją dumę i nie zamierzała się zniżyć do tego rodzaju praktyk. Spojrzała na zegarek: dochodziła trzecia po południu. Czemu, u licha, tak długo to trwa? W poczekalni prócz niej była tylko jedna osoba – hałaśliwa.

Właściwie to była wina jej męża. Usłyszał o Blumenau, w południowej prowincji Santa Catarina, które było niemal idealną

kopią starego bawarskiego miasteczka. Zabrał ją tam z Brasillii na długi weekend. Rzeczywiście wyglądało jak niemieckie miasteczko, tyle że przeniesione do odludnego zakątka Brazylii, gdzieś między lasem deszczowym a górami: *Bierhalle*, sklepiki pomalowane na jaskrawe kolory, domy wzniesione w połowie z drewnianych bali: ciemne drewno i białe tynki, wyglądające na stare gotyckie budowle, których masywne, kryte gontami dachy upstrzone dwoma, a nawet trzema rzędami mansardowych okien były równie wielkie jak fasady poniżej. Większość mieszkańców miasteczka miała jasne włosy, niebieskie oczy i zaróżowione policzki. Na ulicach mówiono częściej po niemiecku niż po portugalsku. Pan Waxman, który bardzo szczyił się swoim niemieckim dziedzictwem, był urzeczony.

Ale wtedy zaczęły się problemy. Jej mąż nie zadbał o to, by wcześniej zarezerwować pokój w hotelu, i gdy dotarli na miejsce, okazało się, że trafili w sam środek festynu kultury niemieckiej. W hotelach brakowało wolnych miejsc, musieli więc poszukać czegoś w sąsiednim miasteczku Alsdorf – znacznie mniejszej i dużo tańszej kopii Blumenau – usiłującym żerować na uroku swojego sąsiada, ale najwyraźniej bez większego powodzenia.

Tamtejsi mieszkańcy byli ubożsi, mieli mniej europejski wygląd i bardziej przypominali rdzenną ludność. Poza tym w przeciwieństwie do Blumenau Alsdorf zdawało się mieć wyższy niż gdzie indziej współczynnik przestępczości. Nie dalej jak dziś rano w hotelowym pokoju skradziono im czeki podróżne! Dlatego właśnie jej mąż przebywał teraz w Blumenau, próbując uzyskać nowe czeki, podczas gdy ona wybrała się na posterunek policji w Alsdorfie, aby zgłosić kradzież.

Z zamyślenia ponownie wyrwał ją drugi petent znajdujący się w poczekalni. Mężczyzna znów zadreślał swoją litanią skarg niešťczęsną kobietę siedzącą przy sąsiednim biurku. Pani Waxman spojrzała na niego z ukosa, nie ukrywając rozdraźnienia. Mężczyzna miał na sobie tropikalną koszulę, jasną i krzykliwą, a do tego słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który bardziej pasowałby jakiemuś hazardziście na statku rzeczonym. Jego lniane spodnie były

białe, workowate i mocno wymięte. Dodając do tego bladą, wręcz niezdrową cerę, nie ulegało wątpliwości, że to turysta, krótko mówiąc, typowy szpetny Amerykanin, który uważa, że wszyscy powinni skakać wokół niego i być na każde jego zawołanie. Przyczepił się do kobiety, która najlepiej na całym posterunku mówiła po angielsku.

– To tak długo trwa – poskarżył się smętnym, rozgorączkowanym głosem. – Czemu to trwa tak długo?

– Kiedy tylko funkcjonariusz odpowiedzialny za sporządzanie protokołów będzie wolny, na pewno się z panem zobaczy – odparła kobieta. – Gdyby miał pan paszport, poszłoby to o wiele łatwiej.

– Przecież już to pani tłumaczyłem. Mój paszport został skradziony. Wraz z moim portfelem, pieniędzmi, kartami kredytowymi i wszystkim, co miałem w kieszeniach. – Zapadł w stan zbliżony do letargu, ale wciąż mówił ponurym tonem: – Boże. To jak sytuacja z powieści Kafki. Pewnie nigdy się stąd nie wydostanę. Zmarnieję tu i umrę na tym posterunku jako ofiara zabójczej biurokracji.

– Bardzo mi przykro, proszę pana – powiedziała z istic anielską cierpliwością kobieta. – Wszyscy funkcjonariusze są obecnie zajęci. To ciężki dzień.

– Nie wątpię, że ciężki – mruknął mężczyzna. – Założę się, że drobne kradzieże to w Alsdorfie biznes numer jeden. Powinienem był zostać w Rio.

Z pokoju na tyłach posterunku wyłonił się funkcjonariusz Policja Militar i przeszedł przez poczekalnię. Turysta poderwał się z krzesła.

– Hej, proszę pana!

Policjant kompletnie go zignorował i wyszedł frontowymi drzwiami. Turysta znów spojrzał na sekretarkę.

– A on co, głuchy?

– Zajęty. Prowadzi sprawę – odparła kobieta.

– Oczywiście. Zapewne kolejna kradzież kieszonkowa. Nie wątpię, że facet, który mnie okradł, jest teraz gdzieś tam w mieście i ograbia innych Amerykanów.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie. Nie chodzi o kradzieże kieszonkowe.

– Więc o co? Co jest tak ważnego, że nie mogą się ze mną zobaczyć? Chciałbym to wiedzieć!

Kobieta za biurkiem nie odpowiedziała. I słusznie, uznała pani Waxman. Miała rację, że zbyła tego nieznośnego turystę. Ale on znów zaczął wyglądać przez drzwi frontowe w stronę, dokąd skierował się oficer policji.

– Może jeszcze go złapię – odezwał się bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Zatrzymam go i wyjaśnię, co mnie spotkało. Wtedy będzie musiał mi pomóc.

Sekretarka pokręciła głową.

– Jest zbyt zajęty.

– Zbyt zajęty? No jasne, piciem kawy i obżeraniem się pączkami!

Kobieta w końcu nie wytrzymała i rzuciła oschle:

– Prowadzi śledztwo w sprawie morderstw. Pani Waxman wyprostowała się na krześle.

– Morderstw? – powtórzył nieznośny turysta. Jakich morderstw?

Ale sekretarka najwyraźniej uznała, że już i tak powiedziała za dużo, więc znów pokręciła głową. Turysta wrócił na swoje krzesło, wywracając oczami.

– Pewnie jakaś bójka w miejscowym barze. A ja tymczasem siedzę tutaj, odarty z tożsamości, w obcym kraju. Boże. – Krótka pauza. – Powiedziała pani „śledztwo w sprawie morderstw”. Było więcej niż jedno?

Kobieta tylko pokiwała głową.

– Co jest, grasuje tu u was seryjny morderca czy jak? Kobieta tylko zacisnęła mocniej usta. Nagle problem czeków podróżnych przestał być dla pani Waxman tak istotny. Morderstwa? Może powinna zapomnieć o skardze, odnaleźć męża i wrócić do Brasillii, najszybciej jak to możliwe. Gdy się nad tym zastanawiała, najwyraźniej nieznośnemu turyście zaświtała w głowie ta sama myśl. Mężczyzna podniósł się, pogmerał przez chwilę w kieszeni workowatych lnianych spodni i wyjął z niej plik brazylijskich reali. Następnie

nachylił się w stronę niskiej bramki, gdzie siedziała sekretarka.

– Proszę – powiedział suflerskim szeptem, który bez trudu usłyszała pani Waxman. – Kieszonkowiec tego mi nie zabrał. Proszę dać dwadzieścia reali funkcjonariuszowi zajmującemu się tym, czym się zajmuje. Może to sprawi, że zastałe trybiki wreszcie zaczną się obracać.

Pozostali pracownicy biura patrzyli, co się dzieje.

– Nie mogę tego zrobić, proszę pana – powiedziała pośpiesznie kobieta i zmarszczyła brwi.

– Za mało, co? Dobra, wiem, jak się gra w tę grę. – Mężczyzna wyłuskał jeszcze kilka pomiętych banknotów i wyciągnął następny.

– Proszę. Pięćdziesiąt reali. Proszę mu to dać.

Kobieta zdecydowanie pokręciła głową.

– Żadnych łapówek.

– Żadnych łapówek? Kpi pani sobie? To przecież Brazylia, prawda? Pani wybaczy, nie urodziłem się wczoraj.

– Policja w Alsdorfie nie przyjmuje łapówek – powiedziała kobieta stanowczym tonem, nie bez cienia dumy. – Pułkownik na to nie zezwala.

– Pułkownik? – zapytał turysta z lekkim sceptycyzmem. – Jaki pułkownik?

– Pułkownik Souza.

– To nie do wiary – odrzekł turysta. – Co to ma być? Domaga się pani jeszcze więcej reali? Chce pani sama podzielić się z dowódcą? – Parsknął drwiąco. – Nie ma to jak umiejętność dbania o przełożonego.

– Niech pan schowa te pieniądze. – Sekretarka najwyraźniej miała już tego wszystkiego dość. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. – Proszę posłuchać, pozwolę panu poczekać w zewnętrznym biurze. Czy jeśli tam pana wpuszczę, obiecuje pan siedzieć w spokoju i ciszy, aż zostanie wywołany?

Turysta spojrział na nią podejrzliwym wzrokiem.

– Czy zostanę dzięki temu przyjęty szybciej?

– To możliwe.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– No dobrze, proszę mnie wprowadzić.

Wstał, a sekretarka wpuściła go za bramkę, obok stanowisk pracy i przez otwarte drzwi zaprowadziła na zaplecze. Zapadła błoga cisza. Pani Waxman podniosła się w końcu i nikomu nie mówiąc ani słowa, wymknęła się z budynku i rozejrzała za taksówką, która mogłaby jak najszybciej wywieźć ją i męża z miasteczka Alsdorf.

Turysta w kwiecistej koszuli i workowatych lnianych spodniach zaczekał, aż sekretarka wskaże mu krzesło. Gdy tylko jej kroki ucichły, pospiesznie podszedł do drzwi, zacisnął dłoń na klamce i delikatnie je przymknął, aczkolwiek nie do końca. Następnie odwrócił się i zlustrował zewnętrzne biuro. Był tu jeden stół otoczony czterema krzesłami. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się szafki z aktami. Wodząc po nich wzrokiem, turysta uśmiechnął się słabo.

Seria morderstw. Nieprzekupny szef policji, który nie uznawał łapówek. Sprawy zapowiadały się nader obiecująco.

– Doskonale – powiedział mężczyzna z wyraźnym melodyjnym akcentem z Południa Stanów, diametralnie różnym niż ten, z jakim rozmawiał z sekretarką w poczekalni. – Po prostu doskonale.

51

W Vila Germanica, radosnym, barwnym sercu Niemieckiego Miasteczka w centrum Blumenau, turyści mogli znaleźć całe mnóstwo bierhalli, ogródków piwnych i tawern. Wiele z tych knajpek było naprawdę wesołych, wypełnionych uwielbiającymi hulaszczą zabawę klientami i kelnerkami, ubranymi jak niemieckie dziewczęta w krzykliwe kostiumy i lawirującymi między stolikami z litrowymi kuflami piwa w dłoniach. Ale w jednym lokalu czy dwóch panowała spokojniejsza atmosfera, bo odwiedzali je niemal wyłącznie miejscowi. Choć stanowiły przykład autentycznej bawarskiej architektury i wystroju wewnątrz, w środku było zdecydowanie ciemniej i mniej biesiadnie.

Do jednych z takich przybytków należało Hofgarten. Sklepienie w środku było dość niskie, grube, ręcznie ciosane belki ciągnęły się niemal tuż nad głowami przebywających tu tego wieczoru klientów. Na ścianach wisiały oprawione w ramki reprodukcje niemieckich zamków, a menu na dany dzień wypisywano kredą na tablicach. Do każdej zamówionej kolacji dodawano darmowo bavarian brezen. Długi kontuar biegł po obu stronach centralnej wysepki, ale wielu gości zdołało się zaszyć w głębokich drewnianych łóżach pod ścianami tawerny.

Przy stoliku w jednej z łóż siedział mężczyzna i czytał lokalną gazetę. Był niski, o masywnym, pękatym torsie, z potężnymi ramionami i głową, która wydawała się ciut za mała w stosunku do reszty jego ciała. Gładko ogolony, z włosami zaczesanymi do tyłu i błyszczącymi od brylantyny, z rysami twarzy brazylijskimi, a nie

germańskimi, które wydawały się wyjątkowo szlachetne, być może za sprawą wysoko osadzonych kości policzkowych i orlego nosa. Pił piwo z kufła i palił krótką, wąską cygaretkę.

Uniósł wzrok, by ujrzeć mężczyznę, który podszedł i przysiadł się do jego stolika. Stało się to tak szybko i bezszelestnie, że zanim palący cygaretkę go zauważył, nieznajomy zdążył już się rozsiąść wygodnie naprzeciw niego.

– *Boa tarde* – powiedział nieznajomy. Mężczyzna z cygaretką nie odpowiedział. Przyglądał się tylko nowo przybyłemu z lekkim zaciekawieniem.

– Czy możemy rozmawiać w języku angielskim? – ciągnął nieznajomy. – Mój portugalski pozostawia niestety wiele do życzenia.

Tamten wzruszył ramionami, po czym strzepnął popiół z cygaretki, jakby nie podjął jeszcze decyzji, czy w ogóle dojdzie do jakiejś rozmowy.

– Nazywam się Pendergast – rzekł nieznajomy. – I mam dla pana propozycję.

Tamten odchrząknął.

– Gdyby pan wiedział, kim jestem – powiedział – nie przychodziłby pan do mnie z żadnymi propozycjami.

– Ach, ależ ja wiem, kim pan jest. Pan pułkownik Souza, komendant Polícia Militar w Alsdorfie.

Pułkownik znów zaciągnął się dymem z cygaretki.

– Nie tylko wiem, kim pan jest, ale również wiem całkiem sporo o panu. Był pan kiedyś dowódcą Batalhão de Operações Policiais Especiais, najbardziej elitarnej i prestiżowej jednostki szybkiego reagowania brazylijskiej policji wojskowej. BOPE wszędzie cieszy się wielkim szacunkiem i poważaniem, lecz także wzbudza powszechny lęk. A jednak odszedł pan z BOPE – dobrowolnie, zgadza się? Aby zostać komendantem policji wojskowej w Alsdorfie. To mnie zaciekawiło. Nie ujmując niczego miasteczku Alsdorf, to doprawdy czarująca miejscina, na swój sposób, ma się rozumieć. Jednak wydaje się to sporym krokiem wstecz w błyskotliwej, szybko postępującej

karierze. Mógł pan wybrać dla siebie przydział w Polícia Civil, lub, dajmy na to, nawet w Polícia Federal. A zamiast tego... – Pendergast machnął ręką, wskazując wewnątrz Hofgarten.

– Zbadał pan moją przeszłość – odparł pułkownik Souza. – Zaręczam panu, *senhor*, że to nie jest korzystne dla zdrowia.

– Drogi pułkowniku. Ja jedynie utrwalam fundament pod propozycję, o której wspomniałem. I bez obawy, nie jest to propozycja biznesowa, lecz natury zawodowej.

Po tych słowach zapadła cisza. Pendergast odczekał chwilę, po czym mówił dalej:

– Ma pan również cechę, która w tej części świata jest niemal niespotykana. Jest pan nieprzekupny. Nie tylko odmawia pan przyjmowania łapówek, lecz także skutecznie tępi pan tę plagę wśród pańskich współpracowników. Być może to jeszcze jeden powód, dla którego ostatecznie wylądował pan w Alsdorfie.

Pułkownik Souza wyjął z ust cygaretkę i zgasił w popielniczce.

– Pańska dalsza obecność tutaj jest w najwyższym stopniu niepożądana, przyjacielu. Sugeruję, aby pan stąd wyszedł, zanim każę moim ludziom wywieźć pana z tego miasta.

W odpowiedzi Pendergast sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął legitymację FBI, otworzył ją i położył na stole pomiędzy nimi. Pułkownik przyjrzał się jej badawczo, zanim znów popatrzył na Pendergasta.

– Pańska jurysdykcja nie sięga aż tak daleko – stwierdził.

– Niestety nie.

– Czego pan chce?

– Pańskiej współpracy w przedsięwzięciu, które, jeżeli się powiedzie, przyniesie spore korzyści nam obu.

Pułkownik usiadł wygodniej i zapalił kolejną cygaretkę.

– Słucham.

– Pan ma problem. I ja mam problem. – Pendergast nieznacznie nachylił się w jego stronę. – W ostatnich miesiącach Alsdorf nawiedziła seria nierozwiązanych morderstw. Bardzo nieprzyjemnych morderstw, jak przypuszczam, zważywszy, że nie

podajecie tego do wiadomości publicznej.

Pułkownik Souza, aby ukryć zdziwienie, wyjął cygaretkę, spojrzął na nią i ponownie włożył do ust.

– Och, pozwoliłem sobie przejrzeć pańskie akta – ciągnął Pendergast. – Jak już wspomniałem, mój portugalski trochę kuleje, ale wystarczył, abym należycie się rozeznał w sytuacji. Prawda przedstawia się tak, pułkowniku, że w ciągu ostatniego półrocza w Alsdorfie i jego okolicach doszło do co najmniej ośmiu brutalnych morderstw, ale w miejscowych gazetach brak jakichkolwiek wzmianek na ten temat.

Pułkownik oblizwał wargi.

– Żyjemy z turystyki. Takie historie mogłyby... źle wpłynąć na nasz wizerunek.

– Zwłaszcza gdyby wyszły na jaw informacje o modus operandi sprawcy bądź sprawców. Niektóre z tych morderstw wydają się dziełem naprawdę obłąkanego sadysty. Inne ewidentnie popełniono możliwie jak najszybciej, najczęściej poprzez rozplatanie nożem tętnicy szyjnej. Widziałem fotografie.

Pułkownik zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

– No i jest jeszcze ta część, której nie potrafię zrozumieć. Odkąd ostatnio wydarzyły się te wszystkie morderstwa, Policia Civil niewiele zrobiła w tej sprawie.

Pułkownik zasepił się jeszcze bardziej.

– Trudno im się dziwić. Alsdorf to biedne miasteczko. Znajduje się poza ich kręgiem zainteresowania. Ofiarami wszystkich morderstw byli *camponês*. Wieśniacy. Robotnicy dzienni z gór. Włóczędzy bez grosza przy duszy.

Pendergast pokiwał głową.

– I tak został pan sam, tylko ze swoją Policia Militar, próbując rozwiązać sprawę tych zabójstw i równocześnie utrzymać je w tajemnicy, zarówno przed turystami, jak i przed miejscową ludnością. Jak powiedziałem, ma pan problem.

Podeszła barmanka, wymieniła kufel pułkownika na nowy i zapytała Pendergasta, czego sobie życzy.

– Tego samego co pan pułkownik – odparł po portugalsku, po czym znów przeszedł na angielski. Pozwoli pan, że o coś spytam. Kiedy nocami nie może pan zasnąć, rozmyślając o sprawie i o tym, kim mogą być zabójcy, dokąd kierują się pańskie myśli?

Pułkownik upił łyk piwa. Nie odpowiedział.

– Chyba wiem. Pańskie myśli kierują się w górę rzeki, w głąb lasów. Do miejsca o nazwie Nova Godói.

Po raz pierwszy pułkownik spojrział na agenta z wyrazem kompletnego szoku na twarzy. Pendergast pokiwał głową.

– Tak, o tym miejscu krąży wiele plotek. Już od ponad pół wieku cieszy się ono złą sławą. Spekulacje na temat tego, co się tam dzieje, kto tam mieszka i co robią ci wszyscy ludzie. Powiedzmy, że wielu mieszkańców Alsdorfu też często się nad tym zastanawia. Plotki o ciekawskich, którzy wybrali się w górę rzeki, do Novej Godói i ślad po nich zaginął.

Przyniesiono kufel dla Pendergasta. Agent spojrział na piwo, ale go nawet nie skosztował.

– Wiem o panu coś jeszcze, pułkowniku. To prawda, zależy panu na Alsdorfie. I to bardzo. To, że Polícia Civil nic nie robi w sprawie tych morderstw, musi być dla pana prawdziwą udręką. Ale prawda jest taka, że był pan w wojsku. Jest pan odznaczonym członkiem BOPE. I czuję, że jest pan człowiekiem, który – wypełniając należycie swoje obowiązki – nie dopuściłby do tego, aby biurokracja albo procedury łańcucha dowodzenia przeszkodziły panu w wykonywaniu powierzonych zadań. Gdyby pan wiedział, co się dzieje w Novej Godói, gdyby pan wiedział, że to właśnie ludzie stamtąd są odpowiedzialni za morderstwa, które popełniono do tej pory – i za te, które dopiero się wydarzą – podejrzewam, że nie zawahałby się pan podjąć odpowiednie działania.

Pułkownik Souza popatrzył na Pendergasta długim, przenikliwym, lodowatym spojrzeniem. A potem prawie niedostrzegalnie pokiwał głową.

– Co pan wie o Novej Godói? – zapytał Pendergast.

Pułkownik położył niedopałek cygaretki w popielniczce i napił się

piwa.

– Mówi się, że początkowo była to misja założona setki lat temu przez franciszkanów wysoko w górach.

– I?

Ciągnął z wahaniem:

– Dobrzy ojczulkowie zostali zmasakrowani przez miejscowych Indian i w ten sposób misję przerobiono na garnizon dla portugalskich żołnierzy, którzy koniec końców wytępilli *indígenas*. Później założono tam plantację, która w latach trzydziestych dwudziestego wieku została całkowicie opuszczona. Po wojnie osiedli tam niemieccy uchodźcy, podobnie jak w wielu innych rejonach Brazylii.

– Gdzie konkretnie znajduje się to miejsce?

– Na kompletnym odludziu, gdzie pewnie nie sposób się dostać, a jeżeli, to tylko drogą rzecznią. Niemiecka osada mieści się w górach, na brzegach wulkanicznego jeziora. Pośrodku tego jeziora znajduje się wyspa i właśnie na niej została wzniesiona misja, a później stary fort. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Mieszkańcy niemal całkiem odcięli się od świata. Ich jedynym punktem kontaktowym ze światem zewnętrznym jest Alsdorf. Tu zasięgają wiadomości, nabywają prowiant, potem stąd wyjeżdżają, ale nie nawiązują bliższych kontaktów, nawet z niemieckimi rodakami. – Przerwał. – Starają się nie wychylać, nie chcą zwracać na siebie uwagi. To wszystko, co mogę panu powiedzieć na ten temat.

Pendergast powoli pokiwał głową.

– To będzie niebezpieczne przedsięwzięcie, misja zbliżona poniekąd do operacji militarnej. No i rzecz jasna Polícia Civil nie zostanie o tym poinformowana. Udział w niej wezmą pańscy ludzie z Polícia Militar, ale cała operacja musi pozostać tajemnicą, nie może być żadnych zarejestrowanych wzmianek na jej temat. Cel będzie bez wątpienia dobrze strzeżony i silnie broniony, konieczny więc będzie taktyczny oddział bojowy w sile co najmniej stu, a może nawet więcej ludzi. Nie wejdzie pan tam jednak bez pełnego rozpoznania, które przeprowadzę osobiście. Przekażę panu później

niezbędne informacje. Jak już wspomniałem, jeżeli nam się uda, klątwa spoczywająca na Alsdorfie zostanie zdjęta raz na zawsze.

– Chce pan powiedzieć, że to ludzie z Novej Godói są odpowiedzialni za te morderstwa? – zapytał pułkownik.

– Właśnie tak.

– Ma pan na to jakieś dowody?

Pendergast wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki kilka fotografii z miejsc zbrodni w Nowym Jorku. Rozłożył je przed pułkownikiem, który przyjrzał się im w milczeniu.

– Tak, takie same jak zabójstwa, z którymi mamy tutaj do czynienia – potwierdził.

– Te zabójstwa popełniono w Nowym Jorku. Trop zabójcy prowadzi do Novej Godói.

– Ale dlaczego Nowy Jork?

– To długa historia, którą chętnie podzielę się z panem później. A teraz: czy potrzebuje pan więcej dowodów na potwierdzenie moich słów, czy to panu wystarczy?

– Wystarczy – odparł pułkownik, odwracając się ze wstrętem od fotografii.

– Mam kilka warunków. W kompleksie Nova Godói ukrytych jest dwóch młodzieńców. To bliźniacy. Żadnemu z nich nie może się stać krzywda. Sam się nimi zajmę. Dostarczę panu szkice.

Pułkownik ponownie spojrzął na Pendergasta, ale nic nie powiedział.

– I jeszcze jedno. W Novej Godói jest pewien mężczyzna – wysoki, potężnie zbudowany, o krótko przyciętych śnieżnobiałych włosach. Nazywa się Fischer. Nikomu nie wolno go tknąć. On jest mój i także w tym wypadku zajmę się nim osobiście.

Przy stoliku zapadła cisza.

– To moje jedyne warunki – powiedział Pendergast. – Czy chciałby pan usłyszeć, jak się przedstawiają moje dalsze plany?

Pułkownik milczał przez chwilę. Wreszcie na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech.

– Przyznam szczerze, że bardzo chciałbym je usłyszeć, agencie

Pendergast.

Przez okno maleńkiej chatki Corrie widziała poranny szron skrzący się na ziemi i zdobiący gałęzie rosnących dokoła buków. Słabe słońce z trudem przenikało przez kraciaste zasłony, a z piecyka, w którym porządnie napalono, płynęło przyjemne ciepło. Ojciec Corrie pochylił się nad kuchnią, oliwiąc patelnię na naleśniki; obok na drugiej patelni podsmażał bekon. Obejrzał się przez ramię.

– Naleśniki z borówkami, specjalność Jacka, zaraz będą gotowe.

– Pomogę ci – powiedziała Corrie, podnosząc się z miejsca.

– Nie, nie!

Odwrócił się, fartuch miał usmarowany. Musiała przyznać, że nie był najlepszym kucharzem. Ale ona też nie.

– To ja mam się tu popisać. Ty po prostu sobie posiedź.

Bez pytania wziął jej kubek i nalał kawy.

– Nie lubię siedzieć bezczynnie. Uśmiechnął się.

– Przyzwyczajaj się.

Corrie napiła się kawy. Przyjechała wczoraj popołudniowym autobusem, upewniając się, że nikt jej nie śledzi, i przeszła na piechotę od sklepu U Franka aż do chatki. Ojciec ucieszył się jak wariat na jej widok. Opowiedziała mu ze szczegółami o swoim śledztwie i był tym bardzo podekscytowany.

– A więc to prawda, że Charlie nie naciąga klientów? – zapytała Corrie.

Choć Charlie wydawał się dość przekonujący w innych sprawach, wciąż trudno jej było uwierzyć, że sprzedawca samochodów mógł być całkiem uczciwy.

– Nigdy go na niczym nie przyłapałem – odparł Jack.

– Stary Ricco zawołał go któregoś razu do swojego gabinetu. Pozostawił otwarte drzwi i zaczął suszyć mu głowę, że Charlie nie realizuje programu. Powiedział, że to osłabia morale. – Jack zaśmiał się. – Wyobrażasz sobie? Uczciwość osłabia morale.

– Wobec tego czemu go tam trzymają, skoro nie chce iść na współpracę?

– Charlie naprawdę umie sprzedawać auta. Jack wylał porcję ciasta na patelnię przy wtórze przyjaznego syku.

Corrie zaczęła coś sobie uświadamiać. Problemem jej ojca nie była nieuczciwość, ale dokładnie na odwrót – niezłomna, bezgraniczna uczciwość granicząca z przekonaniem o własnej nieomyślności. Dowiedziała się od niego, że został wylany z poprzedniej pracy – sklepu ze sprzętem stereo – ponieważ nie chciał pójść na szemrane układy dotyczące machlojek przy sprzedaży. Także tej firmie groził, że zgłosi ten proceder do Better Business Bureau. Sprzedaż polis również nie okazała się jego powołaniem z powodu jego dbałości o zgodność z przepisami i nadmiernej drobiazgowości.

Patrzyła, jak ojciec krząta się przy kuchni. Mimowolnie zaczęła się zastanawiać, co ona sama zrobiłaby w takiej sytuacji. Czy włączyłaby się do programu wyłudzenia kredytów? Zapewne nie, ale raczej nie biegłaby na policję, aby donieść o czymś tak błahym jak podwyższenie odsetek od kredytu poprzez podnoszenie oprocentowania rat o jeden czy dwa punkty. Firmy zarządzające kontami kredytowymi, banki i firmy hipoteczne robiły tego typu numery milion razy na dzień. Pewnie po prostu rzuciłaby tę robotę.

Znów zaczęła rozważać, czy prawo naprawdę jest jej powołaniem. Jakoś nie odnajdywała w sobie instynktu kogoś, kto czerpie satysfakcję z karania przestępców. Jak sobie z tym radził Pendergast?

Jack zamaszystym ruchem przewrócił naleśniki na patelni.

– Zobacz.

Były naprawdę idealne, złocistobrązowe, a małe dzikie borówki, z których wypływał sok, tworzyły na powierzchni naleśników

smakowicie wyglądające fioletowe plamy. A może jednak miał smykałkę kulinarną.

– Do tego odrobina prawdziwego syropu klonowego – powiedział Jack, unosząc butelkę. – A więc Charlie ma kumpla aktora, który pójdzie tam z założonym podsłuchem. Już mi się to podoba. Powinienem był sam o tym pomyśleć.

– Nagranie nie zostanie dopuszczone jako dowód w sądzie.

– Może i nie. Ale wystarczy, że zaczną grzebać i zadawać pytania, a cały ten parszywy biznesik zaraz wyjdzie na wierzch. To dobry pomysł. Naprawdę świetny.

Zadzwoiła komórka Corrie. Wyjęła telefon.

– Właśnie dzwoni Charlie. Odebrała, przełączając się na głośnik.

– Corrie – rzucił zdyszczonym tonem Charlie. – Nie uwierzysz, co się stało. To niewiarygodne. Przygwoździliśmy ich. Nie potrzebujemy pomocy mojego kolegi. Mam konkretny dowód – no wiesz, jak to się mówi, dymiącą spluwę – na to, że oni naprawdę wrobili twojego ojca.

– Co? Jak to?

– Wczoraj po twoim wyjściu Ricco i chłopaki odbyli zebranie we własnym gronie. Mnie z niego wykluczyli. Po spotkaniu wszyscy poszli do Blue Goose Saloon, zapewne po to, by pomówić o włamaniu, a mnie zostawili w salonie samego na całą godzinę przed zamknięciem firmy.

– I?

– Stary Ricco wyjął coś ze swojego sejfu i później nie domknął drzwiczek. Pozostawił je lekko uchylone. Zajrzałem tam, nie mogłem się powstrzymać, a w środku znalazłem kopertę z gotówką – było tego z dziesięć patoli – i z dołączonym do niej liścikiem do niejakiego Lenny’ego Otera. Był tam także raport tego gościa, napisany przez niego odręcznie, w którym wymieniał szczegółowo swoje wydatki i opłaty za pewien „projekt”, który niedawno ukończył.

– Co to za projekt?

– Wrobienie Jacka Swansona w napad na bank.

– To jest tam napisane? – Corrie nie mogła w to uwierzyć.

– Ożeż kurde! – rzucił Jack, podrywając się z krzesła i uderzając pięścią w otwartą dłoń.

– Kto to, twój tata? – zapytał Foote.

– Tak. Włączyłam na głośnik.

– Świetnie. Jeżeli chodzi o twoje pytanie, niestety, nie jest to aż tak oczywiste, w każdym razie nie zostało napisane wprost. Raport jest jakby zaszyfrowany, niejasny, nie ma w nim żadnych nazwisk ani szczegółów, ale kiedy się przeczyta cały, wszystko staje się jasne jak słońce. Otero prosi nawet Ricca, na samym końcu, aby spalił raport. To jak dymiąca spluwa, bez dwóch zdań.

– To fantastycznie! – powiedział Jack. – Co z nim zrobiłeś?

– Musiałem go tam zostawić, ale sfotografowałem go aparatem w mojej komórce. Mam te zdjęcia w kieszeni. A teraz posłuchaj, co musimy zrobić. Musimy zaraz pójść na policję, przekazać im zdjęcia i nakłonić, aby natychmiast przeprowadzili nalot na ten salon i zabezpieczyli zawartość sejfu, dosłownie natychmiast. Salon otwierają o dziesiątej, czyli za trzy godziny. Miejmy nadzieję, że Ricco nie przyjdzie do pracy wcześniej. Corrie, ty i ja musimy jeszcze dziś pojechać na policję, żeby zdążyli zdobyć nakaz i przeszukać ten sejf. Wiemy, że raport będzie w sejfie co najmniej do dziesiątej. Jeżeli jednak będziemy zwlekać, do jedenastej Ricco może spłacić tego oprycha, spali ten list i sejf będzie pusty.

– Rozumiem – powiedziała Corrie. Jack podszedł do niej, wyglądał na spiętego i zatroskanego.

– Posłuchaj, Corrie, przyjadę po ciebie. Musimy pojechać razem, dwoje pracowników Ricca to lepiej niż jeden.

– Tak, ale... – Myślała intensywnie.

– Po prostu powiedz mu, gdzie jesteśmy – odezwał się Jack. – Możesz mu zaufać.

Pokręciła głową.

– Jak daleko jesteś? – zapytał Foote.

– Jakąś godzinę jazdy samochodem, ale...

– Aż tak daleko? Cholera. Posłuchaj, wiem, że nie chcesz zdradzić, gdzie ukrywa się twój ojciec, ale naprawdę nie możemy czekać.

– W porządku. Spotkam się z tobą. W Old Foundry w New Jersey jest wiejski sklepik U Franka. Będę tam za godzinę.

– Jak tam dotrzesz, jeżeli nie masz samochodu?

– Nie martw się o mnie, domek jest niedaleko. Będę na czas.

Rozłączyła się. Jack objął ją i uściskał.

– To wspaniale! – powiedział. I nagle wyraz jego twarzy zmienił się, gdy wewnątrz chatki wypełniło się kwaśnym dymem. – O nie. Przypaliłem naleśniki!

Przystań w Alsdorfie znajdowała się nad brzegami Rio Itajaí-Açu, szerokiej, brązowej, cuchnącej rzeki wypływającej z porośniętego gęstą puszczą interioru zajmującego najbardziej wysunięte na południe prowincje Brazylii. Panował tam spory ruch, rybacy wywozili to, co udało im się złowić, wielkimi drewnianymi taczkami, handlarze rybami pokrzykiwali, wymachując trzymanymi w dłoniach plikami pieniędzy, sprzedawcy lodu przenosili zimne bloki. Były tam też prostytutki, pijacy i uliczni sprzedawcy pchający wózki z miękkimi preclami, kiełbaskami knockwurst, sauerbraten i – co najdziwniejsze – kebabem z kurczaka tandoori.

Pośród tych tłumów przeciskała się osobliwa postać – przygarbiony mężczyzna, w stroju khaki, z przyprószoną siwizną bródką a la van Dyck i włosami przyklepanymi przez kapelusze firmy Tilley. Dźwigał plecak najeżony siatkami na motyle, przynętami, słojami, pułapkami, pojemnikami na zbiory, lejkami i innymi mniej znanymi przyborami entomologa. Mężczyzna próbował dotrzeć na przystań portową, przedzierając się przez kłębiące się tam tłumy, a z jego ust płynął wysoki, piskliwy, gniewny głos pełen protestu w łamanym portugalskim. Zmierzał w stronę baraku na drugim końcu pływającego doku, gdzie widniała tablica z ręcznie malowanym napisem o treści: „Aluguel de barcos”.

Przed barakiem siedział Belmiro Passos, chudy mężczyzna w podkoszulku i klapkach, pojadając precla i obserwując podchodzącą postać. Za Passosem znajdowały się łodzie, głównie zdezelowane skiffy Carolina z podniszczonymi silnikami Yamaha,

które był gotów wynająć każdemu, niezależnie w jakim celu, legalnym czy niezgodnym z prawem. Jego klientami byli przede wszystkim wędrowcy podróżujący w górę i w dół rzeki, odwiedzający trudno dostępne wioski albo rybacy, których wiosłowe stareńkie łodzie odmówiły wreszcie posłuszeństwa. Od czasu do czasu Belmiro wynajmował łódkę rzadko tu docierającym miłośnikom ekstremalnych przygód, przyrodnikom czy okazjonalnym wędkarzom. Obserwując zbliżającą się postać, od razu się zorientował, że ma do czynienia z przyrodnikiem, co więcej, z entomologiem, kolekcjonerem motyli, którzy nierzadko zjawiali się w prowincji Santa Catarina, bogatej w zróżnicowaną egzotyczną populację motyli.

Rozentuzjasmowany mężczyzna przedarł się wreszcie przez tłum rybaków i sapiąc ciężko, podszedł do baraku. Belmiro powitał go z szerokim uśmiechem.

– *Yo... eu... quero alugar um barco! Alugar um barco!* – zawołał przybyły, z trudem artykułując słowa. Mieszając hiszpański z portugalskim, tworzył niemal nowy język.

– Mówimy po angielsku – rzekł półgłosem Belmiro.

– Dzięki Bogu! – Mężczyzna zrzucił plecak i oparł się o niego, sapiąc jak lokomotywa. – Wielkie nieba, ależ upał! Chciałbym wynająć łódź.

– Doskonale – odparł Belmiro. – Na jak długo?

– Na cztery, może sześć dni. I potrzebuję przewodnika. Jestem lepidopterologiem.

– Lepidopterologiem?

– Zbieram i badam motyle.

– Ach, motyle! A dokąd chce się pan udać?

– Do Novej Godói. Belmiro nagle zamilkł.

– To bardzo daleko w górę Rio Itajaí do Sul, hen, w głębi araukariowej puszczy. To niebezpieczna wyprawa. A Nova Godói leży na odludziu. Na prywatnym terenie. Nikt się tam nie zapuszcza. To zabronione.

– Nikomu nie będę zawadzał! I umiem radzić sobie z ludźmi, o tak.

Mężczyzna potarł kciuki o palec wskazujący, sugerując tym gestem łapówkę.

– Ale dlaczego Nova Godói? Czemu nie wybierze się pan do Parku Narodowego Serra Geral, gdzie można znaleźć o wiele więcej rzadkich motyli?

– Dlatego że krater Nova Godói jest miejscem, gdzie w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku widziano ostatni raz motyla Queen Beatrice. Mówi się, że te motyle wyginęły. Ja twierdzę, że to nieprawda, i zamierzam to udowodnić!

Belmiro popatrzył na tamtego. W wodnistych oczach entomologa lśniła prawdziwa pasja granicząca z fanatyzmem. To mogła być całkiem intratna transakcja, o ile tylko właściwie się ją rozegra, choć najprawdopodobniej straci łódź, a może nawet zostanie wplątany w nieprzyjemne dochodzenie.

– Nova Godói. Bardzo droga wyprawa.

– Mam pieniądze! – powiedział mężczyzna, wyjmując gruby plik banknotów. – Ale jak już mówiłem, potrzebuję przewodnika. Nie znam rzeki.

Powolne skinienie głowy. Przewodnik do Novej Godói. Kolejny problem. Ale nie niemożliwy. Byli tacy, co z pewnością dla pieniędzy zrobią wszystko.

– To jak? – spytał mężczyzna. – Zabierze mnie pan tam?

Belmiro pokręcił głową.

– Muszę pilnować biznesu, *doutor*.

Nie dodał, że ma żonę i dzieci, które chciałyby jeszcze w życiu zobaczyć.

– Ale znajdę dla pana przewodnika. I wynajmę panu łódź. Zaraz się tym zajmę.

– Zaczekam tutaj – rzekł mężczyzna, wachlując się kapeluszem.

Belmiro wszedł do baraku i wykonał telefon. Musiał przekonywać swojego rozmówcę przez dobrych parę minut, ale wiedział, że chciwość tego, do kogo zadzwonił, nie ma granic.

Wrócił, uśmiechając się szeroko. Za cenę, jakiej zamierzał zażądać za wynajem łodzi, mógł kupić dwie porządne używane łajby.

– Znalazłem dla pana przewodnika. Nazywa się Michael Jackson Mendonça. – Przerwał, obserwując wyraz niedowierzania malujący się na twarzy przyrodnika. – Mamy w Brazylii wielu Michaelów Jacksonów, jest tu sporo ludzi, którzy kochali króla popu. To popularne nazwisko.

– Nieważne – mruknął mężczyzna. – Ale zanim go wynajmę, chciałbym poznać tego... ee... Michaela Jacksona.

– Niedługo się zjawi. Mówi dobrze po angielsku. Mieszkał w Nowym Jorku. A tymczasem proponuję, abyśmy dobili targu. Wynajem łodzi wynosi dwieście reali za dzień, *doutor*, a do tego dwa tysiące reali kaucji, którą pan odzyska, kiedy tylko zwróci mi pan łódź. Oczywiście nie obejmuje to honorarium *senhor* Mendonçy.

Fanatyczny przyrodnik zaczął bez mrugnięcia okiem odliczać banknoty.

54

Corrie Swanson wyszła z chatki i skrótem, przez grań i leśną ścieżkę, dotarła do szosy. Pozostawiła ojca zaniepokojonego, krążącego w tę i z powrotem, zasypującego ją całą masą zbędnych rad, ostrzeżeń i sugestii na wypadek różnego rozwoju wypadków. Cała jego przyszłość zależała od tego, czy jej i Foote'owi się uda – i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Las był chłodny i ponury, nagie gałęzie drzew uderzały o siebie poruszane wzmagającym się wiatrem. Zbierało się na burzę, zanosilo się na deszcz, może nawet na deszcz ze śniegiem. Corrie miała nadzieję, że się nie rozpada, dopóki nie dotrą na policję i nie nakłonią stróżów prawa do nalotu na salon samochodowy. Spojrzała na zegarek. Ósma. Dwie godziny.

Ścieżka wychodziła na Old Foundry Road i już z tej odległości Corrie mogła zobaczyć sklepik U Franka oddalony o jakieś półtora kilometra wzdłuż szosy, neon z reklamą piwa Budweiser mrugał denerwująco. Ruszyła szybszym krokiem w tę stronę, maszerując poboczem. Gdy podeszła bliżej, zorientowała się, zaglądając przez szybę, że wewnątrz był już tłum porannych gości pijących kawę i palących papierosy. Zebrała się w sobie i weszła do środka, nonszalanckim pchnięciem otwierając skrzypiące drzwi.

– Czym mogę służyć? – zapytał Frank, prostując się i na próżno usiłując wciągnąć brzuch.

– Poproszę kawę.

Usiadła przy jednym z niedużych stolików i ponownie zerknęła na zegarek. Ósma piętnaście. Foote powinien tu dotrzeć najdalej o wpół

do dziewiątej.

Frank przyniósł jej kawę, śmietankę i cukier. Trzy saszetki cukru i trzy śmietanki sprawiły, że słaba jak lura kawa nadawała się jako tako do wypicia. Corrie opróżniła kubek paroma łykami i uniosła, już pusty w dłoni, prosząc o dolewkę.

– Znosi się na deszcz – powiedział Frank, napełniając jej kubek.

– Tja.

– I jak tam sobie radzicie, ty i twój tata?

Corrie rozerwała trzy kolejne saszetki cukru i wsypała ich zawartość do kubka, po czym dodała śmietanki.

– Dobrze – odrzekła, nie odrywając wzroku od okna, przez które rozciągał się widok na parking i dystrybutory paliwa.

– Za kilka dni zaczyna się sezon łowiecki – powiedział Frank przyjaznym tonem, najwyraźniej będąc w nastroju do dawania dobrych rad. – Wokół Long Pine zawsze roi się od myśliwych. Nie zapomnij wkładać pomarańczowej kamizelki.

– Jasne – odparła Corrie.

Podjechał samochód, z dość dużą szybkością, i zatrzymał się z lekkim piskiem opon. Escalade hybrid z przyciemnionymi szybami – auto Foote’a. Podniosła się błyskawicznie, rzuciła kilka banknotów na blat i wyszła.

Foote otworzył ubłocone drzwi pasażera, a Corrie wślizgnęła się do pachnącego skórą wnętrza. Foote był jak zawsze nienagannie ubrany, ale wydawał się dość spięty. Ruszył, zanim jeszcze domknęła drzwiczki, wyjeżdżając na Old Foundry Road z rykiem silnika.

– Skontaktowałem się z policją z Allentown – powiedział, przyspieszając. – Wszystko im wyjaśniłem. Z początku podchodzili do tego sceptycznie, ale zdołałem ich przekonać. Czekają na nas i są gotowi ruszyć machinę proceduralną, aby zdobyć nakaz i przeprowadzić nalot, jeżeli tylko spodoba im się to, co im pokażę. A na pewno im się spodoba.

– Świetnie. Dziękuję.

– Nie dziękuj mi. Ja tylko chronię siebie. I uważam, że twój tata

został wrobiony.

Przyspieszył jeszcze bardziej, zerkając na antyradar przymocowany do osłony przeciwsłonecznej przy podsufitce. Mknęli wiejską drogą, po obu stronach śmigały drzewa. Wszedł w zakręt, prowadząc z wprawą, a koła aż zapiszczały pod wpływem tego gwałtownego manewru.

– A niech to – odezwała się Corrie. – Właśnie przegapiłeś zjazd na Dziewięćdziesiątą Czwartą.

– Cholera, rzeczywiście. – Foote zwolnił, zjechał do pobocza, aby wykręcić i zawrócić. Spojrzał na nią. – Ej, zapnij pas.

Corrie sięgnęła w stronę drzwi, aby podciągnąć do siebie pas bezpieczeństwa, i przez chwilę macała drugą ręką w poszukiwaniu zatrzasku, który jakimś sposobem wsunął się pomiędzy siedzenia. W tej samej chwili usłyszała za sobą nagłe poruszenie, odwróciła się częściowo i poczuła silne jak ze stali ramię opasujące jej szyję i dłoń przyciskającą do jej twarzy szmatę nasyconą gryzącym w nozdrza chloroformem.

Ale była przygotowana.

Zacisnęła dłoń na nożu introligatorskim, który miała schowany w rękawie, uniosła go energicznie i rozcięła do kości dłoń Foote'a po wewnętrznej stronie, równocześnie obracając się na fotelu. Foote ryknął z bólu, upuszczając szmatę i chwytając zranioną rękę. Corrie odwróciła się zupełnie w jego stronę i przytknęła ostrze noża introligatorskiego do gardła mężczyzny.

– Mam cię – powiedziała.

Foote nie odpowiedział. Ścisnął zranioną rękę.

– Naprawdę masz mnie za taką idiotkę? – zapytała, mocniej wbijając ostrze noża w jego szyję. – Może udało ci się oszukać mojego ojca tymi bzdurami o uczciwości godnej bohatera klasy robotniczej. Ale nie mnie. Od początku cię podejrzewałam. Uczciwy sprzedawca aut, jedyny w całym salonie, akurat. To wyglądało zbyt pięknie, aby mogło być prawdą. I ten żaloszny numer ze znalezieniem w sejfie poufnego rachunku za wrobienie mojego ojca. Żenada.

Zanim zdążył się pozbierać, szybko spenetrowała kieszenie jego spodni i kurtki. Znalazła wielkokalibrowy rewolwer, wyciągnęła i wycelowwała w niego.

– To co się tak naprawdę dzieje, do cholery? – spytała.

Foote oddychał ciężko.

– A jak sądzisz? Przekręt. Coś znacznie bardziej intratnego niż zgarnianie paru marnych dolców na zawyżaniu oprocentowania kredytu długoterminowego. Mogę was w to wciągnąć, ciebie i twojego ojca.

– Akurat. Mój ojciec musiał się zorientować, że coś tu śmierdzi, a wtedy go wrobiłeś. – Machnęła trzymaną w ręce spluwą. – Wiem, że musiałeś się domyślić, gdzie jest jego chatka. Podejrzewam, że przyjechałeś tu wcześniej, stanąłeś gdzieś z boku, aby obserwować okolicę i zobaczyłeś, jak wychodzę na szosę. – Wzięła głęboki oddech. – Powiem ci, co się teraz stanie. Pojedziemy do tej chatki. Przez cały czas będę cię trzymała na muszce. Po pierwsze opowiesz wszystko mojemu tacie. Potem wezwiemy policję. I także im wyjaśnisz, jak było naprawdę. Rozumiemy się?

Foote znieruchomiał na chwilę. Wreszcie pokiwał głową.

– Dobra. To jedź. Tylko bez żadnych sztuczek, bo cię rozwalę.

Tak naprawdę nigdy dotąd nie strzelała z rewolweru. Nie miała nawet pewności, czy broń jest odbezpieczona. Ale Foote tego nie wiedział.

Starła się trzymać jak najdalej od Foote'a, cały czas celując do niego, gdy mężczyzna wjechał na Old Foundry Road, a następnie skręcił na Long Pine. Prowadząc mozolnie pod górę po wąskiej ścieżce, nie odezwał się ani słowem. Jakież trzydzieści metrów od domku ponownie machnęła bronią.

– Zatrzymaj tutaj. Foote zatrzymał wóz.

– Wyłącz silnik i wysiądź. Foote wypełnił polecenie.

– A teraz idź w stronę chatki. Będę tuż za tobą. Wiesz, co się stanie, jeżeli spróbujesz jakichkolwiek sztuczek?

Foote popatrzył na nią. Był przeraźliwie blady, pomimo chłodu na jego twarzy perlił się pot. Blady i wściekły zaczął iść w stronę chatki,

a zeszcłe gałązki z trzaskiem pękały pod jego stopami.

Corrie poczuła zalewającą jej ciało falę adrenaliny i niesamowicie szybkie bicie serca. Zdołała jednak powstrzymać drżenie głosu. Powtarzała sobie, że bywała w gorszych, o wiele gorszych sytuacjach. Tylko zachowaj spokój. Zachowaj spokój, a wszystko będzie dobrze.

W chwili gdy podeszli do drzwi domku, Corrie usłyszała szczęk zwalnianej zasuwki. Drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając Corrie w przegub. Z okrzykiem bólu upuściła rewolwer. Jej ojciec stanął w drzwiach, wodząc wzrokiem od Foote'a do niej i z powrotem.

– Corrie? – zapytał ze zdziwieniem na twarzy. – Usłyszałem jakiś hałas. Co tutaj robisz? Przecież miałaś pojechać do miasta.

Corrie rzuciła się po broń, ale Foote był szybszy. Schwycił rewolwer i równocześnie brutalnie odepchnął ją do tyłu. Jack Swanson patrzył z niedowierzaniem na broń, gdy Foote uniósł ją i wycelował w niego. Dosłownie w ostatniej chwili Jack uskoczył w bok w zarośla, ale strzał huknął i po sposobie, w jaki ciało ojca się skrzyło, Corrie zorientowała się, że kula dosięgnęła celu.

– Ty draniu! – krzyknęła, rzucając się na Foote'a z nożem introligatorskim w dłoni.

On jednak odwrócił się błyskawicznie, uderzając ją kolbą rewolweru w skroń, i nagle w jednej chwili cały świat przestał istnieć.

Ocknęła się raptownie i jej umysł się przejaśnił. Została pospiesznie skrępowana plastikowymi kajdankami, miała unieruchomione ręce i nogi, po czym wrzucono ją na tylne siedzenie wozu Foote'a, gdzie została ułożona bokiem w pozycji siedzącej.

Czekała, nieprawdopodobnie zdenerwowana, i nasłuchiwała w napięciu. Tak starannie wszystko przemyślała i cały jej plan w ciągu piętnastu minut się zawalił. Co teraz? Co się stanie? Boże, to wszystko jej wina, powinna była pojechać na policję, zamiast próbować samodzielnie rozwikłać tę sprawę, ale bała się, że gliny po prostu aresztują jej ojca i uznają sprawę za zakończoną...

Wtem usłyszała kolejne strzały – dwa, jeden po drugim. A potem nastąpiła cisza. Przerywały ją od czasu do czasu podmuchy wiatru kołyszącego gałęziami, które uderzały o siebie z głuchym trzaskiem.

Przyrodnik, opierając się o plecak, czekał w cieniu na przybycie *senhor* Michaela Jacksona Mendoncy. Mężczyzna w końcu się zjawił, i to z wielką pompą: potężny, masywny, brązowoskóry, względnie młody, o szerokim uśmiechu, z długimi kręconymi włosami przewiązanymi bandaną, w koszuli bez rękawów, szortach i klapkach. Przecisnął się przez tłum, a jego donośny, przyjazny głos nakłaniał kolejnych ludzi do zejścia mu z drogi. Wyciągnął rękę, będąc jeszcze dobrych dwadzieścia metrów od przyrodnika, po czym podszedł i żywo uścisnął jego wiotką dłoń.

– Michael Jackson Mendonça – rzekł. – Do usług. Przyrodnik wycofał wytrąsniętą rękę tak szybko, jak tylko zdołał.

– Jestem Percival Fawcett – powiedział chłodno. Przynajmniej angielski Mendoncy nie budził zastrzeżeń.

– Percival! Mogę mówić panu Percy? Kolejne chłodne skinienie.

– Świetnie, świetnie. Jestem z Nowego Jorku. Z Queensu! Dwadzieścia lat w pańskim wielkim kraju, Ameryce. A więc słyszałem, że chce pan się wybrać do Novej Godói?

– Tak. Choć wydaje się, że to może być trudne.

– Ależ skąd, bynajmniej! – zawołał Mendonça. – To długa wyprawa, tak. A Nova Godói nie jest prawdziwym miastem, znaczy się publicznym. Leży w głębi puszczy. Niedostępne dla ludzi z zewnątrz. Tamtejsi ludzie nie są przyjaźni. Ani trochę.

– Nie zamierzam się z nikim przyjaźnić – odparł przyrodnik. – Nie będę też nikogo niepokoił. W razie jakichkolwiek problemów mam pieniądze, mogę zapłacić. Widzi pan, poszukuję Queen Beatrice. Zna

pan?

Mendonça spojrział ze zdumieniem na przyrodnika.

– Nie.

– Nie? To najrzadszy motyl na świecie. Udało się zdobyć jak dotąd tylko jeden egzemplarz, znajduje się obecnie w British Museum, eksponat siedem pięć dziewięć trzy pięć A jeden dziewięć zero jeden – z namaszczeniem w głosie podał numer. – Wszyscy uważają, że ten gatunek wyginął, ale ja mam powód, by wierzyć, że to nieprawda. Widzi pan – jego głos nabrał gawędziarskiego tonu, kiedy przyrodnik wszedł na swój ulubiony temat – z moich badań wynika, że krater Nova Godói ma jedyny w swoim rodzaju ekosystem, w którym panują szczególne warunki. Ten gatunek motyla żyje wyłącznie tam, nigdzie indziej. A w tym miejscu nie było zawodowego lepidopterologa od czasów drugiej wojny światowej! Czego zatem można oczekiwać? Oczywiście, że nikt więcej nie widział tych motyli, bo żaden entomolog nie był łaskaw tam się pofatygować! Ale teraz to się zmienia, bo ja się tam wybieram.

Sięgnął do plecaka i wyjął laminowaną fotografię ukazującą brązowego niedużego motyla przypiętego szpilką do białej kartki i z podpisem poniżej.

Mendonça spojrział na zdjęcie.

– To jest Queen Beatrice?

– Czyż nie jest przepiękny?

– *Esplêndido*. A teraz musimy porozmawiać o zapłacie.

– To okaz, który znajduje się w British Museum. Jak pan widzi, z przykrością muszę stwierdzić, że bardzo wyblakł. Mówi się, że oryginał miał intensywną mahoniową barwę.

– Zapłata – powtórzył Mendonça.

– Tak, tak. Ile?

– Trzy tysiące reali – powiedział Mendonça, siląc się na nonszalancki ton. – To będzie stawka za cztery dni. Plus cena prowiantu i zapasów.

– Oprócz opłaty za wynajęcie łódki? Hmm. Cóż, skoro tyle to kosztuje, trudno.

– Płatne z góry – dorzucił Mendonça. Pauza.
– Połowa z góry, połowa na miejscu.
– Dwa tysiące górką, a tysiąc po dotarciu na miejsce.
– No dobrze, niech będzie.
– Kiedy wyruszamy? – spytał Mendonça. Przyrodnik wydawał się zdziwiony.

– Natychmiast, ma się rozumieć – oznajmił i zaczął niezwłocznie odliczać pieniądze.

Przyrodnik siedział na dziobie ze swoim plecakiem, czytając książkę Władimira Nabokowa, podczas gdy Mendonça wstawiał do łodzi chłodziarkę z żywnością oraz suchy prowiant, namiot, śpiwory i swój skromny bagaż zawierający ubranie na zmianę.

Wkrótce płynęli już w górę rzeki, Mendonça stał przy sterze, skiff pozostawiał na brązowej wodzie kremowy kilwater. Był późny ranek, a Mendonça uważał, że powinni przed zmierzchem dotrzeć do ostatniej osady przed puszczą. Choć nie znajdą tam noclegu, mogli przynajmniej zjeść kolację, a zwłaszcza napić się zimnego piwa w miejscowej *fornecimento*. Obóz rozbiją na polu nad rzeką. Miał również szczerą nadzieję, że znajdzie tam kogoś, kto powie mu, jak pokonać ostatni odcinek drogi między Rio Itajaí do Sul a Novą Godói, gdzie tak naprawdę nigdy nie był, choć słyszał wiele plotek dotyczących tego miejsca.

W miarę jak łódź posuwała się w górę rzeki, mijając rybaków i rzecznych wędrowców, nad wodą zaczął wiać miły wietrzyk, przynosząc przyjemny chłód i przeganiając moskity. Minęli już kilka ostatnich domów w Alsdorfie i ujrzeli zielone pola, te uprawne i te, na których pasło się bydło. Tereny wyglądały na schludne i zadbane; takie właśnie wrażenie sprawiał cały południowy rejon Brazylii. Ani trochę nie przypominał chaotycznego, przeżartego przestępczością Rio de Janeiro. Przyrodnik odłożył książkę.

– Był pan już w Novej Godói? – zagadnął.
– Cóż, niezupełnie – odparł Mendonça. – Ale oczywiście wiem, jak tam trafić.

– Co konkretnie wie pan o tym miejscu? Mendonça zaśmiał się

lecko, aby ukryć zdenerwowanie. Bał się, że przyrodnik zacznie zadawać takie pytania. Choć nie wierzył w połowę zasłyszanych plotek, nie chciał wystraszyć swojego klienta.

– Słyszałem to i owo.

Pokręcił głową, sterując łodzią, by ominąć grupę rybaków wyciągających sieci z wody.

– Ilu ludzi tam mieszka? – dopytywał przyrodnik.

– Nie wiem. Jak już mówiłem, to nie jest zwykłe miasto. To stara plantacja tytoniu, prywatna posiadłość, niedostępna dla ludzi z zewnątrz. Stara niemiecka kolonia, jakich wiele w całej okolicy, tyle że leżąca na jeszcze większym odludziu.

– I była to kiedyś plantacja tytoniu?

– Tak. Tytoń to jedna z naszych podstawowych upraw – odparł z dumą Mendonça i dla podkreślenia swoich słów wyjął z kieszeni dwa cygara, by poczęstować jednym przyrodnika.

– Nie, dziękuję. Niepotrzebny mi gwóźdź do trumny.

– Ha, ha – zaśmiał się Mendonça, zapalając cygaro. Zabawny pan jest. – Wydmuchnął dym. – Tytoń. Plantację opuszczono w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Po wojnie zjawili się Niemcy i założyli niewielką osadę. Zamieszkali tam i prawie w ogóle nie zaglądali do miasta. Tamtejsi Niemcy ich nie lubią, mówią, że to naziści. – Mendonça zaśmiał się w głos.

– Ale pan w to nie wierzy.

– Tu, w Brazylii, ludziom się wydaje, że wszędzie widzą nazistów. To narodowa rozrywka. Jeżeli w miasteczku jest pięciu starych Niemców, wszyscy mówią, że to na pewno naziści. Nie, ludzie z Novej Godói po prostu trzymają się na uboczu, to wszystko. Są jak... jak jakaś sekta. Nie lubią obcych. Wręcz ich nie znoszą.

Mendonça znów wydmuchnął kłęb dymu z cygara, potem kolejny, pozostawiając dwa obłoczki dymu unoszące się w powietrzu za łodzią.

– Niektórzy uważają, że za morderstwami w Alsdorfie stoją ludzie z Novej Godói – rzucił niejako mimochodem przyrodnik.

– Morderstwa? A, mówi pan o tych plotkach, które krążą po

mieście. Ludzie są tacy zaściankowi. Niech pan spyta, kogo chce, w jakimkolwiek miasteczku Brazylii, a dowie się pan, że w sąsiedniej osadzie mieszkają same męty i szumowiny. Mieszkałem w Queensie, więc nie do mnie ta mowa.

Ponownie się zaśmiał, dając do zrozumienia, że te wszystkie plotki były bezpodstawne. Zdziwiło go, że przyrodnik tyle zdołał się dowiedzieć. Nie miało sensu niepokoić klienta, dopóki nie zainkasuje od niego ostatniego tysiąca.

– A co z innymi plotkami? No wie pan, że w Novej Godói mieszkają same bliźnięta?

Mendonça zamarł. Słyszał tę plotkę, ale przekazywano ją sobie w największej tajemnicy, dyskretnym szeptem. Skąd ten cudzoziemiec mógł o tym wiedzieć?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł.

– Oczywiście, że pan o tym wie. Mówi się, że to miasto dziwolągów. W całości zamieszkane przez identyczne bliźnięta. Ludzie mówią o eksperymentach genetycznych.

– Gdzie pan o tym usłyszał?

– W *bierhalle*.

To wydawało się nieprawdopodobne. Po plecach Mendonçy przeszedł dreszcz. Ten przyrodnik zaczynał go przerażać.

– Nie, nic o tym nie wiem. To nieprawda. – Spróbował zmienić temat. – Ale są tam stare ruiny. Chyba jakiegoś fortu. Zna pan jego historię?

– Nie.

– Został wzniesiony przez Portugalczyków w końcu siedemnastego wieku. – Mendonça miał się wielu zajęć w swoim życiu, a jednym z nich było prowadzenie autokaru wycieczkowego w Blumenau. Wiedział prawie wszystko. – Grupa franciszkańskich misjonarzy zbudowała klasztor na wyspie, pośrodku wulkanicznego jeziora Godói, i nawróciła Indian Aweikoma na wiarę chrześcijańską. A przynajmniej tak im się wydawało. – Zarechotał w głos. – Któregoś dnia Indianie wszczęli bunt. Mieli dość zajmowania się ogrodami mnichów. Zabili wszystkich. Wtedy zjawiono się portugalskie wojsko

i zmieniając klasztor w fortecę, wybiło większość Indian, a ci, którzy przeżyli, uciekli do puszczy. Kiedy Indian już nie było, żołnierze odeszli. Później w tym miejscu założono plantację.

– Czemu w tym regionie jest tylu Niemców? – zapytał przyrodnik.

– W tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku brazylijski rząd rozpoczął program niemieckiej kolonizacji. Słyszał pan o nim? Niemcy były przeludnione, ludzie nie mieli ziemi, a w Brazylii było mnóstwo terenów, których nie miał kto uprawiać. Dlatego Brazylia zaoferowała każdemu Niemcowi, który zechciał tu przyjechać, darmową ziemię w odludnych zakątkach kraju. Tak powstały osady Blumenau, Alsdorf, Joinville i kilka innych miasteczek w Santa Catarina. Trzydzieści, może nawet czterdzieści procent naszych obywateli jest pochodzenia niemieckiego.

– To nader interesujące.

– Tak. Kolonie były tak odizolowane, że rozwijały się wyłącznie w duchu niemieckim, z niemieckim językiem, architekturą, kulturą i całą resztą. Oczywiście w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku to się zmieniło.

– Co się wtedy stało?

– Właśnie wtedy Brazylia wypowiedziała Niemcom wojnę.

– Nie wiedziałem o tym.

– Mało kto o tym słyszał. Przyłączyliśmy się do udziału w drugiej wojnie po stronie Amerykanów. W Brazylii ustanowiono prawo, zgodnie z którym niemieccy koloniści mieli nauczyć się portugalskiego i stać się Brazylijczykami. Większość z nich tak postąpiła, ale niektórzy w odludnych częściach kraju postanowili, że nie będą tego przestrzegać. Poza tym wielu Niemców opuściło Brazylię i wróciło do Niemiec, aby walczyć dla nazistów. Oczywiście niektórzy później znów tu wrócili, by ukryć się przed trybunałem w Norymberdze. Tak przynajmniej mówią ludzie. Ale to było dawno temu. Teraz oni wszyscy już odeszli. Jest takie portugalskie powiedzenie: *água debaixo daponte* – było, minęło.

– W Novej Godói nie ma nazistów? – Przyrodnik wydawał się niemal rozczarowany.

Mendonça energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie! To tylko takie legendy! Mity, nic więcej! Jeszcze parę razy wydmuchnął dym, zanim cisnął niedopałek cygara za burtę. Oczywiście plotkom na temat Novej Godói nie było końca, niemniej wszystko to jedynie absurdalne bzdury, duby smalone, wysane z palca brednie, zabobonne niedorzeczności. Ale Mendonça przez dwadzieścia lat mieszkał w Queensie. Widział świat. Znał różnice pomiędzy faktem a mitem.

Łódź płynęła dalej równym tempem, pola zupełnie już zniknęły, a po obu stronach rzeki zgęstniały ostępy araukariowej puszczy rzucające cień na brązową rzekę. I choć przeżył w Queensie tyle lat, Mendonça poczuł nagle, że po plecach przeszedł mu lodowaty dreszcz.

56

Pierwsza kula trafiła Jacka Swansona w ramię, gdy dawał nurka, by ukryć się w zaroślach za chatką. Drugi strzał był niecelny, kula przeleciała wysoko nad jego głową.

Leżał przez chwilę na ziemi oszołomiony, wsłuchując się w rozlegające się w pobliżu odgłosy szamotaniny i pełne wysiłku stękanie. Zaraz potem trzasnęły drzwiczki auta. W tym momencie Jack poderwał się i pobiegł w las. Niebo było ciemne, wiatr szarpał gałęzie drzew i kołysał gęstymi zaroślami górskiego wawrzynu, które tworzyły podszyt.

Znał te lasy. A wawrzyny, wiecznie zielone krzewy, stanowiły idealną kryjówkę. Wbiegł w gęstwinę, przedzierając się przez nią, aby maksymalnie zwiększyć dystans pomiędzy nim a Foote'em. Kiedy uznał, że zapuścił się dostatecznie daleko, przykucnął i zaczął się przesuwać w bok zygzakiem przez największy gąszcz, wchodząc jeszcze bardziej w zarośla. Z coraz większą ulgą czuł, że mu się udało. Foote nigdy go nie znajdzie w tym lesie, poprzecinanym ścieżkami utworzonymi przez zwierzęta i oferującym wiele dróg ucieczki. Ale co się stało? Dlaczego Foote? Przecież Foote próbował im pomóc...

Rozległ się głos:

– Jack!

Zamarł w bezruchu. To był Foote.

– Jack! Musimy pogadać!

Przycupnął skulony jak najniżej, oddychał z trudem. W jego umyśle sytuacja zaczęła się klarować. A więc to jednak prawda – to

musiała być prawda. Foote też brał udział w tych machlojkach. Wszystko, co powiedział jemu i Corrie, było kłamstwem. A teraz miał ją.

– Słyszysz mnie, Jack? Mam twoją córkę! Jest związana w moim aucie. A my mamy sporo do obgadania, co nie?

Jack usłyszał, jak Foote wchodzi do lasu, zaczyna przedzierać się przez ostępy górskiego wawrzynu.

– Och, Jackie! Musimy pomówić!

Jack przesuwiał się w bok, oddalając się od miejsca, ku któremu kierował się Foote. Chryste, musi się zastanowić, co dalej.

Foote ma Corrie.

Ta myśl omal nie zdruzgotała tej wątłej jasności umysłu, którą udało mu się odzyskać. Co miał teraz zrobić? Nie mógł uciec. Musiał w jakiś sposób pokonać Foote'a i uratować córkę. Tyle tylko że ten drań ma broń, a on jedynie scyzoryk. W pewnej chwili z niejakim zdziwieniem uświadomił sobie, że został postrzelony. Cały bark miał przesiąknięty krwią, lewa ręka zwisała bezwładnie. To dziwne, ale wcale nie czuł bólu, jedynie drętwotę. A więc na dodatek miał teraz sprawną tylko jedną rękę.

Co zrobić?

Jack próbował myśleć, ale równocześnie przez cały czas słyszał Foote'a, który zbliżał się, przedzierając się przez gąszcz. Znowu zaczął przesuwac się w bok możliwe jak najciszej, starając się trzymać nisko i lawirować wśród zarośli. Szum wiatru maskował jego poczynania, tłumiąc zarówno odgłosy, jak i wywołany przez niego ruch krzewów.

– Jack, jeżeli zaraz nie wyjdiesz, wrócę do auta i ją zabiję. Słyszysz mnie? Odezwij się do mnie albo ona umrze.

Strach zupełnie sparaliżował Jacka. Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął scyzoryk, otworzył ostrze i sprawdził kciukiem. Tępe.

– Odezwij się do mnie. Pogadajmy! – krzyknął Foote.

– W porządku. Pomówię z tobą. – Jack z trudem wydobył z siebie głos..

Usłyszał, jak Foote się odwraca, usiłując odnaleźć źródło jego

głosu. Zmienił nieznacznie pozycję; miał mętlik w głowie. Musiał być jakiś sposób. Jakikolwiek. Poczul ukłucie lodowatej kropli deszczu na skórze, a zaraz potem kolejne. Deszcz, albo raczej deszcz ze śniegiem, rozpadał się na dobre.

– Posłuchaj, Jack. Jakoś to załatwimy. Nic się nie stanie tobie ani twojej córce, jeżeli tylko będziesz współpracował. Zgoda?

– Zgoda – przytaknął Jack.

Usłyszał, jak Foote podchodzi bliżej, i ponownie zmienił pozycję, prześlizgując się między krzewami wzdłuż ścieżki pozostawionej przez leśne zwierzęta.

– Oczywiście, że brałem udział w przekręcie – ciągnął kojącym głosem Foote. – Ale nie takim, jak myślisz. Nie chodziło mi o to, żeby orznąć klientów.

– Więc o co?

– GMAC, General Motors Acceptance Corporation. Grube ryby. Mieli finansować sprzedaż ratalną nieistniejących aut. Pracowałem z rewidentem księgowym w GMAC, facetem, który co miesiąc zjawia się w salonie, przebijał nam numery VIN. To gruby przekręt i zarabiamy na tym naprawdę mnóstwo kasy. Tobie też coś z tego skapnie.

Jack wciąż przesuwiał się w bok.

– Co powiesz na pięćdziesiąt kawałków? No i puszczę twoją córkę. Wszystko jest w porządku.

Przybliżał się powoli, coraz bardziej.

– A więc to ty mnie wrobiłeś – powiedział Jack.

– Tak, to prawda, wrobiłem cię w napad na bank. Naprawdę mi przykro, Jack. Nie mogłem pozwolić, abyś poszedł na policję i doprowadził do wszczęcia śledztwa. Bo śledztwo nawet w tak błahej sprawie jak durne wyłudzenie kredytów mogłoby mnie zniszczyć. Rozumiesz? To nic osobistego.

Cisza.

– Jack? Nie mogę gadać z krzakami. Musimy pomówić twarzą w twarz.

Foote był o jakieś pięćdziesiąt metrów od niego, daleko jak na

zasięg broni krótkiej. Jack podniósł się i natychmiast znów rzucił na ziemię, kiedy rozległ się huk wystrzału.

Foote pognał w jego stronę, przedzierając się przez zarośla, i strzelił ponownie. Jack, nisko pochylony, zaczął się oddalać na skos w bok; kolejna kula ścięła kilka gałązek i liści nieopodal.

– Twoja córka nie ujdzie z życiem!

Jack wycofywał się najszybciej jak tylko mógł, prześlizgując się przez wąskie szczeliny, poruszając się w nieoczekiwanych kierunkach, a deszcz ze śniegiem zacierał jego ślady. Jednak coś się wydarzyło. Coś pękło. Paraliżujący strach prysnął zastąpiony przez gniew. Niepohamowaną, nieopisaną wściekłość. Ten łajdak porwał mu córkę, skrupował ją, próbował zabić jego i z całą pewnością zabiłby ich oboje przy pierwszej sposobności. Wraz z gniewem Jacka ogarnęła niespodziewanie niezwykła jasność umysłu. Znów mógł myśleć racjonalnie. A jego myśli były naprawdę przerażające.

Foote w hałaśliwym pościgu znów stracił go z oczu.

– Ha, ha, Jack. Nie celowałem w ciebie. Posłuchaj, pogadajmy. Możemy jakoś się dogadać, a ty odzyskasz córkę. Niech będzie sto tysięcy!

Jack przypomniał sobie trzaśnięcie drzwiczek auta, po tym jak został postrzelony. Wóz stał blisko domu. Bez wątpienia właśnie tam została uwięziona Corrie. Tylko gdzie właściwie znajdowała się ta bryka?

Aby odzyskać orientację w terenie, pospiesznie cichaczem zaczął się przesuwać przez największy gąszcz, okrążając Foote'a, który wciąż zdradzał swoje położenie na przemian to grożąc, to próbując nakłonić go do współpracy. Wreszcie tamten powiedział:

– Dobra, dość tego! Ona już nie żyje!

A potem usłyszał, jak Foote zdecydowanym krokiem zaczyna się przedzierać przez zarośla. Jack znieruchomiał i podniósł leżący na ziemi kamień. Zdrową ręką wykonał zamach i cisnął go w bok za siebie, trafiając nim między krzewy. Zorientował się, że Foote przystanął, ale zaraz ruszył w tamtą stronę.

– Jack! Wiem, gdzie jesteś! Jeden... dwa... trzy...! Jack usłyszał

hałas i wołanie Foote'a; chciał ustalić jego pozycję i równocześnie sam zaczął się przesuwać w tę stronę, w którą zmierzał Foote. Tamten zawołał jeszcze parę razy, po czym bardzo szybko, niemal pędem, pognął przez las.

Jack podniósł następny kamień, ale trafił w drzewo. Kamień zrykoszetował od pnia. Tym razem nie poszło mu tak dobrze jak poprzednio.

– Rzucamy kamieniami, co? To ci się nie uda, dupku! Krzycz dalej, pomyślał Jack, wykorzystując tę okazję, by przemknąć sprintem przez otwartą przestrzeń do sąsiedniej kępy zarośli. Teraz lało jak z cebra, był przemoknięty do suchej nitki. Gdy się przemieszczał, zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się dość daleko w tyle za Foote'em. Musiał przyspieszyć. Cisnął kolejny kamień, na co odpowiedzią było kilka strzałów oddanych mniej więcej w jego kierunku. Słyszał Foote'a, który wciąż zmierzał w stronę chatki, powtarzając swoje groźby i obrazowo opisując, co zamierza zrobić z Corrie.

– Zerżnę ją w kakaowe oczko, Jack, pomyśl tylko o tym! A potem ją uduszę – i zrobię to powoli!

Jack pobiegł mocno przygarbiony, przedzierając się przez wawrzyny. Szalejąca ulewa skutecznie tłumiała czyniony przez niego hałas, mógł więc nie zwalniać kroku. Usłyszał, że nawoływania Foote'a stają się coraz głośniejsze. Musiał się pospieszyć, dać z siebie wszystko.

W oddali przed sobą spostrzegł prześwit w ciemnym zimnym lesie – to była ścieżka. Foote przestał porykiwać. Jack wciąż sunął naprzód przez krzewy, poruszając się równolegle do drogi, najciszej jak to było możliwe, dopóki nie zobaczył słabego matowego błysku. Auto stało mniej więcej w tym miejscu, w którym się tego spodziewał.

Ale Foote znajdował się bliżej samochodu niż on – zbyt blisko. W krwawiącej dłoni trzymał rewolwer. Zarechotał, otwierając tylne drzwiczki.

– Szykuj się, suko – wycedził.

Wszystkie siły odpłynęły z kończyn Jacka i osunął się na ziemię. Po wszystkim. Spóźnił się. To koniec.

W tej samej chwili coś ciemnego – jeden z buciorów Corrie, a za nim przyobleczona w dżinsy noga – wyskoczyły z tylnego siedzenia w stronę Foote'a. But trafił go dokładnie w krocze z przerażającą siłą. Foote stęknął z bólu i zatoczył się do tyłu, upuszczając rewolwer.

W mgnieniu oka Jack poderwał się z ziemi. W następnej chwili dopadł Foote'a, ignorując leżącą gdzieś w trawie broń, i z całej siły jednym płynnym ruchem uderzył go scyzorykiem w twarz. Ostrze trafiło w oko. Stał pogrążyła się w gałce ocznej, ze zranionego oka wytrysnęła struga płynu, ostrze zgrzytnęło o cienką kość w głębi oczodołu. Foote zaczął się miotać, wydając nieartykułowany ryk. Uniósł ręce do twarzy. Jack upadł na rewolwer, podniósł go, a potem wymierzył w Foote'a, który wił się w agonii, z krwią sączącą się spomiędzy dłoni przyciśniętych do twarzy. Jack uniósł broń i wycelował w głowę Foote'a.

– Nie! – rozległ się głos z tyłu.

Jack odwrócił się. To była Corrie leżąca na tylnym siedzeniu z rękami skrępowanymi za plecami.

– Potrzebny jest nam żywy – powiedziała. – Musi wszystko wyśpiewać.

Jack milczał przez chwilę. Potem powoli opuścił rewolwer. Spojrzał na kostki Corrie. Miała wolne nogi, plastikowe kajdanki leżały rozcięte i powyginane na podłodze przy tylnym siedzeniu. Podążyła za jego wzrokiem.

– Za fotelem kierowcy, przy ramie był wystający zadziór – wytłumaczyła.

Jack postąpił naprzód. Otarł ostrze scyzoryka z krwi, po czym użył go, by przeciąć plastikowe kajdanki. Po chwili bez słowa uściskał córkę; nie tulił tak do siebie nikogo w całym swoim życiu, a po policzkach, tak jak po twarzy Corrie, spływały mu strużki łez.

Był chłodny poranek po deszczowej nocy, mgły kłębiły się nad powierzchnią rzeki, gdy wyruszyli z ostatniej osady nad Rio Itajaí do Sul, najbardziej oddalonego na południe dopływu Rio Itajaí.

Mendonça, w paskudnym nastroju i leczący kaca, sterował łodzią w górę rzeki. Przyrodnik Fawcett ponownie zajął miejsce na dziobie, ale już nie czytał książki, lecz uważnie wypatrywał motyli. Od czasu do czasu wołał do Mendoncy, aby ten zwolnił, bo akurat spostrzegł jakiegoś motyla fruującego nad brzegiem rzeki, a raz zaczął wręcz się domagać, aby popłynęli łodzią w pogoń za jednym z motyli. Przyrodnik wychylił się nad dziobem i tak długo machał siatką entomologiczną, aż udało mu się w końcu złapać żądany okaz.

Ostatnią osadą nad rzeką było ponure, obskurne, przeraźliwie małe miasteczko o nazwie Colonia Marimbondo. Mendonça dyskretnie zaczął wypytywać w nim o Novą Godói: gdzie się znajduje, jak można tam dotrzeć rzeką i gdzie dałoby się przybić do brzegu. Najwięcej informacji udało mu się zebrać w miejscowej *cervejaria*, głównej piwiarni w tej smętnej miejscinie, gdzie zmuszony był wydać część swoich ciężko zarobionych pieniędzy, stawiając niekończące się kolejki, aby zachęcić niekomunikatywnych mieszkańców do mówienia. To, co w końcu udało mu się z nich wydobyć, silnie nim wstrząsnęło. W większości były to bez wątpienia durne zabobony i zwyczajna ignorancja, ale i tak wystraszył się nie na żarty.

Wyruszyli wczesnym rankiem; terkot silnika odbijał się echem od ściany araukarii ociekających po deszczowej nocy. Mendonça czuł

wilgoć zbierającą mu się we włosach, na brodzie i przesączającą się przez koszulę.

Wielkie nieba, chciał mieć to już wreszcie za sobą.

Około południa pokonali szeroki zakręt rzeki i ujrzeli na brzegu po prawej pływający dok z rampą przeładunkową prowadzącą do rozchwierutanego drewnianego nabrzeża. Za wysokim biegiem rzeki rozciągała się częściowo zarośnięta leśna polana z kilkoma rdzewiejącymi barakami z blachy falistej i niszczącym drewnianym magazynem. Miejsce wyglądało dokładnie tak, jak je opisali mieszkańcy osady.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Mendonça, przepatrując nadbrzeże w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia.

Odetchnął z ulgą, gdyż miejsce to wyglądało na zupełnie opuszczone. Zmniejszył obroty silnika i skierował łódź w stronę brzegu, przybił do pływającej przystani, wyskoczył na platformę i przycumował łódkę. Stał w bezruchu, gdy przyrodnik niezdarnie wyciągnął swój plecak i przeniósł na przystań, po czym sam wysiadł, stając niepewnie na chybotałej platformie, i rozejrzał się dokoła.

– Jesteśmy na miejscu – powtórzył, siląc się na uśmiech. Wyciągnął rękę. – Poproszę o resztę pieniędzy, *senhor*. Pauza.

– Chwileczkę – rzekł Fawcett, przesuwając dłońią po brodzie w geście rozdrażnienia. – Umowa była taka: dwa tysiące z góry i...

– Tysiąc po dotarciu na miejsce – dokończył za niego Mendonça. – Na pewno pan pamięta.

– Och. – Przyrodnik skrzywił się. – Tak się umówiliśmy?

– Owszem, tak.

– Będzie pan tu musiał poczekać do mojego powrotu. Umówiliśmy się na podróż w obie strony, w sumie sześć dni.

– Nie ma sprawy – powiedział Mendonça. – Zaczekam. Ale zapłaci mi pan teraz.

– Skąd mogę wiedzieć, że pan nie odpłynie? Mendonça wypiął dumnie pierś.

– Bo jestem człowiekiem honoru.

To najwyraźniej usatysfakcjonowało Fawcetta, bo sięgnął do

plecaka, pogrzebał w nim przez chwilę i wyjął plik banknotów, po czym odliczył dwa banknoty po pięćset reali. Mendonça zgarnął je i wcisnął do kieszeni. Przyrodnik zarzucił plecak na ramiona.

– To gdzie jest to miasteczko? Mendonça wskazał w stronę polnej ścieżki, którą mógłby przejechać tylko pojazd terenowy z napędem na cztery koła, biegnącej przez polanę, mijającej baraki i znikającej w lesie. W oddali wznosiły się wzgórza pokryte baldachimem zieleni, a ich zwieńczenie stanowiła wulkaniczna kaldera niknąca pośród zawieszonych nisko chmur.

– Tą ścieżką pod górę. Jakies pięć kilometrów. To jedyna droga.

– Pięć kilometrów? – Fawcett zmarszczył brwi. – Czemu wcześniej mi pan tego nie powiedział?

– Sądziłem, że pan już to wie. – Mendonça wzruszył ramionami.

Fawcett spojrzał na niego z ukosa.

– Zaczeka pan tu na mnie. Wrócę za trzy dni, za siedemdziesiąt dwie godziny, w samo południe.

– Zostanę przy łodzi, będę spał w łodzi. Mam wszystko, czego mi trzeba. – Mendonça uśmiechnął się i zapalił cygaro.

– Doskonale.

Przyrodnik poprawił paski plecaka i poczłapał błotnistą, rozmytą ścieżką pod górę; jego postać to pojawiała się, to znikła wśród falujących oparów mgieł.

Kiedy tylko sylwetka przyrodnika zniknęła w leśnej głuszy, Mendonça czym prędzej wrócił do łodzi, odcumował ją, uruchomił silnik i odbił od przystani, kierując się w dół rzeki, w stronę Alsdorfu, najszybciej jak to było możliwe.

Pendergast wychwycił rozlegający się na granicy słyszalności odgłos silnika łodzi płynącej w dół rzeki, który wkrótce ucichł. Przez jego usta przepłynął cień uśmiechu, gdy agent maszerował dalej. Leśna droga dla jeepów wiła się przez ociekającą bez przerwy od deszczu puszcę. Dziwne kolczaste gałęzie araukarii były ciężkie od kropel. Pendergast brnął dalej, od czasu do czasu przystając, by pogonić za motylem, w miarę jak szlak wił się kręto pod górę szerokimi zakosami, sięgając w końcu ku nisko zawieszonym chmurom.

Pół godziny później droga zaczęła się wyrównywać, gdy dotarł na szczyt niskiego grzbietu górskiego – obrzeża starego krateru wulkanicznego. Stamtąd wiodła w dół, rozplywając się wśród mgieł; widoczność była tu ograniczona zaledwie do kilku metrów.

Pendergast przyjrzał się uważniej kraterowi. Następnie sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną kartkę: rysunek Tristrama przedstawiający górę – chłopak nie był w stanie opisać położenia Novej Godói słowami. Rysunek doskonale odzwierciedlał wznoszący się tuż obok krater.

Pendergast zaczął schodzić i kiedy szlak znów się wyrównał, dotarł do pary rzeźbionych kolumn ze skały wulkanicznej stojących po obu stronach drogi, z metalową bramą wjazdową pomiędzy nimi i kamiennym murem rozciągającym się po dwóch stronach i znikającym w głębi puszczy. Za bramą znajdowała się wartownia. Gdy podszedł bliżej, wyszło stamtąd dwóch strażników z karabinami. Zawołali po niemiecku i wycelowali do niego z karabinów.

– Mówię tylko po angielsku! – odkrzyknął Pendergast, unosząc ręce. – Jestem przyrodnikiem! Przyjechałem tu w poszukiwaniu motyli!

Jeden z żołnierzy, najwyraźniej dowódca, postąpił naprzód i odezwał się nienaganną angielszczyzną.

– Kim pan jest? Jak pan się tu dostał?

– Nazywam się Percival Fawcett – odparł Pendergast, sięgając do plecaka i wyciągając brytyjski paszport. – Należę do Royal Society. Przypłynąłem tu łodzią. W górę rzeki. Zaręczam, to nie była łatwa podróż!

Wartownicy jakby się trochę rozluźnili i obaj opuścili broń.

– To teren prywatny – rzekł dowódca. – Nie ma pan tutaj wstępu.

– Przebyłem pół świata – rzekł Pendergast głosem, który łączył w sobie błagalny ton i swoistą zadziorność – aby odnaleźć motyla Queen Beatrice. I nie dam się spławić. Nie wrócę z pustymi rękami. – Wyjął kartkę papieru. – Mam list polecający od gubernatora prowincji i drugi, z Santa Catarina. – Pokazał dokumenty, które miały oficjalne pieczęcie, stemple i podpis notariusza. – Mam także list z Royal Society z prośbą o współpracę przy mojej nader ważnej misji i drugi, z Wydziału Lepidopterologii British Museum, potwierdzony przez Sociedade Entomológica do Brasil. – Wydobył kolejne dokumenty. – Jak widać czarno na białym, moja misja ma szczególne znaczenie naukowe! – Jego głos nieznacznie przybrał na sile.

Dowódca wyjął dokumenty i przejrzał je, a na jego twarzy o charakterystycznych nordyckich rysach pojawił się grymas niezadowolenia.

– Nie wpuszczamy tu gości, niezależnie od powodu ich wizyty – powiedział. – Jak już mówiłem, to teren prywatny.

– Jeżeli odmówi mi pan wstępu – zaprotestował piskliwym tonem Pendergast – zrobi się skandal. Osobiście tego dopilnuję. Będzie skandal, że aż strach!

Na twarzy wartownika pojawił się wyraz lekkiej niepewności. Cofnął się i przez chwilę konferował z podkomendnymi. W końcu

dowódca wszedł do wartowni i było widać, jak rozmawia z kimś przez radio. Po dłuższej chwili wrócił do bramy.

– Proszę tu poczekać – powiedział.

Po kilku minutach na drodze pojawił się jeep prowadzony przez mężczyznę w oliwkowym mundurze, a na tylnym siedzeniu można było dostrzec innego mężczyznę ubranego całkowicie na szaro. Jeep zatrzymał się, mężczyzna z tyłu wysiadł i postąpił naprzód. Choć nie nosił munduru, miał zasadniczą postawę i zachowywał się jak żołnierz.

– Otworzyć bramę – nakazał.

Wartownicy otworzyli przesuwaną bramę. Mężczyzna podszedł, wyciągając rękę.

– Jestem kapitan Scheermann – powiedział z lekkim śladem niemieckiego akcentu, ściskając na powitanie dłoń Pendergasta. – Pan Fawcett?

– Doktor Fawcett.

– Oczywiście. Jak rozumiem, jest pan przyrodnikiem?

– Zgadza się – odparł Pendergast, podnosząc głos w wyrazie rozdrażnienia. – Jak już mówiłem tym panom, przebyłem pół świata, podejmując się misji o szczególnym naukowym znaczeniu, którą zatwierdziły rządy dwóch brazylijskich stanów, jak również British Museum i Royal Society przy współpracy z Sociedade Entomológica do Brasil. – Wymówienie tej ostatniej nazwy przyszło mu z największym trudem. – Nalegam, by traktowano mnie uprzejmie! Jeżeli zostanę odprawiony z kwitkiem, zaręczam panu, że skończy się to wszczęciem dochodzenia, bardzo skrupulatnego i gruntownego dochodzenia!

– Oczywiście, oczywiście – rzucił uspokajającym tonem kapitan. – Jeśli mogę...

Pendergast mówił nieprzerwanie:

– Poszukuję motyla Queen Beatrice, *Lycaena regina*, który to gatunek jest od dawna uważany za wymarły. Ostatni raz widziano go w kalderze Nova Godói w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku. Moje dwudziestoletnie badania.

– Tak, tak – przerwał mu kapitan, płynnie choć z pewnym zniecierpliwieniem. – Rozumiem. Nie ma potrzeby tak się unosić, dochodzenie nie będzie konieczne. Może pan wejść na ten teren. Mamy swoje zasady, ale dla pana zrobimy wyjątek. Krótkotrwały wyjątek. Pauza.

– No cóż – powiedział Pendergast. – To bardzo miło z pańskiej strony. Naprawdę bardzo miło. Jeżeli konieczne są jakieś opłaty czy wydatki.

Kapitan uniósł rękę.

– Nie, nie. Wymagamy jedynie tego, żeby zgodził się pan na obecność osoby towarzyszącej.

– Osoby towarzyszącej? – Pendergast zmarszczył brwi.

– Przywykliśmy tu do prywatności i niektórzy z naszych ludzi mogą poczuć się zaskoczeni obecnością przybysza z zewnątrz. Będzie pan potrzebował eskorty, głównie przez wzgląd na pański komfort i bezpieczeństwo. Przykro mi, ale to warunek, który nie podlega negocjacji.

Pendergast burknął pod nosem.

– Skoro to konieczne, niech będzie. Ale ja będę wędrował po puszczy niezależnie od pogody, więc lepiej niech on lub ona będzie w stanie dotrzymać mi kroku.

– Oczywiście. A czy teraz mogę odprowadzić pana do naszego ratusza, gdzie będziemy mogli zająć się wypełnieniem stosownych dokumentów?

– Proszę bardzo – odparł Pendergast, wsiadając do jeepa, gdy kapitan przytrzymał dla niego drzwiczki. – Prawdę mówiąc, uważam, że to wyśmienita propozycja, absolutnie wyśmienita.

Gdy jechali przez miasteczko, Pendergast z zacięciem przyglądał się wszystkiemu. Deszcz nieznacznie osłabł, chmury się rozwiały i stopniowo jego oczom ukazała się cała osada. Otynkowane budynki wzniesiono wzdłuż siatki ulic nad brzegami szmaragdowego jeziora. Choć nie mogło mieć więcej niż pół wieku, miasteczko przepięknie odwzorowywało starą bawarską osadę, aż po strome kamienne schody na nabrzeżu, ręcznie malowane szyldy, dachy kryte gontami i na wpół drewniane większe siedziby urzędów.

Wzdłuż brzegu jeziora ciągnęła się długa keja ze starannie ociosanych kamiennych bloków, wiodąca do rzędu dobrze utrzymanych doków, gdzie cumowało kilka świeżo odmalowanych łodzi rybackich i motorówek.

Wszystko spowijała mgła: jezioro tonęło w strugach deszczu, wyspa pośrodku była prawie niewidoczna, w oddali jawił się tylko jej rozmyty szary kontur.

Miasteczko kończyło się nagle lasem strzelistych araukarii przemieszanych z sosnami i innymi gatunkami drzew subtropikalnych. Ciemność, mgła, paskudna pogoda i nieujarzmiona ściana lasu tworzyły osobliwy kontrast dla osady – zadbanej, czystej i jakże europejskiej.

Być może z powodu deszczu uliczki były dziwnie wyludnione.

W parę chwil dotarli do ratusza, wzniesionego w połowie z drewnianych belek budynku w stylu pseudo średniowiecznym. Kapitan wszedł pierwszy do spartańsko urządzonego wnętrza

z rzędami ławek, jakby odbywały się tam zgromadzenia wszystkich mieszkańców, i skierował się dalej, w stronę gabinetów. Pendergast podążył za Scheermannem do dużego pokoju na tyłach budynku, gdzie drzwi były otwarte, a przez okno rozciągał się widok na jezioro. W ceglany kominku buzował ogień. Na stole stał wazon z przepięknymi czerwonymi różami. Za biurkiem siedział pulchny mężczyzna w stroju tyrolskim, o rumianych policzkach i jowialnym wyrazie twarzy. A jednak niebieskie oczy mężczyzny były zupełnie pozbawione wyrazu jak małe szklane kulki odbijające jedynie światło, które w nie wpadało, i nic poza tym.

– To *Bürgermeister* Keller – powiedział kapitan. Burmistrz Novej Godói.

Mężczyzna wstał i wyciągnął niedużą pulchną dłoń.

– Jak rozumiem, szuka pan motyla Queen Beatrice – powiedział pogodnym tonem. On też doskonale mówił po angielsku. – Mam nadzieję, że pan go znajdzie.

Sprawy papierkowe były czasochłonne, ale uporano się z nimi wyjątkowo sprawnie. Pendergast otrzymał oficjalny dokument ozdobiony pieczęciami i podpisami, który przykazano mu mieć zawsze przy sobie. Gdy kończyli załatwianie spraw urzędowych, do gabinetu wszedł chudy mężczyzna. Miał jakieś trzydzieści pięć lat, wąską głowę, wysokie czoło wznoszące się ponad wodnistymi niebieskimi oczami i grubą mięsistą dolną wargę, która wysuwała się przed górną, przez co jego twarz jakby się zapadała.

– To pańska eskorta – rzekł burmistrz. – Ma na imię Egon. Może pan chodzić, gdzie pan zechce, z wyjątkiem wypływania na jezioro i zwiedzania wyspy. – Kapitan zrobił znaczącą przerwę. – Zakładam, że nie zamierza pan udawać się na wyspę?

– O nie – powiedział Pendergast. – Ostatni okaz Queen Beatrice był widziany na łądzie, nad brzegami jeziora. Wypływanie na jezioro nie będzie konieczne. Zresztą mam dość wody po wyprawie w górę rzeki!

Ten żarcik wprowadził burmistrza w dobry humor.

– Świetnie. Egon wskaże również drogę do pańskiej kwatery na

noc. Egonie, dopilnuj proszę, aby *Herr Doktor* był traktowany jak należy.

Egon pokiwał głową. Pendergast się uklonił.

– Dziękuję. To bardzo miłe, doprawdy bardzo miłe. Ale kwatery na noc nie będzie konieczna, widzi pan, na Queen Beatrice najlepiej poluje się nocą.

Gdy znów wyszli na ulicę, słońce wreszcie wyłoniło się zza chmur i słabym światłem skąpało miasteczko. Z wolna woła wiszący nad jeziorem zaczął się unosić, odsłaniając centralną wyspę – nagi żuźlowy stożek, na którego szczycie wznosiła się posępna forteca z pradawnej skały wulkanicznej czarnego koloru, jej wieże były częściowo zniszczone, blanki i krenele zmurszały i powoli, lecz nieubłaganie, obracały się w ruinę. Pojedynczy promień światła przeniknął półmrok, oświetlając budowlę, a Pendergast zdołał przez mgnienie oka, gdy ulotne światło prześlizgnęło się po starym forcie, dostrzec błysk czegoś metalicznego ukrytego za masywnymi murami.

Słońce wywarło na mieszkańców niezwykły wpływ. Nagle, jak na zawołanie, ulice wypełniły się mężczyznami i kobietami, którzy kierowali się w tę czy inną stronę zdecydowanym krokiem, jakby wiedzeni jakimś nadrzędnym celem. Wyglądało to niemal jak plan filmu z aktorami ubranymi w stroje z końca lat czterdziestych XX wieku: kobiety z nakręconymi lokami, w zakietach lub sukienkach poszerzanych w ramionach i biodrach, mężczyźni w ciemnych workowatych garniturach i kapeluszach, niektórzy palili fajki. Inni nosili ubiór typowy dla klasy pracującej – robocze kombinezony oraz kaszkiety albo słomkowe kapelusze. Wszyscy byli przystojni, o nordyckim typie urody, wysocy, jasnowłosi, niebieskoocy, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Przemieszczali się na rowerach, na piechotę, a niektórzy pchali przed sobą taczki lub wózki. Pendergast zwrócił uwagę na to, że nie było tu samochodów. Zauważył jedynie jeepy z czasów drugiej wojny światowej, kierowane przez mężczyzn w oliwkowych mundurach, a z tyłu zawsze siedziała jakaś ważna, ubrana na szaro osoba. Tylko ci

ludzie wydawali się uzbrojeni i faktycznie tak było, każdy z nich miał w kaburze wielkokalibrowy pistolet i często także karabinek szturmowy z powiększonym magazynkiem.

Wielu mieszkańców zatrzymywało się i patrzyło na niego, niektórzy aż rozdziawili usta ze zdziwienia, inni zaś przyglądali mu się z jawną wyższością. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Pendergast alias doktor Percival Fawcett pasował tutaj jak pięść do nosa. I dokładnie o to mu chodziło.

Pendergast popędził na złamanie karku w stronę kei, wyjaśniając donośnym głosem, że gatunek Queen Beatrice woli przybrzeżne obszary, a jego ulubioną porą dnia jest świt, a nie zmierzch, ale właściwie nigdy nie wiadomo. Egon zdawał się go nie słyszeć i podążał za nim z niezłomnym uporem, dotrzymując mu kroku.

Łodzie przy kei były doskonale utrzymane, a niektóre znacznie większe, niż mogło to się wydawać konieczne do połowów na jeziorze. Wśród nich znajdowały się dwie motorowe barki z ciężką maszyną i egzotycznym sprzętem nieznanego przeznaczenia – również o wiele masywniejsze, niż potrzebowałyby odizolowany świat wspólnoty farmerów. W jaki sposób tak wielkie jednostki zostały przetransportowane na wody tego jeziora, pozostawało tajemnicą. Zbliżał się wieczór, na nabrzeżu panował spory ruch, gdy rybacy zaczęli wyładowywać całodzienny połów; ryby okładano lodem i załadowywano na ciężkie ręczne wózki. Był to obraz pracowitości, ciężkiego trudu i jawnej samowystarczalności wzorowo funkcjonującego społeczeństwa. Pendergast nie zauważył w miasteczku ani jednego baru czy kafejki.

– Powiedz, Egonie, czy u was obowiązuje prohibicja? Nie wolno tu pić alkoholu?

Nie doczekał się odpowiedzi Egona, nic nie wskazywało, że tamten w ogóle go usłyszał.

– Świetnie. Chodźmy dalej!

Pendergast szybkim krokiem maszerował wzdłuż nabrzeża. Pogoda wreszcie się poprawiła, zbliżał się przepiękny, wręcz spektakularny zmierzch, z pomarańczową kulą słońca osuwającą się

przez cynobrowe warstwy chmur po drugiej stronie jeziora, sprawiającą, że jego toń zdawała się płonąć żywym ogniem, i oświetlającą ruiny posępnej fortecy wznoszące się na samotnej wysepce pośrodku jeziora.

Przy końcu kei kilka metrów nad powierzchnię wody wyrastała niezwykła formacja skalna: trzy wielkie głazy, o niemal identycznej wielkości i prawie takiego samego kształtu, jakby ustawione na bazie trójkąta, w odległości trzech metrów od siebie. Pendergast zatrzymał się tutaj, po czym odwrócił się na chwilę i spojrzał w stronę miasteczka założonego na łagodnych stokach starego wulkanu. Stanowiło ono idealny przykład uporządkowania, schludności, zaradności i usystematyzowania. Budynki znakomicie utrzymane, ze świeżymi białymi tynkami, okiennice pomalowane na zielono i niebiesko. Okna wielu domów przyozdobione skrzynkami z kwiatami. Żadnych śmieci, ani jednego rzuconego gdzieś opakowania po gumie do żucia, żadnych graffiti, bezpańskich psów czy w ogóle psów, śladu bezdomnych, pijaków czy włóczęgów, zero kłótni na ulicach, pokrzykiwań czy nadmiernych hałasów.

Nie tylko brakowało tu psów i śmieci. Choć Pendergast widział sporo osób w średnim wieku i starszych, nie zauważył ludzi zniedołężniałych ze starości, otyłych czy dotkniętych ułomnościami fizycznymi. Ani też, co bardzo go zaciekało, żadnych bliźniąt.

Innymi słowy była to idealna, utopijna enklawa ukryta w głębi brazylijskiej puszczy.

Gdy zapadła noc, w fortecy na wyspie zapaliły się światła, silne reflektory, które skąpały kamienne blanki oślepiającym białym blaskiem. W dogasającym zmierzchu, stojąc na nabrzeżu, Pendergast zaczął wyłapywać dźwięki niosące się ponad wodą: szum generatorów, łoskot maszyn, elektryczne trzaski i bardzo słaby odgłos, który mógł być skrzeczeniem jakiegoś ptaka lub, co równie prawdopodobne, przeraźliwym krzykiem agonii.

60

Za keją rozciągał się półkolisty brzeg z kamienistą plażą. Czteryście metrów dalej zaczynał się las, ciemna, ostro najeżona, zdawałoby się, nieprzenikniona ściana. Niebo pociemniało, gdy słońce pokonało ostatnią warstwę chmur i zgasło wśród łuny rozlewającej się na horyzoncie.

Pendergast sięgnął do plecaka i wyjął czerwoną latarkę. Odwrócił się do niewzruszonego Egon a i tłumiąc podniecenie, cichym głosem powiedział:

– Mój drogi przyjacielu, nadchodzi czas Queen Beatrice.

Ruszył wzdłuż plaży. Egon podążał za nim. Na kamieniach stało kilka niewielkich skiffów z rozłożonymi do wyschnięcia sieciami. Nieco dalej plaża ustępowała miejsca skale wulkanicznej i po kilku minutach marszu dotarli do skraju lasu. Ostatnie promienie słońca gasły, dzięki czemu oświetlona blaskiem reflektorów forteca wydawała się jeszcze bardziej wyeksponowana. Kolejny odległy krzyk – ptasi czy ludzki? – poniósł się nad wodą.

– Egonie, widzisz tamte ruiny? – zapytał Pendergast, wskazując w stronę fortu. – Czemu są tak silnie oświetlone? Co tam się dzieje?

Egon patrzył na niego przez chwilę; w jego oczach odbijał się blask z fortecy. I po raz pierwszy przemówił.

– Badania rolnicze. Hodowla zwierząt.

– Hodowla zwierząt? – Pendergast pokręcił głową. – Cóż, to nie moja sprawa. My idziemy do lasu. – Sięgnął do plecaka i wyciągnął latarkę. – Ta jest dla ciebie. Używaj tylko czerwonej latarki. Nie włączaj zwykłej, bo Queen Beatrice unika światła. Idź za mną,

trzymaj się blisko i nie hałasuj.

Podał Egonowi czerwoną latarkę i wszedł do lasu. Kolczaste gałęzie araukarii mieszały się z gęstym podszytem, co spowalniało ich marsz, w dodatku wszystko wciąż było mokre po niedawnych deszczach. Jednak Pendergast, zwinny i giętki jak wąż, mimo ciemności szybko przemykał przez gąszcz ociekających wodą roślin, z siatką entomologiczną w jednej ręce i czerwoną latarką w drugiej, gotowy w każdej chwili pochwycić zdobycz.

– Nie ociągaj się! – wyszeptał przez ramię do wlokącego się za nim Egona.

Teren zaczął się wznosić. W tej części lasu nie było szlaków ani żadnych oznak mogących świadczyć o tym, że ktokolwiek opuszczał granice miasteczka. Prawdziwa dzicz. A jednak z jakichś niewyjaśnionych przyczyn czuło się, że coś tu nie gra.

– Tam jest jeden! – zawołał nagle Pendergast. – O Boże! To nie do wiary.

W mgnieniu oka zniknął wśród gęstwiny, wymachując szaleńczo siatką na motyle, a światło jego czerwonej latarki zamigotało. Egon z tyłu za nim krzyknął i przyspieszył kroku, puszczając się w pościg za przyrodnikiem.

Dziesięć minut później z masywnego konara znajdującego się dobre trzy metry nad ziemią Pendergast obserwował, jak Egon błąka się po lesie, nawołując go, świecąc silnie latarką dokoła, a w jego głosie pobrzmiwały napięcie i panika.

Pendergast odczekał pół godziny, aż jego eskorta przejdzie do kontynuowania poszukiwań dalej na południe. Następnie bezszelestnie i zwinnie jak małpa ześlizgnął się z drzewa. Nałożył na czerwoną latarkę specjalną osłonę i ruszył szybkim krokiem na północ, pokonując dalszy odcinek wznoszącego się coraz stromiej terenu. Wspiął się przez parę godzin, aż dotarł do wąskiej grani, krawędzi pobliskiego krateru. Tam zgasił latarkę. Wzdłuż krateru nie rośło aż tyle drzew, dzięki czemu mógł zajrzeć w dół, na samo dno rozległego wulkanu oświetlone blaskiem sierpu księżyca. Krater był dość płytki, ale szeroki na wiele kilometrów, zajmował obszar

kilkuset hektarów leżących obok siebie pól uprawnych i pastwisk wykorzystujących żyzną wulkaniczną glebę. Stanowiły one główne źródło utrzymania Novej Godói, z pewnością była tu niegdyś plantacja tytoniu, gdyż krater zapewniał niemal doskonały mikroklimat pod uprawy. Na drugim jego końcu wznosił się ciasny zbitek wystygłych żuźlowych stożków, które wyglądały jak czarne cylindry. Stały przy nich rolnicze szopy, cieplarnie, obory i silosy. Dokoła panowała cisza, wśród aksamitnej ciemności nie było widać żadnych świateł.

Wzdłuż krawędzi biegła wąska ścieżka i Pendergast dotarł nią do następnej ścieżki, nieco wyraźniejszej, prowadzącej w dół krateru, najpierw stromo, wkrótce jednak zejście stawało się łagodniejsze, w miarę jak szlak zbliżał się do pól. Chwilę później agent znalazł się na skraju pierwszego pola, gdzie rosła kukurydza, nieruchoma w bladym świetle księżyca. Wszedł na pole i szybkim, zdecydowanym krokiem skierował się w stronę drugiego końca krateru i skupiska zabudowań rolniczych.

Za łąkami kukurydzy rozciągały się pola, na których uprawiano między innymi pomidory, fasolę, dynie, pszenicę, bawełnę, lucernę i tymotkę, a dalej były żyzne pastwiska dla bydła. Pendergast szybko przez nie przeszedł, aż znalazł się na drugim końcu krateru, gdzie stały zabudowania.

Wybrał pierwsze: wielki metalowy magazyn z płaskim dachem. Stwierdził, że drzwi są zamknięte na kłódkę. Szybki ruch ręką, lekkie przesunięcie dłonią po kłódce, wystarczył, by otworzyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pendergast uchylił drzwi i wślizgnął się do środka, gdzie powietrze było przesycone wonią oleju silnikowego, paliwa do diesla i ziemi. Szybkie omięcie wnętrza czerwoną latarką w osłonie ujawniło rzędy maszyn rolniczych – traktorów, kultywatorów, pługów, bron talerzowych, żniwiarek, snopowiązałek, siewników, rozrzutników obornika, ładowarek i koparek. Wszystkie starej daty, ale doskonale utrzymane.

Przeszedł przez magazyn i opuścił go przez drzwi na drugim

końcu. Po prawej stronie miał oborę, skąd dochodziło ciche porykiwanie mlecznych krów. Po lewej wznosił się rząd silosów, a przed nim skupisko cieplarni. To było przedsięwzięcie na dużą skalę, wyjątkowo bogata i produktywna farma, naprawdę olbrzymia, zarządzana z należytą dbałością i starannością. I najwyraźniej opuszczona.

Pendergast zbliżył się do jednej z cieplarni, których szklane panele lśniły w blasku księżyca. Wewnątrz widać było całe mnóstwo kwiatów, istne ich zatrzęsienie. Jedna z cieplarni zdawała się pękać w szwach od rosnących tam egzotycznych róż, najróżniejszych wielkości, kolorów i kształtów.

Dalej strzelały w górę wygasłe stożki wulkaniczne, strome i wysokie, ze ścianami pokrytymi osypującym się wulkanicznym popiołem. Pendergast obszedł podstawę najbliższego z nich, po czym przystanął i zauważył, że w dolną część stożka wpuszczony był wąski budynek przypominający barak bez okien, z tylną częścią znikającą w żuźlowej ścianie.

Podkradł się do drzwi baraku i przyłożył do nich ucho. W pierwszej chwili nic nie usłyszał, z czasem jednak zaczął wychwytywać ciche dźwięki: odgłos poruszenia, westchnienia, szurania, a czasem nawet kasznięcia.

Te drzwi były niewiarygodnie mocne, wykonane z masywnego drewna obitego stalowymi taśmami i zabezpieczone metalowymi trzpieniami. Zamek, choć wyrafinowany, nie opierał się Pendergastowi dłużej niż sześćdziesiąt sekund. Drzwi uchyliły się na dobrze naoliwionych zawiasach, a ze środka popłynął ostry, nieprzyjemny odór. Wszystko tonęło w ciemnościach.

Pendergast postąpił kilka kroków, osłaniając czerwoną latarkę jedną dłonią. Ten barak był jedynie czymś w rodzaju wejścia prowadzącego w dół do czegoś, co wybudowano pod wulkanicznymi stożkami lub może wewnątrz nich. Pendergast miał przed sobą płytkie szerokie schody z mocno podniszczonych kamieni. Przystanął na najwyższym stopniu i zgasił czerwoną latarkę, zanim zaczął schodzić. Dostrzegł słabe światło napływające z dołu –

czerwoną poświatę – i gdy szedł dalej, smród przybrał na sile, powietrze przesyciła woń niemytych ciał. Po dotarciu do końca schodów znalazł się w długim tunelu. W ciemnościach słyszał teraz znacznie wyraźniejsze dźwięki. Odgłosy powłóczących kroków, chrapania, mamrotania – odgłosy ludzi. Wielu ludzi.

Z jak największą ostrożnością Pendergast przesuwiał się w ciemnościach naprzód, trzymając się blisko ściany. Czerwona poświata napływała od strony dwóch okratowanych okien w podwójnych, zamkniętych na klucz drzwiach na końcu tunelu. Nisko pochylony podkradł się do drzwi, obejrzał zamek i nadstawił uszu. Ktoś był po drugiej stronie, spacerował tam i z powrotem: strażnik. Pendergast słuchał w napięciu, starając się ustalić tempo krążącego za drzwiami człowieka. Gdy uznał, że jest bezpiecznie, podniósł się i zajrzał przez okratowane okno.

Jego oczom ukazało się ogromne pomieszczenie oświetlone wątlm czerwonym blaskiem płynącym z ciągu wiszących pod sufitem gołych żarówek. Stały w nim rzędy piętrowych pryczy, których końce znikwały w półmroku. Na każdej trzypiętrowej pryczy leżało przykryte kocem ciało; strudzone twarze, pełne smutku i bóleści, nie łagodniały nawet w niespokojnym śnie, podczas gdy inne postacie przemykały tu i tam jak duchy, idąc do latryn umiejscowionych rzędami pod jedną ze ścian pomieszczenia lub wracając z nich. Jeszcze inni po prostu krążyli bez celu, nie mogąc zasnąć, a w ich pozbawionych nadziei oczach odbijał się czerwony blask żarówek.

Wszystko, czego Pendergast nie zobaczył w Novej Godói, było tutaj: ludzie o zdeformowanych ciałach, kalecy, szpetni i niscy, słabi, starzy, a przede wszystkim upośledzeni umysłowo. Ku swojemu największemu przerażeniu rozpoznał niektóre twarze. Zaledwie kilka godzin temu widział niektóre z nich w miasteczku, należące do ich rozpromienionych, uśmiechniętych, bliźniaczych odpowiedników. Tyle tylko że te podziemne sobowtóry miały twarze zdradzające dziwny, niepokojący wyraz ludzi chorych psychicznie, niedorozwiniętych, trawionych rozpaczą i beznadzieją, a ich

wężłaste mięśnie, brązowa skóra, szorstkie, spracowane dłonie świadczyły o tym, że przez całe życie ciężko harowali na polach.

Kątem oka Pendergast zobaczył, że strażnik się odwraca. Wysoki i przystojny, nie był jednym z tych, należał do tamtych. Jego obecność wydawała się zbędna – ci nieszczęśnicy nie potrafiliby wszcząć buntu, zbiec czy sprawiać problemy w jakikolwiek inny sposób. Wyraz rezygnacji na ich twarzach był wszechobecny i absolutny.

Pendergast oderwał wzrok od okna i ruszył w drogę powrotną, przez tunel, a potem po schodach na górę. Kilka minut później oddychał głęboko, nieomal łapczywie łapiąc rześkie, czyste, chłodne powietrze na zewnątrz, ale oczyma duszy wciąż widział groteskowy obraz nieopisanego ludzkiego cierpienia, jaki ujrzał przed chwilą, i wiedział, że nie zapomni go do końca swoich dni.

61

Tym razem Felder stał w ciemnościach na mrozie pod oknami biblioteki Wintourów przez ponad godzinę, spięty i mocno wystraszony. Dom wydawał się martwy: żadnych świateł, żadnego ruchu. A przede wszystkim ani śladu Dukchuka. Wreszcie uspokojony, doktor zebrał się na odwagę, otworzył okno i wślizgnął się do środka.

Pozostawił okno otwarte na wypadek konieczności szybkiej ucieczki i teraz stał w bezruchu w ciemnym pokoju przez dłuższą chwilę, nasłuchując. Nic. Dokładnie tak, jak miał nadzieję, że będzie.

Przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Przez kilka ostatnich wieczorów obserwował bibliotekę z okolic żywopłotu. Cisza i spokój. Natknięcie się na Dukchuka poprzednim razem musiało być dziwnym zbiegiem okoliczności, gdyż mężczyzna nie miał w zwyczaju wałęsać się nocą po domu. Wczoraj po południu panna Wintour znów zaprosiła Feldera na herbatę i ani ona, ani jej przerażający sługa nie dali po sobie poznać, że cokolwiek podejrzewają. Wszystko wydawało się pozostawać w jak najlepszym porządku.

Felder wiedział jednak, że nie może czekać w nieskończoność. Musiał to zrobić jeszcze tej nocy, bo jeżeli będzie zwlekać dłużej, przejdzie mu na to ochota. Zwłaszcza że Constance i szpital Mount Mercy zaczęły mu się wydawać bardzo, ale to bardzo odległe.

Przeszedł wzdłuż kolejnych regałów, macając po omacku i dotykając koniuszkami palców pofałdowanej powierzchni przeszklonych witrażowych drzwiczek. „W” powinno znajdować się

pod koniec zbiorów, co znaczyło, że portfolio Alexandra Wintoura najprawdopodobniej spoczywało niedaleko bocznych drzwi prowadzących do głównego korytarza. Z niejaką ulgą stwierdził, że drzwi są zamknięte na głucho. Przystanął obok drugiego regału od końca, nasłuchując, ale w domu cały czas panowała cisza. Wyjął z kieszeni latarkę i osłaniając ją pieczołowicie, poświecił jej promieniem na książki przed sobą. Trapp.

Traven. Tremaine.

Zgasił latarkę i podszedł do następnego, ostatniego już regału. Ponownie się zawahał, nasłuchując choćby najcichszego dźwięku. Wreszcie znów uniósł latarkę, wymierzając ją w górne półki. Voltaire w siedmiu przepięknie oprawionych w skórę tomach, a obok nich kilka zwitków czegoś, co wyglądało jak zwoje pergaminu przewiązane rozpadającą się karmazynową wstążką.

Omiótł promieniem światła następną półkę, potem jeszcze jedną wraz z tytułami stojących tam książek. *Portret Doriana Graya* Oscara Wilde'a, *My Man Jeeves* P.G. Wodehouse'a. Były to z pewnością pierwsze wydania. A pomiędzy nimi trzy grube portfolio z czarnej skóry, proste i powycierane, bez tytułu czy oznakowań.

Serce Feldera zabiło gwałtowniej.

Trzymając latarkę w zębach, otworzył przeszkloną szafkę i zdjął z półki pierwsze portfolio. Było zakurzone i wyglądało, jakby nikt nie dotykał go od dobrych stu lat. Otworzył je starannie, niemal obawiając się głębiej odetchnąć. Wewnątrz znajdowały się dziesiątki wstępnych szkiców i studiów do przygotowywanych obrazów. Były wyblakłe i pokryte rudymi plamami, stylem zaś przypominały te, które widział w towarzystwie historycznym. Jego serce zabiło jeszcze szybciej.

Zaczął wertować szkice drżącymi palcami. Kilka pierwszych było niepodpisanych, ale trzeci nosił sygnaturę w prawym dolnym rogu: „Wintour, 1881”.

Zajrzał na tylną okładkę portfolio – wąską linią kleju była tam przyklejona koperta, pożółkła i z wyglądu dość krucha. Wyjął z kieszeni skalpel i rozciął kopertę. Jego palce stały się zdrętwiałe

i niezgrabne, dopiero za drugim razem udało mu się otworzyć kopertę.

Wewnątrz znajdował się pukiel ciemnych włosów.

Przez chwilę tylko patrzył z dziwną mieszaniną emocji: triumfu, ulgi i lekkiego niedowierzania. A więc to prawda – to wszystko jest prawdą.

Chwileczkę, czy to właściwe włosy? Były jeszcze dwa inne portfolio. Czy Wintour mógł pobrać pukle włosów od innych dziewcząt? To wydawało się mało prawdopodobne, ale Felder musiał się upewnić.

Wsunął kopertę do kieszeni, odłożył portfolio na półkę, wyjął następne i przejrzał pospiesznie. Kolejne szkice i akwarele. Poczł, że ma przyspieszony oddech, tak chciał mieć to już za sobą. W tym portfolio nie znalazł pukla włosów. Odstawił je i sięgnął po trzecie, przewertował pospiesznie i w zdenerwowaniu rozdarł kilka stron. Znowu nic. Zamknął portfolio i odstawił na półkę, jednak z powodu pośpiechu nie był tak ostrożny jak poprzednio i wolumin, pchnięty zbyt mocno, uderzył w tylną ściankę regału z głuchym łupnięciem.

Znieruchomiał, serce dudniło mu w piersi. W grobowej ciszy panującej w domu ten cichy stukot zabrzmiał jak grzmot.

Felder czekał.

Jednak w milczącym domu nie rozległ się nawet najcichszy dźwięk. Doktor wnet poczuł, że jego mięśnie się rozluźniają, a oddech spowolnił. Nikt niczego nie usłyszał. To tylko jego paranoja.

Dotknął koperty w kieszeni; zaszeleściła leciutko. Dopiero wtedy, gdy strach osłabł, uświadomił sobie znaczenie tego odkrycia. Wszystkie wątpliwości prysły: Constance naprawdę ma sto czterdzieści lat. Nie jest szalona. Przez cały czas mówiła prawdę.

To dziwne, ale uświadomienie sobie tego nie okazało się tak wielkim szokiem, jak się spodziewał. W jakiś sposób wiedział już wcześniej, że to prawda: przekonał go o tym spokojny, rzeczowy ton, z jakim zawsze opowiadała swoją historię, to, że była w stanie ze szczegółami zrelacjonować wygląd Water Street w latach 80. XIX

wieku, oraz jej niezłomna szczerłość i uczciwość. Prawda była taka, że chciał w to uwierzyć, bo...

Z głośnym trzaskiem boczne drzwi do biblioteki otworzyły się na oścież i stanął w nich Dukchuk, ubrany w swoją bezkształtną batikową szatę, trzymający w dłoni tę samą złowrogą broń, którą Felder widział już wcześniej. Olbrzym popatrzył na niego małymi jak paciorki czarnymi oczami.

Z okrzykiem przerażenia Felder rzucił się w stronę okna, ale Dukchuk okazał się szybszy – przebiegł przez pokój i zatrzasnął okno, poruszając się w ciszy, która była chyba bardziej przerażająca aniżeli krzyk, szczerząc zęby w drapieźnym, złowrogim grymasie, i dopiero teraz Felder zauważył, że są one spiłowane w spiczaste kły. Z głośnym wrzaskiem doktor próbował się bronić, ale Dukchuk dopadł go w mgnieniu oka, oplatając jego szyję masywnym wytatuowanym ramieniem i zacieśniając uścisk jak pętlę garoty, dławiąc krzyk wyrywający się z jego gardła.

Szamocząc się jak opętany, Felder poczuł nagle palącą, oślepiającą białą eksplozję bólu, gdy pałka bojowa mocno trafiła go w bok głowy. Kolana ugięły się pod nim, a Dukchuk powalił go uderzeniem w pierś, po którym Felder runął jak ścięty na ziemię.

Czarna mgła zasnęła mu wzrok i zaczął walczyć o zachowanie świadomości, przykładając dłoń do piersi, aż w końcu znów mógł oddychać i zaczął łapczywie chwytać powietrze. Kiedy mgła powoli się przeczodziła i odzyskał ostrość widzenia, Felder zobaczył Dukchuka stojącego nad nim ze skrzyżowanymi wytatuowanymi rękami w słabym świetle wpadającym z korytarza, a nienaturalnie małe oczka olbrzyma wyglądały jak dwa węgielki. Za nim stała drobniutka panna Wintour.

– No i proszę! – powiedziała. – Miałeś rację, Dukchuku. Ten człowiek to zwykły złodziej, który zjawił się tu, udając, że szuka lokum! – Łypnęła gniewnie na Feldera. – I pomyśleć, że miał pan czelność pić ze mną herbatę pod jednym dachem, ciesząc się moją gościnnością, a przez cały ten czas obmyślał plan, jak ograbić słabą, bezbronną staruszkę z jej nędznych dóbr! Jesteś pan godny pogardy

i nienawiści!

– Proszę – zaczął Felder.

Próbował podnieść się na kolana. W głowie mu pulsowało, żebra miał z całą pewnością złamane, a w ustach czuł żelazisty smak krwi i strachu.

– Proszę. Niczego nie wziąłem. Byłem jedynie ciekawy. Chciałem się trochę rozejrzeć, tak wiele słyszałem.

Zamilkł, gdy Dukchuk ponownie uniósł groźnym gestem swoją pałkę bojową. Panna Wintour wezwie policję, aresztują go, pójdzie do więzienia. To koniec jego kariery. Co mu strzeliło do głowy, aby wyciąć taki numer?

Sługa spojrzał przez ramię na pannę Wintour, a w jego spojrzeniu zawierało się ewidentne pytanie: „Co mam z nim zrobić?”.

Felder przełknął ślinę, czując przy tym potworny ból. To już koniec: zaraz zadzwonią na policję, a potem zacznie się prawdziwy koszmar. Równie dobrze mógł się z tym pogodzić. I zacząć wymyślać naprawdę dobrą bajeczkę.

Panna Wintour jeszcze przez chwilę przyglądała mu się z ponurą miną. A potem odwróciła się do Dukchuka.

– Zabij go – powiedziała. – A potem możesz pogrzebać jego szczątki pod podłogą w mniejszej piwniczce. Z innymi.

Po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z biblioteki, nie oglądając się za siebie.

Doktor John Felder szedł po wyblakłych, cuchnących wilgocią dywanach starej rezydencji, a jego kroki były powolne, niemal jak u robota. Dudniło mu w głowie, krew sączyła się z rozcięcia na skroni, spływając po szyi, przy każdym ruchu złamane żebra ocierały się o siebie. Dukchuk podążał za nim, od czasu do czasu szturchając go w plecy końcem swojej pałki bojowej. Jedynymi odgłosami towarzyszącymi olbrzymowi były szelest tuniki i odgłos miękkich kroków jego wielkich bosych stóp na dywanie. Staruszka zniknęła w górnej części domu.

Felder mijał korytarz, niczego tak naprawdę nie widząc. To nie była prawda, to nie mogło się dziać. Lada moment obudzi się w swoim niewygodnym, niedużym łóżku w stróżówce. A może – kto wie – w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku, a cała ta szalona wyprawa do Southport okaże się jedynie koszmarem.

W tej chwili jednak Dukchuk ponownie szturchnął go masywną gałką groźnej pałki, a Felder poczuł, aż nadto wyraźnie, że to koszmar, ale z całą pewnością nie sen.

Jednak wciąż trudno mu było w to uwierzyć. Czy stara panna Wintour naprawdę wydała Dukchukowi polecenie, aby go zabił? Czy mówiła poważnie, czy chciała jedynie nastraszyć włamywacza? A jej słowa o tym, aby Dukchuk pogrzebał go w drugiej piwniczce z innymi – co one mogły znaczyć?

Przystanął. Przed sobą w słabym elektrycznym świetle zobaczył jadalnię, a za nią coś, co wyglądało jak kuchnia. W przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi prowadzące w noc – ku wolności.

Dukchuk szturchnął go raz jeszcze, wskazując pałką, że ma skręcić w lewo i pójść dalej korytarzem.

Teraz, kiedy znów ruszył naprzód, Felder zaczął się rozglądać dyskretnie na prawo i lewo. Na ścianach wisiały stare, upstrzone przez muchy litografie. Tu i ówdzie na stolikach stały maleńkie, delikatne figurynki z chińskiej porcelany. Nie było jednak nic, co mogłoby posłużyć mu za broń. Przesunął dłonią po kieszeniach. Wyczuł śrubokręt, skalpel, kopertę z puklem włosów. Latarka leżała na podłodze biblioteki, gdzie został powalony przez Dukchuka. Ogromny, zwinny, muskularny sługa skwitowałby śmiechem skalpel z dwuipółcentymetrowym ostrzem. Lepszy był śrubokręt: czy miałby szansę wbić go w pierś tamtego? Ten dziwoląg był taki silny, tak szybki, że Felder nie miał na to najmniejszych szans. Dukchuk tylko by się wściekł.

To było beznadziejne. Gorzej niż beznadziejne.

Dukchuk zastukał w zamknięte drzwi swoją pałką bojową, po czym skinął na Feldera, aby je otworzył. Doktor nacisnął klamkę, wilgotną od potu dłonią prześlizgnął po białej gałce i drzwi się otworzyły. Za nimi rozciągała się ciemność. Dukchuk przekreślił staroświecki włącznik na ścianie i zapaliła się wisząca pod sufitem na drucie goła żarówka. Felder ujrzał przed sobą toporne schody prowadzące w dół, do piwnicy.

Poczuł, że ze strachu trzęsą mu się nogi – ze strachu skrytego pod bólem, dezorientacją i niedowierzaniem. To się działo naprawdę.

– Nie – powiedział, wycofując się. – Nie. Błagam. Nie możesz tego zrobić.

Dukchuk szturchnął go w plecy twardą gałką pałki bojowej.

– Dam ci forszę – wykrztusił Felder. – W stróżówce mam sto pięćdziesiąt dolców. Może nawet dwieście. Możemy pójść do bankomatu. To będzie nasza tajemnica, ona nie musi się dowiedzieć...

Olbrzym znów rąbnął go w plecy, tym razem silniej. Felder zachwiał się; przytrzymał się poręczy, by nie stracić równowagi. Gdyby cios był mocniejszy, stoczyłby się na łeb na szyję po schodach.

– Nie możesz kogoś zabić w ten sposób. Są ludzie, którzy wiedzą, że wynajmuję tę stróżówkę. Policja będzie mnie szukać i zjawi się tu, a wówczas rozniesie tę chałupę do fundamentów.

Ale nawet kiedy tak skamlał błagalnie, zdał sobie sprawę, że policja niczego takiego nie robi. Kto by uwierzył, że drobna, wiotka staruszka może być zdolna do morderstwa z zimną krwią? Wynajął stróżówkę pod fałszywym nazwiskiem i nikogo o tym nie powiadomił. Nawet gdyby policja się tu zjawiała, zapukałaby tylko do drzwi, zadała kilka uprzejmych pytań i odjechała.

Kolejne silne szturchnięcie.

Felder próbował przełknąć ślinę, a po chwili poczuł strach ściskający go za gardło. Postąpił krok naprzód, potem drugi, cierpiąc katusze i schodząc po stopniach jak stary człowiek. Dukchuk trzymał się kilka kroków za nim.

Wydawało się, że czas zwolnił. Każdy ruch był dla doktora prawdziwą udręką. *Zabij go. A potem możesz pogrzebać jego szczątki pod podłogą w mniejszej piwniczce. O Boże, Boże, naprawdę zaraz umrę. A może to jednak tylko chory żart, upiorny, makabryczny żart mający go nastraszyć?* Felder w ogóle w to nie wierzył.

Dotarł do końca stopni i przystanął. Było tu chłodno, wilgotno, jedyne oświetlenie stanowiła pojedyncza żarówka u szczytu schodów i migoczący wątyły blask napływający z pomieszczenia po lewej stronie. Na wprost rozciągał się wąski korytarz z odchodzącymi od niego zamkniętymi drzwiami.

To już koniec. Czekał, przygotowując się na mordercze uderzenie w głowę; na oślepiający ból, który eksploduje mu pod czaszką; na białe światło, które bardzo szybko zostanie zasnute przez ciemność. Ale Dukchuk tylko popchnął go do przodu swoją pałką.

Minęli otwarte drzwi po lewej. Kątem oka Felder spostrzegł wysokie migoczące świece, dziwnie pomalowane lniane kotary i małe kamienne figurki ustawione w półokręgu na cokole. Legowisko Dukchuka.

Kierowali się w stronę zamkniętych drzwi w głębi korytarza. Gdy Felder na nie spojrział, znów zaczął oddychać szybciej, aż usłyszał

własny oddech.

– Błagam – wyszeptał. – Błagam, błagam, błagam...

Zatrzymali się na końcu korytarza. Dukchuk skinął na niego, aby otworzył ostatnie drzwi. Felder wyciągnął rękę; drżała, a nogi miał jak z waty. Dopiero za trzecim razem udało mu się schwycić klamkę dostatecznie mocno, aby mógł ją przekręcić.

Drzwi się otworzyły, ukazując ciemność. W słabym świetle, jakie tu docierało, widać było rozmazane kształty: beczki z jabłkami, skrzynie na wpół wypełnione gnijącą rzepą i marchwią, drewniane półki, na których stały staroświeckie słoje na przetwory; wiele z nich eksplodowało, ciemna, zepsuta zawartość rozbryznęła się po półkach powyżej i ściekała w dół zastygłymi strąkami.

Piwniczna spiżarnia.

Felder usłyszał, jak jego szloch przybiera na sile. Miał wrażenie, że ten szloch wydobywał się z ust kogoś innego. Dukchuk znów popchnął go naprzód. Tym razem jednak Felder nie mógł – a może nie chciał – się poruszyć. Zamiast tego wsunął dłoń do kieszeni i instynktownie zacisnął palce na niedużej kopercie.

– Constance – wyszeptał.

W tym dramatycznym momencie uświadomił sobie niespodziewanie – choć zapewne już wcześniej to podejrzewał – że był w niej beznadziejnie, po uszy zakochany. Może wiedział już o tym wcześniej, ale nie potrafił sam przed sobą się do tego przyznać. O to w tym wszystkim chodziło. A ona nigdy nie dowie się, że odnalazł pukiel jej włosów – ani nie dowie się, jaką cenę przyszło mu za to zapłacić.

Dukchuk szturchnął go ponownie. I jeszcze raz. Felder zastygł na progu piwniczki, niezdolny do poruszenia się. Kiedy na jego prawe ramię spadł brutalny cios, krzyknął i zatoczył się do przodu. Kolejne uderzenie pałąk trafiło go pod kolanem, więc upadł, uderzając głową w klepisko.

To już koniec.

Nagle – i wiedział, że ma to związek z uświadomieniem sobie tego, co czuje do Constance – przepełniający go strach zaczął słabnąć.

W jego miejsce pojawiło się uczucie, które przypominało zdziwienie – i gniew. Zdziwienie, że ma go spotkać taki koniec, że ostatnim obrazem, jaki zarejestrują jego oczy, będzie to nierówne pyliste klepisko i wielkie sękaty stopy Dukchuka skręcone lekko w bok, z czarnymi, połamanymi paznokciami. Gniew zaś wziął się z poczucia niesprawiedliwości, jaka go spotkała. Przez całe życie starał się czynić dobro, pomagając chorym ludziom i próbując być jak najlepszym człowiekiem, życzliwym i łagodnym, a teraz ma umrzeć jako bezwolna ofiara szalonego mordercy?

W dłoni ściskającej kopertę poczuł inny przedmiot, dobrze mu znany i prosty. Skalpel. Jego palce puściły kopertę i zamknęły się na rękojeści skalpela. Nagle Felder poczuł, że wie, co zrobić.

Wyszarpnął dłoń z kieszeni i trzymając skalpel pomiędzy kciukiem a kłykiem środkowego palca, z palcem wskazującym opartym na górnej krawędzi narzędzia, tak jak go nauczono na medycynie na zajęciach z sekcji, ciął z całej siły, jaką był w stanie z siebie wykrzesać, po grubym ścięgnię Achillesa w tej łydce Dukchuka, która znajdowała się bliżej niego.

Rozległo się wilgotne mlaśnięcie, gdy gładko rozplątane ścięgno rozprężyło się, strzeliło w górę jak pęknięta gumka recepturka i zniknęło pośród mięśni łydki w nodze Dukchuka. Olbrzym w jednej chwili upadł na kolana. Wybałuszył oczy, otworzył usta na kształt idealnego „O” i po raz pierwszy wydał z siebie dźwięk: ogłuszający skowyt.

Felder podniósł się chwiejnie na nogi, wciąż trzymając w dłoni okrwawiony skalpel. Dukchuk zawył po raz drugi i spróbował pochwycić doktora zakrzywionymi w szpony palcami, ale psychiatra już uskoczył do tyłu, równocześnie tnąc na odlew i rozcinając mu dłoń jak dojrzały melon.

– Chcesz jeszcze, sukinsynu? – zawołał Felder zdumiony bezmiarem przepelniającej go wściekłości.

Jednak Dukchuk został obezwładniony bólem i leżał na klepisku zwinięty w kłębek, trzymając się za uszkodzoną kostkę, krew tryskała spomiędzy jego palców, a z ust wydobywało się żalosne,

niemal dziecięce kwilenie. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o Felderze.

Nadludzkim wysiłkiem doktor odwrócił się i chwiejnym krokiem wspiął po schodach, po czym przeszedł przez jadalnię, potrącając i przewracając jedno ze stojących tam krzeseł. Gdzieś z góry dobiegł go wzburzony kobiecy głos:

– Na miłość boską, Dukchuku! Pozwoliłam ci się zabawić, ale nie hałasuj przy tym tak bardzo!

Felder, najszybciej jak tylko mógł, przekuśtykał przez mroczną kuchnię. Słyszał płynące z dołu zawodzenia Dukchuka, teraz jednak były nieznacznie stłumione. Kierując się w stronę tylnego wyjścia, nie bez trudu odblokował wszystkie zasuwki i silnym pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Nie zważając na ból promieniujący z połamanych żeber i zranionej nogi, przedarł się przez wysokie trawy rosnące na tyłach rezydencji, dotarł do stróżówki, wszedł do środka, ale tylko na chwilę, żeby zabrać stamtąd aktówkę i klucze, chwiejnym krokiem dotarł do swojego volvo, wsiadł do auta, uruchomił silnik i wyjechał na Center Street, na zawsze opuszczając ten dom grozy.

63

W brazylijskiej puszczy wciąż jeszcze panowała noc. Mgły snuły się między rosnącymi gęsto drzewami i kwitnącymi nocą orchideami. Pendergast cichcem zawrócił do miejsca, w którym zostawił Egon, i niebawem natrafił na ślady pozostawione przez przedzierającego się tamtędy mężczyznę: połamane gałęzie, porwane liście, odciski stóp na omszałym podłożu. Idąc szybko tym tropem, wnet dotarł do przecinki, skąd mógł już usłyszeć tamtego, wciąż nawołującego i błakającego się w tę i z powrotem. Pendergast ominął go szerokim łukiem i zaszedł z drugiej strony.

– Tu jestem! – zawołał, wymachując latarką. – Tutaj!

– Gdzie pan był? – zapytał Egon, podchodząc pełen podejrzliwości i gniewu, kierując przy tym światło latarki na twarz agenta.

– A gdzie pan był, do licha? – zawołał ze złością Pendergast. – Wyraźnie kazałem panu nie odstępować mnie na krok, a pan zlekceważył to polecenie! Zgubiłem się i błakałem tu godzinami, a co gorsza, zmarnowałem okazję schwytania okazji Queen Beatrice! Już byłem gotów donieść na pana władzom!

Zgodnie z oczekiwaniami Pendergasta wychowany w kulturze władzy i poddaństwa Egon zareagował skrajną uniżonością.

– Bardzo przepraszam – wykrztusił – ale pan tak szybko pobiegł i zaraz zniknął mi z oczu...

– Dość wymówek! Cała noc zmarnowana. Tym razem panu odpuszczę, ale niech pan nigdy więcej się ode mnie nie odłącza! Mogłem zostać zabity przez jaguara albo pożarty przez anakondę! – Przerwał i zrobił zagniewaną minę. – Wracajmy do miasteczka.

Może mnie pan odprowadzić do mojej kwatery. Muszę się trochę przespać.

Przemoczeni i sponiewierani dotarli do miasteczka, gdy nad krawędzią wulkanu zaczął wstawać świt i pierwsze promienie budzącego się dnia muskały od spodu chmury, przydając im koralowego odcienia. Miasteczko o kształcie półksiężyca obudziło się do uporządkowanego życia, z chwilą gdy blask słońca zapanował na brukowanych uliczkach: drzwi zaczęły się otwierać, z kominów popłynął dym, ulice wypełniły się zmierzającymi każdy w swoją stronę ludźmi. Wysepka pośrodku jeziora pozostała taka sama: czarna, ponura, odpychająca i groźna, z jej wnętrza dobiegały ciche odgłosy pracujących nieprzerwanie maszyn.

Idąc przez zatłoczone ulice, Pendergast ponownie zwrócił uwagę, tym razem jednak ze zgrozą wywołującą na plecach lodowate ciarki, że niektóre z twarzy dostrzeżonych w podziemnym getcie miały swoje odpowiedniki wśród tych przystojnych, wiecznie zajętych ludzi.

Egon zaprowadził go do niedużego domu wzniesionego w połowie z drewnianych bali, przylegającego do gmachu ratusza. Zapukał do drzwi i otworzyła je kobieta w fartuchu, wycierająca ręce, a z wnętrza domu napłynął zapach świeżo pieczonego chleba.

– *Herzlich willkommen* – powiedziała.

W środku ujrzeli siedzących przy stole kuchennym dwóch jasnowłosych chłopców pałaszujących chleb z marmoladą i jajka na miękko. Chłopcy przestali jeść i patrzyli przez chwilę na Pendergasta z tą samą mieszaniną zaciekawienia i zdumienia jak i inni mieszkańcy osady.

– Nikt nie mówi po angielsku – wyjaśnił, jak zwykle krótko i zwięźle, Egon, ignorując kobietę i jej przyjazne powitanie, po czym przeszedł obok niej, kierując się w stronę wąskich schodów.

Poprowadził Pendergasta na górę, do przyjemnego pokoiku na poddaszu, z muślinowymi firankami, spadzistym, stromym sklepieniem i mansardowymi oknami, skąd roztaczał się widok na miasteczko.

– Pański pokój – powiedział. – Zostanie pan tu do zmierzchu. Wtedy ta kobieta poda panu kolację. Ja zaczekam na dole. Pan nie wychodzi z pokoju.

– Mam tu zostać do zmierzchu? – zawołał Pendergast. – Ale ja potrzebuję tylko czterech, góra pięciu godzin snu. Wolałbym pospacerować po mieście, pooglądać widoki.

– Pan zostanie tu do zmierzchu – powtórzył stanowczo Egon, zamykając drzwi.

Pendergast usłyszał szcęk klucza przekręcanego w zamku. Gdy ucichły kroki Egona, Pendergast, uśmiechając się pod nosem, przyjrzał się uważnie staroświeckiemu zamkowi w drzwiach. Następnie ze swojego plecaka wypełnionego słojami entomologicznymi wypakował liczne okazy zebrane podczas podróży w górę rzeki i w puszczy tej nocy. Pęsetą wyłożył motyle na specjalne podkładki i przykleił je do nich paskami taśmy. Kiedy skończył, położył się na zasłanym łóżku, w pełnym ubraniu, i natychmiast zasnął.

Obudził się nagle, godzinę później, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Tak? – rzucił po angielsku.

Dobiegł go pełen napięcia głos *Hausfrau* stojącej za drzwiami.

– *Herr Fawcett, hier sind einige Herren, die Sie sprechen möchten.*

Pendergast wstał z łóżka i usłyszał szcęk klucza w zamku. Drzwi się otworzyły i zobaczył sześciu ludzi w prostych szarych mundurach, wszyscy byli uzbrojeni i wycelowali w niego broń. Weszli do środka szybko i sprawnie, jakby mieli tę taktykę dobrze przećwiczoną, prowadzeni przez Scheermanna, po czym zajęli pozycje, stając półkolem na prawo i lewo od Pendergasta. Cała operacja została przeprowadzona z idealną precyzją, nie pozostawiając agentowi najmniejszej nawet okazji na jakąkolwiek reakcję czy ucieczkę. Pendergast przymrużył powieki. Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować.

– Niech się pan nie rusza – powiedział Scheermann, choć było to zbędne. – I ręce z dala od ciała.

Gdy Pendergast podniósł się bez słowa, rozkładając szeroko ręce,

został rozebrany, a następnie ubrany w bawełniany pasiak, bluzę i spodnie prostego kroju, jakie nosili ludzie, których widział w podziemnym baraku. Strażnicy sprowadzili go na dół, brutalnie wywlekli na ulicę, przez cały czas trzymając na muszce, po czym zaprowadzono go pod eskortą na przystań. To dziwne, ale teraz, gdy miał na sobie więzienny strój, miejscowi zwracali na niego mniejszą uwagę, niż wcześniej, gdy nosił cywilne ubranie. Najwyraźniej nie był to dla nich nowy widok.

Nikt nic nie mówił. Posadzono go na dziobie niedużej barki, a strażnicy ustawili się przy nim półkolem. Przy wtórze głośnego ryku silników parowych bardzo powoli barka wypłynęła na jezioro, pozostawiając za sobą wzburzony kilwater, i skierowała się ku posępnej fortecy.

Podróż trwała krótko. Przybili do kamiennego nabrzeża i Pendergast został popchnięty naprzód; żołnierze raz po raz szturchali go karabinami. Stara forteca wznosiła się teraz dokładnie nad nimi, a krenele zewnętrznego muru wyglądały jak czarne, zepsute zęby. Weszli po brukowanym trakcie wiodącym w stronę masywnej, żelaznej bramy, nieduże drzwi w bramie otworzyły się i zostali przepuszczeni. Drzwi natychmiast zamknęły się za nimi z metalicznym trzaskiem.

Oczom Pendergasta ukazał się zdumiewający widok. Zniszczony zewnętrzny mur warowni skrywał wzniesioną wewnątrz fortecy budowlę połączoną z ruinami i starymi kamiennymi fundamentami, które zostały solidnie odbudowane i wzmocnione. Była tam nadbudówka z wylanego betonu, upstrzona pasmami wilgoci i wykończona w monumentalnym faszystowskim stylu, z gładkimi, masywnymi ścianami, w których z rzadka widniały niewielkie otwory okienne, rozmieszczone wysoko wzdłuż jej flank. Z boku był widoczny olbrzymi relief w kształcie Parteiadler, godła Trzeciej Rzeszy – orła trzymającego w szponach swastykę – jedyny motyw ozdobny na pustych poza tym murach tego fortu wewnątrz fortu. Pendergast przystanął, by rozejrzeć się dokoła, na co jeden z żołnierzy kolnął go w bok lufą karabinu. – *Beweg Dich!* – warknął.

Pendergast ruszył naprzód przez zewnętrzny dziedziniec w stronę drzwi prowadzących do głównej fortecy. Było tu znacznie więcej żołnierzy, niektórzy pełnili wartę, inni czyścili broń, jeszcze inni zwyczajnie gapili się na niego z pogardliwym wyrazem twarzy.

Mechanicy mijali ich szybkim krokiem, spiesząc ku nieznanym zadaniom. Kiedy Pendergast i jego eskorta znaleźli się w wewnętrznej fortecy, zaczęli się wspinać najpierw starymi kamiennymi korytarzami, a następnie schodami pokrytymi plamami wilgoci i białymi nalotami saletry. Po drodze minęli kilku techników i naukowców w laboratoryjnych kitlach, zmierzających w dół, aż dotarli do nowszej, górnej części betonowej warowni.

U szczytu krętych schodów znajdowały się dębowe drzwi. Kiedy się otworzyły, ich oczom ukazał się przestronny, przewiewny pokój szczytowy z dużymi oknami, przez które rozpościerał się przepiękny, choć ograniczony widok na dachy fortecy, jezioro i okoliczną puszcę oraz góry. Był to wspaniale urządzone gabinet ze ścianami z cyzelowanego kamienia, perskimi dywanami na podłodze, masywnym zabytkowym biurkiem, po którego obu stronach stały nazistowskie sztandary, i z wyszukаныmi przedmiotami ze starego srebra oraz innymi dziełami sztuki usytuowanymi wzdłuż ścian. Za biurkiem siedział postawny mężczyzna, uosobienie teutońskiej doskonałości – potężny, muskularny, o przenikliwych bladych oczach, mocno opalony i ze starannie przyciętą gęstą czupryną siwych włosów. Uśmiechnął się.

Pendergast rozpoznał go w okamgnieniu. Fischer.

– Doskonale, *Oberführer* Scheermann – powiedział.

Kapitan wyprężył się, strzelił obcasami.

– *Danke, mein Oberstgruppenführer.*

Fischer wstał, wyjął dunhilla z ozdobnej srebrnej papierošnicy, zapalił złotą zapalniczką i głęboko zaciągnął się dymem, ani przez chwilę nie spuszczać wzroku z Pendergasta, który stał w bezruchu, otoczony przez uzbrojonych w pistolety maszynowe strażników. Fischer wyciągnął silną, poprzecinaną grubymi żyłami rękę, pogładził Pendergasta po sztucznej brodzie, po czym ścisnął ją mocno palcami i zerwał jednym zdecydowanym ruchem. Zaczął krążyć leniwie wokół agenta, a na jego ustach pojawił się przybierający na sile uśmiech.

W którymś momencie znów wyciągnął rękę. Przez chwilę mogło

się wydawać, że chce się przywitać z gościem, ale zamiast tego zamachnął się i z olbrzymią siłą zdzielił Pendergasta w twarz otwartą dłonią tak mocno, że powalił agenta na ziemię.

– Wyjmijcie mu to z ust – rozkazał.

Kilku żołnierzy celowało do Pendergasta z automatów, podczas gdy jeden włożył lufę lugera do jego ust i palcami drugiej ręki zaczął gmerać w środku. Po chwili pokazał Fischerowi, co zdołał odkryć. Na otwartej dłoni spoczywał zestaw maleńkich wytrychów, kilka teatralnych gąbek do charakteryzacji, używanych do zmiany wyglądu, a konkretnie kształtu szczęki i policzków, oraz nieduża szklana ampulka wypełniona przezroczystym płynem.

Żołnierz brutalnie podźwignął Pendergasta na nogi. Z nosa agenta ciekła krew. Jego oczy miały barwę kartki białego papieru.

– Teraz mamy już pewność, że to w istocie nasz agent Pendergast. Jak miło, że zadał pan sobie tak wiele trudu, aby do nas dotrzeć. Nazywam się Wulf Konrad Fischer. To ja wprowadziłem pańską żonę.

Kolejny uśmiech.

Ponieważ Pendergast się nie odezwał, Fischer mówił dalej:

– Muszę przyznać, że pańskie przebranie było doskonałe. Wiedziałem, że człowiek taki jak pan przybędzie w poszukiwaniu mnie – w poszukiwaniu nas. I założyłem, że dzięki swoim niezwykłym umiejętnościom w końcu mnie pan odnajdzie. Nie spodziewałem się natomiast przebrania. Uważałem, że po prostu wślizgnie się pan niepostrzeżenie, wtapiając się pośród miejscowych, albo będzie pan się ukrywał w puszczy. Nie sądziłem, że wejdzie pan tutaj z fanfarami, okazując niewiarygodną zuchwałość i butę. Pańskie przebranie było dobre, cały ten szajs z Queen Beatrice. Doskonała robota, tym bardziej że wszystko to jest jak najbardziej zgodne z prawdą. Moje gratulacje. Wzbudził pan mój podziw.

Fischer zaciągnął się dymem, trzymając papieros pionowo, aby gromadzący się popiół nie spadł na podłogę.

– Błąd popełnił pan dopiero podczas nocnego wypadu z Egonem.

Widzi pan, Egon dorastał w tej puszczy. Zna ją jak nikt inny. Ale zdołał mu się pan wymknąć i kiedy tylko się o tym dowiedziałem, zrozumiałem, że nie jest pan żadnym przyrodnikiem.

Pendergast wciąż się nie poruszył.

– Moi koledzy i ja byliśmy, że tak powiem, pod wrażeniem tego, co pan zrobił na Vergeltungu. Oczywiście było dla mnie wielkim szokiem, kiedy dowiedziałem się, że Helen Esterhazy wciąż żyje. Choć woleliśmy zbadać ją in vivo, zmusił nas pan, abyśmy położyli kres tej niedokończonej sprawie w dość prymitywny i brutalny sposób. Cóż, przynajmniej udało nam się przeprowadzić nader odkrywczą autopsję na jej szczątkach, które dość szybko znaleźliśmy w wykopanym przez pana prowizorycznym grobie.

Te słowa sprawiły, że pod jednym z oczu Pendergasta zapulsowała nieduża żyłka.

– O tak. Nigdy nie przepuścimy okazji do badań naukowych. Jesteśmy przede wszystkim uczonymi, naukowcami. Na przykład pańskie spektakularne i niespodziewane wejście do naszego programu – znowu kłania się Vergeltung, a następnie niez mordowany pościg za Helen – okazały się dość niepokojące. Jednak ponieważ jesteśmy naukowcami, zdołaliśmy się dostosować do tej sytuacji. Szybko zweryfikowaliśmy nasze plany, aby włączyć pana do ostatniej fazy naszego wielkiego dzieła, nad którym tu pracowaliśmy. Dostrzegliśmy okazję i wykorzystaliśmy ją. Niniejszym dziękuję za pański wkład w tę sprawę.

Popiół wciąż jeszcze nie spadł z trzymanego pionowo papierosa. Fischer opuścił go do poziomu i popiół spadł, a mężczyzna wykorzystał ten moment, aby delikatnie zgasić niedopałek w zdobionej srebrem popielniczce.

Szczupłą dłonią ujął maleńką ampułkę leżącą na blacie biurka wraz z innymi przedmiotami odebranymi Pendergastowi. Przesunął ją z zadumą pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

– Podziwiam pańską odwagę. Przekona się pan jednak, że to nie było konieczne. Wręcz przeciwnie, zaoszczędzimy panu kłopotu.

Odwrócił się do żołnierzy.

– Zabierzcie go do pokoju numer cztery.

65

Pokój numer cztery znajdował się w głębi najstarszej części fortecy. Było to przypominające tunel pomieszczenie utworzone z masywnych bazaltowych bloków, z podłogą z masy wulkanicznej i łukowato sklepionym sufitem. Z przodu zwieszała się pojedyncza żarówka. Pendergast został zawleczony do środka, popchnięty pod broń w stronę jednej ze ścian, a potem przykuty za ręce i nogi do ogromnych żelaznych pierścieni wpuszczonych w kamienną ścianę i rozpięty na łańcuchach tak, że ramiona i nogi miał naprężone do granic możliwości.

Pod czujnym okiem Scheermanna żołnierze dopilnowali, aby łańcuchy zostały zapięte jak najciaśniej. Następnie opuścili pomieszczenie, gasząc światło i zamykając za sobą masywne, grube, żelazne odrzwia i pozostawiając Pendergasta przykutego do ściany. Błysk światła pojawił się jeszcze przez chwilę w otworze judasza, ale i on w końcu zgasł, kiedy okienko zostało zamknięte i zablokowane. Zapanowała ciemność.

Pendergast stał w ponurym mroku i nasłuchiwał. Żołnierze pozostali na zewnątrz, słyszał, jak się poruszali, jak rozmawiali. Poza tym jego uszu dochodził jedynie niski łoskot, dźwięk wielkich generatorów i czegoś jeszcze, płynący z jeszcze większej głębokości; być może jego źródłem były naturalne ruchy magmy pod nie całkiem wygasłym wulkanem. Na potwierdzenie tej tezy poczuł słabe, lecz wyczuwalne drżenie podłoża i ścian, jakby cała forteca zatrzęsła się w posadach w odpowiedzi na uderzenie widełek wielkiego kamertonu w ziemi pod nimi.

Pendergast nasłuchiwał w ciemności. I myślał. Myślał o tym, co powiedział Fischer.

Minęła godzina. I nagle Pendergast usłyszał kroki. Rozległ się zgrzyt odciąganej zasuw. Pojawiło się silne światło i drzwi się otworzyły. Weszły dwie postacie. Przez chwilę stały nieruchomo, zaraz jednak postąpiły naprzód. Goła żarówka pośrodku pomieszczenia zapaliła się. A przed Pendergastem stanęli Fischer i Alban.

Alban. Bez charakteryzacji, przebrania i makijażu.

Z twarzy wyglądał niemal dokładnie tak samo jak Tristram, jednak w jej rysach zawierała się zupełnie inna, wręcz przeciwstawna osobowość. Alban emanował ogromną pewnością siebie, swobodną charyzmą, jedynie cień arogancji mieszał się z poczuciem rozbawienia. Przepęniała go aura spokojnej dyscypliny, oderwanie od świata zmysłowości, pasji oraz intuicji.

Pod wieloma względami bardziej przypominał Pendergasta niż Tristram. Choć – ku swojej konsternacji i rozpacz – Pendergast stwierdził, że Alban ma usta i oczy po matce. Im dłużej jednak agent wpatrywał się w to blade, pociągłe oblicze z wysokim czołem, niebieskofiołkowymi oczami, jasnymi włosami i wydatnymi ustami, tym bardziej uświadamiał sobie, że czegoś tu brakowało. W miejscu, gdzie powinno znajdować się serce, ziała dziura, ogromna dziura.

Dopiero wtedy Pendergast otaksował wzrokiem całą sylwetkę syna: czystą, odprasowaną koszulę, płócienne spodnie o prostym kroju, pleciony skórzany pas i mocne, ręcznie robione skórzane buty. To dziwne, ale jego ubiór silnie kontrastował ze wspaniałe skrojonym szarym garniturem, jaki miał na sobie Fischer, oraz jego złotymi pierścieniami, zegarkiem i zapalniczką. Wreszcie Fischer przemówił:

– Czy mogę mieć ten zaszczyt, agencie Pendergast, i formalnie przedstawić pańskiego syna, Albana?

Alban stał, patrząc na niego. Nie sposób było stwierdzić, co kryje się w jego oczach, jakich emocji doświadcza, jeżeli w ogóle odczuwał cokolwiek; wydawał się absolutnie spokojny i opanowany.

– Witaj ponownie, ojciec – odezwał się głębkim, miłym głosem, bez szorstkiego akcentu, charakterystycznego dla Tristrama.

Pendergast milczał.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi.

– Wejdz, Berger – powiedział Fischer.

Do pomieszczenia wszedł niski, bardzo chudy mężczyzna o ostrych rysach, trzymający w jednej ręce staroświecką torbę lekarską, a w drugiej składany stolik. Za nim, popychany naprzód kolbą pistoletu maszynowego, szedł Egon. Włosy miał zmierzwiłone i zeszywniałe, twarz białą i przepełnioną strachem. W jego oczach czaiła się trwoga.

Strażnik zamknął drzwi, po czym stanął przed nimi z bronią w gotowości. Fischer czekał, podczas gdy Egon został przykuty do ściany w ten sam sposób co Pendergast. Następnie odwrócił się do agenta.

– Wydaje się pan posiadać ogromną naukową ciekawość – powiedział. – Pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zatem czy chce pan poczynić jakieś spostrzeżenia? Ma pan jakieś pytania? Bo kiedy zaczniemy, nie będzie pan miał okazji, aby cokolwiek powiedzieć.

– Gdzie jest Tristram? – zapytał Pendergast. – Żyje?

– Tristram? A więc *der Schwächling* otrzymał od pana imię. Jakie to miłe. Jest pan naprawdę niezwykły. Zakładam, że chodzi panu o Czterdzieści Siedem. Oczywiście, że on żyje. Jest nosicielem wszystkich części zamiennych dla Albana. Choćby z tego tylko powodu ten chłopak jest dla nas ważny. Może pan być pewien, że wrócił bezpiecznie na nasze łono. Moment wolności sprawił, że trochę się zbiesił, ale został ponownie ujarzmiony i teraz już wszystko z nim w porządku. – Fischer przerwał. – Właściwie jego uprowadzenie i powrót służyły trzem zasadniczym celom. Został ponownie sprowadzony do nas, a co za tym idzie, Alban odzyskał swojego przyszłego dawcę organów. Wiedzieliśmy przy tym, że jego uprowadzenie ściągnie tu pana jak ćmę do płomienia. Równocześnie skuteczne wykradzenie Czterdzieści Siedem spod pańskiej kurateli,

z pańskiego domu mogło stanowić adekwatny kres ostatniej fazy naszego dzieła. Cóż za niezwykła skuteczność działania! I jakie były one ekonomiczne!

Parafrazując stare powiedzenie, udało nam się upiec trzy pieczenie na jednym ogniu, czyż nie?

– Ostatnia faza waszego dzieła – powiedział beznamiętnym tonem Pendergast. – Użył pan już wcześniej tego zwrotu. Zakładam, że odnosi się to do tak zwanego testu beta?

Przez moment Fischer wydawał się zaskoczony. Wreszcie się uśmiechnął.

– Doskonale, doskonale. Tak, miałem na myśli nasz test beta.

– Na czym on dokładnie polega?

– Z całą pewnością zdołał się pan już tego domyślić. Od ponad pół wieku podążaliśmy szlakiem wytyczonym przez doktora Mengele i doktora Fausta, kontynuując ich wielki eksperyment dotyczący bliźniąt.

– Eksperyment, który został zapoczątkowany na bezwolnych ofiarach w obozach koncentracyjnych.

– Dzieło, które zostało zapoczątkowane w trakcie tej niefortunnej wojny, a które później przenieśliśmy na inny grunt, tutaj, do Brazylii. To dzieło zostało właśnie zakończone, po części dzięki panu.

– A wiążące się z tym zasady naukowe? – spytał chłodno Pendergast.

Fischer przyłożył palec do podbródka.

– Proste w teorii, jednak w praktyce wyjątkowo trudne. Po zapłodnieniu i pierwszej mitozie dwie komórki potomne zostają rozdzielone i zaczynają się rozwijać niezależnie, tworząc zaczątek dla rozwoju identycznych bliźniąt. Kiedy dwa embriony osiągną stadium moruli, zaczyna się naprawdę delikatna praca. Inicjujemy proces transferu materiału genetycznego pomiędzy embrionami. W dobrym embrionie pomnażamy materiał genetyczny tym, co najlepsze z drugiego embrionu, wymieniając gorszy materiał, który trafia do słabszego embrionu.

– Skoro jednak to identyczne bliźnięta – wtrącił Pendergast – jak może istnieć jakakolwiek różnica pomiędzy embrionami?

Uśmiech rozpromienił oblicze Fischera.

– Ach, panie Pendergast, udało się panu dokładnie sformułować najważniejsze pytanie, z jakim nasi naukowcy borykali się przez wiele lat. Odpowiedź brzmi następująco: ludzki genom zawiera trzy miliardy par bazowych. Nawet wśród identycznych bliźniąt trafiają się błędy: kiepskie kopie, odwrócona sekwencja i tym podobne. Pomnażamy tę wariację nieznacznie, napromieniowujemy niezapłodnione jajeczko i spermę przed połączeniem. Nie do tego stopnia, aby stworzyć dziwoląga, tyle tylko, aby uzyskać niezbędną wariację umożliwiającą wymianę genów. Dlatego zamiast mieszać i dopasowywać geny na chybił trafił, jak to prymitywnie czyni natura, możemy zbudować mężczyznę lub kobietę zgodnie ze starannie opracowanymi wytycznymi.

– A słabszy embrion?

– Nic się nie marnuje. Gorszy bliźniak także rozwija się i osiąga stadium płodu. Pański, ee, Tristram jest tego doskonałym przykładem. – Fischer zachichotał. – On lub ona są wychowywani do prac fizycznych w obozach i na polach, stając się użytecznymi, potrzebnymi członkami naszej społeczności. *Arbeit macht frei*. No i oczywiście ten zły bliźniak, gorszy bliźniak, *der Schwächling*, stanowi doskonały bank krwi oraz organów, na wypadek gdyby dobremu bliźniakowi coś się przytrafiło i konieczna byłaby transplantacja. Naturalnie to transplantacje izogeniczne, najdoskonalsze, takie, w których nie może dojść do odrzucenia przeszczepu. – Przerwał, by zapalić kolejnego papierosa. – Te uciążliwe badania, dopracowywanie procedur, udoskonalenie wyników, jak może pan się domyślać, to wszystko pochłonęło lata żmudnej pracy, dziesiątki lat żmudnej pracy. Potrzeba było nieskończenie wielu powtórzeń, przy czym każde kolejne okazywało się odrobinę lepsze od poprzedniego.

– Powtórzenia – rzekł Pendergast. – Innymi słowy pary bliźniąt stanowiące stadium pośrednie w tym eksperymencie, które nie

sprostały waszym wymaganiom. Istoty ludzkie, które należało zlikwidować.

– Bynajmniej. Może pan ujrzeć je każdego dnia w naszym miasteczku, gdzie wiodą produktywny i użyteczny żywot.

– A ich doppelgangery, sobowtóry, przetrzymujecie w waszym podziemnym obozie koncentracyjnym.

Fischer uniósł brew.

– No, no, widzę, że wczorajszej nocy pan nie próżnował...

– A Alban? Zakładam, że jest waszym szczytowym osiągnięciem, zwieńczeniem eksperymentu?

Fischer nie był w stanie ukryć dumy, jaka go przepełniła.

– W rzeczy samej.

– Co oznacza, że test beta to on sam – Pendergast odpowiedział na swoje pytanie.

– Tak. Doktor Faust zgłosił na ochotnika swoją rodzinę. Był prawdziwym człowiekiem nauki. Linia Faust-Esterhazy okazała się zaskakująco bogata. Muszę jednak stwierdzić, że linia Pendergastów ją przewyższyła.

Związek między panem i Helen, choć przypadkowy, zaowocował wyjątkowo zaskakującym rezultatem. Wynik przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania. – Fischer pokręcił głową. – Pozwoliliśmy jej rodzicom wyjechać do Ameryki, aby żyli tam swobodnie, wychowując swoje dzieci. Był to jeden z wczesnych eksperymentów mający pokazać, jak nasze obiekty mogą funkcjonować w zewnętrznym społeczeństwie. Eksperyment zakończył się spektakularną klapą. Kiedy Helen dorosła, zbuntowała się i odwróciła od nas. Jej ciało jednak zostało już przygotowane, aby zawsze nosić bliźnięta – to było proste. Kiedy przypadkowo zaszła w ciążę, została zmuszona do powrotu tutaj. W przeciwnym razie płody by obumarły bez specjalnej terapii, jaką musiała przejść, aby donosić ciążę. Ale wróciła do Brazylii, będąc już w trzecim miesiącu ciąży, za późno na terapię komórek blastocystowych, którą opracowaliśmy tutaj, w Novej Godói. To zmusiło nas do spróbowania czegoś nowego – ryzykownej i wysoce

eksperymentalnej techniki przeniesienia materiału genetycznego pomiędzy bardziej rozwiniętymi płodami. Zapewne doceni pan ironię sytuacji, *Herr* Pendergast, ale właśnie to późne stadium doprowadziło nas do ostatecznego sukcesu. Zawsze sądziliśmy, że prace genetyczne należy wykonywać możliwie jak najwcześniej, nie później niż w pierwszych paru tygodniach. A jednak to opóźnione prace nad bliźniętami Helen okazały się przełomem. – Fischer przerwał. – Helen nigdy nie pogodziła się z faktem, że nie chcieliśmy pozwolić, aby zabrała dzieci do Ameryki. Oczywiście musieliśmy je zatrzymać. Już od początku Alban prezentował się nader obiecująco.

Młodzieniec przysłuchiwał się temu wywodowi z beznamiętym wyrazem twarzy.

– Mowa tu o twojej matce – powiedział Pendergast. – Ani trochę cię to nie bulwersuje?

– Bulwersuje? – odparł Alban. – Wręcz przeciwnie, odczuwam wyłącznie dumę. Spójrz, jak łatwo było się dowiedzieć, gdzie zaplanowaliście spotkanie. Tę informację zdradziła nam osoba pracująca w wydziale nowojorskiej policji – kto by pomyślał. I jak szybko nasi ludzie wcielili w życie opracowany naprędce plan. Zapadła krótka cisza.

– A Longitude Pharmaceuticals? – zapytał Pendergast. – Co z nimi?

– To zaledwie jedna z satelickich operacji związanych z naszymi przedsięwzięciami – odparł Fischer. – Nasze badania były subtelne, złożone i zakrojone na szeroką skalę, więc musieliśmy czerpać z wielu źródeł. Zwykle ściśle je kontrolujemy, ale wypadki się zdarzają, tak jak z Longitude, a wówczas niestety konieczne jest podjęcie stanowczych i zdecydowanych działań.

– Wspomniał pan, że byłem przynajmniej częściowo odpowiedzialny za ostatni sukces waszych prac. I że włączył mnie pan do ostatniej fazy tych działań. Co właściwie chciał pan przez to powiedzieć?

– Mój drogi agencie Pendergast, z całą pewnością do tej pory zdołał się pan już tego domyślić. Wspomniałem o pańskim ataku na Vergeltungu, o niezmordowanym pościgu za Helen i za nami.

Mieliśmy w planach dla Albana jeszcze jeden, ostateczny test beta, ale kiedy pojawił się pan na scenie, wykorzystaliśmy to, co można było uznać za przeszkodę, jako nieoczekiwaną okazję. Całkowicie zmieniliśmy parametry testu – cokolwiek pospiesznie, muszę przyznać. Postanowiliśmy wysłać Albana do Nowego Jorku. Aby udowodnił, że jest w stanie bezkarnie zabijać, nawet po ujawnieniu jego tożsamości i zarejestrowaniu jego wizerunku przez kamery ochrony. Pozostawiając wskazówki mające uświadomić panu, że zabójcą jest pański syn. Ta wiedza powinna była dać panu odpowiednią motywację, aby go schwytać, prawda? Jeżeli największy, najbardziej nieustraszony detektyw nie byłby w stanie schwytać swojego syna mordercy, nasz test beta okazałby się sukcesem, nieprawdaż? Absolutnym, niekwestionowanym sukcesem?

Pendergast nie odpowiedział.

– Ale wtedy Czterdzieści Siedem uciekł i zdołał dotrzeć do pana. Niemniej i tym razem przekuliśmy niefortunne zdarzenie w sukces. Zmieniliśmy cel ostatniej misji Albana. Zamiast dokonać piątego morderstwa, Alban miał wykraść Czterdzieści Siedem z pańskiego domu. I misję tę wypełnił nienagannie. – Fischer odwrócił się do młodzieńca. – Dobra robota, mój chłopcze.

Alban pokiwał głową, przyjmując pochwałę.

– A zatem doprowadziliście do perfekcji wasz eksperyment nad bliźniętami – odezwał się Pendergast. – Możecie produkować je wedle życzenia, jedno z bliźniąt będzie doskonałą maszyną do zabijania, silną, inteligentną, sprytną i nieustraszoną. A co najważniejsze, absolutnie wolną od jakichkolwiek zahamowań moralnych czy etycznych.

Fischer skinął głową.

– Wie pan, że właśnie przez te zahamowania, jak pan to ujął, przegraliśmy wojnę.

– No i jest jeszcze drugi bliźniak, słaby, pozbawiony naturalnych zdolności, które jego rodzeństwo ma w nadmiarze, niewolnicza siła robocza, a jeśli to konieczne, także żywy bank narządów. Skoro więc

udało się wam doprowadzić ten proces do perfekcji i potraficie idealnie wytwarzać doskonałe istoty ludzkie, co zamierzacie z tym robić?

– Co zamierzamy robić? – To pytanie zbiło Fischera z tropu. – Czyż to nie oczywiste? To, co przysięgaliśmy – to, co poprzysięgliśmy uczynić, odkąd wasze siły zbrojne najechały nasze miasta, zabiły naszego wodza i rozniosły Trzecią Rzeszę na cztery wiatry. Czemu sądzi pan, *Herr* Pendergast, że nasz cel mógł się zmienić przez te wszystkie lata? Jedyna różnica jest taka, że po siedemdziesięciu latach niekończącej się, nieustannej pracy jesteśmy gotowi podjąć próbę osiągnięcia tego celu. Ostateczny test beta został zakończony. Możemy zaczynać i – jak to się mówi – wytoczyć ciężkie działa.

Upuścił niedopałek na podłogę i zdeptał pod butem.

– Zaczyna mnie to nużyć.

Odwrócił się do mężczyzny nazwiskiem Berger.

– Możesz robić swoje – powiedział.

Berger, który przez całą rozmowę palił jednego papierosa za drugim, teraz skromnie skinął ręką. Rozłożył stolik, postawił na nim torbę lekarską i zaczął w niej grzebać. Po chwili wyjął staroświecką strzykawkę – szklaną grubą rurkę w otoczce ze lśniącej stali z nałożoną na nią groźnie wyglądającą igłą. Wyjął fiolkę z gumowym korkiem i starannie, bez pośpiechu odciągnął tłoczek, napełniając pojemnik strzykawki w trzech czwartych. Nacisnął lekko tłoczek, roniąc kilka kropel płynu. Następnie odwrócił się i ze strzykawką w dłoni podszedł do Egona.

Przez całą rozmowę Egon wlepił wzrok w posadzkę, zwieszając się na łańcuchach jak zwierzę, które poddało się losowi. Teraz jednak, kiedy ujrzał zbliżającego się do niego Bergera, nagle się ożywił.

– *Nein!* – zakrzyknął, miotając się dziko. – *Nein, nein, nein, nein...!*

Fischer pokręcił głową z dezaprobatą, po czym przeniósł wzrok na Pendergasta.

– Egon nie wypełnił zleconego mu zadania towarzyszenia panu przez cały czas. Nie mamy tu w zwyczaju darowywania porażek, *Herr Pendergast*.

Berger skinął na strażnika. Mężczyzna odłożył broń na bok i postąpił naprzód, by jedną ręką chwycić nieszczęsnego Egona za włosy, a drugą brutalnie odchylić mu głowę do tyłu. Berger podszedł z uniesioną strzykawką. Delikatnie zaczął sondować igłą różne punkty na ciele Egona, poniżej podbródka. Wreszcie wybrał jedno i powoli, precyzyjnie wbił igłę w miękkie podniebienie, zatapiając ją

w ciele aż do samego końca. Wcisnął tłoczek. Egon szarpał się coraz bardziej histerycznie. Wrzasnął lub raczej wydał zduszony, przerażony bulgot spomiędzy zaciśniętych zębów, gdy strażnik unieruchomił jego głowę.

Bardzo szybko zarówno Berger, jak i strażnik cofnęli się. Egon zwisał ciężko na łańcuchach, sapiąc i skamłając.

Nagle całe jego ciało zeszywniało. Na szyi zaczęły się odznaczać żyły, niebieskie i nabrzmiące. Ich siateczka powiększała się błyskawicznie niczym rzeki znajdujące nowe ujścia na świeżym gruncie. Rozchodziła się po całej twarzy i niżej, aż do przedramion, wyraźnie przy tym pulsując. Egon zaczął się szarpać w łańcuchach, wydając przy tym gardłowe, warkoczące dźwięki. Jego spazmy stawały się gwałtowniejsze, twarz nabiegła purpurą, aż nagle, wraz z gwałtowną erupcją krwi, która buchnęła mu z nosa, uszu i ust, znieruchomiał, zwisając bezwładnie w okowach.

To była wyjątkowo przerażająca egzekucja.

Dziwnie wymyślnymi ruchami Berger schował fiolkę i strzykawkę z powrotem do torby. Fischer nawet nie pokwapił się, by obejrzieć egzekucję. Alban jednak uważnie się jej przyglądał, z błyskiem zaciekawienia płonącym w niebieskofiołkowych oczach.

Fischer znów zwrócił się do Pendergasta:

– Jak już wspomniałem, byliśmy pod wrażeniem tego, co pan zrobił na Vergeltungu. Jednakże wskutek pańskich poczynań straciliśmy wielu dobrych ludzi. Teraz, kiedy test beta dobiegł końca, nie jest pan już nam potrzebny. W gruncie rzeczy stanowi pan przypadkowy element, którego należy się pozbyć. Zanim jednak Berger podejmie na nowo swoją pracę, może chciałby pan podzielić się ostatnim spostrzeżeniem albo zadać ostatnie pytanie?

Pendergast trwał w bezruchu przykuty do ściany ciężkimi łańcuchami.

– Chciałbym coś powiedzieć Albanowi.

Fischer wyciągnął rękę w przyzwalającym geście, jakby mówił „proszę bardzo”.

Pendergast zwrócił się do Albana:

– Jestem twoim ojcem. – To było proste stwierdzenie, wypowiedziane powoli, ale brzemiennie w znaczenie. – A Helen Esterhazy Pendergast była twoją matką. – Skinął na Fischera. – Zamordował ją ten człowiek.

Zapadła długa cisza. W końcu Fischer zwrócił się do Albana protekcjonalnym, niemal ojcowskim tonem:

– Albanie, czy chciałbyś coś powiedzieć w związku z tym? Teraz jest odpowiedni moment.

– Ojciec – kierując wzrok na Pendergasta, Alban odezwał się wyraźnym, wysokim głosem – czy próbujesz wzbudzić we mnie jakieś prowincjonalne rodzinne uczucia? Ty i Helen Esterhazy byliście jedynie dawcami spermy i jajeczka. Zostałem stworzony przez innych.

– A tymczasem twój brat, brat bliźniak, pracuje niewolniczo na polach?

– Jest produktywnym członkiem społeczności. Raduję się jego rolą. Każdy ma swoje miejsce.

– Zatem uważasz się za lepszego niż on.

– Oczywiście, że jestem lepszy. Wszyscy, którzy zostali tu stworzeni, mają swoje określone miejsce i znają je od samego początku. To ostateczny porządek społeczny. Widziałeś Nową Godói. Nie ma tam przestępczości. Nie ma depresji, chorób psychicznych, uzależnień od narkotyków ani żadnych innych problemów społecznych.

– A wasza społeczność jest wspierana przez obóz niewolniczej pracy.

– Przemawia przez ciebie niewiedza. Oni mają cel. Mają wszystko, czego potrzebują i czego chcą, choć, ma się rozumieć, nie możemy pozwolić, aby się rozmnażali. Niektórzy ludzie po prostu są lepsi od innych.

– A ty wobec tego, jako najlepszy z nich wszystkich, jesteś *Übermenschem*. Ostatecznym, najwspanialszym ucieleśnieniem ideału nazistów.

– Z dumą przyjmuję to miano. *Übermensch* to ideał istoty ludzkiej,

twardy, silny, wykraczający poza banalne pojmowanie dobra i zła.

– Dziękuję, Albanie – powiedział Fischer. – To było nader wymowne.

– *Übermensch* – powtórzył Pendergast. – Powiedz mi, czym jest *Kopenhagener Fenster*. Kopenhaskie Okno.

Alban i Fischer wymienili spojrzenia, najwyraźniej zdziwieni i być może również zaniepokojeni tym pytaniem. Jednak obaj szybko zdołali się opanować.

– Ta wiedza nie będzie panu potrzebna w ostatnich chwilach pańskiego życia – odrzekł oschle Fischer. – A teraz *auf Wiedersehen*.

W pokoju zapadła cisza. Twarz Pendergasta miała barwę marmuru. Powoli jego głowa opadła, a ramiona zwisły – obraz rozpacz i rezygnacji. Fischer przez chwilę przyglądał się więźniowi.

– Miło mi było pana poznać, *Herr* Pendergast. Agent nie uniósł wzroku.

Fischer skinął na Bergera i ruszył w stronę drzwi celi. Po chwili także Alban odwrócił się i podążył za nim.

Przy drzwiach Fischer przystanął i popatrzył na Albana. Na jego twarzy pojawił się wyraz łagodnego zdziwienia.

– Sądziłem, że będziesz chciał przy tym być.

– To bez znaczenia – odrzekł Alban. – Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Fischer zawahał się przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami i wyszedł z pomieszczenia. Alban pospieszył za nim. Drzwi zamknęły się za nimi z metalicznym łoskotem, a przy wejściu stanął strażnik z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

Na zewnątrz doszło do krótkiej wymiany zdań. Wreszcie drzwi znowu się otworzyły. Weszło jeszcze trzech strażników: dwóch niosło liczne łańcuchy i kajdany, jeden zaś palnik acetylenowy. Berger rozejrzał się dokoła. Teraz w pomieszczeniu było siedmiu ludzi: czterech żołnierzy, on, więzień i Egon.

Berger popatrzył na trupa, na jego twarz wykrzywioną przerażającym grymasem agonii, kończyny zeszywniałe i kanciaste, wystające, gruby jak kiełbasa język oraz strużki krwi ciekącej z uszu, nosa i ust. Odwrócił się do jednego z żołnierzy pełniącego funkcję strażnika.

– Wynieś go stąd – rozkazał.

Żołnierz podszedł i zdjął żelazne klamry kajdan z przegubów i kostek Egona. Uwolnione z oków ciało ciężko upadło na podłogę. Żołnierz schylił się, schwycił za uniesioną zeszywniałą rękę i powłókł trupa w kąt, po czym niemal wcisnął w ścianę.

Berger skinął na przykutego do ściany więźnia nazwiskiem Pendergast.

– Zmiękczył go trochę – zwrócił się po niemiecku do żołnierza.

Ten uśmiechnął się złowrogo, podszedł do Pendergasta i w ciągu kilku minut wymierzył agentowi ponad dziesięć potężnych, metodycznie zadawanych ciosów w twarz i w brzuch. Pendergast wił się na łańcuchach i stękał z bólu, ale nie wydał żadnego innego dźwięku. Wreszcie Berger pokiwał głową z aprobatą.

– Trzymaj go na muszce – powiedział.

Strażnik, mocno zdyszany, cofnął się, podniósł automat i wrócił na

swoje miejsce przy drzwiach. Na rozkaz Bergera podeszło trzech żołnierzy. Uwolnili Pendergasta z łańcuchów i agent osunął się na ziemię. Podczas gdy jeden żołnierz celował w niego, dwaj inni podźwignęli go na nogi, a następnie założyli mu na przeguby kajdanki połączone łańcuchem z szerokim pasem i kajdanami na kostkach. Okowy zostały zespawane przez strażnika dzierżącego palnik. Na koniec od kajdanek u przegubów przeciągnięto dwa długie na prawie dwa metry łańcuchy i połączono je z klamrami oków na kostkach. Kiedy wszystkie kajdanki zostały zespawane, mężczyźni popatrzyli na Bergera w oczekiwaniu na dalsze instrukcje.

– Możecie odejść – zwrócił się do nich. Cała trójka ruszyła w stronę drzwi.

– Chwileczkę – powiedział Berger. – Palnik zostawcie. Przyda mi się.

Trzeci strażnik postawił na podłodze plecak zawierający palnik i dwie butle. Potem wyszli. Żołnierz z automatem zamknął drzwi i powrócił na swoje stanowisko.

Berger wyjął z torby krótki harap z metalową końcówką i przez chwilę przyglądał się więźniowi, oceniając go. Pendergast był wysoki, chudy, wyraźnie słaby, ręce miał związane łańcuchami. Głowa zwisała mu bezwolnie, jasne włosy opadały strąkami na czoło, z nosa i ust ciekła krew, skórę miał szarą i przezroczystą. Jego duch został ewidentnie złamany. Nie ma sprawy, Berger zadba, aby się ożywił w ostatnich chwilach swojego życia. Ożywi się na pewno.

– Zanim zaczniemy – powiedział – muszę panu coś powiedzieć. Zostałem wybrany do tego zadania, ponieważ zabił pan mojego brata na Vergeltungu. W naszej społeczności zawsze daje się możliwość wymierzenia sprawiedliwości temu, kto wyrządził krzywdę naszym bliskim. Mam prawo i obowiązek ukarać pana i przyjąłem to wyzwanie z wdzięcznością. – Skinął na ciało Egona leżące pod przeciwległą ścianą jak olbrzymi pająk. – Będzie pan pragnął, aby śmierć była tak szybka jak w przypadku mojego brata.

Pendergast zdawał się nie słyszeć tych słów, co tylko wzmoгло

gniew Bergera.

– Podprowadź go tu – zwrócił się do żołnierza. Żołnierz oparł swój karabinek szturmowy kalibru .44 o ścianę, podszedł do Pendergasta i popchnął go brutalnie w stronę Bergera. Następnie cofnął się do drzwi, znów uniósł broń i powrócił do pilnowania więźnia.

– Pendergast – rzekł Berger, stukając harapem w pierś agenta. – Spójrz na mnie.

Sponiewierany agent uniósł głowę. Skupił wzrok na Bergerze.

– Najpierw wykopiesz sobie grób. Potem będziesz cierpieć. A na koniec zostaniesz w nim pogrzebany, żywcem albo i nie. Jeszcze nie zdecydowałem.

Żadnych oznak, czy agent zrozumiał.

– Weź ten kilof i łopatę. – Berger wskazał w kąt pomieszczenia.

Żołnierz podkreślił rozkaz machnięciem bronią.

– *Beweg Dich!* – warknął.

Więzień powoli poczłapał w kąt pokoju; okowy pobrzękiwały głucho, łańcuchy wlokły się za nim po ziemi.

– Kop tutaj. – Berger obcasem wyrył ślad na podłodze, wytyczając obrys prostokąta w wulkanicznej glebie. – Szybko! *Spute Dich!*

Gdy Pendergast zaczął kopać, Berger stanął w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem narzędzi. Patrzył, jak mężczyzna unosi kilof i wbija go w oporny grunt raz za razem, aż przebił się przez wierzchnią warstwę. Pracował niezdarnie, łańcuchy znacznie ograniczały ruchy jego ramion. Kiedy zwalniał, Berger podchodził bliżej i aby go zmotywować, zadawał kilka ciosów harapem. Sapiąc z wysiłku, więzień zmienił narzędzie na łopatę i wymamrotał pod nosem, że musi odpocząć. Berger odpowiedział na to żądanie kopnięciem, po którym Pendergast wylądował na ziemi. To go trochę otrzeźwiło.

– Żadnych przerw – powiedział Berger.

Grób powstawał opornie. Więzień pracował powoli, ale nieprzerwanie, łańcuchy przy kajdanach pobrzękiwały, twarz zmieniała się w maskę apatii i fizycznego wyczerpania. Oto człowiek, pomyślał Berger, który wie, że zawiódł, i który niczego tak nie

pragnął, jak umrzeć. I wkrótce umrze.

Minęła godzina i w końcu nad Bergerem górę wzięło zniecierpliwienie.

– Dosyć! – zawołał. – *Schluss jetzt!*

Grób miał tylko siedemdziesiąt pięć centymetrów głębokości, ale Berger chciał już przejść do kolejnego etapu. Więzień stanął na skraju grobu. Odwracając się do żołnierza, Berger powiedział po niemiecku:

– Osłaniaj mnie, kiedy będę się nim zajmował. Nie ryzykuj. Gdyby coś się wydarzyło, zastrzel go.

Żołnierz postąpił kilka kroków naprzód, unosząc broń.

– Rzuć łopatę – rozkazał Berger.

Więzień upuścił łopatę i z rękami wzdłuż boków i opuszczoną głową czekał na koniec. Berger podszedł do niego, podniósł łopatę i zapierając się mocno nogami, zamachnął się, po czym uderzył nią więźnia w bok. Przy wtórze głuchego łupnięcia Pendergast upadł na kolana z wyrazem bólu i zdumienia na twarzy. Opierając stopę na jego piersi, Berger popchnął go tak, że wylądował w wykopanym dole. Kiedy upewnił się, że strażnik celuje w skazańca, Berger podszedł i wziął plecak, w którym znajdował się palnik oraz dwie ciężkie butle. Trzymając palnik uniesiony, zapalił go. Pojawił się płomień, intensywny biały blask, który wypełnił całą posępnyymi cieniami.

– *Ich werde Dich bei lebendigem Leib verbrennen* – powiedział Berger, uśmiechając się złowrogo do Pendergasta i wykonując znaczący gest palnikiem.

Podszedł do grobu i spojrział w dół. Więzień leżał tam z oczami rozszerzonymi strachem. Próbował usiąść, ale Berger znów postawił stopę na jego piersi i pchnął mocno, ponownie przewracając go na wznak. Wciąż napierając na tors skazańca, nachylił się i skierował wąski jak igła płomyk ku twarzy Pendergasta. W widmowym blasku oczy więźnia wyglądały jak żywe punkciki ognia. Płomyk się przybliżał.

Agent szamotał się, próbując odwrócić głowę najpierw w jedną,

potem w drugą stronę, ale Berger przyciskał go nieubłaganie stopą, podczas gdy krawędź płomienia zaczęła podpiekać mu policzek. Teraz oprawca ujrzał wreszcie zgrozę wypełniającą oczy więźnia, kiedy od ognia na skórze zaczęły się pojawiać pęcherze.

Wtem został wykonany wyjątkowo gwałtowny i silny, choć niezbyt zamaszysty ruch. Berger spostrzegł, że więzień skręcił całe ciało w dziwny sposób, któremu towarzyszyło nieprzyjemne zgrzytliwe pyknięcie przemieszczanej kości i ścięgien. Cofnął się zdezorientowany i nagle zobaczył, że ręka więźnia się uniosła. Poczł, że palnik został wyrwany z jego dłoni, a po chwili oślepiające białe światło wypełniło jego pole widzenia. Cofnął się z krzykiem i zdziwił, kiedy poczuł chłodną stal wgryzającą mu się w gardło, ponieważ więzień zarzucił mu na szyję jeden z łańcuchów i pociągnął mocno w stronę białego światła. Zdawało się to trwać w nieskończoność, a przecież musiało się rozegrać w sekundę czy dwie. Sycząca włócznia bieli wbiła się niczym igła w usta Bergera, w nos, a potem w oczy; coś nagle zawrzało, rozległa się bulgocząca eksplozja zakończona bólem, który położył kres wszelkiemu cierpieniu, i wszystko rozplynęło się w bezmiarze białego żaru.

Pendergast wpadł na powrót do wykopanego przez siebie grobu, przykrywając się Bergerem i wykorzystując jego ciało oraz krawędź dołu jako ochronę, podczas gdy żołnierz, który ocknął się już z zaskoczenia tym niespodziewanym rozwojem wypadków, zaczął strzelać. Kule posiekały podłoże wzdłuż krawędzi grobu. Dół był płytszy, niż wolałby Pendergast, ale to wystarczyło. Wciąż osłonięty przez Bergera skierował płomień palnika na łańcuch łączący jego lewy przegub ze stalowym pierścieniem przy pasie, rozcinając go nie przy obręczy kajdan, lecz blisko pasa, i pozostawiając długi na prawie dwa metry kawał łańcucha przymocowany do przegubu. Kule świstały i ryły ziemię wokół niego, kilka wbiło się w ciało Bergera przy wtórze dźwięku przypominającego plaśnięcie dłonią w poleć mięsa. Z głośnym okrzykiem Pendergast podniósł się z grobu, odrzucił trupa i zamachnął się ręką, używając wolnego teraz łańcucha jak bicia. Ten pomknął przez powietrze w kierunku

sufitu i roztrzaskał żarówkę.

Gdy w celi zrobiło się ciemno, ruszył naprzód pochylony nisko, by uniknąć strzałów ogarniętego paniką żołnierza; obszedł go z boku szybkim, zdecydowanym krokiem. Równocześnie znów machnął potężnie łańcuchem tak, że jego koniec owinął się wokół karabinu żołnierza. Szarpnięciem wyrwał mu broń z ręki i zwinnie ją pochwycił. Jeden strzał i żołnierz padł martwy na ziemię. Pendergast wskoczył z powrotem do grobu w chwili, gdy drzwi się otworzyły i do celi wbiegli żołnierze pełniący straż na zewnątrz, zasypując wnętrze pomieszczenia gradem kul. Pendergast odczekał, aż wszyscy znajdą się w środku, po czym leżąc płasko w płytkim grobie, uniósł karabinek, przestawił go na ogień ciągły i ściał wszystkich jedną długą serią, opróżniając cały powiększony magazynek w niespełna trzy sekundy. Nagle w celi zapadła cisza.

Pendergast wygramolił się z grobu, odrzucił karabin i podszedł do przeciwległej ściany, przestępując ponad wciąż jeszcze drgającymi ciałami. Wziął głęboki wdech, potem drugi i z całej siły uderzył barkiem w mur, nastawiając go, po tym jak wybił sobie ramię ze stawu, aby uzyskać dostatecznie długi łańcuch do uduszenia Bergera. Krzywiąc się z bólu, odczekał, aby się upewnić, że ramię zostało nastawione jak należy i może nim poruszać. Potem sięgnął po palnik acetylenowy i użył go do zdjęcia obręczy kajdan z nóg, pasa z pierścieniem na łańcuchu i kajdanek z przegubów. Zrobił to w takim pośpiechu, że zapaliła się koszula, którą miał na sobie. Zdjął ją, kiedy płonęła, nie próbując nawet jej zagasić. Zrzucił plecak z palnikiem i butlami na zdrowe ramię, pozbierał od zabitych rzeczy, które mogły mu się przydać: pistolet, nóż, zapalniczkę, zegarek na rękę, latarkę i kilka zapasowych magazynków. Wziął kilof, którym wykopał grób, wybrał najmniej zakrwawioną bluzę jednego z zabitych strażników, po czym opuścił celę i pognął sprintem przez znajdujący się za drzwiami tunel.

Kiedy w biegu wkładał bluzę, usłyszał rozbrzmiewające w oddali echo głośnych krzyków i dudnienie podeszew wojskowych buciorów niosące się przez labirynt kamiennych korytarzy starej fortecy.

Pułkownik Souza wraz ze swoim doborowym oddziałem trzydziestu mężczyzn przedzierał się przez zielony gąszcz puszczy na wschód od Novej Godói. Wśród prześwitów między drzewami widać już było rozległe wzgórza wyznaczające położenie wulkanicznego krateru, wewnątrz którego znajdowało się miasteczko. Pułkownik zatrzymał się, by sprawdzić wskazania GPS, i z zadowoleniem stwierdził, że pozostało im do pokonania zaledwie półtora kilometra do ustalonego wcześniej punktu rozpoznania na obrzeżach krateru.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Ich nadejście nie zostało zauważone. Wschodnie lasy były najgęstsze i usiane największą liczbą wzgórz w całym rejonie. Brak ścieżek i jakichkolwiek oznak polowań wskazywał, że – jak na to liczyli – nie zapuszczali się tu mieszkańcy miasta.

Trzydziestu ludzi to znacznie mniej, niż prosił Pendergast. Souza jednak bardzo starannie rozważył wszystkie za i przeciw wkroczenia z większą liczbą słabiej wyszkolonych żołnierzy, wolał mniejszy skład ze świetnie wyszkolonymi, sprawnymi komandosami, wybranymi przez niego osobiście z jego dawnej jednostki. Ostatecznie uznał, że trzydziestka wystarczy. Błyskotliwy atak w stylu komandosów – do tego w całym swoim wcześniejszym życiu szkolił się pułkownik i wiedział, jak należy go przeprowadzić, co więcej, taka akcja wydawała się bardziej adekwatna w starciu z ograniczoną liczebnie grupą fanatyków. Mężczyźni, których wytypował, byli specjalistami od broni, którą się posługiwali, przeszli rygorystyczny trening taktyczny i przeszkolenie

psychologiczne. Syn pułkownika, Thiago, wspaniale zbudowany, lojalny i inteligentny młodzieniec, pełnił funkcję jego adiutanta. Kluczem była taktyka: zaskoczenie i mocne, jak najszybsze uderzenie.

Pułkownik uśmiechnął się na myśl o tym, że wszystkie informacje pozyskał z internetu. Nie brał tego wcześniej pod uwagę, dopóki Pendergast nie dostarczył mu szczegółowych map miasteczka i okolicznych rejonów; pochodziły z Google Earth i nakładały się na niestandardowe mapy topograficzne otrzymane z Serviço Geológico do Brasil. Ci Amerykanie i ich nowinki technologiczne! Jedyną istotną informacją, jakiej potrzebował, był wewnętrzny rozkład fortecy – i konkretna liczba ludzi pod bronią znajdujących się we wrogim obozie.

Souza nie miał wątpliwości, że Pendergastowi powiedzie się plan i zostanie schwytany, po czym zdobędzie dla niego te informacje. Ten dziwny, błady gringo wywarł duże wrażenie na pułkowniku. Oczywiście ucieczka z rąk nazistów nie była wcale pewna, zwłaszcza gdy miał tego dokonać tylko jeden człowiek. Ale też samotny człowiek mógł się okazać idealną strategią działania. Tak przynajmniej uważał Pendergast, gotów zaryzykować życie.

Żołnierze pułkownika szli przez ociekający wilgocią las w całkowitej ciszy jak cienie przesuwane się pod drzewami. Teren zaczął się wznosić, kiedy wspinali się na porośnięte drzewami obrzeże krateru. W którymś momencie Souza dał swoim ludziom znak, aby pozostali z tyłu, a sam ruszył naprzód w towarzystwie swojego adiutanta Thiago. Byli na miejscu o czasie i miał nadzieję, że Pendergast – biorąc pod uwagę nieznanne zmienne, z którymi musiał się zmierzyć – okaże się równie skuteczny. Souza gestem nakazał, aby pozostali do niego dołączyli. Poruszając się z wielką ostrożnością, dotarli do skalnego występu. Przez dogodny prześwit pomiędzy drzewami mieli doskonały widok na miasteczko, jezioro i fortecę na wyspie.

Osada rozciągała się poniżej jakieś półtora kilometra od nich, ułożone wzdłuż brzegów jeziora w półksiężyc domy ozdobione były

białym i żółtym stiukiem, z dachami krytymi gontem. Po jednej stronie rozciągała się olbrzymia połącz pól uprawnych. Sama forteca wznosiła się niecały kilometr od brzegu, na północny wschód od nich. Zbudowano ją na niskim stożku wulkanicznym pośrodku jeziora, dolne blanki były z kamienia, a wylany beton tworzył współczesną wewnętrzną nadbudówkę. Już na pierwszy rzut oka, gdy ujrzał tę budowlę, pułkownik wiedział, że będą kłopoty. Sporo zależało od tego gringo.

Przyglądając się przez lornetkę umiejscowieniu fortecy, spostrzegł płytką zatoczkę na jej tyłach: idealne miejsce dla desantu jego ludzi; od fortecy oddzielała ją grań, dzięki czemu zatoczką była ukryta i osłonięta. Przyglądał się jej z uwagą, zapamiętując każdy szczegół.

Spojrzał na zegarek. Piętnaście minut do umówionego sygnału. Usadowił się wśród zarośli i głązów.

– Niech ludzie napiją się herbaty – zwrócił się do syna.

Po chwili żołnierze zaczęli popijać z termosów czarną osłodzoną herbatę z mlekiem. Pułkownik również pił, małymi łydkami, czekając i od czasu do czasu spoglądając przez lornetkę w stronę fortecy. Słońce znajdowało się we właściwym położeniu – to zostało starannie zaplanowane – i na szczęście nie przesłaniały go chmury. Prognoza pogody jak dotąd się sprawdzała.

Herbata była przepyszna i sącył ją powoli, wykorzystał też okazję, by zapalić cygaretkę. Wydmuchiwał dym, pogrążony w lekkiej zadumie. Miał pewne wątpliwości co do tej misji, ale teraz już się tym nie przejmował. Wiedział, że posiada dwie cechy niekoniecznie pożądane u urzędnika publicznego – absolutną niezależność, która wynikała z jego nienawiści do korupcji i łapówek, oraz instynkt, dzięki któremu potrafił znaleźć rozwiązanie problemu, nawet jeśli oznaczało to działanie poza standardowymi procedurami. Jedna i druga umiejętność poważnie nadszarpnęła jego karierę i ostatecznie doprowadziła do tego, że trafił tam, gdzie znajdował się obecnie, czyli do Alsdorfu, co – jak trafnie zauważył Pendergast – było sporym krokiem wstecz. Souza uważał jednak, że jedynym sposobem na powstrzymanie serii

morderstw w miasteczku, którego poprzysiągł bronić, jest przekłucie nabrzmiałego pęcherza, jakim była Nova Godói, a to wymagało zdecydowanego i bezwzględnego działania. Czuł, że Pendergast również jest zwolennikiem niestandardowych działań. To ich łączyło. Niezależnie od wyniku tej operacji Souza zamierzał przeprowadzić ją do końca. Nie było już czasu na wątpliwości, tylko na działania.

Wreszcie nastąpiła umówiona godzina i pułkownik zaczął uważnie przepatrywać fortecę przez lornetkę. I wtedy to zobaczył: jasne błyski, refleksy promieni słonecznych odbijających się w lusterku. Pendergast zdołał przeniknąć do fortu zgodnie z planem.

Souza poczuł ogromną ulgę – nie dlatego, że wątpił w umiejętności Pendergasta, ale dlatego, że wiedział, z czasów służby w BOPE, iż niezależnie od tego, jak dobry opracowano plan tej czy innej operacji, możliwości, że coś pójdzie nie tak, zawsze było bez liku.

Wiadomość przekazana błyśnięciami standardowym alfabetem Morse'a była naprawdę długa. Bardzo długa.

Zgasiwszy cygaretkę o kamienny występ, Souza zapisał jej treść w notesie polowym, słowo po słowie: opis fortecy, rozmieszczenie głównych korytarzy i tuneli, mocne i słabe punkty warowni, liczebność obrońców, uzbrojenie, jakim dysponowali, wszystko.

Wyglądało to nieźle. Poza tym, że siły obrońców, o ile Pendergast zdołał się zorientować po wstępnym rekonesansie, wynosiły ponad setkę ludzi. To było znacznie więcej, niż zakładał pułkownik. Jednak na jego korzyść powinien przemawiać element zaskoczenia. No i zgodnie z informacjami przekazanymi przez Pendergasta będą mieć otwartą linię ataku, gdyż rozmieszczenie korytarzy, pomieszczeń i tuneli powinno zrównoważyć przewagę liczebną obrońców.

Souza odesłał Thiaga z powrotem do reszty grupy i niebawem jego ludzie zaczęli schodzić w dół zbocza, rozpraszając się i okrążając miasteczko w przygotowaniu do równoczesnego uderzenia z trzech stron – pierwszej fazy ataku.

Zauważywszy błysk lusterka w oddali, wśród zieloności puszczy, Pendergast zorientował się, że pułkownik Souza odebrał wiadomość. Wyrzucił odłamek lustra, które zabrał z toalety w baraku, po czym podkraść się do zniszczonego stanowiska działowego w połowie wysokości murów starej fortecy. Okoliczności uniemożliwiły mu dokonanie pełnego rozpoznania, zdołał jednak ustalić główne punkty wejścia, stanowiska obronne na murach, ogólny rozkład warowni. Teraz musiał tylko znaleźć najslabiej strzeżony sektor starego muru obronnego. Plan, jak ustalił wstępnie z pułkownikiem, obejmował odnalezienie składu amunicji i wysadzenie go w celu zniszczenia fragmentu zewnętrznego muru, ale nie był w stanie tego zrobić. Żołnierzy było zbyt wielu, roilo się od nich jak od pszczoł w ulu, i nie miał szans na zlokalizowanie składu broni.

Nieważne. W przerzuconym przez ramię plecaku miał coś równie dobrego jak skład amunicji – dwie butle acetylenowo-tlenowe, prawie pełne.

Schodząc po starych spiralnych schodach, przystanął i nasłuchiwał. Ogrom fortecy i jej rozbrzmiewające echem korytarze okazały się istnym darem niebios, gdyż potęgowały tupot zbliżających się kroków. Prawdę mówiąc, Pendergasta zdziwiła nieudolność żołnierzy w warowni, ich reaktywne myślenie i brak strategii. To był jedyny szczegół, który mu nie pasował.

Mimo to postanowił wykorzystywać ten atut jak najdłużej.

Zapuścił się jeszcze dalej w głąb starszych poziomów fortecy, aż odkrył tunel biegnący od wewnętrznej strony wzdłuż zewnętrznego

mur. Poszedł tamtędy, od czasu do czasu świecąc latarką na ścianę i badając spójność kamiennych bloków czubkiem zdobycznego noża. Zaprawa była przegniła i miękka jak wilgotna ziemia, ale kamienne bloki umieszczono jeden przy drugim zbyt ściśle, aby dało się wyjść którymś z nich. Pęknięcia w murze tu i ówdzie okazały się zbyt małe, aby mogły posłużyć jego celom, a zbyt stabilna struktura muru nie pozwalała na to, by mógł ją naruszyć.

Gdy zszedł na niższy poziom, przystając od czasu do czasu i nasłuchując, minął rząd zamkniętych na klucz drzwi z nierdzewnej stali, wprawionych w wewnętrzną ścianę. Względnie nowe zastąpiły zapewne starsze odrzwia prowadzące do lochów fortecy, gdzie przypuszczalnie urządzone teraz laboratoria. Niektóre spośród stalowych drzwi były otwarte na oścież, w laboratoriach paliło się światło, co sprawiało wrażenie, że pomieszczenia zostały opuszczone w pośpiechu przez pracujących tam naukowców, których być może wystraszył odgłos wystrzałów.

Pendergast minął ciąg drzwi i odnalazł to, czego szukał. W zewnętrznym murze widać było liczne i sporych rozmiarów pęknięcia rozchodzące się promieniście, a bloki na ich obrzeżach były wyraźnie naruszone. W niektórych miejscach szczeliny miały od dwudziestu do trzydziestu centymetrów średnicy. Kamienne podłoże popękało w podobny sposób. To bardzo interesujące. Nie był to rezultat zwykłego osiadania gruntu. Wręcz przeciwnie. Radialny wzór pęknięć sugerował, że doszło do ponownego przebudzenia aktywności nieczynnego od dawna wulkanu, w wyniku czego powstały liczne punkty niestabilności biegnące wzdłuż podstawy grubego na siedem metrów muru zewnętrznego.

Energicznie nożem Pendergast usunął najpierw zmurszałą zaprawę wokół przemieszczonego bloku przy krawędzi największej szczeliny, a potem obluzował go końcem kilofa. Ruszał blokiem w jedną i drugą stronę, aż udało mu się w końcu go wysunąć. Uzyskał w ten sposób ziejący otwór. Sięgnął do środka i z zadowoleniem stwierdził, że masywny mur stanowił przykład tradycyjnej osiemnastowiecznej hiszpańskiej konstrukcji o rdzeniu

rumoszowym – kamiennych bloków używano do budowy odsłoniętych murów, przestrzeń pomiędzy nimi zaś wypełniano luźnymi kamieniami i ziemią. Pracując na przemian kilofem i nożem, Pendergast zdołał wyorać w warstwie tłuczonych kamieni otwór na tyle duży, by dało się tam zmieścić bliźniacze butle z tlenem i acetylenem. Umieścił je ostrożnie w szczelinie, po czym spojrzął na zegarek zabrany jednemu ze strażników. Jeżeli wszystko szło zgodnie z planem, ludzie Souzy powinni w tym momencie wdzierać się do miasteczka, szykując się do przejęcia łodzi w celu przeprowadzenia ataku na centralną fortecę. Zgodnie z ustalonym harmonogramem w ciągu najbliższych dwudziestu, trzydziestu minut kilka łodzi powinno przybić do przystani na wyspie, wykonując manewr mający zmylić przeciwnika, podczas gdy łodzie z głównymi siłami żołnierzy Souzy dobiją w tym czasie do zatoczki na tyłach fortecy.

Musiał zatem poczekać jeszcze piętnaście minut. Mógł w tym czasie zajrzeć do laboratoriów, które minął po drodze. Pierwsze, do którego dotarł, było chronione prymitywnym zamkiem z czasów drugiej wojny światowej, który tylko przez chwilę opierał się czubkowi ostrza jego noża. Znalazł się w laboratorium, którego nie można by nazwać zaawansowanym wedle współczesnych standardów, ale które było odpowiednie do tego, co się tu odbywało – sekcji i autopsji ludzkich szczątków.

Kiedy spenetrował pomieszczenie nieco uważniej, przyświecając sobie latarką, zauważył małą, lecz znaczącą różnicę pomiędzy tym miejscem a standardowym laboratorium patologii, jakie może się znajdować w podziemiach szpitala. Nigdy dotąd w żadnym laboratorium patologii nie widział pasów unieruchamiających ręce i nogi oraz innych przyrządów do krępowania ludzi.

Uświadomił sobie, że nie prowadzono tu autopsji, lecz wiwisekcje.

Opuścił to pomieszczenie i przeszedł dalej w głąb korytarza, omiatając promieniem latarki otwarte sale lub szyby w laboratoriach, których drzwi były zamknięte. W większości z nich napotkał oznaki świadczące o tym, że pomieszczenia do niedawna

wykorzystywano intensywnie. Kilka sal nie zostało nawet posprzątanym, na wózkach noszowych wciąż widać było ślady włosów, krwi i odłamki przecinanych piłą kości. Prowadzono tu najbardziej koszarne badania naukowe – i choć pomieszczenia wyglądały na opuszczone w pośpiechu, Pendergast odniósł wrażenie, że przedłużany od dawna projekt niedawno osiągnął kulminację.

Coś przykuło jego uwagę w jednym z zamkniętych laboratoriów. Zatrzymał się i zajrzał przez szybę. Także tym razem sforsowanie zamka nie zajęło mu dłużej niż kilka chwil. Promień latarki ukazał kilka kosmyków przylepionych do stołu sekcyjnego. Inny dowód, w tym martwa larwa owada, pozwolił mu ustalić, że szczątki, które badano na tym stole, musiały znajdować się w stanie rozkładu.

Wolno, bardzo wolno podszedł bliżej, omiatając kosmyki światłem latarki. Zauważył, że mają kasztanowy odcień, jak włosy Helen, które zawsze kojarzyły mu się z barwą miodu kwiatowego. Instynktownie wyciągnął rękę, aby ich dotknąć, ale ją cofnął.

Na stole do wykładania organów stało plastikowe pudełko. Podszedł do niego i po krótkim wahaniu uniósł wieko. Wewnątrz znalazł szczątki sukienki Helen, guziki, kilka osobistych drobiazgów. Gdy gorliwie sięgnął do środka i zaczął palcami rozgarniać zawartość pudełka, promień jego latarki odbił się fioletowym refleksem. Pendergast odgarnął fragment materiału, by odsłonić złoty pierścionek z gwiazdnym szafirem.

Zesztywniał. Przez dziesięć minut, może dłużej, stał w bezruchu, wpatrując się w zawartość pudełka. Następnie zabrał pierścionek i włożył do kieszeni swoich prostych więziennych spodni.

Opuścił pomieszczenie równie bezszelestnie, jak tam wszedł, przystanął na chwilę, wsłuchując się bacznie w odległy tupot stóp i ochryple głosy wykrzykujące krótkie, konkretne rozkazy. Potem szybko wrócił do miejsca, gdzie w szczelinie w murze umieścił swoją prymitywną bombę z dwóch butli acetylenowo-tlenowych, i spojrzął na zegarek. Był już spóźniony z wywołaniem zaplanowanego wybuchu.

Pułkownik Souza czekał z główną grupą swoich ludzi, ukrywając się w gęstej puszczy na obrzeżach miasteczka. Spotkał się z powracającymi zwiadowcami kilka minut przed pierwszą po południu i wszystko przedstawiało się tak, jak na to liczył. Jednej drogi i trzech ścieżek prowadzących do osady nie strzeżono zbyt uważnie, a wokół miasteczka ani nigdzie indziej nie było patroli. Mieszkańcy nie spodziewali się ataku, zwłaszcza od strony gęstej puszczy. Żyli w poczuciu bezpieczeństwa, zrodzonego bez wątpienia ze skrajnej izolacji.

Pułkownik wolał jednak nie ryzykować. Przygotował manewr dywersyjny przy bramie głównej, który miał nastąpić – spojrzął na zegarek – dokładnie za dwie minuty. W miasteczku mógł stacjonować liczny garnizon wojska gotowego do natychmiastowego działania. Nie należało niczego zakładać z góry.

Jego ludzie w pełnym kamuflażu czekali w absolutnej ciszy. Podzielił ich na trzy *batalhões*, po dziesięciu mężczyzn w każdym z nich: Czerwony, Niebieski i Zielony; jeden komandos z każdego zespołu został wyznaczony do udziału w działaniach dywersyjnych.

Sekundy mijały. I wtedy to usłyszał: odgłosy strzałów z broni automatycznej przedzielanych donośniejszymi eksplozjami granatów. Zaczęło się. Uniósł rękę w geście gotowości, przysłuchując się uważnie odgłosom dywersji. Tamci odpowiedzieli ogniem, ale nie tak zażarcie, jak się spodziewał, i dźwięki te wydawały się zbyt rozproszone i niezorganizowane. Ci naziści z ich militarystką, rzekomo obdarzeni błyskotliwością w sprawach wojennych,

wydawali się kompletnie zaskoczeni atakiem.

Jednakże pułkownik brał pod uwagę to, że oni sami mogli paść ofiarą fałszywego pokazu słabości i zostać wciągnięci w zabójczą pułapkę wskutek nadmiernej pewności siebie.

Minuty mijały, podczas gdy dywersja przybierała na sile, a jego ludzie ukryci w lesie przy głównej bramie prowadzili ostrzał z broni automatycznej i obrzucali wybrane cele granatami. Reakcja na atak wciąż wydawała się dość anemiczna.

Souza poprawił mikrofon ze słuchawką, wpatrywał się w tarczę zegarka, odliczając mijające sekundy, i nagle opuścił rękę. Jego ludzie w jednej chwili przeszli do działania i ruszyli naprzód. Wypadli z zarośli na skraju polany i rozdzielili się na trzy zespoły. Zabudowania miasteczka znajdowały się sto metrów przed nimi, po drugiej stronie rozmytej, błotnistej drogi i za paroma niewielkimi ogródkami: wesołe budynki z malowanymi drewnianymi okiennicami, z ukwieconymi skrzynkami i dachami krytymi papą. Komandosi przebiegli przez drogę i wydeptali ścieżkę przez warzywniak. Dwie dziewczynki zbierające pomidory z krzykiem upuściły kosze i rzuciły się do ucieczki.

Batalhões Souzy, teraz już rozdzielone, wbiegły w najbliższe uliczki; pułkownik poprowadził drużynę Niebieską, a Thiago Czerwoną. Kluczem była taktyka wojny błyskawicznej, pokonanie ulic możliwie jak najszybciej, unikając zbijania się w większą grupę, która byłaby narażona na atak z użyciem granatów czy ręcznego granatnika przeciwpancernego. Musieli dotrzeć do zatoki, zanim w miasteczku zostanie zorganizowany opór – wymiany ognia w tych wąskich uliczkach musieli za wszelką cenę uniknąć.

Pułkownik poprowadził swoich ludzi naprzód; nieliczni przechodnie, jakich spotykali, zastygali w bezruchu zaskoczeni albo pierzchali w popłochu. Gdy jednak wdarli się dalej w głąb miasta, z okien i dachów domów oraz z niektórych bocznych uliczek posypały się w ich stronę pierwsze, niezorganizowane jeszcze strzały.

– Strzelać bez rozkazu – krzyknął do mikrofonu pułkownik.

Jego ludzie odpowiedzieli ogniem, zasypując gradem kul domy, dachy i uliczki, a spontaniczny ostrzał w jednej chwili ustał.

Gdy zbliżyli się do głównego placu i ratusza, spotkali się z bardziej zdecydowanym oporem. Grupa młodych ludzi pospiesznie uzbrojonych, ale nie w mundurach, wysypała się na plac, zajmując pozycje za kilkoma przewróconymi wozami konnymi. Kiedy trzy zespoły Souza wyszły na otwartą przestrzeń, z bocznych uliczek i z naprzeciwka otwarto do nich ogień.

– Drużyna Czerwona, położyć ogień osłonowy – rozkazał pułkownik. – Niebieska, Zielona naprzód!

Czerwony *batalhão* Thiaga rozproszył się, żołnierze znaleźli odpowiednie kryjówki, po czym odpowiedzieli gwałtownym ogniem: przenośny karabin maszynowy kalibru .50 omiółł plac morderczą nawałą ognia przy wsparciu kilku dobrze wymierzonych pocisków z ręcznych granatników przeciwpancernych. To pozwoliło osiągnąć pożądany efekt, zmuszając obrońców, aby się rozbiegli w popłochu. Kiedy tylko plac opustoszał, jednostka Czerwona przebiegła przez jego środek i podążyła za dwiema pozostałymi drużynami w głąb jednej z wąskich uliczek znajdujących się po drugiej stronie. Uliczki opadały stromo ku nabrzeżu, a Souza ujrzał łodzie cumujące przy drewnianych i kamiennych kejach.

Kiedy wcześniej przepatrywał przez lornetkę obrzeże krateru, wybrał dwie jednostki: dużą motorową barcę o stalowym kadłubie i smukłą pasażerską łódź transportową. Jednak znów w ich stronę posypały się kule; ostrzał dochodził nie tylko z dachów, lecz również z zatoki i bocznych uliczek prowadzących ku nabrzeżu. Nagle z uliczki przy kei wybiegła druga grupa mężczyzn, którzy otworzyli do nich ogień.

– Kontratakować! – wykrzyknął pułkownik, ale kaemista Thiaga już puścił długą serię z pięćdziesiątki, ścinając co najmniej sześciu napastników i zmuszając pozostałych do odwrotu. Nieopodal eksplodował granat, który zniszczył fasadę budynku i zasypał ich gradem gruzu i odłamków szkła.

– Dalej! – zawołał pułkownik.

Jego ludzie nie potrzebowali ponaglenia; awangarda trzech drużyn załała uliczki przed nimi ogniem z broni krótkiej i granatników ręcznych, kaemista osłaniał tyły. Wyszli na nabrzeże, otwarte ze wszystkich stron. Znów huknęły sporadyczne strzały, a jeden z ludzi pułkownika stęknął i zachwiał się, lecz to ognisko oporu zostało natychmiast zasypane zmasowanym gradem pocisków wystrzelonych przez wszystkie trzy drużyny; ręczne granatniki trafiały w kolejne cele i niszczyły je przy wtórce rozdzierającego, ogłuszającego huku. – Do łodzi! – rozkazał Souza.

Esquadrões weszły na pokład dwóch jednostek zgodnie z przednio ustalonym planem i odcięły cumy od pachołków.

Dwaj ludzie pułkownika znajdujący się na żegludze pobiegli do sterówek i uruchomili silniki, podczas gdy pozostali zajęli pozycje obronne na pokładach. Po niespełna dwóch minutach łodzie odbiły od przystani i skierowały się na jezioro, nabierając prędkości; drużyny wciąż prowadziły zmasowany ogień osłonowy skierowany w stronę brzegu.

– Raport o stratach! – warknął pułkownik.

Nie było ich dużo. Sanitariusz wojskowy opatrywał dwóch rannych, którzy odnieśli niegroźne postrzały z broni krótkiej; żaden z nich nie znajdował się w ciężkim stanie. Obaj żołnierze wciąż mogli walczyć dalej.

Pułkownik patrzył na niknący w oddali brzeg z uczuciem olbrzymiej ulgi. Operacja przebiegała zgodnie z planem. Gdyby dotarł tu z setką ludzi, mogliby ugrzęznąć wśród uliczek miasteczka z dużą liczbą rannych, z większą grupą maruderów, a jakiś idiota z całą pewnością skreśliłby nie w tę uliczkę, co powinien, zgubiłby się i trzeba byłoby go ratować. Potrzebowaliby więcej łodzi, bardziej złożonej logistyki, a co za tym idzie, szanse powodzenia znacznie by zmalały.

Sporadyczny ogień od strony brzegu ustał, kiedy łodzie znalazły się poza zasięgiem strzałów. Ciężka barka płynęła pierwsza, a ludzie Souzy oddawali kolejne celne strzały, powstrzymując przeciwników od przegrupowania się i wyruszenia za nimi w pościg na pokładzie

innych łodzi. Pułkownik wyjął jedwabną chustkę, zdjął hełm i starannie otarł twarz. Faza pierwsza została zakończona przy minimalnych stratach. Nie bez wahania skierował swoją uwagę naprzód, ku mrocznej wyspie. Nie dostrzegł żadnych ludzi ani żadnego ruchu. Gdy przyglądał się fortecy wznoszącej się nad czarnym stożkiem wulkanicznej lawy, jego odczucie zwycięstwa nieznacznie osłabło. To miejsce wydawało się niemożliwe do zdobycia, tak je przynajmniej odbierał. Wszystko w rękach gringo. Nie lubił uzależniać powodzenia swoich misji od jednej osoby, choćby bardzo utalentowanej, zwłaszcza jeśli jej prawie nie znał.

Kiedy rozglądał się dokoła, stwierdził, że jego ludzie również wpatrywali się w fortecę z powagą i niepewnością. Podzielali jego wahanie. Łodzie znajdowały się już w połowie drogi przez jezioro, wyspa zdawała się rosnąć w oczach. Zbliżała się chwila prawdy.

Spojrzał na zegarek. Znów decydująca rola przypadnie szybkości i zaskoczeniu. Zbliżające się łodzie były widoczne z fortecy i nie miał wątpliwości, że obrońcy na wyspie wiedzą o ataku przeprowadzonym w mieście. Stracili element zaskoczenia, ale oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że tak będzie.

Rozważając sytuację, zaczął ponownie zastanawiać się nad strategią. Mieli opłynąć wyspę i przeprowadzić atak z zatoki na tyłach fortecy, ale wydawało mu się to teraz mniej sensowne. Co powiedział kiedyś brytyjski admirał lord Nelson? „Pięć minut może zdecydować o zwycięstwie lub przegranej”. I jeszcze bardziej a propos: „Manewry są nieważne, ruszajmy prosto na nich!”. Opłynięcie wyspy zajęłoby im nie pięć, lecz dziesięć, a nawet więcej minut, a w efekcie musieliby się zmierzyć z niepewną linią brzegową i miejscem do zejścia na ląd. A tymczasem na wprost nich znajdowała się przepięknie otwarta, pusta i niebroniona przystań.

Znów spojrzął na zegarek. Już czas na sygnał Pendergasta – agent był spóźniony. I nic się nie działo.

Pułkownik poczuł narastający niepokój. Popełnił błąd, polegając na tym człowieku; fatalny błąd. Gdyby dopłynęli do wyspy przed umówionym sygnałem, nie mieliby szans przedostać się do fortecy.

To będzie ćwiczenie z próżnego wysiłku. Powrót do miasteczka także nie wchodził w rachubę.

Sygnal był już spóźniony pięć minut. Wyspa wciąż się przybliżała. Wchodzili właśnie w zasięg ognia karabinowego. Souza powiedział do mikrofonu:

– Jednostki stop! Cała stop!

Nikt nie zakwestionował rozkazu, choć pułkownik wiedział, że wszyscy zastanawiali się o *que diabos agora*. Barka zwolniła i stanęła przy wtórze przełączania silników na ciąg wsteczny, jednostka transportowa także powtórzyła ten manewr. Jezioro było spokojne, niebo czyste. Miasteczko za nimi spowijał dym z szalejących tu i ówdzie pożarów oraz kurzu wzbijającego się wysoko po krótkiej wymianie ognia. Wyspa na wprost nich pozostawała ciemna i milcząca.

Kiedy obie jednostki stały nieruchomo na jeziorze, uczucie niepokoju i obawa porażki zaczęły ogarniać ludzi zebranych na pokładzie barki. Spojrzenia wszystkich skierowały się na dowódcę. Nie zdradzał swoich myśli ani dręczących go wątpliwości. Zachowywał beznamiętny, wystudiowany wyraz twarzy i przez cały czas wpatrywał się w wyspę. Łodzie dryfowały.

I nagle pojawił się kłęb dymu, a po nim potężny jęzor ognia. Kilka sekund później rozległ się dźwięk – grzmiący ryk przetaczający się po wodzie. Spory odcinek zewnętrznego muru fortecy runął, na całej wysokości kamienne bloki stoczyły się w dół zbocza, a zaraz potem zapadł się fragment wzmocnionego betonowego nawisu. Olbrzymi pióropusz pyłu wzbił się w górę, pozostawiając ziejącą wyrwę w bocznej ścianie fortu.

Sygnal od Pendergasta. Nie taki, jakiego spodziewał się pułkownik, ale nawet lepszy. I wyglądało na to, że zyskali możliwość dostania się do środka.

– Cała naprzód! – wykrzyknął Souza do mikrofonu. Kierować się do przystani!

Jego ludzie odpowiedzieli gromkimi, radosnymi okrzykami, które zlały się z nagłym rykiem silników Diesla, kiedy dwie jednostki

skierowały się ku niebronionej przystani. Łodzie zbliżyły się do doków i pułkownik zawołał:

– *Estão prontos! Ataque!*

Fischer odłożył krótkofalówkę i wstał, gdy Alban wszedł do gabinetu. Jak zwykle czuł dumę, stając twarzą w twarz z tym młodzieńcem, i wyciągnął rękę. Trudno było uwierzyć, że Alban miał tylko piętnaście lat. Wyglądał na co najmniej dwadzieścia. Miał metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, wyraziste arystokratyczne rysy, wysokie kości policzkowe i przenikliwe oczy lśniące pod szlachetnym czołem, krótko przystryżonymi jasnymi włosami, a do tego usta Michała Anioła i śnieżnobiałe zęby – to było boskie oblicze. Jednak największe wrażenie robiła otaczająca go aura: pewności siebie pozbawionej jednak arogancji, charyzmy bez popisywania się i męskości bez buty. Tyle tylko że teraz Fischer poczuł pewną drażniącą uciążliwość.

– Chciał mnie pan widzieć, *Herr* Fischer? – zapytał Alban.

– Tak. Dowiedziałem się, że twój ojciec zbiegł z celi po zabiciu Bergera i kilku strażników. A teraz jeszcze zdetonował przygotowaną naprędce bombę, wywalając sporą dziurę w naszym zewnętrznym murze.

Gdy to mówił, obserwował uważnie oblicze Albana, wypatrując wszelkich oznak niewłaściwych emocji, ale niczego takiego nie spostrzegł.

– Jak to się stało? – zapytał młodzieniec.

– „Jak” nie ma znaczenia, ważny jest natomiast rezultat tego, kiedy głupiec taki jak Berger spotyka człowieka takiego jak twój ojciec. Twój ojciec, Albanie, to naprawdę zdumiewający człowiek. Szkoda, że nie jest po naszej stronie.

Kiedy chłopak milczał, Fischer dodał:

– Mamy też flotyllę uzbrojonych brazylijskich żołnierzy, którzy zamierzają przeprowadzić desant na wyspie.

– Będę walczył – odparł natychmiast Alban. – Będę bronił...

Fischer uciszył go zdecydowanym ruchem ręki.

Chłopak natychmiast zamilkł.

– Z tym poradzi sobie nasza specjalna brygada. Właśnie już się tym zajęła. Nie, poprosiłem cię, abys tu przyszedł, z innego powodu. Mam dla ciebie zadanie. Wyjątkowe zadanie.

Oblicze Albana przepełniły czujność i skupienie. To było w nim niezwykle: trudne do rozszyfrowania prawdziwe uczucia. Oczywiście ta jego nieprzejrzyistość stanowiła integralną część treningu, ale i tak Fischer poczuł się niepewnie.

– Test beta dobiegł końca. I zakończył się sukcesem. Muszę jednak przyznać, że zdziwiłem się, kiedy nie chciałeś zostać i być świadkiem śmierci swojego ojca. Może to nie oznaka słabości, ale braku zainteresowania, jak by to nazwać, subtelniejszymi rzeczami? Dokładnie te wartości próbowaliśmy ci wpoić, staraliśmy się, abys się nauczył to doceniać, kiedy cię wychowywaliśmy. Mówię o braku zainteresowania, bo nie chcę nawet myśleć – po ogromie starannej pracy, jaką w to włożyliśmy – że na twoją decyzję o opuszczeniu tamtej piwnicy mogły wpłynąć zgoła niemęskie uczucia. Gdybyś tam był, ten głupiec Berger nie pokpiłby tak fatalnie swojego prawa do zemsty.

– Przepraszam. Uznałem, że skoro prócz Bergera było tam jeszcze tylu żołnierzy, nie ma mowy, żeby coś poszło nie tak.

– Ale coś poszło nie tak, a ci wszyscy żołnierze nie żyją.

Fischer przerwał, by wyjąć papierosa ze srebrnej szkatułki na swoim biurku, i zapalił. Alban stał na baczność, z dłońmi z tyłu, i czekał. Kiedy Fischer ponownie na niego spojrział, nie mógł się pohamować i poczuł przyływ niemal ojcowskich uczuć wobec tego wspaniałego młodzieńca. I to sprawiło, że ewentualna słabość stawała się jeszcze bardziej niepożądana.

– Oto moje ostatnie zadanie, Albanie. Chcę, żebyś wytropił swojego

ojca i zabił go. Aby nie było żadnych wątpliwości, do czego jesteś zdolny.

– Tak jest – odparł bez wahania Alban.

– Wygląda na to, że bomba skonstruowana przez twojego ojca wybiła dziurę w murze obronnym w starym sektorze piątym przy laboratorium patologii. Dlatego wiemy, gdzie był przed kilkoma minutami. Jego ostatecznym celem jest bez wątpienia odnalezienie i uratowanie twojego brata bliźniaka. Odszukanie i zabicie *Herr* Pendergasta nie powinno się okazać trudnym zadaniem, biorąc pod uwagę twoje szczególne umiejętności.

– Jestem gotowy. Nie zawiodę.

– To dobrze. – Fischer wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. – Zgłoś się do mnie, gdy wykonasz zadanie.

Gabinet wypełnił się nagle stłumionymi odgłosami wystrzałów przetykanych głośniejszymi eksplozjami granatów i pocisków moździerzowych. Fischer dostrzegł zakłopotanie w oczach Albana.

– Nie przejmuj się tym – powiedział. – To tylko grupka miejscowych durniów. Już wkrótce wszyscy będą martwi.

– *Estão prontos!* – powtórzył donośnym głosem pułkownik.

Barka zbliżyła się do przystani, a jego ludzie zajęli pozycje wzdłuż relingu przy lewej burcie, z bronią gotową do strzału. Łódź transportowa podpłynęła do nich z tyłu, oba silniki zostały przełączone na ciąg wsteczny, woda przy śrubach spieniła się wściekle. Obie jednostki dotknęły odbijaczy przy przystani równocześnie, to było doskonałe przybicie do brzegu.

– Z łodzi!

Mężczyźni niemal jednocześnie zeskoczyli na drewniany pomost, drugi szereg już się przygotowywał...

...ale po chwili, gdy pomost wypełnił się ludźmi, poniżej drewnianej konstrukcji nastąpił potężny wybuch. Jęzory ognia wystrzeliły przez drewniany pomost, roznosząc go w pył i w okamgnieniu ogarnęły znajdujących się tam żołnierzy. Pułkownik został wrzucony pod wodę przez falę uderzeniową towarzyszącą wybuchowi. Burta barki uniosła się z głuchym jękiem, biorąc na siebie większą część impetu eksplozji.

Szok wywołany zetknięciem się z wodą otrzeźwił pułkownika. Mężczyzna odzyskał przytomność, ale dzwoniło mu w uszach, włosy miał osmalone, mundur w strzępach. W pierwszej chwili to wszystko wydało mu się dziwne jak powrót z dalekiej podróży – zaraz jednak znalazł się pośród wrzącej, wypełnionej miotającymi się ludźmi kipieli, barka mocno przechyliła się na burtę, przystań płonęła jak pochodnia, żołnierze krzyczeli, wszędzie była krew i fragmenty ciał.

Dochodząc do siebie, rozejrzał się wokoło i zauważył, że łódź transportowa także ucierpiała od wybuchu. Również ciężko się przechyliła na jedną stronę, a w wodzie wokół niej roilo się od rannych i zabitych.

Przystań była zaminowana. Założono na niej wybuchową pułapkę. A oni po prostu w nią weszli.

Dyszał ciężko, szamocząc się w wodzie, a gdy próbował się pozbierać, obmyślić plan działania, usłyszał dochodzący z brzegu terkot broni automatycznej i zobaczył rozbryzgujące się wokół niego kaskady wody. Gdzieś obok rozległ się ogłuszający ryk, po którym wzbił się świeży pióropusz piany, a zaraz potem drugi i przez cały czas rozbrzmiewały odgłosy broni maszynowej. Drugi etap druzgocącej zasadzki.

Tuż za przystanią, przy brzegu, po prawej stronie pułkownik dostrzegł kilka ogromnych głazów – mogły stanowić osłonę. Gdyby tylko zdołali tam dotrzeć...

– Chłopcy! – krzyknął, miotając się w wodzie. – Chłopcy! Nie zgubcie broni i zanurkujcie! Pod wodę! Płyńcie na wschód, w kierunku skał! Płyńcie pod powierzchnią wody!

Powtórzył to wołanie i sam zanurkował, płynąc szybko i zdecydowanie. To ćwiczenie wykonywał w czasie służby w BOPE: pływanie pod wodą w pełnym rynsztunku.

Musiał się wynurzyć raz, potem drugi, by nabrać powietrza, ale zaraz znów zszedł pod wodę, gdy w jego stronę posypał się grad kul. Mając otwarte oczy, mógł widzieć pociski przecinające wodę i pozostawiające w niej ślad bąbli powietrza. Wiedział jednak, że kule wytracały zabójczy pęd już po zanurzeniu się na trzydzieści do czterdziestu centymetrów w wodzie.

Płynąc niezamordowanie, choć jego płuca zdawały się bliskie eksplozji, uniósł wzrok i spojrzał przed siebie przez zielonkawą wodę. Dostrzegł rozmyty zarys głazów: pradawny fragment przybrzeżnej osłony, do której próbował dotrzeć. Wynurzył się we właściwym miejscu, pod głazami, osłonięty przed morderczą nawałą ognia od strony fortecy. To niewiarygodne, ale zaczęli się pojawiać

jego ludzie – było ich co najmniej sześciu, w tym Thiago, *graças a deus* – i mozolnie zajmowali pozycje za skałami. Pociski trafiały w szczyty głazów, obsypując ich gradem kamiennych odłamków, ale przynajmniej na razie byli bezpieczni.

Potężna eksplozja w wodzie blisko brzegu przypomniła pułkownikowi, że wróg dysponował także moździerzami i granatami, które wkrótce mogą ich trafić.

Odegnął myśli o druzgocącej klęsce. Miał ludzi, wciąż mogli walczyć, jeszcze nie wszystko stracone. Kuląc się za skałami, na poły w wodzie, na poły na brzegu, zawołał:

– Przegrupować się! Przegrupować!

Dostrzegł w wodzie jeszcze więcej żołnierzy, płynęli w ich stronę; niektórzy byli ranni i z wysiłkiem posuwali się naprzód. Kilku poszło pod wodę i już nie wypłynęło, inni wzywali pomocy. Nie mógł zrobić nic więcej prócz patrzenia, jak giną posiekani amunicją z broni automatycznej albo rozerwani pociskami z moździerzy, gdy przeciwnicy ukryci w zasadzce namierzali kolejne cele.

Zdyszany i oszołomiony nagłą odmianą losu, pułkownik rozejrzał się dokoła. Za skałami kuliło się żałośnie sześciu żołnierzy i on sam. Byli przerażeni, sparaliżowani strachem. Musiał coś zrobić, przejąć kontrolę, pokazać, że wciąż panuje nad sytuacją. Musiał dać im odczuć, że wciąż jest ich dowódcą. Spojrzał przez wąską szczelinę w skałach, oszacowując całość. Grupa, która zaczęła się na nich i urządziła zasadzkę, prowadziła ostrzał spoza wulkanicznej grani wznoszącej się nad przystanią. Po prawej stronie widniało pasmo czarnych skał; gdyby udało im się pokonać pas otwartej przestrzeni, byłiby osłonięci i mogliby się przemieszczać dalej w górę zbocza i wzdłuż zakola wysepki. Rozejrzał się.

– Posłuchajcie! – Przerwał, a potem krzyknął: – *Filhos da puta*, słuchajcie!

To przywołało żołnierzy do porządku.

– Ruszymy po zboczu pod górę i ukryjemy się za tamtymi skałami. Natychmiast. Za mną.

– A co z ogniem osłonowym? – zapytał Thiago.

– Tamtych jest zbyt wielu. Poza tym to tylko zdradziłoby im nasze poczynania. Po prostu przebiegniemy najszybciej jak się da. Na trzy. Raz, dwa, trzy!

Wybiegli zza głazów i pognali na ukos po wulkanicznym stoku. W jednej chwili w ich stronę posypały się kule, jednak strzelcy ukryci w zasadzce najwyraźniej nie spodziewali się tak szybkiej reakcji i cała siódemka zdołała dobiec do skał, zanim rozpoczął się ostrzał z moździerzy. Słysząc było wydawane po niemiecku rozkazy.

– Dalej! – zakrzyknął pułkownik.

Nisko pochyleni pobiegli na ukos w górę stoku i pokonując nieznaczne zakola wyspy. Mur fortecy wznosił się nad nimi złowrogo jak czarna szorstka ściana wypiętrzająca się z wulkanicznego stożka.

Gdy wybiegli zza osłony głazów, znów otwarto do nich ogień; kule wzbijały w górę kaskady żużlu z powierzchni stoku wokół nich. Mężczyzna na lewo od pułkownika stęknął przy wtórze odgłosu ołowiu przeszywającego jego ciało, po czym ciężko runął na skały. Reszta niezmordowanie biegła dalej, a kule szatkowały wulkaniczne stożki dokoła. Znów rozległy się wykrzykiwane po niemiecku rozkazy: *Ihnen nach! Verfolgt sie!* Pułkownik zrozumiał, że ci, którzy urządzili na nich zasadzkę, teraz ruszyli za nimi w pościg.

– Padnij! – krzyknął. – Na ziemię i odpowiedzieć ogniem!

Jego ludzie, naprawdę doskonale wyszkoleni, odwrócili się i niemal równocześnie przywarli do ziemi, otwierając ogień ze swoich pistoletów maszynowych; pułkownik z niekłamanym zadowoleniem zauważył, że kilku prześladowców padło ściętych kulami, a pozostali rozproszyli się, poszukując kryjówek.

– Przerwać ostrzał! – rozkazał. – Biegniemy!

W okamgnieniu żołnierze znów poderwali się na nogi i pognali dalej. Kiedy dotarli na szczyt zbocza, Souza zobaczył nad nimi, w odległości jakichś czterystu metrów, strzępiastą dziurę w zewnętrznym murze fortecy. Wewnątrz warowni mieli większe szanse niż tu, na otwartej przestrzeni.

– Biegnijcie w stronę tego wyłomu! – zawołał pułkownik,

wskazując cel widoczny w oddali.

Jego ludzie popędzili pod górę, ale znów byli odsłonięci, narażeni na ostrzał. Gdyby tylko zdołali tam dotrzeć, *talvez...*

Pendergast, wciśnięty w zniszczony otwór działowy w na pół zrujnowanym murze starej fortecy, obserwował, jak łodzie pułkownika zbliżają się do przystani. W pierwszej chwili pomyślał, że to element dywersji, którą wcześniej zaplanowali, jednak już niebawem z konsternacją zdał sobie sprawę z tego, że pułkownik zrezygnował z ich zamierzenia. Kierował się wprost ku przystani.

Pendergast rozumiał, co powodowało pułkownikiem: szybkość jako kluczowy element. On i pułkownik dyskutowali nad tą strategią ataku jeszcze w Alsdorfie i uznali, że jest niebezpieczna z uwagi na nikłą, ale realną groźbę wpadnięcia w zasadzkę. Poza tym istniało prawdopodobieństwo, że na dźwięk strzałów w miasteczku obrońcy fortecy szybko się zbiorą, aby urządzić zasadzkę albo uruchomić znajdujące się tam pułapki. Souza nie brał tej możliwości pod uwagę, ale ostatecznie postanowili zrealizować plan przedstawiony przez Pendergasta.

Jak jednak widać, agent nie do końca zdołał przekonać pułkownika.

Pendergast z mocno bijącym sercem przyglądał się podpływającym łodziom. Zauważył przy tym, że pułkownik prowadzi ze sobą znacznie mniej ludzi, niż wcześniej ustalili, a przy tak niewielkim oddziale podstawę sukcesu rzeczywiście stanowiły szybkość i zaskoczenie.

Gdyby się udało, to tym lepiej. Ryzyko było jednak spore. Kiedy nastąpił pierwszy wybuch i przystań eksplodowała w kaskadach ognia, ludzie pułkownika wylądowali w wodzie, a dwie łodzie

przechyliły się mocno na burtę, Pendergasta ogarnęło przerażenie paraliżujące do tego stopnia, że nie mógł się ruszyć. W jednej chwili wszystko się zmieniło. Usłyszał odległy terkot broni automatycznej i za wysoką kamienną granią, poniżej murów fortecy, spostrzegł słabe błyski wystrzałów. Z miejsca, gdzie się znajdował, nie widział ludzi ukrytych w zasadzce, oszacował jednak, że muszą stanowić sporą grupę – około stu osób, większą część kontyngentu warowni, dobrze wyszkoloną i zorganizowaną – a kiedy dym z wybuchu na przystani zaczął się przerzedzać, jego oczom ukazał się prawdziwy rozmiar zniszczeń. Wielu członków ekipy desantowej zginęło na miejscu lub doznało ciężkich obrażeń, tych zaś, co przeżyli, dobijano bez litości w wodzie zmasowaną nawałą ognia. Jednak sam pułkownik najwyraźniej przeżył wraz z garstką ocalałych. Pendergast patrzył, jak przedzierają się za osłonę z głazów przy brzegu, jak stamtąd przemieszczają się do łańcucha stożków wulkanicznych nieco dalej w górę zbocza, tracąc przy tym jednego człowieka, i wreszcie rozpoczynają ostatni etap biegu w stronę wyłomu w murze, podczas którego zginął od kul kolejny żołnierz. Do wyłomu zdołało dotrzeć czterech mężczyzn i pułkownik, po czym natychmiast jakby rozplynęli się w powietrzu.

Pięciu żołnierzy. I on sam. Sześciu przeciwko kontyngentowi dobrze uzbrojonych, świetnie wyszkolonych bojowników, genetycznie uwarunkowanych na bezwzględność i inteligencję, walczących na swoim terenie, broniących swojej ziemi, swojego miasteczka, swojej fortecy – jedyne powody ich istnienia.

Gdy Pendergast rozważał ten problem, zaczął uświadamiać sobie, że być może nie mają żadnej szansy na osiągnięcie powodzenia tej misji. Pocieszał się tylko myślą, że w czasie wojny wszelkie poczynania ludzi są nie do przewidzenia.

Opuścił swój punkt obserwacyjny i pobiegł wzdłuż tunelu, a gdy rozległ się tupot żołnierskich buciorów, ukrył się w jednym z bocznych korytarzy. Tamci minęli go, a on popędził w dół po zniszczonych schodach prowadzących w głąb fortecy. Słyszał dochodzące z góry echo nawiązywanej wewnątrz murów wymiany

ognia; bez wątpienia to obrońcy twierdzy podjęli walkę z niedobitkami oddziału pułkownika, przy wyłomie albo już wewnątrz warowni.

Odgłosy strzałów przybrały na sile, gdy dotarł do masywnego podziemnego tunelu biegnącego pochyło po wewnętrznej stronie murów obronnych. Znów za nim zadudnił tupot kroków, ale tym razem zdążył wbiec do otwartego laboratorium i zamknąć za sobą drzwi, zanim go dostrzeżono. Kolejne strzały i przedśmiertne rzężenia. Przynajmniej Brazylijczycy nie zamierzali poddać się bez walki. Stawiali zdumiewająco zacięty opór.

Wymknął się na korytarz i podążył dalej, aż do załomu tunelu, za którym ukryła się grupka niemieckich żołnierzy, najwyraźniej przyszpilona ostrzałem brazylijskich komandosów. Wąskie tunele, masywne kamienne ściany i mnóstwo nisz oraz kryjówek, jakie się w nich znajdowały, pomogły, przynajmniej do pewnego stopnia, zrównoważyć przewagę liczebną nazistów. Nasłuchując z uwagą, stwierdził, że w murach twierdzy Brazylijczycy musieli urządzić sobie całkiem niezłą redutę i stawiali zażarty opór, ale byli atakowani ze wszystkich stron. Jeżeli nie zdołają się wyrwać z potrzasku, będzie po nich.

Pendergast podkradł się do załomu korytarza, zaczekał na głośny wybuch, a potem, wykorzystując huk eksplozji, który zagłuszył jego kroki, powalił jednego z niemieckich żołnierzy strzałem w nogę na wysokości tętnicy udowej, aby nie było oczywiste, skąd padł fatalny strzał. Znów odczekał chwilę i przy kolejnej okazji zastrzelił drugiego Niemca. Miał nadzieję, że tak będzie – żołnierze, nie wiedząc, że strzelano do nich z tyłu, zaczęli się wycofywać w panice, spodziewając się raczej, że zabójczy ogień dochodzi z bliżej nieokreślonego źródła przed nimi. Pendergast szybko wrócił do laboratorium i przepuścił ich. Następnie znów wyszedł na korytarz, przeszukał zwłoki jednego z zabitych przez siebie żołnierzy i znalazł kilka granatów oraz dwa pełne magazynki do karabinka szturmowego. Cały czas musiał uważać i od czasu do czasu chować się, gdy któryś z ogarniętych paniką Brazylijczyków sporadycznie

oddawał w jego stronę kolejne strzały.

Ponownie uzbrojony Pendergast czmychnął raz jeszcze do laboratorium, połączył granaty i zabezpieczył „łyżki” łatwo rozwiązywalnym węzłem. Poszukał zwoju cienkiego drutu, po czym wyjął zawlecзки ze wszystkich granatów. Z największą ostrożnością wrócił do tunelu i wyczekiwał na przerwy pomiędzy wybuchami a odgłosami wystrzałów. W odpowiednim momencie pognął sprintem przez tunel i przystanął w miejscu, gdzie sklepienie było poprzecinane pajęczyną pęknięć wskutek ruchów tektonicznych podłoża. Wytoczył wózek noszowy z pobliskiego laboratorium, wspiął się na niego i używając prowizorycznego klina, zamocował granaty pod szczeliną w sklepieniu. Następnie rozwinął zwój cienkiego drutu, uprzednio przymocowawszy jeden jego koniec do węzła przytrzymującego łyżki granatów. Wepchnął wózek z powrotem do laboratorium i przycupnął w drzwiach, ponownie nasłuchując. Po chwili puścił trzy długie serie z automatu.

– *Sie sind hier!* – zawołał. – *Schnell!* Puścił jeszcze jedną serię.

– *Schnell!*

Niemieccy żołnierze natychmiast zawrócili w jego stronę, przez cały czas nisko pochyleni, raz po raz strzelali w pustkę.

Pendergast posłał jeszcze jedną serię z automatu, a potem zaczął wzywać pomocy:

– *Hilfe! Hilfe!*

Kiedy się zbliżyli, szarpnął za drut, zwalniając węzeł podtrzymujący łyżki przy pęku granatów, po czym dał susa do laboratorium, zatraskując ze sobą stalowe drzwi. Po chwili korytarzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Małe okienko w drzwiach zostało rozniesione w drobny mak, drzwi wyrwane z zawiasów i wepchnięte do wnętrza pomieszczenia. Pendergast, skulony pod przeciwległą ścianą, podniósł się i wypadł na korytarz, wypełniony dławiącym kamiennym pyłem oraz tynkiem, i co sił w nogach pobiegł pomiędzy wałącymi się blokami. Tunel bowiem został częściowo zniszczony i zaczął się zapadać. Otoczony kłębami kamiennego pyłu, przy braku widoczności dotarł do reduty

pułkownika.

– Pułkowniku, to ja, Pendergast! – zawołał i dodał po portugalsku:
– *Me ajude!* – Zaraz potem krzyknął: – Za mną, mamy tylko parę chwil!

Odwrócił się i popędził w kłęby oślepiającego pyłu, a pułkownik i jego czterech pozostałych przy życiu żołnierzy pospieszyło za nim.

Poza obszarem zapadliska tunel biegł szerokim łukiem wzdłuż wewnętrznej strony murów obronnych fortecy, po lewej ciągnęły się laboratoria, po prawej zaś masywna ściana warowni. To była główna droga, z jakiej korzystano na tym poziomie fortecy; niebezpiecznie było zostawać tu dłużej. Pendergast uznał, że najlepiej będzie zejść niżej, do labiryntu podziemnych przejść, tuneli, lochów i pomieszczeń magazynowych. Właśnie tu go początkowo przetrzymywano, ale nie zdołał spenetrować tego obszaru lepiej podczas pospiesznego rekonesansu, uznając to za zbędne.

Teraz ta wiedza mogła się okazać istotna. Prawdę mówiąc, była ich jedyną szansą.

Słyszał już grupę mężczyzn biegnących ku nim, szczęk karabinów i tupot ciężkich buciorów w ciasnych kamiennych korytarzach. Po lewej mieli wejście do laboratorium, ale drzwi wprawione w kamienną ścianę były zamknięte, a Pendergast nie miał czasu, by je sforsować. Gestem dłoni dał pułkownikowi i jego ludziom znak, aby zajęli pozycje pod ścianami po obu stronach tunelu, przyklękli i wymierzili broń w nadciągających żołnierzy.

– Strzelać bez rozkazu – rzekł półgłosem.

Pułkownik powtórzył tę komendę po portugalsku.

Kroki się zbliżały; ich echo dochodziło spoza załomu tunelu. Niewielki oddział przygotował się do urządzenia bezpośredniej zasadzki.

W odpowiedzi na krótki gardłowy rozkaz zbliżający się żołnierze

przystanęli niewidoczni. Nagle zapadła cisza. Chwila elektryzującego napięcia przedłużała się, a po chwili dwa wprawnie rzucone granaty odbiły się od łuku ściany, uderzyły o podłogę i potoczyły się w stronę Brazylijczyków.

Kompletnie zaskoczony Pendergast i inni poderwali się błyskawicznie i skoczyli w stronę wnęki, gdzie znajdowało się wejście do laboratorium. Granaty wybuchły równocześnie i potężna fala ciśnienia w ograniczonej przestrzeni odrzuciła ich do tyłu. Jeden z Brazylijczyków, który nie był tak szybki jak reszta i nie zdążył się ukryć na czas, zniknął w chmurze krwi, kości, tkanek i wirującego pyłu.

Kręcąc głową, aby odzyskać ostrość widzenia, Pendergast strzelił w rozprzestrzeniającą się chmurę kurzu. Usłyszał sypiące się kamienie i zrozumiał, że żołnierze nie mogli podejść bliżej, a przynajmniej nie od razu, gdyż istniało ryzyko zawalenia się tunelu, bo bloki w sklepieniu zostały obluzowane wskutek eksplozji.

– Odwrót! – powiedział, ponownie strzelając w kłęby kurzu.

Pułkownik i jego trzech pozostali przy życiu ludzie pobiegli. Pendergast osłaniał ich, dopóki nie zniknęli za załomem korytarza, a następnie pospieszył za nimi. Wiedział, że kilkaset metrów dalej rozciąga się prostopadły tunel. Nie wiedział, dokąd on prowadzi, i nie miał ochoty tego sprawdzać, nie pozostawiono mu jednak wyboru.

– W prawo! – zawołał do biegnących przed nim. – *Direita!*

Wpadli do tunelu, pozostawiając za sobą wypełnione pyłem przejście. Brakowało tu światła i ludzie pułkownika wyjęli latarki, aby zbadać drogę. Tunel był stary, nieużywany, kamienie pokryte nalotem saletry, powietrze zatęchłe, cuchnące pleśnią i zgnilizną. Dotarli do dębowych drzwi obitych niszczącymi żelaznymi taśmami, zbutwiały ze starości, które ustąpiły po jednym uderzeniu kolbą karabinu.

Przed nimi pojawiły się kręte, biegnące w dół, w cuchnącą ciemność, kamienne schody. Za nimi znów rozległ się tupot wojskowych buciorów.

Schody były częściowo zniszczone i musieli ześlizgiwać się po zawalonych, popękanych, omszałych kamieniach, aż dotarli na najniższy poziom fortecy. Pobiegli przez długi tunel biorący początek u podnóża schodów, a przybierające na sile odgłosy pogoni zdradzały, że ich prześladowcy się zbliżali.

Wreszcie tunel się rozgałęził, przechodząc w wielką, łukowato sklepioną salę. Pośrodku niej stało coś niezwykłego: stalowa klatka o powierzchni około pięciu metrów kwadratowych, starannie zamknięta. Nie była przymocowana do podłogi, lecz skonstruowana wokół czegoś, co wyglądało jak głęboka naturalna szczelina w litym podłożu podziemi twierdzy. Szczelinę tę wypełniały, sięgając aż do prętów klatki, niezliczone skrzynie pełne broni, granatów, pocisków i pudeł z prochem strzelniczym, oznaczone symbolem swastyki oraz ostrzeżeniami, że w środku znajduje się bardzo niebezpieczna zawartość: „sehr gefährlich”. Wyglądało to na główny skład amunicji warowni, umiejscowiony dla bezpieczeństwa na najniższym poziomie podziemnych tuneli.

A więc ich pierwotny plan, aby wysadzić składnicę broni, od początku był skazany na porażkę – strategiczny arsenał znajdował się zbyt głęboko w podziemiach, aby eksplozja zdołała otworzyć przejście do fortecy pułkownikowi i jego ludziom. Nie mieli jednak czasu na zbadanie tego miejsca, minęli więc salę i dotarli do korytarza po drugiej stronie.

Wkrótce doszli nim do kolejnego rozgałęzienia z ciągiem pustych cel, zbutwiałymi szczątkami drewnianych drzwi leżącymi na wilgotnym podłożu. Do jednej ze ścian przykuty był prastary szkielet pokryty nalotem miedzi. Po ścianach ściekała woda, a na żużlowym podłożu zalegały kałuże, w których, jak Pendergast zauważył, pozostawały odciski ich stóp.

Teraz postękiwania biegnących mężczyzn i tupot buciorów zaczęły się przybliżać.

– Musimy zabić tych ludzi – rzekł pułkownik.

– Doskonała sugestia – odparł Pendergast. – Poproszę o granaty.

Wyciągnął ostatni granat, jaki jeszcze miał przy sobie, i skinął na

pułkownika. Souza i jego trzej żołnierze pobiegli w ślad za nim, wyciągając zawleczone granaty i przytrzymując łyżki palcami. Gdy w oddali przed nimi zamajaczył załom tunelu, Pendergast ostro skinął głową – równocześnie zwolnili łyżki i upuścili granaty na miękką wulkaniczną glebę, po czym skręcili za róg i rzucili się na ziemię.

– Jak się to mówi po angielsku? – zapytał pułkownik. – Czas zapłaty?

– Gasimy światła – wyszeptał Pendergast.

Kilka sekund później liczne eksplozje rozniosły fragment tunelu za załomem korytarza z takim hukiem, że wszystkich ich ogłuszyło. Pendergast błyskawicznie poderwał się na nogi, dając pozostałym znaki rękami, aby podążyli za nim. Wrócili za załom korytarza, gdzie tu i ówdzie wśród zwałonych kamiennych bloków błędziły przyćmione światła latarek. Zaczęli pruć seriami w ogromną chmurę kurzu, mierząc w światła, a strzały, jakie padły w odpowiedzi, okazały się nieskuteczne i chaotyczne.

Po dłuższej chwili było po wszystkim. Ich prześladowcy leżeli martwi, a kurz zaczął osiadać w wilgotnym powietrzu. Pendergast zapalił latarkę i omiótł wiązką światła martwe ciała sześciu żołnierzy w prostych szarych mundurach z jednym tylko, niewielkim symbolem w kształcie Krzyża Żelaznego. Siódmy, najwyraźniej dowódca, nosił stary hitlerowski uniform, połowy mundur *feldgraue* Waffen-SS z kilkoma współczesnymi dodatkami.

– *Babaca!* – warknął pułkownik, z całej siły kopiąc zabitego. – Spójrz na tego skurwysyna bawiącego się w nazistę. *Que bastardo.*

Pendergast błyskawicznie obszukał oficera w mundurze, po czym przeniósł swoją uwagę na pozostałych: pół tuzina przystojnych młodych mężczyzn rozerwanych na strzępy przez wybuchy i ogień z broni automatycznej; ich niebieskie oczy wpatrywały się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, usta były otwarte w grymasie zdziwienia, delikatne dłonie wciąż spoczywały na broni. Schylił się po jeszcze jeden magazynek i zapasowy granat. Brazylijczycy także uzupełnili uzbrojenie.

Potem była już tylko cisza, jeżeli nie brać pod uwagę powolnej kadencji cieknącej wody. Woń krwi i śmierci mieszała się z odorem błota, pleśni i rozkładu. Jednak w tej ciszy rozległ się nagle szmer. Wybuch uszkodził fragment masywnego muru i teraz insekty, przegnane z miejsca spoczynku, zaczęły wypełzać i wylazić na zewnątrz; wiele spadało z sufitu: oleiste krocionogi, białe skorpiony kołyszące żądlami, wiję, skorki, wielkie tłuste stonogi i kosmate skaczące pająki. Z głośnym przekleństwem pułkownik strącił insekta z ramienia.

– Musimy się stąd wynieść – rzekł Pendergast. – I to zaraz.

A wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Jeden z żołnierzy pułkownika sapnął nagle, odwrócił się, po czym wyszarpnął z piersi długi prosty nóż do rzucania i popatrzył na ociekające krwią ostrze ze zdumieniem, zanim osunął się bezwładnie na kolana.

Kiedy pułkownik usłyszał sapanie, odwrócił się i skierował światło latarki na żołnierza. Mężczyzna trzymał w dłoni ciężkie ostrze i z wyrazem zdziwienia powoli przewrócił się na ziemię.

– Kryć się! – rzucił Pendergast, przykucając.

Souza chwiejnym krokiem podszedł do ściany, podczas gdy Pendergast zlustrował korytarz w świetle latarki, przepatrując ściany, sufit, mroczne cele i zbutwiałe odrzwia. W tunelu pojawiły się wirujące pasma mgieł, jaśniejące w świetle latarki. Nie było nic prócz ciszy i kapiącej wody. Światło przesunęło się po zakutym w łańcuchy szkielecie, z którego czaszki wciąż zwieszały się pojedynczy, długi, czarny kosmyk.

– *Nossa Senhora* – wyszeptał pułkownik, odwracając się do agenta.

Ich spojrzenia spotkały się. Pułkownik znów poczuł się nieswojo na widok tych bladych oczu, które niemal zdawały się świecić w ciemnościach. Poczul, że drży mu dolna warga, i próbował nad tym zapanować. Nie mógł myśleć – jeszcze nie – o tym, jak bardzo zawiódł podczas tej feralnej misji. Jego syn Thiago nic nie mówił, od wybuchu miny pułapki nie odezwał się ani słowem. Souza nie był w stanie spojrzeć synowi w oczy, ale czuł na sobie jego wzrok. Czuł jego spojrzenie przepełnione strachem i krytyką niczym coś namacalnego.

Przykucnął i czekał nie wiadomo na co, nie wiedział, co robić w tej sytuacji. Przyglądał się, jak Pendergast dotyka szyi trafionego nożem żołnierza, aby wyczuć puls. Agent odczekał chwilę, po czym spojrział na niego i pokręcił lekko głową. To było jak kolejny cios. Utracił tyłu

ludzi, tylu dobrych żołnierzy, ale nie mógł teraz się nad tym zastanawiać.

Pendergast delikatnie wyłuskał okrwawiony nóż z dłoni zabitego i przyjrzał mu się, zanim zatknął go za pasek. Souza rozpoznał w nim stary hitlerowski sztylet, znany jako tasak Eickhorn, o ciężkim grubym ostrzu, którym niełatwo było miotać, ale który był na tyle masywny, by, umiejętnie rzucony, mógł rozłupać mostek i dotrzeć do serca.

Pułkownik ponownie nasłuchiwał i raz jeszcze się zdziwił, bo nic nie usłyszał. Zupełnie jakby ten nóż po prostu nagle zmaterializował się w piersi żołnierza.

Nikt się nie odzywał. Na moment wszystko się jakby zawiesiło i nagle Pendergast podźwignął się ostrożnie, przełamując przeraźliwy bezruch. Dając pozostałym ludziom znak, aby poszli za nim, ruszył w głąb tunelu. Pułkownik osłaniał tyły wraz z synem, ale mężczyźni nie patrzyli na siebie nawzajem. Jakoś tak się stało, że Souza przekazał dowodzenie cywilowi i nie był w stanie odzyskać nad sobą panowania na tyle, by powrócić do swojej wcześniejszej roli. Z czterema ludźmi zmierzał przeciw całemu kontyngentowi wyszkolonych nazistowskich bojowników; co jeszcze mogło ich spotkać? Czy Pendergast miał jakiś plan? Gringo był taki milczący, taki dziwny.

Tunel zaczął opadać, powietrze stało się coraz bardziej zatechłe i cuchnące, w korytarzu stała woda, której poziom, w miarę jak tunel robił się coraz bardziej pochyły, stopniowo wzrastał. Wkrótce musieli brnąć przez nią. Mgła zgęstniała, a ich oddechy dodawały oparów w i tak już nadmiernie wilgotnym powietrzu. Odgłos ich kroków, gdy brodzili, odbijał się w korytarzu łagodnym echem. W którymś momencie Pendergast gestem dał znak, aby się zatrzymali i stanęli wśród cuchnących miazmatów. Nasłuchiwał, ale nie zdołał wychwycić żadnych odgłosów świadczących o tym, że ktoś podąża ich tropem.

Poziom wody wzrastał. Martwe nabrzmiące insekty unosiły się na mętnej powierzchni, a kilka razy dostrzec można było ludzkie

szkielety, zakute w kajdany lub częściowo zamurwane we wnękach w ścianie; kościotrupy pamiętające jeszcze czasy Hiszpanów – kości mocno nadgryzł zęb czasu. Naraz tłusty mokasyn wodny przepłynął obok, nie zwracając na nich uwagi.

Wkrótce doszli do okrągłej komnaty, miejsca, gdzie zbiegały się odnogi tuneli. Woda sięgała im teraz do pasa. Przystanęli, podczas gdy Pendergast zdawał się obserwować wodę w poszukiwaniu prądów, świecąc latarką w dół i upuszczając na powierzchnię kawałek nitki. Nitka jednak pozostawiła na wodzie tylko niewielkie wgłębienie, nie było żadnego ruchu wody mogącego zdradzić im, w którą stronę powinni się udać.

Pendergast miał się właśnie odwrócić, gdy pułkownik spostrzegł, że nitka nagle zawirowała, równocześnie promień jego latarki penetrujący mętne wody wychwycił jakiś rozmazany kształt.

– Uwaga! – zawołał i w tej samej chwili rozległ się krzyk żołnierza, który stał za nim. Thiago.

Pułkownik obrócił się raptownie, przyświecając sobie latarką, ale Thiago już zniknął. Pod powierzchnią coś się zakotłowało, ale wzburzona woda uspokoiła się niemal tak szybko, jak się zmaciła. Pułkownik chwiejnym krokiem podszedł do miejsca, gdzie mętna woda wciąż jeszcze falowała, i zauważył coś, co unosiło się wolno... Z dna wypłynęła postać, a z jej szyi buchała rozlewająca się w wodzie ciemna plama.

– *Meu filho!* – zawołał Souza, chwytając unoszące się na powierzchni ciało. – Thiago! *Meu filho!*

Odwrócił syna, a z jego trzewi wydobył się nieartykułowany krzyk, gdy zobaczył, że głowa Thiaga odchyliła się bezwładnie do tyłu, ukazując ziejącą na szyi młodzieńca ranę; gardło zostało podcięte aż do kości, oczy były mętne i niewidzące.

– *Bastardos!* – krzyknął, upuszczając ciało syna i unosząc karabin, choć wściekłość zaćmiła mu wzrok.

Przełączył broń na ogień ciągły i puścił serię, mierząc w mrok i strzelając dokoła, w tym także w wodę. Pozostały żołnierz także wpadł w panikę i zaczął strzelać ze swojego karabinka na oślep

w miazmatyczną ciemność.

– *Bastardos!* – wrzasnął raz jeszcze Souza.

– Dosyć – nakazał Pendergast niezbyt donośnym, lecz stanowczym głosem. – Przestańcie.

Pułkownik, czując żelazny uścisk dłoni agenta na swoim ramieniu, nagle się zatrzymał. Cały dygotał.

– Mój syn – wykrztusił z rozpaczą w głosie.

– On bawi się z nami – powiedział Pendergast. – Musimy znaleźć wyjście.

– On? – zawołał pułkownik. – On, czyli kto? Kim jest ten człowiek?

– Znow poczuł wzbierającą wściekłość i wykrzyknął w mrok: – Kim jesteś? *Quem é você?*

Pendergast nie odpowiedział. Wskazał na ostatniego żołnierza.

– Ty. Oślaniaj tyły.

Znow odwrócił się do pułkownika.

– Proszę trzymać się blisko mnie. Musimy iść dalej. Souza podążył za Pendergastem w głąb tunelu wybranego z powodów, których nie znał, ale o to już nie dbał. Amerykanin brnął przez wodę bardzo szybko, niemal jak rekin, pułkownik z trudem był w stanie dotrzymać mu kroku. Zobaczył, że Pendergast wyjął granat, wyciągnął zawleczkę, przytrzymał przez chwilę łyżkę, po czym cisnął granat do tunelu, z którego właśnie wyszli.

– Padnij! – krzyknął.

Rzucili się do wody, a eksplozja przetoczyła się przez cały tunel z potężną siłą. Kiedy się uspokoiło, echo wybuchu wciąż jeszcze rozbrzmiewało w podziemnych korytarzach.

Pendergast wskazał ręką tunel.

– Skąd pan wie, że tam jest wyjście? – wysapał pułkownik.

– To jedyny tunel, w którym nie ma echa – padła cicha odpowiedź.

Poziom wody podwyższał się, ale niebawem przy murze tunelu pojawił się kamienny podest z prowadzącymi pod górę schodami. Pendergast wybrał właściwie, to było wyjście, stary tunel prowadzący bez wątplenia do jeziora, tajne wodne przejście do i z fortecy.

– *Agora eu esto satisfeito...* – Z oparów mgieł dobiegł ich nagle głos rozbrzmiewający echem, zniekształcony, przerażający.

Pułkownik przykleknął, odwrócił się i wystrzelił prawie bez namysłu, seria urwała się nagle, gdy magazynek jego broni został opróżniony. Wciąż jednak naciskał spust, wołając: „Kto tam? Kto tam jest?”, a jego drżący głos niósł się echem wśród mgieł.

Jedyną odpowiedzią był pojedynczy strzał, jaki dobiegł z ciemności, trzask pistoletu, krótki błysk, po czym ostatni żołnierz Souza upadł do wody z cichym rżeniem.

Pendergast przycupnął obok pułkownika, wykorzystując kamienną keję w charakterze osłony, jego srebrzyste oczy świdrowały ciemność.

Souza wyciągnął pusty magazynek i wyrzucił do wody, wyjął z plecaka pełny, po czym drżącymi rękami spróbował włożyć go na miejsce. Udało się w końcu założyć nowy magazynek, bo Pendergast przytrzymał mu karabin.

– Proszę oszczędzać amunicję – rzekł agent półgłosem. – On tego właśnie chce.

– *Os fantasmas?* – zapytał pułkownik, cały roztrzęsiony.

– Niestety, to się dzieje naprawdę.

Po tej enigmatycznej odpowiedzi Pendergast wspiał się po kamiennych schodach, a pułkownik poczłapał za nim, powłócząc nogami, potykając się na śliskich stopniach prowadzących do wąskiego chodnika ciągnącego się wzdłuż ściany i kończącego głęboką wnęką.

– *Agora eu esto satisfeito...* – Z oparów znów napłynął ten sam głos, mrozący krew w żyłach i zimny jak ostre szpikulce do lodu.

W tunelu nie dało się określić, skąd dochodził. Wydawało się, że zewsząd i znikąd, był cichy, ale dziwnie przenikliwy.

– Co to znaczy? – wyszeptał Pendergast.

– Jakie to straszne... to znaczy „satysfakcja, spełnienie”.

Souza poczuł, że głos uwiązał mu w gardle, kręciło mu się w głowie. Nie nadążał za tym, co się stało, za tym, co wciąż się działo. To był naprawdę niewyobrażalny koszmar.

– Musimy iść, pułkowniku.

Coś w chłodnym głosie agenta sprawiło, że Souza trochę się uspokoił. Ściskając w dłoniach swój karabinek M16, wstał i podążył za Pendergastem, który zniknął już w głębi tunelu. Mijali boczne rury i tunele, z niektórych z nich wylewała się czarna woda.

Gdzieś za nimi rozległ się cichy śmiech. Pułkownik nie mógł tego znieść. Poczul, że znów wszystko się wali – jego świat legł w gruzach, a teraz to. Jak to było możliwe? Kim jest ten diabeł?

– *Você está satisfeito, coronel?* – Z mgieł w pobliżu znowu wydobył się głos. „Zadowolony pan, pułkowniku?”

Świat jakby nagle odpłynął. Souza odwrócił się z rykiem i pobiegł w stronę, skąd dochodził głos. Dźwięk, który wyrywał się z jego gardła, nie był całkiem ludzki, lecz przypominał raczej ryk wściekłości dzikiej bestii. Pułkownik zacisnął palec na spuście, przełączył broń na ogień ciągły i przesunął lufą karabinka z boku na bok, opróżniając trzydziestonabojowy magazynek w opar mgieł.

Zapadła nagła cisza, kiedy skończyły się naboje, Souza znieruchomiał, jakby nagle się obudził, zatrzymał się i czekał na koniec, którego nagle zapragnął bardziej niż czegokolwiek innego w całym swoim życiu.

Pendergast, przywierając płasko do ściany, usłyszał długi terkot karabinka szturmowego i zwierzęcy skowyt pułkownika, który pognał po podeście w stronę ciemniejszych mgieł, a potem nagle zrobiło się cicho. Czas jakby stanął w miejscu, gdy huk wystrzałów wybrzmiał echem w tunelach, i nagle ciszę zmącił jeden strzał, niezbyt głośny, oddany z małokalibrowego pistoletu.

Po chwili Pendergast usłyszał, jak ciało pułkownika plusnęło w wodę. A potem znów rozległ się głos, tak dobrze mu znany.

– Teraz, ojcze, zostaliśmy tylko ty i ja. Tylko my dwaj.

Pendergast milczał, cały czas wciskając się w ścianę w ciemnościach.

– Ojcze?

Wreszcie poczuł się zdolny do mówienia.

– Czego chcesz? – zapytał powoli, opanowanym głosem.

– Zamierzam cię zabić.

– Naprawdę uważasz, że możesz to zrobić? Zabić własnego ojca?

– Zobaczymy.

– Dlaczego?

– A po co ludzie wspinają się na Mount Everest? Po co latają na Księżyc? Po co biorą udział w maratonie? Dla mnie to ostateczna próba charakteru.

Cisza. Pendergast nie był w stanie odpowiedzieć.

– Nie zdołasz przede mną uciec. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Głos umilkł na chwilę. Wreszcie Alban znów się odezwał:

– Ale najpierw mam dla ciebie prezent. Wcześniej zapytałeś o Kopenhaskie Okno. Chciałbyś poznać moją tajemnicę? „Spójrz na świat, jakby czas przestał istnieć, a wszystko, co zakrzywione, wyda ci się proste”. Nietzsche, jak zapewne wiesz.

Nóż wystrzelił z ciemności jak spłoszony nietoperz, tak szybko i niespodziewanie, że Pendergast nie zdążył się uchylić. Ostrze prześlizgnęło się i odbiło od jego obojczyka, ale rana była powierzchowna, ot zwykłe draśnięcie, nic poważnego. Pendergast upadł i przetoczył się, ale zaraz wstał, przebiegł sprintem kilka metrów i znów się ukrył, wchodząc do sąsiedniej niszy i przywierając plecami do wilgotnej, śliskiej ściany. Nawet po locie noża do rzucania nie był w stanie określić dokładnego położenia Albana; chłopak wykorzystywał przewagę osobliwości dźwięku rozchodzącego się echem w tunelach, aby ukryć swoją pozycję.

– Nie zabijesz mnie, bo jesteś słaby. Tu się właśnie różnimy. Bo ja mogę zabić ciebie. Jak to właśnie zademonstrowałem. I muszę przyznać, że to był naprawdę doskonały unik, ojciec. Jakbyś wyczuł, że ostrze nadlatuje.

Pendergast wychwycił nutę dumy w głosie chłopaka – syna, który jest pod wrażeniem swojego ojca. To było tak dziwne i chore, że z trudem skupił się na tym dłużej niż przez chwilę. Poczul piekący ból w i tak już wcześniej zranionym ramieniu oraz ciepłą krew przesączającą się przez przemoczoną koszulę. Jakaś jego część – być może ta większa – nie dbała o to, czy przeżyje, czy umrze. Miał jedynie nadzieję, że jego syn potrafi celnie strzelać.

– Tak, to prawda, mógłbym cię zabić już teraz – ciągnął głos. – I kiedy mówię te słowa, trzymam cię na muszce. Ale to nie byłoby właściwe. Jestem człowiekiem honoru i nie zastrzeliłbym cię jak psa. Dlatego dam ci wybór. Policzę do dziesięciu. Jeżeli postanowisz umrzeć, nie rób nic, a gdy doliczę do końca, pomogę ci w popełnieniu samobójstwa, o ile będziesz tego chciał. Gdybyś zdecydował się uciec, przyjmijmy, że dam ci uczciwą szansę i pozwolę spróbować szczęścia.

Pendergast zanurkował w wodzie, ale wskoczył do niej dopiero

wtedy, gdy Alban doliczył do sześciu.

Płynął najszybciej jak potrafił. Ciężki karabin ściągał go w dół, ale trzymał się blisko ściany i wypływał na powierzchnię tylko wtedy, kiedy musiał zaczerpnąć powietrza. Usłyszał kilka wystrzałów. Alban otworzył ogień, dopiero gdy doliczył do dziesięciu. Kule z pluskiem uderzały w wodę wokół Pendergasta. Nie płynął dostatecznie szybko, więc po chwili, nie bez żalu, porzucił karabin. Płynął z otwartymi oczami, ale nic nie widział. Woda była zimna i brudna, roiło się w niej od martwych stworzeń, które obijały się o niego, a raz poczuł też na swoim ciele dotknięcie przesuwającego się obok wodnego węża. Nie zważając na to wszystko, płynął dalej.

Za szerokim łukiem tunelu Pendergast, mocno wierzgając stopami pod wodą, zaczął dostrzegać słabiutkie światło. Wypłynął na powierzchnię, by ujrzeć błysk na śliskich ścianach tunelu. Strzały ucichły. Płynął dalej, teraz już na powierzchni. Gdy wynurzył się z tunelu i znalazł w jeziorze, światło niemal go oślepiło. Wciąż było popołudnie. Spojrzał ku zachodowi i stwierdził, że znajdował się niecały kilometr od przeciwległego brzegu. Przystanął, by popatrzeć za siebie. Albana nigdzie nie było widać, ani u wylotu tunelu, ani na brzegu.

Pendergast wiedział jednak, że taki stan nie potrwa długo, bo chłopak na pewno ruszy za nim w pościg.

Alban nasłuchiwał przez chwilę w ciemnościach, podczas gdy odgłosy ruchów jego ojca płynącego pod wodą powoli ucichły. Wylot tunelu łączący go z jeziorem znajdował się niedaleko, powinien dotrzeć tam w kilka minut. Serce biło mu mocno, wszystkie zmysły miał wyostrzone do granic możliwości, jego umysł pracował szybko i płynnie. To była najbardziej elektryzująca rzecz, jakiej kiedykolwiek dokonał, dziwna i niespodziewanie fascynująca. Teraz już rozumiał, o co chodziło Fischerowi, gdy mówił o docenieniu subtelniejszych rzeczy. Kilka lat temu w ramach wyzwania mającego potwierdzić osiągnięcie przez niego dojrzałości Fischer posłał go do puszczy uzbrojonego tylko w nóż, aby zabił jaguara. To było niezwykle doświadczenie. Ale polowanie na człowieka, co więcej, na nie byle jakiego człowieka, lecz na własnego ojca, okazało się ostatecznym wyzwaniem.

Alban zastanawiał się, co wymyśli jego ojciec. Odpowiedź pojawiła się w jego głowie z łatwością. Nie pozostanie na wyspie, gdzie nie mógłby nic zrobić i gdzie tamci, przewyższający go siłą oraz liczebnością, dopadliby go bez trudu. Popłynie do brzegu. Będzie się kierował prosto na zachód, w stronę obozu zdefektowanych. Bo zechce odnaleźć swojego drugiego syna, Czterdzieści Siedem. Brata bliźniaka Albana. Tego, który miał teraz na imię Tristram.

Tristram. Coś w tym imieniu i samym fakcie, że tamten je otrzymał, mocno rozgniewało Albana.

Młodzieniec szybko przebiegł chodnikiem do ukrytych metalowych drzwi w bocznej wnęce. Przekręcił zdecydowanym

ruchem klucz w dobrze naoliwionym zamku i wszedł do wąskiego tunelu biegnącego ukośnie w stronę brzegu. Kilka chwil później przez inne drzwi wy dostał się na skąpaną w popołudniowym świetle murszejącą platformę ponad brzegiem jeziora, otoczoną gęstymi trzcinami. Przedzierając się przez zarośla, pokonał dystans kilkunastu metrów pod górę po wulkanicznym zboczu, a kawałki żużlu chrzęściły mu pod stopami. W pewnym momencie przystanął, odwrócił się i zlustrował wzrokiem jezioro. Niemal natychmiast jego czujne oczy odnalazły sylwetkę ojca płynącego na zachód, w kierunku brzegu, dokładnie tak, jak to przewidział.

Uniósł karabin i popatrzył na ojca przez lunetę. Jakby od niechcenia pomyślał, że mimo odległości trzystu metrów, za to w bezwietrzne, przyjemne popołudnie, niemal na pewno zabiłby go, gdyż był wyśmienitym strzelcem.

Alban opuścił karabin, nie decydując się na strzał i raz jeszcze chwając samego siebie za honor i poczucie sprawiedliwości. Jego ojciec był wielkim człowiekiem, który powinien umrzeć godną śmiercią, a nie od strzału w plecy oddanego z daleka. Miał do przepłynięcia jeszcze około czterystu metrów, a ponieważ został raniony, potrzebował co najmniej piętnastu minut, by dotrzeć do bagien po drugiej stronie jeziora. To dawało Albanowi dość czasu na zaaranżowanie bardziej wyrównanego i ciekawszego pojedynku.

Zarzucił karabin na ramię i ruszył wydeptaną ścieżką ciągnącą się wokół wyspy. Po kilku minutach jego oczom ukazała się niewielka przystań, przy której cumowały motorówki z silnikami zaburtowymi. Podszedł bliżej, przyjrzał się im i wybrał najłżejszy, najbardziej zwrotny, ponad czterometrowy, płaskodenny skiff z włókna szklanego, z silnikiem dwusuwowym. Wskoczył do środka, sprawdził poziom paliwa, odpalił silnik i wypłynął na jezioro.

Odbijając od brzegu, skiff zaczął rozbryzgiwać wodę. Alban stał przy sterze i patrzył przed siebie, rozkoszując się omiatającymi twarz podmuchami cudownie chłodnego powietrza. Teraz trudno mu było wypatrzeć ojca, ale wiedział, gdzie on będzie. I rzeczywiście, gdy zbliżał się do środka jeziora, w promieniach

popołudniowego słońca dostrzegł słabe ruchy mężczyzny, jego ręce poruszały się regularnie, stopy rozbryzgiwały wodę, gdy płynął w stronę brzegu.

Pendergast zauważył go i zanurkował. Alban zwolnił i skierował łódź nieznacznie na południe. Nurkujący ojciec zmieni kierunek? Nie, nie zrobi tego. W ten sposób będzie chciał go zaskoczyć.

Jak długo potrafi wstrzymać oddech?

Zdumiewające dwie minuty później – Alban prawie nie mógł w to uwierzyć – ojciec pojawił się dokładnie tam, gdzie chłopak to przewidział, na tej samej trasie, niemal sto metrów bliżej od brzegu. Alban potrafił przepłynąć sto pięćdziesiąt metrów pod wodą, ale setka to także był spory wyczyn, zwłaszcza dla mężczyzny w wieku jego ojca.

Młodzieniec skierował łódź w stronę płynącego, szybko zmniejszając dzielący ich dystans. Czemu nie miałyby rozjechać go motorówką? Właśnie, dlaczego nie? To byłoby uczciwe rozwiązanie. Oczywiście ojciec zanurkowałby pod wodę. A potem jeszcze raz. Zwiększył obroty silnika do maksimum i obrał kurs na płynącego ojca. Ten zanurkował w ostatniej chwili, a Alban zakręcił sterem, zataczając ciasny krąg i kierując się ku miejscu, gdzie, jak wiedział, starszy mężczyzna się wynurzy.

Nie spodziewał się, że zabije ojca w ten właśnie sposób. Ale na pewno go zmęczy, sprawi, że opadnie z sił. Tak czy owak będzie to wspaniała rozgrywka dla nich obu.

Mając pod wodą otwarte oczy, Pendergast mógł zobaczyć łódź zataczającą ciasny krąg na powierzchni i kierującą się w stronę, w którą zamierzał popłynąć. Ale nawet gdy to spostrzegł i znów zmienił plany, zawisając bez ruchu pod wodą i wstrzymując oddech, łódź zmieniła trajektorię, zwalniając jeszcze bardziej, zupełnie jakby czytała w jego myślach.

Czytała w jego myślach? To zakrawało na absurd... lecz nawet najbardziej niezwykle hipotezy należało rozważyć w celu wytłumaczenia najbardziej niezwykłych wydarzeń. Pendergast był o włos od rozwiązania tej zagadki, czuł to wyraźnie.

W jego analitycznym umyśle splatały się pojedyncze nitki pozornie niezwiązanych ze sobą zdarzeń: niewyjaśniona natura zabójstw w Nowym Jorku, niedawna konfrontacja w tunelach starej twierdzy i osobliwy przykład mogący świadczyć o umiejętności przewidywania pewnych sytuacji, dumna pochwała Albana dla umiejętności ojca i absolutna pewność, że ojciec nie zdoła mu umknąć. A potem ten dziwaczny cytat z Nietzschego.

Działo się tu coś niezwykłego. Zupełnie jakby Alban potrafił czytać w jego myślach.

Pendergast potrzebował jednak powietrza. Teraz. Wypłynął na powierzchnię i wziął głęboki wdech. A potem spostrzegł Albana oddalającego się, zakręcającego i ponownie zawracającego. Na twarzy chłopaka malował się wyraz zdziwienia, a nawet konsternacji.

Nie. Alban nie potrafił czytać w jego myślach. To było coś innego.

Pendergast przypomniał sobie, co Constance powiedziała o tym chłopaku – coś o szóstym zmyśle, a może wyostrzeniu pozostałych pięciu. Cytat z Nietzschego wciąż rozbrzmiewał w jego pamięci. Powtórzył go raz i drugi. Co te słowa mogły znaczyć?

Pendergast zanurzył się na mniej więcej metr pod powierzchnię i popłynął w stronę brzegu. Łódź zawróciła ponad nim i zatoczyła krąg, jęk silnika wypełnił jego uszy, ale zaraz ucichł, gdy motorówka zwolniła, kierując się w przybliżeniu w stronę miejsca, gdzie powinien się wynurzyć, aby zaczerpnąć powietrza. I rzeczywiście wynurzy się tam, tak właśnie robi. Bez dwóch zdań.

Nie, tu nie chodziło o czytanie w myślach. Alban nie umiał czytać ludziom w myślach. Dysponował niezwykłą zdolnością, ale nie taką. To było coś mniej i zarazem coś więcej niż to.

Pendergast na długo przed momentem nabrania powietrza nagle zmienił plany i podpłynął ku powierzchni. Alban zaś, oddalony zaledwie o sześć, siedem metrów, ale zmierzający w innym kierunku, spostrzegł go, znowu się zdziwił, zawrócił i zwiększył obroty silnika. Pendergast odczekał chwilę, zanurkował, a kiedy motorówka przepłynęła nad nim i zatoczyła ciasny krąg, znów wystrzelił w górę, ale z hitlerowskim nożem w dłoni. Wbił jego szerokie masywne ostrze w płaskie dno z włókna szklanego i mocno je przekręcił, zanim prąd minęła jego głowę o centymetry, a spieniona przez łopaty woda odepchnęła go w bok przy wtórze dźwięku przypominającego brzęczenie gigantycznej osy.

Wynurzył się tuż za motorówką, ponownie nabrał powietrza raz i drugi, po czym popłynął jak szalony w stronę brzegu. Albanowi zajmie co najmniej kilka minut uporanie się z wodą wdzierającą się na pokład i zatamowanie przecieku, a on tymczasem zbliżał się już do płycizny w pobliżu brzegu, niecałe sto metrów od miejsca, gdzie zaczynały się trawiaste moczary, i dwieście od gęstych trzcinowych zarośli i bagien.

Dopóki mógł, płynął pod wodą, od czasu do czasu, niespodziewanie nawet dla siebie samego, zmieniał kierunek, często wbrew temu, co podpowiadał mu instynkt. Parę razy zdarzyło mu

się nawet zawrócić. Kiedy wypłynął na powierzchnię, spostrzegł Albana pochylającego się wewnątrz łodzi, gorączkowo próbującego zatamować przeciek, jednak za każdym razem, kiedy Pendergast się wynurzał, by zaczerpnąć powietrza, chłopak unosił karabin do ramienia i oddawał strzał, który burzył wodę o centymetry od jego głowy. Agent wówczas błyskawicznie się odwracał i nurkował, a kolejne pociski cięły wodę tuż za nim.

Jego syn bez wątpienia strzelał, żeby zabić. To dało mu odpowiedź na jeszcze jedno istotne pytanie, które zaprzętało jego umysł.

Pendergast płynął dalej, zachowując się nieprzewidywalnie, ale przez cały czas zmierzał w kierunku brzegu. Łódź miała już spory przechył, Alban jednak najwyraźniej zdołał zatkać lub zablokować dziurę i zaczął wybierać wodę, co pewien czas podnosząc się, by oddać kolejny strzał do wynurzającego się właśnie Pendergasta. Młodzieniec był doskonałym strzelcem i Pendergasta ratowało teraz to, że słońce stało nisko nad horyzontem, świecąc Albanowi prosto w oczy i wywołując oślepiające refleksy na powierzchni wody.

Agent poczuł, że jego stopy dotknęły mulistego dna, i popłynął dalej, aż znalazł się w wodzie sięgającej mu tylko do pasa, bardzo blisko porośniętych trawami moczarów. Teraz mógł już pójść dalej, choć nie było to łatwe. Brnął przez wodę nisko pochylony. Padły kolejne strzały, ale odległość i gęste trzciny działały na jego korzyść. Niebawem zupełnie zniknął wśród zarośli. Alban wciąż strzelał, przypuszczalnie celował w miejsca, gdzie zaobserwował falowanie trzciny, które jego ojciec poruszył, przechodząc. Prześlizgując się między trzcunami, Pendergast był w stanie markować swoje ruchy – sięgał rękami i kołysał trzcunami, które znajdowały się w sporej odległości od niego. Alban jednak szybko się w tym połapał i posyłał kule także w miejsca obok tych, gdzie zarośla falowały.

Silnik łodzi znów został uruchomiony, a Pendergast przyspieszył. Usłyszał motorówkę wdzierającą się między trzciny, a po chwili stłumiony dźwięk, kiedy śruba uderzyła w muliste dno i motorówka ugrzęzła w błocie.

Plusk – Alban wyskoczył z łodzi i ruszył za nim w pościg.

Przedarłszy się przez chaszczę, Pendergast znalazł się w gęstych zaroślach na skraju trzęsawiska, pokonał je i ruszył w las, torując sobie drogę wśród obfitej roślinności. Syn był od niego sprawniejszy fizycznie, a może nawet mentalnie. Żadna strategia nie pozwoli mu uwolnić się od Albana w tej głuszy, w lesie, który chłopak znał tak dobrze. Jediną szansą dla Pendergasta było zrozumienie tajemniczej przewagi, jaką dysponował jego syn – i wykorzystanie jej przeciw niemu.

Znów przypomniał sobie dziwny cytat z Nietzschego: „Spójrz na świat, jakby czas przestał istnieć, a wszystko, co zakrzywione, wyda ci się proste”.

Wtedy doznał oświecenia, które spłynęło na niego jak promień wschodzącego słońca.

W swoim eleganckim gabinecie *Oberstgruppenführer* Wulf Konrad Fischer zapalił kolejnego papierosa, częstując też swojego zastępcę, Scheermanna. Fischer przypalił mu, ciesząc się tą małą zamianą ról, gestem zdradzającym niezmaconą pewność siebie i bezpieczeństwo, jak również ufność, jaką pokładał w swoim kapitanie.

Podszedł do okna wychodzącego na zachód, w stronę jeziora i uniósł lornetkę. Widział łódź Albana pływającą w kółko i drobną sylwetkę Pendergasta. Jeżeli Alban miał wcześniej jakiegokolwiek opory przed zabiciem ojca, teraz tego nie okazywał.

– To urocze. Proszę spojrzeć, *Herr Oberführer*.

Fischer odsunął się, pozwalając, aby jego zastępca zobaczył, co się dzieje na jeziorze. Czekał, rozkoszując się aromatyzowanym syryjskim tytoniem Latakia, uprawianym i suszonym na ich farmach, najlepszym w całej Ameryce Południowej.

– Tak, bez wątpienia urocze – przyznał Scheermann.

– Alban najwyraźniej jest gotów sprostać wyzwaniu. To nader zachęcające.

Cisza.

– Przekonamy się, czy jest w stanie zabić.

– Jestem pewien, że będzie w stanie to zrobić, *Herr Oberstgruppenführer*. Jego wychowanie i trening przebiegały bez zarzutu.

Fischer nie odpowiedział. Prawda przedstawiała się tak, że ostatni prawdziwy sprawdzian miał dopiero nastąpić. Zaciągnął się dymem i wypuścił go przez nos.

- Powiedz mi, czy ktoś z jednostki desantowej przeżył?
- Nikt. Pięciu wdarło się do fortecy, ale Alban i nasi żołnierze najwyraźniej wybili wszystkich. Znaleźliśmy wszystkie pięć ciał.
- Czy są jakieś ofiary wśród Brygady Bliźniąt?
- Żadnych. Choć straciliśmy wielu spośród zwykłych żołnierzy, ponad dwudziestu ludzi. Wciąż oczekuję na ostateczny bilans.
- Szkoda.

Fischer ponownie przyłożył lornetkę do oczu. Mogło się wydawać, że dwójka dzieci bawiła się na jeziorze: łódź zataczała leniwe kręgi, płynący to nurkował, to się wynurzał, by zaczerpnąć powietrza; z tej odległości wszystko zdawało się rozgrywać w zwolnionym tempie. I nagle coś się stało – wydawało się, że motorówka została podziurawiona, a Pendergast popłynął prosto do brzegu.

Logika podpowiedziała Fischerowi, że Pendergast nie może się równać z synem, który nosi najlepsze geny ojca, w dodatku podrasowane, i jest pozbawiony tych niepożądanych. I którego od urodzenia szkolono do podjęcia takiego właśnie wyzwania.

– Niezłe widowisko – zauważył z przekonaniem w głosie. – Rzymianie w Koloseum mogliby nam pozazdrościć.

– Tak, *Herr Oberstgruppenführer*.

Jednak uporczywy cień wątpliwości nie chciał minąć, a kiedy pojedynek na wodzie zaczął się przedłużać, obawy trawiące Fischera tylko się spotęgowały. Wreszcie znów się odezwał:

– Jestem pewien, że jeśli Pendergast dotrze do brzegu, uda się w stronę obozu dla zdefektowanych. Oczywiście Alban podąży za nim, ale żeby uniknąć jakichkolwiek problemów, chcę, abyś zebrał pod broń grupę zwyczajnych i Brygadę Bliźniąt – teraz, kiedy już się rozgrzali – a następnie przetransportuj ich przez jezioro. Chcę, żeby stanowili wsparcie dla Albana. Tak na wszelki wypadek. Rozumiesz, jako dodatkowe zabezpieczenie. Nic więcej. – Próbował nadać swoim słowom nonszalancki ton.

– Natychmiast, *Herr Oberstgruppenführer*.

– Raz-dwa.

Oberführer Scheermann wyszedł, zasalutowawszy energicznie.

Fischer ponownie odwrócił się do okna, by obserwować przez lornetkę dramat rozgrywający się na jeziorze. Alban stał teraz w łodzi, strzelał – i pudłował. Owszem, strzał na taką odległość z kołyszącej się łodzi i w dodatku pod słońce, kiedy nie było o co oprzeć karabinu, był wyjątkowo trudny, wręcz niemożliwy. Ale mimo wszystko...

Przedzierając się przez las, Pendergast zdawał sobie sprawę, że Alban będzie go ścigał, choć nie słyszał za sobą odgłosów pogoni. Sunąc naprzód, zastanawiał się nad tym, co właśnie odkrył. Był przekonany, że udało mu się rozszyfrować niezwykle zdolność Albana. Tę umiejętność posiadał zarówno on sam, jak i inni, aczkolwiek w szczątkowej postaci, bardzo osłabioną. U Albana została mocno podrasowana. Pendergast musiał się dobrze zastanowić, jak wykorzystać tę świeżo zdobytą wiedzę, musiał poczekać na właściwy moment, nie mógł pozwolić, aby Alban się zorientował, że stracił nad nim przewagę; nie mógł pozwolić sobie na utratę elementu zaskoczenia.

Dotarł do miejsca, gdzie w puszczy znajdowała się ścieżka wiodąca do obozu zdefektowanych. Pobiegł nią, zmuszając się do jeszcze większego wysiłku. Ścieżka prowadziła przez niską grań i kilkaset metrów dalej był już na obrzeżach krateru otaczającego pola i obóz. Zeskoczył z grani po drugiej stronie, popędził dalej, nie zważając na zakręty, i w szaleńczym tempie zbiegł po stromym stoku.

Pognał przez pola uprawne. Łany kukurydzy oferowały jaką taką osłonę, wpadł więc pomiędzy nie, choć ciągnęły się pod kątem prostym do drogi, którą podążał. Teraz nieznacznie tylko zwolnił tempo, ślizgając się i lawirując wśród wysokich roślin. Jednak słyszał już za sobą odgłosy prześladowcy, który zbliżał się, z każdą chwilą zmniejszał dystans między nimi.

Pendergast skręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i przebiegł

wzdłuż łąnu, najszybciej jak potrafił, zmienił taktykę i przedarł się przez kilka łąnów, po czym zaczął lawirować zygzakiem między kolejnymi. To na nic. Nie zdoła zgubić Albana i nie ma szans na wciągnięcie go w zasadzkę. Alban był uzbrojony, a on nie. To nie mogło się dobrze skończyć.

Spostrzegł przed sobą światło i wybiegł na drugim końcu pola kukurydzy. Wciąż gnając na łeb na szyję, pokonał plantację bawełny; niskie rośliny nie mogły dać żadnej osłony. Słyszał za sobą odgłosy nadciągającego Albana i jego zdyszany oddech. Teraz to już był wyścig na otwartej przestrzeni i jeden z nich go przegra.

W chwili gdy Pendergast uświadomił sobie, że nie zdoła dotrzeć na polanę przed podziemnym obozem, spostrzegł tzw. zdefektowanych wracających w popłochu z odległych pól, ubranych w łachmany, z podniszczonymi słomkowymi kapeluszami na głowach i różnymi narzędziami zarzuconymi na ramiona. To był dziwny, milczący, niezorganizowany tłum. Ci, którzy szli na przdzie, zatrzymali się. Z rozdziawionymi ustami stali zaskoczeni i zdumieni widokiem pościgu. Pendergast przez chwilę przyglądał się im, ale nie wypatrzył wśród nich twarzy Tristrama.

W tej samej chwili usłyszał śpiew, ni mniej, ni więcej, tylko wojskową pieśń. Spoglądając w prawo, dostrzegł zmierzającą w ich stronę od przystani kolumnę złożoną z dziesiątków żołnierzy – bliźniąt. Było ich około stu, tylu samo co zdefektowanych: mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta, w wieku mniej więcej czternastu do około czterdziestu lat, mieli na sobie proste szare mundury z Żelaznym Krzyżem, który najwyraźniej stał się symbolem tej nowej rasy panów. Prowadziło ich kilku oficerów w tradycyjnych hitlerowskich mundurach. Byli uzbrojeni po zęby i kiedy podeszli bliżej, formując szyk, z ich ust popłynęły słowa pieśni:

*Es zittern die morschen Knochen,
Der Welt vor dem großen Krieg,*

To koniec, uświadomił sobie Pendergast. Nie był w stanie

zdystansować swojego syna. Zatrzymał się i odwrócił, by stanąć z nim twarzą w twarz.

Sto metrów dalej Alban zwolnił do truchtu, a gdy się zbliżał, na jego twarzy pojawił się nagle uśmiech. Zdjął z ramienia karabin i przeszedł z truchtu w marsz.

Żołnierze się zbliżali.

*Wir haben den Schrecken gebrochen,
Für uns war's ein großer Sieg.*

Alban nie zastrzelił jednak ojca. Gdy się zbliżył, Pendergast po wyrazie triumfu w jego oczach zorientował się, że chłopak chciał przedłużyć ten moment, napawać się chwilą swojego zwycięstwa, zamiast położyć temu przedwcześnie kres jednym celnym strzałem. Zwłaszcza że teraz zgromadziła się wokół nich dość spora widownia. Zrobiło się dramatycznie, Alban zaś miał okazję, aby wreszcie pokazać, na co go stać – mógł wziąć odwet na oczach tych wszystkich ludzi.

Pendergast aż skrzywił się na samą myśl, że tak dobrze zdołał zrozumieć swojego syna.

*Wir werden weiter marschieren
Wenn alles in Scherben fällt,*

Z niezłomną pewnością siebie Alban podszedł do Pendergasta, obszukał go i odebrał ojcu ostatnią broń, jaką ten miał przy sobie – nieduży nóż. Uniósł go i zatknął za pas jak pamiątkę.

Maszerujący żołnierze zatrzymali się przed nimi – młodzi, rozpromienieni, rumiani, tryskający zdrowiem i wysportowani. Stając w szyku, dokończyli pieśń:

*Denn heute da hört uns Deutschland
Und morgen die ganze Welt!*

Dowódca, Scheermann, ubrany w mundur oficera Waffen-SS, przeszedł wzdłuż dwudziestu milczących teraz żołnierzy, odwrócił

się i popatrzył na Pendergasta, a potem na Albana. Obszedł ich dookoła, poruszając się wolno po ciasnym kręgu.

– Dobra robota – zwrócił się do Albana nienagannym angielskim. – On jest ostatni. Pozostawiam to tobie.

– Dziękuję, *Herr Oberführer*.

Chłopak odwrócił się z uśmiechem do Pendergasta.

– To już koniec, ojciec.

Pendergast czekał. Spojrzał na pracowników polowych – zniewolone bliźnięta stojące w większych lub mniejszych grupkach, przyglądające się temu wszystkiemu z rozdziawionymi ustami. Zdawali się w ogóle nie rozumieć, co się dzieje. Mundury, żołnierze, dwie grupy bliźniąt patrzące na siebie nawzajem poprzez niezmaconą otchłań biologii, genetyki...

Przenosząc wzrok z żołnierzy na niewolniczą siłę roboczą, Pendergast dostrzegł wiele takich samych twarzy. Tyle tylko że o ile oblicza zdefektowanych były zapadnięte i przepełnione rezygnacją, o tyle żołnierze sprawiali wrażenie ludzi, którzy odnaleźli swoje miejsce w życiu, zadowoleni z takiego obrotu spraw. Było tak, jak być powinno. Wszystko w porządku. Jak należy. Groza tej sytuacji sprawiła, że coś ścisnęło Pendergasta za gardło. Prawie nie przyjmował do wiadomości, że to właśnie stąd wywodziła się jego żona, że została tu wyhodowana w ramach wczesnego stadium rozległego eksperymentu z dziedziny eugeniki trwającego co najmniej od trzech pokoleń, zapoczątkowanego jeszcze w obozach koncentracyjnych w czasie drugiej wojny światowej i przeniesionego później na nowy grunt, do lasów Brazylii^[4].

Bez wątpienia ostatecznym celem tej hodowli było stworzenie prawdziwej rasy panów, zdolnej do założenia i utrzymania Czwartej Rzeszy, lecz już bez niedoskonałości takich jak litość, współczucie, krótkowzroczność ich jakże ludzkich przodków.

Ta idea była potworna. Naprawdę potworna.

Oberführer Scheermann rzucił półgłosem:

– Albanie? Czekamy.

Chłopak postąpił naprzód, uśmiechając się coraz szerzej. Rzucił

krótkie spojrzenie na dowódcę, zamachnął się i pięścią wyrznął Pendergasta w głowę z taką siłą, że powalił go na ziemię.

– Walcz – powiedział.

Pendergast podniósł się. Krew ciekła mu z ust.

– Obawiam się, że nie mogę dać ci tej satysfakcji, Albanie – odparł.

Kolejny cios znów zbił Pendergasta z nóg.

– Walcz. Nie pozwolę, aby mój ojciec zdechł tchórzliwie jak pies.

Pendergast podniósł się powoli, kierując na syna spojrzenie swoich bladych oczu. Pięść uderzyła ponownie. A Pendergast znów upadł.

Wtem pośród obszarpanych niewolników rozległ się krzyk. I nagle spomiędzy nich wyłonił się Tristram.

– Przestań! – zawołał. – To mój ojciec. I także twój!

– Tak – mruknął Alban. – Cieszę się, że tu jesteś, aby móc to zobaczyć, *der Schwächling*.

Odwrócił się i raz jeszcze uderzył Pendergasta.

– Co za tchórz z tego twojego ojca. Cóż za rozczarowanie!

Tristram rzucił się na brata, ale zrobił to wyjątkowo niezdarnie. Alban zwinnie usunął się w bok i wystawił nogę – to był stary szkolny numer – a Tristram potknął się o nią i przewrócił na ziemię.

Żołnierze zareagowali głośnym śmiechem.

Pendergast tymczasem podźwignął się z ziemi i stanął w milczeniu, oczekując następnego ciosu.

Śmiech ucichł. Alban spojrział na swojego leżącego na ziemi brata. Następnie odwrócił się wolno do Pendergasta. Sięgnął po pistolet, walthera P38, którego własnoręcznie pieczołowicie odrestaurował. Poczł chłód ciężkiej broni w dłoniach. Otrzymał ją od Fischera, kiedy skończył dziesięć lat, wymienił oryginalne okładziny na wyrzeźbione przez siebie z kości słoniowej.

Jego bliźniak, Czterdzieści Siedem, siedział na ziemi wpatrując się w pistolet.

Alban rzucił jakby mimochodem:

– Nic się nie martw, bracie. Nie zamierzam uszkodzić własnego banku krwi i organów. – Zważył pistolet w dłoni. – Nie, to dla ojca.

Der Schwächling podniósł się z ziemi.

– Wracaj do swoich – powiedział do niego Alban. Tymczasem oficerowie naziści czekali niecierpliwie.

Podobnie jak Brygada Bliźniąt. Chcieli zobaczyć, co zrobi ten, którego wybrano do testu beta, czy poradzi sobie z ostatecznym sprawdzianem. Jak to zakończy. To była ta chwila. Jego chwila.

Nie popełni błędu. Alban wysunął magazynek, aby upewnić się, że jest pełny, po czym wbił go w kolbę. Powoli, z rozwagą, trzymając rękę wyprostowaną, wprowadził nabój do komory.

Jednak jego brat bliźniak nawet nie drgnął. Odezwał się po niemiecku donośnym, wyraźnym głosem:

– Czy to jest dobre?

Alban zaśmiał się ochryple i w odpowiedzi zacytował Nietzschego:

– „Czymże jest dobro? Wszystkim, co potęguje poczucie siły

w człowieku, pragnieniem tejże siły, samą siłą”.

– To chore – uznał jego brat.

Alban machnął ręką, jakby odganiał uciążliwego owada, doskonale zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany. Brakowało jedynie Fischera.

– Kim jesteś, Czterdzieści Siedem, jeśli nie workiem krwi i organów, genetycznym wysypiskiem śmieci? Twoje zdanie jest równie bez znaczenia, jak szum wiatru wśród drzew.

Te słowa znowu wywołały wybuch śmiechu u żołnierzy. Alban nie mógł się powstrzymać i spojrzał na ojca, który popatrzył na niego swoimi dziwnymi oczami. Nie potrafił już odczytać niczego z tego spojrzenia. Nieważne, to było bez znaczenia. Jego bliźniak, który najwyraźniej nie wiedział, kiedy powinien przestać, znów się odezwał, tym razem jednak nie do niego, lecz do swoich ziomków:

– Słyszeliście, co powiedział. Powiedział, że ja i wy wszyscy stanowimy odrębny lud. Gorszy. Jak długo jeszcze będziemy pozwalać, aby traktowali nas jak żywe banki krwi i organów? Jak długo jeszcze będziemy pozwalać, aby traktowano nas jak zwierzęta? Jestem człowiekiem.

Tłum zaszemrał.

– Nie wysilaj się, bracie – powiedział Alban. – Jeżeli chcesz zobaczyć siłę woli, spójrz na to.

Wycelował do ojca z pistoletu.

– Bracie! – zawołał jego bliźniak, po czym ponownie zwrócił się do tłumu zdefektowanych: – Słyszeliście to słowo? Nie widzicie, że to nie w porządku? Brat przeciwko bratu? Syn mordujący własnego ojca?

Ku lekkiemu zdumieniu Albana zdefektowani odpowiedzieli. Rozległ się przybierający na sile szmer, wyczuwało się pewien niepokój.

– O nie! – ironizował Alban. – Cóż za przemowa!

To także wywołało salwy śmiechu stojących nieopodal żołnierzy. Alban przyznał sam sobie, że to faktycznie było zabawne, ten tłum żalosnych imbecyli napędzający się z nagła nagromadzonymi przez

lata frustracjami i nędzą. Zdumiała go natomiast elokwencja i treść wypowiedzi Czterdzieści Siedem. Nie powinno się zezwalać na coś takiego. Rozglądał się wokoło z niepokojem dotyczącym czasu przyszłego, jakby zanosilo się na burzę. Wiecznie rozgałęziające się ścieżki zewęzały się, łączyły i splatały w jego umyśle, wiodąc ku jednej przyszłości.

Przeniósł wzrok na ojca, który patrzył na niego błyszczącymi oczami. Oparł palec na spuście. Pora z tym skończyć.

– To nie jest właściwe! – zawołał Czterdzieści Siedem, odwracając się do tłumu. – Głęboko w środku wiecie, że to nie jest słuszne! To jest złe! Otwórzcie oczy! Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami bliźniętami! W naszych żyłach płynie ta sama krew!

Linie światła zwijały się i kurczyły w umyśle Albana i nagle pod jego czaszką rozdzwonił się dzwonek sygnału alarmowego. Zobaczył to, poczuł: wielki obrót koła. To nie mogło się dziać, nie po tak starannej indoktrynacji, po tylu latach misternego planowania i udoskonalania planów... A jednak to się działo i mógł już dostrzec przebłyski, jak widmowy wizerunek, szkic mającego dopiero powstać obrazu. Jak to się wszystko zakończy?

Szemranie zdefektowanych narastało, przechodząc w gwar, a następnie w ryk, i tłum, zrazu nieśmiało, postąpił naprzód, unosząc motyki, łopaty i sierpy. Kilka osób podniosło z ziemi kamienie.

– Możemy to powstrzymać! – zawołał Czterdzieści Siedem. – Teraz!

Alban cofnął się o krok, mierząc do ojca z pistoletu. *Oberführer* Scheermann zaczął wydawać krótkie gardłowe rozkazy i jego żołnierze, ustawieni w szyku dwójkowym i uzbrojeni po zęby, unieśli broń.

– Wracajcie na swoje pola! – zawołał *Oberführer*. – Albo będziemy strzelać.

Alban wiedział jednak, że nie będą – nie mogą otworzyć ognia do zdefektowanych. Z wyjątkiem niewielkiej garstki bliźnięt ostatniej generacji, najlepszych i najbardziej zaawansowanych, jak on, reszta nie byłaby w stanie – gdyby jednak doszło do konfrontacji

i rozwiązania siłowego – zabić swojego rodzeństwa. Jeśliby zaś naziści, ich opiekunowie, próbowali strzelać do zdefektowanych. Wszystko to zaczęło kształtować się w umyśle Albana z zatrważającą przejrzystością. Byłby to koniec programu, koniec kolonii, nagły, wstrząsający kres trwających ponad pół wieku badań naukowych. Zdefektowani, pomimo swojej szkaradności, byli niezbędni. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że byli równie nieodzowni dla całego projektu jak on sam. Jedno nie mogło istnieć bez drugiego. Czemu wcześniej się nie zorientował? Dlaczego nikt się nie zorientował? Cały plan został oparty na fałszywej hipotezie – na blefie. A teraz jego brat bliźniak ujawnił ten blef. To, co sobie Alban uświadomił, nagła odmiana losu – niespodziewana i przerażająca – całkiem go oszołomiła.

Tłum zdefektowanych parł naprzód, w stronę dwuszerogu żołnierzy i to nie tak trwożliwie jak wcześniej – rozległy się okrzyki, można było dostrzec gniewne potrząsanie trzymanymi w rękach prymitywnymi narzędziami. Alban czuł narastający żar ich furii.

Teraz. Nacisnął spust i strzelił do Pendergasta.

Ale jego ojciec to przewidział. Zaczął się poruszać, zanim jeszcze Alban wypalił, błyskawicznie, niewiarygodnie płynnie i nieoczekiwanie – jak on to zrobił? – uchylając się przed strzałem. Alban strzelił ponownie, ale i tym razem chybił celu z powodu gradu kamieni, którymi obrzucili go zdefektowani; kilka trafiło go, zmuszając, aby szybko uniósł ręce w obronnym geście.

Tymczasem Pendergast zrobił unik i rzucił się na niego, wyskakując w powietrze. Alban wykonał piruet, aby uniknąć ataku, i w efekcie ojciec trafił go tylko w bok. Strzelił raz jeszcze, nie mógł jednak skutecznie wycelować, gdyż wciąż w jego stronę leciały kamienie i został zmuszony do odwrotu. Zaczął uciekać, skulony, osłaniając rękami głowę. Słyszał, jak Scheermann wydaje rozkaz: „Strzelać ponad ich głowami!”. Kiedy porucznicy powtórzyli ten rozkaz żołnierzom ustawionym w dwuszerogu, padła pierwsza zmasowana salwa, a zaraz potem druga, huk wystrzałów brzmiał jak grzmot.

To sprawiło, że zdefektowani przerwali bezładny marsz naprzód. Przystanęli oszołomieni i zdezorientowani, a zdawałoby się nieuchronna konfrontacja przerodziła się w sytuację patową. Alban rozejrzał się dokoła i spostrzegł ojca, który stał teraz obok Czterdzieści Siedem, na czele tłumu. Ponownie uniósł pistolet. Kiedy jednak to zrobił, w umyśle ujrzał nieuchronny obrót koła, zakrzywione ścieżki czasu prostujące się i czym prędzej się wycofał przerażony tym, co zobaczył, podczas gdy Pendergast spojrział na niego swoimi budzącymi grozę oczami. To na nic: każda ścieżka, każde rozgałęzienie czasu prowadziło w ślepą uliczkę na końcu każdej linii czasowej, szach i mat.

W jednej chwili Alban odwrócił się i uciekł, przebiegając między dwuszeregiem żołnierzy, którzy rozstąpili się, by go przepuścić – i wiedział, że tak właśnie będzie. Musiał dotrzeć do jeziora i popłynąć łodzią na wyspę, do fortecy, odnaleźć Fischera.

I ostrzec go przed tym, co miało się wydarzyć.

Pendergast patrzył, jak Alban ucieka, i rozumiał, dlaczego tak się stało. Dar, jaki posiadał jego syn, umożliwił mu wejrzenie w przyszłość na tyle daleką, że w istocie chłopak sam się pokonał. Jego genetycznie wzmocniona zdolność do wejrzenia dostatecznie daleko w przyszłość, dzięki której mógł z powodzeniem dokonać serii zabójstw w nowojorskich hotelach, z łatwością wymknąć się ścigającemu go ojcu, uprowadzić swojego brata bliźniaka z rezydencji przy Riverside Drive, a także zwyciężyć w niemal każdym starciu – ten dar obrócił się teraz przeciwko niemu. Wiedza o przyszłości – nawet krótki wgląd na dziesięć, piętnaście sekund do przodu – okazała się obosiecznym, przeraźliwie groźnym ostrzem.

Tymczasem napięcie narastało do punktu, w którym zostanie uwolnione: zdefektowani bliźniacy ustawili się po jednej stronie, wściekli, niezorganizowani, rozjuszeni, po drugiej zaś uformowała się w szyku Brygada Bliźniąt, zdyscyplinowana, milcząca, ale głęboko wstrząśnięta. A pośrodku zgromadziła się niewielka kadra nazistowskich oficerów, którzy dopiero teraz uświadomili sobie cały dylemat, gdy dwie grupy bliźniaków, obie liczące po około stu ludzi, stanęły naprzeciw siebie jak w klasycznej sytuacji pata meksykańskiego.

– Poddajcie się! – zawołał do zdefektowanych Scheermann. –
Wracajcie do waszego obozu! – Wskazał na Pendergasta. –
Zabierzcie tego człowieka do aresztu!

Tristram stojący na czele tłumu zawołał:

– Tknij mojego ojca, a zaatakujemy!

Pomruk potwierdzenia. *Oberführer* zawahał się. Pendergast czekał. Aż wreszcie wyczuł, że nastał odpowiedni moment. Bez ostrzeżenia podszedł do szeregów bliźniaczych żołnierzy i ułapił jednego z nich za kołnierz munduru, tak jak nauczyciel mógłby pochwycić krnąbrnego ucznia.

– Powstrzymajcie go! – zaskrzeczał Scheermann, wyjmując pistolet, ale w sytuacji patowej on sam także wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek działania; najwyraźniej sparaliżowała go niespodziewana ucieczka Albana.

Pendergast zignorował dowódcę i powłókł zaskoczony, pasywnego żołnierza pomiędzy szeregami, podczas gdy drugą ręką schwycił jednego ze zdefektowanych – bliźniaczego brata żołnierza – za nędzną bluzę, szarpnął z całej siły i przyciągnął obu mężczyzn ku sobie.

– Poznaj brata! – zawołał do żołnierza. – Swojego brata!

Odwrócił się do stojących naprzeciw siebie dwóch grup bliźniąt.

– Wy wszyscy odnajdźcie teraz wśród was swoich braci i siostry! Wasze własne ciało i krew!

Zauważył, że bliźnięta mimowolnie zaczęły lustrować się wzrokiem, odszukując wśród tłumów swoich bliźniaczych odpowiedników. Rozległy się niespokojne pomruki, aż wreszcie uporządkowana formacja bliźniaczych żołnierzy zaczęła się łamać.

– Dość tego – rzekł Scheermann, unosząc pistolet i wymierzając go w Pendergasta.

– Opuść pistolet albo zaatakujemy! – zawołał Tristram.

– Wy zaatakujecie? Motykami? Zostaniecie wyrżnięci – wycedził pogardliwie Scheermann.

– Wyrżnicie nas i to będzie koniec waszego wielkiego eksperymentu!

Scheermann zawahał się, nerwowo przesunął wzrokiem po szeregu bliźniąt w łachmanach.

– Ci ludzie – Pendergast wskazał na grupkę nazistowskich opiekunów – to wasz prawdziwy wróg. Oddzielili brata od brata, siostrę od siostry. Zmienili was wszystkich w króliki doświadczalne!

Ale ich to nie dotyczy. Oni w tym nie uczestniczą. I wciąż wszystkim kierują. Czemu tak jest?

Dłoń Scheermanna trzymająca pistolet zadrżała nieznacznie. Rozjuszony tłum ruszył w jego stronę.

– Naciśnij spust, a zginiesz! – rozległ się głos podchwycony przez następnych.

– Wróć do swojej brygady, żołnierzu – warknął pogardliwie *Oberführer*.

Żołnierz nie poruszył się.

– Wykonaj rozkaz albo zostaniesz ukarany! – krzyknął Scheermann, kierując teraz lufę pistoletu na młodego żołnierza.

– Opuść broń – rzekł powoli żołnierz – bo wszystkich was zabijemy.

Twarc dowódcy była blada jak ściana. Po chwili opuścił rękę.

– Cofnij się.

Oberführer ostrożnie cofnął się o krok. Jeden, potem drugi. Nagle znów uniósł rękę i strzelił żołnierzowi w klatkę piersiową.

– Do ataku! Zmiećcie tych słabeuszy! – zawołał Scheermann do nazistowskich opiekunów. – Strzelać bez rozkazu! Zniszczcie ich!

Ryk gniewu i konsternacji rozległ się w grupie bliźniąt stojących naprzeciw siebie. Na chwilę czas stanął w miejscu. To był przerażający moment zawieszenia. I nagle jakby pękła tama. Bezładny tłum bliźniąt ruszył na nazistowskich oficerów, unosząc swoją prymitywną broń.

Scheermann zaczął się cofać, strzelając do tłumu, ale błyskawicznie dopadła go zgraja zdefektowanych, którzy rzucili się na niego z przeraźliwym rykiem. Gruchnęła kanonada strzałów oddanych przez żołnierzy i ich dowódców. Kiedy rozgorzała walka wręcz, nazistowscy oficerowie posyłali kulki na wszystkie strony, nieomal z przyłożenia rażąc szeregi nacierających bliźniąt i powodując straszliwą rzeź. Wszędzie dokoła zapanował chaos, na otwartej przestrzeni wywiązała się bezładna strzelanina, żołnierze walczyli z obszarpańcami w łańchmanach, terkot broni automatycznej mieszał się z brzękiem szpadli i sierpów

uderzających o karabiny, a z furii pyłu i krwi dochodziły okrzyki rannych i umierających.

– Bracia i siostry! – rozległ się podniesiony głos Tristrama. – Nie mordujcie swoich krewniaków!

Coś się zaczęło dziać. Wielu członków Brygady Bliźniąt wyłamywało się z szeregów, zmieniało strony, niektórzy ciskali broń na ziemię i chwyтали w ramiona swoje rodzeństwo, inni kierowali lufy na swoich oficerów. Jednak niewielki kontyngent bliźniąt ostatniej generacji trwał niewzruszenie przy nazistowskich oficerach i bronił ich zaciekle. Z chaosu zaczął się wyłaniać całkiem nowy układ sił – pojawiły się dwie wyraźne frakcje konfliktu walczące ze sobą. Niewielka grupa lojalnych bliźniąt i ich dowódców pod wpływem przeważających liczebnie połączonych sił została zmuszona do odwrotu, ale przez cały czas zasypywała przeciwników ogniem, zadając im olbrzymie straty. Reszta Brygady Bliźniąt, która przeszła na drugą stronę i walczyła u boku zdefektowanych, teraz już lepiej zorganizowanych, przypuściła bardziej zdecydowany atak, by położyć kres rzezi. Naziści wycofali się pod osłonę pola kukurydzy ścigani przez połączone siły zjednoczonych bliźniąt. Wśród łąnów rozgorzała walka i niebawem pojawił się ogień, płomienie wystrzeliły w górę, pochłaniając zeszcłe łądygi, gęsty dym zasnuł pole, wywołując jeszcze większe zamieszanie.

Pendergast zabrał zabitemu strażnikowi pistolet, nóż i latarkę, po czym ruszył pomiędzy łąny kukurydzy, w stronę, gdzie toczyły się najbardziej zażarte walki. Przedzierał się przez połamane łądygi i gęste słupy dymu w poszukiwaniu Tristrama. Słyszał głos chłopaka dochodzący z miejsca, gdzie najwięcej się działo – nawoływał, pokrzykiwał i nakłaniał swoich pobratymców, aby parli naprzód. Pendergast zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo nie docenił syna.

Teraz szybko obszedł szerokim łukiem nazistowskich oficerów i ich najbardziej oddanych żołnierzy wycofujących się w stronę jeziora. Maszerował po łuku i niebawem znalazł się tuż za nimi, dokładnie na trasie ich odwrotu. Pozostało mu jedynie przykucnąć

i zaczekać, aż nadejdą. Gdy się pojawili, uniósł pistolet i wycelował w plecy Scheermanna, który znalazł się dokładnie tam, gdzie Pendergast spodziewał się go ujrzeć, po czym zabił go jednym strzałem. Natychmiast w jego stronę posypał się grad kul, ogień z broni automatycznej siekł kukurydzę wokół niego, jednak utrata dowódcy podkopała morale wycofującej się grupy i po chwili paniki i dezorientacji niedobitki nazistów poszły w rozsypkę, gnając w popłochu w stronę jeziora, ścigane przez zjednoczone siły pozostałych.

Pendergast skierował się na wschód, przez pola kukurydzy do puszczy. Wspiął się na obrzeże krateru, gdzie przystanął, by zorientować się w sytuacji. Wycofujący się żołnierze dotarli do łodzi i z miejsca, gdzie się obecnie znajdował, agent mógł widzieć, co się działo: jedna grupa zajęła pozycje obronne na przystani, podczas gdy reszta wsiadła do kilku łodzi, niszcząc pozostałe, aby połączone grupy bliźniąt nie mogły popłynąć za nimi. Kolejne zażarte walki wywiązały się, gdy awangarda grupy pościgowej, prowadzonej przez Tristrama, dotarła na brzeg. Jednak naziści i ich zatwardziali sojusznicy zdołali odbić od brzegu i odpłynąć, pozostawiając za sobą sześć czy siedem zniszczonych i spalonych łodzi.

Ostrzał trwał jeszcze przez chwilę, ale wkrótce ucichł, gdy łodzie uciekinierów oddaliły się od lądu, a wszystko zasnuły kłęby dymu. Naziści zbiegli, wracali przez jezioro do fortecy, aby urządzić w niej swój ostatni bastion.

Kiedy naziści zaczęli się wycofywać, zdefektowani, których szeregi zostały zasilone przez większość ich doskonałych braci i sióstr, ruszyli w stronę Novej Godói. Leśnymi ścieżkami dobiegli do miasteczka i do niego wkroczyli. Wysprzątane uliczki były puste, barwnie udekorowane domy zamknięte na głucho. Nie paliło się w nich światło. Miejscowi pochowali się po domach, niektórzy zaszyli się gdzieś, jeszcze inni zwyczajnie uciekli.

Na głównym placu grupy bliźniąt zaczęły się rozdzielać na mniejsze gromadki, a te zabrały się do przeczesywania po kolei bocznych uliczek, gotowe oczyścić je z wszelakich źródeł zbrojnego oporu, jaki mogły tam napotkać. Pendergast podążył za nimi i po chwili przepatrywania tłumu odnalazł Tristrama. Podszedł do niego. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym się uściskali.

– Będziesz potrzebował bazy operacyjnej – zwrócił się agent do syna, posługując się mieszaniną niemieckiego i angielskiego. – Powinieneś ją jak najszybciej założyć. Sugeruję budynek ratusza. Aresztuj burmistrza i wszystkich innych włodarzy miasteczka. Zadbaj o silną obronę na wypadek kontrataku.

– Tak, ojciec – powiedział Tristram.

Miał silne rumieńce, ciężko oddychał, a z rozcięcia na czole płynęła krew.

– Nie zapomnij też o własnym bezpieczeństwie, Tristramie. W okolicy wciąż może być wielu nazistów, wśród nich rozlokowani na dachach snajperzy. Jesteś głównym celem.

– A co ty zamierzasz zrobić?

– Mam kilka niedokończonych spraw. W fortecy. – Pendergast zaczął się odwracać, ale jeszcze raz popatrzył na syna. – Jestem z ciebie dumny, Tristramie – powiedział.

Chłopak zaczerwienił się ze zdziwienia i z zakłopotania. Gdy Pendergast odwrócił się, by odejść, uświadomił sobie, że zapewne był to pierwszy raz, kiedy ktokolwiek pochwalił Tristrama.

Pozostawił więc syna, aby zabezpieczył gmach ratusza, i bocznymi uliczkami skierował się na nabrzeże. Było kilku snajperów, ale bez dowódcy, który mówiłby im, co robić, i w dodatku w gęstniejącej ciemności okazali się nieskuteczni. Słońce zaszło nad zachodnią granią wulkanicznego stożka, niebo nabiegło krwistą czerwienią. Pendergast spostrzegł na jeziorze dwie łodzie z niedobitkami nazistów przybijające do zniszczonej wybuchem przystani. Uniósł wzrok i popatrzył na złowrogie kontury fortecy, malowane na cynobrowo przez ostatnie promienie gasnącego słońca.

Naziści wraz z ostatnimi super bliźniętami oddanymi sprawie zebrali solidne baty i zostali zmuszeni do odwrotu. Ale na wyspie wciąż jeszcze pozostawało wielu wrogich żołnierzy: naziści mieli tu swoich naukowców, techników i laboratoria, a twierdza stanowiła naprawdę trudną do zdobycia redutę, doskonały punkt oporu. Otrzymali silny cios, nic jednak nie mogło ich powstrzymać przed podjęciem na nowo szatańskiego dzieła.

Co więcej, Fischer wciąż żył.

Pendergast długo patrzył na jezioro. Następnie zszedł na keję, wybrał nierzucającą się w oczy i wciąż sprawną łódź motorową, wskoczył do niej, uruchomił silnik i odbił od przystani, kierując się w stronę wyspy.

Zapadła już noc i jego nieduża łódź zniknęła w ciemnościach zalegających nad jeziorem. Zachowując niewielką prędkość, tak by dźwięk silnika nie brzmiał zbyt głośno, dotarł do wyspy od zachodniej strony. Kilkaset metrów od brzegu wyłączył silnik i zaczął wiosłować, a światłem starannie osłanianej latarki odszukał tunel, przez który wypłynął, gdy kilka godzin temu uciekał z fortecy. Powiosłował łodzią do kamiennego tunelu i ponownie uruchomił

silnik. Zaczął się przedzierać przez labirynt zalanych wodą korytarzy, aż poczuł, że kil łodzi zaszorował o kamienne podłoże. Wyciągnął łódź na płyciznę i dalej ruszył pieszo, mijając ciała pułkownika i kilku jego ludzi. Niebawem dotarł do wielkiej, kopułowo zwieńczonej sali ze stalową klatką osadzoną dokładnie na środku kamiennego podłoża.

Przystanął i nasłuchiwał uważnie. Gdzieś z góry dobiegły ledwie słyszalne odgłosy jakiejś aktywności: tupot ciężkich buciorów, gardłowo wypowiedane rozkazy. Jednak tu, na dole, na najniższym poziomie fortecy, panowała kompletna cisza. Skierował się w stronę składu amunicji znajdującego się wewnątrz stalowej klatki i poświecił latarką, aby przejrzeć jego zawartość. Był tam naprawdę spory i zróżnicowany asortyment materiałów wybuchowych i amunicji: rolki lontów detonacyjnych, kostki C-4, stosy ładunków burzących M112, pociski artyleryjskie kalibru 120 mm, puszki z prochem strzelniczym, miny lądowe, sterty skrzyń zawierających amunicję kalibru .50, a nawet kilka minidziałek szybkostrzelnych z dziesiątkami pudeł z nabojami do każdego z nich.

Ogromna klatka była solidnie zamknięta i sforsowanie zamka zajęło Pendergastowi pięć minut przy użyciu prowizorycznych narzędzi. Gdy znalazł się w środku, rozejrzał się uważniej dokoła. Jak zauważył podczas poprzedniej bytności tutaj, naziści wykorzystali naturalną szczelinę w starym wulkanie, by składować tam materiały wybuchowe i amunicję. Olbrzymie ilości pocisków, broni i skrzynek z amunicją, które widać było w klatce, stanowiły jedynie czubek góry lodowej: jeszcze więcej broni i uzbrojenia znajdowało się poniżej poziomu podłoża, wśród ścian rozpadliny. Naziści woleli nie ryzykować, że w razie ataku przypadkowy pocisk wystrzelony przez siły inwazyjne mógłby trafić w ich arsenał, dlatego ukryli go głęboko w ziemi, pod piwnicznymi tunelami, by był chroniony przez skały wulkaniczne.

Całość zaprojektowano tak, że w razie wybuchu moc eksplozji zostałyby poważnie wytłumiona przez litą skałę.

Detonacja nie zniszczyłaby fortecy powyżej.

Ale czy na pewno? Przepatrując zawartość arsenału, Pendergast przypomniał sobie o czymś jeszcze: o szerokich, świeżych, rozchodzących się promieniście pęknięciach w zewnętrznym murze twierdzy, które zauważył. Te pęknięcia nie powstały w wyniku zwyczajnego osiadania starego muru, wręcz przeciwnie. Wykonały je wypiętrzenia gruntu, które również rozdzieliły i przemieściły olbrzymie bloki kamienia wzdłuż fundamentów warowni. To wskazywało na jedno: na niedawne ruchy odradzającego się kalderowego podłoża wulkanu wywołane przez przelewającą się i gromadzącą pod nim magmę. Co znaczyło, że wygasły wulkan być może wcale nie był tak wygasły, jak przypuszczano.

Jak na zawołanie wstrząs zbliżony do tych, które Pendergast wyczuł wcześniej, wprawił w drżenie podłoże pod jego stopami.

Naziści zadbali o to, aby uchronić swój arsenał przed niemal każdym zewnętrznym atakiem, może z wyjątkiem uderzenia taktycznej głowicy jądrowej. Czyżby przeoczyli możliwość ataku od wewnątrz, ataku stanowiącego połączenie całego potencjału zgromadzonych tu ładunków wybuchowych... i matki natury? Nie byli dobrymi geologami, skostatował Pendergast.

Sięgnął po jeden z kanistrów pełnych czarnego prochu, przedziurawił go nożem i całą zawartość wysypał na skrzynie, paki i beczki z prochem. Opróżnił jeszcze jeden kanister, potem kolejny, aż cała górna powierzchnia składu amunicji została pokryta grubą warstwą prochu strzelniczego. Następnie, zgarnąwszy jeszcze dwa kanistry, wcisnął jeden pod pachę, drugiego zaś użył do usypania ścieżki prochowej prowadzącej do arsenału przez otwarte drzwi klatki po podłodze, w stronę tunelu, którym tu przybył. Pozbył się pustego kanistra i otworzył ostatni, by kontynuować usypywanie ścieżki prochowej poza obszarem zagrożonym wybuchem i w dół, przez wąski kamienny korytarz.

Gdy skończył się proch, Pendergast odstawił pusty kanister na bok. Wyjął latarkę i poświecił nią na usypaną na ziemi wąską czarną strużkę, po czym wziął głęboki wdech. Wreszcie uklęknął, wyjął zapalniczkę, przytknął ją do końca ścieżki prochowej i zapalił.

W jednej chwili pojawiła się iskra, buchnął płomyk i przy wtórze gniewnego syku ścieżka prochowa zaczęła płonąć, rozpuszczając się w małych obłoczkach dymu, a płomień błyskawicznie pomknął wzdłuż wytyczonego śladu, w stronę składu materiałów wybuchowych i amunicji. Pendergast odwrócił się i pobiegł w głąb podziemnych tuneli.

Dotarł do łodzi i zdążył do niej wskoczyć, gdy gdzieś za nim rozległ się potężny, rozdzierający ryk. Po nim nastąpił drugi i trzeci, gdy reakcja łańcuchowa detonacji zaczęła ogarniać swoją niszczycielską mocą kolejne partie zgromadzonych w twierdzy ładunków. Nawet z tej odległości siła pierwotnego wybuchu pchnęła agenta i przewróciła na dno motorówki. Słyszając brzęczenie w uszach, wstał, otrzepał się, uruchomił silnik, ustawił przepustnicę na pełną moc i z największą prędkością wypłynął z tunelu, niebezpiecznie blisko mijając kamienne ściany, w miarę jak pokonywał kolejne zakręty podziemnego korytarza. Teraz wybuchy rozlegały się tak szybko, że nie brzmiały już jak seria odrębnych detonacji, lecz zlały się w jedną nieustającą kanonadę ogłuszających ryków i nieopisanej furii, gdy nazistowski arsenał wybuchał z coraz większą gwałtownością, a eksplozje sięgały coraz głębiej w rozpadlinę pod twierdzą. Siła eksplozji wstrząsnęła ścianami i ze starodawnego sklepienia zaczęły się sypać kamienie, ziemia i spoiwo; wpadały z potężną siłą do wody, tworząc olbrzymie fale, których ruch jeszcze bardziej popychał motorówkę naprzód.

Z rykiem silnika łódka wypadła z wylotu tunelu na otwartą połąć jeziora, tuż przed tym jak wejście do podziemi runęło w gruzy za plecami Pendergasta. Nie zatrzymując się ani nawet nie zwalniając, agent otworzył przepustnicę na pełną moc i pomknął przez wodę w kierunku miasteczka Nova Godói. Dopiero gdy znalazł się w połowie drogi do brzegu, zdławił lekko przepustnicę i odwrócił się, aby spojrzeć na twierdzę.

Grzmiący łoskot ucichł. Forteca wciąż stała, mroczna i cicha, i tylko cienka smuga dymu unosiła się z miejsca, gdzie tunel stykał się z brzegiem. Najwyraźniej skład materiałów wybuchowych nie

miał dostatecznej mocy, by uszkodzić skaliste dno i przebić się do pokładów lawy przelewających się w podziemnych komorach pod stożkiem wulkanicznym.

Pendergast wciąż czekał. Wtem po powierzchni jeziora przetoczyło się lekkie drżenie. Uszu agenta doszedł cichy dźwięk, prawie poza zasięgiem słyszalności, wibracja wyczuwalna bardziej w kościach. Powierzchnia jeziora znów zadrżała, pojawiły się na niej niewielkie fale, a rumor narastał. Woda zatańczyła opętańczo, a Pendergast zauważył wzdłuż dolnej krawędzi masywnego muru otaczającego fortecę czerwonawą szczelinę. Z wolna zaczęła zwiększać swoje rozmiary, przesuwając się horyzontalnie przy wtórze drobnych rozbłysków i obłoczków pary, jak podskakująca pokrywka jakiegoś ogromnego ciśnieniowego garnka, który lada moment eksploduje.

Pojawił się jasny błysk, a potem kolejny. Ten wybuch nie był dziełem człowieka, był zbyt rozległy, zbyt głośny i dochodził ze zbyt dużej głębokości, pod fortecą. Fala uderzeniowa dotarła do Pendergasta chwilę później, nieomal wyrzucając go za burzę motorówki. Kilka olbrzymich, spektakularnych pióropuszy lawy wystrzeliło w nocne niebo jak wielkie fontanny przy wtórze ryku uwalnianych gazów i pary. Grzmiący łoskot eksplozji przetoczył się ponad jeziorem niczym niewidzialna siła, burząc powierzchnię wody. Pendergast patrzył, jak całe fragmenty twierdzy, wieże, blanki, mury zdawały się rozlatywać w szwach i wznosiły się powoli pośród kłębow ognia i dymu formujących się ponad wysepką w chmury o kształcie grzyba.

Widział maleńkie postacie – jedne w mundurach, inne w laboratoryjnych kitlach, jeszcze inne w kombinezonach roboczych – spływające szeroką falą, jak mrówki, w dół, do jeziora i pakujące się do łodzi cumujących przy brzegu. Widział też kilka postaci, których ubrania płonęły i które wyglądały jak żywe pochodnie dźwigające się z miejsc, gdzie doszło do erupcji kamieni, lawy i ognia.

Kiedy tak patrzył, nie mogąc oderwać oczu od niesamowitego

widoku, dodatkowe ogłuszające staccato kolejnych wybuchów wstrząsnęło wyspą w serii groźnych czerwono-żółtych wykwitów. Forteca była teraz rozdarta niemal na pół, a mimo ciemnej nocy zrobiło się jasno jak w dzień. Pendergast poczuł wybuchy chwilę później, gdy uderzenia nadciśnienia zaczęły go pchać brutalnie do tyłu, miotając rozkołysaną łodzią po wzburzonej toni jeziora. To wszystko prowadziło do jednej, monumentalnej eksplozji, w której buchający słup ognia i zniszczenia ogarnął całą górną część wyspy. Była to nawałnica, burza kamieni, lawy i dymu wznosząca się coraz wyżej ku niebu, w miarę jak eksplozja przybierała na sile, tworząc rozszalałą strzelistą kolumnę destrukcji i zagłady. Zaraz potem dał się słyszeć ryk drugiej, jeszcze większej eksplozji, jednak na tyle głęboki i stłumiony, że zdawał się wprawiać w drżenie góry. Tyle że to nie była eksplozja, raczej implozja, a Pendergast ujrzał, jak zdewastowane ruiny fortecy zaczęły się zapadać – zrazu powoli, później coraz szybciej, aż cała starodawna fasada zawaliła się przy wtórze niezmiernego jęku. Z ziejących otworów w rozdartej skorupie wyspy strzelały w górę języki lawy, niczym pociski smugowe przecinające powietrze z przeciągłym wizgiem jak bomby, po czym wpadały z głośnym łomotem do jeziora.

Pendergast znów uruchomił silnik i popłynął w kierunku brzegu.

Wreszcie, wraz z ostatnim, konwulsyjnym grzmotem, który zdawał się przenikać do samego jądra ziemi, cała wyspa rozpadła się z łoskotem na strzępy. Wielkie jak domy kawałki skał i bloki ociosanego kamienia wystrzeliły setki metrów w górę z niezwykłą gwałtownością, a gdy spadły, zniszczyły wiele łodzi niedoszłych uciekinierów. Wyrzucone w wyniku eksplozji odłamki przecinały nocne niebo i docierały nawet do Novej Godói, wywołując liczne pożary w otaczającej osadę puszczy i powodując istny ognisty deszcz lejący się z nieba, tak gęsty i niebezpieczny, że Pendergast musiał się niemało natrudzić, by okruchy wulkanicznych skał go nie dosięgły, i z pełną mocą silnika niewielkiej motorówki pruć do brzegu, by ocalić życie.

Pendergast dopłynął do nabrzeża, wyskoczył z motorówki i przebiegł wzdłuż kei. Stało tam kilku członków Brygady Bliźniąt i obserwowało zagładę wyspy. Chaos po ostatniej, potwornej eksplozji zaczynał się uspokajać i w blasku łuny rozświetlającej zniszczoną wyspę agent zauważył, że kilka łodzi różnej wielkości zdołało umknąć przed ognistą pożogą i zmierzało przez jezioro w stronę miasteczka. Niewielka, smukła motorówka z dużą szybkością zbliżyła się do kei. Znajdowali się w niej chyba naukowcy lub może technicy, bo mieli na sobie długie laboratoryjne kitle. Łódź z impetem uderzyła o kamienie, a jej pasażerowie wygramolili się na ląd. Mieli szklisty wzrok i wyraz oszołomienia na twarzach, niektórzy osmalone włosy i brwi, byli umorusani, krztusili się i kasłali. Chwiejnym krokiem, bez słowa ruszyli wzdłuż kei w stronę miasteczka. Brygada Bliźniąt obserwowała ich, ale nie próbowała zatrzymać. Zamiast tego bliźnięta skierowały broń w stronę drugiej nadpływającej łodzi, z sześcioma mężczyznami w nazistowskich mundurach na pokładzie. Oni także ucierpieli wskutek eksplozji, twarze mieli poczerwiałe, mundury osmalone. Kilku było rannych.

Gdy łódź przybiła do kei, brygada zajęła pozycje i zaczęła strzelać. Przez minutę naziści odpowiadali sporadycznym, nierównym ogniem, jednak walka dobiegła końca, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła. Naziści rzucili broń i unieśli ręce wysoko, podczas gdy łódź dryfowała leniwie. Oddział bliźniąt odprowadził ich pod strażą.

Pendergast spojrział w stronę jeziora, na którego czarnej tafli odbijał się ognisty obraz płonącej wyspy, ziejący stożek wrzącej

lawy i zdruzgotane fragmenty muru obronnego fortecy na jego obrzeżach. Przez jezioro sunął niewielki skiff, zbliżając się pod kątem do przystani i trzymając się możliwie jak najdalej od blasku migoczącej feerii płomieni. Pendergast przyjrzał się uważnie łodzi. Na rufie siedział mężczyzna z ręką opartą o ster silnika zaburtowego. Był wysoki, potężnie zbudowany, z gęstą grzywą białych włosów, które zdawały się lśnić w poświacie gorejącej, zniszczonej twierdzy. Fischer.

Pendergast wyciągnął broń i pobiegł przez nabrzeże w stronę nadpływającego skiffu. Ale Fischer go zauważył, zwiększył obroty silnika i wszedł w ostry skręt, by oddalić się od przystani, po czym skierował się w stronę plaży i rozciągającej się za nią puszczy. Pendergast strzelił raz, ale chybił. Fischer także wyciągnął pistolet i odpowiedział ogniem, jednak strzał oddany z rozpedzonej łodzi chybił celu. Pendergast zatrzymał się i starannie wycelował, lecz tym razem trafił w silnik zaburtowy, który zaczął kasłać i krztusić się, a spod pokrywy buchnęły kłęby czarnego gryzącego dymu, rozchodzącego się w przepelnionym popiołami wulkanicznymi powietrzu. Fischer próbował utrzymać motorówkę z dala od brzegu, popłynąć na środek jeziora, ale Pendergast strzelił po raz trzeci. Fischer zachwiał się, schwycił się za pierś i z głośnym krzykiem osunął przez burtę do wody.

Płonąca motorówka dryfowała swobodnie, podczas gdy Pendergast w biegu minął koniec kei i znalazł się na kamienistej plaży, naprzeciwko miejsca, gdzie ciało Fischera wpadło do wody. Kiedy dotarł do formacji trzech wielkich, stojących wolno głazów wznoszących się z wody tuż za przystanią, wskoczył na najwyższy z nich i przepatrywał ciemne wody w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów Fischera.

Huknął strzał i Pendergast poczuł ostry, palący ból przypominający ogniste liźnięcie sztyletu – kula przeszła jego lewe ramię, nieco poniżej rany od noża. Agent upadł do tyłu, na śliską skałę, z trudem zdołał utrzymać w ręku broń i sklął sam siebie za brak ostrożności. Kiedy był w stanie się ukryć i rozeznac w sytuacji,

stwierdził, że Fischer musiał się schronić za jednym z pozostałych głazów, zapewne za tym najbardziej wysuniętym w głąb jeziora.

Kula Fischera ledwie musnęła ramię Pendergasta, ale mimo to agent poczuł ciepłą stróżkę krwi spływającą w kierunku łokcia.

Zza skały rozległ się głos Fischera:

– Wygląda na to, że cię nie doceniłem. Udało ci się nielecho namieszać. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Zamierzam cię zabić.

– Jeden z nas umrze, ale to nie będę ja. Jestem uzbrojony i nie odniosłem żadnych ran. Ten fikolek za burtę łodzi to była sztuczka, która miała cię zmylić, jak być może się domyśliłeś.

– Zabiłeś moją żonę. Musisz umrzeć.

– Ona należała do nas, nigdy do ciebie. Była naszym tworem. Częścią naszego wielkiego projektu.

– Wasz projekt upadł. Wasze laboratoria, wasza główna baza przestały istnieć. Nawet wasze obiekty badań zwróciły się przeciwko wam.

– Być może. Ale nic nie zabije naszego marzenia, marzenia o udoskonaleniu rasy ludzkiej. To największe – ostateczne – wyzwanie naukowe. Jeżeli sądzisz, że to koniec, grubo się mylisz.

– Obawiam się, że to niestety pan jest w błędzie, *Herr Oberstgruppenführer* – rozległ się głos z tyłu za Pendergastem.

Agent odwrócił się i ujrzał Albana zbliżającego się do nich od strony puszczy. Ociekał wodą, koszulę miał poplamioną krwią, a jedna strona jego przystojnej niegdyś twarzy nosiła upiorne ślady poparzeń – skóra była zaróżowiona i potwornie zwęglona, częściowo stopiona, ale z innych jej miejsc zionęły odsłonięte mięśnie, a nawet kości. W ręce trzymał walthera P38.

Alban zwinnie wskoczył na trzeci głaz i stanął tam podświetlony przez lunę bijącą od płonącej wyspy. Chociaż był poparzony i ranny, poruszał się z tą samą zwinnością gazeli, jaką Pendergast miał okazję kilkakrotnie u niego zaobserwować.

– Szukałem pana, *Herr Fischer* – powiedział. Chciałem donieść, że sprawy nie do końca potoczyły się zgodnie z pańskimi

oczekiwaniami. – Skinął w stronę gorejącej, zniszczonej wyspy. – Jak zapewne zdołał pan zauważyć.

Przerzucił pistolet z ręki do ręki i wydał z siebie dziwny chichot. Jego nastrój wydawał się dość osobliwy.

– Czemu obaj nie wyjdziecie z za skał, za którymi się chowacie, i nie staniecie naprzeciw siebie jak mężczyźni. Ostateczna rozgrywka będzie honorowa, czyż nie, *Herr Fischer*?

Fischer zareagował pierwszy. Bez słowa wspiął się i stanął na skale. Po chwili Pendergast uczynił to samo. Trzej mężczyźni, skąpani w piekielnej pomarańczowej poświacie, znaleźli się naprzeciw siebie.

Fischer zwrócił się do Albana z rozgoryczeniem w głosie:

– Obwiniam za to ciebie, w większym stopniu nawet niż twojego ojca. Zawiodłeś mnie, Albanie. Zawiodłeś mnie całkowicie. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, po pokoleniach genetycznych modyfikacji i udoskonaleń, po piętnastu latach wytężonej pracy i wyjątkowo starannego wychowania – oto jak się sprawiłeś.

Splunął do wody.

– A niby w czym właściwie zawiodłem, *Herr Fischer*? – W głosie Albana pobrzmiwała dziwna, nowa nuta.

– Oblałeś ostatni sprawdzian męskości. Miałeś wiele okazji, by zabić tego człowieka, twojego ojca, lecz nie zrobiłeś tego. Dlatego kwiat naszej młodzieży, nasiono, które miało zakiełkować, dając początek Czwartej Rzeszy, przepadło. Powinienem cię zastrzelić jak psa.

Fischer zaczął przez moment unosić broń, by wycelować ją w Albana.

– Proszę zaczekać, *Herr Oberstgruppenführer*. Wciąż mogę zabić mojego ojca. Zrobię to niezwłocznie. Już. Teraz. Zaraz. Niech pan patrzy. Proszę pozwolić, abym go zastrzelił i ponownie wrócił do pańskich łask.

Alban uniósł broń i wymierzył w Pendergasta. Przez długą, jakby zatrzymaną w czasie chwilę trzech mężczyźni stali rozstawieni w trójkącie, każdy na jednym z trzech głazów wznoszących się

z odmętów jeziora. Alban celował z pistoletu w Pendergasta. Pendergast przestał mierzyć do Fischera i skierował lufę broni na swojego syna.

Przez kilka wlokących się mozolnie minut Pendergast i Alban pozostawali w bezruchu – agent i jego syn trzymający się nawzajem na muszce, skąpani w piekielnej łunie i odgłosach grzmotów towarzyszących erupcji wyspy, między które sporadycznie wplatał się huk wystrzałów.

– No i co? – rzucił w końcu Fischer. – Na co czekasz? Jest tak, jak podejrzewałem: nie masz jaj, żeby nacisnąć spust.

– Tak pan uważa? – zapytał Alban. Błyskawicznie jak atakujący wąż skierował broń na Fischera i pociągnął za spust. Nazista stęknął, chwycił się za brzuch i upadł na kolana, upuszczając broń.

– To pan zawiódł – powiedział Alban. – Wasz główny plan był wadliwy, co więcej, był wadliwy od samego początku. Opierał się na wadliwych założeniach. Nie powinniście byli pozwolić zdefektowanym żyć. Teraz to zrozumiałem. Uciekanie się do rozwiązania z bankiem krwi i organów było zbyt wysoką ceną do zapłacenia za więzy pokrewieństwa, których nigdy nie udało się wam kompletnie wykorzenić. To pan zawiódł, *Herr Oberstgruppenführer*, a dawno temu nauczył mnie pan, jaka musi być cena porażki.

Uniósł broń i raz jeszcze wystrzelił, trafiając go teraz w sam środek czoła. Potylicą Fischera oderwała się od reszty czaszki w chmurze krwi, odłamków kości i strzępów materii mózgowej. Mężczyzna runął do tyłu, jego ciało ześlizgnęło się ze skały i zniknęło pod powierzchnią jeziora.

Pendergast stwierdził, że zamek walthera jest przesunięty do pozycji tylnej, czyli magazynek broni jego syna został opróżniony. Alban również to zauważył.

– Wygląda na to, że nie mam już naboju – powiedział młodzieniec, wtykając pistolet za pasek. – Wszystko na to wskazuje, że jednak cię nie zabiję. – Choć musiał to okupić potwornym bólem, uśmiechnął się krzywo. – A teraz, wybacz, ale muszę już iść.

Pendergast patrzył w milczeniu i dopiero teraz zaczął uświadamiać sobie, co się właściwie stało. Zastanawiał się, jak jego syn, pomimo straszliwych poparzeń, ran i utraty wszystkiego, zdołał zachować pełną arogancji postawę i niezłomną butę.

– Nie pożegnasz się ze mną, ojczy?

– Nigdzie nie pójdziesz – odparł powoli Pendergast, wciąż celując z pistoletu w Albana. – Jesteś mordercą. Najgorszego rodzaju mordercą.

Jego syn pokiwał głową.

– To prawda. I zabiłem więcej ludzi, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Pendergast wciąż patrzył na Albana, trzymając go na muszce.

– I teraz to ty musisz umrzeć za zbrodnie, które popełniłeś.

– Naprawdę? – zaśmiał się Alban. – Zobaczymy. Wiem, że rozgryzłeś moją tajemnicę wyjątkowego zmysłu temporalnego. Mam rację?

– Kopenhaskie Okno – odparł Pendergast.

– Właśnie tak. Ta nazwa pochodzi od kopenhaskiej interpretacji mechaniki kwantowej, jak zapewne wiesz.

Pendergast prawie niedostrzegalnie pokiwał głową.

– Ta teoria opiera się na pojęciu, że przyszłość nie jest niczym więcej niż rozwijającym się ciągiem prawdopodobieństw, liniami czasowymi możliwości, które bezustannie zapadają się w jedną rzeczywistość, gdy dokonywane są obserwacje lub wyliczenia. To standardowa interpretacja mechaniki kwantowej, tak jak jest ona wykładana na studiach.

– Wydaje się – rzekł Pendergast – że twój umysł w jakiś sposób potrafi na to wpływać, sięgać w niedaleką przyszłość i dostrzegać te rozgałęziające się możliwości. Alban uśmiechnął się.

– Doskonale! Większość ludzi ma tylko ulotne poczucie najbliższej przyszłości, na kilka sekund wcześniej, nie więcej. Możesz zobaczyć samochód zwalniający przed znakiem stopu i intuicyjnie wyczuwasz prawdopodobieństwo, że się zatrzyma – albo że pojedzie dalej. Możesz też wiedzieć, co ktoś powie na kilka chwil przed tym, zanim to zrobi. Nasi uczeni ponad pół wieku temu zrozumieli użyteczność

tej cechy i postanowili ją wzmocnić poprzez manipulacje genetyczne i hodowlę. Ja jestem produktem finalnym. – W głosie Albana brzmiała szczerza, nieudawana duma. – Mój zmysł postrzegania rozgałęzionych potencjalnych linii czasu jest rozwinięty w znacznie większym stopniu niż u innych. Potrafię sięgać aż do piętnastu sekund w przyszłość, a mój umysł jest w stanie postrzegać dziesiątki możliwości – jakby oglądał je przez okno – i wybrać tę najbardziej prawdopodobną. Może się wydawać, że to niewiele, ale jaką czyni różnicę!

W pewnym sensie mój mózg dostraja się do funkcji fal theta. To nie to samo co przewidywanie przyszłości. Ponieważ zgodnie z kopenhaską interpretacją przyszłość nie jest zdeterminowana. A jak zdołałeś się zorientować, moja zdolność może zostać zakłócona przez nagłe, nielogiczne lub nieprzewidywalne zachowanie.

Uśmiech Albana, upiorny za sprawą koszmarnych oparzeń, poszerzył się.

– Ale nawet nie wykorzystując swojego specjalnego zmysłu postrzegania przyszłości, jedno wiem ponad wszelką wątpliwość. Nie możesz mnie zabić. I nie zabijesz mnie, ojczu. Teraz odejdę. Do puszczy. Aby mnie zatrzymać, musiałbyś mnie zastrzelić, a tego nie zrobisz. Zatem *auf Wiedersehen*.

– Nie bądź głupi, Albanie. Zabiję cię. Chłopak rozłożył szeroko ręce.

– Czekam.

Zapanowała długa cisza i nagle Alban znów się odezwał, niemal pogodnym głosem:

– Teraz, kiedy Der Bund już nie istnieje, jestem wolny. Mam tylko piętnaście lat i długie, produktywne życie przed sobą. Jak to się mówi, świat stoi przede mną otworem, i mogę ci obiecać, że stanie się znacznie ciekawszym miejscem, kiedy będę mógł nadal w nim funkcjonować.

Po tych słowach zwinnie zeskoczył ze skały na płyciznę.

Pendergast powiódł za nim pistoletem. Krople krwi skapywały powoli z palców jego lewej ręki, gdy Alban, brodząc w płytkiej

wodzie, wyszedł na plażę i pomaszerował przed siebie. Agent zastygł w bezruchu z bronią gotową do strzału, podczas gdy jego syn bez większego pośpiechu dotarł do granicy trawiastej łąki, wspiął się na płytki nasyp i podążył dalej przez łąkę, by ostatecznie rozpląnąć się pośród jednolitej czarnej ściany drzew na skraju puszczy. Dopiero wtedy Pendergast wolno – bardzo wolno – opuścił pistolet.

Trwał wigilijny wieczór w szpitalu Mount Mercy. Niewielka, niedawno ścięta jodła Douglasa stała w poczekalni przy wartowni, plastikowe ozdóbki dyskretnie przymocowano do gałązek drzewka gumkami recepturkami. Z głębi budynku płynęły ledwie słyszalne dźwięki kolęd. Poza tym całą rozległą, masywną posiadłość spowijała nostalgiczna cisza; jej rezydenci – mordercy, truciciele, gwałciciele, wiwisektorzy i dewianci – byli pogrążeni we wspomnieniach minionych świąt, prezentów, które otrzymali, lub, co zdarzało się częściej, które sami dawali innym.

Doktor John Felder przeszedł jednym z wewnętrznych korytarzy zakładu w towarzystwie doktora Ostroma. W ciągu ostatnich tygodni jego połamane żebra się zagoiły, a wstrząśnienie mózgu, jakiego doznał, ustąpiło. Jedyną blizną – w każdym razie widoczną na zewnątrz – jaka mu pozostała po przeżyciach w rezydencji Wintourów, było rozcięcie na skroni, które zmieniło się teraz w szkarłatną zygzakowaną bliznę. Ostrom pokręcił głową.

– Co za dziwny przypadek. Wciąż mam wrażenie, że tylko lekko naruszyliśmy go z wierzchu.

Felder nie odpowiedział.

Ostrom zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami, które podobnie jak większość drzwi w Mount Mercy nie miały żadnej tabliczki. Stał przed nimi strażnik.

– To tu? – zapytał Felder.

– Tak. Gdyby czegoś pan potrzebował, czegokolwiek, niech pan wezwie ochronę.

Felder wyciągnął rękę.

– Dziękuję, doktorze.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł Ostrom, odwrócił się i ruszył z powrotem przez korytarz.

Felder skinął na strażnika, wziął głęboki wdech. A potem pchnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka. W środku znajdowała się szpitalna kaplica. Była to pozostałość z czasów, kiedy szpital pełnił funkcję sanatorium dla bardzo zamożnych, a Felder, który nigdy wcześniej tu nie trafił, był szczerze zaskoczony. Kaplica zachowała niezmienny stan od czasów swojej świetności w końcu XIX stulecia, kiedy to za sprawą licznych strwożonych i cierpiących pacjentów zyskała kapitał obrotowy, którego mogliby jej pozazdrościć Medyceusze. Był to majstersztyk w miniaturze, piękny jak klejnot i idealnie doskonały. Nawa miała tylko sześć rzędów ławek i jedno centralne przejście, ale budowniczowie przemyślnie odtworzyli żebrowane sklepienie gotyckiej katedry, ozdabiając zarówno ściany boczne, jak i arkady delikatnymi witrażami, przepięknymi żywymi kolorami. W świetle późnego popołudnia wewnątrz zdawało się dosłownie tonąć w powodzi barw; ławki, smukłe kolumny i inne szczegóły architektoniczne były tak pocętkowane i odmalowane światłem, że niemal zlewały się w całość. Felder z wahaniem postąpił krok naprzód, jeden, potem drugi. Miał wrażenie, jakby znalazł się w kościelnym kalejdoskopie.

Przeszedł przez główną nawę, przepatrując ławki, spoglądając na lewo i prawo. Wokoło panowała cisza, nikogo tu nie było. Kiedy jednak podszedł bliżej sanktuarium, zauważył po lewej stronie nieduży boczny ołtarz. Na stojącej tam samotnej ławeczce siedziała Constance Greene. W bezruchu, ukryta wśród cętek subtelnego światła, więc potrzebował chwili, aby ją dostrzec. Odwrócił się i podszedł do niej. Wychylona lekko do przodu, wydawała się pochłonięta lekturą książki, którą trzymała oburącz, usta miała lekko rozchylone, powieki półprzymknięte, długie rzęsy sprawiały złudne wrażenie, jakby drzemała. Felder wiedział jednak, że była w pełni czujna, jej wzrok z uwagą przesuwał się po kolejnych

linijkach tekstu.

Zastanawiał się, czy to Pismo Święte. Próbował zapanować nad rozkołatym sercem. Odwróciła się i spostrzegła go.

– Dzień dobry, doktorze Felder.

Skinął głową.

– Mogę się przyłączyć?

Uśmiechnęła się słabo i zrobiła mu miejsce na ławeczce. Gdy zamknęła książkę, zauważył, że nie była to Biblia, lecz *Satyricon* Petroniusza.

– Sporo czasu upłynęło od pańskiej ostatniej wizyty – zauważyła, kiedy usiadł. – Jak się pan miewa?

– Całkiem nieźle, dziękuję. A ty?

– Tak samo. Mam nadzieję, że nie znajduje pan świąt...

– Constance – przerwał jej. – Czy miałabyś mi za złe, gdybym poprosił, abyśmy odpuścili sobie te wszystkie zbędne formalności?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Felder sięgnął do kieszonki marynarki na piersi. Wyjął z niej dwie koperty – jedną starą i wyblakłą, drugą nową i świeżą. Położył je przed nią jedna przy drugiej.

Po chwili Constance ujęła starą kopertę obiema dłońmi. Felder zauważył, że jej źrenice się rozszerzyły.

Bez słowa otworzyła kopertę i zajrzała do środka.

– Pukiel moich włosów – powiedziała. Miała teraz całkiem inny głos niż ten, jakim powitała Feldera i zapytała o jego zdrowie.

Uniósł głowę. Odwróciła się do niego nieomal z ekscytacją.

– Gdzie pan to znalazł?

– W Connecticut.

– W Connecticut? – Zmarszczyła brwi. – Ale... Felder uprzedził jej pytanie, unosząc dłoń.

– Im mniej wiesz o szczegółach, tym lepiej dla ciebie, Constance. Tym lepiej dla nas obojga.

Constance przeniosła wzrok na bliznę na jego skroni.

– Kiedy napomknęłam o istnieniu tego pukla, doktorze, nie było moim zamiarem nakłaniać pana, aby narażał się pan na

niebezpieczeństwo w celu zdobycia go.

– Wiem.

Wyjęła pukiel z koperty i ułożyła na otwartej dłoni. Spojrzała na wąski kosmyk i delikatnie musnęła go koniuszkiem palca. W tym dziwnym akwariu ciszy i barw wyraz jej twarzy wydawał się szczególnie odległy. Przez długie minuty nie odezwała się ani słowem. Felder także milczał.

Wreszcie, zgoła niespodziewanie, zebrała się w sobie. Włożyła pukiel na powrót do koperty i oddała ją Felderowi.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma za co.

– Mam nadzieję, że zdobycie go nie wymagało od pana nadmiernego trudu.

– Okazało się to dość interesującym doświadczeniem. Teraz Constance sięgnęła po drugą kopertę. Był na niej adres zwrotny laboratorium w Saratoga Springs.

– A to co?

– Wyniki analizy DNA pukła włosów.

– Rozumiem. – Postawa Constance, mniej niż zwykle formalna, nagle nabrała większej rezerwy. – I co mówi ten raport?

– Proszę obejrzeć kopertę – powiedział Felder. – Przekonasz się, że nawet jej nie otworzyłem.

Constance obróciła kopertę w dłoniach.

– Nie rozumiem.

Felder wziął głęboki wdech. Poczł, że nogi zaczynają mu się trząść, choć niezbyt mocno.

– Nie muszę czytać raportu. Już dawno ci uwierzyłem, Constance. We wszystko.

Przeniosła wzrok z koperty na niego i z powrotem.

– Wiem, ile masz lat – i jaka jesteś młoda. Nie potrzebuję analizy DNA, aby to stwierdzić. Wiem, że mówiłaś prawdę, że urodziłaś się w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Nie rozumiem tego, ale wierzę.

Nic nie powiedziała.

– Wiem też, że nie zabiłaś swojego dziecka. Bez wątpienia miałaś powód, aby posunąć się do kłamstwa, i kiedy tylko zechcesz opowiedzieć mi o tym, będziemy mogli wszcząć postępowanie.

W oczach Constance pojawił się błysk.

– Postępowanie?

– O unieważnienie ubezwłasnowolnienia i decyzji o umieszczeniu cię w zakładzie. A także o wycofanie oskarżenia o zabójstwo. – Felder nieznacznie się do niej zbliżył. – Constance, zostałaś tu przeniesiona na podstawie mojej rekomendacji. Teraz widzę, że to był błąd. Nie jesteś szalona. I nie zabiłaś swojego dziecka – to była tylko zasłona dymna. Jeżeli powiesz mi, gdzie znajduje się dziecko, zajmę się potwierdzeniem tego faktu przez stosowne władze. A wówczas będziemy mogli zająć się sprawą zwolnienia.

Constance zawahała się.

– Ja... – zaczęła i zaraz przerwała. Wydawała się dziwnie zmieszana.

Felder marzył, śnił o tej chwili, planował, co zrobi. A teraz, kiedy to naprawdę się działo, wydawał się równie zaskoczony co Constance.

– Podjąłem ogromne ryzyko, aby zdobyć ten pukiel włosów. – Dotknął blizny na skroni. – To w zasadzie drobiazg w porównaniu z resztą.

Pozwolił, aby te słowa wybrzmiały.

– Musiałem mieć pewność. Oczywiście to nie twoja wina, ale teraz, kiedy to już się stało, chcę, abyś wiedziała, że uczyniłbym to ponownie. Nie, nie, proszę, pozwól mi mówić. Zrobiłbym to ponownie z powodu tego, co do ciebie czuję. I nie chodzi tylko o to, że wyrządziłem ci krzywdę, zamykając cię tutaj. Chodzi o to, co zacząłem czuć wobec ciebie. Pragnę naprawić zło i wydostać cię stąd, bo mam nadzieję, że uwalniając cię, staniemy się sobie równi i może z czasem zechcesz spojrzeć na mnie nie jak na lekarza, ale jak na człowieka.

Zawahał się skrępowany bardziej niż kiedykolwiek.

– No i rzecz jasna w tym momencie, przez wzgląd na etykę

zawodową, musiałbym zrezygnować z funkcji twojego lekarza.

Wreszcie zamilkł, przejęty, a potem trwożliwie wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Z niepokojem uniósł wzrok, by napotkać jej oczy. Jedno spojrzenie w zupełności wystarczyło. Znow spuścił wzrok i uwolnił jej rękę. Czuł się fatalnie.

– Doktorze – powiedziała łagodnie Constance. – John. Jestem wzruszona, naprawdę głęboko wzruszona. Pańska wiara we mnie znaczy więcej, niż jestem w stanie wyrazić w słowach. Jednak prawda jest taka, że nigdy nie mogłabym odwzajemnić uczuć, jakie wydaje się pan mieć wobec mnie, z tego powodu, że moje serce należy do innego.

Felder nie uniósł wzroku. Gdy Constance przemówiła, jej głos brzmiał coraz bardziej miękko i niepewnie, a pięć ostatnich słów było prawie zupełnie niesłyszalnych.

Powrócił myślami do tamtego dnia w bibliotece Mount Mercy, kiedy Constance po raz pierwszy wspomniała o istnieniu pukla jej włosów. Kiedy zasugerowała, że odnalezienie go i ujawnienie będzie czymś więcej niż tylko potwierdzeniem prawdziwości jej słów – że dla niego będzie to coś w rodzaju sprawdzianu kochanka, sposobem na udowodnienie bezmiaru jego uczuć, które wymażą przeszłość ze wszystkimi fałszywymi krokami i wątpliwymi medycznymi spostrzeżeniami. Teraz jednak uświadomił sobie, że to wszystko było tylko w jego głowie, że Constance nigdy niczego takiego nie powiedziała ani nawet nie zasugerowała. Dokonał projekcji swoich nadziei na to, co mu zaproponowała – możliwość poznania prawdy o jej wieku. I tylko dlatego, że sam się tego domagał.

Poczuł, że Constance wzięła go za rękę. Uniósł wzrok, by ujrzeć, że się do niego uśmiechnęła. W pełni wróciła do siebie, a jej uśmiech zawierał tę samą co zwykle osobliwą mieszankę chłodnego rozbawienia i dobrotliwego dystansu.

– Nie mogę odwzajemnić pańskich uczuć, doktorze – powiedziała, delikatnie ściskając jego dłoń. – Ale mogę uczynić coś innego. Mogę opowiedzieć panu moją historię. To opowieść, której nie zdradziłam nikomu innemu, a przynajmniej nie w pełni.

Felder zamrugał. Zaczęło powoli do niego docierać, co mu proponowała.

Mówiła dalej:

– Obawiam się, że ta opowieść będzie musiała pozostać tylko między nami. Jest pan zainteresowany?

– Zainteresowany? – powtórzył Felder. – Na Boga, jasne, że tak.

– To świetnie. Wobec tego proszę to potraktować jako mój prezent dla pana. – Constance przerwała. – Mamy wszak Wigilię.

Siedzieli w niemal całkowitym bezruchu pośród plam barwnego światła. Constance spojrzała ponad ramieniem Feldera w stronę głównej nawy. Dwie koperty, stara i nowa, leżały na ławce pomiędzy nimi.

– Urodziłam się w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku przy Water Street szesnaście w Nowym Jorku – zaczęła Constance. – Było to zapewne latem tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku. Zanim skończyłam pięć lat, oboje moi rodzice zmarli na gruźlicę. W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym moja starsza siostra Mary została skierowana do pracy w Misji Five Points i koniec końców zniknęła. Mój brat Joseph zmarł w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym. Tyle pan wie. Nie wie pan jednak zapewne, że moja siostra Mary padła ofiarą doktora przydzielonego do Misji Five Points, wyjątkowo utalentowanego chirurga, który nazywał się Enoch Leng.

Doktor Leng był mężczyzną o szczególnych ambicjach, pragnął mianowicie przedłużyć własne życie ponad standardowe normy długości przeciętnego człowieka. Zanim go pan zacznie osądzać, powinnam wyjaśnić, że doktor Leng nie próbował przedłużyć swojego życia z egoistycznych pobudek. Pracował nad projektem naukowym, którego ukończenie zajęłoby dłużej, niż trwa normalne ludzkie życie.

– Co to za projekt naukowy? – zapytał Felder.

– Jego szczegóły nie są istotne dla mojej historii. Constance przerwała.

– Tu dochodzimy do kilku pierwszych niezwykłości. Teorie doktora Lenga były równie nieortodoksyjne jak jego poczucie etyki zawodowej. Prowadzone badania pozwoliły mu uwierzyć, że możliwe byłoby stworzenie terapii medycznej – formuły lub też arcanum – która w znacznym stopniu wydłużyłaby ludzkie życie. Składniki mogłyby być pobierane tylko z ludzkich tkanek, od żywej, młodej osoby.

– Wielkie nieba – wyszeptał Felder.

– Jako specjalista w zakładzie poprawczym dla dzieci w Five Points na Manhattanie, gdzie w Nowym Jorku mieściły się wtedy slamsy, doktor Leng nie mógł narzekać na brak świeżego materiału. Także moja siostra padła ofiarą jego eksperymentów, a jej okaleczone zwłoki wraz z dziesiątkami innych odkryto jakieś trzy lata temu w masowym grobie na Dolnym Manhattanie.

Felder przypomniał sobie, że natknął się na ten artykuł podczas jednej ze swoich wizyt w bibliotece publicznej. Jego autorem był niejaki Smithback, reporter „New York Timesa”, który został później zamordowany. A więc Mary Greene była siostrą Constance.

– Obawiam się, że wiele osób padło ofiarą doktora Lenga, gdy ten doszlifowywał swoją technikę. Niech wystarczy, że powiem, iż w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym udało mu się w końcu doprowadzić swoje arcanum do perfekcji.

– Znalazł sposób na przedłużenie życia?

– Jego technika skupiała się na kłębku włókien nerwowych zwanym cauda equina. Jest pan lekarzem, nie muszę panu nic więcej wyjaśniać. Ale tak, dzięki subtelny zmianom i stałemu udoskonalaniu swoich prac udało mu się w końcu stworzyć arcanum, które radykalnie spowolniło proces starzenia się ludzkiego ciała. Do tego czasu zostałam jego podopieczną, zamieszkałam w jego domu.

– Ty...? – zaczął Felder.

– Po zniknięciu mojej siostry stałam się, jak to się wtedy mówiło, dzieckiem ulicy. Nie miałam rodziny i mieszkałam na ulicy, robiąc wszystko, co było konieczne, aby utrzymać się przy życiu. Zebrałam,

wywijałam koziółki albo zamiatałam chodniki przed przechodniami w nadziei, że rzucają mi parę centów. Nieraz przymierałam głodem albo umierałam z zimna. Wiele nocy przespałam w cieniu Misji Five Points, gdzie oferował swoje usługi doktor Leng. Któregoś dnia przystanął i zapytał, jak się nazywam. Kiedy mu powiedziałam, chyba zdał sobie sprawę, że był odpowiedzialny za moją sytuację, i z jakiegoś nieznanego powodu zrobiło mu się mnie żal. A może wcale nie. Tak czy owak zabrał mnie do swojej rezydencji przy Riverside Drive i wykorzystał jako królika doświadczalnego, podając udoskonalone arcanum, zapewne po to, aby się przekonać, czy nie wystąpią żadne efekty uboczne. Z czasem, co może wydawać się dziwne, polubił mnie. Nie wiem dlaczego i nigdy się nie dowiem. Karmił mnie, ubierał, uczył i w dalszym ciągu podawał ten sam eliksir, który sam zażywał.

Constance powoli i z naciskiem wypowiedziała ostatnie słowa. Na kilka minut w kaplicy zapadła cisza. Ta historia wydawała się niesamowita i niewiarygodna, ale Felder wiedział, że jest prawdziwa.

Wreszcie Constance zaczęła mówić dalej: – Przez wiele, bardzo wiele lat wiedliśmy w tej rezydencji żywot samotnych odludków. Ja kontynuowałam swoje studia w dziedzinie literatury, filozofii, sztuki, muzyki, historii i języków, po części z pomocą doktora, po części sama, wykorzystując jego bibliotekę i zbiory naukowe. Tymczasem doktor Leng kontynuował swoją pracę. Około roku tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego osiągnął drugi sukces. Używając rozmaitych środków chemicznych i substancji, które wcześniej były niedostępne, zsyntetyzował arcanum, które nie wymagało już czynnika ludzkiego.

– Innymi słowy, przestał zabijać – powiedział Felder. Constance pokiwała głową.

– Dopóki środek przedłużał mu życie, dopóty doktor nie czuł szczególnej skruchy, że odbiera życie innym. Jednakże jako naukowiec raziło to jego potrzebę czystości działań i estetyki. Tak, przestał zabijać. Bo nie musiał już tego robić. Arcanum, które

zażywaliśmy oboje, było teraz czysto syntetyczne. Jednak jego większe dzieło pozostało nieukończone. Dlatego kontynuował swoje badania naukowe, póki nie zostały dość brutalnie przerwane wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku.

– Dlaczego akurat w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym?
– spytał Felder.

Na ustach Constance pojawił się wątki uśmiech.

– I znów nie jest to istotne dla mojej opowieści, ale powiem panu. Doktor Leng wyjaśnił mi, że istnieją dwa sposoby na „wyleczenie pacjenta”. Ten najprostszy to przywrócenie go do zdrowia.

– A jaki jest drugi?

– Uwolnienie go od cierpienia. – Wątki uśmiech zniknął.

– W każdym razie, kiedy jego dzieło zostało ostatecznie ukończone lub, mówiąc precyzyjnie, nie było już dłużej konieczne, doktor Leng przestał przyjmować eliksir. Utracił zainteresowanie życiem, stał się jeszcze większym odludkiem i zaczął się starzeć w zwyczajnym tempie. Ale dał mi wybór. A ja zdecydowałam się na kontynuowanie terapii. I tak to trwało przez kolejnych pięćdziesiąt parę lat, dopóki nie padliśmy ofiarami niespodziewanej i brutalnej inwazji na nasz dom. Doktor Leng został zabity, a ja ukryłam się w najgłębszych zakamarkach domu. Ostatecznie porządek został przywrócony, rezydencja zaś przeszła w ręce stryjecznego bratanka Lenga, Aloysiusa Pendergasta.

– Pendergasta? – powtórzył wyraźnie zdziwiony Felder.

Constance potaknęła.

Felder pokręcił głową. Tego już było za wiele, zdecydowanie za wiele.

– Obserwowałam Pendergasta przez wiele miesięcy, zanim się w końcu przed nim ujawniłam. On zaś z ogromną życzliwością uczynił mnie swoją podopieczną. – Poruszyła się na ławeczce. – I to już wszystko, doktorze Felder. Oto cała historia mojej przeszłości.

Felder wziął głęboki wdech.

– A... twoje dziecko? – Nie mógł nic poradzić na to, że chciał wiedzieć, kto jest ojcem tego dziecka.

– Urodziłam syna w Gsalrig Chongg, odludnym klasztorze w Tybecie. W wyniku bardzo skomplikowanego procesu mnisi z klasztoru rozpoznali w moim synu dziewiętnastą inkarnację jednego z najświętszych tybetańskich rinpocze. To stanowiło spore zagrożenie. Chińskie władze okupacyjne bezlitośnie tłumią tybetański buddyzm, a zwłaszcza ideę reinkarnacji świętych mężów. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, kiedy Dalajlama ogłosił sześciolatniego chłopca jedenastą inkarnacją Panczenlamy, Chińczycy pojмали chłopca i od tamtej pory wszelki ślad po nim zaginął, możliwe, że go zamordowano. Chińczycy dowiedzieli się, że mój syn został ogłoszony dziewiętnastą reinkarnacją rinpocze, przybyli więc, żeby go dopaść.

– A zatem konieczne było przekonanie ich, że chłopiec nie żyje – powiedział Felder.

– Właśnie tak. Udałam, że uciekam z dzieckiem, a potem że wyrzuciłam je za burtę, ale tak naprawdę to wszystko było jedynie sprytną dywersją. Moje aresztowanie zyskało spory publiczny rozgłos i najwyraźniej usatysfakcjonowało Chińczyków. Tymczasem moje prawdziwe dziecko zostało przeszmuglowane z Tybetu do Indii.

– A więc weszłaś na pokład Queen Mary z lalką wyglądającą jak dziecko i tę lalkę wyrzuciłaś za burtę?

– Zgadza się. Lalkę o rozmiarach małego dziecka. Wyrzuciłam ją za burtę w trakcie rejsu.

Zapadła krótka cisza, zanim Felder znów się odezwał.

– Nie rozumiem, czemu wysłałaś mnie po pukiel włosów. Sądziłem, że to miał być... – zaczerwienił się – dowód miłości. Że abym zdobył twoje względy, musiałem wpierw okazać się ciębie godzien. Ale jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie żywisz względem mnie uczuć tego rodzaju.

– Czy nie domyśla się pan odpowiedzi, doktorze Felder? – odparła Constance. – Właściwie są dwie odpowiedzi. – Uśmiechnęła się słabo. – W dniu, kiedy przyszedł pan odwiedzić mnie w tutejszej bibliotece, otrzymałam właśnie wiadomość, że mój syn bezpiecznie dotarł do

Indii. Jest w Dharamsali wraz z tybetańskim rządem na wygnaniu, pod bardzo dobrą ochroną. Teraz może dorastać, przechodząc właściwy trening, by mógł wypełniać swoje zadanie i zostać dziewiętnastym rinpocze in absentia. Bezpieczny i z dala od Chińczyków.

– W tej sytuacji dalsze podtrzymywanie fałszywej wersji, jakobyś zabiła swoje dziecko, mija się z celem?

– Otóż to. W rezultacie nie było potrzeby, abym pozostawała dłużej w Mount Mercy.

– Ale żebyś mogła stąd wyjść, trzeba było najpierw ustalić, że jesteś zdrowa psychicznie.

Constance uniosła głowę.

– To zaś znaczyło, że trzeba było mnie przekonać, iż jesteś przy zdrowych zmysłach.

– Zgadza się. Ale jest jeszcze druga odpowiedź, o której wspomniałam. Przekonując pana, że jestem przy zdrowych zmysłach, wiedziałam, że wywołam spore i bulwersujące wątpliwości w pańskim umyśle. Gdyby zrozumiał pan, że mówię prawdę, pomogłoby to wyjaśnić pewne kłopotliwe szczegóły mojej historii, szczegóły, które, jak wiem, nie dawały panu spokoju.

A więc jednak zależało jej na nim w ten czy w inny sposób. Przynajmniej na tyle, że dostrzegła, iż toczył wewnętrzną walkę, i zrobiło jej się go żal z tego powodu. W ciszy, jaka zapanowała, Felder zaczął w świetle nowych informacji, jakimi obecnie dysponował, formułować argumenty, jakich użyje, aby doprowadzić do cofnięcia decyzji o ubezwłasnowolnieniu i zamknięciu Constance w zakładzie. Z narastającą konsternacją zdał sobie sprawę, że nic z tego, co mu powiedziała, nie będzie mogło zostać uznane za dowód. Nie dojdzie nawet do wstępnego przesłuchania. Będzie musiał znaleźć sposób na przebicie się przez prawniczy labirynt i udowodnić, że przebywające gdzieś hen daleko w Indiach dziecko jest jej synem, ale wiedział, że był jej to winien. To i znacznie więcej. Przynajmniej udowodnienie, że dziecko żyje, powinno być względnie proste dzięki zaawansowanym technikom analiz DNA.

Wciąż miał do niej mnóstwo pytań, ale nie był w stanie sformułować chociażby jednego. Uznał więc, że potrzebuje czasu, aby przemyśleć sobie to wszystko, czego się właśnie dowiedział. Pora iść. Wziął do ręki obie koperty i podał tę starą, pożółkłą Constance.

– To zgodnie z prawem należy do ciebie – powiedział.

– Byłabym szczęśliwa, wiedząc, że jest w pańskim posiadaniu.

Felder pokiwał głową. Wsunął obie koperty do kieszeni marynarki. Wstał, ale nie wyszedł jeszcze. Przez chwilę się wahał. Pozostawało jedno pytanie, które nie dawało mu spokoju, a na które wciąż nie znał odpowiedzi.

– Constance...

– Tak, doktorze?

– To... arcanum. Kiedy przestałaś je zażywać?

– Kiedy został zabity mój pierwszy opiekun, doktor Leng.

Zawahał się.

– Czy to kiedykolwiek cię bulwersowało?

– Co takiego?

– Ta... przepraszam, nie potrafię wyrazić tego delikatniej, świadomość, że twoje życie było sztucznie przedłużane wskutek mordowania niewinnych ludzi?

Constance przyglądała mu się głębokimi, nieodgadzionymi oczami. W kaplicy zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

– Zna pan – odezwała się w końcu – ten cytat z F. Scotta Fitzgeralda: „Sprawdzianem znakomitej inteligencji jest zdolność utrzymania w umyśle dwóch przeciwstawnych idei równocześnie i w dalszym ciągu zachowania możliwości funkcjonowania”?

– Tak, słyszałem już ten cytat.

– Proszę się nad tym zastanowić. Nie byłam jedynie uczestniczką eksperymentu doktora Leng. Stałam się podopieczną człowieka, który zamordował i okaleczył moją siostrę. Spędziłam ponad sto lat pod jego dachem, czytając jego książki, pijąc jego wino, spożywając jego jedzenie, prowadząc z nim przyjemne konwersacje, choć przez cały czas doskonale wiedziałam, kim był ten człowiek i co zrobił

mojej siostrze. To rzadki przypadek przeciwstawnych idei, nie uważa pan?

Przerwała. Feldera porażał niezwykle wyraz jej oczu. Co się w nich kryło? Nie potrafił tego określić.

– Pytam zatem, doktorze, czy to znaczy, że mogę poszczycić się znakomitą inteligencją, czy że jestem szalona? – Przerwała, a jej głębokie oczy błyszczały. – A może to znaczy jedno i drugie?

Skinęła głową na znak, że uważa ich spotkanie za zakończone. Sięgnęła po swoją książkę i ponownie pogrążyła się w lekturze.

D'Agosta obawiał się, że stary bar mógł być zamknięty. Nie zaglądał tam od lat. Niewielu jego kolegów z pracy znało to miejsce; paprotki w wieszakach z makramy gwarantowały, że żaden szanujący się gliniarz nie dopuściłby, aby znaleziono go tam martwego. Kiedy jednak skręcił za róg Vesey i wyszedł na Church Street, a pod jego stopami zaskrzypiał świeżo spadły śnieg, z niejaką ulgą stwierdził, że bar wciąż się tam znajduje. Paprotki wiszące w oknie wystawowym wydawały się nieco bardziej zeschnięte, ale to chyba była jedyna różnica. Zszedł po stopniach do środka.

Laura Hayward już tam była. Siedziała w głębi sali, przy tym samym stoliku – czy to tylko zbieg okoliczności? – ze szklanką chłodnego guinnessa w dłoni. Uniosła wzrok, kiedy D'Agosta podszedł do stolika, i uśmiechnęła się.

– Nawet nie wiedziałam, że ta knajpa ma jakąś nazwę – powiedziała, kiedy w końcu usiadł. Skinął głową.

– Vino Veritas.

– Może właściciel jest koneserem wina. Albo absolwentem Harvardu. Albo jednym i drugim.

D'Agosta nie całkiem to zrozumiał, więc zamiast odpowiedzieć, skinął na kelnera i wskazał na piwo, które stało przed Hayward.

– To miejsce wydawało się odpowiednie na nasze spotkanie – powiedział, kiedy postawiono przed nim szklankę guinnessa. – Rzut kamieniem od Police Plaza.

Wypił łyk piwa, po czym rozsiadł się wygodniej, próbując sprawiać nonszalanckie wrażenie. W rzeczywistości był piekielnie

zdenerwowany. Ta myśl przyszła mu do głowy dziś rano, w drodze do pracy. Tym razem żadnych wielkich planów czy wymyślnych przygotowań: instynkt podpowiedział mu, że powinien pójść na całość.

– W biurze kapitana Singletona wrze – powiedziała z uśmiechem Laura.

– A więc już się wydało? Skinęła głową.

– Midge Rawley. Była ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o coś takiego. Bądź co bądź była osobistą sekretarką Glena, znała wszystkie jego sekrety i posunięcia od... ile to już? Co najmniej dziesięciu lat.

– Też sądziłem, że jest lojalna. Ale niedawno to się zmieniło. Zwłaszcza kiedy obejrzałem wyciągi z jej konta bankowego i kwoty, jakie na nim zaksięgowano.

– Słyszałam, że miała jakieś problemy osobiste. Separacja z mężem, matka w domu opieki. Chyba dlatego wybrali właśnie ją.

– Może zmusili ją do współpracy szantażem? Nieomal chce się jej współczuć.

– Nieomal. Dopóki nie przypomnisz sobie, że to ona dała komuś cynk, zdradzając miejsce umówionego spotkania na przystani w Central Parku. Co doprowadziło do strzelaniny, śmierci pięciu osób i porwania, a następnie zamordowania Helen Pendergast. – Laura przerwała. – Czy nakaz przeszukania pozwolił coś odkryć? D’Agosta pokręcił głową.

– Musimy dowiedzieć się więcej z nagrań audio i wideo z monitoringu. A może od samej Rawley. Chłopaki z wewnętrznego przewieźli ją do Tombs. Kto wie, może okaże się rozmowna. – Znów napił się piwa. Z każdą chwilą był coraz bardziej zdenerwowany, a ta pogawędka bynajmniej nie rozładowywała jego napięcia.

– Tak czy owak świetnie się spisałeś, Vinnie. To na pewno zostanie docenione. Na twoim miejscu spodziewałabym się rychłego awansu.

– Dzięki.

– Kto wie, może Singleton poleci o szczebelek lub dwa w dół.

D’Agosta zastanowił się nad tym. Odnalezienie kreta w jego

prywatnym gabinecie na pewno zmusi Singletona, aby przeszedł do defensywy, a to z kolei mogło ułatwić D'Agoście wywiniecie się z opresji. Choć mimo wszystko szkoda, bo Singleton to porządny facet.

– Zdemaskowanie Rawley to właściwie zasługa Pendergasta.

– Zadzwoił do ciebie ni stąd, ni zowąd i powiedział, kto jest wtyką?

– Niezupełnie. Powiedzmy, że wskazał mi właściwy kierunek.

– Zatem to wszystko zawdzięczasz solidnej policyjnej robocie. Nie umniejszaj swoich zasług, Vinnie, naprawdę odniosłeś spory sukces. Zgarnij należne ci zaszczyty i w nogi. – Laura uśmiechnęła się łobuzersko. – Czy to znaczy, że ty i agent Pendergast znów jesteście kumplami?

– Zwrócił się do mnie per „mój drogi Vincencie”, jeżeli to może o czymś świadczyć.

– Rozumiem. A więc Pendergast wrócił do Nowego Jorku, hotelowe zabójstwa ustały, a profilerzy FBI uważają, że morderca przeniósł się gdzie indziej. Jest Wigilia. Bóg się rodzi, moc truchleje, na świecie znów panuje dobro. – Uniosła szklanę.

D'Agosta napił się guinnessa. Ledwie go skosztował. Przez cały czas nerwowo wiercił się na krześle. To się stawało nie do zniesienia. Musiał znaleźć jakiś sposób, by podjąć ten temat, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić...

Nagle zorientował się, że Laura odstawiła szklanę i patrzyła na niego przenikliwym wzrokiem. Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem w milczeniu. Aż wreszcie odezwała się cicho:

– Tak.

D'Agosta zmieszał się.

– Słucham? Ujęła go za rękę.

– Ty wielki głupku. Pozwól, że uwolnię cię od tego stresu. Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

– Ty... ale skąd...?

D'Agosta zamilkł, nie był w stanie wydobyć z siebie słów.

– Masz mnie za kompletną idiotkę? Po co miałbyś zapraszać mnie

na drinka właśnie tutaj? Tak bardzo się uparłeś, abyśmy spotkali się właśnie w tej knajpce – w miejscu, gdzie się poznaliśmy. Dwa lata temu, pamiętasz? – Ścisnęła go za rękę, a potem się zaśmiała. – *Vino Veritas*, rzeczywiście. Wiesz co, w głębi duszy, poruczniku D’Agosta, jesteś starym mięczakiem. Na dodatek sentymentalnym. A to jedna z rzeczy, jedna z wielu rzeczy, które w tobie kocham.

D’Agosta spuścił wzrok. Był tak poruszony, że nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Nie do wiary, że się domyśliłaś. No bo...

– To gdzie ten pierścionek?

Zaczął się jąkać, tłumacząc się, że to wyszło tak spontanicznie, w ostatniej chwili, gdy nagle przerwał mu jej śmiech.

– Tylko się z tobą drocę, Vinnie. Lubię spontaniczność. Mogę poczekać na pierścionek, nie ma sprawy.

Uśmiechnął się do niej i ujął ją za rękę.

– Dzięki.

Wciąż uśmiechając się, przechyliła lekko głowę.

– Chodźmy gdzieś indziej. Do jakiegoś nowego, naprawdę miłego miejsca. Ta knajpka budzi nostalgiczne wspomnienia, ale zrobmy coś, żeby ten wieczór zapisał się szczególnie w naszej pamięci. Niech to będzie nasze wspólne nowe wspomnienie. Mamy co uczcić – i nie tylko dlatego, że jest akurat Wigilia. Musimy poczynić wiele planów. Czeka nas sporo pracy.

Gestem dała kelnerowi znak, że prosi o rachunek.

I W KOŃCU

Olbrzymia, wyłożona ozdobną boazerią biblioteka w rezydencji przy Riverside Drive 891 tonęła w poświacie ognia płonącego w kominku i blasku świec. Był koniec lutego, wieczór, a lekki deszcz ze śniegiem siąpił na auta sunące Riverside i West Side Highway, ale żadne odgłosy ruchu ulicznego ani pobrząkiwanie zamarzniętych na lód kropeł bijących o szyby nie przenikały przez okratowane i przesłonięte kotarami okna. Słysząc było jedynie trzask ognia, skrobanie wiecznego pióra agenta Pendergasta, który przesuwiał nim po kartce kremowego czerpanego papieru, i dźwięki cichej rozmowy prowadzonej pomiędzy Constance Greene a Tristramem.

Tych dwoje siedziało przy stoliku do gry ustawionym przed kominkiem, a Constance uczyła Tristrama reguł ombre, karcianej gry, która wyszła z mody dziesiątki, jeśli nie setki lat temu. Tristram spojrział na swoje karty, a na jego młodym obliczu pojawił się grymas głębokiej zadumy. Constance zaczęła wprowadzać go w świat gier karcianych bardzo wolno, począwszy od wista, ale pamięć, koncentracja i umiejętności logiczne Tristrama zaczęły już wykazywać sporą poprawę. Teraz był pochłonięty subtelnościami spadilles, entrados i estuches.

Pendergast siedział przy stoliku do pisania na drugim końcu biblioteki, odwrócony plecami do ściany oprawnych w skórę ksiąg. Od czasu do czasu unosił wzrok znad tego, co pisał, srebrzystymi oczami lustrował wnętrze pomieszczenia, ale zawsze na koniec skupiał uwagę na dwóch osobach grających w karty.

Nagle ciszę panującą w pokoju zakłócił dzwonek komórki

Pendergasta. Wyjął telefon z kieszeni, spojrzął na numer na wyświetlaczu.

– Tak? – rzucił.

– Pendergast? To ja, Corrie.

– Panna Swanson? Co słychać?

– Wszystko gra. Musiałam trochę nadgonić materiał z zajęć, miałam trochę prac do napisania i dlatego dzwonię dopiero teraz. Mam panu do opowiedzenia nie lada historię i... – zawahała się.

– Czy na pewno wszystko w porządku?

– Cóż, nie słyszę, kiedy ktoś skrada się za mną od tyłu, ale poza tym okej. Niech pan posłucha, rozwiązałam sprawę, poważną, naprawdę grubą sprawę.

– Doskonale. Chcę cię przeprosić, że nie mogłem służyć lepszą pomocą. Kiedy zjawiłaś się u mnie w grudniu, wierzyłem jednak, że potrafisz sama sobie poradzić. I jak się okazuje, ta wiara nie była bezpodstawną. Tak się składa, że ja również mam dla ciebie nader interesującą, jak mniemam, opowieść.

Pauza.

– A więc – ciągnęła Corrie. – Jakie są szanse na ponowienie zaproszenia na lunch w Le Bernardin?

– Proszę wybaczyć, że od razu tego nie zaproponowałem. Sugeruję możliwie najbliższy termin, gdyż rozważam możliwość udania się na dłuższe wakacje.

– Niech pan poda datę.

Pendergast zajrzał do niewielkiego notesu adresowego, który wyjął z kieszeni marynarki.

– W przyszły czwartek, o pierwszej.

– Doskonale, w czwartek po południu nie mam akurat żadnych zajęć. – Kolejna chwila zawahania. – Hej, Pendergast?

– Tak?

– Czy... mogłabym przyjść z ojcem? To także jego opowieść.

– Naturalnie. Nie mogę się doczekać, aby spotkać się z wami obydwójkiem w przyszły czwartek.

Odłożył komórkę i pióro, po czym wstał. Tristram wyszedł,

a Constance siedziała sama przy stoliku, tasując karty. Pendergast podszedł do niej.

– Jak mu idzie nauka gry w karty?

– Całkiem nieźle. Nawet lepiej, niż się spodziewałam. Jeżeli nadal będzie uczył się w tak szybkim tempie, możliwe, że przejdę dalej, do bezika lub skata.

Pendergast milczał przez chwilę, zanim znów się odezwał.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś. Wtedy, gdy odwiedziłem cię w Mount Mercy, poszukując rady. Oczywiście miałaś rację. Musiałem udać się do Novej Godói. Nie miałem wyboru. I musiałem podjąć zdecydowane działania. Bez litości, niestety. Uciekając się do skrajnej przemocy. Uratowałem Tristrama, to prawda, jednak druga połowa równania – ta trudniejsza i bardziej złożona – pozostaje nierozwiązana.

Constance nie odpowiedziała przez chwilę. Kiedy w końcu się odezwała, mówiła niemal szeptem.

– A więc wciąż nie ma żadnych wieści.

– Nic a nic. Poczyliłem pewne... kroki... a poza tym umieszczono go na listach osób poszukiwanych zarówno przez DEA, jak i przez miejscowy konsulat, ma się rozumieć, dyskretnie. Ale wygląda na to, że rozpląnął się w puszczy.

– Sądzisz, że może nie żyć? – zapytała.

– To możliwe – odparł Pendergast. – Odniósł poważne obrażenia.

Constance odłożyła karty.

– Tak się zastanawiałam. Nie obraź się, że o to zapytam, ale czy uważasz, że on byłby do tego zdolny? Że mógłby cię zabić?

Pendergast nie odpowiedział, przez chwilę wpatrywał się w płomień. A potem przeniósł na nią wzrok.

– Wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie. Były takie momenty, na przykład kiedy strzelał do mnie na jeziorze, że czułem, iż faktycznie zamierza to zrobić. Ale były też inne chwile, kiedy wydawało się, że zwyczajnie przegapił okazję.

Constance znów wzięła do ręki karty i zaczęła je rozkładać.

– Nie znać jego przyszłych zamiarów... nie wiedzieć, czy on żyje,

czy nie, to dość niepokojące.

– W rzeczy samej.

– A co z resztą Przymierza? – spytała Constance. – Czy ci ludzie wciąż stanowią zagrożenie?

Pendergast pokręcił głową.

– Nie. Ich przywódcy nie żyją, ich twierdza została zniszczona, tyle dekad badań określanych przez nich mianem naukowych najzwyczajniej w świecie poszło z dymem. Same bliźnięta – ich *raison d'être* – niemal wszystkie odwróciły się od projektu. Z raportów, jakie otrzymałem, wynika, że wiele spośród nich zaczęło się integrować z brazylijską społecznością. Oczywiście bliźnięta ostatniej generacji, tej poprzedzającej Albana i test beta, były uważane za największe osiągnięcie Przymierza i o ile dobrze zrozumiałem, władze Brazylii uznały niektórych z nich za niezdolnych do jakiegokolwiek resocjalizacji. Jest ich jednak niewiele, a Der Bund zwyczajnie nie ma już środków, aby osiągnąć drugą masę krytyczną, a więc. – zniżył głos jeszcze bardziej – nawet gdyby Alban znów się pojawił.

Zapadła krótka cisza. Wreszcie Constance skinęła na puste krzesło, gdzie przed chwilą siedział Tristram.

– Zdecydowałeś już, co z nim zrobić?

– Mam pewien pomysł.

– Jaki?

– Taki, że prócz tego, że jesteś moją sekretarką piszącą pod dyktando i moją wyrocznią, mogłabyś zostać również jego.

Constance popatrzyła na Pendergasta, unosząc jedną brew.

– Kim miałabym być dla niego? Opiekunką?

– Kimś więcej niż opiekunką. Kimś mniej niż strażniczką. Bardziej starszą siostrą.

– „Starszą” to w tym wypadku kluczowe słowo. Starszą o sto trzydzieści lat. Aloysiusie, nie uważasz, że jestem trochę zbyt posunięta w latach, abym znów zaczęła zachowywać się, jakbym miała rodzeństwo?

– Przyznaję, że to dość śmiały pomysł, i przyszedł mi do głowy

całkiem niedawno. Czy zechcesz go przynajmniej rozważyć?

Constance przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Wtem jej wzrok powrócił do pustego krzesła Tristrama.

– Jest w nim coś ujmującego – stwierdziła. – Tak bardzo różni się od brata, a przynajmniej tak wynika z tego, co mi o nim opowiadałeś. Jest taki młody, niecierpliwy i wyjątkowo naiwny. Taki niewinny.

– Tak jak kiedyś był niewinny ktoś, kogo oboje znaleźliśmy.

– Chodzi o to, że wyczuwam w nim niewiarygodną, prawie bezgraniczną empatię, głębię współczucia, z jaką nie spotkałam się od czasu pobytu w klasztorze.

W tym momencie Tristram wrócił do biblioteki ze szklanką mleka w dłoni.

– *Herr* Proctor tu idzie – powiedział. – Przynosi wam – jak on to ujął – coś na pokrzepienie. – Siadając przy stoliku, powtórzył ostatnie słowo, jakby je smakował.

Pendergast odwrócił się do chłopaka. Przez chwilę po prostu obserwował Tristrama popijającego mleko z wyraźnym zadowoleniem. Jego potrzeby były takie proste, a wdzięczność, nawet za najdrobniejszy przejaw życzliwości, nieomal bezgraniczna. Pendergast podszedł do syna. Tristram odstawił mleko i popatrzył w górę na ojca.

Agent uklęknął, zniżając się do poziomu chłopca, sięgnął do kieszeni i wyjął pierścionek, złoty, z idealnym gwiazdnym szafirem. Ujmując syna za rękę, wcisnął mu go do niej.

– Należał do twojej matki, Tristramie – rzekł łagodnym głosem. – Dostała go ode mnie na nasze zaręczyny. Kiedy uznasz, że jesteś już gotowy – jeszcze nie teraz, ale być może w całkiem niedalekiej przyszłości – opowiem ci o niej wszystko. Była naprawdę niezwykłą kobietą. Jak każdy z nas miała wady. I mnóstwo tajemnic. Więcej niż inni. Ale bardzo ją kochałem. Tak jak ty była ofiarą Przymierza. Tak jak ty miała siostrę bliźniaczkę. To było dla niej bardzo trudne. Ale lata, które przeżyliśmy wspólnie, były jednym z najwspanialszych okresów w moim życiu. Głównie tymi wspomnieniami pragnę

podzielić się z tobą. Być może pomogą choć odrobinę zastąpić wspomnienia, których ci odmawiano przez lata.

Tristram przeniósł wzrok z pierścionka na twarz Pendergasta.

– Bardzo chciałbym o niej posłuchać, ojciec. Rozległo się dyskretne kasznięcie. Pendergast uniósł wzrok, by ujrzeć Proctora stojącego w drzwiach, trzymającego na jednej uniesionej dłoni srebrną tacę z dwoma balansującymi na niej kieliszkami sherry. Gdy Pendergast wstał, szofer postąpił naprzód, podsuwając jeden kieliszek agentowi FBI, a drugi Constance.

– Dziękuję, Proctorze – powiedział Pendergast. – To bardzo miłe.

– Nie ma za co, sir – odpowiedział szofer z rezerwą w głosie. – Pani Trask poleciła przekazać, że kolacja zostanie podana o ósmej.

Pendergast skinął głową.

Gdy Proctor przeszedł z biblioteki do wielkiej rotundy służącej w rezydencji jako pokój przyjęć dla gości, przystanął na moment, aby obejrzeć się przez ramię. Pendergast wrócił do stolika do pisania w przeciwległym rogu pokoju i usiadł, wpatrując się z dość ponurą miną w płomienie tańczące w kominku. Constance potasowała karty i zaczęła mówić cicho do Tristrama, który siedział naprzeciw niej i słuchał z uwagą.

Kiedy Constance została zwolniona z Mount Mercy, mniej więcej przed trzema tygodniami, wykazywała olbrzymi dystans oraz rezerwę wobec młodzieńca będącego synem Pendergasta. Teraz, jak zauważył Proctor, jej stosunek do niego przynajmniej odrobinę się ocieplił. Ogień w kominku i świece roztaczały przyjemny blask na regały pełne starych książek, wytworne meble i trzy osoby znajdujące się w bibliotece. Panowała tu aura spokoju i opanowania. Do ideału było daleko, ale na początek całkiem niezłe. Proctor rzadko skłaniał się do tego typu refleksji, ale widok, jaki się przed nim roztoczył, niemal przywiódł mu na myśl portret rodzinny we wnętrzu.

Portret rodziny Addamsów, poprawił się w myślach i wyszedł z biblioteki, uśmiechając się pod nosem.

Pendergast odprowadził szofera wzrokiem. Następnie ponownie skupił się na liście i sięgnął po pióro wieczne. Stalówka zgrzytała po papierze jeszcze przez blisko dwie minuty. Pendergast położył pióro na zielonym rypsie przykrywającym stolik do pisania i wziął kartkę do ręki, aby od początku przeczytać cały list.

Moja droga Violu,

Piszę do Ciebie z kilku powodów. Po pierwsze, aby przeprosić za sposób, w jaki potraktowałem Cię podczas naszego ostatniego spotkania. Zadałaś sobie wiele trudu, aby się ze mną zobaczyć, a moje zachowanie względem Ciebie było nie do przyjęcia. Nie zamierzam szukać wymówek, pragnę jednak powiedzieć Ci – o czym już zapewne wiesz – że nie byłem wówczas sobą.

Pragnę również podziękować Ci za uratowanie mi życia. Nie ma w tym ani krzty przesady. Kiedy stanęłaś w progu mego mieszkania prawie dwa miesiące temu, byłem bliski popełnienia czynu, który pozwoliłem sobie opisać Ci w impertynencki i nieczuły sposób. Twoja obecność i Twoje słowa powstrzymały moją dłoń dostatecznie długo, aby pochłonęły mnie inne rozgrywające się akurat wypadki. Krótko mówiąc, zjawiłaś się w Dakocie w ostatniej chwili i za to możesz liczyć na moją dozonną, nieskończoną i najgłębszą wdzięczność.

Mam zamiar zrobić sobie wakacje. Nie wiem jeszcze, na jak długo ani dokąd wyjadę. Jeśli znajdę się w Rzymie, z pewnością skontaktuję się z Tobą, jako przyjaciel. Tak właśnie być musi pomiędzy nami już na zawsze.

Niewiele jest rzeczy, które wiążą mnie z tym światem, Violu, i jeszcze mniej ludzi godnych tego miana. Pragnę, abyś wiedziała, że jesteś jedną z nich.

*Z wielkim oddaniem,
Aloysius*

Pendergast odłożył list, podpisał go, złożył i wsunął do koperty. Potem spojrział na Constance i Tristrama siedzących przy kominku i pochłoniętych grą w karty. Powiódł wzrokiem w stronę kominka, w którym buzował ogień. Wpatrywał się w płomienie, siedząc w bezruchu, nie tknąwszy nawet sherry, długo, bardzo długo, bo z głębokiej zadumy wyrwało go dopiero pojawienie się Proctora,

który przyszedł poinformować, że podano kolację. Tristram natychmiast zerwał się na nogi i pobiegł za oddalającym się szoferem, najwyraźniej głodny. Dla tego młodzieńca każdy kolejny posiłek był prawdziwą nowością. Constance podążyła za nimi nieco bardziej dystyngowanym krokiem. Na koniec sam agent specjalny Pendergast podniósł się z miejsca, musnął koniuszkami palców kopertę leżącą na blacie stolika do pisania, po czym bezszelestnie opuścił bibliotekę, zmieniając się w rozmyty kształt, który z każdą chwilą stawał się coraz mniej wyraźny, przemierzający sekretne, nawiedzane przez mroczne cienie pomieszczenia rezydencji przy Riverside Drive.

Przypisy

- [1] Przekład S. Barańczaka (*wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza*).
- [2] Sześciogłosowa fuga zaczerpnięta z *Muzycznej ofiary*, cyklu skomponowanego przez J. S. Bacha dla króla pruskiego Fryderyka II.
- [3] Fragment *Króla olszyn* J. W. Goethego w przekładzie L. Kondratowicza.
- [4] Pewne fakty podane w tej powieści, choć wydają się fantastyczne, nie są bynajmniej fikcją literacką. Nova Godói, miejscowość w Brazylii, istnieje naprawdę. W miasteczku Candida Godói po ucieczce z hitlerowskich Niemiec doktor Mengele ukrył się przed odpowiedzialnością za zbrodnie, prowadził praktykę lekarską i tajemnicze eksperymenty, które zaowocowały pojawieniem się w miasteczku bliźniąt o typowo aryjskim wyglądzie.

Biogram autorów



DOUGLAS PRESTON (ur. 1956 w Cambridge) - popularny pisarz amerykański, brat Richarda, znanego autora książek popularnonaukowych. Pracował w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku.

LINCOLN CHILD (ur. 1957 w Westport w stanie Connecticut) - amerykański pisarz, autor technothrillerów, horrorów i powieści sensacyjnych.

Był redaktorem pierwszej książki Douglasa Prestona - *Dinosaurs in the Attic*. Nawiązali bliższą współpracę. Jej owocem była wydana w 1994 roku powieść **Relikt**, sfilmowana niedługo potem przez Petera Hyamsa. Wspólnie napisali ponad 20 powieści.

Obaj mają w dorobku po kilka powieści pisanych samodzielnie: *Jennie*, *Testament*, *Kanion Tyranozaura*, *Mistyfikacja*, *Konfrontacja*, *Projekt Kraken* - Preston. *Utopia*, *Eden*, *Głębia*, *Terminalny mróz*, *Grobowiec* - Child.

Wspólne powieści:

Cykl: Agent Pendergast

Relikt (*The Relic*, 1994)

Relikwiarz (*Reliquary*, 1997)

Gabinet osobliwości (*The Cabinet of Curiosities*, 2002)

Martwa natura z krukami (*Still Life with Crows*, 2003)

Siarka (*Brimstone*, 2004)

Taniec śmierci (*The Dance of Death*, 2005)

Księga umarłych (*The Book of the Dead*, 2006)

Krąg ciemności (*The Wheel of Darkness*, 2007)

Kult (*Cemetery Dance*, 2009)

Granice szaleństwa (*Fever Dream*, 2010)

Bez litości (*Cold Vengeance*, 2011)

Dwa groby (*Two Graves*, 2012)

Biały ogień (*White Fire*, 2013)

Błękitny labirynt (*Blue Labyrinth*, 2014)

(*Crimson Shore*, 2015)

Cykl: Gideon Crew

Miecz Gideona (*Gideon's Sword*, 2011)

Trup Gideona (*Gideon's Corpse*, 2012)

Zaginiona wyspa (*The Lost Island*, 2014)

Inne

Laboratorium (*Mount Dragon*, 1996)

Zabójcza fala (*Riptide*, 1998)

Nadciągająca burza (*Thunderhead*, 1999)

Granica lodu (*The Ice Limit*, 2000)

Agent Pendergast podąża śladem Przymierza, tajnej organizacji, która uprowadziła jego żonę tuż po ich ponownym spotkaniu po latach. Kierowany żądzą zemsty agent specjalny FBI nie zawaha się przed niczym, by poznać prawdę o kobiecie, którą kochał – i utracił – oraz zemścić się na ludziach, którzy odebrali mu wszystko.

W tym celu musi udać się do Brazylii, w ostępy niebezpiecznej puszczy i odnaleźć tajemnicze miasteczko. Zamieszkują je potomkowie nazistów i ofiary sekretnych, mrozących krew w żyłach eksperymentów prowadzonych po II wojnie światowej przez dawnych hitlerowskich oprawców, w tym doktora Mengele. Od powodzenia samotnej misji Pendergasta zależy nie tylko los jego samego, lecz przyszłego porządku całego świata.

„Nazwiska Preston i Child na okładce są gwarancją niezwykłych przeżyć i pasjonującej lektury. Książka jest fenomenalna. Gotycka atmosfera emanująca z tych stron gwarantuje, że czytelnik nie będzie chciał oderwać się od lektury”.

The Washington Post

„Ekscentryczny agent FBI Aloysius Pendergast to jeden z najciekawszych bohaterów powieści sensacyjnych”.

Kirkus Reviews

„Świetnie skonstruowana i napisana powieść sensacyjna. Czyta się jednym tchem”.

Publishers Weekly



© Luchie Child

Douglas Preston i Lincoln Child są autorami wielu intrygujących, uznanych przez krytykę i czytelników, bestsellerowych thrillerów, m.in. *Relikt*, *Relikwiarz*, *Gabinet osobliwości*, *Martwa natura z krukami*, *Siarka*, *Taniec śmierci*, *Księga Umarłych*, *Granice szaleństwa*, *Bez litości*, *Laboratorium*, *Zabójcza fala*, *Nadciągająca burza*, *Miecz Gideona* i *Trup Gideona*.

Patroni medialni:



Książki dostępne w księgarniach,
na www.gjksiazki.pl
i w sprzedaży wysyłkowej:
tel. 22 360 37 77

